

Biblioteka

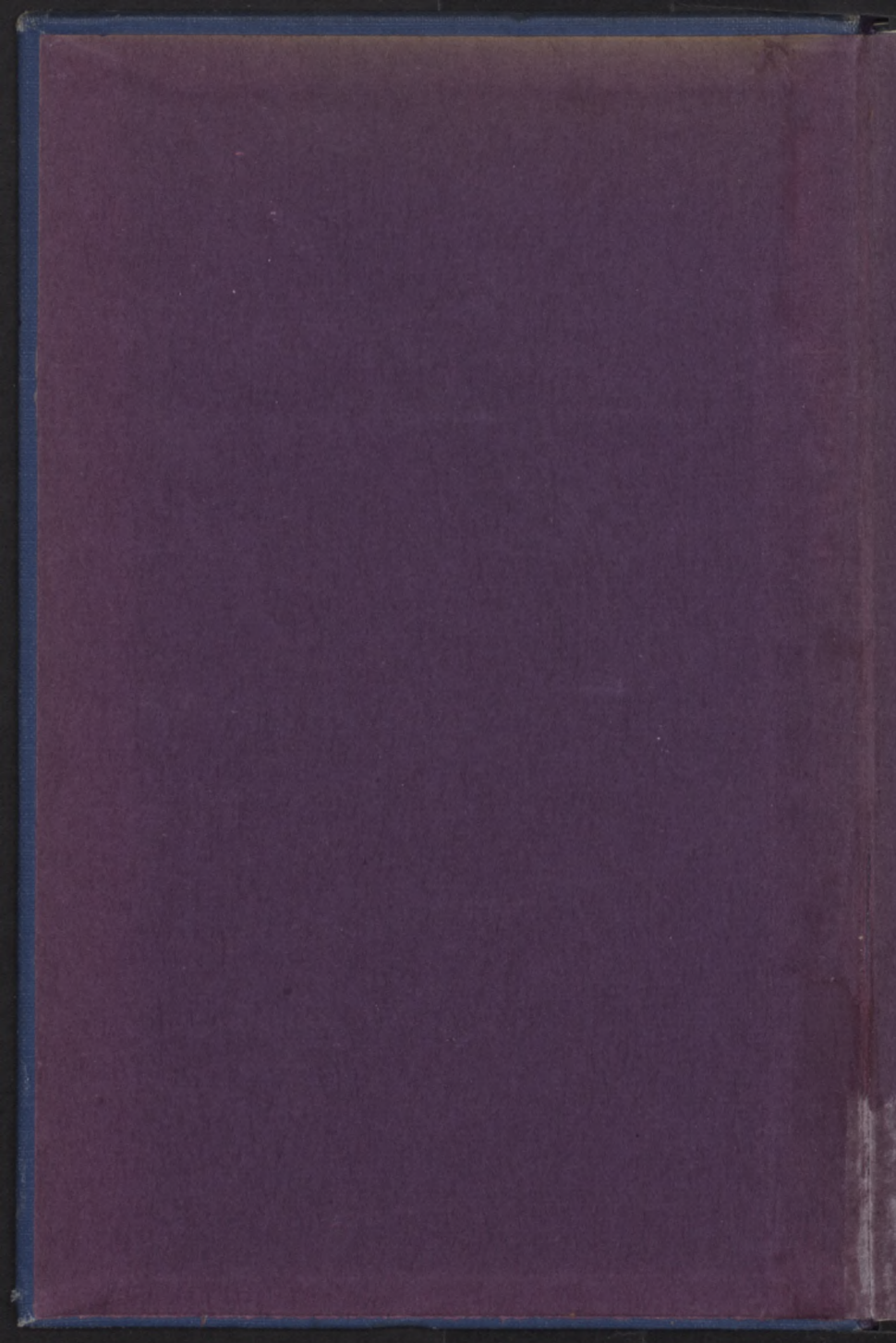
163906

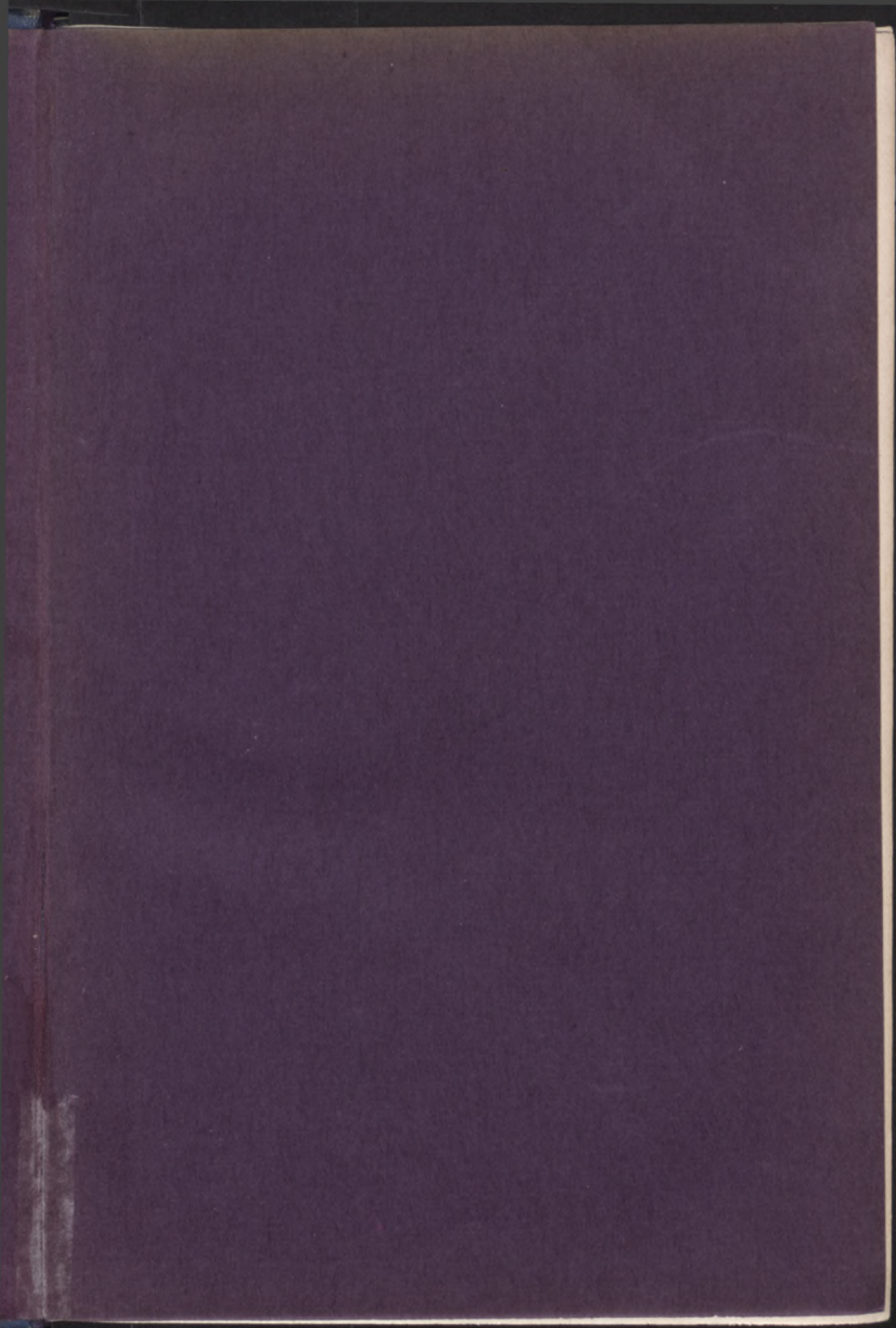
Toruń

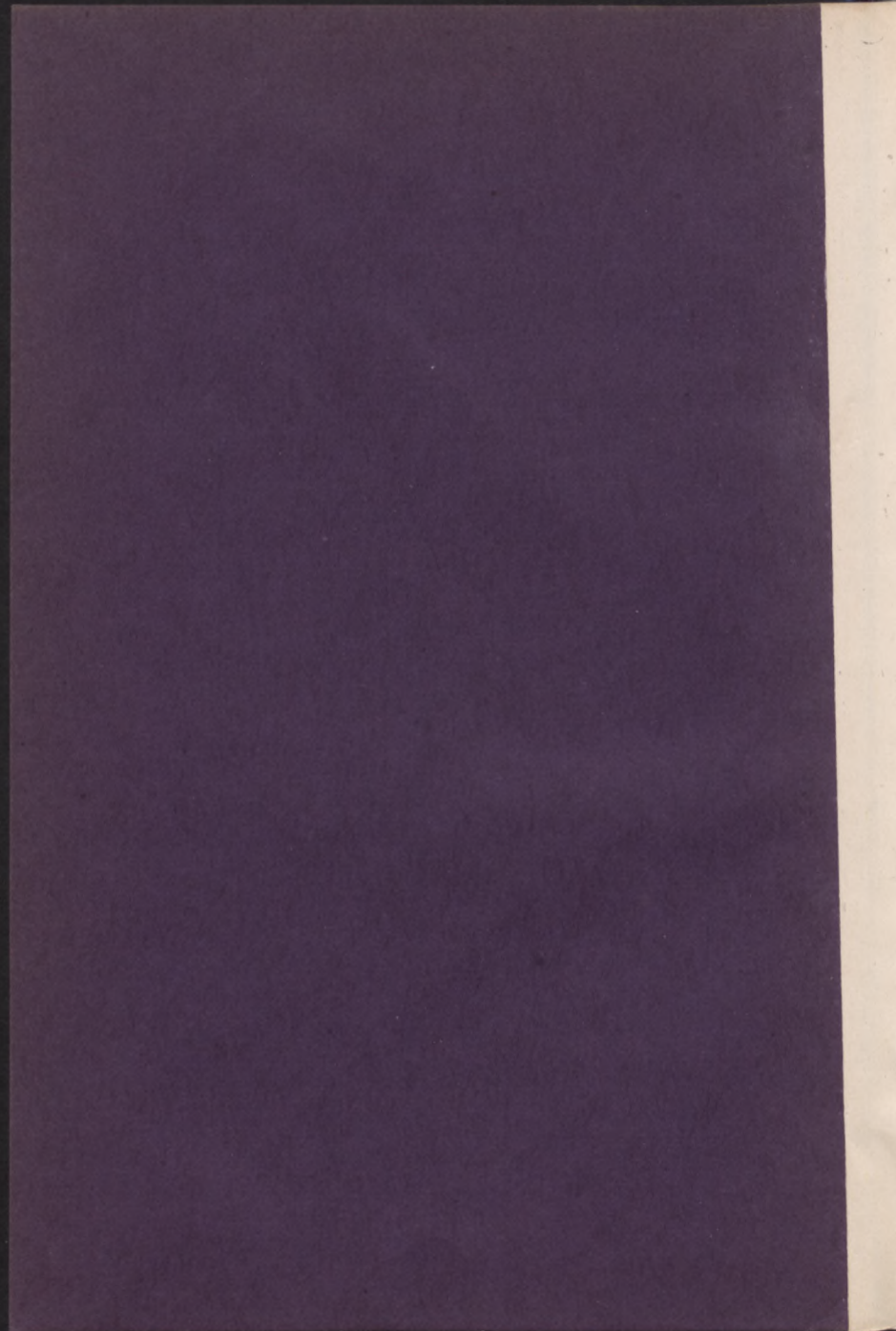
WŁOZYŃSKI

Genealogia
Dzieln
III

Podróże
i rozprawy
literackie

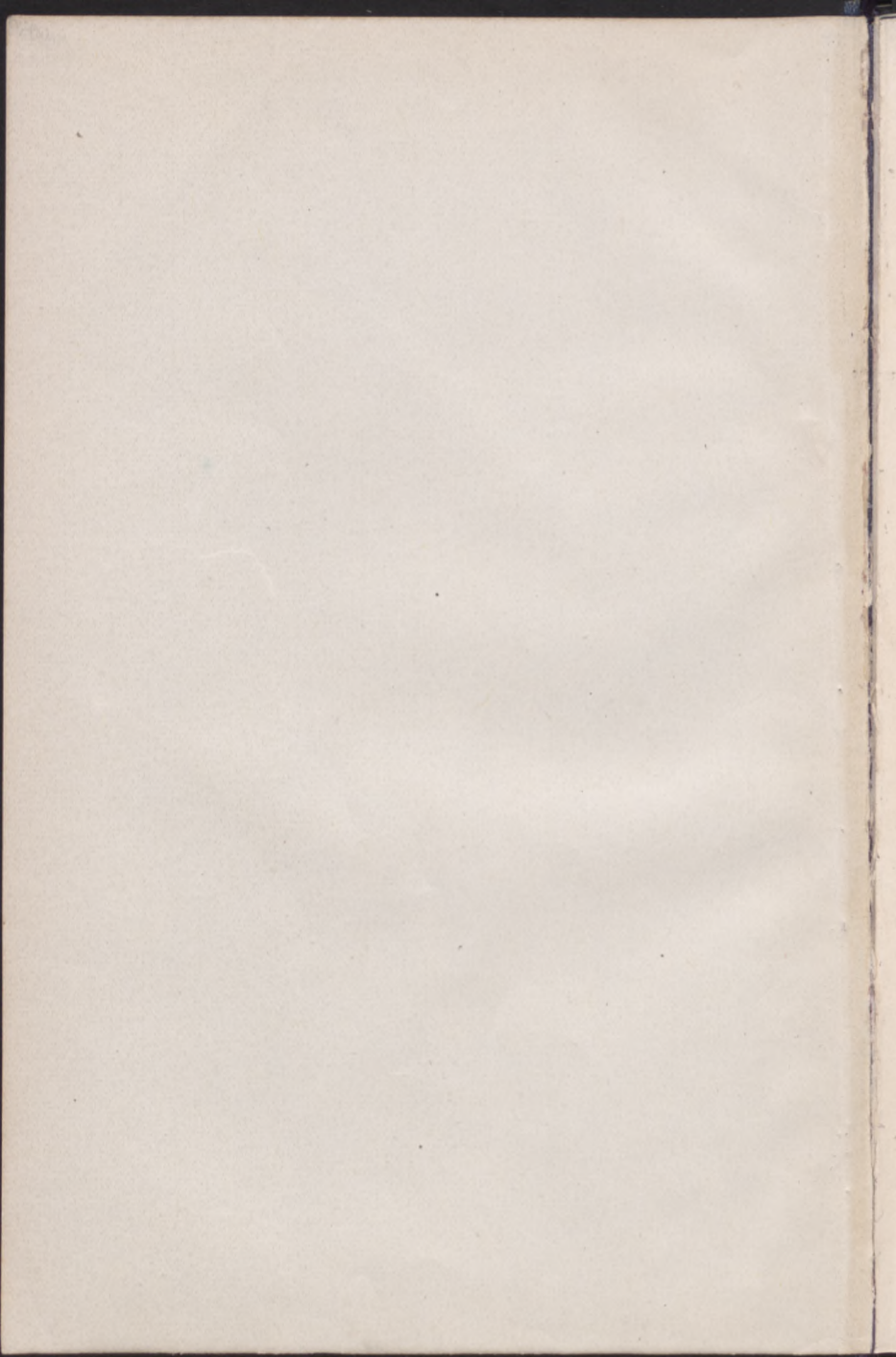






100. 100. 70

DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOŚCZYŃSKIEGO



DZIEŁA ZBIOROWE

SEWERYNA

GOSZCZYŃSKIEGO

DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO.

WYDAŁ

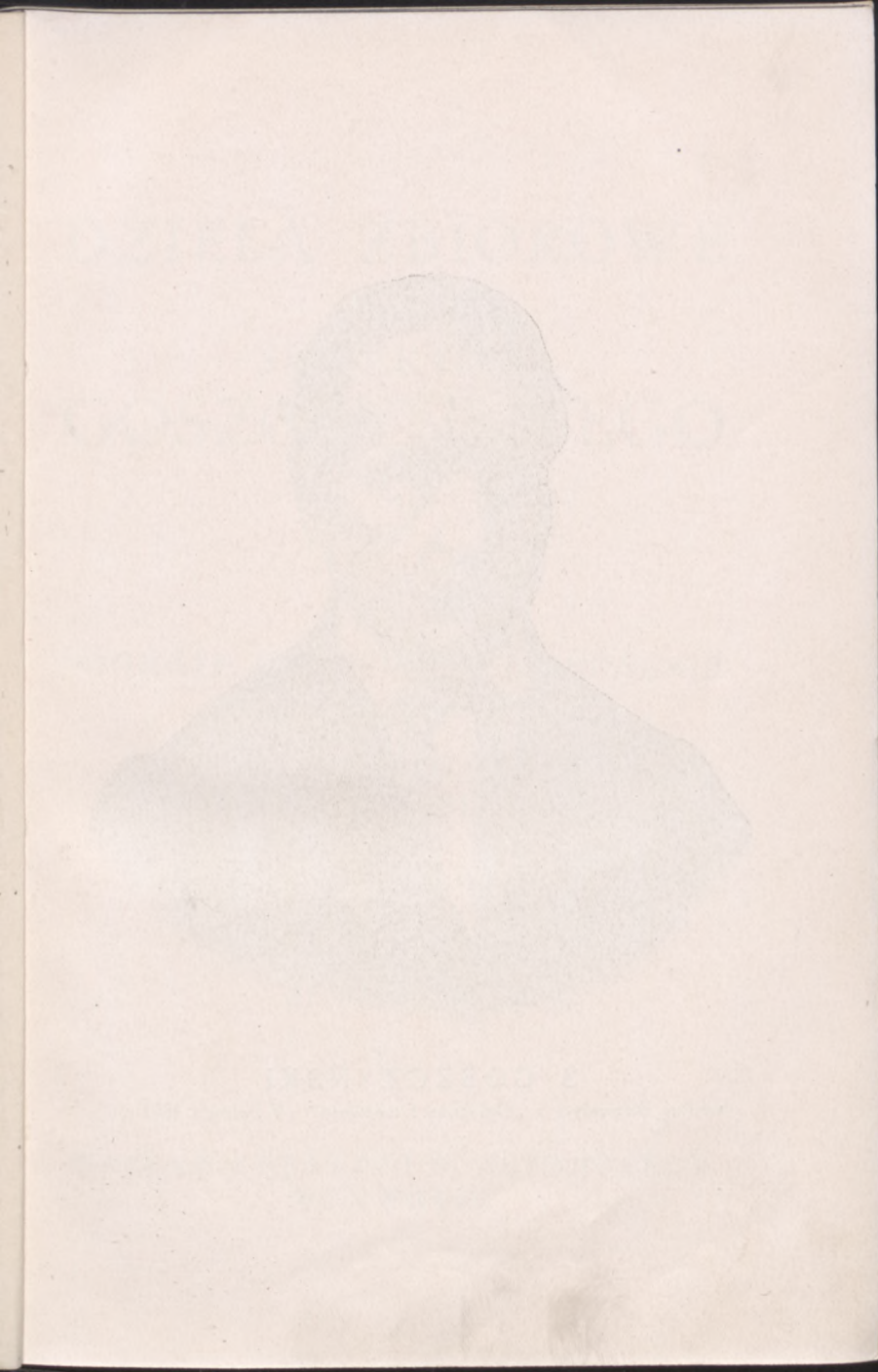
ZYGMUNT WASILEWSKI

WILNO
W KSIĘGARNI H. ALTBERRGA

DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

WYDAŁ
ZYGMUNT WASILEWSKI

NAKLAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.





S. GOSZCZYŃSKI

według drzeworytu z „Opiekuna Domowego“ z 7 kwietnia 1871 r.

1024-35

DZIEŁA ZBIOROWE

SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

TOM III

PODRÓŻE I ROZPRAWY LITERACKIE

WYDAŁ
ZYG MUNT WASILEWSKI

J. NIEMIEC
ul. Pełczyńska 1. 28.

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

DZIEŁA ZBIOROWE

SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

PODROZE I PRACY PIENIĄŻNICZE

163.806

U

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE.

K. 1454/51

SPIS RZECZY TOMU III.

	Str.		Str.
*DZIENNIK			
PODRÓŻY DO TATRÓW.			
Do czytających to dzieło	3		
Tarnowskie	5		
Droga do Nowego Targu	21		
Tatry i Podhale	29		
Wyprawa w głąb Tatrów	118		
ROZPRAWY LITERACKIE.			
*Nowa epoka poezyi polskiej:			
1. Wstęp	178		
2. Poezja w ogólności i poezja narodowa	180		
3. Obraz ogólny nowej poezyi polskiej	191		
4. Poezja polska oryginalna i poezja słowiańska	201		
5. Angielszczyzna i niemiezczyzna	211		
6. Prancuszczyzna	224		
7. Orientalizm	230		
8. Zamknięcie	233		
*„Trzy wieszczby“	238		
*„Pamiętki J Pana Seweryna Soplicy“	264		
		*Poezje Bohdana Zaleskiego:	
		Myśli ogólne	287
		Poezja religijna	293
		Poezja ukraińska	312
		*O potrzebie narodowego polskiego malarstwa	323
		*Stanowisko poetów w społeczeńści	335
		*Z dziennika artysty	351
		DROBNE SPRAWOZDANIA I PRZEDMOWY	
		*Wyprawa Igora na Połowców	360
		*„Giaur“	371
		*„Korsarz“	374
		*„De la Pologne sur les bords de la Vistule et dans l'émigration“	376
		*Kilka słów o Ukrainie i rzezi humańskiej	381
		*Przedmowa do „Powszechnego pamiętnika nauk i umiejętności“	382
		*Przedmowa do „Trzech strun“	389

RYCINY:

Portret G-o według drzeworytu z r. 1871.

UWAGA. * oznaczamy utwór, który pierwszy raz wcielony został do zbiorowego wydania pism G-o, lub też wszedł tutaj ze zmienionym przez autora tekstem.

SPIS KAZEKY TOMU III

1	Wstęp	1
2	1. Rozdział	2
3	2. Rozdział	3
4	3. Rozdział	4
5	4. Rozdział	5
6	5. Rozdział	6
7	6. Rozdział	7
8	7. Rozdział	8
9	8. Rozdział	9
10	9. Rozdział	10
11	10. Rozdział	11
12	11. Rozdział	12
13	12. Rozdział	13
14	13. Rozdział	14
15	14. Rozdział	15
16	15. Rozdział	16
17	16. Rozdział	17
18	17. Rozdział	18
19	18. Rozdział	19
20	19. Rozdział	20
21	20. Rozdział	21
22	21. Rozdział	22
23	22. Rozdział	23
24	23. Rozdział	24
25	24. Rozdział	25
26	25. Rozdział	26
27	26. Rozdział	27
28	27. Rozdział	28
29	28. Rozdział	29
30	29. Rozdział	30
31	30. Rozdział	31
32	31. Rozdział	32
33	32. Rozdział	33
34	33. Rozdział	34
35	34. Rozdział	35
36	35. Rozdział	36
37	36. Rozdział	37
38	37. Rozdział	38
39	38. Rozdział	39
40	39. Rozdział	40
41	40. Rozdział	41
42	41. Rozdział	42
43	42. Rozdział	43
44	43. Rozdział	44
45	44. Rozdział	45
46	45. Rozdział	46
47	46. Rozdział	47
48	47. Rozdział	48
49	48. Rozdział	49
50	49. Rozdział	50
51	50. Rozdział	51
52	51. Rozdział	52
53	52. Rozdział	53
54	53. Rozdział	54
55	54. Rozdział	55
56	55. Rozdział	56
57	56. Rozdział	57
58	57. Rozdział	58
59	58. Rozdział	59
60	59. Rozdział	60
61	60. Rozdział	61
62	61. Rozdział	62
63	62. Rozdział	63
64	63. Rozdział	64
65	64. Rozdział	65
66	65. Rozdział	66
67	66. Rozdział	67
68	67. Rozdział	68
69	68. Rozdział	69
70	69. Rozdział	70
71	70. Rozdział	71
72	71. Rozdział	72
73	72. Rozdział	73
74	73. Rozdział	74
75	74. Rozdział	75
76	75. Rozdział	76
77	76. Rozdział	77
78	77. Rozdział	78
79	78. Rozdział	79
80	79. Rozdział	80
81	80. Rozdział	81
82	81. Rozdział	82
83	82. Rozdział	83
84	83. Rozdział	84
85	84. Rozdział	85
86	85. Rozdział	86
87	86. Rozdział	87
88	87. Rozdział	88
89	88. Rozdział	89
90	89. Rozdział	90
91	90. Rozdział	91
92	91. Rozdział	92
93	92. Rozdział	93
94	93. Rozdział	94
95	94. Rozdział	95
96	95. Rozdział	96
97	96. Rozdział	97
98	97. Rozdział	98
99	98. Rozdział	99
100	99. Rozdział	100
101	100. Rozdział	101
102	101. Rozdział	102
103	102. Rozdział	103
104	103. Rozdział	104
105	104. Rozdział	105
106	105. Rozdział	106
107	106. Rozdział	107
108	107. Rozdział	108
109	108. Rozdział	109
110	109. Rozdział	110
111	110. Rozdział	111
112	111. Rozdział	112
113	112. Rozdział	113
114	113. Rozdział	114
115	114. Rozdział	115
116	115. Rozdział	116
117	116. Rozdział	117
118	117. Rozdział	118
119	118. Rozdział	119
120	119. Rozdział	120
121	120. Rozdział	121
122	121. Rozdział	122
123	122. Rozdział	123
124	123. Rozdział	124
125	124. Rozdział	125
126	125. Rozdział	126
127	126. Rozdział	127
128	127. Rozdział	128
129	128. Rozdział	129
130	129. Rozdział	130
131	130. Rozdział	131
132	131. Rozdział	132
133	132. Rozdział	133
134	133. Rozdział	134
135	134. Rozdział	135
136	135. Rozdział	136
137	136. Rozdział	137
138	137. Rozdział	138
139	138. Rozdział	139
140	139. Rozdział	140
141	140. Rozdział	141
142	141. Rozdział	142
143	142. Rozdział	143
144	143. Rozdział	144
145	144. Rozdział	145
146	145. Rozdział	146
147	146. Rozdział	147
148	147. Rozdział	148
149	148. Rozdział	149
150	149. Rozdział	150
151	150. Rozdział	151
152	151. Rozdział	152
153	152. Rozdział	153
154	153. Rozdział	154
155	154. Rozdział	155
156	155. Rozdział	156
157	156. Rozdział	157
158	157. Rozdział	158
159	158. Rozdział	159
160	159. Rozdział	160
161	160. Rozdział	161
162	161. Rozdział	162
163	162. Rozdział	163
164	163. Rozdział	164
165	164. Rozdział	165
166	165. Rozdział	166
167	166. Rozdział	167
168	167. Rozdział	168
169	168. Rozdział	169
170	169. Rozdział	170
171	170. Rozdział	171
172	171. Rozdział	172
173	172. Rozdział	173
174	173. Rozdział	174
175	174. Rozdział	175
176	175. Rozdział	176
177	176. Rozdział	177
178	177. Rozdział	178
179	178. Rozdział	179
180	179. Rozdział	180
181	180. Rozdział	181
182	181. Rozdział	182
183	182. Rozdział	183
184	183. Rozdział	184
185	184. Rozdział	185
186	185. Rozdział	186
187	186. Rozdział	187
188	187. Rozdział	188
189	188. Rozdział	189
190	189. Rozdział	190
191	190. Rozdział	191
192	191. Rozdział	192
193	192. Rozdział	193
194	193. Rozdział	194
195	194. Rozdział	195
196	195. Rozdział	196
197	196. Rozdział	197
198	197. Rozdział	198
199	198. Rozdział	199
200	199. Rozdział	200

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wydanie pierwsze, 1925 r.

Wydawca: ...

DO CZYTAJĄCYCH TO DZIEŁO

(GD AUTOREM)

DZIENNIK PODRÓŻY DO TATRÓW.

DZIENNIK PODRÓŻY DO TATRÓW.

DO CZYTAJĄCYCH TO DZIEŁO.

(OD AUTORA).

Autor tej podróży ogłasza ją głównie dlatego, że chwila jego życia, schwycona w tem dziele, jest jedną z tych, w których żył wszystkimi swojemi władzami, życiem pełniejszym, niż kiedykolwiek.

Podróż ta miała miejsce w roku 1832, a ogłasza się dziś dopiero, niemal we 20 lat.¹ Ogłoszenie to może się wydawać za późne, niewłaściwe. Autor jednak nie cofa się przed niem. Sądzi, że ani przedmiot ani wykonanie jego dzieła nie tracą na przewłoce. Opisuje on góry i lud, który je zamieszkuje, a które w tym przeciągu czasu się nie zmieniły.

Czytelnik nie znajdzie w tem dziełku skarbów umiejętności albo nauki; autor puścił się z małym zapasem wiedzy, z mniejszym jeszcze naukowości, a bez żadnej książki, nawet bez barometru. Nie robił on tej podróży ani jako geolog, ani jako geograf, ani jako archeolog; puścił się obyczajem żebrzących śpiewaków swojej krainy, z lirą swojego ducha, z nią tylko; do niej nastroił swój rozum, swoje zmysły, wszystkie swoje władze — i to tylko zachował, czem mu ten instrument zagrał, potracony od ziemi, którą przeszedł, i od jej ducha. Jakkolwiek nieobojętne jest autorowi rozszerzenie sfery naukowych wiadomości, pomnożenie prawdziwych pojęć w tej sferze, zajmował się jednak najgłówniej tem, do czego czuł się najzdolniejszym: pisał wiele z serca i dla serca, wiele w ocknieniu się głębszego swego czucia dla obudzenia głębszego czu-

¹) „Dziennik podróży“ opracowany został w r. 1853 i w tym roku ukazał się w druku w wydaniu petersburskiem B. M. Wolffa pt. „Dziennik podróży do Tatrów przez autora Sobótki“. Okoliczność ta wyjaśnia, dlaczego znalazło się w niem zabarwienie religijne, widoczne choćby z tej przedmowy. Widoczna przytem w „Dzienniku“ dyskrecya polityczna z powodu warunków cenzuralnych.

cia w innych — uprzedza przeto, że w jego notatach znajduje się wiele miejsc, które będą pojętne, będą miały wartość jedynie dla ludzi, szukających we wszystkim zasilku żywotnego dla swojego serca, dla swojego czucia głębszego, wyższego i nie gardzących nim, skoro go znajdują, choćby był najskromniejszy. Takie są ustępy w tem dziele, odnoszące się do pewnych osób, do pewnych chwil, do pewnych miejsc, i dlatego autor zostawia je nieprzemazane. Co tu podaje, to wszystko winien miłości pewnych osób, przyjaznym chwilom, natchnieniom dobrym pewnych miejsc; byłby niewdzięczny, gdyby im nie złożył za to w ofierze owocu miłości z pola ich miłości.

Autor nie daje tego dzieła za coś zupełnego, za obraz, którego przedmiot byłby wykończony we wszystkich swoich częściach, we wszystkich szczegółach; wszakże pochlebia sobie, że nie pominął nic obojętnie, co kraj opisywany i mieszkańców jego mogło przedstawić ze strony najbardziej zajmującej, najgodniejszej uwagi — że następnie dotknął tego wszystkiego w sposób może niekiedy za ogólny, ale nigdy lekki. Tak sobie śmie pochlebiać, a przeto i z tego względu odważa się na niniejsze ogłoszenie.

Wyjątki z tej przejażdżki umieszczane były przed laty kilkunastu w jednym z dzienników krakowskich,¹ i tak, jak były ułożone dla ogłoszenia dziennikarskiego. Największa część jej zostawała w notatach, w formie dziennika; w tej formie i z tych notatek dopełnia autor po części niniejsze ogłoszenie — po części, bo największa, a może najważniejsza część musi jeszcze pozostać zanotowana tylko w duszy i, jeżeli będzie mogła wychodzić na jaw kiedykolwiek, to najpewniej pod innymi formami, o ile Bóg da autorowi natchnienia i czas po temu.

¹) W „Powszechnym Pamiętniku naukowym i umiejętności“, Kraków 1835, tom I, str. 51 — 264.

TARNOWSKIE.

WIEŚ MIKOŁAJOWICE.

4 kwietnia 1832.

Od pięciu miesięcy przebywam w kraju, do którego z dzieciństwa tęskniłem. Trzy lata temu przeleciałem go ciałowozem;¹ nie spodziewałem się wtedy, że za lat trzy będę tu, jak w domu. Myślę nieraz o tych dziwnych kolejach losu... Bądź co bądź, dziękuję losowi, że mię tu rzucił. Nie! Nie losowi — Bogu dziękuję. Los człowieka jest dziełem człowieka, jest koleją, w którą człowiek wchodzi własną wola, jest skutkiem jego woli, mniej lub więcej dalszym, niekiedy bardzo dalekim, ale zawsze skutkiem, jest fatalizmem — a wtedy Bóg tylko miłosierny łagodzi go, zmienia zły na dobry. Znajduję się w tym przypadku i dlatego dziękuję Bogu. Od kilku miesięcy jestem, jak w porcie przed burzą straszliwą, co tam na wysokości świata szaleje. Port niewielki, niezupełnie bezpieczny, ale przynajmniej do pewnego czasu bezpieczny; mogę odechnąć, wypocząć, nabrać sił nowych na przypadek nowej burzy. Tak mi się wydaje ta wioska, ten domek, gdzie od jakiegoś czasu przebywam. Miło mi zatrzymywać moją myśl na nich.

Kraj ten jest bardzo zajmujący wszechstronnie, jak w ogólności cała ziemia, osiadła ludem krakowskim. Nadto wiążą mnie z nim wspomnienia z moich lat najmłodszych. Już w dzieciństwie¹ znałem, kochałem ludzi z tej okolicy, oddzielony od niej stu milami. Tarnów był dla mnie jakby sąsiednim miasteczkiem; pragnąłem go widzieć, miałem pewność, że zobaczę. Byłoż to przecucie? Byłoż to ostrzeżenie? Byłoż to powolne, odległe oswajanie z po-

¹) Mowa o podróży z Grabowskim do Wiednia w r. 1828.

wietrzem, którym kiedyś trzeba będzie oddychać, z życiem, wśród którego kiedyś trzeba będzie żyć?... To pewna, że, chociaż po raz pierwszy w tym kraju, nie znalazłem się obcym i coraz mniej się czuję. Widzę miejsca, których obraz rysował się już od dawna w myśli — ze słyszenia; słyszę mowę, zasłyszana już kiedyś; spotykam ludzi, kiedyś zajrzanych — serca, kiedyś zaczone. Oto, co mi wiele upieknia i umila mój dzisiejszy pobyt, bo pozór nie ma nic takiego, coby nadzwyczajnie porywało.

Wieś sama Mikołajowice jest niewielka i podobna do wszystkich wsi tutejszych, których nie można postawić za wzór czystości i porządku, a tem mniej okazałości. Leży niedaleko Dunajca, nad starem jego korytem, wśród płaszczyna ogromnych i zrównanych pod strychulec. Chaty rozrzucone w nieładzie fantastycznym: każda patrzy w inną stronę, jak żeby dąsała się na swoje sasiadki. Takim chatkom ulic nie potrzeba, dlatego też niema ich tutaj. Zato snuje się między niemi droga, dosyć sucha w lecie, oprócz kilku kałuż, które ją przecinają, niby strumyki. Liczne wierzyby ocieniają wioskę: tu uszykowane szeregami, tam zwinięte w gaik, ale co roku szpeczone podkrzesywaniem na potrzeby gospodarskie: co się tyczy wierzchołka, tym mało która popyszczyć się może. Nie zbywa jednak na sadach — i tu dopiero są drzewa wielkie i ładne; owe to sady osłaniają niepowabną srogość wioski, ich to troskliwość macierzyńskiej winna wieść, że patrzącemu z zewnątrz przedstawia wśród płaszczyny, naglej w tem miejscu, przedmiot dosyć przyjemny dla oka.

Okolica nie jest ani nieładna, ani martwa. Widok na wzgórze z jednej strony, na lasy ogromne z drugiej, jest i zajmujący i rozmaity. Wsie dokoła nie obszerne, ale liczne i gęste. Miasteczko Wojnicz leży o pół godziny drogi od Mikołajowic. Jeszcze bliżej przechodzi wielki gościniec z Tarnowa do Podgórze krakowskiego, najdłuższy i najgłośniejszy w Galicji. Ruch jego niemały ożywia te okolice. Dla przechadzki mam brzeg Dunajca: dla przechadzki i oka wyniosłe wzgórze na drugim jego brzegu — a jeszcze dalej, na prawo, wyższą od tych wzgórz mam górę, która zowie się Panieńską. Nasycony wido-

kami wiejskimi, ile razy zapotrzebuję powietrza i życia miejskiego, mam Tarnów o lekkie półtory mili.

Wszakże wolę, niż to wszystko, domek, w którym dziś mieszkam. Ustronny, niewielki, niepozorny, poprostu wielka chata, najpierwsza we wsi i razem najporządniejsza; drewniana, pobielona, pokryta snopkami, nie zawstydzająca innych mieszkań wiejskich. Tylna strona domu kupi w sobie cały nieporządek domowego gospodarstwa: tam kurniki, chlewki, obory i wszystka ich nieczystość, zlewająca się w jezioro, zwane gnojanką, a które w tym kraju jest koniecznym *utile dulci* każdej zagrody. Gumno graniczy z ogrodem, który osłania prawy bok domu, a jest zarazem warzywnym i owocowym; na jego murawie, pod jego drzewami i ja już nieraz odpoczywałem. Pod oknami przednimi ogródek kwietny, uzbrojony sztachetkami; są już tam róże i mojego sadzenia.¹ Ta czelna strona domu ma dwoje drzwi, dwa wchody, bo dom przedzielony jest izbą kuchenną na dwie dziedziny; w jednej mieści się sama moja opiekunka, właścicielka wsi, pani T...² ze swoją żeńską rodziną, na drugiej panuje syn jej młodszy a mój towarzysz i przyjaciel;³ tu jest i mój przybytek. Są to trzy pokoiki, tak niedawno przybudowane, że ściany wewnętrzne nie są nawet jeszcze pobielone, niejako umyślnie dla gości rychłych a niespodziewanych, mimo to wcale porządne i wesołe. Drzewo ścian tak gładko obrobione, że nie razi nagością; szczeliny mchem zatkane, a, co brakuje w ozdobności, to dopelnia świeżość budowy, jak u człowieka młodość pokrywa nieraz brak urody. Zresztą... dla mnie to konieczne; często obiegam te ściany spojrzeniem i widzę w nich nic więcej dla mnie, tylko rodzaj szalasu podróżnego, wystawionego na pędzie i na krótko.

I dlaczegoż to piszę? Dlaczego chcę zachować pamięć tych drobiazgów? Niema-ż w tem własnej miłości? Nie — jest miłość, ale przez wdzięczność i dla tych miejsc, i dla ich właścicielki. Ona swoim duchem wszystko tu ożywia,

¹) Ob. wyżej wiersz „Przy sadzeniu róż“, str. 57.

²) Tetmajerowa.

³) Józef Tetmajer.

dobrocią umila, własną wartością podnosi. Ilem jej winien i w jaki sposób, to się nie da wypowiedzieć. A choćbym i wypowiedział, innym byłoby to obojętne, a ona zapewne tego czytać nie będzie.

Pani T... jest już matką dwóch synów¹ i pięciu córek, a babką kilkorga wnucząt. Nadźwigała się więc niemało krzyżów tego życia i niemało lat cięży na niej; mimo to czerstwa i silna ciałem i umysłem. Sama dotąd zawiaduje majątkiem i daje sobie radę w trudnych wypadkach. Ale jest to jedna z mniejszych jej zalet; co zmusza czcić ją i kochać — to przymioty kobiety i matki. Mało znam kobiet, któreby połączyły w tym stopniu tyle dobroci, łagodności, słodczy charakteru z energią poświęcenia, gdzie tego potrzeba — tyle miłości rodzinnego kółka z miłością dalszych — tyle swobody, żywości, wesołości z wiekiem lat tylu — któreby, nakoniec, przy tak szczupłych środkach umiały robić tyle dobrego i tak ochoczo. Dopełniają matkę jej dzieci. Cztery córki,² mieszkające z nią, są podobne jej sercem i godne jej. Co do mnie osobiście, jak matka ich zastępuje mi moją matkę, tak one za siostry mi służą; kocham je też, jak moje siostry, a całą rodzinę, cały dom, jak własną rodzinę, jak dom własny.

ZAMIAR PODRÓŻY DO TATRÓW.

8 kwietnia 1832.

Jedną z korzyści mojego położenia obecnego jest ta, eż będę miał sposobność zwiedzić Tatry. Starszy syn pani T...³ mieszka pod Nowym Targiem, bardzo blisko Tatrów. Dobry dla mnie, jak matka jego, ofiaruje mi ze swojej strony wszelkie ułatwienia do tej podróży; w tych dniach ma tu przybyć i zabrać mnie z sobą. Jestem temu bardzo rad; niczego dziś bardziej nie pragnę. Dotychczas nie mam wyobrażenia o górach. Co o nich słyszę, zaostrza tylko ciekawość, ale jej nie zaspakaja. Widzę czasem Tatry z miejsc wyższych tej okolicy, ale je widzieć o mil kil-

¹) Leon i Józef.

²) Katarzyna, Helena, Wiktoryja i Zofia.

³) Leon, w Łopusznej.

kanaście, słyszeć o nich choćby najdokładniejszą powieść, nie jest to samo, co postawić własną nogę wśród nich, zajrzeć im oko w oko. Jeszcze w dzieciństwie nasłuchiwałem się o nich tyle od mojego ojca!

Dziwny pociąg rwał mię zawsze ku górom, ku życiu w górach. W mojej szkolnej młodości nie było nic dla mnie przyjemniejszego, nic pożądańszego, jak wśród stepów ukraińskich napotkać lada skałę, drapać się po niej, przesiadywać na niej po całych godzinach, marzyć wielką część nocy marzeniem góralskiem. Nigdy nie zapomnę skalistych brzegów Tykicza, nigdy nie zapomnę jaskiń Zofiówki! Były mi one jakby szkołą góralskiego życia: tam zaprawiałem do gór i głowę i odwagę — tam myślałem wtajemniczałem się w świat rzeczywiście górski. Były to mniej, niż Pigmeje obok Tatrów — a ja wśród nich czułem się już innym. Nic tak nie wyzwalalo, nie podnosiło mojej wyobraźni, jak choćby tylko myślenie o górach. Z niecierpliwością czekam dnia, który mię skieruje ku Tatom.

TARNÓW — WOJNICZ I OKOLICA.

10 kwietnia 1832.

Lada dzień opuszczę Tarnowskie i zapewne na długo. — Nie spodziewam się równie, choćbym powrócił, przepędzić tutaj tyle czasu, ile go już przepędziłem — dlatego te kilka słów o niem.

Miejsce to zowie się od dawna Tarnowskiem, dziś dlatego, że jest częścią obwodu tarnowskiego, czyli cyrkułu, dawniej, że stanowiło część majątności, objętych ogólną nazwą hrabstwa tarnowskiego. Tarnów był stolicą hrabstwa i główną włością sławnej kiedyś rodziny Tarnowskich; hrabstwo tarnowskie przeszło różnemi kolejami do rodziny Sanguszków, w których ręku pozostaje obecnie.

Tarnów należy do liczby porządniejszych miast w Galicyi, a celuje między miastami obwodowemi nawet w zachodniej Galicyi. Leży ono w położeniu korzystnem, bo na najgłówniejszym galicyjskim gościńcu. Przepływa pod niem Biała, która też wkrótce do Dunajcu wpada. Położony na lekkiej wyniosłości, Tarnów ma pozór dosyć we-

soły. Oprócz urzędów i władz, przywiązanych do każdego miasta obwodowego, jest tu jeszcze biskup łańciski. Zre-sztą niema nic, coby zasługiwało na szczególniejszą wzmiankę, oprócz kościoła katedralnego, gdzie jest kilka grobów, mających wartość historyczną. Pod tym względem najlepszy opis Tarnowa wyszedł pracą księdza Ba-lickiego, proboszcza z Lisiej Góry.

Tarnów od góry Ś. Marcina ozdobiony jest pałacem książąt Sanguszków i dosyć obszernym ogrodem. Całe to miejsce nazywa się Gumniska.

O mało nie ubliżyłem Tarnowu ważnem przepomnie-niem. Tarnów jest ojczyzną i mieszkaniem głośnego tu wyrabiacza fajek drewnianych, Kopla. Jego fajki, zwane „koplówki,“ zasługują w istocie na głośność, jaką mają w sferze okolicznych fajczarzy. Zalecają się i materya-lem wyborym i robotą gustowną; w trwałości nie wy-równa im żadna inna fajka. Zapewniają mi o tem wia-rogodni i właściwi sędziowie w tej rzeczy. Co do innych przymiotów, ja nawet mogę świadczyć, bo sam posiadam dwie koplówki, umyślnie dla mnie robione. To mi dało sposobność poznać szanownego Kopla; człowiek to prosty, skromny, zdaje się nie wiedzieć, jak jest sławny. Handel jego obszerny, bo co roku kilkaset fajek zamawiają do Wiednia.

Na bliższe przypatrzenie się zasługuje okolica Tarnowa, zwłaszcza jej część, widziana z tej tu strony Dunajca, z doliny, na której leży Wojnicz. Widok ten jest już w rodzaju wyższym od powszedniego; nadewszystko po-ludniowa jej strona, górzysta, objawia na pierwszy rzut oka, że jest już rodziną Karpat; rodzina drobna wpraw-dzie — i tak się ma do pnia swojego, jak my do naszych ojców przedpotopowych.

Okazałe garby rozmaitego kształtu, ogromu i kierunku, to nawpół obwieszane lasami, to całkiem odziane ich czernią, to strojne smugami pól uprawnych, to obetkane gronami gęstych wiosek, poźłobione rozdołami, tem głębszemi, tem urwistszemi, im dalej ku Karpatom idą, obwie-dzione u podnóża kobiercami łąk świeżych i wstęgami potoków zmiennej barwy według chmurnego lub jasnego

nieba, igrających podczas pogody, jak sarna przyswojona, a przy pierwszym deszczu nabrzmiałych, wzburzonych, rzucających się, jak zwierz rozjuszony, jednym słowem: nieuglaskanych, dzikich, jak łono przyrody, która je poczyna — oto są pierwsze z tej strony wschody do gmachu, którego kopułą są Tatry, a wieżami Łomnica i Krywani.

Płaszczynna, która się od nich poczyna i rozwija ku Wiśle przez mil kilka, podnosi jednotonnością swoją rozmaitość podgórze, a odosobniona góra Św. Marcina, panująca z jednej strony nad Tarnowem i jego niskimi polami, z drugiej nad drobniejszym pasmem pobliskich wzgórzów, zda się stać na straży podgórze, zda się być jednym z szeregu kopców, odgraniczających dziedzinę gór od dolin.

Taki jest główny zarys okolicy, która przecina gościńiec, wiodący z Tarnowa ku Krakowu. Kierunek jego ze wschodu na zachód. Po lewej stronie panują wzgórza, prawą zalegają niziny. Droga, niska z początku, przechodzi pod Tarnowem kryty most na Białej, pomija brzezinę Koszycką i podnosi się nieznacznie przez pół mili, aż stanie na grzbiecie wzgórza wsi Zgłobic, skąd po raz pierwszy dają się widzieć podróznemu Tatry, odległe stąd o mil kilkanaście, a tuż pod nogami biały Dunajec i z drugiej jego strony dolina Wojnicka.

Miasteczko Wojnicz leży przy tymże gościńcu, o dwie mile od Tarnowa; małe, a jeszcze mniej porządne, jak wszystkie niemal miasteczka galicyjskie, wszakże bardzo dawne i historyczne. Autor dzieła: „Żywoty ŚŚ-ch Polskich“, które mam właśnie pod ręką, utrzymuje w życiu Bolesława Śmiałego, że żony niewierne mężom, których wojna ruska i rozpusta kijowska trzymały zbyt długo za domem, obawiając się kar za przenievierstwo małżeńskie, ogłoszonych i wymierzonych przez króla, okopały się w tem miejscu ze swojemi kochankami i zacięcie broniły się przeciwko oblegającym je siłom; zwalczono je nakoniec, a Bolesław na pamiątkę tej niezwykłej wojny założył miasto i Wojniczem je nazwał. Bądź co bądź, to pewna, że miejsce to było warownią; ślady tego zachowują się dotąd w okopach niezwyklej wysokości na po-

ludnie miasteczka, jak i w tem, że była kasztelania wojnicka.

Podanie powyższe o walce żon z mężami może się więcej odnosić — i w rzeczy samej lud je odnosi — do okopów, które leżą o pół godziny drogi od Wojnicza ku Dunajcowi, na wierzchołku góry, znacznie wyniesionej, która z tego powodu zowie się dziś według niektórych Babią górą, a powszechniej Panieńską. Później miał tam stać zamek, zbudowany przez królową Bonę i dany Firlejowi. Nie byłem jeszcze na tem zamczysku, ale mi powiadano, że okopy są nierównie przestronniejsze i wyższe od wojnickich.

ŚLÓWKO O LUDZIE TARNOWSKIM.

15 kwietnia 1832.

Mało bardzo mam sposobności zetknąć się bliżej z tutejszym ludem; stosunki moje z nim są bardzo ograniczone, wiadomości o nim zbyt ogólne, ale wyobrażenie prawdziwe.

Lud ten jest jedno z krakowskim. Znać to na pierwszy rzut oka. Budowa ciała, rysy twarzy okazują tę jednoplemiennność. Ten sam ubiór, tylko mniej strojny; ubóstwo widoczne. Błyska w nim także nieraz prawdziwa krakowska bystrość i żywość. Zaród na dnie duszy dobry, piękny; rzadkie przymioty w ukryciu, ale w ogólności rzadko objawia swoją pocziwą, dobrą stronę. Technienie jakiegoś zepsucia, obcego jemu, straszliwie przeciągnęło nad nim i dotknęło głębokiem skażeniem słowiańską jego istotę. Sam dzisiaj nie wie, czem jest; traci coraz więcej pamięć i wiedzę siebie, a kto to traci, temu trudno poznać się na swojej wartości moralnej i okazywać ją światu; wówczas wady, namiętności wystawiają się za dobre przymioty.

Uczucie godności własnej, cechujące Krakowiaka, w chłopie tarnowskim przeradza się w oburzającą zuchwałość, szczególnie w stosunkach z miejscową szlachtą, z dziedzicami. Miłość chrześcijańska gaśnie w nim zupełnie pod uczuciem nienawiści. Lada spór wywołuje zemstę; niewiele mu potrzeba, aby ogień podłożył pod gumno

swojego przeciwnika, co nazywa „zaświecić świeczkę komu“; ale jest-że to w szlachetnym charakterze naszego ludu? Nie jest-że to głębokim jego upadkiem? Nie lubię słuchać ich śpiewów, bo pod tym względem strona ta przypomina mi Ukrainę. Krakowiak śpiewa wiele — ale co za różnica w charakterze śpiewu! Tam cię śpiew rozrzewnia, podnosi, przywiązuje do ludu — a tu obraża, oburza, odstręcza. Nie znajdziesz w nim uczuć delikatnych, wyższych, jak w śpiewie ukraińskim — tylko w natchnieniu żółć lub rozpusta, w wyrażeniach cynizm obrzydły, tem smutniejszy, że muzyka prawie zawsze skoczna, wesola, że człowiek bawi się obrzydliwością, podoba sobie w niej. Znam, prawda, kozaki podobnego ducha, ale wiadomo, że one po największej części są własnością teorbantów, echem zepsucia dworskiego, nie są powszechne między ludem; krakowiaki Tarnowian są dziełem ludu, i nie podobna, żeby kiedyś nie odpokutował za to.

Smutny widok! Biedny lud! Tem biedniejszy, że niema ręki, coby się ofiarowała z prawdziwej miłości pomódz mu, wejść napowrót w ten karb chrześcijański, który sam jedynie jest uczciwością, oświatą, prawem najwyższem, a następnie szczęściem i zbawieniem ludu chrześcijańskiego. Uchowaj Boże, abym utrzymywał, że ta czarna zasłona leży na całym ogóle tutejszego ludu. Nie! Są wyjątki i wsie całe i w każdej wsi pojedyncze osoby, którzy wiążą tę część z całością plemienia, obecność jego z przeszłością, są wierni odwiecznemu duchowi słowiańskiemu — ale że dlatego jest bardzo rozszerzone, bardzo widoczne.

Głównem zatrudnieniem i utrzymaniem mieszkańców tej stolicy jest rolnictwo. Ziemia w ogólności urodzajna, a niektóre miejsca, zwłaszcza na równinie około Wojnicza, przybliżają się do najżyźniejszych pól sandomierskich. Lud ten mógłby stanąć prędko w dobrym bycie, ale ma do tego wiele przeszkód zewnątrz i wewnątrz siebie. Najgłówniejsza wewnętrzna jest opieszałość, próżniactwo, a druga po niej skłonność do pijaństwa.

Co potrzeba im przyznać — to wysoką zdolność do koni. Zręczność ich w prowadzeniu koni, w powożeniu, jest istotnie rzadka. W tem celują, są prawdziwemi Krakowiakami. Lubią konie i mają ich dosyć, to też furma-

nowanie i przewożenie towarów jest jedną z gałęzi ich zarobkowania.

Kobiety, jak w ogólności Krakowianki, są powabne żywością, są hoże, a często niepospolicie ładne. Ale ubóstwo znać w ich ubiorze jeszcze więcej, jak w ubiorze mężczyzn.

Rozwolnienie obyczajów mniej tu widoczne, jak na Rusi; po wielkiej części stąd, że kobiety są zimniejsze, mają mniej uczucia, jak Rusinki. Zepsucie jednak i pod tym względem jest niemałe, a najwięcej przyczyniają się do tego wojskowi.

O szlachcie tutejszej mniej jeszcze mam do powiedzenia, jak o chłopach. I tu także zostało niewiele śladów dawnego dobrego, a nowonabyte nie wiedzieć do czego podobne. Chciałbym powiedzieć o wszystkich, co mógłbym powiedzieć o niektórych, znanych mi bliżej, ale nie mogę, bo albo ich wcale nie znam, albo znam z próbek bardzo niekorzystnych. Zdarzyło mi się kilka razy spotkać niektórych w oberży w Tarnowie. Myny wprawdzie zawiesiste, hałasu wiele, ale we mnie, patrząc na to wszystko, obudzał się tylko żal wewnętrzny. Myślałem sobie: Mój Boże, niedość nam widać przysłowia „mądry po szkodzie“ — zarabiamy sobie na nowe: „waleczny po bitwie.“

Nadto Tarnów zrobił sobie smutną głośność z szulerki. Prawda, że niedawno nazbierali tyle laurów, że mają na co grać i co przegrywać, ale i w tem powinna być pewna miara.

Tarnowskie słynie obfitością szlachty drobniejszej; nie zbywa jednak i na magnatach. Jednego wieczora tej zimy, aby się mróz przesilił, liczono zamiast lysych, jak się to robi zwyczajnie, hrabiów i baronów w Tarnowskiem, i naliczyliśmy ich trzydziestu kilku na same Tarnowskie; kobiety — ma się rozumieć — i dzieci nie wchodziły w rachunek.

NA GÓRZE PANIEŃSKIEJ.

20 kwietnia 1832.

Niebo pogodne, ziemia wyjaśniona, na odległych okolicach tylko mgła oddalenia — zgoła poranek, rzadki w tej

porze roku. Taki był poranek, kiedy wstępowałem na górę Paniańską. Wchodziłem od strony wschodniej, od Dunajca.

Płaszczyzna niska, zamknięta pasmami wzgórzów, między którymi Dunajec się przerywa, zdaje się być jego dziełem w czasach zapewne bardzo oddalonych, i można łatwo wierzyć powieściom, że kiedyś koryto tej rzeki ocierało się o podstawę Paniańskiej góry. Sama góra podnosi się ze trzech stron od razu nad płaszczyznę, tylko od strony zachodniej przesmyk wyżyny spaja ją z pasmami innych wzgórzów, rozbiegających się później w różne strony. Boki góry zasiane do pewnej wysokości krzakami jałowcu; gdzieś tam ustępy niekształtnych dolin — na jednej z nich, w stronie wschodniej, bliżej szczytu, niż spodu, źródło najczystszej, najświeższej wody — od południa kilka chat, niemal ukrytych zupełnie w wyżłobieniu doliny, a dopiero wyżej prostopadle prawie ściany okopu, który otacza szczyt góry. Okrążywszy północnym bokiem spód okopów, wszedłem na grzbiet góry stroną zachodnią i drożyną, usypaną przez fosę, znalazłem się wśród wałów.

Pierwszy pokłon obecności, która się rozwija w okólnej przyrodzie. Po wiele razy musiałem przeprowadzić oko po wszystkich stronach, aby je oswoić z przepychem ogółu i pojąć w takim tłumie szczegółów, na takiej przestrzeni.

Na południe miałem biały Dunajec. Pręga jego, rozjaśniona podnoszącem się słońcem, czysta i szeroka, wypłynąwszy z pomiędzy wyżyn, które południową część widnokreślu zamykały, błąkała się okazałe między górami — a w dwóch, równoległych prawie rzędach podnosiły się wzgórza z obu stron doliny i odbijały na skrętach pęd niesfornej wody, dopóki ta, znużona bezskutecznem usiłowaniem, nie rzuci się na dolinę Wojnicką, na nieobejrzaną płaszczyznę, gdzie w swobodnym już biegu dochodzi aż do swojego połączenia się z Wisłą. Kilka wiosek, liczne załomy wzgórzów i pola, lysiejące wśród lasów, urozmaicały południową część krajobrazu — a dalej, daleko, nad wodą, doliny i piętrzące się w kilka stopni wzgórza panował widok Tatrów, jak korona okolicy, ukuta ze srebra

śniegów i mrocznej barwy opok, które przez odległość wydawały się mgłą w pół przejrzystego obłoku.

Zupełnie różny a nierównie rozleglejszy widok leżał od północy. Z tej strony oczy mordują się po płaszczyznach w całym znaczeniu tego wyrazu. Aby mieć jakiegokolwiek pojęcie tego obrazu, potrzeba sobie przedstawić powierzchnią kilkunasto-milowej równiny, której wyniosłości, jeżeli są jakie, nikt dla oka z punktu, na którym stałem — powierzchnią, ustrojoną najrozmaiciej w drzewa, wody, pola, wsie, we wszystko, co przyroda dzika i przyswojona, śmiejąca się i zachmurzona dostarczyć mogą.

Począwszy od Panieńskiej góry (w kierunku jednego tylko promienia z mego stanowiska), przy której stopach Wielka Wieś tuż leży, nieustannie rozwijają się oku, idącemu naprzód, wieńce, splecione z najrozmaitszych przedmiotów coraz obszerniejszym łukiem. Bliżej, między rozległymi polami, między gromadą gęstych, obsadzonych sadami wiosek, uderza cię przyjemnie Wojnicz białym kościołem i gronem miejskich domów — dalej, jak gaj nadwodny, przytykają do Dunajca Mikołajowice — w dalszem jeszcze paśmie wiosek śnieżne płatki kościoła Wierchostawic i chat wiejskich — jeszcze dalej, na prawo i lewo, puszcza Niepołomska, mury Radłowa, zaledwo dojrzone, nadwiślańskie piaski, Dunajec, rozpleciony w kilka jasnych — a za tem wszystkiem ciemna, mglista zasłona krain zawiślańskich, gór i borów Świętokrzyskich. Przydaj do tego po prawej i lewej twojej ręce rząd wzgórz, to łąsych, to wsiami osiadłych, to lasami najeżonych, z piersiami to zielonemi i okrągłemi, to ściętymi prostopadłe — przydaj Dunajec, odzwierciadlający te wzgórza, przydaj most na Dunajcu, przydaj wielki gościniec, przecinający podstopową dolinę, ożywiony snującym się ciągle rojem podróżnych i białych bryk kupieckich — a masz w głównych zarysach widok z Panieńskiej góry.

Trudno schwyć ten widok — jeszcze trudniej te myśli, które się zbudziły w tej chwili, podniosły się rojem i zaćmiły mi wszystko. Widok, to miejsce podania, na którym stoję, zbieg wypadków publicznych i osobistych dla mnie, przeszłość, obecność i przyszłość zmieszały się wichrem w mojej duszy. Bez wiedzy zrobiłem kilka kroków na-

przód — traciłem nogą krzak jałowcu. Pierzchnęła spłoszona liszka — opamiętałem się. Wzburzenie wewnętrzne cichło powoli przed chęcią znalezienia gniazdka jednej ptaszynki; przykląkłem, zgziotłem fiolek — obwionęła mnie woń jego. Położyłem się przy nim; spadziłość okopu była mojem wezglowiem, białe kwiatki poziomek i błękitne pęki fiołków wieńczyły posłanie z pierwszych wiosennych trawek, okrąg wału zamykał widokres kilkuset kroków, w górze tylko niebo z wędrownymi chmurami, a na ziemi dokoła drobny gruz gmachów, stawianych, Bóg wie, kiedy i jak, wspaniałych; ocieniały je gdzieniegdzie krzaki jałowcu, osłaniały wieńce trawy, tego najmilszego dziecka przyrody żyjącej, tej ostatniej dziedziczki najokazalszych dzieł ludzkich, najwierniejszej przyjaciółki ich rozwalin.

Po jałowcu czasem wiatr gwiznął, za wałem słabo porbrzękiwał dzwonek trzody, rozsypanej po stoku góry, z dalsza i słabiej jeszcze dolatywał z doliny głos oracza za pługiem — a wszystko zlewało się w atmosferę woni i muzyki tajemniczzej, złożonej z półciszy, z półbrzęku, jedynej muzyki, godnej być melodyą najgłębszych dumań samotnika.

Ośm wieków temu, pomyślałem sobie, jaki ruch, jaka wrzawa musiały klócić tę ciszę! Co za burza uczuć najślodszych i najokropniejszych grała tu przed ośmiu wiekami! Z jednej strony mężowie, zemstą rozjadli, z drugiej piękność, występna potrzebą kochania, wściekła rozpacz. Iluż-to pieszczot miłosnych, iluż-to scen morderczych to miejsce było świadkiem! Stękała ziemia śród walki, kruszyły się mury, wytłoczona trawa krwią krzepła, powietrze wrzało głosami wściekłości, wyciem bólów, jękami śmierci — a dziś i ziemia i kamień i powietrze tak głęboko milczą! Żadnego śladu ani życia, ani śmierci z owych czasów, żadnego śladu z owych czasów, gdzie serc tyle tak pełnem było życiem, gdzie tłum taki w rajskiem lub piekielnem uczuciu rozwijał moc duszy, co mu jedną chwilę na wieczność obiecywała zamienić! Tymczasem wszystko przeminęło. Głęboka przeszłość zaległa wszystko, jak puszcza nieprzejrzana, nieuchodzona, niezbadana — tylko ty, poświęcona góro, przetrwałaś i trwać będziesz, nieporuszona, jak pomnik zdarzenia, policzonego

dziś do wieści w półbajecznych, odnawiając z każdym nowem pokoleniem wianek podania niezwiędły na twojem czole! Tylko ty, ziemio, jesteś wieczną dziejów człowieka świątynią!... Jakaż czią religijną powinniśmy cię otaczać!...

Marzenia moje coraz się bardziej zasepiały, a kiedyś je chciał rozjaśnić rzutem oka na okolicę, dzień wiosenny zmienił się, niebo, pogodne przed chwilą, okryło się chmurami, mgła gruba zalała dolinę i zasłoniła przed okiem najbliższe nawet przedmioty. Rad nierad musiałem zejść ku domowi, zerwawszy kilka fiołków na pamiątkę odwiedzin Panieńskiej góry i wzruszeń, jakich na niej doznałem.

ŚMIGUS. — DYABEŁ ISKRZYCKI. — POWIEŚĆ.

23. kwietnia 1832.

Dzień dzisiejszy, drugi wielkanocnego święta, obchodzą tu zabawą, zwaną „śmigus“, znajomą na Ukrainie, a podobno i w innych częściach naszego kraju. Jest to obławanie się wodą chłopców przez dziewczęta, dziewcząt przez chłopców. Najpodobniejsze do prawdy, że tym sposobem przechowuje się pamiątka pierwszego chrztu Polaków, który właśnie około tego czasu (w marcu) miał miejsce za Mieczysława I. Coby znaczyło nazwisko „śmigus“, nie mogę się dowiedzieć. W tym dniu są także maski. Widziałem je, bo przyszły do dworu. Jeden parobek przebrany był za niedźwiedzia, drugi za Cygana, i wyprawiali sztuki, jakie u nas często widzieć dają Cygani, wędrujący z niedźwiedziami — poczem prosili przytomnych o śmigus, to jest o pieniądze na wódkę.

Zalilem się już na trudność zbliżenia się do tego ludu. Stąd mój zapas głębszej jego znajomości jest bardzo szczupły; udzielam jednak i tę trochę, co mi się dotąd udało schwycić.

Lud ten ma także właściwe sobie życie umysłowe, swoją poezję, swoją muzykę, spólną zresztą Krakowiakom, ma równie tajemniczą stronę wiedzy i pełno mniemań, wierzeń, zabobonów, a następnie powiastek, które stąd płyną.

Nie jest on wolny od czarownic. Niedawno na Zawodziu, folwarku, należącym do wsi Szczepanowic, a w pobliżu Wojnicza, czarownica zasiała jeden zagon sołą, a drugi pieprzem i sprowadziła przez to nawalny grad, który zrobił wiele szkody w okolicy.

Wieśniacy tutejsi mają pewien rodzaj poszanowania dla węzów. Zdarza się nieraz, że w czasie żniwnym chłop, składając snopy na wóz, wytrzęsie z nich węża. Tego węża za nic zabić nie pozwoli; pewny jest, że zabicie ściągnęłoby na jego gospodarstwo niebłogosławieństwo boże. Sądzę, że cześć jest jeszcze zabytkiem dawnej religii słowiańskiej, gdzie już nie w tem tylko jednym przebłyskiwała ta miłość bratnia dla stworzenia, którą Twórca chrześcijaństwa podniósł nad wszystko, jako źródło cnót wszystkich.

Z powiastek gminnych umieszczam jedną, która mi się bardzo podobała.

Pewien pan z okolic Tarnowa potrzebował ekonoma. Kiedy się tem kłopoce, przychodzi człowiek nieznamy: powiada, że się zowie Iskrzycki i że szuka miejsca. Właśnie takiego było potrzeba; staje więc umowa bez trudu, a nawet podpisuje się kontrakt. Już go pan wręcza Iskrzyckiemu, kiedy postrzega, że jego przyszły ekonom ma pazury wcale nie ludzkie. Zmieszany zrazu, wahający się przez chwilę, co począć, zbiera wkońcu siły i zrywa całą umowę. Ale Iskrzycki ani chce słuchać; obstaje przy umowie, przysięga, że, raz podpisawszy kontrakt, musi pełnić, do czego się zobowiązał, póki nie wysłuży czasu umówionego, poczem wychodzi i znika z oczu. Ale obiera sobie mieszkanie w jednym z pieców domu i stamtąd pełni swoją służbę jak najgorliwiej na każde zawołanie, tylko, że go nikt nie widzi. Państwo z początku bali się — powoli tak przywykli do Iskrzyckiego, tak się przekonali o jego przychylności, że, wyjeżdżając z domu, oddawali mu dzieci swoje w dozór. Ale sąsiedzi oburzali się na to posługiwanie się dyablem i głośno szemrali. Zaniepokoiły te mowy najbardziej samą panią; zaczęła ona ze swojej strony kłopotać męża. Po długim wreszcie nastawaniu wymogła na nim, ażeby na jakiś czas opuścić to mieszkanie. Wskutku tego postanowienia wzięto dzierżawę

gdzieś za Wisłą i wyruszono ku niej. Otóż są już w podróży, radzi, że dyabła sztuką podeszli. Niestety, wypadło przebywać drogę tak złą w jednym miejscu, że się powóz przechylił, a pani w przestachu krzyknęła. Aż tu odzywa się za powozem: „Nie bój się pani! Iskrzycki z wami“. Państwo zdumieni się a razem poznali, że nie było sposobu uwolnić się od sługi, tyle wiernego; zawrócili więc do domu i żyli z nim w dawnej zgodzie, dopóki nie nadszedł termin, oznaczony kontraktem. Po tym czasie Iskrzycki opuścił dom na zawsze.

Inne podanie jest w duchu czystiej religijnym. Stało się to przed dawnymi laty we wsi Głębokiej, w obwodzie jasielskim. Pewien chłop chciał sobie podjeść przed nabożeństwem, a był to dzień święty Bożego Ciała. Bierze więc chleb, który, według zwyczaju naszego ludu, leży zawsze na stole nakrytym, i zaczyna krajać; zaledwo odkroił, postrzega, że tak część odkrojona, jak i cały chleb zamieniły się w kamień. Chleb ten przechowują dotąd potomkowie tego chłopca jako pamiątkę religijną i przepis dotykalny, aby dzień święty święcić.

W tych czasach zaszło tu zdarzenie, w którym dla wielu znajdzie się ciekawa nowość. Rozeszła się wieść, że rząd ma wybrać pewną liczbę dziewczek i wyprawić je do Ameryki do jakichś osad. Wieść ta znalazła powszechną prawie wiarę i nawet strwożyła ludność wiejską. Cóż się wkońcu pokazało? Oto, że ją puścili spiżownicy, którzy w jednej z tutejszych okolic dzwon wylewali, w tem rozumieniu, że dzwon będzie tem głośniejszy, im lepiej rozejdzie się wieść fałszywa, puszczonej podczas jego lania.

Lud tarnowski ma jeszcze swoje przepowiednie pogody lub niepogody. Między innemi — pewny jest suchego lata, kiedy deszcz pada na S. Wojciech.

DROGA DO NOWEGO TARGU.

LUSŁAWICE — ZAKLICZYN.

28 kwietnia 1832.

Puszczam się na koniec ku Tatrom. Za dwa dni ujrzę je z bliska, będę już jakby między nimi. Wielka to dla mnie radość! Pożegnanie w Mikołajowicach było długie; wyjechaliśmy późno, nadto ciągle deszcz pada, progiby rozmokły — niedaleko dziś zajedziemy. Ale trzeba raz wyjechać — wyjeżdżamy. Przebywamy Wojnicz, okrażamy Panieńską górę, przewożymy się u jej stóp przez Dunajec, pomijamy wieś Janowice, jesteśmy w Lusławicach. Tu zatrzymam przynajmniej uwagę.

Lusławice, wioska dziś nie wielka, miała być znaczną osadą przed laty. Święcki w opisie starożytnej Polski powiada, że miejsce to było jakiś czas stolicą Aryanów i liczyło do trzystu rodzin aryańskich. Aryanie mieli tu swoje szkoły i drukarnię. W Lusławicach umarł i pogrzebiony jest sławny Socyn, twórca sekty Socynianów. Dotąd lud miejscowy pokazuje wysoką jego mogiłę, porosłą dzisiaj ogromnymi drzewami.

Zmierzało się już, kiedyśmy opuszczali Lusławice i znaleźli się w Zakliczynie, który dotyka prawie Lusławic. Nie pędzeni niczem, a moczeni deszczem, umyśliśmy przenocować w Zakliczynie, zrobiwszy dzisiaj dwie lekkie mile drogi.

Zakliczyn jest podobno miasteczkiem. To pewna, że pełny błota, niepospolicie głębokiego, przynajmniej dzisiaj. Nie można mu mieć tego za złe, bo leży na niskiej płaszczyźnie i rozszony jest mnóstwem strumyków czy rynsztoków — nie wiem dobrze. Słynie także szewstwem, mniej, jak dawniej, ale zawsze słynie. Było ono głównem

zatrudnieniem, jak i dziś jest, mieszkańców Zakliczyna; tylko, że dawniej była większa ludność. Powiadają, że w owych czasach Zakliczyn zaopatrywał skórami i obuwem najdalsze strony Galicyi. Główne jarmarki tutejszych szewców były w Brzesku, do którego stąd przez góry za Dunajcem przeprować się trzeba. Pośpiech, z jakim zdążali do owego miasteczka, leżącego stąd o mil cztery, miał zrodzić przysłowie: „Śpieszy się, jak szewc z Zakliczyna“. Upodobanie w tem rzemiośle zachowuje się dotąd między mieszkańcami Zakliczyna. Według niektórych ma tu być do 400 rodzin, trudniących się szewstwem, ale sędzę, że ta liczba jest przesadzona, zważając obszerność Zakliczyna.

Okolica jego niczem się nie odznacza. Dopiero przeciwny brzeg Dunajca daje mu piękny widok wyniosłem swoim położeniem, a nadewszystko gruzami po sławnym zamku Melsztyńskim. Śród deszczu i zmierzchu zajrzałem go dzisiaj z naszej drogi.

BRUŚNIK — PALEŚNICA — SĄCZ NOWY I STARY. — KASPEREK.

29 kwietnia.

Dzień pogodny i wcale ładny. Ale, nim rozpocznę dalszy opis drogi naszej prostej, powiem słów kilka z powodu wsi Bruśnika, gdzieśmy dziś na chwil kilka zбочyli. Leży on o trzy mile na wschód Lusławic. Oto jest, co mi jego właściciel opowiadał; zapisuję tę powieść dla jej związku z dziejami Aryanów.

Na polach Bruśnika znajduje się pieczara znacznej długości. Służyła ona Aryanom podczas ich prześladowania w Polsce do tajemnych schadzek. Wehód jej zawalony dziś kamieniami, ale przed laty kilkunastą można było jeszcze zwiedzać jej wnętrze. Ma ono być starannie urządzone sztuką ludzką; schody były wygodne i nie naruszone. Dziś mniemanie ludu złożyło w niej niezmierne skarby, których czarci strzegą. Na dowód, że tak jest, przywodzą opowieść o kulawym ślusarzu z Bruśnika, który niedawno umarł. Dowiedział się on, nie wiadomo,

jakim sposobem, że czarci w pewne święta rozehodzą się na jutrznię i zostawiają pieczarę bez żadnej straży. Korzystając z tego, a pragnąc pieniędzy, udał się do pieczary w porze przyjaznej, znalazł w samej rzeczy, jak żądał, nabrał pieniędzy, ile mu się podobało, i szczęśliwie wrócił do domu. Ta wyprawa zachęciła do drugiej i więcej. Zawsze mu się udawało. Raz, chwyciwszy nad zwyczaj, zabawił się rabunkiem dłużej, niż wypadalo. Wtem czarci nadbiegają i łapią go na gorącym uczynku. Nie dał się schwytać, to prawda — uśpieszył wymknąć się za drzwi, ale, kiedy dla większego bezpieczeństwa chciał je zamknąć za sobą, zatrzasł z takim pośpiechem, że mu piętę ucięły, od czego do śmierci już chromał.

Teraz wracam do naszej podróży.

Od Zakliczyna popod klasztor Bernardynów zwraca się droga na wieś Paleśnicę, między wysokie wzgórza. Ta część drogi nie jest przyjemna. Głęboki wąwóz, koryto potoku Paleśnicy, które trzeba kilkadziesiąt razy przekroczyć; wzgórza, po obu stronach jednotonne i niebujnym lasem porośłe, wieś Paleśnica, długa, nieporządna — oto są przedmioty całomilowej podróży. Ale jest to droga, jak każda, wiedąca do miejsc błogosławionych. Zaledwo bowiem opuści się Paleśnicę, wnet wjeżdżasz na szeroki, bity gościniec pomiędzy pięknym jodłowym lasem. Nie zdejmujecie on z siebie trudów od razu, bo idzie przykro i długo pod górę, ale zato wyprowadza cię na szczyt Posadowej, skąd ci okazuje na ogromnej przestrzeni najwdzięczniejszy kraj i wygodnym szlakiem spuszcza się ku niemu.

Tu się już zaczynają położenia, nacechowane urokiem, który górom tylko jest właściwy. Rozległe lasy z drzew wszelkiego rodzaju, pomiędzy nimi przegładające gdzieś niegdzie skały, wzgórza, tu położyste i jakby splecione jedne z drugimi, tam wznoszące się pojedynczo i stromo, jak piramidy, towarzyszą podróżnemu aż na równię, gdzie go znowu wita Dunajec, pożegnany przy Melsztynie. Ulubione to dziecię Tatrów już nieprędko spuści nas z oka.

Wkrótce mijamy miasteczko Zbyszyce. Jeszcze para przykrych, długich gór — i oto widzimy się nad rozległą,

śliczną doliną Sandecką. Trzy rzeki ją przeplatają: Dunajec, Poprad i Kamienica. Pośrodku doliny, osadzony w zbiegu tych rzek Nowy Sącz błyszczy niemi, jak wieńiec rozpuszczonemi wstęgami... Chciałbym opisać tę dolinę, ale w tej chwili jest to nad moje siły.

Nie podobna wyliczyć wiossek, co ją zaludniają; nie podobna ująć w wyrazy uroczego, tysiąckształtnego poplecenia dolin, gór, lasów, które składają czarodziejski jej okrąg. Od południa mianowicie wzgórze utworzyły majestatyczną budowę. Rosną one stopniami do kilku pięter, a każde krocie stóp liczy — a każde piętro, a każdy parów zdaje się wabić do siebie: „Macie tu drabinę z pól, z lasów, macie tu nizkie, tajemne uliczki; temi uliczkami, po tej drabinie — do nich, do Tatrów!“ One tak wzywają, a Tatry, szczyt ich szczytów, zasłaniają się chmurami i odsłaniają, jak owe w dawnych wiekach czarodziejki, igrające ze swojemi kochankami. Pod takim urokiem przebiegłem dolinę i dościsnąłem Nowego Sącza.

To miasto, stolica dzisiaj obwodu tegoż nazwiska, leży na wysokim brzegu Dunajca, oblane z drugiej strony Kamienicą. Dawniej otoczone było murem i okopem, których ślady dotąd jeszcze trwają. Zamek, od Szwedów nadburzony, wali się częściami w podrywający jego posadę Dunajec. Nowy Sącz można liczyć jeżeli nie do największych, to do najporządniejszych miast w Galicyi.

O milę od niego leży Stary Sącz, „starem miastem“ tu zwany. Droga między niemi równa i wyborna. Na ścianach lazaretu wojskowego, który stoi blisko Popradu, oznaczono wysokość, do jakiej pamiętna powódź 1813 roku zalewała tę dolinę.

Stare miasto słynie klasztorem Panien Franciszkanek, założonym od żony Bolesława Wstydliwego, Świętej Kunegundy, gdzie też księżna ta przepędziła ostatnie lata swojego życia i umarła. Zakonnice chowają dotąd jej zasłonę i obraz, przed którym się modlić zwykła była. W czasie odpustów rozdają nabożnym po kawalku z tej zasłony, ale skutkiem cudu nigdy zasłony nie ubywa; obraz ma tę własność, że odzież, otarta oń, niszczy choroby i zabezpiecza od nich.

Między ludem tutejszym przechowuje się piękna powieść

o Kasperku. Kasperek był jednym z mieszczan i kupców Starego Sącza. Pewnego razu kupił on na Węgrzech wino, ale Węgier przez omyłkę między beczkami wina wydał mu beczkę z pieniędzmi. Poznawszy omyłkę, żądał od Kasperka zwrotu tej beczki; Kasperek się zaparł — Węgier zrobił mu proces i pociągnął do przysięgi. Kasperek przysiągł tą rotą: „Jeżeli nie mówię prawdy, niech mię nie przyjmie po śmierci ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani piekło, ani niebo.“ Wkrótce umarł, ale nie było sposobu go pochować: zakopany w ziemię, nazajutrz leżał na wierzchu; wrzucony w ogień, nie gorzał; zatopiony, wypływał na brzeg — a zarazem włóczył się przez całe noce na białym koniu po ulicach miasta. Nikomu nic złego nie robił; był nawet tak powolny, że przez okno zasierał, kiedy go zawołano po imieniu — tylko wiecznie milczał. Dopiero pewnej czarownicy udało się go zwabić i zaspokoić pogrzebem nowego rodzaju. Oto powiesiła go na włosku; w tej więc postawie usechłszy i w proch się rozsypany, zakończył swoją nocną jazdę.

JAZOWSKO. — ŁACKO. — POGRANICZE GÓRALI
BIAŁYCH I CZARNYCH. — KROŚCIENKO. — PIE-
NINY. — CZORSZTYN.

30 kwietnia 1832.

Przez dobrą jeszcze milę jedzie się ze Starego Sącza doliną Sandecką pomiędzy osadami niemieckimi, po drodze wygodnej; tam dopiero przeprawa przez Dunajec rozdziela z żyznemi sandeckimi polami i widokami równin, a wieś Jazowsko jest już jednym z punktów tej linii, która oddziela siedziby właściwych górali od mieszkańców płaszczyzn. Mieszkańcy też z za Jazowska zowią cały kraj, aż po tę linię, Polską. I w rzeczy samej od Jazowska wszystko się zmienia: inna postać ziemi, inny lud pod wszelkim względem. Dolina zwięża się w kręty, ciasny wąwóz — wzgórze coraz wyższe i przykrzejsze; bukowe lasy przemagają — owies najglówniejszym przedmiotem rolnictwa — ów Dunajec jasny, poważny dotąd, zaczyna się pienić, szumieć po dnie płytkiem i kamie-

nistem, jest ciągłym wodospadem, tem bystrzejszym im bardziej zbliżamy się ku jego początkowi; ogromne krągłe kamienie, które coroczna powódź nanosi i wyrzuca, zalegają jego brzegi.

Droga też nie bardzo wygodna, jakkolwiek nie szczędzą starań około dobrego jej utrzymania. Od samego Jazowska idzie ona wciąż nad Dunajcem, to zbiegając ku niemu, to pnąc się wyżej i coraz wyżej, wzdłuż prostopadłych prawie uboczy, które w języku góralskim zowią się „obłazy“. W Łącku jeszcze raz podróżny odpoczywa na miłym ustępie obszernej dosyć równiny, ale tam przygotować się potrzeba do trzechmillowej podróży po górach i głębiach naprzemian; przeprawę tę możnaby porównać z kołysaniem się okrętu na wzburzonym morzu. Mimo to miłośnik przyrody nie może tu doznać nudów i mimowolnie zapomina przykrości niewygodnej jazdy. Wieczny szum Dunajca, bielącego się pianami w zielonawem korycie, podniebne z każdej strony wzgórze, rozpuszczające aż do stóp samych płaszcze z lasów, po największej części brzożowych i bukowych, przepaściste ich szpary, skąd biją głośnie potoki, nagie ogromy głazów, wychylające się z zieleni polan i borów albo siedzące tuż przy drodze z pochylonemi nad nią głowami, siedziby góralców, to długim rzędem pilnujące rodzinnej wody, to pojedynczo ukryte i ledwo dojrzane w gęstym lesie, pod wytoczoną górą, na swojej dolinie, przy swoim potoczku wiążą się co krok, co skręt drogi, dla urozmaicenia widoku podróżnego.

Przydajmy przewiew górskiego powietrza, rozprószone dokola trzody, donośne ich dzwonki, śpiewy i flety pasterskie, górala, snującego się lekko po miejscach, ledwo przystępnych i dojrzanych, w jego kusej guni, w kapelusiku okrągłym, ozdobionym świeżą gałązką — a doznane wrażenie będzie snem przepowiednim uczuć, które nie bawnie w całej zupełności się rozwina. W takiej okolicy leżą Kamienica, Ochotnica i Tylmanowa, zamieszkałe przez górali, zwących się „białymi,“ dla różnicy od górali „czarnych,“ którzy się gnieżdżą w głębszych już górach.

Dzień pogodny dogrzewał, ale między górami przeciągał wiatr ostry; śniegi nocne leżały na wznioślejszych

szczytach; dolna połowa zieleń się trawą i pękającymi drzewy, wyższą rumieniły płożące buki. Nagle ukazało się Krościenko. Mała dolinka, jak żeby góry tyle tylko się rozstąpiły, aby zrobić miejsce tej osadzie, rozwija się przed nią. Olbrzymie Pieniny, ze skał, poprzerastanych lasami, nagle się podniosły, a ściśnione domy Krościenka i kościółek jego o czarnym dachu, przyparte do podnóża Pienin, wydawały się, jak dzieło malarskiego pędzla, na zielonem tle lasów. Dunajec wychodzi tu od południa i oblewa zachodnią stronę Pienin i Krościenka. Pasma nagich wzgórzów po tamtej stronie Dunajca obfituje w kwaśne mineralne źródła. Szczawnice, o milę stąd odległe, z dawna już słyną; źródło wody krościańskiej zaczyna być dopiero uczęszczane. Do przeciwnej strony Pienin przytyka granica węgierska, łożem Dunajca odkreślona.

Pieniny są najwyższe w paśmie przedgórnem Tatrów; ozdabia je nadto urok spomnień dziejowych. Na ich to warownym szczycie wznosił się ów zamek, w gruzy dzisiaj zamieniony, gdzie Bolesław Wstydlivy z Kunegundą znaleźli schronienie przed Tatarami. W ich skałach pokazują dotąd pieczary, długie do 200 stóp, które miały należeć do zamku i stanowić część podziemnej jego wycieczki.

Z Krościenka skręca się droga na zachód; do Czorszyna tylko mila, a Czorszyn strzeże wstępu do Nowotarskiej doliny.

Kto zbliżał się do miejsc, do istot najmilszych sobie, ten pojmie mój słodki niepokój, moją radość, że niebawnie ujrzę główny cel mojej podróży, owe Tatry!... Ale co nieprzyjemności przytem! Droga, jak na przekór, najgorsza w świecie: w połowie kamieniste koryto potoku, zupełnie, jak przez Poleśnicę, drugie pół wciąż pod górę. Nie wytrzymałem, zdrzymnąłem się. Zbudziło mię trącenie towarzysza podróży. Podnoszę rozdrzymane oczy, zwracam je za jego palcem.

— Otóż i Tatry! — rzekł.

— Tatry! — zawolałem w dziecinnem uniesieniu, w zdumieniu, w radości — Bóg wie, w jakich uczuciach.

Byłem już na wysokości zamku czorsztyńskiego i w rze-

czy samej miałem Tatry przed sobą w całej ich okazałości. Chociaż między mną a niemi leżał rzadki las świerkowy, ujrzałem je przecie wyraźnie. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego ich zjawienia się — nigdy już może później nie widziałem ich takimi; zgasło też przy tem wrażeniu wszystko, co doświadczałem na ich widok z miejsc oddaleńszych. Rażąca białość śniegu, pokrutowana w rozliczne wzory ciemnymi pręgami opok, pokrywała cały ten ogrom; nadzachodnie słońce cieniowało blado-rumianem światłem... Nie śmiem kończyć obrazu... Gdybym powiedział, że Tatry objawiły mi się w olbrzymiem, nieobejrzanem widzeniu za oblokami bengalskiego ognia, żem zajrzał w zwierciadło najczystszej nieba — i to jeszcze byłoby niedostateczne: tak uroczy był błękit, odziewający Tatry, taki był ich widok przez siatkę świerkowego lasu. I nie cały jeszcze ogrom widziałem; znaczną jego część zasłaniały leżące na drodze wzroku węgierskie przedgórza.

Powóz tymczasem szybko się toczył, las gęstniał, droga spuszczała się w dolinę; mój widok zakrył się górami bliższymi, przeminał, jak sen, ale wiem, że go odzyskam w dolinie. Pragnę jak najrychlej znaleźć się w dolinie. Tymczasem droga okrąża, niby z uszanowaniem, szczyt, uwienczony gruzami Czorsztyna, zbiega nad Dunajec, skręca się przy Dunajcu na zachód. Jestem wreszcie na dolinie Nowotarskiej. Tatrów jeszcze nie widać; zasłania je szereg skał, które, jak mur samorodny, podnoszą się na przeciwnym brzegu Dunajca: przegroda urocza, ale w tej chwili nieznośna dla mnie. Pragnę ją przeminać — przemijam nakoniec, ale w tejże chwili chmury białe, olbrzymie, przewalają się z wyższej Tatrów części, zapuszczają jakby zasłonę na cały ich ogrom, a mnie odejmują nawet nadzieję odzyskania go dzisiaj. Cóż robić!...

Szybko przebyliśmy Maniową, Harklową, wsi, leżące na naszej drodze, i w godzinę stanęliśmy w Łopusznej, przed domem dziedzica tej wsi, a towarzysza mego w tej podróży.

TATRY I PODHALE.

OGÓLNY POGLĄD NA TATRY.

1 maja 1862 z Łopusznej.

Dziś przecie miałem przed sobą Tatry w całej ich okazałości, w całym ogromie. Żaden obłoczek natrętny nie błakał się po nich. Deszcz calonocny obmył je znacznie ze śniegów; wyglądały, jakby eterem oblane. Wybraliśmy do tego stanowisko wzniosłe, na jednej z gór nade wsią, zwanej Wielka Góra. Napasłem dowoli oko tym widokiem, nowym dla mnie, a okazałem nad wszelki, jaki sobie wyobrażać mogłem; przebiegałem w całej swobodzie ten zdumiewający łańcuch wysokości, od gór, podpierających ogrom Łomnickiego szczytu, aż do miejsca, gdzie się zniża i całkiem przerywa, nad rzeką Wagiem.

Tatry są częścią Karpat, częścią najzachodniejszą. Jest to grupa gór najpiękniejszych między górami Karpaczkimi przez swoją wzniosłość i dzikość. Są one wszystkie prawie w wyższej części obnażone i pokryte lodami lub śniegami; tu znajdują się już lodowce, alpejskim podobne. Leżą one na pograniczu Węgier i Galicyi. Linia graniczna, prowadzona rzeką Białką od jej zbiegu z Dunajcem aż do wypływu z Morskiego Oka, okrąża Morskie Oko szczytami skał, później przecina je przez mil kilka w kierunku zachodnim, zwraca się potem na północ ku Babiej górze i, przeciąwszy jej wierzchołek, łamie się znowu na zachód. Przez owo odgraniczenie ta część Galicyi tworzy jakby odnogę, otoczoną z trzech stron Węgrami; jest ona całkiem w obwodzie sandeckim, a ze strony Węgier przypierają do niej: dawna ziemia spiska i obwody, czyli stolice: liptowska i orawska.

Linia Tatrów, jak jest widziana z okolic Nowego Targu,

ma kierunek od wschodu na zachód, ukośny cokolwiek ku północy od strony zachodu.

¶ Nie śmiem oznaczyć ze ścisłością rozmiarów jej długości i szerokości. Powiadano mi, że długość może wynosić do piętnastu mil, a szerokość największa około sześciu mil.

Najwyższą cześć Tatrów jest strona ich wschodnia; jest ona zarazem i najdziksza na całej szerokości, aż do płaszczyzn na przeciwnej stronie węgierskiej. Górują nad wszystkimi szczytami Łomnica czyli Krępak, wyniesiony nad powierzchnią morza 8000 z górą stóp, i Krywań, niższy od Łomnicy więcej, niż o stóp 1000.

Oba te szczyty pokazywano mi dzisiaj, wszakże, zdaniem innych, nie są one widziane z Galicyi, tylko ze wsi, zwanej Ząb Suchy, przyległej Kościelisku. Wszakże na to zgadzają się wszyscy, że się przedstawiają najpiękniej i najokazalej patrzącemu od Kezmarku na Węgrzech, bo z tej strony podnoszą się od razu z płaszczyzny, bez żadnych prawie przedgórzów. Z tamtej także strony jedynie można wejść na Łomnicę; wejście z innych stron niepodobne. Tamtą drogą następcą dzisiejszy tron cesarskiego w Austrii doszedł do samego wierzchołka, na pamiątkę czego postawiono krzyż na Łomnicy.

Oprócz tych dwóch szczytów, bielejących już wiecznym śniegiem i lodem, niepoliczona jest ilość szczytów mniejszych, między którymi znaczna liczba są lodowcami w całym znaczeniu tego wyrazu. Dostyc jest policzyć szczyty, które tworzą grzebień Tatrów, odrysowany na widnokregu, a dopieroż niższe od nich z tej strony, albo leżące na ziemi od Węgier!

Piszę, co mi powiadają, albo o czem z pierwszego wejścia sam sądzić mogę. Może w tem niema ścisłej prawdy, ale mam przekonanie, że niema także ważnego zбочenia od prawdy. Zresztą podają tylko to, co można mniej więcej sprawdzać samym wzrokiem.

Gewont, dzielący dolinę Zakopanego od Kościeliskiej, jest w łańcuchu przedniej straży Tatrów ostatnią z owych szczytów wyższych i nagich, odznaczających wschodnią ich połowę; jest punktem granicznym, od którego zaczyna się połowa druga, zachodnia. Szczyty tego

szeregu są już coraz niższe, aż do Wagu. Przebijają się jeszcze i tutaj nagie i śnieżne wierzchołki, ale tłem całości jest już barwa życia, wdzięk życia. Zaokrąglenia gór łagodniejsze, lasy świeże lub trawy bujne, przestronniejsze doliny, cichsze wody, umiarkowańsze powietrze. Tatry, uważane w tych dwóch połowicach, wydają mi się małżeńską parą, gdzie jedno obdarzone jest okazałością, siłą, niszczącą mocą, przymiotami dzikiego męża, a drugie jest niewiastą rodną, z całą jej łagodnością i ujmującym wdziękiem. Geografia miejscowa nadaje nawet nazwisko *Matry* tym górcom, co może nie jest tak dowolne i nowe, jakby się zdawało, skoro zważymy, że przed wiekami naznaczano tu miejsce tak zwanym *Babim* górcom.

Dalsze przeciągnięcie tego łańcucha pograniczem *Węgier* i *Moraw* ku *Austrii* zowią tu *Fatrami*. Nie widziałem ich dzisiaj z miejsca, z którego oglądałem Tatry.

Patrząc na Tatry, tak rozłożone przede mną, przeska kiwałem myślą ową przestrzeń kilkomiłową, która mię od nich dzieliła, i widziałem, jakbym był cały na miejscu. Te szczyty, tak ostre, że ledwo się na nich spojrze nie zaczepi, to są milowe może płaszczyzny; te garby rozsiadłe są najeżone krociami skał ostrych, niedostęp nych; te ciemne pęgi w różnych kierunkach, jak żyłki marmuru, to są wielomiłowe doliny, wąwozy, rozdoły, niezgłębiane parowy, przepaście, do których dalekie tylko spojrzenie dolecieć może — a między niemi świat, spojrze niu nawet niedostępny, myśli ludzkiej nawet nieznanym, świat osobny, różny od wszystkiego, co wiemy, świat zimny, zgrozy, martwoty, zamknięty kołem trudów i niebezpieczeństw nad wszelkie siły ludzkie, nad wszelką od wagę ludzką.

Nie tracę jednak nadziei dotknąć się bliżej tego wszystkiego, ale to tak prędko nastąpić nie może. Od połowy września, a nawet wcześniej, do większej połowy czerwca głębia Tatrów zasypana jest takimi śniegami, obwaro wana powietrzem tak zimnem, że najzapaleńszy kocha nek przyrody z całą swoją odwagą i wytrwałością mu siałby się od nich cofnąć, albo co chwila zagrożony jest śmiercią w otchłani śniegu pod lawinami, albo w obję ciach mrozu. A tymczasem dokoła mnie rozwija się pełna

wiosna; ciepło coraz mocniej dogrzewa. Dokoła pogoda, zieloność, kwiaty, szum wody swobodnej — u samego nawet podnóża lodowców ciemniejszą wzgórza, umajone puszciami świerków i zielonemi polanami.... Cóż stąd? Potrzeba czekać. Czekajmy!

PODHALE — WIEŚ ŁOPUSZNA.

3 maja 1832.

Ponieważ nie możemy puścić się dalej, obeznajmy się nasamprzód z tem, co nas najbliżej otacza.

Wieś Łopuszna leży na połowie prawie drogi między Czorsztynem i Nowym Targiem, nad brzegiem Dunajca; przebiega przez nią także potok, tegoż, co i wieś, nazwiska.

Wieś dosyć wielka, skupiona częścią największą ku Dunajcowi, w części rozsypana pojedynczemi chatami po górach, które się natychmiast ode wsi poczynają i rosną stopniami do niepospolitej wysokości. Góry te są na północ wsi i wchodzą do składu pasma, które osłania całą północną stronę Nowotarskiej doliny. Widok w tym kierunku zamknięty jest górami blizkimi i krótki w porównaniu do widoku na południe i zachód; na południe olbrzymie grono Tatrów, na zachód także góry, o wiele razy odleglejsze, niż Tatry, niższe od nich, ale uwieńczone wysokościami Babiej góry i Żywca.

Wieś Łopuszna jest własność obszerna; grunta jej w niektórych kierunkach rozciągają się do dwóch godzin drogi; w górnej części prześliczne lasy, odwieczne, pełne drzew wszelkiego rodzaju, mianowicie buków, jaworów i t. p. Między lasami liczne polany. Część dolna, płaszczyna naga, w części nieprzydatna na nic dla moczaru i torfów, a nawet miejsca, uprawiane z wielkim trudem, skąpo wracają nakład uprawy. Rolnictwo jest tu zatem rzeczą podrzędną, zysk z niego prawie żaden; najważniejszym jego przedmiotem owies i ziemniaki. To samo na całym Podhalu. Główny dochód dziedzica podobnej wioski jest wynajmowanie polan na wypas trzód, i pędzenie wódki. Właściciel Łopusznej ma także gorzelnię. Mimo tych wszystkich niedogodności, mimo ziemi nieurodzajnej, pań-

szczyzny malej, czynszów także nie wielkich, mimo podatków najuciążliwszych, można przy dobrym zarządzie i roztropnej oszczędności prowadzić życie wygodne a nawet składać kapitał. Moi gospodarstwo należą właśnie do tej liczby rządnych i dostatnich właścicieli. Życie domowe skromne, ale zaspakaja dostatecznie konieczne potrzeby człowieka; niema w niem zbytku, niema wykwinności, ale nie widzisz niedostatku, nie czujesz braku czegokolwiek.

Dom drewniany, w stylu rodzinnym wszystkich naszych szlacheckich, obszerny, porządnie i mocno postawiony, przyzdobiony krytym gankiem, jak wszystkie nasze ganki, a na ganku poboczne ławki do siedzenia, jak to wszędzie u nas widzimy, mieści wygodnie całą rodzinę, która oprócz gospodarstwa składa się z ojca samej pani T(etmajerowej), żyjącego jeszcze, trojga dzieci i krewnej panny.

Przed domem dziedziniec przestronny, mający po lewej ręce domu drugi domek mniejszy, czyli oficynkę, gdzie kuchnia i mieszkanie służących, z prawej osłoniony budowlami gospodarskimi.

Dom oceniają z przodu i boków piękne jesiony. W tyle domu ogród niewielki, ale dosyć starannie utrzymany; zdobi go nawet alea świerkowa, bardzo cienista, bardzo miła do przechadzki, zwłaszcza podczas upału. Tuż pod ogrodem bieżąca woda, a nieco opodal, w jednym z kątów ogrodu, rodzaj altany ogrodowej, pozioma, niewielka, o jednym pokoiku i sionkach, ale ustronna, samotna, bardzo dla mnie ponętna. Patrzy dla mnie jednym z swoich okienek na północne góry i ma niepospolicie ładny widok; patrzy więc nań ciągle, a razem słucha szumu niedalekiej wody, co się bystro przewala przez kamienie, które ją chcą zatrzymać. Ta chatka mnie jest oddana, w niej odtąd moja główna kwatery. Dziękuję moim gospodarzom; nie mogli mi w lepszy sposób okazać swojej dla mnie dobroci. Jestem z niej rad, jak zdobywca z nowo podbitego kraju, lepiej rad. Dobrze mi w niej, dlatego daję jej miejsce w tych zapiskach.

Ale ją opuszczę na chwilę, aby powitać jeszcze jedną budowę, której nie godzi się pominąć; jest to tutejszy

kościółek. Stoi on niedaleko dworu, nad samym Dunajcem. Niepozorny, niewielki, a należy do owych rzadkich pomników religijnych naszego kraju, które z powierzchowności gasną przy olbrzymach gotycyzmu, ale mieszczą w sobie więcej Ducha Ś go, jak większa część owych podziwianych gmachów: jest to tajemnica architektoniczna naszego ludu chrześcijańskiego. Kościółek ten jest jeszcze jeden z owych kościółków modrzewiowych, które sięgają swoim wiekiem pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce. A że należy do tej rodziny, świadczy rok 1240, wyżłobiony na jednej z jego belek. Ma on i organy; już je słyszałem.

Szkoda, że nie każdej niedzieli słyszeć je można, bo Łopuszna niema stałego proboszcza. A chciałbym częściej je słyszeć; tak błogie zrobiły na mnie wrażenie, tak rzewne, pośród nabożeństwa przy tym ołtarzu skromnym, gdzie przez tyle wieków powtarza się tajemnica Boskiej ofiary, wśród tych ścian wątych, a mocniejszych, niż budowa niejednego narodu — w atmosferze modlącego się ducha tego ludu, który kolaniem swoim odnawia odwieczne ślady pobożności naddziadów swoich i oddaje się Bóg, jak oni przed wiekami oddawali się w tem samym miejscu.

KONFEDERAT BARSKI.

8 maja 1832 r.

Do pomników historycznych a rzadkich, które tu znalazłem, należy ojciec pani T(etmajerowej). Jest to stary konfederat barski, tak już rzadki w tych czasach. Bardzo też rad jestem z jego poznania; jestem tem radniejszy, że znalazłem w nim człowieka, wyższego od innych z owego wieku. Posiada on dokładną znajomość kilku języków; ukształcenie jego jest niepospolite, jak na szlachcica domatora, a jeszcze w takim zakęcie, jak Podhale — a nadewszystko uderza mię sąd zdrowy o rzeczach sfery wyższej, wytrawiony do świadczeniu długiego i nieprzebranego życia. Starzec ten osmdziesięcioletni, wzrostu miernego, szczupły, zachowuje całą czerstwość władz umysłowych. Siły ciała od roku zaczynają go już opusz-

czać; jeszcze rok temu po całych dniach nie zsiadał z konia, trudnił się gospodarstwem. Dziś pozostała mu nienaruszona siła wewnętrzna i słodczy rzadka w pożyciu. Przez wzgląd na jego zdrowie nie śmiem mu być natrętnym, wszakże i tak dowiedziałem się wiele ciekawego o przeszłości.

Miał lat sześćnaście, kiedy zbiegł tajemnie z domu rodziców do obozu konfederatów, którzy właśnie w tych się stronach znajdowali. Nie długo wojował; ojciec go odszukał, wydobyl, zawiózł do domu i wychłostał; wkrótce także rozwiązała się i konfederacja. Później wziął czynny udział w powstaniu Kościuszki. Po upadku powstania wrócił do domu i odtąd żył cały życiem prywatnem. Skłoniła go do tego najwięcej głęboka znajomość swoich społecznych, nabyta w życiu czynnem. Odtąd przewidywał wypadek każdego ruchu i nigdy się nie omylił.

Między innemi opowiadał nam jeden przykład z powstania Kościuszki. Kościuszko był wówczas dyktatorem i odbywał przegląd swojego wojska. Zjechało się wiele szlachty z okolicy; jeden z nich postrzegł w szeregu powstańców poddanego ze swojej wsi, który tajemnie uciekł do wojska: bez żadnego względu na cokolwiek wyciąga go z szeregu, uderza kilka razy w twarz i każe natychmiast powrócić do wsi, gdzie mu jeszcze zapowiada chłostę za zbiegowstwo. Kościuszko, jakby tego nie widział, odwrócił się i odjechał w inną stronę.

Jeden taki przykład wiele objaśnia. Nasz stary konfederat widział tę rozkielznaną niesforność w każdym ruchu, i to go trzymało już w domu aż do śmierci.

Zachował on z pierwszej swojej wyprawy cały uniform. Wtedy po raz pierwszy widziałem mundur konfederata. Jest to kurta losiowa z podpiętymi połami — wyłogi są z amarantowej felpy.

Jako sąsiad Czorsztyna, znał ten zamek jeszcze zamieszkanym, żył z jego mieszkańcami i nieraz tam uczłował. Dziś patrzy na ruinę.

GÓRY ŁOPUSZAŃSKIE.

9 maja 1892.

Przez te dni kilka obiegłem całą prawie okolicę górna nad Łopuszną, poznałem się z bliższemi mnie przedmiotami.

Mniej mię zajmuje strona dolna. Jest to płaszczyna, która w sobie samej niema nic nęcącego, oprócz widoku na Tatry. I tu jednak przechadzka jest miła, zwłaszcza ku granicy węgierskiej. Lubię chodzić w tym kierunku: jest tam kilka skał ogromnych, samotnych, rzuconych jakby dla przerwania jednotonności tych płaszczyn. Takimi są: Kramnica nad Białką i Cisowa Skała między wsiami Nową Białką i Gronkowem.

Cisowa Skała szczególnie zatrzymała moją uwagę. Sterczy ona wśród płaszczyny, jak samotna wieża, naga w największej części; można jednak wejść aż na jej wierzchołek, który jest płaski i dosyć przestronny. Co szczególniejsza, że podobne skały znajdują się wzdłuż całego pasma Tatrów, na równoległej prawie od nich linii i w niewielkiej odległości: tworzą one jakby łańcuch sztyldwachów przed górami. Skały te są wapienne i znacznej wysokości. Staszyc, o ile sobie przypominam, w swoim dziele o „Ziemiorodztwie Karpatów“ zastanawia się nad niemi; nie pamiętam, jakie daje zdanie.

Reszta płaszczyny z tej strony Nowego Targu, oprócz kilku sosnowych lub świerkowych borków, przedstawia pola nagie, częścią w rolach uprawnych, a częścią w odlogach jałowych, w bagnach, torfowiskach; zgoła przypomina nadmorskie płaszczyny, zwane u Francuzów „landes“, z jednym dodatkiem mnóstwa kamieni na całej powierzchni, tu przysłonionych nikłą murawą, ówdzie bez żadnej osłony, coby łagodziła widok tej dzikości.

Całkiem inny kraj na północ wsi, w jej stronie górnej. Rolnik wprawdzie znajdzie tam jeszcze mniej, jak na dolinie, pola dla swojej pracy, ale życie roślinne samorodne jest bez porównania pełniejsze, silniejsze, wyższe: wszystko tam jest pastwiskiem lub lasem. Niektóre polany, zwłaszcza w położeniach niższych i w sąsiedztwie wód, nie ustępują najładniejszym łąkom; taka bujność trawy i ob-

fitość kwiatów. Co do lasów tutejszych, to tylko góry Karpackie mogą podobne wypielegnować; nie następują one niezawodnie ani naszym borom poleskim, ani nawet dziewiczym puszczoł amerykańskim, jak je nam opisują; trzeba cokolwiek zapuścić się w ich głębią, trzeba widzieć ogrom drzew, gęstwą zarośli, stopy warstw powalonych i porosłych już nowymi lasami, aby sobie powiedzieć, że takie być muszą puszcze, nie zbadane dotąd, nie tknięte ani ręką, ani nogą ludzką.

Znajdziesz to na mniejszą skalę, w mniejszym obrębie, wśród lasów Łopusznej. Trafiliem nieraz na takie miejsca, że jest zupełnie niepodobniństwem przedrzeć się głębiej, przebić tę sieć żyjącą drzew, gałęzi, roślin, które ci zewsząd zastępują, jak wał warowni. Oczyszczanie lasów jest tu niepodobne. Korzyść ze sprzedaży drzewa bardzo mała w porównaniu z wydatkiem, koniecznym na taką pracę. Spuszczanie drzewa odbywa się powszechnie nad wodami bieżącymi, na górach spadzistych, skąd drzewo zrąbane i oczyszczone z gałęzi samo ześlizgiwa się aż ku wodzie; gdzie niema tych warunków, tam sprowadzają drzewo jak najmniejszym trudem i kosztem, ze wzgórzów bliższych, dostępniejszych, mających drogi dogodniejsze. A tymczasem w górach głębszych i trudniejszego przystępu burze, ulewy, potoki, robaki wałają co roku drzewa na drzewa, warstwy na warstwy, z czego powstaje dziwna ruina, która służy i za warownię tym lasom i za kolebkę późniejszym ich pokoleniom. Mam próbkę tej uprawy lasów przez samą rękę czasu, za pomocą żywiołów przyrodnych, w górach Łopusznej, które dotąd mogłem zwiedzić.

Góry Łopusznej składają się z licznych garbów mniej ostrych, lub krągłych, lub płaskich, między którymi snują się doliny, parowy, wąwozy, mniej więcej głębokie, jedne bezwodne, inne ożywione potokami; przez nie tworzą się oddzielne wzgórza czyli szczyty, a każdy szczyt z własnem swoim nazwiskiem. — Między takimi szczytami w górach Łopusznej są znaczniejsze: Centyrz, Ma-góra, Wielka-Góra, Turniska, Groń, Wyżnia, Ciaski, Kluczki i inne, których nazwań nie wiem. Ogół ich, jako mający szczyty różnej wysokości, uклада się w stopnię

i tworzy niejako amfiteatr, którego częścią najdaleszą i najwyższą są Kluczki.

Różne są oblicza tych szczytów: niektóre dzikie nagimi skalami, jak n. p. Turniska, inne przeciwnie: odkryte, wesole, ożywione źródłem lub jeziorkiem, jak np. Wyżnia. Ale podobne szczegóły na później. Tą razą chcę tylko zachować ogólny rys najbliższej mnie okolicy, jak mi się przedstawiła przy pierwszym poznaniu się.

WYCIECZKA DO ZAKOPANEGO I KOŚCIELISKA.

15 maja 1892.

Ciekawość moja zaspokojona po części, a w największej części rozbudzona bardziej. Widziałem Zakopane i Kościelisko, zjrzałem w Tatry, ale w czasie tak nieprzyjawnym, tak dorywczo, że nie mogę nawet powiedzieć, abym już wszedł choć na ślad prawdziwego wyobrażenia o Tatrach. Zdaje mi się, że byłem tylko w sieniach domu i wróciłem się z sieni.

Bądź co bądź jestem rad z tej dorywczej przejażdżki.

Widziałem, czegom dotąd nigdzie jeszcze nie widział. Widoki, piękności, wrażenia tego rodzaju były mi dotąd nieznanne. Jeżeli doznał zawodu, wina okoliczności: przepowiedzieli mi go znający niedojrzałość pory. Ale trudno było czekać. Jeden z moich najstarszych przyjaciół, mający przed sobą daleką i pilną podróż, raczył zboczyć z drogi z towarzyszem podróży dla odwiedzenia mię w moim podhalskim zakątku. Świat goralcki był mu, równie, jak mnie, nieznanym: miał ciekawość, jak ja, zajrzeć mu w oczy choć pod zasłonę. A więc zobaczymy przynajmniej Zakopane i Kościelisko. Jedźmy! — I pojechaliśmy.

Zaczęliśmy od doliny, zwanej Zakopane. Czas nam sprzyjał i czas nas pędził. Niegłęboko zapuszczaliśmy się, a, cośmy obejrzeni, to było jednym rzutem oka. Resztę czasu zabrał nam obiad i rozmowa z niektórymi urzędnikami znajdujących się tam hamerni. Wszystko to odbyło się pędem kilku godzin. W kilka dni opuściliśmy to miejsce. Ja wyniosłem z niego poznanie zacnego człowieka i notatkę w duszy losów majora Nikorowicza, który tu

wiele ucierpiał z tęsknoty rodzinnej i umarł. Nie żałuję dnia, tak spędzonego w Zakopanem.

Dosyć już późno stanęliśmy w dolinie Kościeliskiej. Po ciemku wjeżdżaliśmy do niej; tego wieczora nic widzieć nie mogliśmy. Musieliśmy przestać na poznaniu karczmy miejscowej. Znaleźliśmy ją porządnie wymurowaną, ale oprócz tego nic, albo mało co więcej.

Ranek nie polepszył naszego położenia, a zepsuł nam humor: pierwsze wejrzenia nasze padły na błoto po nocnym deszczu i na powietrze, zasepione mgłą, która się różniła od drobnego deszczu. Mimo to wyszliśmy na obejrzenie doliny i obeszlśmy jej część najciekawszą. I tej jeszcze chwili nie żałuję. Mimo ścieżek rozmokłych, mimo mgły gęstej, ćmiącej najbliższe nawet przedmioty a leżącej na miejscach dalszych i na wyższej części gór, otaczających dolinę, byliśmy nieraz wzruszeni, zadziwieni, upojeni, porwani urokiem miejsca, a którego nie mogła zagasić sama niepogoda. Doszliśmy tak aż do jeziora, zwanego Smerczyn Staw. Dalsza droga, w najpiękniejszym czasie niebardzo wygodna, stawiała obecnie nieprzyjemności, na które nie wszyscy z nas narazić się chcieli. Na tem skończyliśmy dzisiaj naszą podróż do Tatrów.

Wróciwszy do karczmy, zostaliśmy zaproszeni przez miejscowego urzędnika na śniadanie. Tam się umysły nasze wyjaśniły. Dla obecności zapomnieliśmy o przeszłości. W gościnnym urzędniku znaleźliśmy milego i uprzejmego człowieka, w jego żonie jeszcze miłszą kobietę a równie uprzejmą dla swoich gości. Pożegnaliśmy ich ze szczerą wdzięcznością za ich dobroć, a to nam pomogło pożegnać Kościelisko bez żalu do kogo lub czegokolwiek. Przyszło mi to łatwo, bo już na miejscu uknułem zamiar rychłego powrotu w te strony i miałem pewne przecucie, że mu nic nie przeszkodzi.

W miarę oddalania się od podnóża Tatrów powietrze się wyjaśniało, słońce dogrzewało; wkrótce znaleźliśmy się wśród pięknej wiosny. Nie był to jednak skutek zmiany czasu, tylko zmiany miejsca: za nami ta sama chmura mgły leżała ciągle na Tatrach i dolinę w tej chwili może ulewny deszcz chłostał.

Po dwóch lub trzech godzinach jazdy stanęliśmy w Nowym Targu dla obiadu i pożegnania moich gości. Była to chwila jedna z najrzewniejszych dla mnie w moim tu pobycie. Rozstawałem się z najdawniejszym moim przyjacielem, abyśmy wkrótce znaleźli się o kilkaset mil od siebie i Bóg wie, na jak długo. — Z tem rzewnem uczuciem, nie bez lez zobopólnych, pożegnaliśmy się i w kilka minut byliśmy już na naszych drogach: on ku zachodowi, a ja ku wschodowi.

Z WIELKIEJ GÓRY. — GÓRY TATRY. — DZIECI GÓRALSKIE.

12 maja 1882.

Cale Tatry białe od śniegu, który tej nocy spadł w górach. Nawet wyższe przedgórza po tej stronie doliny, od północy, pokryte są śniegiem w górnej swojej połowie. Niema go całkiem w strefie niższej, koło mnie; przeciwnie, dzień dziwnie piękny i jasny. Dziś widzę najwyraźniej góry, zwane tu Fatrami. Leżą one na drugim brzegu Wagu i stanowią jakby odrębne grono od Tatrów.

Z rana obiegłem płaszczynę ku Węgrom. Byłem aż na Cisowej skale. Dochodząc do niej, miałem widok, który mnie mocno zajął. Dokola pasły się trzody, a na spiczastym szczycie Cisowej skaly kilkunastu pastuszków, dzieci jeszcze, śpiewali i tańczyli. Coś dziwnego było w tym widoku. Ich strój góralski, obcisły, krótki, ich guńki, spuszczone z rękawów, zapięte tylko pod szyją, ulatujące śród tańca, ich ruchy szybkie, zwinne, polotne, a wszystko to w blasku podnoszącego się słońca, przedstawiło mi jakąś fantastyczną grupę nadpowietrznych tancerzy.

W istocie dzieci góralskie nie są to nasze zwyczajne chłopskie dzieci. Natura ziemi rodzinnej, rodzaj życia i zatrudnień, rozbudzający silnie wszelkie władze, konieczność fizyczna ciągłego pasowania się z trudami, z niebezpieczeństwami, samo powietrze ostre, ale czyste i lekkie, zresztą pewna swoboda, nieznaną wieśniakom innych okolic, sprawiają to, że dzieci góralskie szybciej się rozwijają, jak inne. W tem drobnem ciałku widzisz już dotykalnie pełny

zaród przyszłego górala, jego dobre i złe własności. Widszisz już w tem chłopięciu taką zręczność, przytomność, śmiałość, taki dowcip, a razem taki upór, taką zaciętość, że nie znajdziesz tego w równym stopniu u dzieci innych okolic.

Słyszałem wiele o tem. Ażeby dać próbkę ich naprzykład zręczności, opowiem tylko, jak polują na węże. Sposób wprawdzie prosty, ale wymaga i zręczności i odwagi. Skoro ujrzy węża, rzuca się na niego skokiem rysia i w temże mgnieniu oka chwyta go dwoma palcami jednej ręki za szyjkę przy samej głowie, a drugą ręką za ogon — i już go ma w swojej mocy. Następnie, żeby go zrobić zupełnie nieszkodliwym, wkłada mu w pyszczek brzeg swojego kapelusza; jak tylko wąż schwycił go i ścisnął zębami, chłopak jednym szarpnięciem kapelusza wyrывa wężowi zęby i wtedy jest już z nim bezpieczny.

Oto inna powiastka, malująca już w dzieciach twardość charakteru góralskiego.

Dwóch kilkoletnich chłopaków dojrzało w jednej skale gniazdo jakiegoś ptaszka. Skala wysoka i tak przykra, że z dołu nie podobna dostać się do gniazda, ale można wdrapać się na szczyt, a gniazdo leżało blisko szczytu. — Biorą się więc na taki sposób: wylażą na wierzch, jeden kładzie się na głazie, który wystawał nad gniazdem, bierze drugiego za nogi i spuszcza go ku gniazdu głową w dół. Pomysł udał się; gniazdo, zdobyte z pisklętami które się w niem znajdowały. Ale rozpoczyna się spór — w tem samem położeniu obu: jeden leży na skale, a drugi wisi w powietrzu, na łasce leżącego. Leżący wymawia sobie naprzód taki udział w zdobyczy, że wiszący nie chce na to przystać; pierwszy zagraża, że go puści — drugi nie zważa na to. Ciągnie się ten spór dosyć długo, a kiedy zdobywca gniazda nie dał się pokonać groźbą, pierwszy uskutecznia ją i puszcza drugiego. Wysokość była znaczna: zacięty chłopak nie zabił się wprawdzie, ale się bardzo pokaleczył, a podobno nawet złamał sobie rękę czy nogę, Ale postawił na swoim.

Oto są górale: jak jedno, tak drugie z tych dwojga dzieci, w zawiązku swojego charakteru, który z latami tylko się rozwija i wzmacnia.

Z GÓRY GROŃ. — METEOROLOGIA GÓRALÓW.

25 maja 1882.

Nigdy jeszcze Tatry nie wydały mi się tak wyraźnie, tak okazałe, tak blisko, jak dzisiaj, z tej wysokości. A im wyżej postępuję, tem bardziej płaszcza się podnóżne ich przedgórze, one zaś, jakby chciały przybrać postać ókazalszą, podnoszą się, rosną, zdają się podchodzić ku mnie. Zdumiewam się mimowolnie, widząc je tak blisko siebie, owe góry, co są o kilka mil ode mnie.

W pierwszym złudzeniu o małym się nie podjął policzyć drzewa, rozsypane po nich; o małym nie oznaczył kwadratową przestrzeń każdego płatka ich śniegów. Owa ogromna szerokość Nowotarskiej doliny zwinęła się w głęboki, wązki rozdół, jej lasy zamieniły się w ciemne plamki na dnie jego, Dunajec w taśmę blasku. Zmniejszyło się, co pode mną, rozszerzyło się, co przede mną.

Skutek to wysokości mego stanowiska, a jeszcze więcej przepowiednia blizkiego deszczu, według meteorologii góralów, a można być pewnym, że się nie mylą. Mogę im przyświadczyć z własnego mego doświadczenia przez ten krótki czas pobytu w górach. Wiele razy miały nadejść dni deszczowe, przejrzystość powietrza podwajała się, a wszystkie przedmioty zbliżały się do oka na podziw. Powietrze zamieniało się w szkło przybliżające i powiększające. Zresztą zjawisko to nie jest do niewytlómaczenia.

Co mnie zawsze rwało w stronę ludu prostego, to ten jego związek z przyrodą niby martwą, owo ich porozumiewanie się wzajemne. Rozrzewniają mię nieraz dowody miłości, któremi stworzenie niższe odplaca wieśniakowi jego miłość dla siebie. Raz, w jednej z moich podróży, wypadło mi zajechać na noc do chłopca; było to zimą, w mróz trzaskący, jak powiadają. Śród pogadanki z gospodarzem dotknąłem mrozu, który mi był nie na rękę. Obawiałem się jeszcze silniejszego nazajutrz. — „Niech pan będzie spokojny“! odpowiedział mi wieśniak. „Jutro będziemy mieli odelgę“. A kiedym go spytał, skąd to wie: — „Moja lipa gwizdże!“ odpowiedział mi znowu. Prosiłem o wyjaśnienie i dowiedziałem się, że ta lipa, którą zapewne uważałem przy jego chacie, przepowiada mu wszelką

zmianę pogody. Jeżeli huczy głucho, a silnie, to znak ogromnej burzy; kiedy puszcza z siebie jakby wystrzały, to silny mróz przybliży się — a zapowiada odelgę, kiedy gwizdże różnemi głosami. W rzeczy samej nazajutrz rano przekonałem się, że lipa prawdziwie wróżyła: w nocy mróz przeszedł i odbywałem w ciepłe dalszą drogę.

Na Ukrainie znalazłem wieś, której barometrem był las poblizki. Z szumu tego lasu wiedziano o kilkanaście godzin wszelką zmianę pogody.

W Mikolajowicach pod Tarnowem, a zapewne i w całej tej okolicy, pewni są zmiany powietrza, kiedy pod zachód słońca strona nieba od Węgier przybiera pewien blask złotawo-różowy; nazywa się to u mieszkańców zorzą węgierską.

Górale Podhalanie, zamknięci jeszcze bardziej, niż inni, w pewnem kole, mają może więcej, niż inni, podobnych przepowiednych znamion. Zapisałem sobie niektóre.

Kiedy wąż grzechoce, kiedy bociany krążą nad Nowotarską doliną, kiedy się Tatry przybliżają, kiedy Babia-góra zaczyna chmurzyć się, albo, jak góral mówi: „czepek nadziewa“ — to są znaki pewnego deszczu.

Chmura od północy lub południa przynosi grad w okolicy Nowego Targu.

Wielka powódź nastąpi, kiedy mgła, bardzo przezroczysta, woniejąca siarką, zalegnie powietrze — albo kiedy się napotyka węże, wylażące na drzewa.

Podobnych przepowiedni jest bez wątpienia więcej i na wszystkie przypadki. Lud z tej strony zasługuje na zbadanie. Jest to jego strona wysoce poetyczna, bo poetyczna rzeczywistością, wtajemniczeniem się ludu w życie przyrody rodzinnej, spóżyłcie z nią głębokie, ścisłe, duchowe. Ale ta poezya, jak wszelka we wszystkich poezya, nie zdobywa się tak łatwo. Choćbym i wiedział, jak ją zdobyć, nie mógłbym tu, przez szczególne moje położenie, zastosować mojej wiedzy, chyba w cząstce, nic prawie nie znaczącej. Nie wątpię, że się znajdują szczęśliwsi ode mnie.

Lud tutejszy ma jeszcze osobny rodzaj znaków, przepowiadających nadzwyczajne wydarzenia, kłęski publiczne. Trwoży się on, kiedy np. śpiew koguta podobny

jest do placzu dziecka, albo do miauczenia kotów, lub ma w sobie inne tony, niewłaściwe jemu, kiedy także znajdzie się kogut, nie mający w ognie szóstego piórka.

ŚWIAT DUCHOWY PODHALAN.

STRZYGI, UPIORY, WIELKOŁAKI, BOGIŃKI, DZIWOŻONY.

26 maja 1832.

Winiem pośrednictwu pani T(etmajerowej) ważne dzisiaj posiedzenie ze starą góralką. Przedmiotem głównym naszej rozmowy był świat nadzmysłowy Podhalan. Słyszałem już o tem niemało z różnych stron; stara Plewina zbogaciła znacznie zapas moich wiadomości. — Gdybyż jeszcze chciała była wypowiedzieć wszystko, co wie — ale widziałem, że nie śmiała otworzyć się do dna, na co zresztą trzeba być przygotowanym z temi ludźmi, a przez naszą winę. Nie łatwo nam zetrzeć z czoła naszego tę plamę Kaimową za zabijanie rozumem ducha; my nie wiemy o niej, ale ją lud widzi i, żebyś nie wiedzieć co robił, ma się przed tobą na baczości, jak przed wężem; wiele, wiele potrzeba, aby ci się zupełnie powierzył. Wszakże znalazłem moją góralkę mniej zamkniętą, niżlim się spodziewałem, i w istocie rozmawiałem z nią w tak dobrej wierze, z powagą, tak odpowiednią przedmiotowi rozmowy, że musiała to czuć i widzieć.

Z podobną przeto szczerością opowiadała mi przykład z własnego swego życia, dowodzący istnienia złośliwszych duchów, zwanych strzygami. Była wówczas młodą jeszcze dziewczyną, kiedy jednej nocy poczuła przez sen boleść ręki, jakby od ukąszenia. Ocknęła się natychmiast i czuła coś około siebie, nie mogąc widzieć dla ciemności nocnej, ale strach ten zdawał się jej mieć postać ludzką. Zniknął, skoro się zbudziła, zostawił tylko na jej rękę ślad zębów, jakby ludzkich, co nazajutrz po dniu widziała i nosiła przez dni kilka. Szczęście jej, że się obudziła, bo strzyga dusi ludzi, jak upiór, albo ich zabija wysysaniem krwi, podobnie, jak upiór. Strzygi, strzygonie są

więc rodzajem duchów złośliwych, nowych, mających pokrewieństwo z upiorami, może nawet są tem samym, tylko pod innym nazwiskiem: nie mogą przynajmniej schwycić, w zbyt ogólnem opisywaniu, charakterystycznych rysów, im tylko właściwych.

Upiory grają i na Podhalu tę samą krwawą rolę, co w całej Słowiańszczyźnie. Straszna ich głośność uwalnia mię od przytaczania, co tutaj o nich slysze, a nie chce powtarzać rzeczy, powszechnie wiadomych.

Do tego plemienia należą jeszcze wilkołaki. Wilkołak jest to człowiek żyjący, albo pod przekleństwem, które go zmusza niekiedy przeobrazić się w wilka i w tej postaci złe wyrządzać: jest to mocniejsze od jego woli ludzkiej, jest to kara, przekleństwo za jakąś zbrodnię, stan pokutny najcięższy, bo jeszcze bardziej pogarsza dolę człowieka. Znałem na Ukrainie młynarza; był to starzec, rządny gospodarz, człowiek uczciwy, ale w mniemaniu swoich sąsiadów uchodził za wilkołaka. Mówiono o tem z pewnem politowaniem dla niego, jak o nieszczęściu fatalnem, ale zarazem bano się go. Wilkołak jest także powszechnie znany w naszym kraju, ale nie wszystkim zapewne wiadomo, jakim sposobem człowiek-wilkołak przemienia się w wilka. Oto, po prostu, ile razy napada go taka konieczność, wychodzi na pień zrąbanego drzewa daje z niego koziołka na ziemię i powstaje wilkiem. To samo robi, kiedy ma wrócić do ludzkiej postaci.

Wilkołak jest jedną ze złych istot najszkodliwszych. Niszczy bydło, rzuca się na ludzi; jest to niejako wyższy stopień wściekłego wilka, dlatego rzuca wielki postrach na swoją okolicę; sprawa z nim trudniejsza, jak z wilkiem zwyczajnym.

Inne jest plemię, różne od wymienionych dopiero złośliwych duchów — plemię boginiek. Bogińska może się uważać za to samo, co francuzka *fée*; jest ona pokrewna rusałkom, ondynom i im podobnym. Mówiąc nawiasem, ta nazwa bardzo mi się podoba i najlepiej, według mnie, odpowiada francuzkiej nazwie *fée*.

Bogińki góralów zaludniają lasy, wody, góry, jak stażożytne greckie nimfy i dryady. Posłania ich są fantastyczne i wdzięczne. Trwożą one ludzi, zwodzą, wyrzą-

dzają psoty, zato niekiedy sprzyjają im, służą w dobrem usposobieniu; mało albo nic nie różnią się pod tym względem od ludzi. Jednym słowem, mają te same przymioty, co ich pokrewne w innych krainach. Nie mam szczegółów, któreby mi posłużyły do dobitniejszego ich opisu.

Najobszerniej rozpowiadają tu o dziwożonach. Jest to także ród istot nadprzyrodzonych, utwor, zdaje się, góraków, i im samym tylko właściwy.

Jak rusalki, lubo istoty złośliwe, są jednak przez formę swoją wietrzne, piękne, wabiące w harmonii z przyrodą siebie ziemią, tak dziwożony mają rysy charakterystyczne, odpowiednie więcej surowości i dzikości ojczyściej okolicy: całe ciało niezwykle kosmate, włos głowy długi, rozpuszczony, piersi nadzwyczajnej wielkości — na głowie czerwona czapeczka z gałązką paproci. Ulubionem ich pożywieniem jest jakieś ziółko, zwane słodyczka.

Dziwożony najstraszniejsze były matkom, ponieważ porwały im dzieci. Dlatego czatowały przy chatach położnic i, skoro znalazły chociażby matkę, ale bez mężczyzny w domu, brały niemowlę, a na jego miejscu zostawiały swoje, które są zazwyczaj krzykliwe, złe, bardzo brzydkie, jednym słowem: rodzą wyrodka. Wszakże można odzyskać porwane dziecię następnym sposobem: skrzywdzona matka wynosi podrzutka na śmietnik, smaga go różgą, napawa ze skorupki jaja i woła: „Odbierz swoje, oddaj moje!“ Dziwożona, tknięta w macierzyńskie uczucie płaczem bitego dziecka, odnosi pokryjomu porwane dziecko, a swoje napowrót zabiera.

Dziewczyny nawet dorosłe nie były od nich bezpieczne: trafiały się częste wypadki porwania ich przez dziwożony.

W tej osnowie opowiadano mi następną powiastkę miejscową. Jednego dnia zniknęła nagle z Łopusznej młoda i ładna dziewczyna; gdzie i w jaki sposób? żadnego nie było śladu. Długi już czas upłynął od tego zniknięcia, kiedy jeden z mieszkańców Łopusznej, zaprowadzony jakąś potrzebą w głąbią gór Łopuszańskich, ujrzał u jednego potoku, wśród największej dziczy, dziewczynę, piorącą bieliznę. Zbliżył się i poznał dziewczynę zginioną. Ta poznała go również: opowiadała, że ją dziwożony po-

rwaly, i wkońcu błagała, aby ją z rąk ich wybawił. Góral chętnie się do tego przychylił, a ponieważ pora obecna nie była po temu, umówiono więc pewien dzień, w którym ona znowu prac tu przyjdzie, a góral przyjedzie konno. Góral dotrzymał umowy, przyjechał w dzień naznaczony, znalazł dziewczynę, schwycił ją na koń i ruszył ku wsi. Ale dziwożony postrzegły to i puściły się w pogoń takim pędem, że już już dościgały uciekających.

Było to właśnie wśród łąki, na której gdzieśrosąd rosły gromadami kwiatki, dzwonki zwane. Dziewczyna, widząc niebezpieczeństwo, krzyknęła do towarzysza: „Trzymaj się dzwonek!” Góral usłuchał i kierował ciągle konia między dzwonekami, do których dziwożony przez jakąś tajemniczą własność tego kwiatu, przystąpić nie mogły; kiedy więc musiały kołować, przez ten czas uciekający, mając drogę prostszą, wymknęli się z dzicy i do wsi dobiegli.

Dziwożony, podobnie jak rusalki, śmiały się tylko z kobietami, lękają się mężczyzn. Zdarzyło się raz, że góral nadybał dziwożoną w swojej rzeple, po prostu, na kradzieży. Dziwożona zdołała się wymknąć, ale została w ręku górala jej czapeczka; nieboga przybiegła wieczór pod jego okna i śpiewała żałośnie:

Chłopieczku, chłopieczku, wróć moją czapeczkę,
Nie będę już chodzić na twoją rzepeczkę.

I tak go błagała, dopóki jej nie oddał zdartej czapeczki.

Dziwożony miały zapewne i mężów, ponieważ miały dzieci, ale tego szczegółu rozjaśnić sobie nie mogę; nic o tem dotąd nie słyszałem.

Nie wiem, jaka była obszerność ich dziedziny, czy obejmowała całe Podhale, czy jego część pewną; to tylko niewątpliwe, że dziwożony przemieszkwały w okolicach Łopusznej. Pokazywano mi pieczarę, gdzie przed laty miało być główne siedlisko dziwożon. Leży ona w urwistym boku Małogóry, na polach Łopusznej, nad potokiem, zwanym także Łopuszną. Otwór pieczary zawalony dzisiaj takimi glazami, że potrzeba ciężkiej i długiej pracy,

aby go oczyścić. Wewnątrz jej ma się znajdować pełno dziwów do niewypowiedzenia: podziemne przechody w różnych kierunkach, a długie na wiele mil, złote mosty na podziemnych wodach, ściany z drogich kamieni, i tym podobne bogactwa i osobliwości.

Zastanawiając się nad stanowiskiem dziwożon, widzę w tem pewien ślad pobratymstwa wyobrażeń między naszym ludem góralskim, a ludami wschodnimi. Wiadomo, że *diw* wschodni jest rodzajem złośliwego geniusza. Nasze *dziwo* w najwłaściwszem znaczeniu tego słowa odnosi się głównie do zjawiska, mniej więcej potwornego, i odpowiada zupełnie wyobrażeniu ducha, który na wschodzie zowie się *diw* i jest w pewnem pokrewieństwie z naszą dziwożoną.

Nie ja pierwszy jestem uderzony tem powinowactwem niektórych wyobrażeń duchownych naszego ludu z wyobrażeniami duchownymi Wschodu. Już Staszyc mówi w swoim „Ziemiorodztwie“, że mu się zdarzało słyszeć między góralami karpaccyimi nazwiska duchów, znane w mitologii perskiej; wymienia nawet niektóre, ale ich nie pamiętam. Stąd nie kładę tej okoliczności na karb przypadku, obyczajem bardzo wygodnym, który szybko rozstrzyga wszelką zagadkę, ale jej nie rozwiązuje.

Ja przynajmniej nie mam po prostu odwagi rozwiązywać tym sposobem podobnych zagadnień. Tyle razy musiałbym uciec się do przypadku, że wkrótce oburzyłbym się na siebie i możebym sobie powiedział: Ej, głupi jesteś!

Nie tu miejsce wymieniać te wszystkie przypadki, które mam pod ręką, ale mniemam, że i tu jest miejsce życzyć, abyśmy bez uprzedzenia zwrócili latarkę naszych badań w tym kierunku. Kto może naprzód wiedzieć, na co padnie jej światło, co nam odkryje?

NIEKTÓRE ICH WYOBRAŻENIA I POWIEŚCI W TYM PRZEDMIOCIE.

27 maja 1882.

Waham się, czy iść dalej światem tajemniczym, w który się zapuściłem, czy cofnąć się? Postanowienie nietatwe.

Opuścić go nie mogę; iść dalej, a tembardziej prowadzi drugich dłużej — może ich znudzę, może rozśmieszę? — Nie o mnie tu chodzi, ale o drugich... Tymczasem przewracam machinalnie „Nowe Ateny“, dzieło zeszlowieczne, pełne erudycyi i dobroduszości księdza Chmielowskiego i przypadkiem natrafiam właśnie na miejsce, gdzie mówi o górach karpackich. Oto dosłowny wypis:

„Karpát-góra, a raczej długo ciągnących gór kontynuacya, nazwana od słowa „carpo“, że tam zbierają różne profity obywatele i minerały, albo od miasta Carpis starożytnych Bastarnów. Niemcy ją zowią górą śniegową, Węgrzy Tarczacz, Polacy Tatrami, iż ku krajom tatarskim nadała się; nazywają się i Beskidami. Wiadć z nich na mil 20 a czasem 30, gdy wypogodzona aerya. Kamień, stamtąd rzucony, niżeli się stoczy na dół, wiele innych ruszy z sobą w kompanii. Śniegi tu po całym leżą lecie, s e n s i m czernieją, w jakies obracają się robactwo. Dzikich kóz na nich mnóstwo, nie nogami chodzących, ale na rogach się od gałęzi i skał zawieszających. Rodzą się w nich kryształ, dyamenty, różne metale, według Szentywaniego. Na samym wierzchołku gór jest źródło, a raczej jezioro, Oculus maris zwane, gdzie sztuki statków morskich często wypływają; znać, że z morzem ma komunikacyą“.

No, pomyślałem sobie, dotąd nie powlokłem jeszcze Tatrów taką tajemniczością, jak autor „Nowych Aten;“ nie zaszedłem jeszcze tam, gdzie on dobiegł, mogę iść dalej. Utwierdził mię w tem przedsięwzięciu drugi ustęp:

„W ziemi Sandeckiej, wyższej, jest między górami źródło, które ma tę własność, że, jak kto z niego wody nabierze, to zaraz niebo się chmurzyć zaczyna“.

Tego nie dosyć. W towarzystwie podobnego pisarza mogę się na wszystko odważyć, a brak powagi z głębokiej nauki i z cytacyi znakomitych zastąpię szczerą wiarą w niezaprzeczone dla mnie istnienie świata duchowego, najmocniejszym przekonaniem, że we wszelkiem wierzeniu ludu, we wszelkiej baśni jego, skoro umiemy obejrzeć je z różnych stron, trafimy na prawdę bardzo głęboką i bardzo pożyteczną. Bez tego przekonania, do którego przyszedłem własnym doświadczeniem, nie zapisywałbym

jego powieści, nie słuchałbym ich nawet. Ale mój komentarz zachowuję na ten raz dla siebie samego, chcę być tylko prostym opowiadaczem rzeczy słyszanych; dosyć dla mnie, jeżeli będą przyjęte jako próbki poetyckiej fantazyi góralów.

Wielka część tych powieści ma za główny przedmiot ogromne bogactwa, ukryte w górach. Nie wiem, czemu to przypisać: czy wyobraźni, drażnionej chciwością, czy przeczuciu bogatych kopalni w ziemi rodzinnej, czy temu bogactwu wewnętrznemu, które Arabom wydało „Tysiąc i jedna nocy?“

W tym duchu są próbki następne.

W jednej ze skal nad Morskim Okiem leży pieczara, zaledwo dostępna, tak jest obwarowana zaroślami kozodrzewiny. Ktoby miał odwagę dostać się do jej wnętrza, znalazłby tam ogromne skarby. Ale przystęp do niej jest przez krużganki podziemne, bardzo ciasne i kręte. Na każdym zakręcie potrzeba zapalić i zostawić światło. Wkońcu dochodzi się do jaskini obszernej, oświetlonej światłami wielkiej jasności, które są właśnie skarbami tego miejsca; ale słyszysz głos, zapowiadający: „Biada temu, kto się ich dotknie!“ Na środku jaskini kłęczą trzej mnichy; ów głos tajemny każe pokłonić się każdemu z nich z osobna, potem wolno wziąć sobie z tych skarbów, wszakże nie więcej, tylko tyle, ile siekiera na raz urąbie. Zginałby natychmiast, ktoby ten przepis przekroczył.

Podobna jaskinia znajduje się pod górą Gewontem. Na środku jej stoi słup dyamentowy, pod nim siedzi mnich, obsypany bogactwami wszelkiego rodzaju. Mnich-strażnik udziela ich bez trudności każdemu, kto dojdzie aż do niego; ale dojście jest bardzo trudne, bo przechód niezmiernie ciasny i wszelkie światło w nim gaśnie.

Łatwiejszy jest do zdobycia skarb, zakopany w żłobie na polach Łopusznej, bo tylko na kurzą stopę ziemią przykryty; ale nie wiadomo, w którym miejscu jest zakopany.

Możnaby temu zaradzić zapomocą kwiatu, zwanego florecyna, a który ma własność ukazywania swemu posiadaczowi skarbów najgłębiej zagrzebanych. Ale czegoż to potrzeba, aby dostać tego kwiatu? Florecyna,

jak mi ją pokazywano, jest bardzo podobna do paproci, tylko mniejsze i drobniejsze ma listki. Kwitnie tylko raz na rok, w wilią Bożego Narodzenia, o samej północy. Żeby się posługiwać tym kwiatem, potrzeba go posiąść, nie wiedząc o tem.

Są jednak ludzie, którzy mają tajemniczą moc odkrywania skarbów górskich. Oto jeden z przykładów tego. Wyżej jeszcze, niż Pięciostawy, leży jezioro, zwane Żabieniec, mało zwiedzane dla skał nadzwyczajnie przykrych dokoła, dla ścieżek niebezpiecznych, także z powodu zimna, bo jezioro przez dziesięć miesięcy jest pod lodem. Owoż do tego jeziora przychodzi siedmiu Czechów, ścieżkami im tylko wiadomymi. Muszą oni wydobywać tam złoto, bo po ich odejściu znajdowano żużle z wytopionego kruszczu, a nawet piecyki. Ale nikt dotąd nie zeszedł ich śród tej roboty.

Ci Czesi mogą być bajeczni, ale podobni im, a rzeczywiści znajdują się w każdym prawie biurze urzędowym w Galicyi — także dla złota. Ścieżki ich przechodu są wiadome.

Górale wierzą mocno w istnienie ksiąg czarnoksięskich. Według ich zapewnienia, księgi takie znajdują się na dolinach, to jest w kraju nie góralskim, np. w Krakowskiem. Wielka potęga zamyka się w tych księgach. Górale pokazują w górach jedną skałę, z której na zakłęcie, odczytane z takiej księgi, wychodził smok, dawał się kulbaczyć i jeździć na sobie. Jakiś czas widywano jeżdżącego na nim Niemca, ale pewien baca zabił smoka, a Niemiec zniknął. Baca był stąd w niemalym kłopotcie, bo wkrótce przyszedł jakiś człowiek z dolin bardzo dalekich i ostro upominał się o zabitego smoka, jak o swoją własność. Nie wiem, jak się ta sprawa skończyła.

W innym wcale rodzaju jest powieść o błakającej się głowie. Miejszem tego zjawiska jest polana, zwana Jaworzyna Kamienicka, od wsi Kamienicy, a początek taki: Naczelnik jednej bandy zbójckiej miał podwładnego, który był od niego urodziwszy, celniej strzelał, lepiej skakał, szybciej biegał, zgoła, przechodził go we wszystkim; stąd zapalił się taką nienawiścią ku niemu, że go zabił, po zabiciu odciął mu głowę i zarzucił w poblizki

parów. Ale ta głowa pokazała się wkrótce na polanie, gdzie było spełnione zabójstwo i odtąd nie chce jej opuścić. Ile razy ją znajdują, odniosą w dalsze miejsca i zarzuca gdzieś w przepaść, tyle razy ona znowu powraca na swoją polanę. Odznacza się tem szczególnie, że ma włos niezmiernie długi.

POWIEŚCI W DUCHU CHRZEŚCIJAŃSKIM.

28 maja 1832.

Pozostaje nam do odznaczenia najważniejsza część drogi, którą duch góralów przechodzi. Dotąd widzieliśmy go albo w jego brzasku, albo nawet zmroku; w stanie ducha, który czasem cofa się w swoją przeszłość pogańską, czasem zniża się do sfery poziomej, materyjalnej, nie wychodzi jeszcze na światło właściwe sobie. Taka jest cecha istotna powiastek, mniemań, utworów powyższych. W następnych odbija się już blask religii prawdziwej, kryje się myśl głębsza, wyraźniejsza, chrześcijańska, mądrość pełniejsza, odkrywa się świat z ducha jaśniejszego.

Lud góralski jest głęboko religijny, jak ogół plemienia, do którego należy; jest on skromny, cichy w swojej pobożności, ale prosty i szczery; taki charakter mają jego powieści religijne, i dlatego porywa mnie ich istota, mimo formy, nic prawie nie ważącej, ale mającej tę zaletę, że nie zaciemnia ani wykrzywia prawdy, a przeto prawda jej łatwiejsza jest do ujęcia.

W najszczególniejszem poszanowaniu u góralów jest pamięć Świętej Kunegundy. Jej żywot ziemski prawie cały zamknięty jest obrębem tej okolicy. Ulubiona jej dziedzina między Krakowem i Tatrami odznaczona jest całą śladami jej żywota. Wieliczka, jej posag, wyplacony Polsce hojnością samego nieba — Pieniny, jej przytułek warowny w czasie burzy najścia tatarskiego — nakoniec Sącz, ostatnie jej mieszkanie i grób, miejsce, z którego dotąd nie przestaje okazywać sposobem cudownym swojej miłości dla tego ludu — są to tylko widoczne węzły, które wiążą świętego ducha z tą krainą; ale jej

pamięć rozlewa się tu obficie, panuje obszerniej, i dlatego najmniejszy ślad po niej śledzony jest i strzeżony ze świętą troskliwością. Jeszcze przed laty kilkunastu leżał przy Łopusznej nad Dunajcem kamień z odciskiem ludzkiej stopy; według podania, była to stopa Ś. Kunegundy, z owego czasu, kiedy, zmuszona opuścić Kraków, zagrożony od Tatarów, udawała się do Pienin i w swojej podróży zatrzymała się na tym glazie. Dziś go niema w tem miejscu; został podobno przeniesiony do sandeckiego kościoła.

Cześć ludowi, który tak jest wierny w miłości dla tych, co przez swoją miłość stają się jego opieką i chluba! Potęga ziemska, huczająca wielkimi czynami ziemskimi, może go przerazić, zdumieć, rzucić o ziemię, ale nie jest jeszcze świętością w jego oczach; jest mu obojętna, po chwili przemija w jego pamięci razem z hałasem swoim — przeciwnie, błogosławi on przez wieki, korzy się, pada twarzą i duchem przed kobietą, przed dzieckiem, przed wszelką słabością widomą, skoro z niej promieni potęga wyższej miłości, ofiary wyższej. Lud ją prosty poczuje, odkryje i uwieczni w swoim świecie.

Jest to jego własność nieoceniona, owo uwiecznianie wszystkiego, co raz dotknął swoim duchem. Idzie mu to bez trudu, bo przedewszystkiem uderza go prawda, i prawdzie tylko stawia swoje ołtarze. Ten ołtarz może być niezgrabny, przekształcony wpływami czasu, ale go postawił lud w miłości i czci dla prawdy; a, co raz tak postanowił, już tego pewno sam nie zwali.

Następna powiastka maluje cześć Podhalan dla świętych im przedmiotów.

Do kościoła w Łopusznej wieziono obraz Ś. Antoniego; obraz nie mistrzowski zapewne, gdzie był niejeden grzech przeciwko sztuce, a między innymi usta zbyt blade. Jeden z obecnych, widząc to, odezwał się żartem, że święty musiał tylko co jeść śmietanę. Natychmiast obraz tak ocieźlał, że wóz stanął w miejscu, jak wryty, przytem niebo okryło się chmurami i ogromny grad się puścił. Próbowano siły liczniejszego zaprzęgu, ale wóz z obrazem stał nieporuszony. W końcu dowiedziano się przyczyny tego wypadku

i udano się do modłów błagalnych, a wnet wóz ruszył z miejsca, grad się zatrzymał i jasna pogoda wróciła.

W podobnej myśli słyszałem inną powieść, ale nieważnie, i dlatego nie mogę jej przytoczyć, jak mi była opowiedziana. To mi się tylko zachowało z ogólnej treści, że za przewinienie, podobne powyższemu, cały lasek dotknięty został karą taką, że wszystkie jego drzewa powykręcały się w najpotworniejsze kształty i tak dotąd rosną. Lud pokazuje go, jako widomy i trwający przykład za ubliżenie świętościom, światu wyższemu.

W innej powieści, bardzo prostej, dostrzegam ważną ideę o zamknięciu się w sobie, o niedawaniu innym należnego im uczucia.

Był w Łopusznej parobek, bardzo przystojny i równie zimny. Niejedna dziewczyna okazywała mu swoją ku niemu skłonność, ale żadna nie mogła pozyskać jego wzajemności; każdą odepchnął z pogardą. Zdarzyło się, że raz, idąc na mszę do Harklowej, ujrzał w potoku łososia; schyla się, aby go schwycić i w tej chwili przebija go nóż, który miał za pasem. Rana była śmiertelna, umarł z niej prawie natychmiast. Nóż nieszczęśliwy wrzuceno w potok, gdzie się stał przypadek, a parobka pogrzebiono — ale duch jego nie opuścił miejsca, gdzie nóż był wrzucony: ciągle się tam pokazywał i strzegł ludzi. W tej trwodze znalazły się śmiałe dziewczęta, które postanowiły rozmówić się z duchem, aby dowiedzieć się, czem mu pomóż. Dotrzymały, co postanowiły: rozmówiły się z duchem i dowiedziały się z jego własnych ust, że odbywa pokutę za pogardę kobiet i że dopiero wtedy będzie od niej wolny, kiedy dziewczęta kupią mszę za jego duszę, a na świadectwo przed innemi ludźmi dał im rutę z własnego kapelusza. Dziewczęta zakupiły mszę żadaną i duch parobka nie pokazał się odtąd więcej.

O podobnym duchu pokutującym, ale pokutą straszniejszą, przywiązana jest powieść do włości Ostrowska, leżącej między Nowym Targiem a Czorsztynem. Na jej polach, niedaleko drogi, znajduje się bagno, z którego nocą wybiega człowiek nagi i goni za przechodzącymi. Pokutnik ten straszniejszy, jak pierwszy, bo samobójca podobno, miał się utopić rozmyślnie.

Wiele jest powieści, w których grają rolę czarci, czyli złe duchy, pojmovane już ze stanowiska religii chrześcijańskiej.

W bukowinie lopuszańskiej, która leży pod górą Kluczkami, w sam dzień Stych Piotra i Pawła ujrzano dyabła, ubranego po niemiecku, jak przeszedł pomiędzy bydłem, wszedł do lasu i narąbał jawór; ktokolwiek chciał później ten jawór zrąbać, tak się kaleczył, że musiał zaniechać. Niejedno drzewo tak napiętnowane napotyka się w górach; górale się bardzo strzegą, zwłaszcza w pierwszych dniach po wyżej wspomnianem święcie, rąbać podobne drzewa.

Są znowu przykłady złych duchów, odplacających przyśługę odśługą. Pewnej nocy, bardzo już późno, zajechał przed jednego z kowali Harklowej powóz, zaprzężony sześcią dzielnymi karemi końmi. Wyjechał on z Dunajca, siedziałw nim pan, ubrany po niemiecku, i sam się powozził. Zatrzymał się przed kowalem, bo jednemu z koni podkwa odpadła. Kowal ją przybił i widział, że była ze złota. Podróżny w nagrodę dał kowalowi strzelbę, a sam pędził dalej gościńcem. Od tego czasu dziwny strzelec z owego kowala: zabija takie zwierzęta i ptaki, jakich w całej krainie góralskiej niema.

Nie podobna spisywać wszystkiego, co słyszę w podobnym rodzaju, a tem bardziej nie uważam za właściwe umieszczać tutaj wszystko, co mam w notatkach. Dają tylko próbki, przedstawiające z różnych stron ducha Podhalan, ich życie więcej wewnętrzne, w objawieniu się zewnętrznem na polu wyższem od życia powszedniego.

Zresztą nie wątpię, że będę jeszcze nie raz w konieczności dotknąć tej strony; zachowuję przeto do późniejszego czasu, co będzie mogło zrobić wydatniejszym ten ogólny zarys oblicza religijnego Podhalan. Muszę jednak cofnąć się na chwilę do powieści o obrazie Ś. Antoniego i lesie przeklętym. Co za głęboka nauka w tych powieściach dla ludu nieprostego nawet! Alboż przez grzech bezbożności nie widzimy narodów całych w potwornym stanie tego lasu? Te grady, co biją w ludzkość, ten wóz narodu, którego żadna siła nie może poruzyć z miejsca, gdzie uwiązł — skąd to wszystko, co to

jest? Prawda znieważona, wyższy świat bluźniony lub pogardzony w wyższych ludziach, w wyższych uczuciach. I niema ratunku, niema postępu świętego, póki go człowiek nie przebląga, póki mu nie wypłaci długu należnej części!

DOLINA NOWOTARSKA. — NOWY TARG.

29. maja 1882 r.

Ze wszystkich dolin, które dotąd opisałem, ze wszystkich, które znalazłem na mojej drodze od Tarnowa ku Podhalu, które widziałem gdziekolwiek, żadna nie może iść w porównanie z doliną Nowotarską. Mogą być miłsze od niej, wdzięczniejsze na małą skalę, ale trudno o podobną, bo trudno o takie skupienie tyłu i takich przedmiotów, jak są te, które wchodzą do jej ogółu. Wszystko tu się składa na całość rozmiaru ogromnego, różnorodności wszechstronnej, różnorodnego wdzięku. Rozległość, oblicze wewnętrzne, widoki na zewnątrz, mieszkańcy, życie przyrody, życie ludu, pomniki dziejów, poezya gminu i tym podobne — wszystko to tworzy świat, pełny w samym sobie, harmonijny, ogromny, różny od wszystkiego, co dotąd widziałem, zasługujący ze wszech miar na uwagę i bliższe przypatrzenie się. Jestem dla niego pełen części i miłości — stąd pragnę i będę usiłował skreślić go, chociaż w pewnej części, w rysach ogólnych, a, o ile można, wiernych. Praca to jest niekrótka i nielekka; nie mając przed sobą innej w tych dniach, jej poświęcę całą tych dni swobodę.

Dolina Nowotarska zajmuje przestrzeń ogromnego obwodu; nie podobna mi oznaczyć jej z dokładnością milami, powiem tylko, o czem mnie zapewniono, że ludność doliny wynosi z górą sto tysięcy mieszkańców. Granice widokregu są granicami doliny. Granicę ową stanowią od południa Tatry, dalej ku zachodowi bieją cokolwiek niższe szczyty, ale śnieżne, gór, zwanych Fatrami — w skrajnie ku północnym napotykasz wysoki Żywiec i następnie, jak olbrzymi kopiec narożny, jedyną w swoim rodzaju i w tej stronie, samotną, piramidalną, Babią-górę; od niej

cała północna i wschodnia strona doliny zasłonięta jest pasmem przedgórz, które się odznaczają szczytami i garbami niepośledniej wysokości, jak na przykład Kluczki, szczyt Maniowski i inne, nieznane mi po nazwisku; pasmo to kończy się na Pieninach przy Czorsztyynie. Dolina jest znacznie dłuższa, jak szersza; najwęższa pod Czorszty-nem, rozszerza się coraz bardziej, w punkcie Nowego Targu oś jej szerokości liczy się już milami. Kierunek doliny od północo-wschodu na południe-zachód.

Niezliczone wody w potokach rozmaitej wielkości spływają się w dolinie to z przedgórz, to z Tatrów. Najznacniejsze między wychodzącymi z łona Tatrów są: Białka, Wag, Czarny i Biały Dunajec. Wag odpływa do Węgier, do Dunaju, drogą, którą sobie wyżłobił pomiędzy najwyższymi górami, poczyna się jednak w północnym boku Tatrów i tym sposobem zarywa część okolicy Nowotarskiej. Biały i Czarny Dunajec zlewają się pod Nowotargiem w jeden Dunajec, który zabiera Białkę i wszystkie inne potoki.

Powierzchnia doliny nie jest ściśle płaska; u podnóża Tatrów z jednej strony, przy przedgórzach z drugiej, pogorbiona mniej więcej znacznemi wyniosłościami, spuszcza się jakiś czas ku swojemu środkowi nieznaczną potoczystością aż do Dunajca, którego łoże jest właściwie głębią dna doliny.

Mówiąc o Nowotarskiej dolinie, powinienem tu zapisać piękne, tyżące się jej podanie. Lud wierzy i powiada, że przed wieki cała ta przestrzeń zalana była morzem, które się zwało *Karpackie morze*; ale, że jakiś, bardzo dawny król polski kazał przeciąć górę Pieniny i tym sposobem cały ten kraj osuszył — stąd bieg Dunajca aż do Wisły.

W rzeczy samej przechód Dunajca przez Pieniny jest tak wyżłobiony między prostopadłemi skałami, tak ma pozór kanału, że okoliczność ta nadaje pewne prawdopodobieństwo podaniu ludowemu, przynajmniej co do istnienia przedwiekowego wielkiego ogromu wody na dzisiejszej dolinie Nowotarskiej i gwałtownego jej przedarcia się przez tamę Pienin.

Szczegóły podania mogą być późniejszym wymysłem,

ale istotą jego jest ta pamięć ludu, która sięga czasów przedwiecznych, czasów owych, których dzieje, częstokroć najrzeczywistsze, są dla potomności niepodobnemi do prawdy; lud jednak pozostaje religijnie wierny swojej przeszłości. Zresztą, cóż w tem podaniu jest tak nadzwyczajnego? Alboż jedno miejsce, przeludnione dzisiaj, nie miało kiedyś innych mieszkańców, jak mieszkańców wody? Gdzie są dzieje, któreby nam dochowały pamięć wszystkich wstrząśnień, wszystkich zmian, przez które przeszła ziemia od chwili, jak wyszła globem ziemskim z rąk swojego Stwórcy? Mamyż co, na czym-byśmy niewzruszenie oparli zaprzeczenie nasze powyższemu podaniu? Ja przynajmniej nic takiego nie widzę i dzielę wiarę ludu w jego powieść, bo ma prawdopodobieństwo za sobą i otwiera ogromne pole uroku poetyckiego człowiekowi, unoszącemu się w przeszłość z miłością dla niej. O, gdybym mógł wypowiedzieć, co za świat dziwny, co za tłum pomysłów rodzi się we mnie z tej jednej powieści!

Wracam do obecności. Liczne i ogromne wsie zapełniają dolinę, lub ją otaczają. Między temi osadami najcelniejsze miejsce zajmuje miasteczko Nowy Targ. Uważane jest ono jako główny punkt tej okolicy; zowie się nawet stolicą Podhalan. Położenie jego jest w istocie bardzo korzystne. Ludność dokoła niezmierna — przemysł, odznaczający górali — dwa gościńce bite kupieckie, jeden do Spiża ku wschodowi, drugi na zachód, zwany Tręczyński, trzeci do Krakowa, z którymi się wiąże pelno dróg pomniejszych — zejście się dwóch Dunajców tuż pod miastem — bliskość kąpiel mineralnych jużto galicyjskich, już węgierskich — okolica, jak Tatry, wabiąca co rok wielu ciekawych wędrowców, są to wszystko okoliczności, wyzywające do ruchu przemysłowego, ułatwiające odbyć jego wyrobów, a przez to sprzyjające podniesieniu się miejsca na stopę miasta porządnego, zaopatrzonego we wszystko. Ale Nowy Targ nie umie jeszcze korzystać z tych darów. Miasteczko nie jest ani tak rozległe, ani tak zabudowane, ani tak ożywione, ani tak wygodne dla podróźnych, jakby być powinno i być mogło; jest to nic więcej, jak miejscina licha, podobna do tylu innych w całym tym kraju. I samo na tem niemało traci.

Pierwsze powstanie Nowego Targu, według zapisek kronikarskich, sięgać ma najdawniejszych czasów Polski.

Między ciekawszemi szczegółami miejscowemi, jest kościółek Ś. Anny, bardzo starożytny. Stoi on za miastem, w stronie jego północnej. Powiadają, że go zbójcy wystawili, a obraz w wielkim oltarzu ma być ukradziony przez nich na Węgrach.

Na zachód Nowego Targu o pół mili, przy brzegach Czarnego Dunajca, leży wieś Ludzimierz — niedaleko niego druga wieś Krauszów. O początku tych dwóch wsi zachowują górale następane podanie: W czasie jednego najścia Tatarów Polacy spotkali się z nimi na tych polach i zostali na głowę pobici; Tatarzy po zwycięstwie ucieli każdemu trupowi po jednym uchu i temi uszami napełnili dziesięć worów; w miejscu, gdzie obrzynano uszy, stanął Krauszów, a Ludzimierz tam, gdzie je odmierzano worami. O Ludzimierzu wzmiankuje Bielski już pod rokiem 1234, w ten sposób: „Teodor, herbu Gryf, wojewoda krakowski, klasztor Cysterszeńskich mnichów w Ludzimierzu, wsi swojej niedaleko Nowego Targu, fundował, lecz, iż od zbiegów często tam przenagabanie miewali mniszy, i przeto na Szczyrzyce się stamtąd przenieśli.“

Gruzy klasztoru Cystersów pokazują dotąd w Ludzimierzu, a spomniany klasztor szczyrzycki jest i dziś osadzony Cystersami; ma on posiadać archiwum, bogate w pomniki, bardzo ważne dla dziejów podgórskiej okolicy, ale zarzucają mnichom, że, przez dziwną ich nieużytość, przystęp do archiwum jest wzbronny.

W ogólności wsie wokół Nowego Targu są bardzo dawne. Szaflary naprzykład, o milę od Nowego Targu ku południowi, mają być założone w 1200 roku, czego dowody znajdują się w aktach, z owego czasu dochowanych. Wieś Zakopane miała osadzić jakaś starościna Wielopolska rozbitkami ze zniesionej tam hordy tatarskiej, lotrującemi w miejscowych górach. Na dowód tego przytaczają, że dziś jeszcze pewna ilość rodzin tej wsi zowie się Tatarami, a nawet dochowuje w swoich obliczach rysy mongolskie.

Tu z prawdziwą rozkoszą zapisuję miłą mi wdzięczność dla zacnego męża, który mi dostarczał nie tylko najwięk-

szą część podobnych wiadomości, ale z niezmordowaną cierpliwością wtajemniczał mię, że tak powiem, w życie Podhala. Nie było prawie usługi, którejby mi w tym celu nie ofiarował, do którejby nie był gotów. Jemu to winienem po wielkiej części, com się dowiedział o tej okolicy, com w niej widział. Chociaż obcy rodem tej ziemi, ale się wnarodził swoją dla niej miłością i przez to miał siłę i wytrwałość zbadać ją wielostronnie i głęboko. Wiem od niego, że myśli nawet o publicznem podzieleniu się ze spółziomkami zasobem swoich wiadomości w tym przedmiocie. Bardzo mu życzę, bardzo pragnę, aby swoje przedsięwzięcie mógł przyprowadzić do skutku. O ile go znam, mam prawo sądzić, że dzieło jego byłoby dokładniejsze, ciekawsze, użyteczniejsze, byłoby obrazem zupełniejszym tajemniczej dotąd strony Tatrów, przeszłości tej ziemi i ludu w jego stanie obecnym, jak wszystko, co dotychczas o Tatrach ogłoszono. Spodziewam się tem więcej po jego pracy, że sam jest skromny i bez żadnych do autorstwa pretensyi; powoduje nim tylko miłość naszej ziemi i chęć przysłużenia się jej, czem może. Położenie też jego sprzyja mu bardziej niż komukolwiek. Jeżeli kiedy, szanowny i kochany mężu, dojdą cię te słowa, przyjmij je jako wyraz wdzięczności i pamięci, które ci zawsze zachowam.

PODHALANIE. — LUD.

20 maja 1832 r.

Tatry straciłyby niezawodnie połowę swojego uroku bez swoich mieszkańców; ogrom ich zostałby wprawdzie tym samym ogromem, przyciągałby na chwilę, porywał, zdumiewał, przerażał zmysły, a nawet potraçałby głębiej ducha ludzkiego — ale jak rzadki byłby ten człowiek któryby poczuł życie wewnętrzne Tatrów bez życia człowieka na ich powierzchni, życia, wyższego nad życie kamieni, wód, roślin — któryby zajął się niem tyle, ile dzisiaj każdy się zajmuje, krzepiony życiem mieszkańców. Tatry bez człowieka byłyby tylko ciałem bezludnem, trupem olbrzymim i zajmowałyby o tyle wędrowca, o ile

może zająć człowieka widok niezwykajnego trupa. Uczucie takie może być bardzo gwałtowne, ale prędko nasycy człowieka aż do przesylenia, a wtedy przeradza się w niesmak.

Są w tym stanie pewne krainy; jedne bezładne, inne zaludnione takimi mieszkańcami, że życie ich ziemi im się przez to nie podnosi, że drzewa, wody, skały, zwierzęta żyją więcej, prawdziwiej, jak ich człowiek. Jest i to zajmujące, ale smutne! Komuby trudno było sprawdzić tę myśl na kraju przestronnym, niech poszuka bliżej siebie, a znajdzie, że nieraz widział podobną okolicę, miasteczko, wieś, dom i już oto ma na małą skalę, co przypuszczam o Tatrach bez ludzi.

Nie mówię tego lekko; nie rzucam myśli, co to czasem wyskakuje z pod pióra mimo wiedzy piórodzierzcy. Nie powiedziałbym tego, gdybym się nie znajdował kiedyś niekiedy wśród takich ludzi, żyjących życiem tylko robaka grobów lub ran zaniedbanych, że wolałbym przebyć ten czas z duchem, który objawia swoje życie jedynie szumem drzewa, ruchem wody, tchnieniem wiatru; byłbym już w szereż życia prawdziwszego, pełniejszego, miłszego, wyższego.

Nie stosuje się to do Podhalan. Winienem im za to wdzięczność. Przez wdzięczność chcę zachować ich obraz, bardzo niezupełny, niewykończony, ale ufam, że wierny, o ile go schwyję. Nie przyrzekam więcej. Znam całą trudność poznania i odmalowania narodu. Poznać naród!... Zwracam się do siebie i widzę, ileby to trzeba komuś, żeby mnie poznał! Przez ileto kolei bolesnych i szczęśliwych musiałby przejść razem ze mną! To samo z narodem, tylko na skalę bez porównania ogromniejszą, bo cały żywot człowieka jest chwilą w bycie narodu.

Przystępując wprost do mego przedmiotu, patrzę na górali tatrzańskich ze stanowiska czysto obecnego: nie znajduję go w przeszłości. Światło przeszłości pada bardzo słabo na lud tej okolicy; niema on na scenie publicznego życia takiej głośności, jak mieszkańcy innych naszych okolic. Szczególnem przeznaczeniem, jakieś odosobnienie, milczenie, brak ruchu, odpowiednego ruchowi dookoła, otaczały zawsze ten zakąt. Nie potępiamy jednak

za to naszych górali! Ich byt nie przeminął jeszcze. Jest jeszcze przed nimi przyszłość, i kto wie, jak długa, jak wielka. Zresztą i ta okoliczność przytwierdza, że górale są plemieniem czysto słowiańskim, a człowiek tego rodu nie wyłazi ci łatwo ze swojej nory. Wszakże z drugiej strony widzisz już w góralach coś różnego, jakby niesłowiańskiego, po części może z istoty ich posady ziemskiej, ich położenia, tak fizycznego, jak cywilnego, po części może przez obce wpływy — zgoła, że górale są Słowianami; pod pewnym względem wyżsi, pod innym znowu niżsi od swoich pobratymców. Ale o tem we właściwym miejscu. Zaczniemy od tego, co w człowieku na pierwszy rzut oka uderza — od powierzchowności.

Jest to w ogólności lud dorodny. Wzrost więcej, niż mierny, a w wielkiej części wysoki. Budowa zgrabna, lekka, ale mocna. Ruch pełen życia i zręczności. Głowy nierzadko piękne, bardzo często szlachetne w rysach twarzy, które powszechnie prawie odznaczają się śmiałością, rozumem, wyrobionem życiem, pewną dojrzałością i siłą wewnętrzną, albo przebiegłością, zuchwalstwem, chytrnością, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

Ubiór ich, zanadto obcisły, zanadto kusy, nie jest jednak bez wdzięku męskiego. Był on, jak się zdaje, pierwszym wzorem stroju dzisiejszych huzarów, tylko mniej ozdobny, a raczej mniej upstrzony. Oto szczegóły ubioru górala:

Koszula krótka, mało co przesiągająca piersi — spodnie opięte z grubego białego sukna, u których szwy podłużne zewnętrzne nogawic pokryte są czerwonym sznurkiem — za obuwie ciężmy skórzane, to jest kawałki skóry, przykrępowane tylko do nogi, bez oddzielnych podeszew, rzemieńnem sznurowaniem, które dochodzi mniej więcej do połowy łydek — pas skórzany, szeroki, z kieszonkami i pochwami na nóż i inne narzędzia, zapinający się z przodu na kilka sprzążek — guńka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza, spięta pod szyją, najczęściej z rękawów spuszczone — kapelusz ze dnem niskim, wypukło-krągłym, o wązkich skrzydłach — włosy długie, rozpuszczone po plecach i ramionach, niekiedy splecione w kilka warkoczy — broda i wąsy golone — oto strój górali najpowszechniej

niejszy. Podlega on pewnym zmianom w niektórych okolicach, ale nigdzie co do kroju. Są w nim dodatki i ozdoby, ale te uchodzą tylko młodzieży lub juhasom. Wtedy konieczna jest gałązka za kapeluszem lub pióro z jakiego ptaka dzikiego, spinki błyszczące przy guńce i u rękawów koszuli, wyszywanie na spodniach itd. Wszakże bez tych nawet ozdób strój Podhalań wydaty mi się ładniejszy, jak górali innych okolic. Kapelusze z ogromnemi skrzydłami są dopiero u górali węgierskich w używaniu.

Czas i tu także zaprowadził niektóre zmiany, szczególnie co do stroju głowy. Widziałem dawniejszy na jednym rysunku; podług rysunku i opowiadania, które go dopełniało, był to wysoki kołpak okrągły, ozdobiony množstwem kamyków, paciorek i blaszek w rozmaite wzory, z piórem jakiego ptaka lub gałązką na boku. Nie chce mi się jednak wierzyć, aby ten strój był kiedy powszechnym. Strojąca się młodzież góraliska przeplata i dziś jeszcze długie swoje włosy amarantowemi wstążkami, jak nasze dziewczęta ukraińskie albo parobcy, tylko, że ci ograniczają się na jednym kosmyku włosów pobocznych, który zowią „seledcem“.

Ubiór góralów może razić oczy, nie przywykłe do niego, może nie być w dobrym nowoczesnym smaku, ma nawet ważne niedogodności dla ludzi, nie zahartowanych na wszystkie nieprzyjemności powietrza — ale trzeba mu przyznać, że nie przekształca ani zakrywa składu ciała: tak przylega do niego, tak wydaty wszystkie jego kształty. Ludzie, co go pierwsi wymyślili i odważyli się nosić, musieli być doskonałej budowy.

Rzecz najważniejsza, że z pod tego stroju Podhalań przebija się ich charakter, ich strona moralna. Jest to dla mnie prawdą niezaprzeczoną, że, jak niema przypadku w niczem, tak i w ubiorze; że ten albo ów ubiór, przyjęty zwłaszcza przez pewną ilość ludzi, na czas pewnej trwałości, nie jest rzeczą przypadkową, ale koniecznością i jednym ze znamion widocznych, wyjaśniających stronę człowieka mniej widomą. Nowe potwierdzenie tej prawdy mam na góralach. Kiedym sobie zadał pracę głębszego zastanowienia się, zdumiałem się nad tym stosunkiem,

który zachodzi między ich ubiorem a charakterem. Byłoby za długie, niewłaściwe w tem miejscu, wykladać wszystkie moje porównania, wszystkie wynikłości; strój opisałem wyżej, a teraz wypowiem, ile zdołałem wnikać w tajemnicę ich charakteru.

Góral dzisiejszy jestto już mieszanina chłopca dawnego słowiańskiego i chłopca, zaczynającego cywilizować się oświatą, jaka do sfery ludu najłatwiej przeniknąć może. Zachował on z dawnego wiele dobrych przymiotów i wiele wad rodzimych; zarywa z wyższego ukształcenia, z nowego dla siebie porządku rzeczy — nieco dobrego, wiele rzeczy szkodliwych swojej dobrej stronie, niezgodnych z jego duchem ojczystym. Ma wyższość nad wielu innymi Słowianami przez poczucie w swojej sile, w swojej wartości — i w potrzebie zdolny jest objawić je z wielką energią. Pod tym względem można go uważać za pobratymca, bliższego Serbom i innym plemionom południowych Słowian, jak Słowianom z tej strony Karpat. Rząd jest bardzo ostrożny w stosunkach z góralami: widocznie pობлаża im, niekiedy aż do słabości. W rzeczy samej, biorąc na uwagę ich charakter, ich fizyczność, położenie ich okolicy, lepiej mieć ich sprzymierzeńcami, jak wrogami, choćby z poświęceniem niektórych korzyści panowania, co najczęściej jest pozorne i chwilowe. Górale spostrzegają się na tem przez instykt niepodległości; stąd panujący im nigdy zupełnie rachować na ich miłość nie mogą. Smutny był los urzędników, którzy przez wypadki roku 1809 na Węgry chronić się musieli; droga wielu szła przez Tatry, górale przewodniczyli i przewozili, ale mała liczba ujrzała Węgry. Niewiadomo, co się z innymi stało.

Góral zagrożony, raniony, napastowany ze strony tego uczucia, staje się strasznym wrogiem. Niezdolny do otwartej walki, uzbraja się zemstą, uzbraja się we wszelki oręż, jaki tylko może dostarczyć zemsta najzaciętsza i najskrytsza. Smutne tego przykłady nie są rzadkie, a mianowicie na polu stosunków z dziedzicami. Niedawno jeden góral, upatrzwszy porę i miejsce, schwytał pana swojej wsi, od którego czuł się skrzywdzonym, i z zimną krwią połamał mu ręce i nogi. Co większa, nie zataił tej zbro-

dni; spełniwszy ją, poszedł do sądu i sam odkrył ją starości, nie z żalu, broń Boże, ale przez uszanowanie dla prawa, ciągle utrzymując, że według prawa popełnił zbrodnię, ale zrobił, co był powinien.

Pod tym względem położenie tutejszych posiadaczy szlachty, jest bardzo niemile, a nawet niebezpieczne; jest to trwały stan skrytej wojny, tem obrzydliwszej i zaciętszej, że się toczy między braćmi. Stąd wielu nie śmie wyjechać za dom, tylko zbrojno i w towarzystwie ludzi zbrojnych. To położenie utrzymuje konieczność hajduków czyli służby zbrojnej, do czego sam rząd upoważnia.

Nie zwalajmy jednak całej winy na górala. Zazwyczaj druga strona wywołuje tę walkę przez wymagania bezprawne, przez jakąś krzywdę. Góral staje w obronie swojego prawa, szlachcic naciera silniej, góral zacieka się i poczyna działać zaczepnie. Wtedy się popełnia jakąś niesprawiedliwość — i tak z odwetu w odwet, walka się rozżarza, krzywdy zobopólne tłoczą się na krzywdy, aż przychodzi do tego, że pojednanie staje się prawie niepodobnem.

Ażeby pozostać sumiennym i przysądzić ze złego, co komu należy, trzeba być na miejscu i z blizka patrzeć. Bez tego trudno mieć wyobrażenie, jakim brzemieniem cięży na tutejszym ludzie niektóra szlachta. Jest to chciwość, niemoralność, rozpusta, bezbożność, pycha w całym swoim cynizmie. W tych czasach właśnie jeden z podobnych dziedziców tej okolicy, i to majątniejszych, tak już przebrał miarkę, że został w kajdany okuty i pod sąd oddany. Dosyć słuchać o jego sprawkach z mieszkańcami swojego majątku, aby zadrzeć ze zgrozy wszystkimi wnętrznościami; cóż dopiero musi dziać się z góralem, który jest pastwą podobnego złoczyńcy, z góralem, którego pewne prawa sam rząd najwyższy uznaje i szanuje.

Oskarżają góralów o chciwość i w tej chciwości widzą jedno z główniejszych źródeł pieniania się ich z panami. Prawda, że góral ma za wiele tej wady, jak na Słowianina, ale z drugiej strony trudno być wolnym zupełnie od niej temu, co, jak góral, nic prawie nie ma, kiedy nadto ten, co ma daleko więcej od niego, chce go poświęcić

swojej własnej chciwości. I tu jeszcze zły przykład idzie z góry.

Jakakolwiek jest chciwość górala, może się do pewnego punktu usprawiedliwić, a nigdy nie jest tak wielka, jak na przykład Szwajcarów. Miłość swojej ziemi mocniejsza w nim od ponęty wszelkiej zysku. Jest to jeden z pięknych rysów charakteru naszego górala. Ziemia jego jest mu niewdzięczna, a raczej biedna, jak on; zaledwie ma z niej ziemiaki, owies i nabiał — mimo to kocha ją miłością rzadką, nieznaną prawie mieszkańcom ziem hojniejszych. Kilka tygodni oddalenia od gór już wpływa na zdrowie górala. Górale, brani do wojska austriackiego, stojąc z wojskiem we Włoszech, tak marli z tęsknoty, że musiano przeprowadzić ich pułki do krajów, bliższych góróm rodzimym. Góral, zmuszony potrzebą, puszcza się na zarobek z kosą i sierpem aż za Wisłę, ale jak najprędzej wraca do domu. Za nic w świecie nie zaprzeda się, jak Szwajcar, nie uwięzi się w obcym kraju dla, Bóg wie, jakiego, zysku. Wyobrażenie więc o chciwości góralów jest przesadzone. Ma ona swój karb w przywiązaniu do rodzinnej ziemi, jest bez korzenia w sercu górala; jest raczej niedobrym nabytkiem z obczyzny, której się góral dotyka bądź u siebie, bądź w swoich przemysłowych i handlowych wędrownkach poza krajem domowym.

Wadę ową wynagradza góral trzeźwością, wstrzemięźliwością, oszczędnością. Jest w tem do podziwiania i naśladowania. Trudno przestawać na mniejszem, utrzymywać życie pokarmem skromniejszym i lichszym. Stanowią go powszechnie: żur owsiany i placki owsiane, zwane „moskałami.“ Taki jest powszedni pokarm górala. Ziemiaki nawet mogą się uważać za zbyt kową już potrawę. Przez twardość ziemi i krótkość lata ziemiaki często chybają — a cóż mówić o innych gatunkach zboża, jak na przykład żyto lub pszenica. Nabiał także nie jest pokarmem zwykłym, wyjąwszy dla pasterzy w czasie letnim; reszta idzie na sery, a sery po największej części sprzedają się dla opędzenia innych potrzeb. Jeszcze rzadziej pokazuje się mięso na stole górala.

Ten sposób życia nie tylko, że nie szkodzi góralowi, ale można śmiało twierdzić, że mu jest bardzo korzystny. On

to przyczynia się niemało do utrzymania go w wyższości umysłowej nie tylko nad chłopami innych okolic, ale nawet nad szlachtą ucywilizowaną, a ciału nadaje tę lekkość, wytrwałość, zdrowie, siłę, które wielce odznaczają górali naszych.

Następnie pracowitość i czynność górala jest niepospolita. Rzuca się on na wszystkie dostępne mu drogi pracy. Zajmuje się głównie rolnictwem i pasterstwem — oddaje się potem tkactwu, ciesielce, kowalstwu, furmanowaniu, kupiectwu mniejszemu rybami, nabiałem, owcami, strzelectwu i t. d.

W zatrudnieniach rękodzielniczych góral rozwija niepospolitą biegłość. Takie wyroby, jak naprzykład fajki mosiężne, toporki, torby, są roboty krajowej, wychodzą z rąk krajowców i nie tylko, że są dobre, ale często w wyższym stopniu ozdobne i piękne.

Nie jest rzeczą nadzwyczajną widzieć zegary ścienne, gdzie wszystkie sztuczki są z drzewa, roboty góralskiej, i bardzo dobrze idące. A tymczasem jest to dzieło chłopą, który nie ma ani narzędzi stosownych, ani pojęcia wyższej mechaniki albo wyższych rachunków.

Umysł ich z upodobaniem zwraca się w kierunku spekulacyi, niekiedy wyższej. Niedawno jeden góral z tej okolicy przedsięwziął szczerze zastosować do użytku ludzkiego tajemnicę latania. Kilka lat poświęcił on wymyśleniu i zrobieniu skrzydeł. Mniejsze próbki zadowalały go i utwierdzały w zamiarze; przyszła wreszcie chwila próby na skalę większą. Zaczął od dachu własnej chaty i poszło mu pomyślnie; to go ośmieliło na większą wysokość; w tym celu wyszedł na skalę znacznej wysokości, rozpuścił swoje skrzydła, wyleciał, ale nie mógł utrzymać się długo w potrzebnej równowadze, spadł na ziemię nie po ptaszemu i obie nogi złamał.

Ten przykład maluje przedsiębiorczość górala, jego odwagę. To samo można widzieć codziennie w położeniach, mniej na oko niebezpiecznych, ale w istocie bardzo niebezpiecznych, w ich, naprzykład, życiu strzeleckim. Tam góral zasługuje prawdziwie na poklask uwielbienia. Widząc tylko miejsce, a nie widząc na niem górala w czynności, trudno przypuścić w człowieku tyle lekkości, tyle

zręczności, tyle odwagi. Może to ocenić ten tylko, kto sam dotknął się tych stromów i przepaści. Ja się ich dotknąłem i nie dziwię się tej dumie, która pod różną miarą, ale w każdym góralu się przebija — tej zuchwałości, którą napotykamy w innych położeniach jego życia.

Tak jest, góral jest dumny sobą, stąd ma drażliwość miłości własnej. Drażliwość tę podsycają sąsiedzi z równin anegdotami, żarcikami, poniżającemi górala. Niezdolny odbić podobnych pocisków, albo niemi pogardzić, góral zamyka się w sobie z gniewem tłumionym; stąd widzimy często w góralu nieszczerłość i podejrzliwość. Są to jednak stany przypadkowe; góral z natury swojej jest skłonniejszy do otwierania się i łatwo wierności. A to z ważnej przyczyny, że góral ma silne religijne uczucie.

Wiara górala jest głęboka, pobożność szczerą. Księży ma w poszanowaniu, ale nie jest ich niewolnikiem. Umie i śmie oceniać osobistą ich wartość. Zdarza się naprzykład, że księdzu, każącemu z ambony, nie idzie, jakby powinno iść w takiej chwili natchnionemu Duchem Świętym: uważaj tylko, a oto górale, jeden za drugim, wysuwają się z kościoła, skupiają się na cmentarzu kościelnym — wtedy jeden z nich, zazwyczaj sędziwszy i poważniejszy, staje pośrodku i przemawia w duchu kazania lepiej, jaśniej, z większą godnością i namaszczeniem, jak kaznodzieja urzędowy, i bywa lepiej wysłuchany.

Wypadki te wśród ludu prostego uderzają mnie niezmiernie; w moich oczach rzucają one wielkie światło na przyszły postęp religijny ludu.

Góral jest jeszcze w tem wyższy od wieśniaków innych stron, że każdy prawie umie czytać i pisać, a nawet kobiety. Ile razy jestem w ich kościółku, widzę książeczkę nabożną wręku każdej prawie dziewczyny. Niemala liczba góralów dochodzi do ukształcenia wyższego nad zwyczajne tutaj. Najupodobańsze im szkoły są księży Pijarów w Podoleńcu na Spiżu. Tam powszechnie oddają swoje dzieci i stamtąd wielu wychodzi po zupełnem ukończeniu szkół. Spotkasz nieraz górala za pługiem albo bacę wśród gór, który słuchał filozofii, umie po łacinie, a dziś uprawia rolę albo dowodzi trzodami.

W charakterze góralów jest jeszcze przymiot rządności.

Chaty ich mają pozór przyjemny; budowane z drzewa, ale obrobione gładko, starannie i są obszerne. Przyczynia się zapewne do tego obfitość drzewa, ale jeszcze więcej miłość porządku, czystości i wygody. Izby przestronne, w każdej chacie jedna izba osobna, niby gościnna, gdzie zazwyczaj stoi warsztat tkacki: taki warsztat ma każda prawie rodzina. W chacie utrzymane wszystko czysto, ułożone porządnie. Bydło nie mieszka razem z ludźmi, jak naprzykład w Krakowskiem, ale pod osobnym dachem. Zagrody wszakże są przestronne, wygodne i dobrze utrzymywane — bo też mieszczą w sobie główny majątek górala.

Objechawszy nędzne galicyjskie osady, pod Tatrami dopiero pocieszać się można. Wsie ogromne, ładne — chaty wielkie, piękne, nierzadko domki murowane. Cała zagroda zapełniona budowlami porządnymi. A tymczasem mieszkańcy tych wsi, tych chat, nie zbierają ze swojego pola, jak kilkanaście korcy zarazem owsa i ziemiaków, a i to jeszcze zły rok nieraz wyniszczy. Ale zato jest pracowitość, rzadność, oszczędność, wstrzeźliwość, przemysł. Człowiek wiele nie pożąda, obchodzi się jak najmniej, a pracuje jak najwięcej. Karczmy w powszedni dzień stoją puste; jeżeli napelniają się w dni świąteczne, to i wówczas przewodzi umiarkowanie. Niema zbytku w piciu, niema hałasu. Zabawa nacechowana pewną godnością; koszt jej opędza się zwykle składką, którą w tym celu składają przytomni i chcący należeć do wspólnej biesiadki. Znalazłem ten obyczaj bardzo ładnym i godnym powszechnego naśladowania przez wieśniaków innych okolic. Nie dziw przeto, że górale mogą się uważać za jeden z ludów, używających dobrego bytu. Oni przynajmniej mają się za szczęśliwych na swojej ziemi i dlatego bardzo ją kochają. Mówił mi jeden z nich: „Gdzieindziej ziemia żyźniejsza — ale ani chleb, ani woda, ani powietrze nie są nigdzie tak zdrowe, jak w górach.“ A gdy tak jest, co im szkodzi, że śniegi padają czasem w czerwcu lub sierpniu, że mrozy do 27 stopni po kilka tygodni trzymają, że zima ciągnie się przez całe sześć miesięcy?

Obyczaje góralów w stosunku do kobiet nie są rozwiązałe, nie są też zbyt ostre. Góral pod tym względem

ma wiele wyrozumienia. O zbrodniach z powodu miłości nie słychać; grzechy zdarzają się i trudne są do uniknięcia przy rodzaju takiego życia, jakie prowadzi młodzież obojej płci, szczególnie przez lato: życia spólnego, odosobnionego wśród gór i lasów, w wolności zupełnej i prawie w bezczynności. Górale też między sobą nie są bardzo zazdrośni: nie wymagają od kobiet ściślej niepokalaności. Dziewka, mająca kilkoro dzieci, może być pewna, że dobrze za męża wyjdzie; dla porządnego gospodarza nie jest rzeczą obojętną mieć w dzieciach naturalnych swojej żony gotowych robotników; nadto mniemają, że podobne kobiety są prawie w ogólności dobre gospodynie.

O ile górale są w tym względzie wyrozumiali między sobą, o tyle nie lubią, ażeby do ich kobiet zalecali się obcy, szczególnie szlachta i dworacy. Tacy niech się mają na baczności! Wszakże i tu jest wyjątek dla szlachcica nawet, skoro umiał sobie pozyskać miłość górali; przez prawo nad ich sercem zyskał sobie prawo obywatelstwa między nimi.

Podhalanki, ponieważ ich kolej w tym obrazie przychodzi, mogą stanąć bez zaplonienia się obok Podhalan. Mają one liczne i niepospolite wdzięki płci swojej, jak górale swojej, a nierzadko w takim stopniu i w takiej pełni, że nic do zarzucenia, nic do żądania nie pozostaje. Odsunawszy na bok majątki, ostateczności, jak w pięknym tak w brzydkim, powszechną cechą góralek jest szlachetność rysów: są one zazwyczaj ściągłe, drobne, proporcjonalne, ożywione okiem ciemnym, pełnym, pomiernej wielkości, ocienione brwiami kształtnie i wyraźnie zakreślonymi, włosem bujnym, najczęściej ciemnym. Uwieńczeniu temu odpowiada cała budowa, rzadko zbyt wybujała, powszechnie miernej wysokości; smukła, harmonijna we wszystkich swoich częściach, z nogą i ręką małą. Przyszają te zalety swoim kobietom sami górale, między innymi tą piosenką:

Podhalskie dziewczeczki
Hej! jako sarneczki;
A z dotoń wargule,
Tylko skrobać grule.

Przystosowanie do krępej budowy kobiet na równinach. Pleć góralek przejrzysta, biała, więcej blada, jak zarumieniona — takąż barwa i twarzy, co przy żyjącym wyrazie jest tem więcej nęcące jakimś wdziękiem tajemniczym.

W ubiorze góralek, bardzo prostym, zamyka się wszystko, na co dobry smak w ubiorze wiejskim zdobyć się może; ma więcej, niż nasze ubiory miejskie i salonowe, bo ściśle tylko tyle, ile potrzeba do osłonięcia pięknych kształtów ciała, bez obarczenia ich niepotrzebnymi dodatkami. Biorę ubiór dziewcząt, więcej świąteczny, jak powszedni, chociaż różnica między niemi bardzo mała. Koszula perkalowa, bez kołnierza, wycięta na piersiach i na plecach i ściągnięta sznureczkiem; rękawy jej obszerne, marszczone przy pięści, obszyte i związane czerwona wstążeczką. Na koszuli gorset, przykrojony do kibici, materyalny, najczęściej zielony, obsyty galonem po brzegach; nie uciska on piersi, tylko je robi wydatniejszemi, bo ledwo je w połowie przykrywa, i z przodu zapina się na haftki. Spodnica obszerna, gęsto fałdowana, z materyi lub perkalu w kwiaty, na spodnicy krótszy od niej fartuszek muślinowy — za obuwie żółte buty na wysokich podkawkach. Po tem wszystkim splywa z głowy lub ramion aż do ziemi rąbek z muślinu; z pod rąbka przebyskują na szyi ulubione tej płci błyskotki i ozdoby. Włosy umuskane są aż do zbytku; rozdzielone wierzchem głowy na dwie strony i splecione w jeden warkocz, splywają po plecach. Strój mężatek ten sam prawie, tylko mniej ozdób i głowa związana chustką, której część tylna rozszerzonym końcem spada ku szyi.

Góralki znajdują się na swoich wdziękach i troskliwie je pielęgnują. Trudno zobaczyć góralską dziewczynę pracującą pod gołym niebem bez obowiązki, która czoło i całą twarz zakrywa. Patrząc na te twarze obwiązane, na te oczy, błyszczące z obłoku płótna, stawały mi w myśli kobiety niektórych okolic Wschodu, kryjące podobnym sposobem twarz swoją.

Góralki są śmiałe, przytomne, pracowite, jak górale; są łagodniejsze od góralów, a nawet zalotne. Obyczaje ich są dosyć łatwe. Nie można się temu dziwić, wzięwszy

na uwagę wszystko, co usiłuje zepsuć ładną a łatwowierną w swojej prostocie wiejską kobietę. Nie im kamienowanie za to! Broni je tylko ich niewinność do czasu; jeszcze nawet po utracie tej niewinności nie widzą szpetności złego, w które je wciągnięto. Może to i lepiej dla nich. Może to sprawia, że nierząd nie wydaje między ludem prostym tych skutków straszliwych, jakie nas przerażają w ukształcenijszej warstwie społeczeństwa.

Bądź co bądź, kobiety góralskie odznaczają się wdziękiem łagodnym, który umila nazbyt może twardy i surowy ogół oblicza tego ludu.

ODJAZD W TARNOWSKIE.

1 czerwca 1882.

Opuszczam góry na dni kilkanaście; ważna potrzeba odwołuje mię w Tarnowskie. Korzystam z chwil ostatnich, przebiegam okolicę, napawam się życiem, które tu dopiero zaczyna się objawiać w swojej pełni. Nie tylko przyroda ożywa, ale lud występuje w życiu najpełniejszym, najmiłszym, najrozmaitszym, właściwem jedynie temu krajowi — bo oto nadeszła pora pasterstwa, kiedy górale wychodzą z trzodami koczować w górach przez całe lato. Ruch ten już się rozpoczyna. Trudno, nie widząc, wyobrazić go sobie; równie trudno z pierwszego wejrzenia schwycić jego obraz bądź w ogóle, bądź w szczegółach — dlatego nie śmiem jeszcze dotknąć go piórem. Zostawiam tę czynność na później, a dzisiaj tylko się nasycam, przenikam, tylko się w nim rozpatruję, tylko go zachowuję w pamięci, odeiskam na moich myślach, aby w swoim czasie przedstawić jak najpełniej, jak najwierniej.

Jest to widok tak nowy, tak niezwyčajny dla tego nawet, komu nie jest nowy, tak pełen ruchu, życia wszechstronnego, że go niepodobna schwycić wiernie w całości od razu, jak niepodobna zapamiętać od razu wielkie dzieło muzyczne. Muszę wprzód nauczyć się tego obrazu. Nie chciałbym dać jego kopii martwej i zimnej. Byłoby to — nic nie dać.

POWRÓT NA PODHALE.

15 czerwca 1832.

Powracam z Tarnowskiego. Znajduję dom Łopusznej w żałobie: ojciec pani T(etmajerowej) umarł. Opuścił dom, gdzie się urodził, gdzie przeżył lat ośmdziesiąt. Pustka w domu po człowieku — żal, smutek w pozostałych, a dokoła przyroda cała, życie ludu — rozwija się i podnosi. Wszystko więcej żyjące, miłsze, weselsze, jak w chwili, kiedy się stąd oddalał. Płynmy i my z tym oceanem, płynącym w wieczność! Stratom chwilowym chwila żalu — i dalej w drogę! Kiedyś, gdzieś znajdziemy się wszyscy, a tymczasem zarabiamy na to, abyśmy się znaleźli w miejscu lepszym, niż to, w którym się rozstajemy, w życiu, któregoby żadna śmierć nie przerwała! Umiejmy korzystać z obecnej chwili, zasługujemy, aby ta chwila znalazła się na drodze nieśmiertelności pożądanej, błogosławionej! Ogólne życie świata naucza nas, daje nam przykład, idzie w swoich karmach, pełni swoje prawo, jest każdej chwili, czem być powinno w ogóle stworzenia. Korzystajmy z widomego wielkiego przykładu! Starsze dzieci, poprawiamy się na wzór młodszych, kiedyśmy mniej lepsi, mniej posłuszni od nich — kiedyśmy stracili w nas samych nasze prawo, nasz ideał!

NARZECZE PODHALAN. — SŁOWNICZEK.

18 czerwca 1832.

Nieznacznie, mimowiestnie wędrówka moja wzięła obrót nie w pierwszą myśl moją, a jednak logiczny. Główny początkowo mój przedmiot, Tatry, został podrzędnym, a miejsce jego zastąpił lud jego. Stało się to w skutku przeszkód, nie zależących ode mnie — i nie żałę się na to, przeciwnie, znajduję, że przypadek był mędrszy, niż moje postanowienie. To mi jednak daje do myślenia. Zdawałoby się, że Tatry były tylko rzuconą mi ponętą, aby mię zwać wśród tego ludu, abym, tak zwabiony, miał sposobność zawiązać z nim stosunek miłości, jak nieraz piękne ciała przyciągają wzajem ku sobie dwie osoby, aby między niemi zawiązał się stosunek ściślejszy, wewnętrzniejszy;

ciała wówczas są tylko narzędziami roboty tajemniczej. Podobnie i mnie postawiono wobec tego ludu; zewnętrzność Tatrów posłużyła za narzędzie. Mnie się zdawało, że to powierzchowny urok ziemi, urok zmysłowy porwał mnie w te strony. Bynajmniej; dziś poznaję, że to była władza, przyciągająca człowieka, który je posiada, ducha ludzkiego, który je ożywia. Dziś myśl moja o Tatrach spokojniejsza; bez niecierpliwości czekam na chwilę bliższego poznania się, a cały pęd mój zwraca się ku ludowi. Między innemi, zadałem sobie pracę nad jego mową i zebrałem w tym przedmiocie kilka myśli, wpadłem na kilka uwag. Nie powinien on być nikomu obojętny. Naród odbija istotę swoją w swoim języku, więcej, niżby się zdawało. Wyobrażenie, choćby ogólne, o języku góraków może bardzo ułatwić głębsze ich poznanie. Moja praca jest prawie nic. Nie podobna mi dokonać jej tak, jak czuję, jakbym pragnął. Jest to nic więcej, jak próbka, jak zachęta dla innych, jak ziareczko do przyszłej uprawy na tem polu — a daj, Boże — przyszłego plonu.

Pisarze nasi szczególnież powinni by, przez swój własny interes, zająć się mocniej nauką tej rzeczy. Słownik góralski, przedmiotów świata góralskiego, jest, według mnie, w naszym języku książkowym dosyć ubogi; nie zdąża w tem za innemi językami, posługiwać się musi nieraz nazwami obcemi albo określeniami. Kto wie, czy byśmy go nie zbogacili, gdybyśmy się lepiej obeznali z mową Tatrańców? Łatwo jest przypuścić, że lud, zamieszkujący od wieków góry, musi mieć swoją nazwę dla wszelkiego ich szczegółu. Ja sam natrafiłem już na wyrazy zupełnie mi nieznane, a nieraz byłem w ich potrzebie i musiałem latać mój niedostatek, jak mogłem; umieszczam je w załączonym tu słowniczku.

Dwa plemiona góralskie gnieźdzą się na całej długości pasma najwyższych Karpat, przynajmniej na ich stoku północnym: górale, zwani ruskimi, i drudzy, zwani polskimi. Pierwsi mówią po rusku, drudzy mają narzecze właściwe sobie. Siedziba góraków ruskich rozciąga się od Bukowiny aż do sanockiego obwodu, a nawet jasielskiego, gdzie w pewnej przestrzeni jest widoczna mieszanina

dwóch języków, ale od tego kresu reszta Karpat, aż do Morawii, osiadła jest już góralami drugiego plemienia. Mowa, czyli narzecze jego, nie jest to język czysto polski, nie jest nawet zupełnie krakowski, mimo to spotykam w niej często na wyrazy, znane mi tylko z niektórych dawniejszych pisarzy, takich naprzykład, jak Rej, Kochanowski i t. p. Dla tego skłaniam się bardzo ku myśli, że górale jedni dochowali może w największej czystości polską mowę z owych wieków, gdzie wszystkie języki słowiańskie, pilnując się więcej spólnego swego źródła, mniej się między sobą różniły. Narzecze albowiem Podhalan, ściśle roztrząśnięte, wydaje się być tylko zlewkiem wielu języków, a głównie polskiego, morawskiego, słowackiego i ruskiego. Prawda, że go dotyczą wszystkie te ludy, i to sąsiedztwo mogło wpłynąć na mowę górali, co po części mam także za prawdę niezawodną, ale nie idzie za tem, żeby jaka mowa nie miała swego własnego korzenia, swojej posady odwiecznej, swego tła rodzimego. I ma je niezawodnie. Taki lud, jak góralski, z natury swojego położenia niełatwo przyjmuje obce, jeszcze trudniej puszcza swoje. Ale dłuższe rozprawianie o tem nie jest moją rzeczą. Chcę tylko dać ogólne wyobrażenie obecnego narzecza Podhalan.

Słowniczek, niżej umieszczony, jest to próbka, powtarzam, bardzo małoznaczna — pokaże jednak niektóre odcienia tej mowy, niektóre jej żywioły. Dla mnie samego była ona nieraz potrąceniem do głębszego zastanowienia się nad kolejami tego ludu w jego bycie wiekowym. Nie zostało mi wprawdzie nic więcej stąd, jak domysły, przypuszczenia, ale je zachowałem w pamięci na przyszłość.

SŁOWNICZEK JĘZYKA PODHALAN.

Hala — Tatry, także pastwisko (hala). Najwłaściwiej jednak wyraz ten oznacza góry. U dawnych Sarmatów góra zwala się także „Ala.“ Naród Alanów wychodził z pod gór kaukazkich. Jest więc jakieś powinowactwo między wyrazem „Alanin“ a wyrazem

- Podhalanin*, który oznacza górala z pod Tatrów.
Podhale — kraj, leżący u podnóża Tatrów.
Polana — pole czyste wśród gór i lasów, gdzie się trzody latem wypasają.
Groń — wierzch.
Gronik — wierzchołek. Podobieństwo z polskim „gran“, zachowaniem w wyrazach: czworogran, sześciogran, ośmiogran i t. d.
Turnia — skała naga, stroma. Znalazłem ten wyraz w jednym najdawniejszym starosłowiańskim przekładzie psalmów, użyty w znaczeniu wyrazu „kolumna.“
Uplaz — równina między skałami.
Drapa — przykry bok góry, także rozdół, wąwóz skalisty, parów.
Skala — wszelki gład, kamień.
Borowacizna — miejsce bagniste w górach, zarosłe mchem i kozodrzewiem, a niebezpieczne stąd, że, przebiwszy tę powłokę, można utonąć w bagnie, które jest pod nią.
Młako — bagno.
Łaz — miejsce wypalone z zarośli na pole.
Hator — pastwisko.
Otawa — potraw, łąka skoszona.
Juhas — pasterz, chodzący około trzody przez czas letniego jej przebywania w górach.
Baca — naczelnik pewnego oddziału juhasów. U Szwajcarów „batz“ — moneta miedziana.
Bacówka — chatka pasterska w górach — także
Szałas — szwajcarskie „chale“, albo
Koliba — u Czerkiesów „koliba“, pokolenie, to samo, co u Szkotów „klan“.
Gruby statek — bydlę rogate.
Drobny statek — nierogacizna.
Strzyżka — owca.
Jarka — owca jałówka.
Wetula — koza jałówka.
Zywina — wszelkie bydlę.
Kirdel — stado np. owiec.
Hatiar — źrebiec.
Żętyca — warzonka wszelkiego rodzaju mleka.
Galet — wiaderko do dojenia.

- Watra* — ognisko w polu. Wyraz znany na Ukrainie i znaczący: ogień w piecu.
Plekać, wyplekać — odessać, odcykać mleko.
Jedla — jodła.
Smerek — świerk.
Świerk — modrzew.
Limba — rodzaj cedru w górach.
Sochacze — sterczące przy drzewie reszty uciętych gałęzi.
Rąbanica, cieślica — siekiera zwyczajna.
Ciupaga, } — mała siekierka, toporek, osadzony na
Wataszka } rękojeści mniej więcej długiej, albo na lasce; rodzaj broni góralskiej. Zowią ją także „wachlarz.“
Zboże — owies.
Jarzec — jęczmień.
Karpiel — brukiew.
Gruła — ziemniak, kartofla.
Moskal — placek owsiany.
Gadzina — domowe ptastwo, drób.
Gacek — nietoperz.
Gazda — gospodarz, kmieć.
Hawiasz — górnik.
Bania — kopalnia, ruda żelazna.
Pacholek — zbójca.
Niewiasta — synowa; — ruskie „newistka“.
Frairka — kochanka (zdaje się: z niemieckiego wyrazu „Fräulein“, panienska).
Kopiniak — płaszcz; wyraz perski, oznaczający niemal to samo.
Gajdy — spodnie, hajdawery.
Łagiew — barylka.
Palenka — gorzałka.
Zagłówek — poduszka.
Piparek — cybuch.
Godziny — zegar.
Murań — ma to być każde miasto murowane, a raczej miasto grodowe.
Bursa — zabawa składkowa w zapusty.
Gwara—hwara — mowa, język.
Hasen — zysk.

- Tyżeń* — tydzień.
Chodnik — ścieżka po nagich górach.
Perść — ścieżka w górach między zaroślami.
Chodza, czesta — droga.
Fruhaniec, furmaniec — gościniec bity.
Cierpiałka — krzyż, figura przydrożna.
Ztyraz — szubienica.
Centyrz — cmentarz.
Jaz — tama wodna.
Strysz — kra drobna.
Kurniawa, fujawica — zamieć zimowa.
Srężoga — mgła na pogodę.
Ciekawy — złodziej.
Zdatny — oszust.
Swaty — święty.
Swarny — dzielny, tęgi.
Podufały — zuchwały.
Chytry }
Wartki } rączy, prędki.
Fryszki }
Niżni — niższy.
Wyżni — wyższy.
Hasnować — zyskiwać.
Pytać — prosić, żądać.
Banować — żalować, trapić się.
Naprać — nałożyć, napakować.
Zahubić — zapomnieć.
Zbesnieć — zepsieć się, wściec się.
Chodzić na fraj — chodzić w zaloty.
Radykać — szybko iść.
Strybać — pić co gęstego, chleptać.
Hładzić — upatrywać, pozierać (ruskie).
Ciarac — mieniać. *Ciarach* — nienawistne nazwanie szlachcica u ludu krakowskiego.
Miesiukać się — śpieszyć się.
Dawać pozor — dawać baczność.
Niepeć — niełatwo.
Drzewiej — pierwiej, dawniej.
Dawniej — prędzej.
Dosiela, dotela — dotąd.

Suczy — przystoi, należy co do czego.

Sleobodno — wolno.

Kirkak — na plecach (nieść).

Haj — tak jest.

Bie, zie, — odpowiada czasem mazurskiemu „dyć“; niekiedy polskiemu: „ba“!

Ażebym dał dokładniejsze jeszcze wyobrażenie o mowie Podhalań, wypiszę tu niektóre sposoby ich mówienia. Są to wyjątki z jednego wiersza, który jest niewątpliwie napisany przez poetę górala. Cały wiersz nie zasługuje na umieszczenie; jest ciekawy tylko dla niektórych miejsc, malujących duch języka i duch górala.

We wszystkich tych wyjątkach jest to góral, który mówi.

Skądżeście wy, panasku? O co się pytacie?
Słówka wam nie rozumię, kiepską hwarę macie!

My tu Lachem zowiemy zakrakowskich ludzi,
Bo tam suknie z wielkimi nosą kołnizami,
My tu zaś po góralsku, jak widzicie sami.

Bie — kej jesce, panasku, mam iść dobrą milę.

Juzeksię tu i zestarzał, jak widzicie sami,
Nie słysałeś-k, zeby kto tak robił...
Ty-ta sobie wywodzis jakieś worensyje.

Jesce-byś mnie i stsylał, dieboł ci w maciezy.
Miałbys ci mnie w łeb stselić, wpsód ja cię zastsele,
Tylko się s mym na tobie wachlazem ośmielę.
Znaj ze wachlaz góralski, — tsysta w garle stoi! —
Rozumiales, ze się cię lada góral boi. —
Dieboł wie, na co się was tu skidało tak wiele;
Takeście tu potsebni, jako psi w kościele.
Nie będzies mi się włócył, ty Lutse Marcinie,
Zabiję ja cię, nie trwam (nie dbam) na twoje pytanie (prośbę)
Widzis, takie góralskie jest pozałowanie.
Abyścić nie uciecył, mógłbys-ci mię zdradzić,
Wytnę cię w łeb wachlazem, wolę ja cię zgładzić.

Kiedy nie tak, jak ongi, padło w Bujakowie,
 Co się chłopci natłukli takiego po głowie,
 A nie mogli go zabić, az wzięli na Sołę,
 A on jesce wypłynął w chwilę pod stodołę,
 Aze chłopci musieli brnąć w Sołę do niego,
 Ledwie i tam stłumili bestyę takiego.
 Takie to te psy twarde, jak wąż, do zabicia,
 Napapęzys się dobrze, nim pozbędzie zycia.
 Ale ja go zabile-k, mam w Bogu nadzieję.

O tak, niech znają, ześmy chłopcy swarni,
 Chociaz wychowani w lasowej owcarni!

Wszystkie te próbki powyższe, jakkolwiek nieliczne, są wyjęte wiernie z ogółu podhalskiego narzecza; powinny więc dać o niem pewne wyobrażenie.

W dopełnieniu ich to jeszcze powinienem powiedzieć:

Odgarnawszy na bok z narzecza podhalskiego niektóre obce mu naleciałości, znajdziemy wkońcu tło główne, jemu tylko właściwe, odwieczne rodzinne. Jest to jedno z narzeczy języka polskiego, takie, jak mazurskie, śląskie itd.; gałąź, więcej niż ze pnia polskiego, bo z tego samego korzenia, co i główny pień polski. Były czasy ich zupełnej jedności, rozdzieliły się później; dzisiejszy pień polski, silniejszy życiem, strzelił w najwłaściwszym kierunku i rozrósł się w drzewo główne — inne zostały tylko odroślami bratnimi. Cała budowa języka Podhalan, duch jego, członki pojedyncze, wiązanie ich — wszystko w nim okazuje brata językowi polskiemu, brata bliźniaka. Przyczyna niektórych różnic w tem głównie, że pozostał ciągle językiem ludu nielicznego, oddzielonego, zacienionego i położeniem swoim i sferą tak swoich potrzeb, jak dążeń, w zatoce prądu głównego.

Mowa Podhalan najwięcej się zbliża do krakowskiej; to samo mazurzenie wyrazów przez wyrzutnię głoski *z*, przez zamienienie litery *a* na *o* szczególnie przed *n*, jak naprzykład: pan — pon.

Jest mu właściwe, i to świadczy o duchu starym tego języka, kończenie pierwszej osoby pojedynczej przez *k* na miejscu naszego *m*; naprzykład miałek zamiast miałem,

W wielu razach Podhalanin przerabia tylko swoim krojem wyrazy polskie przez zamianę jednej głoski na inną, w której ma większe upodobanie, jako to: *g* na *h* — na przykład: *g w a r a*, *h w a r a*; *ł* albo *w* na *l* — naprzykład: *j o d ł a*, *j e d l a*; *s w o b o d n o*, *ś l e b o d n o*. Tak zamienia *ę* na *u*, a w wyrazach pieszczących *e* na *i*, naprzykład: *J a n e c z k u* — *J a n i c z k u*; *c z a p e c z k ę* — *c z a p i c z k u*.

Napotykam tylko każdy szczegół — nie zamierzałem rozprawy uczonej. Kończę na tem, że język ten brzmi przyjemnie w ustach dobrze mówiącego; wybitny jest we wszystkich odcieniach, bądź łagodnych, bądź ostrych, i nagina się do wszystkich — ale trzeba się z nim oswoić, aby wszystko łatwo schwycić w rozmowie z górale, zwłaszcza, że mowa ich jest więcej szybka, jak powolna.

PASTERSTWO W TATRACH. — PIĘŚNI PASTERSKIE.

22 czerwca 1832.

Górale są ludem pół rolniczym, pół pasterskim, więcej pasterskim, jak rolniczym, a może nawet głównie pasterskim. Wielce się przez to wyjaśnia zagadka jego charakteru, odszukiwanie niekiedy od ducha słowiańskiego. Góral jest Słowianinem przez miłość namiętną swojej ziemi, którą praca rolnicza około niej bardzo zasila i rozwija. Stąd w nim przymioty słowiańskie, cnoty słowiańskie, dzieci tej miłości; można więc powiedzieć, że góral jest Słowianinem przez rolnictwo; pasterstwo zbliża go do ludów pasterskich na wschodzie. Przypatrzmy się dobrze góralom z tej strony, a znajdziemy dziwne zbliżenie pomiędzy niemi a pasterskimi plemionami, naprzykład Arabów; zbliżenie w charakterze, dobrych przymiotach a razem złych skłonnościach. Już to dawno postrzeżono, że jest coś w pasterstwie, co zaszczebia w człowieka pewien rodzaj energii dzikiej; tę energią mają Arabcy, którzy są jedynie pasterzami — tę energią mają i nasi górale, i w tem zostawiają powolnych Słowian za sobą.

Ala w tej chwili patrzę na pasterstwo góralów z innej

strony — zachowuję więc ideę powyższą na później a wracam do przedmiotu właściwego.

Góral jest głównie pasterzem. To jest główne utrzymanie jego życia, główny wdzięk jego życia; to jego praca najgłówniejsza, to dla niego najmilsze i najwdzięczniejsze pole pracy.

Trzeba go widzieć, trzeba widzieć jego życie, jego góry w porze pasterskiej. W rzeczy samej jest co widzieć. Ale wtedy pomijaj wioski i chaty: idź w góry, drzyj się po górach, szukaj miejsc najstronniejszych, wystawiaj się na upał, nie dosypiaj nawet nocy, bo tylko tam i takim sposobem zobaczysz górala w jego żywiole, pokochasz wdzięk jego życia! Tak ja robię od mojego tu powrotu z pod Tarnowa. Wynagradzam sobie czas stracony i mogę powiedzieć, że w części wynagrodziłem. Co przez ten czas uzbierałem, tego w zupełności słowa nie wydadzą. Podzielię się tem, czem się podzielić mogę.

Pasterstwo w Tatrach ma swoją organizację; kilka więc słów o tej organizacji.

Dłuższa zima w Tatrach niż w górach niższych, jałowość Tatrów, a nawet w porze płodniejszej rzadkość pastwisk czyli polan, zmuszają największą część Podhalańszczyzny szukać swojemu dobytкови pożywienia letniego w oddalonych miejscach, w przedgórzach; jest to konieczne dla handlu nabiałem, a mianowicie serami, który jest najważniejszy dla górali. Na ten cel każda wieś ma kilku lub kilkunastu gospodarzy porządniejszych, przedsiębiorców niejako, trudniących się przez lato wyłącznie tym przemysłem; jednemu więc z nich, na mocy pewnych układów, pewna liczba mieszkańców powierza swoje bydło. Jego już jest powinnością wyżywić trzodę, zebrać nabiał, robić sery, i t. d. Taki naczelnny pasterz zowie się „baca.“ Ma on do pomocy w tem gospodarstwie kilku lub kilkunastu pasterzy, od niego zależnych, poddanych jego kierunkowi, którzy się zowią „juhasami.“ Jest to zazwyczaj najdorodniejsza młodzież. Ich obowiązkiem paść powierzoną im trzodę, pilnować jej, opatrywać ją, doić krowy, owce i kozy, warzyć żętycę, urządzać masło, robić sery itp. pod kierunkiem bacy, który jest naczelnym wodzem juhasów i trzody, a pełnomocnikiem odpowiedzialnym przed

właścicielami powierzonego mu dobytku. Baga też zawiera umowy o polany bądź z właścicielem jakiej wsi, bądź z gromadą. Osnowa umowy jest zwykle ta, że mu wolno, jeżeli ma do czynienia z gromadą, wypasać swoją trzodę po wszystkich polach, łąkach i lasach w obrębie tej wsi — a po całej własności prywatnej, jeżeli ma do czynienia z pojedynczym właścicielem. Zresztą różne są rodzaje tych umów, stosownie do zobopólnego przyzwolenia obu stron. Właściciel ma prawo oznaczać miejsca na koszary, czyli nocne stanowiska trzody, według tego, jak chce sobie użyżnić pewne miejsce nawozem trzody. Stosunek jest często kilkunasto-, a nawet kilkadziesiątletni, dlatego pośrodku podobnych wypasów stoi porządna, drewniana budowa; służy ona bacy za dom, juhasom za przytułek; tam nadto składają się wszelkie naczynia pasterskie, urządza się i przechowuje się nabiał; jest to zarazem mieszkanie, fabryka, magazyn a nawet sklep handlowy. Budynek ten zowie się „bacówka“, czasem „szalas“ albo „koliba“. Jest on zwykle porządny, z dobrego i gładko obrobionego drzewa, jak wszystkie budowy góralów, o jednej lub dwu izbach, o jednych drzwiach; okien niema prawie żadnych. Pośrodku bacówki leży wielki kamień, na którym roznieca się ognisko, pod ścianami łózka ze mchu i paproci; naczynia do nabiału lub z nabiałem są rozmieszczone po półkach lub rozwieszane po ścianach.

Życie zwyczajne pasterzy podczas letniego koczowania jest bardzo skromne; całym ich pokarmem chleb i nabiał, a głównie „żętyca“, czyli przewarzona mieszanina mleka wszelkiego rodzaju. Jest to rodzaj serwatki, tylko bez porównania smaczniejszej, gęstszej i posilniejszej. Własność jej, lecząca z osłabienia ciała przez wycieńczenie, znana jest sąsiadom Karpat. Z początku sprawia rozwolnienie żołądka, ale po dniach kilku zaczyna wzmacniać i tuczyć. Psy pasterskie nie znają także innego pokarmu, tylko żętycę, i mają się jak najlepiej.

Niekiedy, wyjątkowo, wyprawiają sobie juhasy pasterskie uczy. Dzień to zwykle świąteczny, a pora nocna, kiedy trzoda odpoczywa już, zamknięta w koszarach. Wówczas dopiero jest na stole i mięso, wódka krąży

w kieliszkach — wówczas przy śpiewach i muzyce ma też miejsce i taniec. A jak ta zabawa jest prawdziwą zabawą, można to pojąć, przeniósłszy się myślą w kraj równie piękny, pod niebo równie wypogodzone, w dusze równie swobodne.

Życie to pasterskie rozpoczyna się powszechnie w pierwszych dniach czerwca, a zamyka się pierwszych dni września. Przez cały ten czas Podhale przedstawia widoki, nieznane krajom równym, o których nie można mieć prawdziwego wyobrażenia, nie dotknąwszy ich własnymi zmysłami.

Ile tylko roślinne państwo ma płodności pod tchnieniem wiosny, ile tylko życia i uroku może mieć pasterstwo — wszystko to w owych trzech miesiącach zalewa tę okolicę.

Wiosna pełna objawia się tu właściwie dopiero w końcu maja; zato też objawia się odrazu pełniej, niż gdziekolwiek indziej. Roślinność, przytłumiona długim zimnem, rozwija się we dwójnasób szybciej i bujniej; zaledwie można się postrzedz na jej przejściu z martwoty do pełnego życia. Cała okolica wychodzi od razu w swoim stroju świątecznym wiosennym, jak kobieta ze swojej gotowalni; uderza cię tem mocniej, że nie musiałeś być świadkiem jej ubierania się.

W owych to dniach ostatnich maja rozpoczyna się pasterska wędrówka górali i rozlewa się z głębi Tatrów na kraj okoliczny. Ruch ten prześliczny podnosi jeszcze bardziej młode życie przyrody. Miałem radość być jego świadkiem, a z miejsca nieraz takiego, żem go ogarniał spojrzeniem w części jego najważniejszej.

Widzisz naprzód, jak w oddaleniu, z ciemnej głębi Tatrów wysuwają się ciemne karawany, nie rozpoznane jeszcze; powoli zbliżają się ku tobie coraz wyraźniejsze, coraz ogromniejsze — wkrótce kupią się wszystkie w dolinie, zalewają jej przestrzeń, przesuwiają się po niej. Zaczynasz rozróżniać w tym tłumie ludzi, konie, bydło wszelkiego rodzaju, wozy naładowane różnemi sprzętami — po pewnym czasie tłum ten zaczyna się rozdzielać na różne drogi, w różnych kierunkach — każdy oddział zmierza ku przedgórzom — aż póki wszystkie nie znikną w setnych wąwozach — ale zato jutro widzisz już wszyst-

kie góry, lasy, polany, zaludnione trzodami, słyszysz ze wszystkich stron dzwonki, zawieszane u szyi bydła — zewsząd uderza cię granie fletów, skrzypców — ze wszystkich szczytów rozlega się śpiew pasterzy i pasterek, a dzikie skały odpowiadają ich hukaniu.

W tej to porze trzeba poznać góry, a kto je tak pozna, temu trudno nie pokochać ich i później nie tęsknić za nimi; tak ja przynajmniej sędzę z tego, co sam doznaję.

Życie takie nie ustaje razem ze dniem; długi przeciąga się w noc. Tej chwili szczególnie pilnuję, i wtedy dopiero upojenie jest zupełne. Obieram sobie zazwyczaj miejsce dalekie od wsi, ustronne, wyniesione, w pół omroczone drzewami, i czekam, aż ucichnie gwar dziennej muzyki, ryk i dzwonki pasącego się bydła, aż przemoże cisza nocy i okolicy; wtedy rozpoczyna się muzyka nocna, odpowiedniejsza temu, jeżeli bydlę ryknie zabłąkane, i słyszysz w głosie jego trwożę, co zasiadła po dzikich miejscach; jeżeli śpiew się odezwie, to czujesz w nim serce, które szuka drugiego serca, a wśród tego stąd i owad wyrывa się huknienie pasterki ostre, długie, obija się o skały, oblatuje echem całą okolicę i ginie gdzieś w przepaści oddalania.

Wtedy to roztacza się wokół mnie żyjącem przypomnieniem noc ukraińska ze swojemi „ułyciami“, ze swojemi śpiewami. Tyle bo jest podobieństwa w śpiewie, szczególnie góralek, w długim jego przeciąganiu, do śpiewu naszych dziewczek, ukraińskiego, tęsknego, wlokącego swój smutek w jakąś nieskończoność, zatrzymującego się na pewnych tonach, jak żeby serce przysłuchiwało się samo sobie — i po chwili niknącego w nieschwyconej nieskończoności. Niema tego uroku śpiew góralski: jest mniej rzewności, mniej słodczy w jego dźwięku — ale wiele go przypomina.

Na próbkę tej muzyki i poezji umieszczam niektóre ich śpiewy. Może one przeniosą, chociaż jako tako, czucie czytającego w tę chwilę, która mię tyle upaja.

I.

Juhasy, juhasy, coście owce paśli,
Zgubiłam wianeczek, wyście mi go naśli.

Juhasy, juhasy, dyć się Boga bójcie,
 Zgubiłam wianeczek dyć mi go powróćcie.
 Zgubiłam wianeczek, w zielonej ubocy,
 Ten mi go powróci, co ma carne ocy.
 Dyć-em się taila, taić się nie będę,
 Gotuj kolyseckę, ja pieluski będę;
 Gotuj kolyseckę z drzewa limbowego.
 A ja pielusecki z rąbka bielonego.

II.

Idzie woda, idzie, z daleka się sieje,
 Idzie mój Janicek, z daleka się śmieje.
 — Idzie woda, idzie, drobny piasek niesie,
 Cekaj mię frairko w smerckowanym lesie.
 — W potoku za laskiem siwe konie piją,
 Nie chodź tam, Janicku, bo cię tam zabiją.
 Bodajże ta woda, bodajże zmalala,
 Cobyś cię, Janicku, pierwej увидziała.

III.

Hej! tęskno mi, tęskno, sama nie wiem, cego,
 Bez mego Janicka, dalekom od niego.
 Boli mię główecka, serdusko nie cuję:
 Hej! nikt tego nie wie, za kim ja banuję.
 Bodaj ten cłek nie zył, bodaj nie wiekował,
 Co on to kochanie na świecie fundował.
 — Nie płac, frairecko, otsyj sobie ocka.
 Pysdę ja do ciebie, jak się ściemni nocka.

IV.

Bodaj cię Bóg skarzał, bodajesz skamieniał,
 Jak będziesz, Janicku, odemnie uciekał.
 — Widziałas ty, dziwcę, ten kamień nad wodą.
 Hej! jak on popłynie, ozenie się s tobą.
 — Widziałeś ty kiedy, zeby kamień pływał?
 Cemuś się zalecał, kiejć się zenic nie miał?

Leciały gołębie, w źródle wodę piły,
Bodaj cię, Janicku, moje lzy zabily.

V.

Bodaj ty, dziewczyno, maliniaku (?) zjadła,
Coś ty Janickowi do serduska wpadła.
Chyba cię, dziewczyno, dyabli malowali,
Co do twoich licek taką krasę dali.
— Ej! dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba,
Bo do moich licek takiej krasy tseba.

VI.

Hej! Ładnaś, dziewczyno, ładnaś i do smaku,
Nie zal mi pódć z tobą z hory taj do światu.
Ja pódę po wirsku, ty pódzies doliną,
Jak się nie zendziemy, to se wezmę inną.

VII.

Werbuja, werbuja i na siłę biorą;
Hej! nase frairki, gdzie się nam podzieją?
Hej! trawka zielona, kto ją będzie kosić?
Jak pódę na wojnę, budę sablę nosić.
Włosy moje, włosy, moje carne włosy,
Nie będą otsasać s popod buków rosy.
Bodaj ten Nowy Sąc pioruni rozbili,
Zeby nam tam bezeń chłopców nie gonili.
Bodaj ten Nowy Sąc pioruni stsaskali,
Zeby nam do niego chłopców nie bierali.
Nowy Sąc, Nowy Sąc, hej! okrągłe miasto;
Do niego syroko, ale z niego ciasno.

Reszta śpiewków są albo ułamki śpiewów większych,
albo śpiewki w duchu krakowiaków.

Hej! sykość ty mnie, mój Janicku, budził,
Pokiś wianecka u mnie nie wyludził.
Wzięles wianecek, weźze i mnie samę,
Bó bez wianecka sierotą zostanę.

Nie było mnie w doma, byłem za górami;
 Moja frairecka posła z zbójnikami.
 Albo się zwerbuję, albo pójdę na zbój,
 Juz ci ja, frairko, nigdy nie budę twój.

Leciały gołębie, leciała ich para,
 Kiedy ja cię kocham, to drugiemu wara.

Zasię chłopcy, zasię,
 Kupilem se Kasię;
 Dałem krajcar za nią,
 Nie patscie mi na nią.

Choćbyś mnie ty, matko, w sksyni zamykała,
 To mię nie upatsyc, kiej ja będę chciała.

W moim ogródecku majeronek bujny,
 Niech do mnie nie chodzi, tylko zbójnik sumny.

Czemu ty, dziewczyno, nie chcesz na mnie patsyc,
 Jak ja cię nie wezmę, nie wezmie cię ślachcic.

Dziwcęta, dziwcęta, cobyście wiedziały,
 Co to za zaraza ten parobek stary.

Wysoki zamecek,
 Wziąłeś mi wianeczek.
 — Wyzsa jesce skała,
 Samaś mi go dała.

Ku potoku wartko idę,
 Czarny gawron wodę pije.
 Pije, pije, pokrakuje,
 Moja miła poplakuje.

Jabym orał, jabym siał,
 Jabym ciebie, dziwcę, chciał;
 Kiejby mi cię chcieli dać,
 Umiałbym cię sanować.

Hej! niéma to, jak juhasom:
Nic nie robią, tylko pasą,
Na groniki wybiegają,
Za stszykami pozierają.

Hej niemas to, niemas, jako pod halami:
Naucą cię spiewać dziwki za owcami.

Choć ja pod halami, nie chcę Podhalana;
Zdariałbym se nogi po same kolana.

Dyć to pod halami syćko dobrze rodzi:
Owiesek posiejes, zytko się urodzi.

Podhalskie dziwecki,
Hej! jako sarnecki —
A z dolów wargule,
Tylko skrobać grule.

Niektóre z wierszy, umieszczonych powyżej, mogą być całością skończoną, nakształt krakowiaków; o innych mam przekonanie, że są urywkami, należącemi do pieśni większych. Umieszczam jedne i drugie w nadziei, że ich całość później się odszuka. Jestem za tem, aby na polu poezyi gminnej zbierać i składać jak najstaranniej wszystko, cokolwiek się nastreczy. Robić brak między niemi w tej chwili, w tym stanie, w jakim je dziś mamy, byłoby niewłaściwem i szkodliwem, bo ich wartość pokaże się dopiero obok ich całości, a dziś wszystkie prawie zasługiwałyby na odrzucenie. Lepiej zachować je, jak są, i starać się o więcej.

MUZYKA I TANIEC GÓRALÓW.

25 czerwca 1882.

Obraz Podhalan w ogólności a w szczególności ich pasterstwa nie byłby zupełny, gdybym nie powiedział coś o ich muzyce i tańcu; muzyka i taniec są w ich życiu, są w chwilach pełniejszych czuciem, ruchem i wdziękiem

— są więc ważną częścią jego życia, nieobojętnym rysem jego oblicza dwustronnego: wewnętrznego i zewnętrznego.

Narzędzia muzyczne, najpowszechniejsze między góralami, są: skrzypce, gęśl, bas, lira czyli kobza, i dudy, to jest dwie piszczałki, wprawione w miech z koziej skóry — ale powszechniejsze są flety, piszczałki, fujarki i dudki rozmaitego rodzaju, nakoniec trąby pasterskie czyli ligawki.

Skrzypce, basetla, gęśl, stanowią muzykę więcej domową, konieczną, gdzie są tańce; można jednak czasem usłyszeć skrzypce i gęśl w głębi gór najustronniejszych. Kobza i dudy są najczęściej instrumentami śpiewaków, zebrzących muzyków błędnych. Najulubieńsze juhasom i górcom są ligawki i cała rodzina piszczałek. Ligawka służy juhasowi głównie do porozumienia się z trzodą; jej to głos wyprowadza trzodę na pastwisko, skupia, ile się razy zanadto rozprószy, i na nocleg do koszar zwołuje. Ligawka jest to drewniana trąba, długa do dwóch łokci, niekiedy więcej; głos jej, donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, wydaje się, jak żeby z ich piersi był wydobyty, i dziwne robi wrażenie, a nawet bardzo miłe, kiedy się rozlegnie po głuszy lasów i dolin, kiedy się łamie na skalistych szczytach i ścianach.

Milsze są od niej łagodniejszym dźwiękiem piszczałki. Są one rozmaitego kształtu. Zajął mię szczególnie jeden rodzaj. Jest to flet, otwarty z obu końców, i ma tylko dwie dziurki dla dwóch palców — mimo to ma głos dziwnie miły i rozmaity. Wygrywano na nim jak najdokładniej wszelki śpiew góralski.

Co się tycze ich muzyki, skala jej nie jest rozległa. Śpiewy ich są posępne, wysiłone, przeciągłe — wyobrażają niejako hukanie z jego rozgłosem po górach. Jest w nich pewna jednotonność — dlatego uczenie się ich trudne; udało mi się jeden zrozumieć, i zdaje mi się, że już wszystkie umiem. Mimo to, słyszane między górami, nie tylko że nie rażą, że nie męczą — przeciwnie, ożywiają, porywają, zachwycają.

Równie trudno dać wyobrażenie o tańcu góralskim. W niektórych częściach przypomina on taniec Rusinów — ale ma jedną figurę, właściwą tylko góralom, kiedy góral,

zamknięty krążącym kołem taneczników, wyrabia na śród-ku rozmaite skoki, a razem ciska raz poraz siekierką w górę i chwytają ją w powietrzu ze zręcznością zadziwiającą. Nadaje to jakiś męski charakter tańcowi — przypomina wojenne tańce starożytnych.

Muzyka tańca jest całkiem oryginalna, niepodobna do żadnej muzyki tego rodzaju; jest niby jednotonna, ale tak różnaita, tak jakaś nieskończona, tak dzika w swoim tonowaniu, że mieszkający nawet od dawna między góralami wygrać jej nie mogą. I rzadki jest, ktoby tego w zupełności dokazał.

Nieraz, słuchając muzyki prostego ludu, żałowałem mocno, że, nie będąc sam muzykiem, nie jestem zdolny zająć się zebraniem tych melodyi, a razem pragnąłem, aby się znaleźli tacy, którzyby temu zatrudnieniu poświęcili część swoich trudów i zdolności. Oddaliby przez to wielką przysługę — mianowicie poetom i muzykom. Nieocenione skarby uczucia i prawdziwej sztuki leżą w muzyce naszego ludu. Nigdzie też może wielostronny jego charakter ogólny nie maluje się wybitniej w odcieniach swoich; każda nasza okolica ma w swoich melodyach właściwe sobie piętno. Inny jest śpiew Litwina, inny Ukraińca, inny Mazura, inny Górala; inna skoczność kołomyjki, a inna kózka lub krakowiaka; smutek głębszy, melancholia niewysłowiona, lubo znajduje się na dnie śpiewu wszystkich prawie okolic, ale jak różnaita, jak malująca oblicze swojej ziemi i serce swoich mieszkańców! Widzisz w muzyce dumki ukraińskiej pola Ukrainy nie obejrzone, tęskne — a coś w nich głęboko rozrzewniającego; widzisz w śpiewie Litwina jednotonnym, dzikim, puszcze, szumiące wiecznym wiatrem, rozlegające się rykiem dzikich zwierząt; widzisz również w muzyce górala jego góry, ludne echemi, życiem trzód, tchnące całą swobodą nieuglaskaną przyrody i mieszkańca.

Muzyka ludu jest jednym z najzdrowszych zasilków naszej muzyki sztucznej, a muzyka ludów słowiańskich jest może pod tym względem najwyższa. Wiadomo, że geniusz Mozarta niemal się zasilił melodyami słowiańskimi, przesiąkł nawet niemi; stąd ten urok dzieł jego,

który mu daje taką wyższość nad największemi nowoczesnemi mistrzami.

Pan Wacław z Oleska dał dobry przykład, umieszczając niektóre melodye przy swoim zbiorze pieśni galicyjskich — ale jest to dopiero próbka, bardzo mała w porównaniu z tem, co zostaje do zrobienia. Miejmy nadzieję, że się znajdą gorliwi i na tej drodze. Jedną tylko obawą powinna towarzyszyć tej pracy, to jest, aby zachować tym melodyom charakter ich ludowy nietknięty. Sztuka nasza, zarażona martwością konwencyonalności, jest tak nieszczęśliwa, że wszystko, czego się dotknie, traci natychmiast swoją, że tak powiem, dziewiczość duchową, którą miało w życiu swoim wśród ludu, w piersiach ludu. Jest to niby to samo, a czujesz, że nie to samo, jak kobieta, którą znałeś niewinną, i widzisz po utracie niewinności. Sztuka nasza odbiera powszechnie tę niewinność utworom gminnym; widzieliśmy to już nieraz na pieśniach ludu, wygładzonych niby przez sztukę; nie życzylibyśmy podobnego losu muzyce jego.

NA SKALE TURNISKA. — GÓRY JAKO POLE DLA POEZYL.

29 czerwca 1882.

Lubię bardzo te skały. Odróżniają one tę górę od wszystkich okolicznych, nadają jej pewną dzikość. Drzewa, rozsypane po nich, tworzą cień i ustroń przychylną głębszym myślom.

Niedaleko mam grootę, której, według wiary miejscowej, duch strzeże. Głęboka w tem prawda. Cóż jest, czego by duch nie strzegł, gdzieby na dnie duch nie mieszkał, gdziebyśmy się mogli przedrzeć, co byśmy mogli osiąść, nie porozumiewszy się wprzód z opiekuńczym, panującym tam duchem? W duchu jest źródło i zagadka wszelkiego życia, wszelkiego istnienia. Całe stworzenie widome i niewidome jest, czem jest, przez Boga, przez Ducha bożego. Człowiek jest człowiekiem przez ducha ludzkiego, przez część ducha bożego. Cóż nas upoważnia twierdzić, że skała także, że kamień także nie ma swo-

jego ducha? Jest duch stworzenia, jest duch ludzkości, jest duch narodu, jest duch pojedynczego człowieka, jest duch w ogóle — musi być i w każdej części ogółu. „Bóg jest w niebie, na ziemi i na każdym miejscu“ — wraza nam Kościół tę prawdę od dzieciństwa naszego. Dzieci, wierne w dojrzałości swojej niewinności religijnej, kierują podług tej prawdy całe swoje życie; lud prosty, część najdziecinniejsza narodu, trzyma się jej jak najmocniej. Nie żartujmy z tej wiary, bo on zawsze na końcu wygra i zawstydzi naszą mądrość zmysłową, całkiem pelzającą po wierzchu rzeczy. Nie zabijajmy w nim tego uczucia! Biada nam, gdybyśmy potrafili je zabić. Chrystus powiedział o gorszycielach dzieci: „Ktoby zgorszył jednego z tych, byłoby mu lepiej, żeby sobie uwiązał kamień młyński u szyi i rzucił się z nim w morze“. Słowa te mogą się stosować do gorszycieli ludu, który przez prostotę, przez niewinność swoich wierzeń, jest dzieckiem w obliczu Boga.

Oto jest, co mię tak przywiązuje do niego, co mię pobudza stać się podobnym do tych, których „aniółowie są zawsze przed obliczem bożem,“ patrzą zawsze na prawdę — oto jest, co mną kieruje i w tej pracy. Jeżeli zbieram i podaję innym pieśni, powieści, podania, wyobrażenia, nawet przesady i zabobony ludu, nie zbieram ich i nie podaję jako kamyczki, mniej więcej przydatne do utworzenia jakiejś martwej mozaiki poetycznej. Nie. Wziąłem je z łona życia, jako żyjące czucie ludu, i za rzecz żyjącą podaję. Chcę je zachować w życiu dla życia ludu. Chcę je zachować także dla życia naszej sztuki.

Kiedy rzucę okiem na cały obszar tego kraju przede mną, kiedy się cofnę w jego wieki przeszłe, kiedy, nadewszystko, zapuszczę myśl w głębie jego życia — nie mogę wstrzymać się od żalu, że dotąd poezya nasza nie dotknęła tych okolic, nie położyła na nich tego uroku widomego, jaki n. p. w nowszych czasach rozlał Walter Skott na góry swojej ojczyzny. Wiem, że to niełatwo, ale nie przez brak poetyczności tej ziemi. Jest ona, a może nawet większa, jak w ludzie szkockim. Tylko trzeba odedrzeć nieco zwierzchną jej powłokę, dostać się do głębi, zgodzić swojego

ducha z jej duchem, objąć swoim czuciem najżywszem całe jej życie. A wtedy znajdziesz je wszędzie.

Szyller w jednej ze swoich poezyi żali się na zamarcie, na bezdusność świata obecnego; tęskni za życiem duchowem Greków, oplakuje Nimfy, Dryady, wywołuje bóstwa Greków. Żal jego słuszny, kiedy go zastosujemy do świata książkowego; nie ubolewałby za przeszłością, gdyby zeszedł był do naszego ludu. Byłby tam znalazł ów świat ducha, którego świat grecki był tylko zamgłonym, mętnem przecuciem; byłby znalazł między naszym ludem w świecie, który go otacza, życie i Nimf i Najad i Dryad, ale prawdziwe, wyraźniejsze, bo objawione przez ducha chrześcijańskiego, nie domysły, nie odgadywania, nie wymysły ludzkie, ale pewność wewnętrzną, silną i oczewistą, jak wiara, nieomylną, jak światło wiary prawdziwej.

Tak jest, wszystko żyje dla naszego ludu. Przytoczyłem na to niemało już świadectw, pozwalam sobie pomnożyć ich liczbę jeszcze kilką nowemi, które, jestem pewny, zajmą same przez się, a razem potwierdzają tę prawdę, że lud czuje życie i czucie we wszystkim.

W mniemaniu Podhalan węże mają swojego króla. Odznacza się on między innymi wielkością, nadzwyczajną pięknnością kolorów i koroną na głowie w kształcie złotego grzebienia. Zagrożony, wydaje gwizd donośny — a wtedy wszystkie węże, których ten gwizd doszedł, przybywają mu na pomoc.

Bydło, stworzenie niższe od człowieka, ma także swój język, rozmawia między sobą. Można je słyszeć w pewnych chwilach, a mianowicie w nocy przed Ś. Jerzym. I oto powiastka z tego powodu. Pewien gospodarz, wiedzący o tej tajemnicy, chciał podsłuchać swoje woły. Ukrył się więc w oborze i w rzeczy samej po chwili jeden wół westchnął — drugi zapytuje go o przyczynę westchnienia. — „Jutro — rzekł mu pierwszy — czeka nas smutna i ciężka praca“. — „Jaka praca?“ „Będziemy wieźli naszego gospodarza na cmentarz“. — Wół powiedział prawdę; gospodarz, który to słyszał, tej nocy jeszcze umarł.

Okno moje w tej chwili zwraca się na górę niedaleką, zwaną Centyrz, czyli Cmentarz, z czasów jakiejś kłęski

niepamiętnej, podobno morowego powietrza; to miejsce dostarcza mi także zajmującą powieść. Jest na tej górze pień ogromnej grubości, z pod którego wychodził czasem duch w postaci mnicha. W pierwszej chwili zjawienia się był on bardzo mały, ale zaledwo stanął na ziemi, rósł nagle i wkrótce przynosił wzrostem swoim najwyższego człowieka. Przybierał on różne postaci, ale najczęściej pokazywał się w sukni mniszej lub bieli. Objawienie jego poprzedzała czasem wielka burza, czasem mocny zapach kwiatów. Nierzadko wychodził z wody; a kiedy miał odejść, wchodził do wody, rozpościerał nad nią swoją odzież, mała stopniami, aż póki całkiem nie zniknął. Dostyć było mówić o nim, aby się natychmiast pokazał. Nic nie mówił, nikomu nic złego nie robił; zapytany, odpowiadał jedynie skinieniem głowy lub ręki. Ostatni człowiek, który go spotkał, krzyknął na widok jego: „Wszelki duch Pana Boga chwali!“ Mnich odpowiedział: „I ja go chwale“, poczem natychmiast zniknął i już go odtąd nie widziano. Miał to być pokutujący duch mnicha, który kiedyś uciekł z klasztoru i został w tych miejscach przez zbójców zabity.

Niektóre tu miejsca są obwiane tajemniczością straszną, a niezaprzeczoną. Jedno z takich miejsc znajduje się niedaleko drogi do Morskiego Oka, już w głębi gór. Jest to w lesie ustronnym, odwiecznym, ciemnym i z samego już pozoru niemiłym, a jego własność, że obudza chęć nadzwyczajną do samobójstwa. W tych kilku ostatnich latach dwie osoby zastrzeliły się w tem miejscu obie należały do warstwy wyższej społeczeństwa. Ten sam, który mi to opowiadał, jest także człowiek ukształcony i daleki od ślepowierności w zabobony — a zaręczał mi, że przez ciekawość zwiedził to miejsce i wnet poczuł w sobie samym tę chęć odebrania życia sobie, a w sposób tak silny i tak razem nęcający, że nie wie, na czemby się skończyło, gdyby nie był zrobił wielkiego wysilenia i nie oddalił się z lasu jak najrychlej.

Może to być dziwne dla niektórych — dla mnie nie jest bynajmniej. Dostyć być prawdziwym chrześcijaninem, aby sobie rozwiązać tę zagadkę, przynajmniej do pewnego punktu ogólniejszego. Mamy kościoły, miejsca, gdzie czło-

wiek nabiera życia dobrego, siłę ku dobremu, dlatego że są poświęcone duchem Chrystusowym, że są pod władzą ducha bożego wyłączną; muszą być także miejsca, gdzie wyłącznie zły duch panuje. Nasz lud czuje to na pewnych mieszkaniach, a my możemy widzieć na pewnych miastach, na całych narodach, uległych mniej więcej złemu lub dobremu duchowi. Z tą jedną różnicą, że działanie jego jest tutaj widome przez narzędzia widome, przez ludzi — a tam mniej widome przez przedmioty, bezwładne na pozór, przez drzewa, przez skały, niekiedy przez utwory sztuki, jak obrazy, posągi, książki, albo wcale niewidome, przez bezpośrednie działanie ducha na ducha, jakiego przykłady każdy z nas mieć może, skoro się zastanowi, albo na samym sobie, albo na innych.

Taka jest ziemia, taki jest lud — nietknięte prawie dotychczas przez naszych poetów. Wiele na tem traci nasza sztuka, nasza literatura. „Zaczynaj pierwszy pracę, do której innych pędzisz“, może mi ktoś powiedzieć — słusznie. Był to mój głos wewnętrzny, poszedłem za jego nakazem. Zaczynam, ale wiem naprzód, że nie zdobędę się na więcej, jak na próbkę niedoskonałą. Nie będzie to wina moich chęci, ale położenia całkiem wyjątkowego, a przez które nie podobna mi wejść w życie rzeczywiste tego ludu tak blisko, na tak długo, żebym je mógł schwytać w całej prawdzie dotykanej, co jednak czuję koniecznym dla poety tych okolic. Pole to jest dla pisarzy, którzy będą mieli mniej przeszkód, jak ja, a więcej przyjaznych okoliczności. Na takich ono czeka. Bodajby jak najprędzej wystąpili!

KILKA MYŚLI, ROZJAŚNIAJĄCYCH POETYCZNĄ STRONĘ GÓRALÓW.

4 lipca 1882.

Zbieram tu razem kilka myśli, które mi w tych czasach przyszły, a rozjaśniły dla mnie stronę poetyczną górali. Uważam to za konieczne, jak jest konieczne w mojem przekonaniu zapatrywać się na powawy duchowe i umysłowe ludu z właściwego jemu stanowiska. Tylko w ta-

kiem zapatrywaniu się można je pojąć, jak powinny być pojęte, można z nich całą korzyść wyciągnąć. Myśli te, chwytane dorywczo, nie mają widocznego między sobą ciągu i związku, ale wszystkie z jednej głównej idei i w jeden punkt uderzają — i to stanowi ich związek zakryty. Czytelnik, szukający istoty, nie zatrzyma się na formie.

1. Zabobony.

Wielka jest ważność wszelkich podań ludu, jego nawet przesądów i zabobonów. Wszędzie tam na dnie jest głębocka prawda, iskra zadziwiającej wiedzy w przedmiotach, niedocieczonych pracą innego rozumu. Wiele razy miałem pokorę przyjąć je, jak rzecz ważną, a cierpliwość zbadać — tyle razy znalazłem w głębi prawdę, świadczącą jakiejś prawdzie religijnej chrześcijańskiej.

Jest to korzyść prostoty wewnętrznej ludu. Nie wiele wie, ale, co wie, to dobrze, a nigdy nie powiada, że wie dobrze, co wie źle, albo że wie, czego nie wie w istocie. Pycha rozumu nie zaprowadza go na manowce fałszywych systematów, doktryn, budowania na okruszynie prawdy całego świata fałszu, podawania domysłu, przypuszczenia za pewność i tym podobnie, a co w takiej ważnej części wchodzi do składu naszej cywilizacji. Czego lud nie wie, szczerze uznaje, że nie wie. Instynktem prawdy widzi natychmiast, co jest nad jego pojęcie w pewnej chwili, i nie sili się dociekać — a przez to unika zabrnienia w fałsz, z których czasem nie podobna się wycofać, jak się to nam przydarza — nie stawia się w konieczności wykrecania się przebiegłością rozumu prawdy w fałsz, albo fałszu w prawdę.

Lud nie jest nieomylny; nie nad to prawdziwszego dla mnie. Ma przesady, ma zabobony naganne, szkodliwe — i temu nie zaprzeczam. Ale nieraz przekonałem się, że potępiamy go z tej strony najczęściej dlatego, że nie umiemy jej zbadać.

Wiele on ma mniemań, które odrzucamy, jako zabobony a w których winna ludu ta tylko, że widzi głębiej, dalej, jak my. Zadawałem sobie w tym przedmiocie szczerą pracę, brałem nieraz zabobon po zabobonie, przesąd po

przesądzie i najczęściej w zadumieniu korzyłem się przed czystością prawdy, którą w tych skorupach, na pozór niezgrabnych, odkrywałem.

Powiedzmy sobie i tę jeszcze prawdę, że zbyt ostro, zbyt jednostronnie powstajemy na zabobony. Bez wątpienia, obrzydliwe bywały czasem skutki przesądów, zabobonów ludu — ale w moich oczach daleko są obrzydliwsze i zgubniejsze skutki fałszywych systematów filozoficznych, teorii politycznych, doktryn religijnych. Mniej straszny dla mnie głupi, zabobonny człowiek ludu, jak przewrotny mędrzec, jak zepsuty człowiek cywilizacji. Wprawdzie przez zabobon ludu palono nieraz na stosach, topiono i spełniano tym podobne zbrodnie, ale policzmy te ofiary i ofiary fałszywych mędrków, przewrotnych reformatorów, a zobaczymy, gdzie ich więcej padło — jeżeli wielka liczba na jednej stronie, to na drugiej nieporównanie większa; przez jednych mogły cierpieć części narodu, a przez drugich całe narody giną, a giną w tem, co jest najżywotniejsze dla człowieka: tracą życie w Prawdzie. Zobaczymy wtedy przy głębszej bezstronności tę smutną różnicę między prostotą ludu a cywilizacją, że w jednej znajdujemy pod fałszywą nawet powłoką najczęściej prawdę zbawienną, a w drugiej, przeciwnie, pod pozorami prawd najponętniejszych kryje się najczęściej fałsz najszkodliwszy. Złe ludu prostego jest, można powiedzieć, złe dziecka, a nasze jest złe męża dojrzałego już i wytrawnego w złem.

Zawsze ja, dzięki Bogu, wysoko cenilem tę dziecinną prostotę, tę niewinność wewnętrzną ludu. Straciłem wiele bardzo wiele, na drodze obecnej cywilizacji, ale dotąd jeszcze przechował się we mnie ten instynkt pierwotnej prostoty ludu, ta struna jego sumienia, to zapamiętanie owej niewinności, owego dzieciństwa uczuć wewnętrznych, przez które każdy człowiek przechodzi, co w życiu późniejszym puszcza tak niebacznie, co tak niedbale strzeże przeciwko duchowi świata, co tak łatwo dozwała sobie wydrzeć, a przynajmniej zasypać późniejszemu życiu, późniejszemu zepsuciu, które nazywa postępem, udoskonaleniem się, a co jest takim postępem, takim udoskonaleniem się, taką dojrzałością, jak nadgnilość dla niektó-

rych owoców. Dobre to być może, a nawet konieczne dla niektórych owoców, ale nigdy nie jest dobre dla człowieka, dla owocu Ducha bożego. Przez ową to resztkę ocaloną dochowałem najdroższą dla mnie rzecz, spólność podstawy wewnętrznej z prostym ludem, miłość ku niemu, zdolność pojmovania go, oceniania, nakoniec łatwiejszy wstęp do jego sfery moralnej, wiele razy potrzebowałem zasilić się prawdziwym poświęceniem się na drogach przez puszcę naszej cywilizacji, gdzie tak łatwo wzrok olśniewa, kamienieje czucie, wietrzeje siła prawdziwej ofiary.

II. Lud artysta.

Pozwalamy sobie lekceważyć wiarę ludu w świat ducha, pomiatamy utworami, pod któremi lud przedstawia go sobie, uzmysłowia; widziemy w tem nic więcej, jak niezgrabną igraszkę fantazyi, nie ujętej karbami naszej sztuki. Mylemy się, że już nie powiem, bluźniemy duchowi jego. Może być, że w tem przedstawieniu świata duchowego lud nie jest artystą podług naszych wyobrażeń, ale to pewna, że istotą utworów jego jest prawda, najważniejsza dla człowieka, najniezaprzeczniejsza dla człowieka, który nie spadł niżej zwierzęcia, i pomimo nieokresania form daleko mniej skażona, przetworzona, sfalszowana, znieważona, jak w naszej sztuce, pod naszymi formami, więcej obrobionemi z wierzchu. Lud nie zna się na formach, ale dziwnie zna się na duchu rzeczy; może nie znaleźć formy, odpowiedniej swoim pomysłem prawdziwym, poczuciom pięknym — ale też fałszowi nie daje formy, ludzkiej prawdą, nie poświęca formie ducha prawdy.

Może być niedorzecznem wyobrażać sobie świat ducha, jak go niekiedy lud wyobraża, odziewać w takie formy, w jakie lud niekiedy go odziewa, ale jeszcze niedorzeczniejsza zaprzeczać istnieniu tego świata, wpływowi jego na świat zmysłowy i działaniu nań pod formami zmysłowemi. Jest to prawdziwa, mianując rzecz najwłaściwiej, głupota cywilizacji nowoczesnej, wielka, niczem nieusprawiedliwiona, a gorsza w swoich skutkach, niż się nam zdaje. Lud prosty pod tym względem jest daleko wyższy, rozumniejszy, więcej chrześcijański od tych, co go

za tę wiarę potępiają. Oni tłumią, gaszą prawdę, na której stoi, przez którą żyje prawdziwie cała budowa prawdy chrześcijańskiej na ziemi, a lud ją uznaje i wprowadza w swoje życie, nieodpowiednio zapewne jej wysokości, ale jak umie i może, a z dobrą wiarą.

Takie źródło i taki cel mają wszystkie jego powieści, podania, wierzenia, a nawet przesady i zabobony. Jest to jego sztuka, jego literatura — a ma tę wyższość nad naszą, że utwory jej nie są martwe, jak nasze posągi, obrazy, poemata; przeciwnie, żyją, działają, wiążą się z życiem ludu, dzielą je, stanowią część żyjącą, działającą jego życia, jego sfery spraw ziemskich, zatrudnień wszelkich — spajają w sposób nieobojętny drabiną snu Jakóbowego świat niewidzialny ludu ze światem widzialnym.

Postawmy utwory naszych artystów, postawmy bohaterów naszych pieśni, poematów, dramatów, obok utworzonych sposobem ludu przez lud: jakże oni są niżsi pod względem życia! Byli kiedyś, to prawda, a najczęściej nie byli — i doskonale to wiemy naprzód. Dajmy jednak, że byli i żyli: możemyż ręczyć z całą siłą wiary pewnej siebie, że są i żyją gdzieindziej, jak na płótnie lub w okładkach książki, jeżeli to życiem nazwać można? Inaczej się ma z utworem ludu; dla człowieka ludu był on, jest, nie może nie być, skoro raz był — bo czucie, bo siła twórcza ludu sięga dalej, jak do martwego spomnienia, sięga do samego dna rzeczy, do ducha; z tej głębi wszystko czerpie, do niej wszystko odncsi, a tam tylko jest prawdziwe życie i prawdziwa nieśmiertelność. Weźmy n. p. Bolesława Śmiałego w tragedyi Wężyka; cóż on jest obok tego Bolesława, który, według podania ludu, dotąd się błąka w tych górach, pokutuje, cierpi, nie wyszedł z życia narodu, przechodzi z nim jego koleje, pracuje dla niego, odrabia swoją część złego, którą na naród sprowadził?

I takie wyobrażenie jest jedynie głębokie, prawdziwe, jedynie moralne; stawia wielką naukę pod formą sztuki, jest w duchu religii prawdziwej. Nasi zaś bohaterowie są to tylko mumie moralne, zabezpieczone przeciw zupełnemu strupieszeniu papierem, płótnem, kamieniem, na tak długo, jak długo trwa ich upowicie.

nie tylko! To samo na polu malarstwa. Weźmy najpiękniejszą Madonnę Rafaela i obraz, robiący cuda. Cóż mi po obrazie Rafaela obok obrazu cudownego? Jeden dla prostej uciechy zmysłowej, dla oczu — drugi daje mi zdrowie i ciała i ducha, podnosi mię w świat szczęścia najwyższego, w świat zbawienia. Tu prawdziwe życie — a tam blask tylko pięknej formy.

III. Sumiennosc ludu w poezyi.

Jest jeszcze drugie źródło wyższości, jaką dostrzegam w sztuce ludu, zasługujące, abysmy i my zbliżyli się ku niemu.

Nikt mi zapewne nie zaprzeczy, że, kiedy czytamy jaki nasz poemat, a tem bardziej romans, pierwsi nie wierzymy w wierną rzeczywistość osób i wypadków opisywanych i, gdybyśmy musieli szczerze odpowiedzieć, odpowiedzielibyśmy, że ten romans czy to poema jest nic innego, tylko igraszka artysty, przystrojona pozorem celu i tonu mniej więcej poważnego, a uzmysłowiona dla igraszki czytelnika. Lud prosty wierzy w to, co tworzy, nie igra ze swoim utworem, ze swoją sztuką, nie rozkoszuje się nią, ale, skoro wchodzi na jej pole, to z potrzeby poważnej, dla celu poważnego. Przez to pokazuje z jednej strony więcej zdrowego sensu, więcej dobrej wiary, więcej poważnego umysłu, jak w ogólności artyści ucywilizowani, a z drugiej dowodzi, że ma głębokie poczucie prawdziwego życia, które może być małe w objawianiu się, ale jest silne w swojej istocie.

Sumiennosc ta w literaturze ludu idzie z jego natury, która nie ma potrzeb zbytkowych — idzie z głębi ducha, zapełnionego czuciem religijnem idzie także z jego położenia materialnego. Niedola jego ziemską trzyma go tak mocno w świecie rzeczywistości, w karbie konieczności najściślejszej, że każdy czyn, w którym objawia swoje uczucie, idzie sumiennie z jego uczucia. Nie jemu to wolno nudzić się nudami dobrego bytu i w tych nudach, w przesycie zadowolenia materialnego wymyślać sobie idealne nieszczęścia, trapić się marzeniami, kaleczyć się i boleć przez rozpustę moralną jedynie dla urozmaicenia

życia, dla drażnienia drętwiejących uczuć, dla karmienia bezrządu, który już wszystko zużył, dla podsyceńcia żąd, konających już po strawieniu wszelkiej swojej pastwy, jak tego przykłady widzimy w sferze ucywilizowanej. Bóg zabezpieczył lud prosty przeciw temu samobójstwu, najstraszniejszemu, bo duchowemu. Lud prosty, zwłaszcza nasz, nie domyśla się nawet, nie wyobraża sobie, niezdolny jest wyobrazić sobie stanu podobnego, a następnie niezdolny jest do podobnych chuci. Jeżeli usłyszysz jaką powieść ludu, bądź pewny, że jej autor nie dla igraszki ją wymyślił, ale zmuszony był ważną jakąś pobudką, bądź ogólną, bądź osobistą. Napotkasz li pieśń miłosną? O, niezawodnie twórca jej rzeczywiście, szczerze był zakochany, możesz na to przysiąc. A czy przysięglbys sumiennie, że jakiś z naszych poetów kochał rzeczywiście, bo napisał wiersz miłosny, choćby nawet bardzo namiętny? Ja przynajmniej nie śmiałbym tego zrobić, o ile znam się cokolwiek na naszych poetach. Jeżeli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi — to był ktoś, dotknięty istotnem nieszczęściem, przyciśniony szczerem smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśni.

Człowiek ludu nie tworzy jej, kiedy w ogólnym skarbcu znajduje odpowiednią całkiem swojej potrzebie; chwytą ją i posługuje się nią, jak własną. Nie znajdzie li takiej, wtedy sam tworzy. A ta samorodność tem łatwiejsza, że nie myśli o formie objawienia, nie zawadzają mu przepisy, wymagania sztuki obliczonej, wymierzonej, wyważonej nie miarą ducha twórczego, ale rozumem, który nie zdolny przejść jest poza karby materji; dla śpiewaka z lona ludu prostego dosyć, kiedy mu sumienie jego i innych przyświadczy, że w tem, co wypowiedział, co wyśpiewał, jest wierne wydanie jego czucia, jest prawda, tak żyjąca w słowach, jak w jego piersi, jak w piersi ogółu.

IV. Życie wyższe w poezji ludu.

Jest jeszcze jeden rvs, który cechuje sztukę poetycką ludu, a który szczególnie wybija się tu, między góralami.

Kiedy my musimy nasze pomysły przylepiać do kawałka papieru lub płótna, wdłubywać w bryłę kamienia — tłem utworów ludu jest cała rodzinna ziemia, cały kraj rodzinny, rodzinne niebo, a nawet i piekło, kiedy tego potrzeba, zgoła — cały świat duchowy i widomy. Jak to jest olbrzymie w porównaniu do naszych robót! Chcesz zdarzenia w obrazie? Oto tym obrazem jest cała okolica, nie pendzlem skopiovana, ale namalowana, żyjąca tchem wieków. Trzeba mu posągu dla wypadku lub człowieka, to całą górę w posąg zamienia. Jeżeli puści w obieg jakie uczucie pod postacią pieśni, to wszystkie głosy ludu, wszystkie serca grają jej muzyką. Jest li pieśń wesola — to cały lud staje w chór i płąsa i klaszcze w dłonie; jest li smutną, to z tysiąca oczu łzy płyną. Nie dosyć mu na tem, nie dosyć mu ziemi, materyi: dla niego duch rzeczy jest wszystkim, sztuka jego zachodzi w świat ducha. Ktoś zasłużył sobie u niego na pamięć przychylną — więc mu się otwiera na wieki jasny świat wyższy i stamtąd opromienia sferę swoich braci blaskiem niebieskim, jak za życia świecił czynami cnotliwymi — nie przestaje służyć, jako duch, tym, którym służył, jako człowiek. Inny zarobił na pamięć przekłętą, więc jego miejsce w świecie ducha niższym, podziemnym. I lud widzi go w ogniach i mrokach zatracenia, w łańcuchach niewoli wiekowej, pod chłostą mąk wiekowych, w stanie grzechu, przemienionego na karę.

Jednem słowem, jemu koniecznie potrzeba, ażeby utwór, przeznaczony dla niego, jakiegokolwiek ogromu jest forma, był nakształt świątyni, nakształt kościoła, nakształt kaplicy przydrożnej, bodajby wreszcie nakształt tego krzyża na samotnej mogile, byleby zawsze w nim trzymał najpierwsze miejsce jego świat nadzmysłowy, jego Bóg, byleby był ożywiony, poświęcony duchem bożym. I ma takie utwory; miałby ich więcej i doskonalsze, gdyby nasi mężowie sztuki, tak biegli w obrabianiu, w wynajdowaniu form pięknych, mieli jeszcze taką miłość, taką cześć dla prawdy, jaką lud ma — gdyby się postawili w takiej zdolności otrzymywania natchnień prawdziwych, o jaką ludowi łatwo i połączyli sztukę tworzenia formy z potęgą ożywiania jej tchnieniem świata wyższego, ale

nie abstrakcyjnego, tylko rzeczywistego dla ducha, jak ten materialny rzeczywistym jest dla zmysłów człowieka. Chodzi tylko o to, aby posiadać niewinność wiary, jaką lud posiada, a bez której pisarz religijny jest najobrzydliwszym dla mnie świętokradcą, a jego utwory religijne potworami, które więcej złego rozmnażają między ludźmi, jak szczerze bluźnierstwo, jak szczerza bezbożność. Niewinność tę wiary sam Chrystus określił, polecając ludziom życie w duchu i prawdzie. Chrześcijanin powinien to rozumieć, chrześcijanin-artysta powinien umieć zastosować to na swoim polu. Taki artysta zrozumie wszystko, co powiedziałem, potrafi korzystać ze wzoru, który mu lud przedstawia.

MELSZTYN. — ZAMCZYSKO.

11 lipca 1892.

Jestem znowu w Mikołajowicach po dwudniowej podróży z Tatrów. Tą razą będę ją sobie przypominał po odwiedzinach w Melsztynie. Dziś dopiero zwiniałem i dotknąłem się z blizka szczątków tego zamku.

Przedzierałem się do nich z Zakliczyna. Dla moczar, które zalegają wielką część niziny pomiędzy Zakliczynem a Dunajcem w kierunku Melsztyna, kołować musiałem na wieś Wesolów. Za Wesolowem przeprowiłem się przez Dunajec, zasiany w tej stronie kępami, i drogą nad Dunajcem dojechałem do podnóża Melsztyńskiej góry.

Z tego miejsca poczyna się wędrowka piesza. Uboczą rozdołu, odcinającego z północnej strony Melsztyński szczyt od innych, doszedłem do przerwy w szczątkach północnego muru. Znużony byłem spieką i przykrym wchodem — chciałem więc przedewszystkiem wypocząć, ale w takim miejscu, żeby mieć zarazem pewny widok. Po skruszonych więc murach, w których wyraźne jeszcze ślady komnat, dostałem się na strom góry, wiszący nad zatoką Dunajca. Z tego miejsca miałem pod okiem trzy niemal boki góry i całe półkole niziny zadunajeckiej z krążącymi kolo niej górami. W tem miejscu dzieło ludzkie

spojone z dziełem przedwiecznego Budownika w całym znaczeniu tego wyraża. Mury zamku z prostopadłą ścianą góry zdają się tworzyć najściślejszą jedność; zniszczenie nawet dotyka zarówno obojga; ziemia tu, jak matka, dzieląca los dziecka, popękała pod rodzinnymi gruzami. Cały bok góry, pokryty potokami niebieskich ulew i ziemskich powodzi, nasterczony powywracanymi drzewami, pogarbiony ogromnymi bryłami oddzierającej się co rok ziemi, tworzy dziką harmonją z usuwającym się Melsztynem.

Orzeźwiwszy się winem i dorodnymi poziomkami, które tu w wielkiej obfitości znalazłem, podziękowawszy za nie miejscowemu duchowi rozwalin, który je tak gościnnie ofiaruje wędrowcom, jakby przez wdzięczność za nawiedzenie jego dziedziiny, udałem się grzbietem góry ku zachodniej wieży, najokazalszej i najlepiej dochowanej części tych rozwalin.

Wieża jest kwadratowa, obwiedziona wysokim murywanym tarasem. Żadnego już na niej pokrycia; trzy ściany w zupełnej całości, czwarta znacznie u góry wyszczerbiona — w niektórych oknach dochowują się futryny z ciosowego kamienia — wewnątrz wieży zrujnowane, tylko na ścianach ślady sklepień, z których się piętra tworzyły. Podziemna dawniej część wieży zawalona gruzem, zarasta bżem dzikim i innym zielskiem.

Kiedym ją oglądał i przy pięknym krzaku dzikiej róży układał wiązkę pamiątki z jej kwiatów, postrzegłem ku mnie zbliżającego się człowieka. Pozdrowiliśmy się wzajemnie. „To wy zapewne tutaj mieszkacie?” zapytałem go, wskazując na chatkę, opartą o mur północny. „Nie, ale niedaleko, zaraz pod górą, we wsi Melsztynie.“ „Zapewne wiele wiecie o tym zamku i zechcecie nam opowiedzieć.“ „Jakże nie mam wiedzieć? — odpowiedział. — Już to osmdziesiąt lat z górą, jak żyję na tym świecie.“

Pojrzałem na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem: na głowie żadnego prawie włosa siwego, zęby zdrowe, twarz pełna i czerstwa, postawa prosta, w każdym ruchu moc i żywość, niezwykle ludziom podobnego wieku. On tymczasem dalej mówił: „Ja tutaj urodziłem się i mieszkalem, nim poszedłem do wojska. Panowie Tarłowie,

panowie Lanckorońscy, do których ten zamek należał za mojej pamięci żyli. Co to za mocny był zamek! A jakie piękne i bogate pokoje! Nie raz, nie tysiąc razy chodziłem po nich; dziś jeszcze mógłbym panom pokazać, gdzie co stało.“ „Właśnie też was prosimy o to.“

Starzec przychylił się chętnie do naszej prośby. Przedewszystkiem poprowadził nas kilkanaście kroków wstecz, ku zachodowi, nad głęboką fosę, która odcinała posadę zamku od reszty góry, coraz rozłożystszej, i mówił:

„Z tej tylko strony można było do zamku wjechać. Przez tę fosę był most zwodzony, a tutaj, gdzie stoimy, wielka brama.“

Zwróciliśmy się potem ku wschodowi. „W tej wieży — mówił dalej — co po prawej ręce, siedziała straż, co bramy pilnowała. Na pierwszym i drugim piętrze były piękne pokoje, a pod spodem w ziemi więzienie; jeszcze niedawno można było do niego wchodzić. Dalej, jak panowie widzicie tę dziurę między dźzewami, to była studnia, taka głęboka, że dno jej było równe z wodą Dunajca. Dunajec płynął wtedy po pod samą górą, a od spodu studni szedł aż do niego podziemny kanał. — Cała studnia wyłożona była ciosanym kamieniem; można było dojść aż do jej wody, bo im wyżej, tem była szersza. Niedawno dopiero panowie powybierali z niej kamienie, że były bardzo duże i ładne; przez to się i zasypała. Na prawo za studnią były stajnie, jedno w ziemi, a drugie na wierzchu, właśnie w tych samych murach, tylko, że się już wszystko zawałiło. Zaraz od stajni, jak te ściany, zaczynały się pokoje; pod spodem były więzienia, a kogo tam raz posadzono, już ten więcej świata nie zobaczył. Na prawej ręce tych pokoi była kaplica zamkowa. Cały zamek, ach, jaki był piękny, trudno opowiedzieć; wysoki, jak wieża, na trzy piętra, pod czerwoną dachówką, szkla w oknach były różnego koloru. Z tej strony, na lewej ręce, jak panowie widzicie ten kawałek muru nad tą chatką, taki mur szedł od bramy aż do pokojów; nic tu nie stało, tylko w murze były dziury do strzelania. Te drzewa, jak są dzisiaj, tak i dawniej rosły, tylko, że niektóre, starsze, poschły, a drugie, mniejsze wtedy, są dzisiaj już wielkie. Mówili starzy ludzie, ale tego za mojej pamięci

już nie było, że, jak panowie widzicie tę górę, gdzie zamek ten stoi, a góra bardzo wysoka, tak od zamku aż na drugi brzeg Dunajca stał most na słupach, precz, nad te pola, nad ten las, aż tam, na drugi brzeg rzeki, że można było, jak z dachu, spuścić się od zamku za rzekę...“

„I przez co ten zamek spustoszał?“

„Trzeba wiedzieć, moi panowie, że w tej stronie byli kiedyś konfederaci. Panowie zapewne tego nie pamiętają, ale ja byłem już wtedy dorosły. Otóż stali oni obozem koło Zakliczyna przez kilka tygodni. W zamku mieszkał wtedy pan Lanckoroński. Pan to był dobry; kiedy například spotkał chłopów, co wódkę swojego dziedzica wieźli, a wiedział, że im ciężko na konie, to odtykał czopy i wódkę na ziemię wypuszczał. Otóż miał on sługę, który, nie wiem przez co, uciekł i przystał do konfederatów; pan Lanckoroński spodziewał się zapewne, że mu naprowadzi gości, dlatego wyjechał z zamku, bo był przeciw konfederatom. Jak raz wpadli konfederaci do zamku, poodbijali piwnice, powypijali, co znaleźli, krzyczeli: „Niech żyje pan Lanckoroński!“ i dalej butelkami w okna. Było to jeszcze pół biedy; konfederaci natłukli tylko butelki i okna i odjechali sobie, ale zaraz po nich wpadli kozacy i wszystko do góry nogami przewrócili. Od tego czasu nikt tu już nie mieszkał. Zamek coraz bardziej pustoszał. Pan Lanckoroński umarł, a późniejsi panowie brali kamień, dachówkę na stajnie, na gorzelnie, zwyczajnie, na to, z czego są pieniądze.“

Potarłem sobie tylko czoło, przygryzłem wargi na ten argument, który dzisiaj zbić trudno. Nagrodziliśmy uprzejmość Wojciecha Kareckiego (tak się starzec nazywa) i, kilkokrotnym rzutem oka pożegnawszy rozwaliny, odeszliśmy drogą, którąśmy przyszli.

Żal, obudzony ostatnimi słowy opowiadacza, długo mi towarzyszył i na bolesne naprowadzał uwagi. Dla kilku groszy pomagać losowi niszczącemu, zacierać w zawody z nim ślady podobnych pomników! Takżeśmy dalece zmaleli, stracili rodzinne czucie? Wszakże i to prawda, że pewnym ludziom podobne mieszkanie jest smutne w tych wesołych czasach; nie każdy wart mieszkać, gdzie jego ojcowie mieszkali, nie pozostaje więc, jak zaglądnąć

do szczeru mówiące ich pamiątki. Od tych nie się nie wymaga, nie się im nawet nie wyrzuca. Ale jest część narodu, na której leży obowiązek, jeżeli nie odbudowania zamków, nie zachowania ich gruzów, to przynajmniej zebrania i podania następcom wszystkiego, co pomniki podobne dostarczyć mogą. Węgrzy, na przykład, mają kronikę swoich zamków; czyż i my mieć jej nie możemy? Nie jest to praca nad siły nasze, a korzyść z niej wielka. Jest w tem wielki interes poetów i pisarzy, którzy przyjęli na siebie obowiązek dochować ludowi jego podania, jego pomniki wszelkie, jego życie przeszłe, którzy się podjęli przenieść je w dziedzinę jego umysłową. Niezawodnie literatura nie jest cała w przeszłości, ale przeszłość jest jedną z bogatych jej kopalni. Są w przeszłości chwile, które nigdy przejść nie powinny; jest blask, który pada na obecność, jak promień ożywczy, i który nie godzi się lekceważyć; są pomniki, z których w obecności nowe wyrastają, a więc godne troskliwego pielęgnowania; są źródła życia, z zatamowaniem których literatura, jeżeli nie wysycha w swoim korycie, to znacznie opada. Dobrze to, żeśmy zdołali rozżarzyć jej ognisko, pilnujmyż, aby nie przygasało, aby pałało coraz wyżej, a to nie stanie się innym sposobem, tylko, kiedy będziemy je podsycać wszelkiego rodzaju żywiołami, a tych pełne są piersi naszego ludu, naszych dziejów, i wkońcu naszej ziemi. Dlatego tak mię porywa każda nasza ruina, dlatego, gdybym mógł własnymi siłami, uwieczniłbym każdą, przynajmniej w tym stanie, w jakim się obecnie znajduje.

Słońce jeszcze nie zaszło, kiedyśmy dojechali do Panieńskiej góry. Czas prześliczny zachęcił nas i ją dzisiaj odwiedzić. W ówczesną godzinę byliśmy na szczycie. Powietrze, nadzwyczaj wyjaśnione, słońce, spuszczone ku zachodowi, odkryły nam całą okolicę w blasku takim, żeśmy nie żalowali tego zboczenia z naszej drogi. Nakreśliłem już dawniej ten obraz; dziś go tylko widzę piękniejszym pod światłem, które nań pada. Ale urok tego rodzaju nie da się ująć w wyrazy.

Przestałem więc tylko na tej rozkoszy, żem z Panień-

skiej góry powitał mile mi strony, po górach dziś mi najmiłsze, najprzyjaźniejsze.

PODRÓŻ DO DRUŻBAK.

26 Lipca 1832.

W tych dniach zaznajomilem się z częścią Węgier, dawniejszym Spiżem, o ile z drogi i w drodze zaznajomić się z jaką okolicą można. Wszakże w jednem jej miejscu przepędziłem kilkanaście dni. Winienem to dwóm kobietom, które dla zdrowia swojego potrzebowały kąpiel wapiennych, które są w Drużbakach. Oprócz mnie było jeszcze dwóch mężczyzn. W takim towarzystwie puściłiśmy się do Drużbak.

Podróż to jednodniowa z Łopusznej, droga bardzo ładna i w kilku miejscach mile mię zajęła.

Granicę węgierską przebyłiśmy we wsi Nowa Biała. Droga długo trzyma się Dunajca i w niektórych miejscach jest prześliczna. Oprócz Niedziicy, pod którą przejeżdża się, zachwyił mię widok Czerwonego Klasztoru. Leży on wśród ogromnych lasów z tej strony Dunajca, a tłem jego są Pieniny na drugim już brzegu. Jest to miejsce, gdzie Dunajec ujęty jest w skały, jak w kanał olbrzymi.

Przebyłiśmy pasmo Tatrów Magórą. Wysokość jej niepospolita; odznacza się szczególnie silnemi wiatrami, tak silnemi, że porywają ludzi i bydło. Są to jednak chwilowe uderzenia, ale bardzo niebezpieczne.

Zatrzymaliśmy się w Podoleńcu, dla narady z tamtejszym lekarzem. Miasteczko Podoleniec jest miłe. Słynie szkołami księży Pijarów; z tego to miejsca rozlewa się oświata na kraj góralski: górale najchętniej oddają swoje dzieci do Podoleńca. Poznałem jednego z księży Pijarów; była to jedna z chwil miłych dla mnie w tej podróży. Był w Polsce i dobrze mówi po polsku, choć rodem z tamtych okolic; nadto przypomniał mi moje dzieciństwo szkolne, czas, przepędzony w Międzyrzeczu Koreckim, gdzie także Pijarowie trzymali szkoły.

Na obiad stanęliśmy w Kezmarku. Jest to jedno ze znaczniejszych miast w tej okolicy; i w samej rzeczy pozór jego odpowiada stopniowi, na jakim go stawiają. Ma

wiele kamienie wcale porządnych. Tu przygrywała nam wśród obiadu wędrowna muzyka Cyganów, którzy na Węgrzech słyną, jako najbieglejsi muzycy. Granie ich bardzo mi się podobało, nadewszystko, że wybierali nasze śpiewy, które dziś obiegają Europę. Tuż przy Kezmarku leży Zamek Tekelego, którego Sobieski pokonał. Jest on dziś pusty, ale dobrze zachowany. Nie widziałem jeszcze w tym rodzaju nic tak ogromnego. Dość pojrzeć na niego, aby mieć wyobrażenie o potędze tego, co go zamieszkiwał. Ale najpiękniejszą rzeczą w Kezmarku jest widok na Tatry, a mianowicie na Łomnicę i Krywań. Widziałem je stąd w całym ich ogromie, bo od Kezmarku aż do nich cała przestrzeń jest prawie płaszczyzną. Z tej strony można wejść aż na sam szczyt Łomnicy. Oddalenie, krótkość czasu swobodnego, nie dozwoliły mi schwycić tego widoku, jakbym pragnął.

W dalszej drodze ku Drużbakom co mię uderzało, to ogromne wsie. Na Ukrainie tylko widywałem podobne. Są one przytem porządne, pokazują dobry byt mieszkańców. Lud jest słowacki, dorodny, przystojny, i postawą i strojem mało się różni od górali podhalskich. Uważa się także za lud góralski i zowie się „Tatrańcami.“

W późną noc przybyliśmy do Drużbak i stanęliśmy gospodą w głównej oberży na cały czas kąpiel naszych. Drużbaki, po niemiecku Rauschenbach, leżą w miejscu bardzo przyjemnem, wzgórzystem, w sąsiedztwie gór coraz wyższych i rozległych lasów. Wieś ta, a szczególnie dom, gdzieśmy mieszkali, przez swoje położenie na wzniesieniu ma rozległy i rozmaity widok, zamknięty wysokimi wzgórzami.

Kąpiele Drużbak są dosyć znane; są to wody wapienne, używają ich w potrzebie wzmocnienia się. Dom nasz stał tuż przy sadzawkach, z których ta woda rozprowadza się po łazienkach. Jest ich kilka; dosyć obszerne i bijące źródłami. Mnie zajmowały najwięcej skamieniałe dokoła ich od ich wody trawy i rośliny; zajmowały mię tem bardziej, że jeszcze w dzieciństwie slyszalem o takiej wodzie, która w kamień obraca wszystko, co w nią włożysz. O, jak nieraz pragnąłem dostać tej wody, aby utrwalić na zawsze kwiatek, który mi się podobał! Nie wiedziałem, że w tej

operacji utraci największy swój wdzięk, bo barwę, i zostanie tylko kawałkiem wapna nakształt kwiatka. Dotknąłem się teraz tego cudu — i oto jeszcze jedno miłe złudzenie dzieciństwa uciekło przed rzeczywistością! Próbowałem pić tę wodę w mocnem pragnieniu, ale nie mogłem, tak znalazłem odrażającym smak jej słodkawey.

Kąpiele w czasie naszego pobytu były wcale nieliczne. Zaludniły się raz szczególnie, ale szlachtą madziarską, którzy tam sprawili sobie łaźnię winem. Po raz to pierwszy widziałem tę szlachtę w jej naturze. Zdumiałem się nad jej podobieństwem do naszej szlachty, i to nie przez same tylko ogromne wąsy. Gdyby nie mowa obca, byłbym nieraz myślał, że jestem na naszym jarmarku, śród mojej braci jarmarkującej.

Oprócz wód wapiennych były w Drużbakach inne wody, ale wręcz im przeciwne, bo zabijające. Od lat kilku zniknęły — zostały tylko po nich kotliny. Nie wiedząc o tem, naraziłem się raz na rzeczywiste niebezpieczeństwo. Miejsca te leżą nieco opodal od mieszkań. W jednej z moich przechadzek natrafiłem na dół: widzę w nim kilka dzieci z boku, przy nich zdechłe żaby i wróble. Wszedłem na spód, położyłem się przy jednej dziurze — poczułem jakiś zapach, dosyć nawet przyjemny. Przybliżyłem się ku dziurze, przytknąłem nos do niej i poznałem, że ten zapach stamtąd wychodził. Nie umiałem sobie zdać sprawy z tego; zastanawiały mię tylko zdechłe żaby i wróble. Wróciwszy do domu, opowiadam moje odkrycie. Przestraszyłem wszystkich; dopiero dowiaduję się, że te dziury, są to otwory źródeł arsenikowych — że w pewnych porach dnia wybucha z nich taki silny wyziew, że zabija ptaki, przelatujące blisko w tej chwili, że, co widziałem nieżywe, to zginęło tym sposobem. Kiedy jeszcze woda była w tem miejscu, zakonnica, jedna z kąpiących się, poszła tam nogi wymoczyć: trafiła na porę wyziewu i padła trupem. Podziękowałem za ostrzeżenie, a razem miałem za złe tamtejszemu urzędowi, że nie obwaruje przystępu do podobnego miejsca.

Drużbaki będą mi jeszcze pamiętne burzą, którą tam widziałem. Nadeszła ona wieczorem, jak noc najczarniejsza, i całe niebo zaległa i trwała godzin kilka. Mało

podobnych burz widziałem i to na Ukrainie. Widok prze-
rażający i zarazem okazały do nieopisania. Użyłem go
do woli, bo dom z jednej strony ma galeryę krytą. Tam
się umieściłem przed deszczem. Był to grzmot i błysk nie-
przerwany; światło błyskawic tak silne, że, jak w dzień,
widziałem góry najdalsze, drzewa na nich pojedyncze,
wioski pod niemi — rozróżniałem kościół wśród wioski.
A wszystko wśród ulewy, dawno nie zapamiętanej w tych
stronach. Ogromne też szkody poniosła ta okolica. Wszyst-
kie prawie zboża były wytłuczone i z ziemią zmieszane,
wszystkie drogi poryte potokami. Widzieliśmy to sami,
wracając w dni kilka z Drużbak. Przedstawiano mi tę
burzę, jako słabą próbkę burzy w górach, która całe lasy
wali, całe skały rozdziera swoim grzmotem i stacza w do-
liny.

Wyjechaliśmy z kąpiel nie słabsi, nie zdrowsi, jak przy-
jechaliśmy do nich. Mój czas przeszedł mi bardzo przy-
jemnie, a nadewszystko przybyło mi wyobrażenie o ziemi
Spiskiej i widok Łomnicy. Teraz jestem pewny, że ją wi-
działem.

GÓRA KLUCZKI.

10 sierpnia 1832.

Powracam z Kluczek, gdzie dopiero dzisiaj byłem po
raz pierwszy, chociaż od dawna wybierałem się. Żałowa-
łbym tej przewłoki, tyle pięknego ma to miejsce, gdyby
mi jej nie wynagrodził z lichwą dzień dzisiejszy, tyle
w nim skorzystało moje uczucie głębsze. Wiem naprzód,
że słowa pisane ani w części nie wydadzą, cobym pra-
gnął wydać, ale... tak jestem pełny tej chwili, tak mi po-
trzeba wylać się z moich uczuć w jakikolwiek sposób, tak
wiele mi zależy, aby jakikolwiek ślad dotykalny został po
niej, a przytem noc miesięczna taka śliczna, taka cisza, taka
swoboda w mojej pustelni — sen gdzieś jeszcze za góra-
mi... Będę pisał.

Kluczki są jednym ze szczytów w pasmie północnem
Łopusznej i najwznieślejsem w tej okolicy. Leży on
w dziedzinie Łopusznej, około dwóch godzin drogi. Od

kilku dni postanowiliśmy połączyć odwiedzenie tej góry z wiejską rodzinną biesiadką na jej szczycie. Uskuteczniiliśmy to dzisiaj. Towarzystwo nasze było liczne; cały dom zacnych moich gospodarzy, przy tem jeden ich krewny i jedna krewna, wyruszył na całodzienne koczowanie, a nadewszystko towarzystwo nasze było dobrane; kobiety mile, żywe i ładne, mężczyźni mili, żywi, dobrego serca, ukształconego umysłu — a ja?... Staralem się nagrodzić, co mi brakowało, miłością dla wszystkich i wdzięcznością za ich przychylność dla mnie niezasłużoną, a która mię tylko rozrzewnia każdym swoim dowodem. Kobiety musiały jechać, dla dzieci i dla przewiezienia wszystkiego, co było konieczne do uczyty na Kluczkach; my, mężczyźni, woleliśmy iść pieszo. Dzień do takiej przechadzki niezły: pochmurno, ale zato nie cierpieliśmy od upału, który w tej okolicy o tej porze bywa często nieznośny.

Droga nie bardzo wygodna, ale sposobna do jazdy wozem, a nadewszystko rozmaita, miła nawet wdziękiem dzikim. Trzyma się najwięcej dolni, rozdolów — dlatego kręci się, brnie przez potoki, obchodzi szczyty, leżące w jej kierunku, drapie się po stokach, znowu się spuszcza, odpoczywa niejako czasem w dolinie, którą znajdzie na wyżynach, i znowu drze się pod górę. Myśmy się mniej pilnowali drogi; więcej nas zajmowało, co się z boku nastęcza. Wybaczaliśmy to w lasy, to na wzgórze — czasem przez to przedłużaliśmy ją, czasem prostowaliśmy. Minęliśmy tak wiele wzgórzów, które nas coraz wyżej podnosiły — zatrzymaliśmy się na Wyżniej, która mi się najwięcej w tem pasmie podoba, przebrnęliśmy szczyt Ciarki — powiadam przebrnęliśmy, bo jest pokryty licznymi źródelkami i moczarami. Ostatni to szczyt przed Kluczkami i najwyższy po nim. Tu dopiero droga prawdziwie przykra po stoku Kluczek: niekiedy niebezpieczna dla wozu, spuszczającego się z góry, zwłaszcza naładowanego. Tutaj góral udaje się do swojego sposobu hamowania: uwiązuje z tyłu wozu ogromny konar albo i drzewo mniejsze z gałęzmi ponadcieranemi i obróconemi końcem wyższym ku wozowi — gałęzie te, ryjąc się w ziemi, zahaczając o kamienie, których tutejsze drogi są pełne, tamują pęd wozu i ułatwiają koniom powolne schodzenie

z góry. Przebyliśmy i tę drogę i oto jesteśmy na szczycie Kluczek.

Znaleźliśmy spółtowarzyski nasze krzątające się w szalasiu około podwieczorku. Zostawiliśmy je z ich zatrudnieniem, a sami puściliśmy się na obejrzenie szczytu i widoków z niego dokoła.

Szczyt jest dosyć przestronny, w niektórych miejscach ocieniony drzewami, w największej części odkryty. Widok z niego na wszystkie strony precudny obszarem, który zajmuje, i bogactwem różności. Można to pojąć, wyobraziwszy sobie wysokość, której niema równej w jednych promieniach na kilka mil, w innych na kilkanaście, a w innych, Bóg wie, jak daleko, gdzie granicą widokresu jest granica siły ludzkiego oka. Taki kraj leżał przed nami, a raczej pod nami. Nie miałem jeszcze w mojem życiu podobnego widoku. Brakowało tylko pogody zupełnej, jasnego powietrza, pozłoty blasku słonecznego. Mimo to nie straciliśmy. W obrazie było więcej ruchu, więcej różności życia.

Na południe mieliśmy Tatry. Grube chmury przewalały się po nich, to je całkiem zasłaniały, to odkrywały raz od spodu, drugi raz od wierzchu, to znowu niektóre szczyty, czasem pewne góry w całym ich ogromie; nieraz w niektórych miejscach blask słońca zaświecił. Ta walka chmur z pogodą, cienia ze światłem, ta ich gra ustawna na tych olbrzymich klawiszach była mi daleko miłsza, jak nieruchomość, zadumanie gór pod jednotonem światłem nieba wypogodzonego, powietrza drzemiącego. Nigdy też Tatry nie wydały mi się tak nęcącymi, nigdy tak rozniosłymi, wiele razy wystąpiły z pod osłony obłoków...

Najograniczeńszy widok mieliśmy wzdłuż pasma wzgórzów, które się przedłużały po prawej i lewej ręce. Najnowszy dla mnie leżał od północy. Cała ta przestrzeń, o ile bliższa oka, pokryta górami, lasami, dolinami, polami, przypominała mi morze, które w największem wzburzeniu swoim nagle znieruchomiało na wieki; szeregi wzgórzów wyobrażały mi fale jego. W oddaleniu coraz większem wszystko to coraz się spłaszczało, przybierało pozór równiny, której granicą były dopiero góry Święto-

krzyskie. Zwróciliśmy perspektywę ku owej stronie i dostrzegliśmy Kraków; świecił on, jak biała plamka, na ciemnym tle całej prawie tej przestrzeni. Nie wątpię, że z lepszą perspektywą, a może przy dniu zupełnie jasnym bylibyśmy napotkali nie w jednym miejscu naszą Wisłę; teraz odgadywaliśmy tylko jej bieg.

Żałowaliśmy tego chwilę, aleśmy zapominali o tem, czego widzieć nie możemy, dla tego, co leżało tuż pod naszym okiem. I nie leżało nieruchome. To stąd, to zowąd od chwili do chwili wymykały się obłoczki mgliste z pomiędzy gór, z łona lasów: jedne rozszerzają się, roz-wieszają się po górach, inne zwijają się, staczają się na dół — i oto wiatr powionął, a wszystkie te mgły wędrowne biorą jeden kierunek, dążą ku nam, przepływają pod naszymi nogami i nikną w dalszych górach, a na ich miejsce inne wychodzą.

Przez ten czas przygotowano podwieczorek i wezwano nas. Odbyliśmy tę biesiadkę w szałasie, przy ciepłe ogniska, bo niekiedy przykry chłód zawiewał, a jeszcze więcej przy ciepłe serc, które się między sobą znały, rozumiały, kochały, nie miały nic do tajenia sobie. Była więc swoboda, ochota, prawdziwa radość i wesołość. Było jeszcze dobre jedzenie i wino rzeźwiące. Zgoła nie zrobiliśmy krzywdy temu miejscu, które nieraz patrzy na ochotę uwijających się tam juhasów.

Po jedzeniu znalazłem sposobność być na chwilę samotnym. Jest to dla mnie konieczność po pewnym czasie, choćby wśród towarzystwa najmilszego, wśród zabawy najszczęśliwszej. Oddzieliłem się niepostrzeżenie od moich spółbiesiadników, zdala od szałasu usiadłem pod drzewem, ze spojrzeniem swobodnem na obraz, namalowany duchem i siłą Najwyższego Twórcy. Sam teraz byłem; swobodnie mogłem rozpatrzeć się, swobodnie zastanowić się nad tem, co widzę. Na com spojrział, nowa myśl budziła się; każdy przedmiot był ostrogą dla myśli. Im dalej puszczałem oko, tem rzewniejsze, tem głębsze marzenia podnosiły się z duszy, prowadziły duszę coraz, coraz dalej. Wkońcu oko ustało, tylko duch sam szedł i szedł po całym kraju, zatrzymał się na ziemi rodzinnej, w miejscach dzieciństwa i młodości, obszedł towarzyszków nie-

powrotnej już drogi, pukał do przyjaciół, dotknął serc rodziny! A oniż to czują? Dlaczegożby nie czuli? Ta przestrzeń materyalna jest dla ciała; nie jest, nie może być przestrzenią dla ducha. Jestże duch słabszy od pioruna, powolniejszy od światła, mniej przenikliwy, jak ciepło, jak elektryczność, mniej czuły, jak magnetyzm? Nie! Duch jest wyższy nad to wszystko w tych wszystkich przymiotach; duch jest dzieckiem Ducha bożego, jest Jego obrazem i podobieństwem, ma cząstkę Jego istoty, Jego potęgę. Ale od niegoż zależy, aby go poczuło, wiele razy zechce? Alboż niema ludzi, którzy nie czują Ducha bożego? Gdzież jest człowiek, któryby czuł go w każdej chwili? Ja sam ileż razy jestem w tej nieczułości? Mogęż się dziwić, że mnie nie czują, kiedy jestem przy nich całym duchem? Szczęście to jednak wierzyć, że w tej chwili mój przyjaciel, mój brat, moja siostra, zadumala się o mnie, łzy jej popłynęły na moje wspomnienie, pragnie mię widzieć, wyrwa się do mnie, bo duch mój jest przy niej. Postrzegłem obłok, który płynął dołem w moją stronę. Pragnąłem zobaczyć w nim posłańca z mojego kraju, odebrać jakąś wieść przez niego... Przepłynął objętnie...

Niebo tymczasem zaczęło rozchmurzać się, powietrze się wyjaśniło, moje marzenia opadały powoli — życie wracało do oka. Okolica stanęła przede mną w nowym wdzięku — i znowu widziałem tylko góry i lasy, i cały byłem w tym widoku, kiedy za mną głos niewieści zadzwonił. Obejrzałem się, spotkałem piękne oczy, zerwałem się z pod mego drzewa, i — żegnaj mi piękny widoku! Bo człowiek jest królem tej przyrody całej, jest nad wszelką przyrodę. Ogrom Tatrów jest okazały, zdumiewający, ale czemże on jest obok wielkiego człowieka! Czemże jest kwiat najpiękniejszy obok kształtów pięknej kobiety? Mam ją obok siebie z pięknem okiem, z sercem czystym, z dusząniepospolitą — i miałbym się w tej chwili zajmować widokiem, który bez człowieka jest tylko igraszka wzroku? A ja w tem jednym ciele widzę więcej wdzięków, jak w najpiękniejszym kwiecie; łechce mój wzrok barwa kwiatu, ale blask oka kobiety zapala serce miłością, porywa. Cóż, kiedy miłość otworzy ten kwiat zamknięty!

Jedno jej tchnienie, a Bóg wie, jakieby się skarby odkryły! Szkoda byłaby, piękny, żywy kwiecie, żebyś przeszedł ten świat nieotworzony, nierozwinięty! Wielka szkoda dla ludzi! Tyle miłości opromienia ciebie mimo twej wiedzy, mimo twej woli, kiedy wszystkie twoje usiłowania są w tem, aby ją ukryć, aby ją stłumić. Cóżby to było, gdybyś jej dała całą swobodę!...

Wkrótce byliśmy wszyscy razem. Razem jeszcze obchodziliśmy górę i oglądali widoki. Zmierzchać już począł, kiedyśmy się wzięli ku domowi. Powrót był nierównie miłszy, niż podróż na górę. Wszyscy szliśmy pieszko; dzieci tylko wsadzono w bryczkę. Spuszczaliśmy się prawie ciągle z góry — nie czuliśmy więc żadnego znużenia. W połowie prawie drogi zaskoczyła nas już noc zupełna, ale księżyc czarodziejsko przyświecał. Góry oblane były jego światłem; skały je odbijały, błyszczały przydrożne potoki, jak lustra salonów — iskrzyły się uroszone łąki, jak mleczna droga gwiazd niebieskich. A gdzie mijaliśmy zarośla, tam krocie świętojanek nam przyświecało: jedne, nieruchome w mroku gęstwin, w kępkach trawy — inne, skrzydlate, przemykały się przed nami, krążyły około nas, jak latające gwiazdki. Nigdy nie zapomnę tego wieczora, tej przechadzki nocnej. Zakończyła ona godnie cały ten dzień, którego także nigdy nie zapomnę. Daj Boże więcej podobnych!

WYPRAWA W GŁĄB TATRÓW.

LEŚNICZOWSTWO BUKOWIŃSKIE.

12 sierpnia 1832.

Właśnie w tych dniach doniesiono nam, że śniegi od dwóch tygodni zginęły, ma się rozumieć, w miejscach dostępniejszych, bliższych doliny. Postanowiliśmy nie zwlekać dłużej i wyrzucić się w głąb Tatrów; czekaliśmy tylko ustalenia się pogody, która przez te ostatnie dni kilka często się zmieniała. Dziś ją znajdujemy pewną. Niebo wprawdzie chmurzy się, ale barometr idzie w górę; nadto górale miejscowi zaręczają, a na tem więcej można polegać, jak na skazówkach barometru.

Wyruszamy z Łopusznej o czwartej po południu. Towarzystwo z samych mężczyzn: jest nas pięć osób oprócz służącego. Odbywamy tę wędrowkę konno. Opatrzeni jesteśmy dobrze w perspektywy, w strzelby, a co najważniejsza, w żywność i wino. Każdy, obyczajem wojskowym rzymskim, dźwiga część tego zapasu w swojej torbie podróźnej. Zasób ten jest konieczny dla puszczającego się w góry. Prędzej puszczaj się bez broni, jak bez żywności. Napad zbójców rzecz nadzwyczajna, ale głód bardzo rychło zajdzie drogę i schwyci cię za wnętrzności wskutek ruchu, powietrza i wody górskiej. Na karczmy nie rachuj, nie znajdziesz ich tak, jak w górach innych krajów; po części przez niedbalstwo krajowców, a w wielu miejscach dla niepokonanych przeszkód miejscowych; latem drogi niepodobne do utrzymania, a zimą, i to ośmiolub dziewięćmiesięczną, śniegi i mrozy, o jakich nie mamy wyobrażenia, skazują te miejsca na wieczną bezludność.

Mieliśmy przed sobą dwie drogi. Jedna, dalsza, przez Nowy Targ — jest ona bardzo wygodna dla powozów

nawet, ale znacznie dalsza, a dla nas, wierzchowych, niekonieczna; wzięliśmy więc drugą, mniejszą, ale najprostszą, przez wsie: Nową Białą, Białkę i Bukowinę.

Okolo ósmej wieczorem stanęliśmy w leśniczostwie bukowińskim, zrobiwszy dwie mile drogi. Miejsca, które zamierzaliśmy widzieć, były przed nami jeszcze o mil trzy i więcej. Musielibyśmy nocować w górach, pod gołym niebem, na jakiej polanie. Jakkolwiek nie mieliśmy wstrętu od podobnego noclegu, rozważyliśmy jednak, że polany jeszcze nie pokoszone, konie nasze nie miałyby żywności, a przytem nie byliśmy zabezpieczeni przeciwko nocnemu chładowi; przeto woleliśmy przepędzić noc w leśniczostwie.

Leśniczy, znany moim towarzyszom, uprzejmy, ludzki, nie tylko, że pierwszy podał nam tę myśl, ale ofiarował się być naszym przewodnikiem, jako najświadomszy tych miejsc przez swój urząd i kilkoletni tu pobyt.

Wszakże i tak dzisiejszy wieczór nie był dla mnie stracony. Leśniczowstwo leży na samym już wchodzie do Tatrów najwyższych, na miejscu bardzo wyniosłem, wesołem i pięknem. Pogoda ustalająca się spędziła z niebios i gór do najmniejszej chmurki — pełny księżyc świecił całym blaskiem — Tatry stały tuż przede mną, w takiej bliskości, w jakiej nie widziałem ich jeszcze dotąd. Niedaleko szumiała Białka w głębokiej dolinie, jednym słowem, wieczór ten przeszedł mi jak najmiej, dopóki sen nie nadszedł.

WOŁOSZYN. — ROSTOK POTOK. — SIKLAWA
WODA. — WODOSPAD. — PIĘCIOSTAWY JE-
ZIORA. — ŚWISTOWA GÓRA. MORSKIE OKO.

13 sierpnia 1832 r.

Ze wschodem słońca ruszyliśmy dalej drogą wygodną, przestronną, urządzoneą i utrzymywaną kosztem właściciela tych okolic, p. Homolacza, która się poczyna od Nowego Targu a przechodzi przez wsie: Biały Dunajec, Poronin, leśniczostwo Bukowińskie, aż do Morskiego Oka. Droga ta jest utrzymana, jak tylko być może najlepiej

tam, gdzie jedna ulewa rozburza najmocniejsze kamienne dzieła.

Sliczny poranek spełnił przepowiednie wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymia gromada nagich szczytów wydawała się, jak skąpiana w świetle i świeżości; — tylko groźniejsze od innych lodowce błyszczały wiecznym śniegiem.

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskiem a polskiem powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, czucia, na całą istotę człowieka. Zdaje się, że przyroda, rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj, niż gdzieindziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłym zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiedy uchylał się, a wówczas powitała nas z boku jakaś rozkoszna dolina, jakaś góra, naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka, grająca wiecznym szumem, głuchym, jak z przepaści. Tak minęliśmy Niebieską dolinę, polany: Gładową i Klinkówkę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Naraz ujrzeliśmy się na polanie, zwanej Łysa, przy brzegu Działki, u stóp Wołoszyna. Dokoła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami ocienione, wyżej ciemne płaczącem się kozodrzewiem, a jeszcze wyżej nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwo nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową, przyprószoną śniegiem, stał tu, jak odźwierny.

Pojrzałem dokoła. Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie, obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie, przez samego Twórcę zbudowany! I poświęciłbym lata, przebląkałbym lata wśród ciebie, gdyby to od mojej woli zależało!

Od Łysej polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż popod skalami i lasami, gdzie jeszcze przed kilką laty było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jednym z wód, zwanych cieplicami, że w czasie najcieplejszej zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątej zatrzymaliśmy się dla posiłku. Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda górska trawią dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce, gdzieśmy popasali, była to mała równinka; za Białką, na uboczu góry, leżała polana Białowoda — na południe szła droga ku Morskiemu Oku — do zachodu mieliśmy dolinę Rostok z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciu-stawów i wpada do Białki, tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce; dolina wązka i głęboka na kilkaset sążni, jej boki spadziste aż do samego potoku, łoże, podnoszące się za każdym krokiem — ścieżka, z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy postrzegli, że się znajdujemy na wysokości, na jakiej dotąd nie byłem, przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kozodrzewi, strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej. Około pół godziny drapaliśmy się pod górę, wydającą się pagórkami kilkunastu kroków przy ogromie mas, dokoła siedzących; cała jej powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy wyszli, pokazano nam w niezmiernej wysokości dwie dzikie kozy. Golemu oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwone plamki, dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy, że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowanie na to zwierzę; w tem n. p. miejscu, któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jej uboczu. Jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie; kamień, niezatrzymany niczem, dla nadzwyczajnej gór

spadziści stacza się aż do dołu i płoszy kozy — tak sploszone, uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry, ledwo wierzyć można, że je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła: strzelcy jednak biegają po nich, jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności górali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy: pojedynczo. Strzelec, zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, zazwyczaj w jakimś miejscu niedostępnem, przyczajają się w skałach i czeka zwierzyny. Wiadomy miejsc i obyczajów zwierza, najczęściej prędko go ujrzy. Zdarza się, że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści, pod jego nogami; wtedy kładzie się na kamieniu, polową ciała wychylony nad przepaść, i w tej postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrojsze, a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobnym miejscu mgła zaskoczy — a mgły, zwłaszcza na Krywaniu, są tak gęste, że człowiek wśród niej nóg własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje, tylko siedzieć w miejscu i czekać, aż się mgła usunie.

Odpucawszy, spuściliśmy się znowu z góry ku wodom Rostoka i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżej. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głązy i drzewa, postręcane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawałone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne, jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Zato kilkasetażniowe ściany skaliste, obwieszane drzewem a często kozami, liczne wody, snujące się, przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące, jak kryształ, i tysiące innych obrazów, co krok, rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do strefy już kozodrzewia, ujrzelśmy nakoniec Sikławą wodę; jest to wodospad, utworzony przez Rostok, a zdumiewający swoją wysoko-

ścią i gwałtownością. Byliśmy od niego więcej jeszcze, jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący balwan, biały, jak śnieg. Im więcej zbliżaliśmy się, tem szybciej chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi, bo przeprawa tem trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieniony Rostok, aby odtąd iść prawym jego brzegiem; przedarliśmy się przez gęstwy kozodrzewia, odpoczywając po każdych kilkadziesiąciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę; już sądzimy być u kresu, — złudzenie! Do spodu Siklawej wody nie podobna dostąpić, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczyrych prostopadłych opok; musimy pisać się wyżej. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącej nie mieliśmy dotąd, bo po uboczach, to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dościgliśmy śniegu, wiekującego w cieniach skały jednolitej z opokami, po których przewala się Siklawą wodą, i zgrzani, wpółomdleni, padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodosпад i rosił nas swojemi mgłami. Przekrojony od sterczącej na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadłe dwoma pasmami kilkunastokciowej szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jej wyżłobienie i, wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej — a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyżłobienie, wylatuje z niego, jak piłka, na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniej 50 sążni. Lecąca woda, połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i zlewa poblizsze miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęczę; nam, będącym około godziny drugiej z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Ma to być przysionek z lodu, otaczający Siklawą wodę. Nie podobna, jak mi mówili strzelcy przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu tej budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu, rozsianych pod tysiącnymi kształtami — i zapę-

wne, że takie dzieło mgły, niedojrzanej prawie, musi być nadzwyczajne.

Czas naglił; dziś jeszcze mieliśmy być przy Morskiem Oku. Musiałem gwałt zadać oczom i upojonym czuciom i pożegnać wodospad. Pięciostawy były teraz celem naszej podróży. Ta sama woda przewodniczyła mi i dalej drogą, równie trudzącą, po głazach i siatce kozodrzewia. Sto kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłej, a raczej ubocza i to przykrego, po którym śród zwaliska głazów szumi i huczy potok, także wodospad, ale nieco wolniejszy i węższy, jak Sikława woda, postawiły mnie w okolicy, jakiej nie podobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobraźnia nigdy mi nie przedstawiła. Znalazłem się śród pustyni skał, w całym znaczeniu tego wyrazu. Wyliczyć mógłbym przedmioty, które zapelniały ten przestwór mil kilku: pięć jezior — nad jednym z nich stałem — gdzieś niedzie nad wodą zarośle kozodrzewin, kępa darniny, plamka mchu, kilka żółtych kwiatków jaskru, pliszka, niby zablakana, zresztą pan tej całej dziedziny, kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelniczne życie prowadzić, obrałbym bez wahania się to miejsce na moją pieczarę: tyle znalazłem w niem uroku przy najbliższej samotności.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez komyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kociel. Dno jego we trzy piętra; najniższe zalane okrągłym jeziorem, z którego wypływa potok, tworzący Sikławą wodę — brzegi jeziora uzienione gdzieś niedzie kozodrzewiem i trawą; po lewej ręce, patrząc w południe, dwa mniejsze jeziora, jedno za drugim — po prawej trzecie, także niewielkie, ale na podniesieniu już znaczniejszem, a czwarte jeszcze wyższe, wszystkie zaś związane wązkiemi strumykami ze środkowem, najobszerniejszem; kamienny, samotny szałas nad jeziorem najwyższem, cisza grobowa tego olbrzymiego ustronia, echo Sikławej wody, krążące nieprzerwanym szumem po szczytach, zamykających dolinę — oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upał i czystość wody do niewypowiedzenia zachęciły mnie do kąpieli w jeziorze, nad którym znalazłem się. Chciałem też niby ochrzcić się, jako przypuszczony już

do tajemnic Tatrów; kąpiel moja bardzo krótko trwała, dla nadzwyczajnie zimnej wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciu-stawów, bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku Morskiemu Oku. Była czwarta z południa. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę, Mnich zwaną (u jej to podnóża na stronie przeciwnej leży Morskie Oko), ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich; samo wejście na owe skały nagie, prostopadłe, już niejednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojej głowy i zręczności nóg. Postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt — i to wyboczenie nie było bez trudu i niebezpieczeństw.

Z początku, doliną Pięciu-stawów, szło nam jako tako — nie było tam innych zawad, jak ogromne kotliny, zawałone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami, jak dziś Pięciostawy, ale w tej chwili zupełnie są bezwodne; dopiero, stanąwszy na uboczu gór, wiszących nad Rostokiem, poznaliśmy, co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy. Można to sobie wyobrazić jakokolwiek, przedstawivszy górę tak wysoką, że dolina Rostok, długa przynajmniej półtóry mili, zdawała się nie mieć, jak kilkaset sążni, a przytem gładką, prostopadłą niemal — i ścieżkę, równoległą do dna przepaści, po śliskich trawach, zaledwie poznaczoną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie rozkoszy niebezpieczeństw. Jest to jedno z tych miejsc, które mniej śmieli przebywają tym sposobem, że im zawiązują oczy — i postępują, prowadzeni przez dwóch górali, z których jeden idzie przodem, a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochłubić się, że sami górale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności, jakie okazywałem w tej przeprawie. Byłem zawsze na przodzie i w znacznem oddaleniu od reszty towarzystwa. Ileż razy, chcąc wycząć, nie mogłem inaczej, tylko oparłszy się o górę, której bokiem szedłem — takiej prostopadłości są te ściany — a wtedy pod nogami miałem przepaść, nad którą pode mną tylko orły krążyły.

Po takiej przeprawie dościgliśmy wreszcie grzbietu Świstowej góry. Z tej wysokości, w ogromnej pod nami

głębi, dojrzelismy Morskie Oko; wtedy poznaliśmy, jak znacznie wyżej leżą Pięciostawy.

Około 6-tej stanęliśmy nad Morskim Okiem.

To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnej drogi (nie tej, którą myśmy wzięli) jest jednym z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a niejeden opisuje. Morskie Oko nie zrobiło na mnie wrażenia, jakiego się spodziewałem, niezawodnie dlatego, że już widział Pięciostawy. Mimo to zasługuje na to, co o niem mówią. Ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody, zamknięta w jeziorze okrągłym, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów, brzegów tak rozległych, że człowieka, stojącego na brzegu przeciwnym, dojrzeć nie można, a czemu na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, tak mniejszem wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dookoła otaczają. I my byliśmy ofiarą tego złudzenia, ale dwie próby sprostowały nasz sąd o niem. W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wioseł silnie pędziliśmy; w pół godziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; później strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego Oka jest niezmiernona. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi; bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego Oka jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową, nad wodę podniesioną, do kociej podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu jakaś ryba, nieznaną im, porywała pijące owce, a szczególnie czarnej; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niej ognia, skoro się pokazała, i odtąd już jej nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego Oka jest rzeczywiście więcej, niż szklanna; przypomina to, co wiemy o przezro-

czystości wody północnych stron oceanu; na dnie kilku-nastosażniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnymi widzenia, odznacza się okolica Morskiego Oka. Pierwszym jest jezioro, zwane Czarny Staw. Leży one we wschodniej stronie Morskiego Oka, w obrębie tychże samych szczytów nabrzeżnych, ale na podniesieniu, wyższym mniej więcej o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego Oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego Oka.

Od południa znowu stoi góra skalista, Mnich zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo siedzącego zakonika z odrzuconym kapturem — a dłuższe wpatwienie się daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Niewiele wód zewnętrznych zasila Morskie Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego Stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem; zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody, tworzącej Białkę, każe się domyślać obfitego jej przyływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy — obchodzi do koła jezioro, i w chwili kiedy głuchnie w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tem większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rozkoszną tę okolicę. Słoneczna luna błakała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego Oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjeźdźnym i, pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górami, wsiedliśmy na konie, czekające nas przy Morskiem Oku, i wróciliśmy do leśniczowstwa tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przyprowadziła.

Taka podróż nie może zaspokoić; rozdrażni tylko, przez pół odsłoni wdzięki gór. Pragnąłem ją powtórzyć. Inaczej się stało: musiałem przestać na 13 sierpnia.

KOŚCIELISKO. — ŹRÓDŁO CZARNEGO DUNAJCA.
SMERCZYN STAW. — GÓRA ORMAK.

22 sierpnia 1832 r.

Jeszcze w maju puszczałem się był na zwiedzenie doliny Kościeliskiej. Zdawało się, że w tem przynajmniej miejscu, jako leżącym wśród gór niższych i dostępniejszych, będę mógł złagodzić niecierpliwość dostania się do wnętrza Tatrów. Ale mój zamiar nie miał powodzenia. Śnieg, deszcz i mgła witały mię na przemian w Kościelisku; za ledwo wyniosłem z owego czasu pamiątkę niższej części doliny i kilku szczytów, błyskających na przemian między chmurami. A tymczasem to miejsce uchodzi za jedno z najuroczniejszych w Tatrach, na co i ja się zgodziłem, o ile z pierwszego i krótkiego rzutu oka osądzić mogłem; postanowiłem przeto zrobić powtórna wyprawę.

Droga z Nowego Targu do Kościeliska idzie przez wsie: Szaflary, Biały Dunajec, Poronin, Zakopane, zawsze ponad wodą Białego Dunajca; później rzuca się pod same góry, w bujne świerkowe lasy, i styka się z rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościeliskiej doliny. Droga ta, trzechmiłowa z górą, ubarwiona jest miłą różnobarwnością, szczególnie od Poronina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach, co mu dno uścielały — góry po obu stronach i łąki rozdolu, którym droga idzie, jaśniały świeżą zielonością, jakby wśród wiosny — po lasach gwizdała wilga i drozd uczył się pieśni słowika — jednym słowem przebyliśmy tę drogę bez najmniejszej nudy. Naraz gościnniec zbiegł na odkrytą dolinę i skreślił się ku południowi; pojrzałem przed siebie, na tę i na tę stronę pasma wysokich gór, świerkami okrytych: tylko w jednym miejscu przerwa aż do dna doliny, na kilka sążni szeroka — po jednej i po drugiej stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie, a z pomiędzy nich Czarny Dunajec wypadał. To wjazd na Kościeliską dolinę! Minawszy wspomnianą bramę, ujrzeliliśmy się na rozkosznej płaskiej dolinie owalnego kształtu; pokrywał ją kobierzec najświeższej darni, ocieniały dokoła góry i lasy, ozdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńszem nad inne dziełem przyrody; po

prawej ręce szumił nad górami Dunajec — gdzieś z pomiędzy gór lesistych wytykały nagie szczyty, jak wieże nad okazałym grodem — droga wyprostowana, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczysty i nienięła w wąwozie, który się zamykał dalekimi górami. Ta mała dolina, to przysiónek Kościeliska! Gdzie ona zwęża się, tam się zaczyna właściwa dolina Kościeliska. Hamernia i budowy, należące do niej, zapełniają początek doliny. Jest tu także oprócz wygodnej murowanej oberży kilka domków, które gościnny tego miejsca właściciel, zmarły przed laty kilka Homolacz, przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących.

Wieczorem 21 sierpnia przyjechaliśmy do Kościeliska, — dlatego zwiedzanie jego rozpoczęliśmy dopiero nazajutrz. Nim przystąpię do ważniejszych szczegółów, powinienem dać wyobrażenie całej doliny. Długość jej ma wysokości półtory mili; dno tak wąskie, zwłaszcza w części najniższej, że między potokiem, który je przebiega, a górami bocznymi droga zaledwo się przeciska. Góry, tworzące Kościeliską dolinę, są jedyne w swoim składzie, jedne z najpiękniejszych w rodzinie Tatrów. Po lewej ręce, idąc w głąb doliny, są: Gewont, który oddziela Kościelisko od Zakopanego, i niższe szczyty: Miętuska, Uplaz i t. d., — po prawej Tomanowo, Turnie, Smytnia i t. d. Ormak lub Pyszna, ze śniegami na wierzchu, zamyka półkolistymi piersiami dolinę Kościeliską od południa i odcina ją od Węgier. Zresztą każdy tu szczyt najmniejszy, jak i w całych Tatrach, ma swoje nazwisko, ale tych i dowiedzieć się i wyliczyć trudno. Boki gór, po większej części bardzo przykre, w niższej strefie mają wiele różności: tu pięknym lasem porośłe, tu ze stromych skał nagich obwieszane drzewami to rosnąciami, to powalonymi przez coroczne ulewy i wichry, w rozmaitych położeniach — dalej usłane kozodrzewiem, a najwyżej nagie.

Ciekawy jest początek nazwiska tej doliny. Podczas jakichś wojen w Polsce wojska nieprzyjacielskie zapędziły się aż w te strony. Górale udali, że się cofają przed większą liczbą, i tym ruchem wprowadzili nieprzyjaciół pomiędzy góry, poczem, przeciąwszy im w ciasnych miej-

scach odwrót, glazami i drzewami, spuszczanemi ze szczytów, do jednego ich znieśli. Od mnóstwa nieprzyjacielskich kości ta dolina przezwana została „Kościelisko“. Właściwie owa porażka miała mieć miejsce w dolinie, leżącej pod Gewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska, a zwanej dziś Biały Potok; zdają się potwierdzać tę wieść rozrzucone po niej kości ludzkie do niezliczenia. Tą klęskę, według jednej powieści, mieli ponieść Szwedzi, według innej — Tatarzy.

Nazajutrz, przy pięknej i pewnej pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie.

Pierwsze stanowisko jest zaraz niedaleko hamerni, przy źródłach Czarnego Dunajca. Jedno z nich leży na małej płaszczynie pod Uplązem, w kształcie okrągłego zwierciadła, spokojne takż, jak powierzchnia zwierciadła, chociaż woda jego rozlewa się na dwie strony nadzwyczaj obficie i gwałtownie. O kilkaset kroków dalej bije drugie źródło, obfitsze, ciekawsze jużto przez położenie swoje, już przez podanie, przywiązane do niego. Później obszerniej o niem powiem.

W południowej ścianie Uplązu znajduje się pieczara zbójców. Aby dostać się do niej, potrzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jej grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół; cała ta droga idzie gęstym lasem, i tylko drzewa, oznaczone siekierą, są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką, w kształcie długiego korytarza; w ścianach ma otwory, zastępujące okna, wewnątrz kamienne tamy, a w samym końcu źródło. Przed laty kilką znaleziono przy tem źródle kości ludzkie, do podziwienia wielkie; według powieści góralskich miały to być szczątki sławnego przed laty zbrojcy z Węgier, Junoszyka. Przystęp do pieczary bardzo przykry i zasłonięty gęstwiną drzew, ale widok z niej ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszną napotyka się ogromna skała, którą lud zowie Sową, dla jej podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze dalej masz nad szczytami lasu wyraźny ze skał

zamek, opatrzony wszystkimi prawie częściami murywanej warowni.

Odtąd dolina zmienia postawę, rozszerza się i podnosi; góry stoją rozłożystej, parowy łagodniej są wyżłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tem już położeniu, na wysokim przedstopniu Pysznej, leży Smerczyn Staw. Obszerne to dosyć jezioro, ustronnego wdzięku. Otacza je przyroda żyjąca, ale je szpeci przystęp, najeżony pniami zrąbanego lasu; sama też woda nie ma czystości wód górskich, a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niej.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze banie, czyli miejsca, skąd się ruda żelazna bierze, dzisiaj zaniedbane od czasu, kiedy się odkryły obfitsze. Trafiliśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkunastu laty, czy więcej, woda zalala. Piękne bardzo maszyny mają się dotąd znajdować w głębiach wody.

Cokolwiek napotkaliśmy dotąd, było pod pewnym względem ciekawe, zajmujące, często piękne, ale my śpieszyliśmy do uciechy wyższej, do obejrzenia tego wszystkiego jednym rzutem oka, do skupienia tych wszystkich wrażeń w jednym uczuciu ogólnem, pełnem: śpieszyliśmy na szczyt Ormaku. Obejrawszy przeto mimochodem niejednen przedmiot zajmujący, obok tego natrudziwszy się niemało, i po niejednym spoczynku pod górą, dosięgliśmy nareszcie zamierzonego celu, upragnionego punktu.

Weszliśmy na Ormak w tem właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swojemi dwa jego szczyty, zachodni i wschodni, a na które, mówiąc nawiasem, nie mieliśmy ani chęci, ani nadziei dostać się dzisiaj, lubo z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia, jak w górach ten pozór myli i co kosztuje czasu i trudu podobna omyłka. Zaniechaliśmy tego tem chętniej, że spomniony grzbiet góry albo siodło, jak go tu zowią, pokazywałby nam ze swojej wysokości wszystko prawie, co z większej moglibyśmy widzieć.

Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przedewszystkiem musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem. Korzy-

staliśmy z tej konieczności i przez ten czas obejrzelśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tem właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicyą a Węgrami. Kilka kroków (bo tak jest wązka płaszczyzna tego grzbietu) rozdzielają dwa narody, dwa klimaty. Od północy dolina Kościeliska, urocza różnaitością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości — od południa także dolina, do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych różnaitości, któremi pierwsza odznacza się: ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych — raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, na węgierskiej ślady dogorywającego lata; po pierwszej błękitnieją, żółcieją, rumienią się najdorodniejsze, najwonnejsze kwiaty — na drugiej zaledwie gdzieniegdzie żółty jaskier; tam porywa, oświeża oczy zieloność, jak po cieplech wiosennych deszczach — tu zwiedła już trawa i mech, płowieją. Cały widok na Galicyą rozmaitszy i ma więcej życia — na Węgry może rozleglejszy, ale bardziej pusty: tyle lasów, tyle płaszczyzny bezludnej, przedgórze tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez interesu. Ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zesliśmy napowrót z góry.

Pod samym Ormakiem leży piękna polana z porządną bacówką. Owce właśnie zesły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzelśmy kilku pasterzy, krzątających się około bacówki — wesliśmy do niej, aby napić się żętycy i kupić serów. Żętyca tu daleko lepsza i zdrowsza, niż w przedgórzach, leżących z tamtej strony Nowotarskiej doliny, a przyczyna tego w balsamiczniejszej paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! Co za życie i zręczność w każdym ruchu! Jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmażona w maśle, jedna na całe lato, to jest na cały czas, przez

który trzody w górach się pasą — spodnie sukienne białe, obcisłe, z czerwonym szwem w nogawicach i wyszywaniami na brzuchu, z węgierska — ciżmy krótkie, przysznurowane rzemieniami do wysokości połowy łytek — szeroki pas skórzany — za pasem, z lewego boku, nóż duży w pochwie skórzanej — przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaki, z ogromnemi u wierzchniej części frenzlami — koszula pod szyją spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka, z licznemi łańcuszkami, dosyć długimi — rękawy koszuli sfaldowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciorek — na głowie kapelusik z wązkiemi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa — w rękę siekierka na długiej lasce, zwana wataszką lub ciupagą, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Wszystkie te mosiężne ozdoby, jako spinki i także mosiężne fajki, wyrabiają się we wsi Ząb Suchy, niedaleko Kościeliska.

Między innemi rzeczami gadali nam juhasy o zbójcach. Zwykle gnieźdzą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilką dniami juhasy, którzy nam to opowiadali, mieli u siebie w odwiedzinach czterech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp aż do głowy. Każdy z nich oprócz siekierki, noża i pistoletów, ma jeszcze ze trzy rusznice. Juhasom nie robią wiele złego; wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają z sobą i wkońcu, przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. A górale spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z góralami wojnę prowadzą.

Okolo piątej z południa stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarnego Dunajca, o którym już wyżej napomknąłem. W tej chwili niem głównie się zająłem. Wybuchła ono wielkimi bałwanami, z wielkim szumem z otworu pieczary, znajdującej się u podnóża Uplazu. Naga skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających dolinę Kościeliską. Miękki jej kamień okryty jest napisami

rozmaitego kształtu, rozmaitej mowy, rozmaitej treści, imionami i nazwiskami osób wszelkiej płci, wieku, stanu i narodu. Jakiegokolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie źródło i pieczara, z której było. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni powiadali, że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiej, trudnej i chłodnej podziemnej wędrówce dotarto nareszcie do ogromnej sali, ozdobnej kolumnami i sztukateriami z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby dyamentowa — że pośrodku sali leży małe jeziorko, właściwie źródło Dunajca. Odtrąciwszy przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzyłem w salę i zdobiące ją sztukatury. Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tem miejscu srebro; w tem podaniu nie mogłem dostrzedz poetycznej strony. Niektórzy twierdzili, że tem podziemiem trzy dni i trzy nocy iść potrzeba, aby dojść do źródła — że nawet w końcu tej wędrówki można się było obaczyć na szczycie jakiejś góry; na tobym się nie odważył. Inni nakoniec zapewniali, że szperanie po pieczarze oburzało Ducha, mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tem się nie trwożyłem i postanowiłem w ciemnym siedlisku Ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzyłem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy, jako to: świeczki woskowe, zapalki chemiczne, pulares i t. p., wzięłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okragło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda, nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżej nad kolana, parla mię wciąż napowrót ku żyjącemu światu — przytem dno tak jest nierówne i ślizkie, że co chwila byłem w obawie upadku i całkowitego skąpania się: w takiej walce z pędem wody nieraz już pochylałem się i zamoczyłem po szyję prawie. Trzymałem się jednak, jak mogłem; chodziło mi najwięcej o światło, bez którego czułem, że byłoby mi źle w miejscu ciemnym, nieświadomem i zalanem

wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postępowałem naprzód; szum wody coraz głuszej rozlegał się w podziemiu — ale dotąd szedłem w prostej linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego, zazierającego w otwór. Naraz pośliznąłem się, upadłem i świeca mi zgasła. Chciałem korzystać z zapalek — na nic się nie przydały. Powietrze w podziemiu, nasiąkłe wilgocią, a przytem wietrzyk mały, skutek zapewne nadzwyczajnego pędu wody, zgasiły mi każdy siarniczek, że wkońcu nie pozostawało mi, jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się wąż powtórę, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosiłem kresu poprzedniej wyprawy. Świecę zasłaniałem, jak mogłem wszakże jej światło coraz bardziej mdało. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór — grube ciemności otoczyły mię dokoła. Bałwany wody za każdym krokiem silniej uderzały i huczały głośniej — stanąłem na chwilę. Huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mię po nogach fali, mieszanina tysiąca najsprzecznieszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej nie podobnego w życiu mojem nie słyszałem, niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię naprawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu: zdało mi się w tej chwili, że się otwierają tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe zaczynają przesuwać się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach; spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór, niezajomy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki. Uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podań ludowych — szedłem jednak. Wkrótce pęd wody wolniej; trafiając nogą na tram kilkołokciowy. Przyglądam się mu — obrobiony widocznie ręką ludzką. Co on tu robił, tego nie potrafię wytłómaczyć. Opierając się ręką o ścianę, trafiłem na wyłobienie i znalazłem w niem kawałki szkła potłuczonego. Musiał tu więc być człowiek — i oto ujrzałem się w próżnej przestrzeni, mającej obwodu kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskiem, że ledwie wyprostować się mogłem. Główny nurt szedł bokiem tego ustępu, woda zaś,

pokrywająca jego dno, była spokojna i płytsza. Zboczyłem kilka kroków, wylażłem na kamień, aby zdrewniać od chłodu nogi przyszły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniej groziła zgaśnięciem. Nie zważając na to, powracam znowu na dawną drogę, pomykam się do kurytarza, skąd bije nurt najmocniejszy — wtem dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie: ta, którą przyszedłem — lato więc, chociaż omackiem, trafilem na nią, trzymając się przytem fali najgwałtowniejszej, i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy.

Tą razą puściłem się z latarnią. Wrażenie podziemnej zgrozy słabiej już na mnie działało. Większa świeca, dobrze szkłem osłonięta, pomogła mi jaśniej widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużej jaskinię, w której wczoraj odpoczywałem: było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałej wilgoci. Posunąłem się dalej. Z początku zdawało mi się, że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek. Obejrzałem każdą. Niektóre nie miały długości, jak kilka łokci, inne obiegały tylko, jako głaz, i łączyły się z głównym przechodem. Po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się naprzód radością, której doznam, stanawszy w owej sali, która w podobnem miejscu musiałyby przedstawiać coś osobliwego. Ale sklepienie, wycięte pod kątem, coraz się bardziej zniżalo i zwężalo: chyliłem się, dopóki tylko mogłem, przysiadalem — mimo to poznałem wkrótce, że dalej niktby posunąć się nie potrafił. Woda wybuchała wprawdzie z równą obfitością, jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny, i to tak ciasnej, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować.

Tu zakończyłem podziemną moją podróż i zaspokoilem ciekawość. Jakkolwiek nie trafilem w niej na przedmioty nadzwyczajne, chcę jednak wierzyć, że śmielszy, czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy ode mnie potrafi głębiej się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewniam. Co do mnie, z tego, com dokonał, i z chwili, przepędzonej w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak mile pom-

nienia, że jeszcze chętniebym powtórzył tę wyprawę, i mam nadzieję, żebym wrócił nie bez zdobyczy, jeżeli nie dla oka, to dla uczuć i myśli. W niezwykajnych tylko położeniach budzi się wewnętrzne życie człowieka.

WIDOK Z CZORSZTYNA.

26 sierpnia 1882 r.

Słońce spuszcza się z południa — niebo w pół wypogodzone. Przejrzysta sześcoga obwiewa dolinę lekką zasloną. Wierzchołek Babiej góry dymi, jak przygasły wulkan, słupem obłoków, rozplywających się nad jej czołem, jak pióra bujnej kity. Powódź chmur, waląc się od zachodu, pnie się jak do szturmu po niższych stopniach Tatrów ku najwyższym szczytom: jedne znikają w białawych olbrzymich kłębach, inne, zalane na chwilę, wybijają się na wierzch. Podarte chmury spływają po nagich bokach olbrzymiej skalistej twierdzy, ale nadchodzą nowe posilki — szczyty, zwycięskie przed chwilą, toną w nawale następnej. Wkrótce chmurna chorągiew nawalnicy powionęła rozwinięta na najwyższych wieżach grodu niezmiernego; wszystkie jego szczyty zniknęły w powodzi obłoków, a tryumfująca niepogoda zaległa, jak obozem, cały plac boju i na najniższych lasach rozbiła swoje namioty. Podtenczas cała dolina przypatruje się obliczem pokoju całej tej walce. Blask żadnego strzału nie razi jej spojrzenia, żaden grzmot strzału nie dochodzi jej słuchu; chyba cień przelotnej chmurki przemknął się kiedyś niekiedy po jej oświetlonej płaszczyźnie. I owszem, przy tem ciemnem tle dalekiej burzy żywiej jaśnieje zieleń polan i złoto pól, dojrzałem już zbożem okrytych. Zresztą wszystko spokojne, bezpieczne; prostym gościńcem snują się grupy pracujących, roją się niemi zagrody wiejskie — ożywione niemi pola. Ale nad wszelki urok tego obrazu najuroczniejszy jest widok wód doliny. Nic nie zdoła wyobrazić tego blasku, co odznaczał Białkę w namiętym jej pędzie ku Dunajcowi przez ciągłą pochyłość, więcej, niż milową, i z pod zaslon sześcogi srebrem jej strzelał.

O, jak ja wam zazdroszczę w tej chwili, góry, lasy, co z wyżyn waszych patrzycie zawsze na tę krainę! Wam

żadne jej zjawisko nie jest stracone! O, jak pragnę niemal zamienić się w cokolwiek, równie, jak wy, trwale, byle mi pozostawiono to uczucie, które mię dzisiaj ożywia, to szczęście, którego w tej chwili doznaję!

Zazdrościłem drzewom, skalom, a dla gruzów Czorsztyna powziąłem tem większe uszanowanie; z uwielbieniem myślałem o jego pierwszych założycielach. W natchnieniu wyższem musiał być ów człowiek, co pierwszy odgadił to miejsce i pierwszy na tych skalach zakreślił posadę Czorsztyna; wzniosła musiała być dusza, co tu pierwsza zamieszkała! Czemuż tego o współczesnych powiedzieć nie mogę? A nie mogę, kiedy, pojrzawszy dookoła siebie, widzę, jakby na uragowisko przeszłości tego miejsca, rozsadzone po gruzach niedźwiedzie z drzewa. Ma to być pomysł dzisiejszego ich właściciela.

SZLACHTA SANDECKA.

28 sierpnia 1832.

Niedźwiedzie drewniane czorsztyńskiego zamczyska zatrzymały moją myśl na szlachcie sandeckiej. Nie mogę jej pominąć w milczeniu. Stanowi ona ważną część ludności miejscowej, nie tyle przez swoją ilość, co przez jakość; nie o niej nie powiedzieć, byloby to zostawić w obrazie miejsce niezamalowane. Zasługuje ona na wzmiankę tem bardziej, że ma w rzeczy samej niektóre cechy sobie tylko właściwe, a odróżniające ją od szlachty innych obwodów galicyjskich, stanowi wybitny odcień w całości, zwanej szlachtą. Rys ten nie będzie może najpowabniejszy, ale jest konieczny.

Nie cenię lekko, nie sędzę lekko naszych braci, nie uważam ich za gorszych między innemi, nie podzielam tonu, w jakim ucywilizowana niby szlachta galicyjska przemawia o szlachcie sandeckiej. Szlachta sandecka ma swoją słabą stronę, bo jest szlachtą tak pijącą, że i sandecka na więcej się nie zdobyła.

Wszystko to uszłoby za mniejsze grzechy w oczach ludzi wyrzumiałych, dałoby się złagodzić to tem, to owem, gdyby szlachta sandecka pilnowała się drogi ojców dobrej w rzeczach główniejszych dla człowieka —

gdyby okazywała się więcej braterską w pożyciu z bliższymi sobie, w swojej sferze wiejskiej — gdyby mocniej usiłowała trzymać w tem kółku ton jedności, zgody, obyczajów prostych ale czystych, właściwszych człowiekowi, jak zwierzęciu, miłości, rozlewającej się raczej na zewnątrz, jak ściągającej wszystko ku sobie i w sobie wszystko pochłaniającej — gdyby mniej zapominała, że jest ważną gałęzią społeczności chrześcijańskiej, nie pogańskiej, że ma ważne obowiązki i powinności do pełnienia — że, jeżeli są biedy, na które musi czasem skarżyć, to wszystkie płyną z jednego głównego źródła dla każdego człowieka, z niego samego, ile razy nie robi, co Pan Bóg przykazuje — gdyby jasno zobaczyła to prawo konieczne, że złe rośnie w gorsze, a gorsze w jeszcze gorsze — gdyby... Ale tyle jest owych „gdyby“ do polecenia, że muszę się zatrzymać i zostawić resztę rozważde tego, komu na tem zależy. Najlepiej będzie, kiedy każdy sam przed sobą mnie zastąpi. Zdaję chętnie tę pracę na moich braci, nawet nie-Sandeczan. Może już i tak zanadto rozgadałem się i wpadam w podejrzenie, że chcę uczyć mądrzych ode mnie. Uchowaj mię, Boże, od tego! Co powiedziałem, to głównie między innymi dlatego, że czuję, o ile ta ziemia, te góry byłyby piękniejsze, gdyby ludzie zrobili się piękniejszymi i swoją pracą dopełnili dzieła bożego w tej stronie.

ŚWIAT ZWIERZĘCY W GÓRACH.

30 sierpnia 1832.

Surowość zimy i klimatu sprawia, że ludność zwierzęca w górach nie jest ani tak liczna, ani tak rozmaita, jak w innych okolicach naszego kraju. Ptaki i zwierzęta silniejszej tylko organizacyi mogą być stałymi mieszkańcami tej strony. Słowik tu rzadki, zato pełno olbrzymich orłów, sępów, puhaczy. Mniejsze rody są wędrowne; do takich należą kwiczoły, które podczas lata chmurami przelatują się po górach. Wiadomo, że ulubionym ich pokarmem jest jałowiec, a ten krzew znajduje się tu w znacznej ilości. Nie są jednak puste i głuche pod tym względem góry; można w ich lasach słyszeć wszystkie głosy pta-

ków, znajome nam gdzieindziej. W porze zwłaszcza letniej i ptastwo zdaje się wysyłać tutaj ciekawych swoich wędrowców.

Ze zwierząt celuje tu nad wszystkie koza skalna; jest to najwłaściwszy mieszkaniec gór i wielka ich ozdoba. Bez nich nie byłoby strzelectwa góralskiego; góry straciłyby wielką część swojego życia. Sarny także są dosyć powszechne. Do ogromniejszych i dzikszych należy niedźwiedź, który tu nie jest rzadki. Wiele także wilków i lisów.

Wody górskie swoją bystrością zwyczajną, swojemi wezbraniem nie sprzyjają takiej obfitości ryb, jaką znajdujemy w wodach równin; mają zato rodzaje, właściwe sobie. Między temi celują pstrągi i lososie. Oddawna sławne były i są dotąd lososie dunajeckie; do tej sławy Dunajec dotąd ma prawo. Nie wiem, czy lososie znajdują się w innych wodach karpaccich; to pewna, że ich połów najznaczniejszy jest w Dunajcu, a co większa, że co do smaku przyznawano im pierwszeństwo.

Mieszkańcy utrzymują, że losoś przybywa z morza Wisłą. Dlaczego Dunajec tak mu ulubiony nad inne rzeki, łączące się z Wisłą, o to mniejsza; ciekawszy jest instynkt tej ryby, który ją prowadzi zawsze przeciw pędowi wody. Jest w niej jakaś miłość walki — stąd też obdarzona jest niepospolitą sprężystością; jest ona prawdziwie zadziwiająca. Napotyka się czasem lososia w potoku głębokich już gór, gdzie nie może dojść inaczej, tylko kaskadami, a więc skokami z dołu w górę, nieraz kilkolokciowemi. Zdaje się, że je przebywa w czasie wezbrań, kiedy woda obfitsza; walczy więc z wysokością i pędem spadającej wody. Miejsca, gdzie znajdują lososie, mają zaledwie niekiedy kilka kroków przestrzeni pokrytej wodą, którą zatrzymuje naturalna przeszkoda ze skały, a są tak płytkie, że rybak ręką bierze lososia. Taki połów jest prawdziwą walką człowieka z rybą. Potrzeba niemałej siły, aby ją pokonać. Połów ten bywa czasem niebezpieczny: zdarzało się, że losoś złapany i włożony za pazuchę, obwijał się wkoło piersi i ścisnął tak silnie człowieka, że, gdyby nie prędko ratunek obecnych,

byłby go udusił. Podhalanie uważają pstrągi za młode lososie.

Nie mogłem skierować mojej większej uwagi do tej sfery stworzenia w górach. Żałuję tego bardzo; jest to godne głębszego zbadania, i pewno znajdzie się, kto mię w tem dopełni. Ja przestaję na tem słowie ogólnem. Nie mogę wszakże pominąć w milczeniu plagi tutejszych lasów. Są to czerwone robaczki, ledwo dojrzone, z rodzaju robaków toczących drzewa. Ale ich działanie jest na wielką skalę. Odrazu zajmują linię milowej długości i tak się posuwają, a ślad ich przejścia widzisz tylko po czarnych uschłych lasach. Jest to rodzaj choroby, rodzaj zarazy lasów, a w której może leży rozwiązanie zagadki morów, tępiących ludzki rodzaj.

Z TURNISK. — GŁĘBIA TATRÓW.

1 września 1832.

W tych dniach wypada mi znowu droga w Tarnowskie; może tu nie prędko wrócę, a może i nie wrócę. Nie tracę więc ani jednego dnia, ani jednej chwili. Oglądam, czegom jeszcze nie widział, odwiedzam, com już poznał; zwracam na wszystkie strony oko, ucho i uwagę. Dusza moja nie zamyka się: wciąż daje się lub przyjmuje; gromadzę do jej skarbcza wszystko, co mi się nastrocza — a, co się da wypisać, zapisuję. Pragnę zatrzymać, utrwalić tę chwilę, tak ważną dla mnie; pragnąłbym podzielić się ze wszystkimi wszystkim, co jej winien jestem; pragnąłbym zdobyć się na jakąś pamiątkę po niej, po tych miejscach, po życiu, którem tu przepędził — na owoce z tyłu uczuć, wzruszeń, natchnień, przez które tu przeszedłem, które tu odebrałem. Zacząłem już to dzieło, pracowałem nad niem cokolwiek; mam ideę główną, mam główną osnowę, zbieram szczegóły — a im dalej zapuszczam się w pracę, tem więcej odkrywam bogactw, tem bardziej blask mię ich olśniewa. Do niektórych dostałem się — inne dopiero przeczuwam: leżą przed okiem ducha, jak te skarby w powieściach góralskich. Trzeba warunków tajemniczych, trzeba jakiejś władzy tajemniczej, ażeby je posiadać. Nadewszystko czuję, że mi potrzeba tego ży-

cia widomego i niewidomego, które tu panuje; tem życiem chcę się cały przejąć, przesiąknąć. W tym kierunku zwracam wszystkie moje zatrudnienia, przez te dni kilka, pozostających mi do mojego wyjazdu. Mój trud nie jest bezpłodny, mam to przekonanie. Wiele rzeczy wyjaśniłem sobie, jako pisarz, natrafiłem na wiele prawd sztuki. Zostaną one dla mnie prawidłami, karbami mojej drogi pisarskiej. Polegam na nich tem śmieiej, że nie biorę ich z książek, natężeniem zimnego rozumu; podalo mi je życie, otaczające mię tutaj — przyjąłem ożywiony, rozegrany czuciem, miłością, i odtąd coraz mi ich więcej przybywa. Ująłem już w słowa, co mogłem ująć. Ale to na później; jest to mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy. Zwracam się do tego, co może być dla wszystkich.

Jeden żal nienagrodzony przyjdzie mi stąd wynieść: to ten, że tak mało poznałem głąb Tatrów. Dziś nie podobna już myśleć o jej zwiedzeniu. Podróż ta wymaga tyle pomocy, że jest nad moje środki; pora spóźniona otacza ją takż trudnościami coraz większemi. Lada dzień mogą spaść śniegi i zasypać wszystkie przejścia w głębi gór; może już nawet spadły. Nie pozostaje mi, jak myśleć pobląkać się po nich. Leżę więc na mojej skale i, położwszy oko na zewnętrznym murze Tatrów, jak kotwicę na dnie morza, przebiegam myślą, jak lekkim czółkiem, dziwy ich wnętrza.

W istocie, opowiadają mi dziwy o tych miejscach. Wszystko, co widziałem, nie daje wyobrażenia o tem, co najgłębsze Tatry zamykają w sobie. Tak mię zapewniają — i wierzę temu łatwo, sądząc z tego, co słyszę. Ten północny bok Tatrów, widziany z Galicyi, i południowy, od Węgier, jest tylko ogrodą Tatrów najwłaściwszych. Można je stąd odgadywać tylko po niektórych lodowatych szczytach, wyższych nad inne — ale większa ich liczba ukryta jest spojrzeniom z zewnątrz. Prawdziwe lodowce korzenia się i rosną dopiero w głębi Tatrów. I tam dopiero jest istotna dziedzina wiecznej zimy i wiecznego mroku. Tam jeziora, nie odmarzające nigdy — doliny miłowe, usłane wiecznym lodem i otoczone ścianami z wiecznego lodu — tam zobaczysz nad potokiem most z wyzie-

wów, w lód zamienionych, zawieszony na głębi przerażającej głębokości — a cisza taka, że kiedy pod ciepłem słońca lód się rozgrzeje i ścieka kroplami w tę przepaść, słyszysz pluśnienie każdej kropli, co spada. Najdziwniejszą sprzeczność pośród tej martwoty mają tworzyć lasy, leżące gdzieś między lodowcami. Są one zwykle w dolinach nadzwyczajnej głębokości. Cień ich gęstwy nie różni się od czarnej nocy. Rzecz szczególna, że w tych lasach przechowują się zwierzęta, które same tylko gwizdaniem swoim ożywiają tę ciszę, jakby podziemną. Niektórzy myślą, że to są bobaki. Przystępy do tych lasów są niepokonanych prawie trudności dla niegórali i niestrzelców: staje ci nieraz na drodze skała z przepaściami po obu stronach, a grzbietem tak ostrym, że niema dosyć miejsca na stopę ludzką, i nie można jej przebyć inaczej, tylko przesuwając się po niej okrakiem. Wyobraź sobie nadto, że taki grzbiet ciągnie się przez kilkadziesiąt sążni!

Kilka rysów podobnych dają widzieć, choć w małej części, czem jest wewnątrz Tatrów, i że do zwiedzenia jego nie dosyć mieć chęć i odwagę. Oprócz koniecznej wprawy, potrzeba jeszcze przygotować się na mrozy, burze, mgły, jak noc, ciemne, lawiny nieuniknione i inne przykrości i niebezpieczeństwa, przywiązane do miejsc podobnych. Wszakże powiem prawdę, że nie zważałbym na to wszystko, gdyby mi nie zawadzały trudności innego rodzaju, a mniej łatwe do pokonania.

ZAMCZYSKO CZORSZTYŃSKIE.

26 września 1832.

Nad spodziewanie moje wracam jeszcze w góry. Witam je z gruzów Czorsztyna. Mój nocleg bliżki, mam czasu dosyć. Obracam go na bliższe poznanie się z gruzami. Chcę dłużej cokolwiek pomówić z niemi o ich przeszłości.

Jedno z miejsc najinteresowniejszych w dziejach Polski, pomnik czasów Kazimierza Wielkiego, mieszkanie Czarnego Zawiszy, a dzisiaj rozsypujący się kościotrup — Czorsztyń!... Dwie godziny przeplętnęło koło mnie i gruzów jego, nimeśmy się naszym smutkiem zobopólnym rozmó-

wili z sobą. Jak o przyjacielu, którego widocznej zgubie zapobiedz nie zdołamy, smutne o nim moje myśli. Jeszcze przed kilkadziesiąt laty stał cały; znalazłem człowieka, który biesiadował w jego salach; dzisiaj rozwalinami tylko przyręca, dzikim powabem owego ciała, któremu śmierć względna zostawia niekiedy na dni kilka ciepło i barwę życia. Słońce, zakryte chmurami, nie urąga wesółym blaskiem rozwieszonemu tutaj całunowi zniszczenia; mrzący deszczyk wisi pełnemi kroplami po trawach i drzewkach, utulonych między zwałiska; czasem polne ptaszyny oslonione resztkami gzymsów, obeślą się urwanem szczebiotaniem, niby krótkim psalmem pośmiertnym, a wiatr wędrowny obejdzie wnętrze pustki, przyrzuci kamyk na mogiłę gruzów, zawyje westchnieniem i poleci dalej. A ja droższej dopełnię powinności: w obrazie zwłok wielkich złożę im cześć pogrzebową.

Wyniosła i przykra góra, panująca z jednej strony nad szczył Nowotarskiej doliny, z przeciwnej zaczynająca pasmo wzgórzów, zakończone skalami Pienin, oto posada Czorsztyna. Sam gmach stoi na południowym jej boku, podnoszącym się od płaskiego błonia prostopadle, nago, jak mur z jednolitej, różowej skały. Ściana zamku z tej strony jest jakby dalszem wyprowadzeniem skały; żaden śmiertelnik nie mógłby tędy ani wyjść, ani się spuścić. Sam widok kilkadziesiąt sążniowej przepaści głowę zawraca, a jednak trudno nie patrzeć. Dno głębiny uściela piękne zielone błonie; po niem rozrzucona wieś tegoż, co i zamek, nazwiska — po niem snuje się dalekowidny Dunajec — na drugim brzegu Dunajca Węgry, ze swojemi górami, w świeże lasy ubranemi, i z pięknym, nienaruszonym zamkiem Niedzicą, ale już nie tak śmiało, nie tak okazałe zbudowanym, jak Czorsztyń. Wschodnia część góry, o kilkaset kroków od zamku, najeżona jest ostreimi, nagiami wzgórzami z wapiennego kamienia, które okrywa zarośle z jałowców i świerków; łączy się z niemi szereg wapiennych także opok, obiegających jednym prawie ciągiem górę zamkową ze strony północnej i zachodniej, aż do samej wody Dunajca. Gdzie indziej trudno coś podobnego widzieć; ów szereg nagich, wysokich, przepaściстых opok tworzy linię tak warowną, samorodną, że sam jej

widok nasuwa mimowolnie myśl czarodziejstwa, wspierającego założycieli Czorsztyna. Niższe skał miejsca dopelniane są murem. Pomiedzy górą zamku a spomnionemi skalami jest głęboki rozdół; część jego, obwarowana murem, poprowadzonym od wschodniej i zachodniej ściany zamku aż do owego pasma wapiennych wzgórzów, tworzyła dziedziniec zamkowy.

Z dzisiejszego stanu gruzów trudno mieć dokładne wyobrażenie o szczegółach wewnętrznego rozrządzenia budowy. W zachodniej ścianie zamku wyraźny wprawdzie ślad zamurowanej bramy, ale wjazd do niej tak przykry, że nie można nawet pojąć, jakby tam zwodzony most przystawał; podobniejsza do prawdy, że wjazd główny był od wschodu, jak to zdają się przyświadczać spomniony dziedziniec, szczątki rozwalonej bramy i przystęp łatwiejszy.

Sam zamek tak zbudowany, że nie dosyć było przełamać zewnętrzne obwarowanie i dostać się na dziedziniec, kilkadziesiąt kroków od ścian zamku; po górze przykrej jest wał najspadziwszy, który musiał być w swoim czasie niewielką obroną. Zdaje się, że do wnętrza zamku dwa wchody wprowadzały; jednego z nich można widzieć zabytek w otworze narożnej od zachodu wieży, i szczątkach muru przed nim, a który zbiega na dół i mógł osłaniać wschody — drugi zaś w drugim końcu tejże ściany musiał być ukryty, co wnoszę z pokoju, leżącego w tem miejscu pod górą, opartego jedną ścianą, a raczej składającego część linii zachodniego muru. Dochodzi on wysokością ścian swoich podnóża ściany zamkowej, a stoi tak oddzielnie od reszty pokoi wyższych, że można z podobieństwem do prawdy uważać go za warowną osłonę ukrytego wchodu. Nie powinienem także przemilczeć, że w kierunku jednej jego ściany, równoległe do północnej ściany pokoi ciągnie się zrównany prawie z ziemią ślad muru aż do spomnionej wieży zachodniej — może więc być, że pokój, o którym mówiłem, był częścią dolnych mieszkań, przypartych jedną ścianą do boku góry, a dachem do podnóża wyższego piętra.

Wnętrza pokoi, na szczycie góry stojących, tak są zasypane gruzami, ich ściany po większej części tak zni-

szczone, że trudno dziś dociec ich liczby i składu, a tem bardziej wysokości całego gmachu. Wszakże w niektórych miejscach można widzieć podstawę ścian ze szczerzej skały i ślady kucia w skale; może to być podziemna część zamku, a może i więzienie, ale osiadłe sklepienia zapełniły je gruzami do znacznej wysokości.

Spodziewam się, że tym rysem dałem jakiegokolwiek wyobrażenie Czorsztyna, a raczej gruzów jego; na obraz dokładniejszy potrzeba więcej czasu i pomocy pędzla malarzkiego. Wartałoby zająć się komuś tą pracą, i ryśnikiem, chociaż topograficznym, zachować plan tych ryzalisk zajmujących; niejedyn artysta byłby szczerze wdzięczny za taką pracę i mógłby z niej piękny użytek zrobić.

Na dopełnienie obrazu muszę powiedzieć, że pod Czorsztynem schodzą się dwie drogi ku Nowotarskiej dolinie: jedna, od Krościenka, okrąża północną i zachodnią część Czorsztyńskiej góry, druga południową jej stronę; ta idzie z Węgier ponad Dunajcem. Niższa połowa góry ma kilka źródeł; u podnóża biegnie potok, który do Dunajca wpada, przecinając drogę z Krościenka — od północy góruje nad Czorsztynem las świerkowy, przyległy krościeńskiej drodze, czasem od łotrów osadzony; przez ten to las objawiły mi się Tatry tak urocznie po raz pierwszy.

Gdzieindziej dałem wyobrażenie widoku Nowotarskiej doliny i Węgier z Czorsztyna. Widok na inne strony zasłonięty jest górującym grzbietem góry, której posada zamku jest niejako przylądkiem.

Dzieje Czorsztyna bogate są w materiały do dzieła poetycznego. Nazwisko jego występuje głośniejsze za Kazimierza W. Długo jest w posiadaniu Zawiszy Czarnego i jego następców. Zdobywany był nieraz przez łotrów góralskich i służył im za warowny przytułek. Między temi wypadkami zanotowany jest w kronikach Napierski, bandyta. Duch poety może wiele zobaczyć w takiej przeszłości i wiele z niej wydobyć.

NA WYŻNIEJ. — WPŁYW TAJEMNICZY GÓR.

29 września 1882.

Nie już prawdziwszego dla mnie, jak twierdzenie górali, że ich atmosfera ma wyższość nad atmosferą równin. Przekonałem się o tem z własnego doświadczenia. Trzy razy przejechałem się w równiny i za każdą razą doświadczyłem tego samego. Z początku, przez dni kilkanaście, ruch życia góralskiego, większa swoboda myśli, w ciele lekkość, pewna czerstwość, jędrność wszelkich władz, zdolność do wszystkiego w stopniu wyższym — powoli ciężałem, sępiałem, traciłem sprężystość energii wewnętrznej, tak, że po pewnym przeciągu czasu czulem dotykając w sobie zmianę, niekorzystną. Powracam w góry — zaledwo dni kilka pożyję ich powietrzem, ich życiem — stan zdrowia, rzeźwości, swobody znowu mi powraca, myśli się wyjaśniają, czucie głębiej się otwiera, wszystkie władze grają silniej, czystiej i harmonijniej.

Nie ja jeden to czuję, powtarzam; doświadczam tylko na sobie tego, co tylu innych doświadczyło, o czem inni mię zapewniali.

Jest w tem dziwna jakaś tajemnica, dziwna a niezaprzeczona. Wszystkie ludy ją czuły, czuciem najgłębszem, bo religijnem, wszystkie religie świadczyły o niej i korzystały z niej. Wyżyny były zawsze miejscami, wybranymi do modłów, do obrzędów religijnych, do wiązania ziemi z niebem. Na wyżynach płonęły święte ognie magów, jeżyły się kamienie druidów, wznosiły się świątynie naszych bożyszcz słowiańskich. Na Horebie, na Synai rozmawiał z Bogiem Mojżesz, przyjął prawdę bożą dla swojego ludu, niebieski ogień, który miał przez wieki ożywiać i oświecać lud wybrany. Z wierchotka Syonu cały ten lud wchodził przez wieki w bliższy związek ze swoim Bogiem.

Góry Galilei były kolebką naszej religii chrześcijańskiej. W góry Galilei rzucił Bóg nieśmiertelne ziarno swojego Słowa dla świata; tam ono przyjęło się, ożyło ciałem, wzrosło i doszło do swojej dojrzałości niebieskiej. Na Taborze Chrystus pokazał się po raz pierwszy swoim uczniom w chwale, w istocie swojej nadziemskiej. Na wyższe

miejsca udawał się, ile razy w trudach boskiej swojej misyi potrzebował zasilić ducha swojego powietrzem niebios. Z Kalwaryi podał światu wzór najwyższej ofiary — na górze Oliwnej widziały go oczy śmiertelne jako Boga, tryumfującego nad światem!...

Cóż to jest, o góry, ta dziwna potęga, przywiązana do was — owa tajemnica, która was uświęca najświętszemi chwilami życia ludzkości? Skąd to jest, dlaczego to jest? Jakiekolwiek są tego przyczyny, nie są one materyalne; tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn niższych, materyalnych. Wasze wybijanie nad resztę ziemi, rozleglejszy widok z waszych szczytów, rozrzedzone bardziej powietrze na nich, są to warunki zmysłowe, zbyt za liche; mogą one zabawiać oczy, ulżywać płucom, pobudzać, lechtać ciało wrażeniami zmysłowemi, ale nie pojmuję, jakby mogły za pomocą jedynie tych środków działać na ducha ludzkiego, podsycać jego uczucie religijne, robić go zdolniejszym do życia nadziemskiego, do ofiar nadziemskich, do większej miłości Boga i ludzi!... O, nie — tajemnica ta musi się kryć w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy, w jakimś uczuciu, zapelniającem wasze piersi, niezbadane narzędziami zmysłowemi, jak piersi człowieka w pierwiastku jego życia — a co ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś technień nieznaných, niedocieczonych w swojej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysileń tajemniczých podnoszą was nad poziom, jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach, wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka niezależny, różny od wpływów fizycznych, a razem silniejszy, bliższy i ściślejszy.

Siebie naprzód badam z tej strony. Jest-że dla mnie wszystkim ten widok, który mam dokoła z tej wyniosłość? Unosić mię ciągle jej wysokość? Bynajmniej; oko moje nasyca się prędko widokiem i wpada w zubożenie. Ledwo chwil kilka zajmuję się wysokością; wkrótce zapominam o tem — a zato budzi się inny stan wewnątrz: zaczynam czuć się lżejszym, swobodniejszym, zadowolenie wewnętrzne podnosi się we mnie, napelnia mnie ciepło. Widzę to po moich myślach, świeżych, silnych,

rozległych, lotnych — po zdolności widzenia ich, schwywania i wystawiania — dotykam tego w mojem czuciu, więcej roztopionem, więcej rozlewającym się, pełniej gorzącym, silniej bijącym ku górze, ku światom wyższym, ku wzniosłości niematerialnej — widzę w sobie płomień, nie mający nic spólnego z materją, nie zależący od otaczającej mię sfery materialnej. Wkońcu postrzegam się, że stoję duchem w obliczu nieba, że jestem w modlitwie. Cóż to jest, o góry, owa władza, którą wprowadzacie człowieka w stan podobny? Zapytanie trudne do rozstrzygnięcia, a jedno z tych, które pytający sam w sobie rozstrzygnąć musi. Ufajmy, że będzie kiedyś rozstrzygnięte!

MGŁA PORANNA W GÓRACH.

1 października 1882 r.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają — przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany spustoszały — ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje, krótkie, jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach: gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa. Korzystam z ostatnich lata zabytków: chcę sobie przypomnieć letni poranek — puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnem niebem do zachodu. Pogoda była mi tem uroczniejsza, że się zdawała być uśmiechem pięknę sny marzącego; księżyc tem milej, tem tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście, jak żeby milczącą modlitwą dumały.

I oto ze szczytu Babiej góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzenka ucieka w głębie nieba — na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku. A od zachodu mgły się podnoszą; z początku biegną w postaci kilku chmurek błędnych — powoli idą ku

sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście. Coraz szerzej osłaniają dolinę; już dosięgły mojego stanowiska — już je oblały dookoła. Rozlewają się dalej — już dosięgły Pienin — i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórze i błonia, wszystko, co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał — w tej chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwie to morze. Kłęby tumanu burzą się, jak poruszane fale, przewalają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać, cichnie, a jednostajna siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia góra zostały teraz brzegami morza, z którego lona podnoszą się gdzieniedzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórze, lasami porośłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić, jak słup jego pałający, niezmierny w swej długości, rzucił się wzdłuż mgieł aż ku mojemu oku — jakimi barwami po ruchomem tle ich igrał — jakiego uroku był ten most tęczyowy między mną a słońcem — jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!...

W miarę, jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska — widowisko skończono! Zszedłem na dół, ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owe Morze Karpackie, które, według podań, zalewało niegdyś dzisiejszą Nowotarską dolinę.

POBYT U PROBOSZCZA W FRIEDMANIE.

4 października 1832 r.

Brakowało mi przypatrzeć się z bliska życiu księży w tej okolicy; zbieg okoliczności zaspokoił mię i pod tym względem. Jestem wdzięczny tej konieczności. Kilkanaście dni przeżyłem w domu plebana wiejskiego — przez kilkanaście dni dach jego osłania mię przed nieprzyje-

mnościami wszelkiego rodzaju — przez kilkanaście dni jadłem chleb jego, a co najważniejsza, zbliżyłem się do człowieka, jednego z tych, co cię ogrzewają ciepłem swojej miłości prostej, szczerzej, czystej — poznałem kapłana, o którym każde wspomnienie sprowadza cię do tego życzenia: dałby Bóg, aby wszyscy księża byli przynajmniej tak, jak ten!

Widok półmartwy, jak Tatry, może zrobić silne, dobre wrażenie na człowieku, ale człowiek chrześcijanin bez porównania silniej obudza, zasila we mnie miłość Boga i bliźnich. Jeżeli nie mogę mówić o nim tak obszernie, jak o zmysłowych pięknościach okolicy, winienem mu wspomnienie bratnie, oznakę, że go umiał poczuć, ocenić, że uczucia moje dla niego nie są z liczby tych, co przechodzą z czasem bez śladu. Licha byłaby to odplata za miłość żyjącą, gdyby została tylko w martwym słowie na papierze — ale z mojej strony nie jest ona taką: chowam ją w mojej duszy i daję żyjącą.

Kilkanaście dni przeżyliśmy prawie sam na sam, a takie życie wielką jest próbą wartości zobopólnej dwóch ludzi; trudno, ażeby w podobnym stosunku nie poznali się wzajemnie na sobie. Pragnąłbym, aby zacny pleban wyniósł z owego czasu takie dla mnie uczucia, jakimi mnie ku sobie natchnął. Poznałem w nim sługę Kościoła, jakich mało w życiu mojem napotkałem. Pełen cnót chrześcijańskich obok wyższego ukształcenia, miły, zniewalający, a mimo to zachowujący wysoką godność swojego stanu w życiu powszednim, światowem; był prawdziwym ofiarnikiem, wskazującym drogę jedynie prawdziwą, ile razy pełnił swoją służbę tajemniczą przy ołtarzu. Słyszałem go, w tym urzędzie przemawiającego do ludu: kazania jego były w języku słowackim, bo od tej wsi poczyna się już kraina, Słowakami osiadła, a słowa jego były napiętnowane tą samą ewangeliczną prostotą, miłością, łagodnością, których przykład stawił w swoim życiu!...

Ale słowa nie zdolne są wydać wewnętrznej wartości człowieka, ani uczuć dla człowieka, który nas istotnie zobowiązuje; przestanę więc na tem, co powiedziałem, a zajmę się więcej zewnętrzną stroną mojego pobytu w Friedmanie.

Między innemi znalazłem w tem probostwie bibliotekę tak liczną i tak dobraną, że niktby nie domyślał się podobnej w domku plebana ustronnej góralskiej wioski. Zamykała ona około 2,000 tomów najcenniejszych pisarzy wszelkiego narodu, tak oryginalnych, jak w tłómaczeniu, najwięcej niemieckiem. Rozumie się samo przez się, że dzieła treści religijnej stanowiły znakomitą jej część; o ich wartości nie mogę nic powiedzieć, bo wszystkie prawie są w języku łacińskim, który mało umiem. Zato przeczytałem wiele sztuk Szekspira, przełożonych przez Szlegla.

Zacny proboszcz ułatwił mi także zwiedzenie zamku Niedziicy. Zamek ten leży naprzeciw Czorsztyna — rozdziela je tylko Dunajec. Jest on dziś własnością hrabiego Paloczaja. Właściciel jego, a dziedzic wsi tegoż nazwiska i Friedmana, często w niem przemieszkuje; stąd budowa cała utrzymana jest w dobrym stanie wewnątrz i zewnątrz. Wewnętrzne jego urządzenie jest już więcej w smaku nowoczesnym. Między innemi ozdobami ma bibliotekę niewielką, ale złożoną z dzieł wyborowych, świadczącą o wyższem ukształceniu właściciela.

Wokoło zamku rozsypuje się wieś Niedzica. Na wejściu do wsi zwrócił moją uwagę słup z tablicą, na której wypisany zakaz palenia fajki na ulicach wsi. Przepis ten jest powszechny we wszystkich wsiach węgierskich i ściśle przestrzegany przez obawę pożarów. Jest on obwarowany sztrofami pieniężnymi, a dla chłopów karą cielesną. Stąd nieraz można widzieć na wstępie do wsi tablicę, na której malowidło przedstawia w wyższej swojej części fajkę, a w niższej chłopą, rozciągniętego na ziemi, a nad nim hajduka z kijem lub batem. Madziarski ten hieroglif chłopci dobrze rozumieją, widzą, że znaczy plagi za palenie fajki na ulicy, choćby *transito*.

Zresztą podobna tablica, zdobiąca każdą wieś, wyobraża doskonale duch prawodawstwa madjarszczyzny szlacheckiej w jej stosunku do chłopów, zwłaszcza plemienia sławiańskiego.

Więcej, niż mieszkanie, niż biblioteka hrabiego Paloczaja, zastanowiła mię jego piwnica we Friedmianie. Jest to w istocie przedmiot godny widzenia. Wyobraźmy sobie dwa czy trzy piętra pieczar, tak długich, że światła, postawionego

w jednym końcu pieczary, nie dojrzyysz z drugiego końca, rozgałęzionych na wiele innych równoległych do siebie, a wszystko to zastawione króciami beczek, kuf rozmaitego kalibru, napelnionych winem rozmaitego smaku, wieku, narodu — a masz piwnicę węgierskiego magnata. Miejsce to obudziło we mnie głębsze a smutne myśli. Dotknąłem się jego złego ducha. „Znam cię, pomyślałem sobie, w dziejach mojego kraju. Ty to panowałeś na sejmikach, sejmach, trybunałach, elekcyach! Tobie to w wielkiej części winniśmy tę rozpustę wolności! Z takich to pieczar, jak z otworów piekielnych, buchało to powietrze, gorsze od morowego, które oziewało naszego ducha i wiodło go krętymi ścieżkami pijackimi, aż dopóki nie zapadł w przepaść razem z ciałem!“... I straszny obraz przeszłości roztoczył się przed moją duszą w ciemnych barwach piekielnych; pokryła go wkońcu krwawa barwa obecności. Odetchnąłem swobodniej, wyszedłszy z piwnicy. Rozjaśniłem się w domje ekonoma, przy dwóch jego córkach, bardzo miłych dziewczętach, z którymi i tę jeszcze miałem przyjemność, żeśmy mogli rozmawiać: chociaż mówiły tylko po słowacku, ale mnie rozumiały — a ja tem bardziej. Słowacki język w ustach dziewczyny jest bardzo miły; miałem sposobność przekonać się o tem, bo często towarzyszyłem dwom dziewczątkom na rydzobranie, które tu jest bardzo obfite. Były to jedne z chwil najprzyjemniejszych mojego pobytu we Friedmanie, i winienem za nie wdzięczność łagodności, słodczy owych ładnych Słowaczek. Są one wyższe nad wszelką pochwałę, jaką im dać mogę — dlatego wstrzymam się od niej.

Z powodu ich miewaliśmy rozmowę z proboszczem w przedmiocie kobiet. Od niego dowiedziałem się kilka szczegółów, nowych dla mnie, o obyczajach kobiet węgierskich. Według jego opowiadania, księża mają wielki przystęp do kobiet, zwłaszcza w większych miastach węgierskich; wyraźnie mię zapewniał, że księża grają tam tę rolę, jaką gdzie indziej grają wojskowi.

Ten przedmiot nastęrczał nam znowu rozmowę o bezżeństwie księży. Mój proboszcz miał zdrowe widzenie tej rzeczy. Jego zdaniem, żenienie się lub bezżeństwo powinno być zostawione woli każdego; jedno i drugie ma

swoje korzyści i niedogodności. Co się tyczy jego osobieście, miał postanowienie pozostać w bezżeństwie, gdyby żenienie się było nawet dozwolone.

I w rzeczy samej, dla niego było to właściwe, o ile poznałem jego charakter. Przy rzadkich swoich przymiotach, przez stan swój duchowny zaprawił się już do życia więcej cichego, samotnego — stał się łęklwym wobec życia czynniejszego, burzliwszego; przenosi on dzisiaj nad wszystko spokój rozmyślania. Była to jego wada, ale ja poczuwałem się do tem większej wdzięczności, że oto dla mnie wychodził z tej ciszy. Z tem uczuciem pożegnałem go i zawsze zostanę.

ZBÓJNICY W GÓRACH. — PIEŚNI I POWIEŚCI W TEJ OSNOWIE.

24 października 1832 r.

W tym obrazie Podhala koniecznym jest rys zbójctwa w górach; jest to jeden z najważniejszych rysów obrazu.

Zbójctwo stanowi jeden z celnych żywiołów tutejszej poezji śpiewanej, co się pokaże w przytoczonych poniżej pieśniach; gra ważną rolę na scenie góralskiej krainy i góralskiego życia, a przez to rzuca pewne światło na charakter mieszkańców. Istnienie zbójctwa w górach jest prawdą niezaprzeczoną, jest czynem dotykającym; nie można go więc lekceważyć w badaniu ludu góralskiego, a tem mniej pominąć — przeciwnie, zbliżyć się ku niemu potrzeba i pilnie mu się przypatrzeć, byle z właściwego stanowiska.

Wprawdzie zbójctwo nie jest dzisiaj tem, czem było przed laty: czas je znacznie przytłumił, a najwięcej sprężysta czujność rządu, silniejsza policya w górach; mimo to zbójctwo nie zniknęło, nie wywietrzało, że tak powiem, z ducha góralskiego. Jakkolwiek główna jego siła zapadła już w przeszłość, polyska z przeszłości urokiem przyćmionym znacznie — wszakże nieraz jeszcze znajduje swój odblask w obecności; góral z pewną tajoną chlubą wywołuje pamięć głośnych zbójców, daje im swoją sympatyę, a niekiedy puszcza się w ich ślady. Ważna jest rzecz z tego stanowiska patrzeć na zbójctwo w górach;

inaczej pojęcie jego, sąd o niem, będą fałszywe, a to sfałszuje sąd ogólny o góralach.

Zapatrywanie się górali na zbójctwo znacznie różni się od naszego. Zbójctwo w oczach górala nie jest rzeczą tak obrzydliwą i hańbiącą, jak dla nas; zbójnik dla górala nie jest takim zbrodniarzem, jakby według prawa być powinien. Wiem to z doświadczenia, dotknąłem się tej strony góralów; przyświadczają mi czyny. Prawda, że zbójcy dzisiejsi nie są to zbójcy okrutni, krwawi, straszni, jak byli dawniejsi, jak przynajmniej wyobrażamy ich sobie wszystkich z powieści o niektórych, z niektórych wydarzeń; ale ta okoliczność najmniej wpływa na pobłażanie górali temu rzemiosłu.

Góral może się obawia swego zbójcy, ale się nim nie brzydzi; w jego obawie jest więcej poszanowania, jak wstrętu. Można by powiedzieć, że zbójctwo między góralami jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą góral nie wzdraga się przechodzić; nie tylko nie wzdraga się, ale nawet jest rwany pędem wewnętrznym, gdyby się nie znajdował w warunkach, wręcz temu przeciwnych; tak dawniej było konieczną potrzebą moralną dla Ukraińca przehulać część swojego życia na Zaporozżu. Sam napotykałem bardzo zacnych z innego względu górali, którzy, poświęciwszy temu przejściu lat kilka, wrócili znowu między swoich i są dziś najporządniejszymi gospodarzami i nie przez to nie tracą na szacunku swoich krajowców.

Przytoczę tu wypadek społeczny, opowiadany mi na miejscu, który dokładnie wyobraża, jakiej istoty i jakiej jest mocy ten pęd ku zbójctwu. Bohater tego wypadku jest to postać zupełnie upośledzona od natury: mały, pękaty, z nogami koszlawemi, z ogromną głową, brzydką twarzą, ale silnie zbudowany i nie stary. Owoż ten człowiek zapragnął także sławy zbójnika, i nie taił się z tem przed swojemi, że postanowił pójść w góry na zbój. Śledzono go więc, głównie przez ciekawość, co to będzie. Ubrał się tedy i uzbroił się we wszystkie przybory zbójcy; w rękę wataszka, przez plecy dwie strzelby, za pasem nóż i pistolety, a w torbie żywności na dni kilka. Tak zaopatrzony, poszedł w góry swojej wsi, w ustronie

dzikie, gdzie nikt prawie nie przechodził. Łatwo wyszukał miejsce, jakiego mu było potrzeba: skały i powalone drzewa. Siada więc za niemi, jak w zasadzce, przyczaja się, szpieguje okiem i uchem na wszystkie strony, postrzega niby przechodzącego, zmierza ruśnicę, wystrzelił niby, wypada z zasadzki, macha na wszystkie strony wataszką, wraca pędem na swoje miejsce, znowu przysiadła, podskakuje, niby strzela, niby rąbie, to goni, to ucieka, dopóki nie poczuł znużenia i głodu. To samo powtarza przez całe trzy dni; po trzech dniach wraca do wsi z twarzą zadowoloną, z postawą hardą, w przekonaniu, że ma prawo do imienia i sławy zbójnika.

I jak tu się oprzeć pokusie podobnej sławy? Zbójnik jest rodzaj ideału dla górala. Odznacza się on zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnemi zaletami fizycznymi. Jest on jeszcze ideałem jako człowiek, odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg jakiegokolwiek uległości. Jest to wszystko w charakterze górala, a zbójnik najpełniej to objawia. Możeż góral potępiać go za to?

Nieraz rekrutacja napędza do zbójectwa. Ale jest to przyczyna podrzędna, równie, jak niższe namiętności, zemsta i chciwość. Zastanawiam się nad przyczynami i dostrzegam ważniejszych i głębszych. Leżą one w naturze człowieka i w charakterze góralów, po części w ich położeniu.

Napomknąłem już raz, że ludy pasterskie odznaczają się głównie skłonnością ku temu życiu. Dlaczego, nie wiem, ale tak jest. Duch naszych góralów wydaje mi się być w pewnem pokrewieństwie z arabskim; nie mogą mieć farysów — przestają na zbójnikach. Położenie ich nie dozwala im zamienić się w horde Beduinów, ale z drugiej strony położenie to robi niekiedy górala zbójcem. Dziwne jest w tym względzie pobłażanie mieszkańców, a nawet rodzaj opieki. Zbójnicy przychodzą n. p. do bacy i każą sobie dać tyle owiec, tyle serów, i t. d. Baca nie robi oporu, składa żadaną żywność, jakby się składała kontrybucya, a jeszcze właściwiej, jakby się płacił podatek. Widzi on wprawdzie swoją szkodę, ale ją uważa

niejako za konieczną, a może nawet w duchu usprawiedliwia to postępowanie, przypominając sobie, że przed czasem on sam żył podobnie: Bo i dziś takie bandy tworzą się często z samychże juhasów, a przyprowadza ich do tego potrzeba nocnej biesiady. Sami ubodzy, uczują kosztem zamożniejszych.

Teraz możemy przypatrzeć się bliżej i szczegółowiej życiu zbójników w powieściach i pieśniach.

Najgłośniejszym bohaterem zbójstwa w Tatrach, jest tak zwany Janoszyk; żył on w końcu przeszłego wieku. Tysiące powieści krąży o nim dotąd. Te powieści przystrajają go we wszystko, co tylko potrzeba, aby zbójstwo podnieść do ideału. Janoszyk jest ideałem zbójcy najukochańszym, na jaki tylko wyobraźnia góralów zdobyć się może. Skupiają się w nim wszystkie przymioty zbójcy, wszystkie zalety i cnoty człowieka. Olbrzymi wzrost, uroda, rozum, siła nadludzka, zręczność niezrównana, odwaga bezprzykładna, dobroć, szlachetność — wszystko to łączyło się w Janoszyku. Był on jeszcze człowiekiem nadzwyczajnym przez związek ze światem nadmysłowym, przez władzę nadprzyrodzoną nad duchami i przyrodą nieograniczoną.

Obok tego wszystkiego był bardzo pobożnym, co go nie raz ocaliło, jak np. w następnem zdarzeniu. Janoszyk spotyka raz biednego studenta z Podoleńca, wchodzi z nim w rozmowę i do tego rzecz przyprowadza, że student zaciąga się do jego bandy. Ale po jakimś czasie zdradza Janoszyka, porozumiewa się ze zwierchnością i przyrzeka zabić go. Wkrótce znajduje sposobność spełnić przyrzeczenie. Było to o wschodzie słońca, kiedy Janoszyk zwykle się modlił, i to klęczący. Zdradca zakrada się z tyłu i strzela do niego, ale chybia; Janoszyk, jakby nie słyszał, nie przerywa modlitwy, nie zmienia postawy. Idzie drugi strzał — i znowu chybia. Janoszyk wciąż się modli; jest właśnie przy końcu modlitwy, kiedy zdradca trzeci raz dał do niego ognia, i tą razą bez skutku, a sam począł uciekać. Janoszyk powstał, bo skończył zwykłą modlitwę, puścił się za uciekającym, dopędził go i zabił. Pobożność go ocaliła.

Sławę Janoszyka dzieli siekierka. Była ona także

nadzwyczajna. Nie potrzebował mieć jej ciągle przy sobie, bo sama leciała na jego gwizdzenie, choćby z miejsc najdalszych. Gra ona szczególną rolę w ostatnich chwilach Janoszyka. Kochanka, co go wydała zdradziecko w ręce zwierzchności, wiedziała o tej własności tajemniczej jego wataszki, miała więc przezorność zamknąć ją naprzód w dziewięciu skrzyniach z dziewięcią zamkami. Janoszyk, schwytyany, gwizdnął na swoją broń doświadczoną: wataszka, wierniejsza od kobiety, jak tylko usłyszała gwizdzenie Janoszyka, zerwała się w pomoc jemu. Zaczęła się wyrąbywać z zamknięcia: przerąbała ośm skrzyń, ale dziewiętej nie mogła, bo taka siła jest w liczbie dziewięć.

Koniec Janoszyka pokrywa niepewność. Według jednych podań został powieszony — inne naznaczają mu śmierć naturalną. Na dolinie Kościeliskiej pokazywano mi zdala jaskinię, w której znaleziono szkielet olbrzymiej wielkości, i uważano go jako śmiertelne reszty po Janoszyku.

Miał on być rodem ze Spiża. W Drużbakach, w domie kąpieli mineralnych, widziałem obraz rysowany, przedstawiający Janoszyka, uczującego ze czterema towarzyszami. Jeden z nich gra na kobzie, drugi wyprawia napowietrzne skoki z siekierką, sam Janoszyk z dwoma drugimi pije. Malarz wystawił ich tam w stroju prawdziwym zbójców, ozdobionym wyszywaniem, w ogromnych kołpakach z gałazkami u góry: strój hajduków i huzarów. Pod każdym wypisane było jego nazwisko. Żałuje, że ich sobie nie ponotował.

Jest-to godne zastanowienia, że każdy z głośniejszych zbójców odznacza się szczególniejszą siłą życia wewnętrznego; ich przewidywania, a raczej poczucia dochodzą niekiedy do stopnia nad pojęcie zwyczajne. Z tego powodu przytoczę powieść prawdziwą, wypadek społeczny, chociaż należy do miejsc innych, bo scena odbywa się w górach kołomyjskich, pomiędzy tamtejszemi zbójcami, głośnieńmi pod nazwą „opryszków“, w ojczyźnie tak zwanych Huculów.

Pan G... dzierzawca wsi K... ściągnął na siebie nienawiść jednego z hersztów, który z tejże wsi był rodem.

Pan G. wie o tem, że bandyta odgraża się na jego życie; ażeby uwolnić się od trwogi, bierze się na ten sposób; porozumiewa się z dwoma chłopami, objaja ich różgami dla pozor, ażeby uciekli, niby w skutku tego pobicia, i następnie dla pomszczenia się weszli do bandy wspomnionego bandyty i, upatrzwszy porę, zabili go, zwłaszcza, że rząd nałożył już cenę na jego głowę. Stało się wszystko, jak ułożono. Dwaj pobici uciekli, znaleźli wiarę u bandyty, zostali przyjęci do bandy i przez całe pół roku tak dobrze udawali, takie dawali dowody odwagi i poświęcenia się w wyprawach zbójckich, że zyskali zupełną ufność towarzyszków i herszta. Pół roku tak przeszło, kiedy bandyta postanowił ostatecznie zrobić napad na dom pana G... i zabić swojego wroga. W tym celu podsuwa się pod wieś K. Ale, z chwilowej konieczności tak wypadło, musiał rozesać w różne strony swoich opryszków; dwóch tylko zostało przy nim, jako jeszcze mniej doświadczonych; byli to właśnie owi dwaj, nasadzeni na jego życie. Herszt był znakomitym wróżbitem, zaczął więc wróżyć sobie, rzucając fasolką; dwaj towarzysze siedzieli opodal trochę, przypatrując się wróżbie. Na pierwsze rzucenie zmarszczył się; po drugim zawołał: „Żle!“ — po trzecim porwał się, niespokojny, przyzwał do siebie obu i zawołał: „Chłopcy! Tu stoi, że tej nocy jeden z nas zginie. Co to jest? Albo nas napadną, albo może który z was zdradza mnie?“ Dwaj struchleli, pokryli to jednak. Herszt tłómaczył im położenie fasolek i zapewniał, że jeden ze trzech koniecznie tej nocy zginie. Z tem wszystkim pragnie zapewnić się jeszcze lepiej o prawdziwości wróżby: wraca do fasolek, rzuca je na nowo — ale, kiedy podczas tej czynności stał odwrócony tyłem, dwaj nasadzeni, lękając się, aby nie odkrył zdrady, korzystali z tej chwili, cofnęli się szybko na parę kroków, dali razem ognia i położyli go na miejscu trupem.

Pieśni, osnute na zbójnictwie, są w bardzo wielkiej liczbie; świadczą one, co powiedziałem o pewnem upodobaniu góralów w tym rodzaju życia, o silnym pociągu wewnętrznym do niego. Mała ilość wpadła mi w rękę, ale i ta ilość więcej rozjaśni ten przedmiot, niż wszystko, co bym ja mógł powiedzieć. Niektóre z tych pieśni są

mniej więcej zupełne. Wielka część ma jedynie wartość odrywków; jednak je zachowuję, bo wszystko razem jest upoetyzowaniem zbójckiego zawodu od egzaltacyi dla niego aż do śmierci na szubienicy.

Zbójnicy są zazwyczaj gładosze góralscy. Urodziwi ciałem, zdobią się jeszcze strojem, który można nazwać nawet wyszukany. Pielęgnują szczególnie włosy, nie strzygą ich i noszą albo rozpuszczone, albo przeplatane wstążkami.

Darmo wy mnie, darmo do szkoły daicie:
Ze mnie zbójnik budzie — darmo nakładzecie.

W poniższych ułomkach przegrywa struna miłostek.

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie —
Jego frairecka mało nie zaginie.
Pije zbójnik, pije za ten talar bity —
Nie płac, frairecko, napijes się i ty!
Aby twoje ocka za mną nie hladziły,
Jak mnie będą wisać na jawor zielony.

Z powodu zbójectwa góry do niedawnego jeszcze czasu były w stanie obłączenia, pod prawem, zwanem *Standardrecht*. Sąd i kary były jak najszybsze i najsurowsze: najmniejsza kradzież karana była szubienicą. Miejscowe władze cywilne wymierzały sprawiedliwość; miały prawo życia i śmierci. Wyrok wykonywał się najdłużej we 24 godziny. Może być, że ta surowość przyczyniła się do przytłumienia zbójectwa; to pewna, że podnosiła pogardę śmierci do takiego stopnia, że ledwo wiarę dać temu można. Ślad jej znajdziemy w niektórych pieśniach, jak np. w tym wierszyku:

Hej, coze temu padnie,
Hej, co owiecki kradnie?
Hej, cozeby mu padło?
Hej, strycek na garło.

Jest to fraszka strycek! Wracamy do tonu miłostek.

Hej, w polu ja, w polu, hej, nie na zbojcece.
 Powiedźcie, powiedźcie mojej frairecce.
 Zbójnicku, zbójnicku, mas frairkę ładną;
 Daj-ze pozór na nią, bo ci ją ukradną.

Powiadali ludzie, że mnie zbójnik budzie.
 Jak budzie, to budzie, samym wirchem pudzie.
 Nie będę ja gazdą, nie będę rolnikiem,
 Jeno będę chodził zbojnickim chodnikiem.
 Hej, a jak mnie złapia, to ja będę wisiał;
 Na wiersku jedlicki będę się kołysał.
 Nie bój się, frairko, choć ja na zbój pudę,
 Jeno proś u Boga, to ja twoim będę.
 — Jaworu, jaworu syrokiego liścia,
 Dajze Panie Boze zbójnikowi scęścia.

Dwa ostatnie wiersze są w ustach kochanki modlącej się. Ale one są często niewierne; na taką narzeką wiersz następny:

Idzie zbójnik z za Liptowa —
 Ciece mu krew z za rękawa,
 Z za rękawa i z główceki,
 Syćko pse zdradę dziéwecki.

Liptów, miasto na Węgrzech, stołeczne komitatu lip-towskiego, który przytyka do południowo zachodniej strony Tatrów.

Zobaczmy teraz zbójników weselących się.

Tańcowali zbójnicy
 W murowanej piwnicy;
 Kazali se pięknie grać
 I na nózki poziérać.

Hej, pije se zbójnik, turackami płaci —
 Wezmą go do nieba aniołowie swaci.

Aniołowie święci, zapewne dlatego, że płaci, mogąc pić darmo; stopień świętości dla zbójnika. „Turaczek“ ma być rodzaj monety, może półtorak w skróceniu.

Daj palenki, zydu, dobry chłopcy psydą:
Jak nie das palenki, to cię trapić budą.

Karcmarecko nasa, nie zagasaj ognia.
Psydą swarne chłopcy, budą tańcyc do dnia.

Pudziemy, pudziemy na pana jednego:
Budziemy się dzielić pieniškami jego.

Następne są różnej myśli i różnego tonu, ale każdy przyrzuca jakiś rys do naszego obrazu:

Jawory, jawory, gdzie macie konory?
Zbójnickowie ścięli, na fujarki wzięli.

Radykał się Janik z gronika na gronik.
Az się psyradykał zbójnikom na chodnik.

Radykać się, znaczy przemykać się. Gronik — wierzchołek. Chodnik — ścieżka w górach dzikich.

Janicku, zbójnicku, zbójcecki hetmanie,
Gdzieś podział pieniński, com ja zbijał na nie.

Widać, że zbójnicy tytułują czasem swoich dowódców hetmanami.

Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?
W Kosycach na bramie, tam wisi na ścianie.

Musiał umknąć z więzienia. Na ścianie bramy, na ścianie więzienia. Często „brama“ używa się u nich w znaczeniu turmy; może dawniej używanie to było powszechniejsze. W biblii widzimy nieraz miejsce więzienia oznaczone wyrazem bramy. Znaczy ona także miejsce warowne. Koszyce — miasto na Węgrzech.

Rym Janosik i pałasik jest, jak należy w wymawianiu góralów, którzy często głoskę *a* zamieniając na *o*, wymawiają pałosik.

Hej, z plesiwskiej bramy pozierały pany,
Jako się Janosik wataskami broni.

Nie mogę wiedzieć, o jakim miejscu jest tu mowa.

Powiadali, powiadali
Ze zbójnika porąbali;
Rozrąbali bucka w lecie,
A zbójnicka wiater niesie.

Udali mię, udali,
Cob ich ciorci zabrali.
Udali mię zbójnikiem
Ze ja chodził chodnikiem.

Zamecku, zamecku nowo murowany —
Hej, siedział ja w tobie rocek okowany!

Siedział ja na zamku psez rok i psez tydzień,
Nigdy ja nie wiedział, kiedy noc, kiedy dzień.

Piosenka następna może się uważać za całość.

Mali chłopcy, mali,
Kiej się na zbój brali;
Jesce nie porośli,
Kiedy na zbój pošli;
Jesce nie zbijali,
Kiej ich polapali —
Dyć ich polapali
W zakopieńskiej hali.

W górach Zakopanego.
‡ Czas wreszcie zobaczyć zbójcę w całej jego dzikiej srogości; takiego zobaczymy w pieśni, którą tu kładę.

MAŻ ZBÓJCA.

Hanciu moja, pudź do domu,
Wydam ja cię, nie wiem, komu;

Wydam ja cię Janickowi,
Hej, walnemu zbójnickowi.

Janku, Janku, tęgiś zbójnik!
Wies po wirchach kazdy chodnik.
We dnie idzies, w nocy wrócis,
A mnie biedną tylko smucis.

Mas kosulkę uznojoną,
A sablicku zakrwawioną.
Janku, Janku, kędyś ty był,
Coś se sablicku zakrwawił?

Wyrubałem tu jedlicku,
Co stojąła w okienecku:
We dnie, w nocy hurkotała,
Mnie, smutnemu, spać nie dała.

Psyniósł ci jej chusty prac,
A nie dał ich rozwijać.
Ona prała, rozwijała,
Prawu rucku nadybała:

W tej rucecce pięć palusków,
A na małym złoty pierścień,
W tym pierścionku troje wrótka:
„Dyć to mego brata rucka.“ —

Niedługo się obawiała,
Do matusi odsyłała:
„Matko moja psemilena,
„Czy mam bratów syćkich doma?“

— „Córaś moja! Nic z jednego,
„Z tych to siedmiu najmłodszego.“ —
Skoro wysedł rok, półtora,
Nagodził jej Pan Bóg syna.

„Lulaj, buba, synu mój!
„Nie bądź tak, jak ojciec twój.

„Na kąski-bym cię siekała,
„Orłom, krukom rozsypała“.

A on za smerkiem słysy
I od złości cały dysy:
„Śpiewaj, Hanciu, jak śpiewała,
„Kiedys syna powijała“.

— „Lulaj, buba, synu mój!
„Być był tak, jak ojciec twój.
„We winie-bym cię kąpała,
„A w jedwabie powijała“.

— „Oblec, Hanciu, drogą satkę,
„A pójdziemy na psechadzkę“.
— „Dwa rocekim s tobą zyła,
„Na psechadzki nie chodziła“.

A wziął ci ją za rucycku
I zawiódł ją ku gaicku,
Ocka carne jej wydłubał,
Rącki białe jej odrubał.

Rozplakał się syn jej młody,
Nie mógł ojcu on dać rady.
„Wstańże, Hanciu psemilena,
„Pudź, utul twojego syna!“

A sam posedł w skały, w lasy —
I niéma go po te casy.

Jest to, mojem zdaniem, jedna z najpiękniejszych pieśni pomiędzy pieśniami ludu. Niewoląca prostotą, rozdzierająca głębokiem czuciem, okropna cała osnową, nie przedstawia mi żadnego braku, żadnej skazy; jest wykończona w każdym szczególe równie, jak w całości, z tą sztuką, której tajemnicę tylko lud posiada w swoim czuciu otwartem, w swoim umyśle prostym, dlatego jasnym — do której zdolny jest tylko język ludu, pokorny, niestrojny, ale zwięzły, mianujący wszystko właściwem

imieniem. Jest to jedna z tych pieśni, które za wzór brać powinniśmy i dobrze się ich uczyć, kiedy chcemy wprowadzić prawdę i w duchu i w formie do naszej poezyi.

Ponieważ pieśń ta opiewa zdarzenie prawdziwe i znane w okolicy, przylączano mi opowiadanie, które ją robi jeszcze prawdziwszą, zwłaszcza na początku. Oto jest opowiadanie.

Pewien zamożny góral miał, oprócz siedmiu synów, córkę jedynaczkę, niepospolitej urody. Wielu zalotników starało się o nią. Między temi znalazł się i zbój. Góral ojciec, równie, jak nikt w okolicy, nie wiedział o tem; przeciwnie, widział w nim bardzo porządnego gazdę, dał mu pierwszeństwo nad innymi i przyjął go za zięcia. Żona nie domyśla się także prawdy. Wszakże ją niepokoi i odludne jego mieszkanie w dzikich górach i częste oddalanie się z powodów i dla celu, które jej są niewiadome. Pyta go czasem o to, równie, jak o przyczynę, dlaczego nigdy nie chce otworzyć jej skrzyni ze swojemi rzeczami ani nie daje bielizny do prania; ale nie otrzymuje odpowiedzi, coby ją zadowalniała. Jednego wieczora powraca znużony, spocony więcej, niż zwyczajnie — brzoń jego zakrwawiona. Przelękniona żona bada go i tą razą — i znowu naopróżno. Obsiada ją podejrzenie; czeka więc, aż swoim zwyczajem oddali się na dni kilka — korzysta z tej nieobecności, otwiera jego skrzynię i znajduje pomiędzy szatami uciętą rękę; na małym palcu był jeszcze pierścionek, dla którego ta ręka była odcięta i skryta: po tym pierścionku poznaje, że to ręka jej brata najmłodszego. Odkrycie to przekonało ją prawie, że jej mąż jest zbojcą. Po pewnym czasie „nagodził jej Pan Bóg syna“, jak pieśń powiada; temu, śpiewając raz do snu, dawała nauki, ażeby się nie wdał w ojca. Przypadek zrządził, że mąż ją podsłuchał i poznał, że jest odkryty. Ale w tej chwili zamyka się w gniewie, tylko, wszedłszy do chaty, każe kończyć śpiewanie. Biedna żona daje pieśni inny obrót, pochlebny mężowi. Zbojcę to nie ułagadza; każe jej ubrać się w świąteczne suknie, wyprowadza siłą w las odludny i tam odcina jej rękę za to, że otwarły jego skrzynię, a oczy wydziera za to, że przepatrywały jego bieliznę.

Poczem odprowadził ją do domu, a sam poszedł w Tatry i odtąd niewiadomo, co się z nim stało.

Zamknijemy pieśnią, w której jest całe życie zbójcy :

Hej — chłopiec ja, chłopiec z końca Rogoźnicka;
Miałem matkę dobrą, a ojca zbojnicka.
Jescem nie zbojował, dopierom probował:
Z bucka na jedlicę w lesie psekakował.
Jescem nie zbojował, dopiero ten rocyk —
Juz mię chcą powiesić na zelazny hacyk.
Panowie, panowie, nie dajcie mię zgubić,
Ja wam będę za to siedem rocków służyć.
Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,
Cobym ja nie siedział na Wiśnicu darmo.
Oj, jakzeby było żal memu kochaniu,
Kiejby mię powiedli z wirsku ku Muraniu!
„Powiała ja ci: Daj pozór na siebie,
„Hamerscy hajducy biorą się po ciebie.
„Obwiesą cię, Janku, za pośrednie ziobro,
„Juz ci będzie potem zbijać nie podobno“.
A kiej mnie powiesą, moja dusa wstanie;
Budzie ona hladzić frairki na stamie.
Kiej mnie obwiesicie, obwieściez mnie w mieście,
Barykę z palenką nade mną powieście.
Tam budę se wisiał, budę se spoczywał,
Tam budę co chwila palenkę popiwał.
Obróć-ze mnie, mistsu, ockami ku drodze,
Niech się ja napatsę tej zbojeckiej chodze.
Zbójnicka frairka syćko poplakuje;
Zbójnickiem na haku wiater porusuje.
Mikułos, Mikułos, Mikułoskie mosty —
Tam się potyrają swarnych chłopów kosty.

Tyle o zbójctwie w górach, które większą swoją częścią jest bardziej w przeszłości, jak w obecności.

DOLINA ZAKOPANE. — ZRÓDŁO BIAŁEGO DUNAJCA. — MAGÓRA. — RUDY ŻELAZNE. — STAWY GĄSIENICOWE.

26 października 1882.

Zakopane jest to miano wsi i doliny w Tatrach, idącej w tymże kierunku, co dolina Kościeliska; przedziela je Gewont i pasmo wzgórzów, o których mówiłem wyżej. Dolina ta nie jest tak wdzięczną, jak Kościeliska; obejmuje jednak przedmioty, godne widzenia. Z niej wypływa Biały Dunajec, jak Czarny z Kościeliskiej; w jej obrębie znajdują się najobfitsze w tej okolicy rudy żelazne.

Chociaż pora roku spóźniona obsypała już śniegiem góry, korzystałem jednak z pewnej sposobności i pojechałem do Zakopanego, aby raz jeszcze zbliżyć się do głębi Tatrów.

Jasny był poranek, w którym wyszliśmy na zwiedzenie doliny. Mróz nocny kilkunastostopniowy gwałtownie wolniał z podnoszącym się słońcem; ziemia przyproszona była płytkim śniegiem. — Biały Dunajec obficie tu płynie i okazalej, niż Czarny przy swoim źródle; z kamienia o kamień się rozbija. Cała dolina, mianowiciej przy brzegach Dunajca, zavalona głazami, które woda ogładza i wyrzuca, nim je zabierze w następnej powodzi i dalej poniesie. Głazy te słyną szczególniej ze mchu czerwonego, amarantowego; jest on prawie niedojrzany gołem okiem, głaz pod nim wydaje się, jak powleczonej czerwona barwą. Potarty bielizną, żółty ślad na niej zostawia; pachnie, jak fiołek, a zwłaszcza podczas pięknych, letnich poranków. Mówiono mi, że kamień, tak umszony, trzymany w izbie, wydaje z siebie ten zapach bardzo długo.

Szliśmy ku źródłu Dunajca jego brzegiem; przy drodze mieliśmy piękną polaną Kalatówkę, otoczoną wysokimi górami — dalej bijący w oczy ogrom różnokształtnych opok, który, jak wieniec, otacza wzniosłą górę i zowie się Zakopański Zamek. Z podnóża jego posady wypływa Biały Dunajec wodospadem czterosążniowej wysokości; w lecie uroczy ma przedstawiać widok ta woda, bijąca

się po umszonych kamieniach i biała od wiecznej piany. W zimie wybucha cokolwiek niżej i mniej gwałtownie.

Pierwsze i główne stanowisko w dolinie jest hamernia czyli kuźnia żelaza, przy której leżą domy mieszkalne, a między nimi dom samegoż właściciela tej okolicy; z tego punktu rozpoczęliśmy naszą wycieczkę, której ostatecznym kresem miała być ruda żelazna, skąd biorą materiał surowy do hamerni. Ta ruda czyli kopalnia, albo jeszcze inaczej, w tutejszym języku, bania, leży o dwie godzin drogi od hamerni, w grzbiecie góry, zwanej Ma-góra.

Droga do bań przestronna, dobrze utrzymana, ale tak przykro zwijana wokoło góry — bo rudy leżą pod samymi szczytami — że wozom, prowadzącym rudę żelazną do hamerni, zdejmują zadnie koła — a i to jeszcze nie może przeszkodzić, aby konie nie zlatywały w całym pędzie aż na miejsce mniej spadziste.

Wewnętrzny widok bań ma w sobie coś smutnie zajmującego. Ci ludzie z dziką, wybladłą twarzą, albo snujący się po licznie rozgałęzionych podziemiach to z żelaznami w rękach kagańcami, to z taczkami skrzypiącymi, albo z ciężkimi młotami, pastwiący się, jak złośliwe istoty nad lonem ziemi matki — te mdłe gwiazdki kagańców, płonące tu wprost, tam w górze o kilkadziesiąt sążni, tam w dole w takiejże głębokości, albo biegnące z taczkami, jak błędne ognie cmentarza — zresztą ta ciemność, ta cisza, ta sfera całkiem grobowa, przenoszą myśl w jakąś dziedzinę fantazyi dzikiej, czarnej, nie ludzkiej a nie anielskiej.

Szesnastu ludzi pracuje w tej bani od niedzieli do piątku. Sobota jest dniem odpoczynku. — Jest nawet wiara między górnikami, że, ktoby odważył się pracować tego dnia w bani, duch, opiekujący się nimi, skarałby takiego jakimś wielkiem nieszczęściem, a nawet zawaleniem całej bani.

Zresztą banie te obfitują w źródła bardzo dobre. Górnicy wychodzą na noc z bani i mają szalas, gdzie odpoczywają. Stoi on pod nawisłą górą i wytrzymuje częste szturmy to lawin, to kamieni, pękających od mrozu i toczących się na dół. Mają swojego naczelnika z pomiędzy

siebie, który surowo karze wszelkie przestępstwa łopatką, umyślnie na to sporządzoną. Uderzeniem tej łopatki poświęcają także pierwszy raz zwiedzających te banie.

Nie mieliśmy dosyć czasu wejść na okazały skalisty szczyt Magóry; musieliśmy przestać na niższym jej grzbiecie. Śnieg, spadły tam przed kilką już tygodniami, grubo leżał i w lód prawie stwardniał. Otaczał nas widok niezmiernie rozległy i piękny na północ, wschód i południe.

Stąd mi pokazano i widziałem, ale w wielkiej odległości, Gąsienicowe stawy. Leżą one cokolwiek niżej, jak Pięciostawy, ale jeden z nich jest tak wielki, jak Morskie Oko i na środku ma wyspę. Z tego jeziora wypływa potok, który wpada do Dunajca pod Poroninem. Miejsce to, blizkie na pozór, leżało od nas, jak mi mówiono, o półtóry mili najmniej, pomiędzy górami, tak nagiemi, jak są góry wokoło Pięciostawów.

O Magórze, na której byliśmy, to mi jeszcze powiadano, że w lecie przylatują tu ptaszki, do kanarków bardzo podobne, i że śpiewem podobnym; my widzieliśmy dzisiaj tylko mech, kozodrzew, śnieg i kamyki, które pękały pod mrozem na wyższych szczytach i staczały się pod nogi nasze.

Zwiedzenie bań zakopańskich naprowadziło mię na myśl, której sobie rozjaśnić nie umiem; dlatego zapisuję ją tutaj. Zdaje mi się godnem uwagi, że we Francyi zowią się podobnie (bagnes) miejsca surowej kary, po naszymu galery, i że niektóre obyczaje naszych bań są te same, co między francuskimi galernikami. I tam, jak tutaj, sobota jest dniem świątecznym. Wiadomo także, że przybywający do galer musi uznać władzę, którą galernicy mianują wśród siebie, a czemu odpowiada w tu-tejszych baniach zwyczaj uderzenia łopatką zwiedzających je po raz pierwszy. Skąd te podobieństwa? Warto by się nad tem zastanowić.

NA KLUCZKACH. — POŻEGNANIE SIĘ Z GÓRAMI.

1 listopada 1832.

Zima powraca, opanowała już Tatry, zasiadła znowu na nich, jak na odwiecznej swojej stolicy, i rozszerza dokola

swój podbój, z którego na chwilę ustąpić musiała. Lato cofa się, a z nim wdzięk życia i życie samo tych okolic. Mnie także los mój pędzi w inne strony. Wkrótce znajdę się w innym świecie, sferze innego życia; będzie ono zapewne silniejsze na zewnątrz, gwarniejsze, więcej mię zaprzątnię, bardziej czas mi zajmie, ale czy znajdę w niem tę swobodę, tę błogość, tę pełność uczuć, tę jasność myśli, to zadowolenie wewnętrzne, co tak szybko posuwa łódkę naszej żeglugi ziemskiej, a dmąc tak łagodnie w żagle życia? Czy znajdę tam, co tu tracę, czy mi się wróci kiedy, co tu tracę? Czy wrócę jeszcze kiedy w te strony, gdzie znalazł tyle miłości w tych drzewach, głazach, dolinach, górach, wodach, ruinach, a nawet ludziach — w blasku słonecznym tych dni, w gwiazdkach tych nocy, w bełkocie tych potoków, w szumie tych wiatrów i w uroczystej ciszy tych cieni, łagodzonych gwiazdami na niebie, a na ziemi świecącymi robaczkami — gdzie i ja rozlał tyle miłości, złożył w każdy przedmiot tyle uczuć serdecznych, powierzył tyle rzewnych myśli tym wiatrom w różne strony do serc różnych? Znajdę się tu jeszcze kiedy, jak przyjaciel wśród przyjaciół? Będę tu z dzisiejszą wzajemną miłością poznany, powitany, przyjęty? Uśmiechnię mi się jeszcze przyjazne oblicze tej okolicy? Obejmieź mię choć raz jeszcze w życiu to powietrze swoją miłością macierzyńską?...

Dokoła widok niezmierny. Zachwycałem się nim niedawno — ale jak inny dzisiaj! Tatry wyglądają z pod chmur zimowych dziko i groźnie. Lasy żółcieją i czernieją barwą późnej jesieni. Powietrze przeszywa podmuchami przykrego chłodu. Obok mnie szalał pusty, niemy — nie tak, jak było temu kilka tygodni. Poziaram dokoła ogrom, nieogarniony wzrokiem, a ja wśród tego ogromu — sam! „Świat wielki, a niema się gdzie pomieścić!“ — powiada nasze przysłowie. O, jak ta prawda przypada do obecnego mojego stanu! „Ptak ma swoje gniazdo, liszka swoją jamę, a syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę swoją mógł przykłonić!“ wyrzekł Chrystus. Nigdy mocniej nie poczułem tych słów rozdzierającej boleści, najgłębszej skargi, najstraszniejszego wyrzutu, jaki temu światu kiedykolwiek zrobiono. Tak jest! Nie ma gdzie

głowy swojej przyklonić syn człowieczy, skoro nie znajdzie piersi z prawdziwą, czystą, wyższą miłością, jaką znalazł Chrystus u jednego swojego ucznia. Ale jakże ją mam znaleźć?

Szukam jej w przeszłości — szukam w obecności — szukam w przyszłości... Podnosi się w duszy poranek mojego życia. Zawiewa mię jego powietrze. Widzę wioskę wolińską, ustronną, skrytą w lasach — mój domek rodzinny, niedaleko, pod lasem, mogilki wiejskie. Stała tam kiedyś cerkiew. Splamilo ją jakieś świętokradztwo, gniew boży dotknął to miejsce, i cerkiew zapadła w ziemię z całym ludem, który ją napelniał, w sam dzień Wielkiejnocy, podczas nabożeństwa. Nie zginęła jednak bez śladu i nadziei. Przyłóż w tem miejscu ucho do ziemi w ten sam dzień, o tej samej porze — a usłyszysz dzwony podziemne. Tak lud twierdził i wierzył. Wierzyłem z ludem i wierzę: biegłem kryjomo na cmentarz, przykładalem ucho do mogił, czy nie usłyszę dzwonów zmartwychwstania.

Dziś to samo robię, tylko, żem wyższy o lat dwadzieścia i głuchszy wewnętrznym słuchem — tylko, że tą mogiłą jest ogrom góry, na której stoję, a tym cmentarzem świat, co mię otacza.

Ta ziemia, którą widzę przed sobą, ten świat dokoła, to życie za mną i przede mną, jest owa powłoka, pod którą leży mój świat zapadły, moje życie zapadłe. Zwracam ucho na wszystkie strony, przykładam je do ciszy, do każdego wiatru wędrownego, do każdego dźwięku, zabłąkanego w tej dzicy — słucham uchem i myślą, czy nie usłyszę dzwonów mojego życia prawdziwego...

Napróżno wszystko!

Jakto? Miałbym tylko tyle stąd wynieść, tylko ten owoc zebrać i podać innym z tyla czasu takiego życia? Nic więcej, tylko myśl zwątpienia, żal bezpłodny? Ślepyż to przypadek wyrzucił mię tutaj, jak rozbita z nawałności życia? Byłbym już trupem, którego morze ni wiatr nie może ścierpieć w swoim łonie i wymiata żarłocztwu na pastwę zwątpienia, na zginienie uczuciem swojej bezużyteczności? A oweż myśli, których tyle przemignęło przez tę głowę — a owe uczucia, których tyle przegrało w tych piersiach, byłyby tylko ptastwem żarłocznem

i takby dalece obrały mię ze wszystkiego, że nicby już więcej nie pozostało ze mnie, jak szkielet, na nic nieprzydatny? O, nie daj tego, Boże, i tak nie jest.

Nie przypadek mię tu rzucił, nie na darmo tu się znalazłem. Nie na darmo otwarto mi wszystkie zasoby zewnętrzne i wewnętrzne tej krainy, jej przyrody i jej człowieka. Nie oddalę się stąd, jak rozpustnik, zniewieściał gnuśnem używaniem, wycieńczony bezrządem marzeń, bezsilny do życia na polu czynności. Nie! Czuję, że nie straciłem nic z tego, com tu przyjął. Pierś moja pełniejsza, widzenie jaśniejsze, ochota życia większa, wiara czystsza, miłość Boga i ludzi odważniejsza, nadzieja mocniej przytwierdzona do dna oceanu niewidomego. Czuję w sobie siłę pozostać w tym stanie, przebyć w tym stanie przyszłość, jaka leży przede mną.

Tak was żegnam, góry i ludzie, coście mię zasilali. Tak ci dziękuję, Boże, za tę chwilę łaski, którą mnie w tem miejscu dotknąłeś. Nie stracę jej, pokażę ją w mojem życiu.

Zimny wiatr powiał — dreszcz przebiegł po ciele. To przeszłość, to życie w czynności po życiu w modlitwie, to atmosfera nizin ludzkości. Cóż robić! Schodźmy na dół, trzymając statecznie, cośmy wzięli na górze!

The first of these is the fact that the United States is a young nation, and that its history is a history of growth and expansion. The second is the fact that the United States is a nation of immigrants, and that its history is a history of the struggle for a better life for all.

The third is the fact that the United States is a nation of free men, and that its history is a history of the struggle for freedom and justice for all.

The fourth is the fact that the United States is a nation of peace-loving people, and that its history is a history of the struggle for peace and harmony for all.

The fifth is the fact that the United States is a nation of progress, and that its history is a history of the struggle for progress and improvement for all.

The sixth is the fact that the United States is a nation of hope, and that its history is a history of the struggle for hope and optimism for all.

The seventh is the fact that the United States is a nation of faith, and that its history is a history of the struggle for faith and belief for all.

The eighth is the fact that the United States is a nation of love, and that its history is a history of the struggle for love and compassion for all.

The ninth is the fact that the United States is a nation of unity, and that its history is a history of the struggle for unity and solidarity for all.

The tenth is the fact that the United States is a nation of justice, and that its history is a history of the struggle for justice and equity for all.

The history of the United States is a history of the struggle for a better life for all. It is a history of the struggle for freedom and justice for all. It is a history of the struggle for peace and harmony for all. It is a history of the struggle for progress and improvement for all. It is a history of the struggle for hope and optimism for all. It is a history of the struggle for faith and belief for all. It is a history of the struggle for love and compassion for all. It is a history of the struggle for unity and solidarity for all. It is a history of the struggle for justice and equity for all.

NOWA EPOKA POEZYZY POLSKIEJ

I. WSTĘP

ROZPRAWY LITERACKIE, KRYTYKI I SPRAWOZDANIA.

ROZPRAWY LITERACKIE,
KRYTYKI I SPRAWOZDANIA.

NOWA EPOKA POEZYZI POLSKIEJ.

I. WSTĘP.

Nie dotykając zagadnienia, czy Polacy przed wiekiem dziewiętnastym mieli poezję, zostawując komu innemu jego rozstrzygnięcie, zamierzam pisać o nowej, spólczesnej, zjawionej w Polsce przed laty kilkunastu. Nie idzie tu już o to, czy mamy poezję, ale — jaką mamy lub mieć powinniśmy. Z tego podwójnego zapytania łatwo postrzedz ogromny, niezmierny prawie mej pracy przestwór, a razem przedmiot, któremu dać pierwszeństwo czuję potrzebę; i w rzeczy samej, najbliższy cel, jaki mam przed sobą, jest wystawienie czytelnikom objawionej dotąd u nas poezyi.

Nim przystąpię do rzeczy, niech mi wolne będą kilka słów wstępnych, które jej nie zagmatwają, owszem, rzuca potrzebne światło na całość.

Przedewszystkiem powody. Dzieło Maurycego Mochnackiego o literaturze polskiej jest jedyną zawadą, którą piszący dziś w tym przedmiocie napotka i usunąć powinien. Nie taję, że dzieło Mochnackiego ogarnęło wiele z tych przedmiotów, o których mam mówić, ale śmiem twierdzić, że nie wszystkie, a wszystkie może inaczej. Mochnacki ogłosił swoje pismo przed czterema laty; zawarty w niem obraz polskiej literatury oddalił się od nas, przeniósł o lat cztery. Lat cztery — na pierwszy rzut oka nie wielki przedział: nie wielki w innych czasach, w innym narodzie; z nami rzecz się ma wcale inaczej.

Przypatrzmy się literaturze, jaką nam Mochnacki odmalował, postawmy ją obok dzisiejszej i porównajmy! Zdumieć się potrzeba nad jej postępem, a bardziej jeszcze przemianą. Ale ja nie ograniczyłem się tym okresem, jam

przedsięwziął roztrząsać całą epokę nowej poezji polskiej i stosownie do tego wychodzę z punktu, z którego i Mochnacki wyszedł. Spowodowały mię następne, między innymi, uwagi.

Mochnacki, według swojego zamierzenia, pokazał nam jedynie dobrą stronę polskiej literatury: utworzył arystokrację, że tak powiem, polskich poetów, nie troszcząc się o resztę. Systematu jego nie można ganić, ale go można nie przyjąć, i z pobudek równie ważnych, jak były u pisarza „O literaturze polskiej“. Codzienne słyszymy, codzienne się przekonujemy, że, oprócz wymienionych przez Mochnackiego, naród nasz ma więcej poetów, których czyta, uwielbia i kocha. W tym względzie uległem powszechnej opinii; nie potrafię tem wzgardzić, co ona szacuje, ani obojętnie pominąć, co ją zająć zdołało, a nadewszystko potakiwać milczeniem jej błędom. Wszakże niechaj nikt nie mniema, jakobym miał jedynie na celu dopełniać dzieło Mochnackiego. Spodziewam się, że, daleki od chęci oryginalności tam, gdzieby jej, prócz chęci, nic nie usprawiedliwiło, nie zostanę nigdzie jego powtarzaczem; najpewniej, że nasze pisma, oprócz przedmiotu, w niczem się nie zetkną ze sobą. Mojem tylko będzie moje przekonanie, bom się po nie do własnej duszy zapuszczał; moim będzie sąd o pisarzach polskich, bom go oparł na zasadach, z tego przekonania wywiedzionych.

Inny jeszcze wzgląd, niemniej ważny, podał mi myśl tej pracy i kierował mną w jej ciągu, a tym jest wzgląd na korzyść, jaką odnosi ruch i życie moralne ludu przez ścieranie się zdań, wydobytych własną pracą, z własnej rozważliwej, względ na obeznanie się z przedmiotem tem dokładniejsze, im go z większej liczby punktów oglądamy. Nie stanęliśmy jeszcze na tej wysokości, abyśmy mogli powiedzieć: wyżej ani kroku! Nie natrafiłszy jeszcze w naszej poetyckiej literaturze na takie zdanie, które za jeden z artykułów estetycznego kodeksu moglibyśmy przyjąć. Otwarta więc i swobodna droga każdemu, kto się na ten zawód ośmieli. Rozwaga, czy tę śmiałość uwieńczy powodzenie, lub zawstydzi upadek, nie powinna ani na chwilę zakłócić myśli pisarza, którego jedynym celem korzyść powszechna; rozstrzygnięcie takiej

niepewności zdać on powinien na sąd narodu i przyszłości.

Mając na baczeniu jasność układu i łatwość pojęcia, oraz uniknienie gmatwaniny myśli ogólnych z ich przy-stosowaniem, podzieliłem pismo moje na dwie części: w pierwszej z nich rzucę kilka zdań, mających być pod-stawą sądu mojego o poezyi i poetach w Polsce — drugą poświęcę biografii, że tak powiem, moralnej naszych młodych poetów, przytem ocenieniu zasług, które pra-cami swemi położyli. A że celem mojego pisma jest obejrzenie poezyi, jakąśmy przed laty kilkunastu po raz pierwszy w Polsce ujrzeli, obejrzenie jej tak ze złej, jak i z dobrej strony — idzie za tem, że wspomnę mniej wię-ciej o każdym pisarzu, skoro się odstrychnął od starofran-cuskiej szkoły, skoro przeszedł pod chorągiew poezyi, głośnej u nas pod nazwaniem pospolitem: roman-tyczna. O wszystkich więc w ogólności i w szczegó-lności o każdym, kto tylko pisze z końcówkami, kto te końcówki zwilża łzami, przewiewa westchnieniami, kto padalce cierpień sercami wykarmia, kręci się duszą po wiecznych wirach życia, laje kochanki lub je pieści, prze-staje z aniołami lub dyablami, czy on Polak, czy spol-szczony Bajron, Gete, Szyller i tym podobni, czy oryginalny, czy mieszanina oryginalnych, czy Krzyżak, czy ry-cerz, czy pasterz, czy postrzyżony na miarę sonetów, czy w Lamartynowskie dumania rozwałkowany, czy śpiewa-jący ballady, czy rozrzewnia, czy rozśmiesza, czy nawet nudzi — każdy znajdzie tu miejsce.

Jak nie mogłem rozgrzeszyć się od powiedzenia czytel-nikom, dlaczego i o czem będę pisał, tak równie cięży mi na sercu powiedzieć, jak pisać myślę, choćbym ten wstęp o kilka wierszy miał przedłużyć. Względy czasu, przeznaczenie pracy, zdolności nakoniec, nie pozwalają mi przyrzec więcej, nad ulotny i niedokładny rzut oka. Za-wiódłby się każdy, ktoby tu coś więcej chciał znaleźć, ktoby dziś, i w artykule, do czasowego pisma przezna-czonym, spodziewał się ujrzeć dzieło, odpowiadające wszelkim literacko-poetycznym naszym dni potrzebom; tę niedokładność radbym choć tem wynagrodzić, że tyle tylko przyrzekam, ile dotrzymać czuję się na siłach,

i w sprawiedliwym ocenieniu siebie dają rękojmię bezstronności względem innych.

II. POEZJA W OGÓLNOŚCI I POEZJA NARODOWA.

Między licznymi podziałami moralnej całości, zwanej literaturą, między władzami, przez które objawia się i rozwija życie moralnej narodu strony, poezja niepoślednie zabiera miejsce. I nie dziś dopiero postrzegliśmy to zjawisko. Własne jej pomniki świadczą o przedwiecznym jej życiu w życiu narodów; cały byt człowieka dowodzi jej obecności w życiu ludzi pojedynczych. Czemże jest poezya? To pytanie rozstrzygną nam dzieje ludzkiego plemienia i ludzkiego życia. Najpierwsza piastunka i nauczycielka narodów, mądrość z natchnienia, filozofia filozofii, towarzysząca prostemu, jak przyroda, pieśniami bytowi człowieka od rozwinięcia mu życia w kolebce, aż do ukłóśniania śmiercią w grobie — przecucie zaziemskiego bytu — piętno duchowe na doczesnych przedmiotach dla upiększenia i razem dla okazania znikomej ich wartości — miłość najczystsza, język wiary, duch niewidomy, prorokujący o bóstwie — najwznioślejsza, najrzeczywistsza prawda, odziana tajemniczością i urokiem niebieskiego początku, dotykalna prawie, a przytem niepojęta: — oto jest drobna cząstka z szeregu tych postaci, pod którymi poezya objawia się światu, w których przeznaczono myśli ludzkiej wiecznie ją zgadywać i nigdy nie pojąć.

Jedynie — zważywszy ją w tej wszechobecności, której ślady jaśniejają na całej przyrodzie, w tym uroku, który rozlewa na wszystkie stworzenia przedmioty, czy to podniesiemy się do wysokości ducha, zanurzonego w bóstwie, czy zniżymy się ku najdrobniejszemu ogniwu, łączącemu ciało ludzkie z ziemią, w tym nakoniec wzajemnym pościąganiu i pojmowaniu się człowieka z otaczającym go stworzeniem — możnaby powiedzieć, że poezya jest to strefa niewidzialna pomiędzy materią a duchem, w której spływa się i łączy ze sobą wszystko, co tylko w duszy ludzkiej może być zmysłowego, a w zmysłowych przed-

miotach ulotnego i czystego, jak dusza — że poezya jest żywioł istoty anielskiej, rozlany we wszystkim, cokolwiek wyszło z rąk Twórcy na znak przymierza między nim a stworzeniem.

Ale, jeżeli wszyscy czują poezycę, nie każdy jest usposobiony postrzedz jej żywioł tak wyraźnie, ująć tak silnie, aby go innym mógł objawić; twórcza więc mądrość obmyśliła przewodników moralnemu płynowi równie poezyi, jak plynom ognia, elektryczności i magnetyzmu: stworzyła poetów. W poetę przeto splywają się niejako myśli wszelkich istot, tak organicznych, jak nieorganicznych, jednym słowem, myśli całego stworzenia — albo, inaczej, dusza poety porozumiewa się bezpośrednio z ich duszami, których reszta ludzi domyśla się tylko przez pewną, niepojętą sympatycę, póki ich pośrednictwo poety wyraźniej uczuć nie da.

Silę, zapomocą której poeta wydobywa z łona przyrody poezycę i zmysłowie ją objawia, zowiemy natchnieniem. Zbadać i określić istotę natchnienia byłoby równie nad możność ludzką, jak zbadać i określić istotę poezyi; nie marnując więc myśli, obróćmy je raczej na roztrząśnienie, jaka konieczność przyprowadza poetę, aby kupiacy się w swej duszy żywioł poezyi wylewał na zewnątrz. Rozmaite w tym względzie potworzono, mniej więcej logiczne, systemata; zamknawszy oczy na wszystkie, wszakże bez roszczeń do chwały utworzenia oddzielnego, powiem tylko, co mi moja nastręczyła rozwaga.

Byt człowieka składa się z dwóch połów, różnych od siebie co do istoty, to jest: fizycznej i moralnej; jest więc i chęć zachowania podwójnego bytu, są i środków dwa rodzaje. Z porządku mówić będę o stronie człowieka fizycznej, czyli materyalnej. Sen, pokarm i tym podobne potrzeby ludzkie są jej piastunami doczesnemi, do chwili skonania; ta chwila przenosi człowieka w świat moralny. Na takiej chwili, na takim punkcie zniszczenia jednego bytu a poczęcia się drugiego człowiek grób stawia.

Grób możnaby uważać za szczyt ziemskiej poezyi, za najdobitniejsze jej objawienie się w postaci materyalnej. Nie znam pieśni rzewniejszej, wznioslejszej i uroczystszej nad pogrzebowy obrzęd, choć tak prosty i po-

wszedni. Te grudki ziemi, lecące na trunę z rąk stojących nad nią, to pożegnanie z lez rodziny, miłości, lub przyjaźni, ta nakoniec mogiła, usypana wśród oznak boleści, są to dotykalne dźwięki, zlewające się w pieśń niezgłębianych myśli, nadziemskich uczuć, nierozjaśnionego nigdy znaczenia, w pieśń, nazwaną grobem. Grób ma służyć odtąd za pomnik zniszczonego jednego bytu, na przekór czasowi, który go zniszczył — za upominek pozostałych na ziemi, dany przenoszącemu się od nich w kraję niezemską — za umówione niby miejsce spólnego kiedyś połączenia się. Tak ja mniemam, tak mniema owa wiara milionów gminu, utrzymując, że się na grobach zmarli pokazują.

Przejdźmy teraz do świata, istniejącego wewnątrz człowieka, wewnątrz poety. Mieszkańcami jego duszy są myśli i uczucia. Przedewszystkiem musimy przyznać, że, co używamy, to tracimy. Przekonamy się o tem z lekkiego zastanowienia się nad użyciem darów materyalnych, życia na przykład, które przez używanie w śmierć się zamienia. Ta prawda da się zastosować do darów moralnych, z tą tylko różnicą, jaka zachodzi między materią a duchem. Używamy uczuć, zwracając je ku zewnętrznym względem duszy przedmiotom, i raz tak wysłanych, już nie jesteśmy w stanie odzyskać. Czujemy to, bolejemy nad doczesnością swoją, pragniemy ją w nieśmiertelność przedłużyć, uwiecznić widomie, jak ludzie drogich sobie ludzi, chwytamy ulatujące duchowego życia płomyki i obwijamy je w kamienie, barwy, dźwięki i wyrazy.

Tym sposobem powstają snycerze, malarze, muzycy i poeci, a ich utwory, rzeźby, malowidła, muzyka, rymy nie są niczem innym, tylko pomnikami, grobowcami ich myśli i ich uczuć. A przeto w pieśniach poetów widzę nie chęć naśladowania dźwięków lub obrazów zmysłowej przyrody, nie potrzebę chwilowego wynurzenia, chwilowych wrażeń i uczuć, ale konieczność daleko nieprze-partszą, dążność daleko szlachetniejszą, a obie, wypływające z istoty człowieka, uważanego, jako dziecię boskie i cząstka nieśmiertelności — obie zgodniejsze z jego całym życiem, z jego chęciami, nadzieją i wiarą — w krótszych słowach: konieczność i dążność przetworzenia w nieśmier-

telność wszystkiego, co go napelnia i otacza inaczej — popęd zachowania bytu w najszlachetniejszej części człowieka, na drodze najszlachetniejszej, w myślach na drodze myśli — tworzy objawianie poezji czyli poetów.

Ale skąd powstaje ów interes, z jakim ludzkość przyjmuje podobnych dusz utwory? Niektórzy utrzymują, że to jest prosta rozrywka powszedniej ciekawości — drudzy, że zbyt duża potrzeba — inni inne, podobne naznaczają przyczyny. Moje zdanie, oparte na powyższych nad poezją uwagach, przechyla się do tych którzy twierdzą, że to jest potrzeba życia, szlachetniejsza o tyle od innych potrzeb zmysłowych, o ile dusza szlachetniejsza jest od ciała. Najlżejszy to będzie ciężar, który na szalę tego mniemania nawiasem rzucę. Zastanówmy się tylko nad wiekową arcydzieł sztuki trwałością i odpowiedzmy sami sobie na zapytania: czy bawidelka zmysłów potrafiłyby utrzymać się tak długo, na tronie takiej cześci człowieka? Czy potrafiłyby wyjść nienaruszone z tego umysłowego tyłu wieków zamętu? Czy nie zginęłyby całkiem w tym trącym kołowrocie oświaty, gdzie zgasło tyle religii, gdzie samo wyobrażenie bóstwa uległo tylu przemianom? Ale, nie bawiąc się podsuwaniem widocznej odpowiedzi, spróbujmy raczej wejść w głąb rzeczy i stamtąd prawdę wydobyc.

Wyobraźmy sobie życie duszy jak życie ciała — co nie jest żadnem przypuszczeniem, bardziej pewnością, opartą na całej przeszłości ludzkiego plemienia. Jedno i drugie potrzebuje do swojego utrzymania i postępu posiłku czyli karmu, a każde odpowiedniego swojej przyrodzie: cielesnego życia ciała, duchowego życie ducha. Źródłem pierwszego jest ziemia, źródłem drugiego owa kraina, której myślami tylko dosięgamy, którą wiara niebem nazywa. Ziemia zasila cielesność płodami swojemi bezpośrednio, jak na przykład zwierzętami, i pośrednio, jak na przykład kruszcami; szczyt świata duchowego czyli niebo zlewa ten posiłek dla duszy w myślach, uczuciach i tam dalej, równie bezpośrednio i pośrednio. Uczucia i myśli bezpośrednio są te, które się rodzą w każdym człowieku: wszystkim zarówno są dostępne i pojętne — pośrednie zaś spływają na ludzkość przez pewne tylko wybrane z jej łona

indywidua, przez ludzi, którym przyznajemy wyższą, niż jest zwyczajna, moralną potęgę, a nie nabytą, powszechnie natchnieniem zwaną, jednym słowem: przez geniusze.

Zastosujmy teraz to wszystko do poezyi, a będziemy mieli wynikłość, że poezya objawiona, czyli udzielona światu w dziełach geniuszów, jest to kopalnia kruszców. Jednej i drugiej przeznaczono zgromadzać do swojego łona stosowne materyały, przysposabiać je do użycia i nakoniec opatrywać niemi potrzeby swoich światów. Uszlachetniając wyrażeniem, com dopiero powiedział, do zwyczajnego pojęcia, twierdząc, że utwory poetów nie są indywidualnem uświęceniem indywidualnych uczuć, ale wcieleniami boskich prawd, których mąż natchniony jest składem i częstokroć ślepem narzędziem — że najgodniejszymi ludzkiego umysłu pomnikami, olbrzymiemi runami najwyższej mądrości, posuwającej ludzkość nieznacznie, zwolna, ale wciąż do celów jej bytu, do najwyższego udoskonalenia — dotykalnemi ogniwami łańcucha oświaty, przedłużającego się z postępem czasu — skazówką drogi, ubieżonej po przeszłości i jej kierunku w przyszłość; że poezya zatem konieczna jest w życiu ludzkości, a interes dla niej, nie chwilowe spółczucie indywidualnych wrażeń, ale widzenie w zachwyceniu owego światła, które ku bóstwu prowadzi — że, nakoniec krzywe jej pojęcie wypływa z tych samych przyczyn, które w religiach tworzą bałwochwalstwo. Kiedy się bowiem ukaże odziana tak uroczą postacią, mniej gruntowne umysły, olsnąwszy od zewnętrznej piękności, nie mają dosyć czasu czy chęci wniknąć wewnątrz i z duszą się zapoznać, tylko z materyalnej powłoki robią bożyszcze i stosowną wielbią je cześcią, a tak, co z przeznaczenia swojego ma być rozkoszą, utrzymującą życie duszy, nie zostaje niczem więcej, jak przedmiotem zmysłowych zabiegów.

Istota poezyi, przyczyny i drogi jej objawiania się, wielkie jej powołanie, wielkie powołanie poetów oto najważniejsze zagadnienia, które przedmiot mej pracy nastreślił, i te starałem się dostatecznie rozstrzygnąć. Pozostaje mi jeszcze niemniej ważne, niemniej ściśle z celem tego pisma spojone: mówię tu o podziale poezyi na

właściwą pewnym okolicom ziemi, pewnym plemionom, czyli narodową. Zagadnienie to wyjaśni się rozwiązaniem następných pytań: Czy podział poezyi na narodowe jest dorzeczny? Czy naród może i powinien mieć oddzielny, właściwy sobie rodzaj poezyi? Czy na tem zyskuje ogólna oświata?

Nic pewniejszego nad to, że istota poezyi, będącej żywiołem duchowym, musi być jedna, taż sama na całym świecie, po wszystkie czasy, że ma własność duszy ludzkiej. Czemże usprawiedliwić owo nazwanie *poezya narodowa*, z którego wynika konieczne wyobrażenie jej podzielności na pewne części, różniące się między sobą? Usuniemy tę pozorną niedorzeczność, biorąc poezyę pod dwoma względami: jako przyczynę i skutek, a mówiąc wyraźniej: jako objawiającą i objawioną. — Poezya, uważana w pierwszym przypadku, to jest, jako żywioł duchowy i siła tworząca poetów, jest to samo, co dusza, nie wcielona jeszcze w rodzaj ludzki — jest całością, w której równie, jak w duszy, nie potrafimy wyobrazić żadnych podziałów, żadnych odmiennych względem siebie części; uważana zaś, jako wpływ poetów, czyli objawienie pod zmysłowemi postaciami, jest znowu w położeniu duszy, ciałami ludzkimi odzianej. Naówczas, równie jak dusza, robi w pewnej części poświęcenie z niebieskich swoich przymiotów, przemienia się niejako na własność materji, poddaje się jej ustawom i płynie potokiem ludzkości, którego falami jest nieskończona kształtów przemienność. Dotąd jest pierwsze wcielenie poezyi, pierwsze jej poddanie się ustawie widomego świata, chcącej wszystko przeprowadzać przez nieobliczone odmiany.

Mnożą się kształty, odziewające duszę, rozdrabiają niejako jej istotę, przez miliony różnic zdają się coraz bardziej rozrywać, oddalać od siebie jej cząstki — ale dusza przemaga; pamiętna pierwotnej swojej całości, obudza w ciałach wzajemny ku sobie pociąg, który właściwie jest usiłowaniem duchowych cząstek zlania się w jedno — przybiera w pomoc zewnętrzne, fizyczne okoliczności, zbliża za ich pośrednictwem ciała ludzkie, skupia je w coraz większe masy i nareszcie układa się w narody. Krok w krok postępuje za nią poezya, towarzyszka, powiernica,

sluga duszy; nagina się do każdego jej ruchu, dla porozumienia jej z ciałem przydaje urodzie swojej ozdoby, najlepiej przypadające do smaku masie, na którą ma działać — wchodzi z nią w bliższy coraz stosunek, ścisła się niejako wewnątrz jej, umyka się od zewnętrznych jej kresów i coraz dobitniej powstaje w wielką oddzielną część poezyjnej całości — w poezję narodową. Śmiało więc można twierdzić, że, gdzie narodu, tam jest początek i poezji narodowej, i że nazwisko poezji narodowej tak się da pogodzić z wyobrażeniem jej całości, jak całość duszy nic nie traci na nazwisku: człowiek lub naród — bo się odnosi jedynie do zewnętrznego kształtu.

Dla ludzi, nie wierzących w maksymę, że, co jest, to musiało być koniecznie, nie będzie dostateczny wniosek, że, skoro jest poezja narodowa, więc musi być i jej potrzeba; ten przeto wzgląd, połączony z innymi, powoduje mnie roztrząsnąć oddzielnie jedno z pytań, wyżej położonych, a mianowicie: czy naród może i powinien mieć oddzielny, właściwy sobie rodzaj poezji.

Z dwóch stron zapatrujemy się zwykle na poezję objawioną. Na jednej jest mechanizm wiersza, do którego składu wchodzi język, kształt wiersza, układ zewnętrzny wyrazów, zwany stylem zewnętrznym, powierzchowna ozdobność, harmonia i tym podobnie. Moc natchnienia, barwa myśli, przedmiot, cel poezji i warunki moralne stanowiące styl, wewnętrznym zwany, są na drugiej, na duchowej stronie. Ażeby poezja była narodowa, powinna na każdej niemal części obu stron wymienionych nosić piętno narodu; przy niektórych tylko okazemy konieczność tego piętna, a dowody, za jedną częścią użyte, dadzą się mniej więcej i do innych zastosować.

Warunkiem poezji, najpierwej w oczy wpadającym, jest język. Ścisłejszy związek, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało, zachodzi między przedmiotem ojczystym i językiem ojczystym. Są rzeczy w jednym kraju, których mowa kraju drugiego, pomimo największej usiłności, wysłować nie potrafi. W tem jest cud odwiecznego spółżycia, cud, żadną w świecie sztuką nie naśladowany. Bo i czemże jest język narodu? Czem są dla narodu nazwania rodzinnych przedmiotów?

Zrazu towarzyski pociąg człowieka ku wszytkiemu, co go otacza, następnie ściślejsze poznanie się, dalej pewne pokrewieństwo, po niem konieczność spółzycia, nakoniec miłość. Musiał człowiek zbliżyć się do przedmiotu, a zbliżyć się przez pociąg ku niemu, musiał go poznać, kiedy mu dał nazwisko; musiał żyć z nim wieki, musiał go pokochać, kiedy nazwisko jego włożył w skarbnicę swej mowy i przez wieki je zachował. Zaprawdę, język jest najwymowniejszą, najjaśniejszą historią stosunków, które wiążą człowieka z przyrodą, w obrębie jego bytu zawartą. Możeż go przybysz z pośrodka obcych ludzi, z łona obcej przyrody zastąpić? Możeż tam być dostateczny cudzoziemski wyraz, gdzie w krótkim dźwięku rodzinnego zamyka się uczucie najwznioślejszej piękności, znajomej milionom, krążące przez lat tysiące po milionach pojęć, gdzie w jednym nazwaniu prostem wylewa się najognistsza pieszczota, a w jednym wymienieniu przypomina się sercu wiekowa historia rzeczy wymienionej, wiekowe z nią pokrewieństwo? To jedno dostatecznie już rozplątuje zagadkę owej wielkiej trudności tłumaczenia dzieł obcych — tem większej, im bardziej te dzieła są narodowe.

Wyraz, inaczej uważany, jest martwym szeregiem zmysłowych postaci; aby żył, aby odkrył duszę swoją narodowi, długo ten naród, długo żyć z nim powinien. Jest to, że tak powiem, zwierz dziki, który wielkiem tylko około siebie staraniem da się przyswoić. Z natury rzeczy wypada, że, co powiedziano o wyrazach pojedynczo, to się ma rozumieć o ich ogóle, który zwiemy językiem. — Wyżej namieniłem, że wyrazy mogą być martwe; są one takimi, kiedy wymieniają rzeczy, nie znajome ludowi, kiedy uczucie nie spotyka w ich dźwięku uczuć tajemniczego pokrewieństwa z ich twórcami, kiedy mi nie malują przyrody, w której znam odwieczną piastunkę mojego plemienia, kiedy mi nie malują życia narodu, którego harmonijną częścią jest życie moje — jednym słowem, kiedy nie są ojczyste i o rzeczach ojczystych.

Wszystkie niemal warunki poezyi, tak moralne, jak fizyczne, aż do natchnienia, możnaby podciągnąć pod roztrząśnienie powyższe; o wszystkich niemal możnaby po-

wiedzieć z przekonaniem, że zdolne są i powinny przyjąć piętno narodowości, że dopiero tym sposobem ukształtowane wchodzi w harmonijną całość narodu i objawiają poezję, odpowiadającą prawdziwemu swojemu powołaniu. A cała tajemnica spoczywa w pokrewieństwie człowieka z przyrodą, że tak ją nazwę, podserdeczną, w pokrewieństwie, które wieki spółzycia zawiązały i ścieśniają coraz mocniej. Dlatego pozwałam sobie odsunąć już na stronę wypływające z istoty poezji powody za poezją, właściwą każdemu oddzielnie narodowi, a kilku jeszcze ubocznemi wesprzeć jej sprawę.

Tutaj domagają się pierwszeństwa uwagi nad uczuciem i pojęciem piękności. Można by powiedzieć, że sprawa jej ze sprawą poezji jest niemal zlaną w jedno: poezja jest pięknnością, piękność jest poezją. Nie są jednak tem samem; tak się między sobą różnią, jak się różni słońce od swoich promieni. W istocie, nie bardzo odskoczymy od prawdziwego określenia, jeśli powiemy, że poezja jest słońcem, którego promienie tworzy piękność, rozdrobiona nieskończoną różnością przedmiotów, składających stworzenie. Z tego wszystkiego zdawałoby się, że owa harmonia kształtów, z istoty swojej tak tajemnicza, tak czarodziejско władająca umysłami, tak nieziemską, nie powinna ulegać dowolności sądu ludzkiego — że mają słuszność ci, którzy wołają, broniąc poezji, zwanej uniwersalną, i jakichś ideałów, mających zachwycać wszystkich, wszędzie i zawsze. Piękność jest jedna; prawdziwa piękność wszystkim się podoba.

Takby się zdawało; tymczasem nic ogólniejszego nad tę deklamację, nic fałszywszego nad owo twierdzenie. Prawda, że istota piękności nie jest wieloraką, że, co piękne, to każdemu podobać się musi — ale i to prawda, że przedmiot, piękny wczoraj i tam, nie zawsze jest piękny dziś i tu. Nic przeto nierozważniejszego, jak to urojenie piękności bezwarunkowej; nic daremniejszego, jak usiłowanie podniesienia jej nad świat cały, nad całe życie rodzaju ludzkiego.

Z którejkolwiek strony obejdziemy ten przedmiot, z każdej otrzymamy tę samą wynikłość. Cnota jest pięknością w świecie moralnym; czyż ją dla tego wszyscy kochają?

Czyż wszyscy uważają za piękność te zjawiska, które pod nazwaniem cnoty znamy? Pomińmy ludzi pojedynczych, skażonych, wyrodków, jak są zbrodniarze — ale cóż powiemy o całych masach, o całych ludach, o całym prawodawstwie, które pozwala dobijać zgrzybiałych rodziców, pastwić się ze zwierzęcą wściekłością wśród ludożerczej uczty nad jeńcami boju? Jest-że co sprzeczniejszego naszym o cnotie wyobrażeniom, jak owe zwyczaje? Jest-że co szpetniejszego nad nie w naszym pojęciu? U nich jednak muszą one za piękność uchodzić, kiedy je uświęcono kodeksem tradycyi.

Zjawiska sztuki jeszcze trafniej mówią do przekonania. Z przykładów, nasuwających się tłumem, weźmy dwa tylko: skutek czasu i skutek miejsca. Co do pierwszego — postawmy dawną klasyczną poezję obok poezyi chrześcijańskiej. Piękność starożytnych Greków jest-że dziś dla nas ta sama, jaka była za kwitnących czasów mitologii? Możeż być coś przeciwniejszego, jak owe ideały, wysilone w powab powierzchownych kształtów, jedynie z obłąkania, że tak powiem, zmysłów wyklute — a pomniki nowoczesne, utworzone pod wpływem religii chrześcijańskiej, ubarwione odcieniami najgłębszych uczuć, odziane całą tajemniczością objawionej wiary?

Co się drugiego tyczy, to jest, skutku miejsca, czyli wpływu okolicy na wyobrażenie piękności, ten poznamy, porównawszy poezję ludów wschodnich z europejsko-zachodnią. Jak dla mieszkańca stref gorących lodem będą nasze uniesienia, okielznane przepisami zdrowego rozsądku, dobrego smaku i tym podobnemi, tak równie wychowanie umiarkowanych niebios, w owych przenosi- niach, przesadnich, w owem nastrzępieniu, przeladowaniu poezyi wschodniej będzie widział same tylko zdrożności, same niedorzeczności — i, gdzie się Europejczyk zachwyca, tam Arab uśnie — a zapali się najświętszem uczuciem, gdzie nam, zimnym, będzie się zdawało widzieć wybuch maligny. Te są przywidzenia duszy ludzkiej, wówczas nawet, kiedy najmniej od zewnętrznych pobudek zawisła. Zmysły z samej swojej przyrody skłonniejsze są do nich. Piękność kobiety najdobitniej odmaluje nam je z tej strony. Dostyć jest zażądać ideału pięknej kobiety od Chińczyka, Mu-

rzyna lub Kamczadala i postawić go obok europejskiej piękności.

Jednem słowem, niema uniwersalnego ideału piękności — a ona jednak jest silną sprężyną poruszenia umysłów, potężnem do ukształcenia ich narzędziem. Jeśli zaś przy tem wszystkim musi zmieniać oblicze swoje dla dogodzenia przywidzeniom ludzkim, dla pochlebiania ich nałogom, wypływającym z przyczyn czyto moralnych, czy fizycznych — cóż w świecie może sobie pochlebiać, że nieruchomością swoją podbije ową nieskończoną przemienność upodobań?

Wzgląd na uosobienie i stopień pojęcia narodu, który przez poezję kształcić chcemy, jest także jednym z wymownych rzeczników za koniecznością poezyi narodowej. Wystawmy sobie człowieka, dręczącego się jakimś zapomnieniem. Każdy z nas zapewne bywa w tym przypadku i łatwo taki stan pojmie. Zgubiona myśl miga nam z daleka to wątpliwszem, to wyraźniejszym światłem, zatrzymuje się, gdy ustajemy, pierzcha, gdy się zbliżamy, niby ów błędny płomyczek grobów; idziemy za nią, błakamy się, nie możemy jednak schwycić, a czasem zupełnie z oczu tracimy — niespodziewanie znajdujemy się w położeniu, stajemy w miejscu, gdzieśmy ją zgubili — i oto ją mamy. Owym człowiekiem jest naród w drodze oświaty — a poezya powinna być dla niego tym tajemniczym popędem do miejsca zgubionej myśli.

Oprzyjmy się na powyżej wyłożonem zdaniu, że poezya jest jakoby treść, wyciągnięta z przyrody. Któraż właściwiej zostanie tym przewodnikiem dla pewnej masy, jeżeli nie treść przedmiotów, związanych z nią odwiecznymi stosunkami, rozumiejących się przez odwieczną sympatyę, jakkolwiek tajemniczą i nieokreśloną? Któraż inna trafi lepiej w pojęcie rodzinnego narodu? I naród czyż nie tę najlepiej zrozumie, która została uosobionem życiem jego najdawniejszych nałogów, najpowszedniejszych zatrudnień, znajomością najdrobniejszych znajomości, pomiędzy którą a nim biegną wspólne drogi, wiekami ścisłego spójzycia utarte, im tylko samym wiadome?

Skąd na przykład pochodzi, że lud, który tak czuje, pojmuje i kocha swoje pieśni i powiastki, gminnemi

zwane, patrzy z taką obojętnością na owe zastępy rymów, rozbiegające się codziennie z drukarni? A przecie jest w nich talent, jest harmonia, lechcząca uszy, jest poezya, iskrząca swemi kwiatami, jest wszystko, co się podobać powinno, a czego pierwszym w największej części brakuje. Skądże to pochodzi? Oto ztąd, że literatura gminna wypływa z duszy poetów, którzy się wychowali na łonie ludu i przyrody znajomej, pokrewnej ludowi — przesiąkli niemi przez spółzycie, wyciągnęli z nich treść swoich uczuć i oddali je z taką prostotą, wiernością i prawdą, że lud poznał swoje i dla siebie zrobione malowidło — a przeciwnie, nasza dotychczasowa, drukowana poezya wypływa z natchnień pożyczonych, krąży wciąż około pewnej stałej liczby uczuć, wypolerowanych wprawdzie krociami tyrad, przechodzącemi niekiedy z wieku w wiek, ale, jak martwe mumie, ale tak się mającemi do uczuć ludu, jak okazały kwiat sztuczny do woniejącego w samym rozwiciu pączka: kładzie na prostotę wykwiutność, na prawdę przesadę, na piękność przepych, aż wkońcu nie poznasz ich, jak człowieka, który na scenę wychodzi aktorem; poczyną się w gronie indywiduów, odstrychnionych całkiem od reszty narodu, i do tego jedynie grona dążą — jednym słowem: jest tylko poezya koteryjna.

Temi słowy niech mi wolno będzie zamknąć, za długie może, roztrząsanie pytania, czy naród może i powinien mieć właściwą sobie poezję, oraz zostać w przekonaniu, że jest dostatecznie roztrząsnął.

Z powyższego rozwiązania wypływa sam przez się wniosek, rozstrzygający ostatnie założenie, czy poezya narodowa przynosi korzyść ogólnej oświacie. Da się on zawrzeć w kilku wyrazach: Oświata jest całość, literatury narodowe są części, środki zatem, sprzyjające doskonaleniu się części, doskonałą całość.

III. OBRAZ OGÓLNY NOWEJ POEZJI POLSKIEJ.

Żadne względy czasu, miejsca, osób i tym podobnych okoliczności nie zdołają uniewinnić mówienia nieprawdy —

czyli to samo na odwrót: prawdę powinniśmy mówić wszędzie, zawsze i każdemu.

Z jednej strony, zbliżając się nareszcie do owej części tego pisma, gdzie w praktycznym rozwinięciu mojego rozumienia poezyi wypadnie nieraz dotknąć drażliwej strony serc autorskich lub czasu — z drugiej, całkiem nie słysząc dyplomatycznej kłatwy na bezwzględne prawdomówstwo, a które dla bliższej rozważki okaże się nie samym tylko półśrodkiem, ale po prostu tamą do obalenia błędów, z których jedynie zręczni ich obrońcy pożytek ciągną — wsparty nadto przeciwnem przekonaniem, że między boskimi własnościami prawdy jest i ta, która z wynurzenia czasowych jej niedogodności wyprowadza w późniejszych skutkach stokrotne korzyści — osądziłem za właściwe w tem miejscu przyłączyć do innych, wprzód wymienionych zasad i zdanie, dopiero objawione. Otóż więc jeszcze jedna zasada święta, nieodzowna, kierować będzie moim przeglądem polskiej poezyi: — bezwarunkowa bezstronność.

W części pierwszej rozwijałem myśl, że narodowość tak w duchu, jak w kształcie zewnętrznym stanowi nie tylko główną zaletę poezyi, ale jest jedynym warunkiem dobrze przyjętego jej powołania — w części niniejszej będę usiłował wyświecić, czy tę zaletę ma dzisiejsza nasza poezya, czy ją mają nasi poeci i którzy.

Początek poezyi, nazywanej przeze mnie dzisiejszą, umieszczam około roku 1820. Przed czy po? O to mniejsza. Zjawiska jej, zawarte w tym obrębie czasu, dociągniętych aż do obecnej chwili, skupiłem w napisie „Nowa Epoka Poezji Polskiej“ i o nich tylko mówić tu będę.

Poezja objawiona, równie, jak i wszystko inne, istniejące na tej ziemi, nie powstaje ani od razu, ani z niczego. Siła rozwijająca się z wewnątrz i wpływ zewnętrznych okoliczności są twórcami wszelkiego bytu ziemskiego; doskonałość jego zależy od harmonijnej tych przyczyn równowagi; potworność wyradza się z przeważniejszego jednego lub drugiego działania. W zupełności możemy tę prawdę do poezyi przystosować; dlatego, abyśmy obecny jej stan zrozumieli i wytłumaczyli niektóre jego przy-
padki, musimy koniecznie prześledzić te dwa potoki przy-

czyn w całym ich biegu, od początku zeszłego wieku począwszy.

Jakkolwiek owa literatura, kwitnąca pod nazwiskiem „klasycznej“¹ lat kilkadziesiąt, a w oczach naszych już zgasła, nie jest matką czyli stworzycielką dzisiejszej, jakkolwiek tyle już nam o niej naklektano, żebym ją chętnie pomiął — kiedy jednak stanowi najbliższe ogniwo w łańcuchu umysłowego naszego życia i nie była bez wpływu na czas dzisiejszy, muszę, rad nie rad, ten okres przeżyć, pokrzepiając czytelników i siebie samego tem zapewnieniem, że go jak najrychlej przebędę.

Ziemią polską rządili królowie Sasi, umysłem polskim zakon jezuicki. W ich rękach było wychowanie całego narodu, cała jego oświata. Podstawą wychowania był pedantyzm, ciężki, jak ówczasowe dzieła *in folio*; duch oświaty odbijał się całkiem w ówczasowym potwornym języku. Ogół polskiej młodzieży, przeszedłszy przez takie ręce, zbutwiawszy w takich szkołach, jak księga, skazana przez czas długi na śnież wilgotnego składu, wychodził na świat, jak ta księga, której mądrości ducha czas wydarł — wychodził, nie mając innej zalety nad lata w szkołach spędzone, i dopełniał plemiona nieuków. Nie dziw, że w takim narodzie Jezuici do samowładnej przyszli potęgi. Potęga ta była martwej natury, ciężyla też tem bardziej, trupieszala; zniszczyła ona w duszach myśl nawet opozycyi, któraby jakkolwiek poruszała jego życie — rozlała uspienie, ciemnotę w pełnem tych wyrazów znaczeniu. Cały naród, bez wspomnienia przeszłości, bez planu na przyszłość, bez uznania się w sobie, bez zwrotu na zewnątrz, w prawdziwym był letargu.

I cóż go zerwało? Trudno byłoby dać wiarę temu, co powiem, gdybym nie miał za sobą świadectwa dziejów. Oto jedno zdarzenie, bez żadnego na pozór związku z na-

¹) Sama trudność nadania nazwiska literaturze, poprzedniczce dzisiejszej, dowodzi jej ulotnego kształtu, niepewność przywiązanych do niej wyobrażeń, wieloznaczności przedmiotu. Nie będzie zapewne w takim przypadku poezya prawdziwie polska; objawi się ona ludowi, jak niebo, jednostajna, niewzruszona i lubo, jak niebo, niewyczerpana będzie w przemijających, pojedynczych zjawiskach, otrzyma przecie od narodu miano, które jej wiecznie w pojęciu wszystkich zostanie. (P. P.)

ukami, a nawet szkodliwe pod względem politycznym polskiemu narodowi: oto wojna z Karolem XII.

Wejdźmy w tę rzecz głębiej, rozważmy ją w dalszych jej skutkach, a przyznamy, że właściwie Karol XII, mimo swej wiedzy, przez czarnoksiężskie niby zaklęcie, pełne burz, zniszczenia i szatańskich widziadeł, wywołał umysłowe odrodzenie Polski. Stronnictwo Stanisława Leszczyńskiego wystąpiło, jako organ wyobrażeń ruchu i postępu. Ale zarody ich zanadto były w duszy narodu przytłumione, aby się z wewnątrz siebie bez obcego zasilku rozwinęły; Leszczyński więc upadł i zbiegł do Francji, z nim przeniosło się całe dzieło. W Polsce znowu kilkanaście lat martwych. Któż tam na koniec przemówił głosem życia i rozumu? Konarski; Konarski i jeszcze kilku, którzy właśnie powrócili z dworu Leszczyńskiego.¹ Zdawałoby się, że wyobrażenia nowe potrzebowały tego czasu, tego schronienia, aby dojrzeć i z męską siłą na łono kraju powrócić.

Rychły upadek Jezuitów przyspieszył stanowczo ich przewagę. Wtedy to starsza część Polski, pozbawiona uświęconej swojej władzy i siły koncentracyjnej, a nieprzywykła sama przez się działać, zaledwie mogła słaby postawić opór — młodsza zaś przechodziła pod chorągwie odnowicieli, i rzecz, z podziwieniem wszystkich, szybko się posuwała. Ale czy w duchu narodowym? Nie, tak być nie mogło. Rzućmy tylko okiem na okoliczności, towarzyszące kształceniu się samychże odnowicieli! Wpływały na nich dwa żywioły, przemagające wówczas nad innymi: wychowanie duchowne i literatura francuska. Pedantyzm duchownego wychowania wpajał głównie nałogową cześć ku pisarzom łacińskimi, to był pierwszy ideał — ideał starożytności. Sława społecznego Woltera i kwitnącej pod jego firmą szkoły tak filozofów, jak poetów, rozmarzyła umysły, chciwe nowości, trawionej potrzebą, i zapaliła żądzą zbliżenia się do takich pisarzy, a z tego powstał ideał drugi — nowożytności, czyli najwłaściwiej

¹) Jest to factum historyczne, że Konarski i kilku innych, najczynniejszych w reformie Polski, podczas ostatnich lat panowania Sasów, kształcili się pod okiem Leszczyńskiego na jego Lotaryńskim dworze. (P. P.)

francuszczyzny. Zlanie się przeto tych dwóch wyobrażeń zostało duchem i piętnem owej literatury, którą zaszczerpił Konarski ze współczesnymi; podnieśli K r a s i c k i, T r e m b e c k i, N a r u s z e w i c z i t. d., oglądziło do wysokiego stopnia F e l i Ń s k i, K o ź m i a n, M o r a w s k i i t. d. i nakoniec w oczach naszych pogrzebli. Przykry zaiste wypadek, podobny bardzo do przygody owego ich Apollina z ową tam nimfą: już ją bożek dogania, już czuje rozkosz, której na jej łonie dozna, już oto ma ją schwycić — patrzy a w objęciach nieczule drzewo.

Ale wróćmy do związku klasycznej literatury, bośmy zamierzili sobie szybko ją przebyć.

Nie jednemu z nas i nieraz bez wątpienia wpadał w oczy młokos, wychowaniec szkół zakonnych, a mianowicie szkół takich, jakiem dawniej były, gdzie zamknięcie klasztornej celi odbierało wszelką sposobność obeznania się z rzeczywistym światem — gdzie jednostronne, przeciwprzyrodne wychowanie przytłumiło zdrowy rozsądek — gdzie długi post moralny zaostrzał popęd do pierwszych lepszych rozrywek światowych. Takich tedy szkół wychowaniec wpadł nam zapewne nieraz w oczy, kiedy się na świat wyrwał i wstępował na *salon* towarzysztwa, *wyższem* zwanego. Cóż mu się tu przedewszystkiem podoba? Co najprędzej do jego skrzywionego umysłu przylegnie? Świecący pozór, wymuskana powierzchowność, łatwa, pochlebiająca zmysłom filozofa, ozdobna gadatliwość, udane czucie, a wszystko do pewnego stopnia podług pewnych przyjętych prawideł, a wszystko pomieszane z nalogiem szkolnej pedanteryi. W młodzieńcu tym macie obraz naszego narodu, kiedy, wyrwawszy się ze szkół jezuickich, stanął przed obliczem ówczesnej francuskiej literatury; jego umysł jest to nasza oświata francusko-lacińsko pseudo-klasyczna.

Kilkadziesiąt lat małpował Polak, przygnieciony na samodzielności narodowego umysłu poprzedniem wychowaniem; trzpiotał się i rozumował z Wolterem, deklamował z Kornelem i Krebillonem, płakał łzami Rasyne, penzlem Delila podnosił ziemniaki do ideału, wzbijał się jendyczem natchnieniem z Chrzcicielem Russem i Lebrenem, nucił na słomianych Marona dudkach rozkosze pa-

sterskiego życia wśród niepogód polskiej strefy, wśród bolesnej nędzy polskich włościan, i niższy od każdego z tych wzorów, tworzył w nieskończoność naśladowce naśladowców, a coraz gorszych. Bóg wie, co by się dalej było stało, gdyby nie potężny geniusz narodu.

Przerażający stan. W całym tym ogromie tylko „Krakowiaki i Górale“ Bogusławskiego. — „Krakowiaki i Górale!“ Nie przywiązujemy do nich małego znaczenia. Była to daleka wprawdzie, ale pierwsza zapowiednia polskiej literatury, pierwsze zadziwienie płodu, ożywającego się w matki wnętrznościach, pierwszy znak życia istoty, mającej przyjść na świat — po kilkudziesięciu latach. Nie ważmy lekce tego niepozornego utworu. Spotkał go wprawdzie los skowronka, który przed wszystkimi ptakami letnej doby wita pierwszą bryłkę roli, wyglądającą z pod tających śniegów, i prorokuje odrodzenie ziemi, a chociaż potem, zagłuszony nie jedną jeszcze półzimową burzą, musi ustąpić pierwszeństwa świetniejszym z głosu lub pierza braciom, mimo to jednak zostanie zawsze pierwszym prorokiem lata. Lubo nieprzyjazne okoliczności zacierały przez czas długi pamięć zjawienia się tej sztuki, lubo obecnie zgasła ona przy świetniejszych płodach nowych poetów; z tem wszystkim bezstronny sędzia od niej musi zaczynać łańcuch prawdziwej polskiej poezji; w niej dostrzega, że naród uznał się w samodzielnym wewnętrznym życiu i kształci się nie pod samym tylko zagranicznym wpływem.

I znowu trzydzieści lat zboczenia, trzydzieści lat między pierwszym a drugim objawieniem się polskiej narodowej poezji, między operą Bogusławskiego a „Wiesławem“ Brodzińskiego. Powiedziałbyś, że to zamarcie naszego umysłu, tak nie widzimy w tej epoce napiętnowanego wybitnym rodzimym duchem — a to był jednak stan przejścia z gąsienicy do motyla, był to w wysłowieniu malowniczym stan poczwarny, gdzie pod bezkształtną powłoką pracowały rozliczne żywioły na to przeobrażenie, w którym dziś naszą poezję widzimy. Wprawdzie barwa francuszczyzny miała górę i wszystko powlekała, ale nie zdołała przeszkodzić nurtowaniu innych literatur.

Przekłady Ossyana, przekłady społecznych niemieckich poetów ukazują zawiązujące się stosunki z literaturą nowoczesną.

Krasicki w „Podstolim“ i „Doświadczyńskim“ rzucił myśli do narodowych historycznych powieści — Z a b ł o c k i w niektórych komedjach marzy o narodowych charakterach — K n i a ż n i n w puławskich bawidelkach śmie nie samych tylko królów na scenę wprowadzać — N i e m c e w i c z, przy całej konwencyonalnej deklamacji i trubaderskim duchu dum swoich, napomyka, że Polacy mogą mieć polskie śpiewy. W o r o n i c z, ożywiony wniosłem biblijnym natchnieniem i pomimo ustawnych zbaczania do greckiego Olimpu, nie mający w całej może ówczesnej Europie podobnego sobie poety, Woronicz, jedynie godny wyobraziciel narodu we wszystkich jego ówczesnych kolejach, zawiązuje dzisiejszą duchową poezję, a przez duch i język pism swoich wydając się mężem wielkiego powołania, jest już niejako tętmem, z którego rozum przenikliwy łatwo poznaje budzące się życie w umysłach Polaków.

Tymczasem, jakeśmy już wyżej powiedzieli, francuszczyzna przemagała, trzymała samowładne berło nad opinią i zasypiała na swoim tronie. Mnogie okoliczności zbiegły się do dania jej głosu na to pierwszeństwo; zaczęście tylko, że nie miały innej podstawy, jak zewnątrz narodu, a przeto wzniesione igraszką czasu, z czasem runęły i całą swoją budowę pociągnęły do upadku. Ubolewam prawdziwie, że przez wzgląd na przeznaczenie tego pisma, przymuszony ograniczać się jedynie treścią rzeczy, nie mogę rozwinąć przed oczami czytelników we wszystkich szczegółach tego ciekawego, pociesznego i razem nauczającego obrazu, owych dni zarozumiałej dumy i niedoleństwa ze strony naśladowców francuskich, a potężnej, lubo ciche roboty ze strony nowej poezji.

Ówczesne możnowładztwo literatury dosięgło szczytu, jakiego dosiadać zdolne było; w gładkich sentymentalnych wierszach przeszło samych niemal Francuzów. F e l i Ń s k i „Barbarą Radziwiłłówną“ wyprowadził w kontuszu polskim spazmujących kochanków Rasyna — W ę ż y k sam nie wie, co porobił z pełną dramatyczności przygodą Gliń-

skiego, aby tak obciętą, przekreśloną umieścić w potrójnych ramach, obok francuskich swoich wzorów. Kropiński sfalszował historyczne zdarzenie nawet na niekorzyść narodu, dla dogodzenia wyssanemu z Laharpa pojęciu teatralnego efektu. Osiński z nauczycielskiego trójnoga odurzał cały piękny świat warszawski. Koźmian „Ziemiaństwem“ swoim gotował się okazać Polakom, o ile do niezrównanego Delila zbliżyć się można. Marcinkowski pisał poema: „Rzeki Polskie“¹ — Morawski Franciszek bujał odami, lub dowcipnemi bajeczkami szermował.

Na takiej tedy herkulesowej drodze, wśród takich dzieł dokonanych, lub dokonać się mających, wśród powszechnych oklasków, już to za gotówkę, już na kredyt przyszłej sławy, mogliż proszę, zważać ci panowie na usiłowanie jakiegoś tam motłochu? Ani nawet spojrzeć nie raczyli na jego prace, a choćby raczyli, prawdę powiedziawszy, niezdolni byli skutku ich przewidzieć. Jeden Brodziński w początkach literackiego swojego zawodu kłuli ich nieco w oczy; ale, że gładko pisał, że bardzo skromnie przebywał swoją drogę, z nim więc skończyli na kilku żarcikach, dali mu pokój i tryumfowali znowu. Spokój drogo oplacony, bo utratą wszystkich laurów.

Wszakże od jakiegoś czasu, o brzasku nowej poezyi, w tej właśnie chwili, gdzie, jak Cezar August utrzymywał, sny są prorocze, poczęły się niepokoje i przeczucia klasyków i mary nowatorstwa coraz przykrejsze robiły na nich wrażenie. Z całą siłą tragicznego gniewu zagrział Osiński przeciw Byronowi; Szubrawcy już nieco dawniej zebrali się i uderzyli razami na osłep to w ma-

¹) Nie przez omyłkę, nie przez nieznamość ówczesnej literatury umieściłem Marcinkowskiego pomiędzy dygnitarzami klasycyzmu polskiego. Czytałem ich wszystkich od deski do deski, czytałem równie i Marcinkowskiego; nie był on ani nudniejszy, ani chrapawatszy w wierszu, ani niedbalszy na przepisy konwencyonalne, jak inni jego bracia w Apollinie, a którzy przecież niesprawiedliwie dali mu pomiędzy sobą rolę Pajaca Parnasu; dopełnił przeto wszystkich warunków ówczesnego poety. Dzisiaj Marcinkowski już nie żyje, my jesteśmy względem niego potomnością, powinniśmy więc nagrodzić niesprawiedliwość społeczną i przyznać mu właściwe miejsce. (P. P.)

gnetyzm, to w pisownię Felińskiego, to w tym podobne objawienia nowości.¹

Aż oto wystąpił i człowiek głośnego w ścisłych umiejętnościach imienia — Jan Śniadecki. Rozległ się wyraźnie okrzyk: Romantyczność! Przyszedł na światło słońca duch Kanta, ukazały się dwie strony, powstał wrzask i zamieszanie boju, wzmagą się zaciętość, towarzyszy jej zaślepienie, które często zasłania oczom walczących przedmiot ich walki; klasycy słabną — Śniadecki upada. Ten upadek niemal wpływa na stanowczą jego strony przegraną. Sam widok zachwalców, targających się na wielkie imię, nietknięte dotąd — sama ich ufnosć wzwycięstwie odkrywa potęgę romantyków i odbiera klasynom zupełnie moralną siłę. Pierzchają. A z bojowiska powstaje ognisty Mickiewicza geniusz, zapowiada tryumf i rozpoczyna stanowczo nową epokę poezji polskiej.²

Tak się tedy poczęła, tak kwitnęła i tak skończyła poezya pseudo-klasyczna, od samych jej wyznawców „rymowstwem“ zwana;² tak się objawiła poezya nowa.

Nakoniec stanęliśmy wobec przedmiotu, będącego właściwie główną osnową naszego pisma, wszakże nie odstępujemy trybu, którym kierowaliśmy się dotąd i, zaczem rozbierzemy obecną poezję na części, zaczem każdy jej szczegół oddzielnie oczom czytelników przedstawimy, zajmmy na chwilę takie stanowisko, z którego moglibyśmy jej całość objąć, głębię istoty zbadać i tego krytycznego, że tak powiem, rozczłonkowania z pewnym wyrozumowanym systematem dopełnić. Oprócz wymienionych dopiero potrzeb mamy jeszcze i inne powody: już to, że podobnej metody trzymaliśmy się, a poezya obecna bezpośrednio łączy się z pseudo-klasyczną, już i to, że do-

¹) Stowarzyszenia Literacko-krytycznego Szubrawców, było organem czasowe pismo: „Wiadomości Brukowe“, wychodzące w Wilnie, pełne zalet pod niektórymi względami. (P. P.)

²) Utarczki, które się jeszcze potem lat kilka ciągnęły, śród postępowego rozwijania się i mnożenia młodych talentów, potrzeba uważać raczej za bronienie się upartych niedobitków, jak za wojnę, prowadzoną według planu obiecującego ważne wyniki, i nie nadwierżając wcale prawdziwości obrazu, w którym główne tylko rysy tej walki rzuciłem. (P. P.)

tań jeszcze nie może się uważać za nic więcej, jak za związek, za istotę, nie określoną końcem, za istotę, której bytu część najważniejsza leży w nadziejach przyszłości, a najciekawsza strona w odgadnieniu składających ją żywiołów i wnoszeniu z nich o charakterze i wartości tak poczętego ogółu.

Powiedziałem cokolwiek wyżej, że poezya dzisiejsza łączy się bezpośrednio z pseudo-klasyczną; powiem więcej, że, przy całej wyższości nad poprzedniczką, ściśle przylega do niej niepoślednią swoją stroną, tak, że w tym względzie może się za dalszy jej ciąg uważać. Tą nieszczęśliwą stroną jest naśladowstwo.

Źródła jego i dziś, równie, jak wprzódy, w zewnętrznych są okolicznościach. W przeglądzie klasycznego rymotwórstwa zwróciliśmy uwagę czytelników na objawiające się z lekka żywioły, różne od żywiołów, w niem panujących. Już tam, w zetknięciu się dwóch wieków, poczynamy dostrzegać to stosunki z literaturami nowoczesnymi, to ich wpływ na naszych pisarzy. Jakkolwiek przechylaliśmy się ciągle ku stronie ułomnej, Krasicki jednak z innymi przez tłumaczenie Ossyana, Bogusławski przez dramata Szekspira, Niemcewicz przez mniejsze angielskie i wschodnie poezye, że o reszcie zamilczę, napomknęli narodowi o pięknościach, nie w samej tylko łacińskiej i francuskiej poezyi zamkniętych.

To wszystko jednak, lubo już skłaniało naród do rzuca się z drogi naśladowczej klasycznej na drogę naśladowczą romantyczną, może się dopiero uważać za naukę abecadnika, za naukę początkujących. Bo też i reszta Europy wahała się jeszcze, nie objawiała dobitnie dzisiejszego swojego charakteru. Przyszła nakoniec ta stano, wca godzina. Wybily ją Niemcy: Kant, Lessyng, Herder-Gete i inni. Po tej chwili zaczęły występować jedne za drugimi imiona, od których blasku zapaliła się nasza poezya. Nie podobna uniknąć ich wzmianki; bez tego pozostałaby nietknięta najrozleglejsza strona naszej literatury.

Po Wolterze i spółczesnych jemu francuskich pisarzach nastąpili Szyller, Gete, Byron i Walter-Skott. Z potężnym na całą Europę wpływem, o władali i nasze umysły. Oni

przeszli, ale ślady ich geniuszów nie zatarły się jeszcze dotąd między nami.

Wyraźniejsze tylko, zbiorowem wytknięciem naszych zbroczeń wskażemy. W następnych oddziałach pomieścić je można: angielszczyzna, niemczczyzna, francuszczyzna i oryentalizm. Wyznawcy pierwszej albo mizantropi, albo szkocką barwą ustrojeni, to jest: czezą Byrona lub Walter Skotta. Głównemi bożkami drugiego oddziału są Gete i Szyller, a nabożeństwo ich piętnują sentymentalizm, rycerskość i pasterstwo. Zaślepieni francuszczyzną, chwieją się między starą i nową; ważniejsza jest nowa, a tej stronników najmocniej zdają się uderzać pieśniarstwa Beranżera i pobożność Lamartina. Oryentalni poeci mają wszystkie wady kobiety, która przez sztukę tylko chce uchodzić za piękną i podobać się.

Po tych kilku wierszach możnaby słuszne zadać, na pozór, pytanie: „I toż więc jest owa poezya nowa, która tak ogłasza swoją wyższość nad klasyczną? Cóż ona ma lepszego nad pierwszą?” — To, odpowiadam, co ma kamień, w którym dyament się rodzi, nad inne kamienie. Nacchowana z jednej strony naśladownictwem, tem się różni od przeszłego naśladownictwa, czem się różnią ich wzory: pierwsze było to martwe — drugie ma zaród nieskończonego życia. Z pociechą serca możemy złożyć na to dowód, z jej obecności wyjęty; będzie on stanowił naczelną w piśmie mojem oddział pod napisem: „Poezja polska i sławiańszczyzna.“

Oryginalna przeto polska poezya i sławiańszczyzna, anglomania, germanizm, nowa francuszczyzna i oryentalizm będą mi głównymi stanowiskami w następnem szczegółowem rozważaniu poetów polskich, którzy się w tych kilkunastu latach pojawili.

IV. POEZJA POLSKA ORYGINALNA I POEZJA SŁAWIAŃSKA.¹

Dlaczego poetom oryginalnie polskim daję tu pierwsze miejsce, każdy zapewne łatwo odgadnie bez usprawiedli-

¹) Powiniennem raz na zawsze uprzedzić czytelników, że podziały,

wiania się z mojej strony; dlaczego obok niej położyłem poezję sławiańską, o tem kilka słów powiem. A naprzód przez poezję sławiańską rozumiem tylko albo pieśni starożytnie, pomiędzy ludami sławiańskiego plemienia odszukane, albo też nowoczesne, natchnięte przez ducha powyższych. Powtóre, poezya tych pieśni powinna być skazówką dla naszej, bo jest wyczerpnięta z przyrody ukochanej, zrozumiałej, bo jest prosta i serdeczna w objawieniu się swoim, a od moralnego wpływu wszelkiej obczyzny swobodna, bo przez pokrewieństwo przeszłości, języków, obyczajów, wyobrażeń i t. d., przez jedność kolebki, a co wszystko z pokoleń sławiańskich tworzy tę samą rodzinę, poezya każdego z nich jest naszą. Po trzecie: zatem poeci, którzy z zachowaniem odcieni, będących własnością li polskiego narodu, przyjęli ją za zasadę swoich utworów, wiedzą nas po drodze czysto narodowej i są poetami oryginalnie polskimi. Zacznę od najstarszego między nami w tym zawodzie i niepoślednio zasłużonego.

Komuż ze świadomszych polskiej literatury nie przyjdzie od razu na myśl Kazimierz Brodziński, ilekroć wprowadza się mowa o pierwszych usiłowaniach jej zreformowania? Tak jest, nikt mu nie odejmie tego miejsca. Sąd najdalszej potomności potwierdzi współczesny wyrok, a może nawet z chlubniejszym od naszego ocenieniem. Pominąwszy tak piękne przekłady pieśni ludu, wybranych między rozmaitemi narzeczami sławiańskimi, jego powieść „Wiesław“ uważam za dzieło, nie mające u nas nic równego sobie, za jedno z owych, które jedynie same tworzą oryginalną literaturę i naznaczają jej niezaprzeczane niczem miejsce w oświacie powszechnej; uważam ją za zorzę, ukazującą polskiemu narodowi ową stronę nieba, z której wejdzie mu słońce prawdziwej jego poezyi. Brodziński nie ma ogromnych zdolności, w pismach jego nie góruje geniusz, nie porywa natchnienie; ale czucie

które przyjąłem w mojem piśmie, nie są podziałami naszej poezyi, na jakieś szkoły całkiem odrębne; ale skazują tylko główne pierwiastki, wchodzące do obecnego tej poezyi składu, oraz, że rozmieszczeni według nich poeci nie są w mojem rozumieniu ścisłymi pewnych wyobrażeń wyznawcami; raczej chciałem tym sposobem okazać tylko ten lub ów pierwiastek, przemagający w tym lub owym poecie. (P. P.)

zapala się czuciem niewymuszonym, a do serca kołace pocziwe, tęskne Sławianina serce. Brodziński też tylko mógł z przekonania wyrzec, że sławiańska poezya nie inaczej, jak w postaci sielanek objawiać się powinna. Jakoż potrzeba nie na zaletę jego przyznać, że wcielił te przekonania w pisma swoje i przodkuje owym pisarzom, którzy błakające się pomiędzy nami greckie i francuskie pasterki ustroili à la Goethe.

Józef Bohdan Zaleski, zrazu czciciel i uczeń Brodzińskiego aż do naśladownictwa z zewnętrznem oddaniem swojej poezyi, został wkońcu poetą, oryginalnym w całym znaczeniu tego wyrazu. Ukraina, rodzinna Zaleskiego strona, jest osnową ogółu pieśni jego. Z jej rycerskich dziejów bierze on wszystkie przedmioty, a z bogactw przyrodzonych wszystkie ozdoby i urok do swojej poezyi. Naiwność, czucie, świetność, wyobrażenia, zewnętrzne nawet wysłowienie łączą się u niego w najpiękniejszą harmoniję i stanowią jakby wrodzoną muzykę tych pieśni.

Poema „Rusalki“ jest melodyą wyrazów; możnaby o niem powiedzieć, że je złożył czarnoksiężnik z dźwięków, skazanych przez zaklęcie, aby się wydawały jakiś czas wyrazami. Pomysł poematu odpowiada zewnętrzności. O dumach Zaleskiego dosyć jest powiedzieć, że niektóre zamieniły się już w pieśni narodowe, a to jedno jest podług mnie pochwałą, wyższą nad pochwały wszelkiej krytyki. Obszerniejszy rozbiór tego poety nie przypada do całości mojego pisma; już tego przede mną i daleko lepiej, niżbym ja potrafił, dokonał Mochnacki; ja dodam tylko kilka wyrazów, tyjących się strony Zaleskiego, dotąd nietkniętej, tyjących się wad jego.

Każdy mi przyzna, że wady takiego talentu nie są obojętne, bo łatwo między pięknościami giną i od mniej rozważnych mogą być wzięte za same piękności. Najglówniejsze więc zarzuty, jakie Zaleskiemu mam zrobić, są: jednostajność barwy poetyckiego jego ducha i niestosowność języka z przedmiotem. Język ten, wypieszczony i wciąż wypieszczany, nie nagina się stosownie do przedmiotu; a co się tyczy geniuszu poetycznego, można mu zarzucić brak strony plastycznej. We wszystkich osobach Zale-

skiego przebija się mniej więcej poeta; wprawdzie ten poeta jest zajmujący, ale nie wszędzie na swoim miejscu. Stąd w ogólności kozacy jego są wymuskani, za salonowi, za zniewieściali na kozaków; nie są takimi, jakimi ich znamy w krwawych dziejach Zaporozża. Podobna wada nie jest do przebaczenia: jest grzechem przeciwko najgłówniejszemu warunkowi poetyckiego talentu, przeciwko prawdzie.

Mała liczba jego Poezyi lirycznych, a właściwie indy widualnych, napiętnowana tą wadą jeszcze wyraźniej. Uderza tam dobitnie tożsamość toku, powtarzanie się, ciągnięte od pewnych uczuć, od pewnych myśli, aż do wyobrażeń. Nie śmiemy tego nazwać ubóstwem geniuszu, gdyż z drugiej strony i Rossiniego obkładają zarzutem podobnym; bądź co bądź, nie godzi się wzbudzać tak wcześniej podejrzeń o wyczerpanie, zwłaszcza, że lśniąjące obok tych wad piękności nie pozwalają temu wierzyć.

Przeciwny jest Zaleskiemu pod wszelkiemi niemal względami, a razem najbliższy niemu obranym dla swojej powieści przedmiotem Seweryn Goszczyński. Jeden i drugi wzgląd skłoniły mię, że ich obok siebie położyłem. Syn tejże, co i Zaleski, Ukrainy, obrał również drogę kozackiego poety, czy to z przywiązania do strony rodzinnej, czy z usposobienia talentu kochającego się (czego jasno dowodzi powieść jego „Kaniowski Zamek“) w okropnościach, któremi napełnione jest życie kozackiego ludu. Gdyby się godziło podsuwać czyjemu postępowaniu niekorzystne pobudki, tobym sądził, że celem Goszczyńskiego było skupić w swojej powieści to wszystko, przed czem się uchylił łagodny Zaleskiego geniusz. W najdoraźniejszym dwu poetów porównaniu wyskoczy przed oczy każdego prawda słów moich. Powieść Goszczyńskiego pod tytułem: „Zamek Kaniowski“ ogarnęła tyle okropności, że, jak na Madejowe łoża, możnaby myśl na nią położyć.¹

¹) O Madeju i o straszliwym zgotowanem dla niego w piekle łożu, jest powieść dosyć powszechna między ludem polskim. Kto zechce mieć o niej wyobrażenie niech przeczyta wiersz Podymowskiego, umieszczony w drugim tomie Sandomierskiego Pamiętnika pod napisem „Łoże Madejowe“. Słabe to bardzo słabe przymierzenie gminnej powieści, może dać jednak wyobrażenie. (P. P.)

Gwałt dziewicy, uwiedzenie dziewicy, zemsta, morderstwa wszelkiego rodzaju, okropność bitwy, pożar z całym niszczącym przepychem, szlachcic polski ze zbrodniami tyrańca, pieśzczoły śmierciowróźbne puszczyków, jeden wisieliec, dwie waryatki, jedna banda, mordująca Polaków, druga banda, karząca niby tych morderców, potoki krwi, szatanów bez liku, i tym podobne; oto są wybitniejsze punkta osnowy „Kaniowskiego Zamku“, powieści prawdziwie oryginalnej pod tym względem, trudnej pod tym względem do dorównania. Gdyby jej wiersze mogły kiedy przybrać widome dla oczu ludzkich postacie, to oczy w słupy stanęły przed tym chorowodem poczwar, z których każda napiętnowana albo zbrodnią, albo karą za zbrodnię.

Taka jest z jednej strony powieść Goszczyńskiego. Słuszność nakazuje powiedzieć słów kilka o drugiej. Obok tych wad przesadzenia, które jednak nie są bez podstawy w historycznym kozaków i owej epoki duchu, znajduje się prawda w malowidle uczuć i miejscowej przyrody, a nie w jednym miejscu życie rzeczywiste i siła nie nadsztukowana. Charaktery, jakkolwiek zdają się być nieludzkie — zręcznie wysnute, dobrze oddane i utrzymane ciągle. Zaiste, nie można Goszczyńskiego winić o brak całości w jego poemacie, raczej o wybór pierwszej głównej myśli która po okropnościach jednej zbrodni wprowadziła go na szczyt ich ogółu. Tajemnica ducha tej poezji da się wyprowadzić, mojem zdaniem jak wiele innych grzechów poezji polskiej w ogólności, z nieszczęśliwego na nas wpływu czarnej fantazyi Byrona. Język powieści odpowiada jej duszy: dziki, nieokrzesany, zaniedbany, jakby naumyślnie, prawdziwy przeciwstojnik stylu Zaleskiego i słusznie zasługujący na oburzenie się literackich naszych purystów, a co ważniejsza, usprawiedliwiający w tym punkcie wyrok Mochnackiego.

O lirycznych Goszczyńskiego poezjach trudno mówić. Wszystkie niemal spoczywają w rękopisach; a tych ani naganiać nie ma prawa krytyk, ani pochwalać; jedno i drugie jest albo podejrzane, albo bez korzyści dla autora, albo bez interesu dla publiczności.

Wprzódty cokolwiek, niż „Zamek Kaniowski“, wyszła

powieść, także ukraińska, pod napisem: „Marya“. Nieznany był literackiej krainie pisarz „Maryi“, Antoni Malczewski, przed jej wydrukowaniem — nieznany był długo i po wydrukowaniu. W lat kilka dopiero, dopiero po jego śmierci podniesiono chwałę tego dzieła. Za przesadą w naganach poszło uniesienie chwalców. Każdą tam niemal piękność równoważy niedostatek. Jeżeli przedmiot wzięty jest z wydarzenia narodowego, to główny pomysł nic oryginalnego nie ma. Oprócz katastrofy, przypominającej mimowolnie poemata poety-lorda, ów paż tajemniczy, ów Wacław, graf, nie polski nie samym tylko tytułem, owa nawet Marya, deklamująca, jak królowa francusko-klasycznej trajedyi, nie są osobami poematu oryginalnego, a tem bardziej narodowego. Utrzymały i utrzymują to dzieło na stopniu wysokiej zasługi: widmo, że tak powiem, Wojewody, ideał polskiego arystokraty, Miecznik, ojciec Maryi, ideał polskiego szlachcica, myśl napadu Tatarów, wydobyta z serca dziejów polskich, obrazy Ukrainy nad-Bohskiej, wtórujące im uczucia i mistrzowskie wyprowadzanie w dotykanych niemal postaciach najgłębszych uczuć z najulotniejszymi ich odcieniami.

Język Malczewskiego odpowiedny jest myśłom w niektórych częściach poematu, jak naprzykład w ustach Miecznika, niekiedy w ustach Maryi; taki jednak, jaki jest w ogóle poematu, nie może być podany za wzór polszczyzny, pomimo twierdzenia niektórych jego wielbicieli. Jest to wprawdzie język Polaka, ale Polaka, który dla obcej mowy wyrzekł się na długo swojej, postrzegł się później i zaczął się jej uczyć na Zygmontowskich pisarzach, a co jeszcze mędrsza, na potocznej mowie ludu i dla dowiedzenia się, jak daleko w zaczętej nauce postąpił, odważył się po polsku napisać i tę niejako próbkę poddał pod sąd publiczności. Tak mi się wydaje polski, język Malczewskiego, owoc i dowód wielkiego usiłowania. Cudzoziemskie Malczewskiego nałogi, jego wychowanie, jego całe życie, przybywają na poparcie moich domysłów. Z tem wszystkim, godzi się położyć „Maryę“ między dziełami, jeżeli niezupełnie narodowemi, to zbliżającemi nas wielkim krokiem do czysto polskiej literatury.

Jeżeli powinniśmy przyznać Mickiewiczowi dawne, wielkie zasługi w obaleniu dawnego rymotwórstwa i potężny talent, to nie możemy go nazwać najoryginalniejszym z polskich poetów i narodowym w ścisłym znaczeniu tego słowa. O ogóle jego poezji śmiało można powiedzieć, że tak są polskie, jak frak, zrobiony dla Polaka przez Polaka i z polskiego sukna, a podług wzoru, wyciśniętego przy którym z modnych europejskich żurnalów. Dłuższe zastanowienie się nad tem odkładając do właściwego miejsca, tu powiemy o tych tylko poezjach, które, naszym zdaniem, stanowią wyjątek w całości. Należy do nich kilka ballad, szczególnie: „Trzech budrysów“, „Czaty“ i powieść litewska „Grażyna“.

W „Grażynie“ możnaby tylko zarzucić Mickiewiczowi, że niedosyć ją nawiódł poetycznym owych czasów kolorytem. W głębiach tej starożytności litewskiej, o ile można o niej sądzić z jej podań, z jej pieśni, z całych jej dziejów nakoniec, my dostrzegamy więcej poetycznej barwy, niż jej ma Grażyna, która w innych znów miejscach grzeszy duchem przesadzonej romansowości, niezgodnej z wyobrażeniem, jakie mamy o ówczesnej Litwie. Bądź co bądź jednak, przez wzgląd na czas, w którym Mickiewicz napisał „Grażynę“, przez wzgląd na talent, z jakim ją napisał, długo jeszcze zajmować ona będzie niepoślednie w naszej poezji miejsce.

O innych poezjach Mickiewicza niżej mówić będę, albowiem, podług mojego przekonania, podług systematu, na tem przekonaniu zasadzonego, geniusz zbaczający musi ustąpić wobec chwały ojczyźnej mniejszym zdolnościom, byle na korzyść narodowości użytym. Toż mierny talent, obeznany z narodem, przejęty jego potrzebami, obejdzie się bez rażących błyskawic geniuszu. Znam takie talenta talenta prawdziwie narodowe. Nie wyszły one jeszcze na jaśnie moralnego życia ludu, bo jeszcze i to życie potrzebuje czasu, aby się rozwinęło, aby pokazało na szczycie, co leży przywalone wielkimi ciężarami na dnie jego.

Naród można uważać jak niebo, zakryte gwałtowną burzą dla oczu, patrzących z ziemi. Wicher rozbija chmury, błyska gdzieś gwiazdka — ziemia myśli, że już wszystko widzi — nie; to tylko fenomen burzy; to tylko

przypadek rozpałił owe gwiazd kilka, kilka iskier życia we młodościach nieba. Burza przemienie, chmury się usuną — niebo przyjdzie do siebie — a ziemia miliony takich gwiazd zobaczy. Ale na to potrzeba czasu, życia i pogody. Takimi gwiazdami są w przeszłości twórcy owych pieśni ludu, złani już dzisiaj w mleczną drogę, jak mleczna droga już nam niedocieczeni.

Jedną z takich gwiazd we wczorajszej nam przeszłości jest Tomasz Padura. Należy on do poetów, śpiewających Ukrainę, i nie ustępuje żadnemu z nich pod względem historycznego talentu, schwycenia jej rysów najdelikatniejszych i oddania tem uroczniejszego, że po największej części w języku małorusko-kozackim pisał. Jest wieść, że cały zbiór podobnych poezyi miał w Petersburgu ogłosić. Nie wiadomo, czemu tego nie uskutecznił; nie wiadomo, co się też z nim samym stało. Miało się tam znajdować poema niepospolitych piękności, pod tytułem: „Kudak“, w języku polskim pisane. Ale dosyć nam znanych śpiewów tego prawdziwie natchnionego poety, aby szczerze utyskiwać na smutny los, który go nam tak wcześniej wydziera. To dopiero są pieśni, życiem wyjęte z serca ludu: o nich można powiedzieć, że już przed wiekami śniły się Ukraincom; taka tam prawda, takie wierne malowidło ludu, jednego z najpoetyczniejszych może na ziemi, a przytem taka poezya.

Na szczęście obecne, na chlubę przyszlą możemy powiedzieć, że takich, jak Padura, więcej mamy. Również zdarza się tu i owdzie postrzedz pojedyncze, acz drobne pomniki, ale wielkiej wewnętrznej wartości. Takimi są, na przykład, niektóre poezye Michała Grabowskiego, a mianowicie: „Melodye Ukraińskie“, którymby tylko nieco rozwlekłości zarzucić można i legenda: „Wawrzyniec z Powoda“, bezwątpienia najlepsza ze wszystkiego, co dotąd u nas w podobnym rodzaju napisano.

Kończąc zboczenie, które zresztą nie nadwęża mojego planu, wracam do osnowy.

Przed kilku laty zjawił się na chlubę i pociechę naszą niepośledni poeta, Juljusz Słowacki. Wyższy zdolnościami od tłumu, nie wyłączył się z niego szczególną oryginalnością i narodowością. Ogól pism Słowackiego

nosi również cechę cudzoziemskiego wykształcenia; zбочyl z tej drogi dwoma jedynie utworami: „Żmija“ i „Janem Bieleckim“. „Żmija“ jest przedmiot, wyjęty z bajecznych czasów Ukrainy. Pole dla fantazyi niezmiernie; korzystał też z niego Słowacki i pod względem tylko fantazyi, albowiem, co się tyczy barwy miejscowej, zdaje się ją czerpać z innych poetów, o Ukrainie piszących. Najnie wdzięczniejszy sposób! Kopia kopii, w której zazwyczaj pięknościom nie dorównujemy, a błędy przerabiamy po swojemu. „Żmija“ więc nie będzie nigdy ważnym narodowym utworem. Wyższe od niego jest poema „Jan Bielecki“. Jest tam kilka rysów polskiej szlachty trafnie schwyconych i rzuconych szczęśliwie; z tem wszystkim najzaletniejsza część jego jest ta, na której Słowacki położył piętno indywidualności swojego talentu.

Oto są wszystkie niemal imiona, wszystkie dzieła, w których się osnuwa poezya polska, jeśli jeszcze nie narodowa w całym tego słowa znaczeniu, to przynajmniej najbliższej do niej przystępująca. Drobne jej odłamki, błyskające gdzieś w utworach innych poetów, będziemy w właściwym miejscu podnosić — a teraz, na zakończenie niniejszego oddziału, przebieżmy kopalnię Sławiańszczyzny, do której tak wielką wagę przywiązujemy, obejrzymy jej polskich robotników i pracę ich ocenimy.

Pierwszy Brodziński przyłożył biegłą do niej rękę i przekonującym głosem zachęcił innych. Nie może się on żalić, że głos jego był długo głosem wołającego na puszczy. Myśl Sławiańszczyzny nie trafiła wprawdzie od razu do mnóstwa, rozchodziła się powoli, ale, gdzie raz weszła, tam już, jak każda wielka prawda, zakorzeniła się na zawsze. Czytelnicy mają zapewne przed oczami, że nie dotykając uczonych prac około Sławiańszczyzny, wprowadzam ją tylko ze stanowiska poezyi.

Wszystkie prawie punkta naukowe Polski, wszystkie pisma czasowe lubiły mówić o Sławiańszczyźnie; lubiły, powtarzam — ale widzieć w niej jedną z podstaw polskiej poezyi trudno było przez czas długi dla literackiej opinii. W ostatnich dopiero latach odbyło się wyrozumowane ku niej dążenie w gronie pisarzy, mających Lwów za punkt spójny. Reprezentowało ich czasowe pismo

„Haliczanin“, a „Ziewonia“, noworocznik, dała nam ich poznać w roku zeszłym.

Odnacza się pomiędzy nimi August Bielowski. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami, bogaty w stosowne wiadomości, poświęcony fanatycznie swojemu przedmiotowi, Bielowski obiecuje pośrednictwem swoim wiele korzyści ze skarbów Sławiańszczyzny. I niemało już zrobił. Wzorowe jego przekłady wielu pieśni serbskich, a nadewszystko przepolszczenie sławiańskiego poematu: „Wyprawa Igora na Połowców“, są rękojmnią tego, czego po nim na przyszłość spodziewać się możemy. Trud tłumacza jest zazwyczaj niewdzięczny; uważamy go powszechnie nie tak za natchnienie, jak raczej za wprawę i wytrwałość literacką; gdybyśmy wreszcie i najwyższe przysądzili stanowisko tłumaczowi, nigdy on nie stanie na równi ze stanowiskiem oryginalnego pisarza. Bielowski przez to nie należy do rzędu pospolitych tłumaczy, że tak potrafił wynaleźć ducha swojego oryginału, że go tak w polskie ciało przelać umiał, że nowy, właściwy swojemu przedmiotowi język ułożył. Ta to niezwykła nowość języka oburzyła przeciwko niemu niektórych krytyków, uczyniła dla wielu czytanie „Wyprawy Igora“ ciemnem. Jeśli tu Bielowski zawinił, to jedynie o tyle, o ile byłby zawinił na jego miejscu każdy, któryby z ludzkiemi tylko siłami przystępował do tej pracy. Wady przekładu Igora są konieczne na drodze, tak nowej dla Polaków, są nieodstępne puszczającemu się tą drogą bez poprzednika i, można powiedzieć, bez towarzysza. Pomimo wszelkich zarzutów słusznych i niesłusznych, sąd bezstronny przyzna, rozpatrzywszy się dobrze w pracy Bielowskiego, że śpiewak „Igora“, objawił się z głębi odwiecznej Sławiańszczyzny polskiemu swojemu tłumaczowi, że mu użyczył natchnienia owych czasów. Spraw, Boże, aby młodzi nasi poeci przejęli się tymże duchem i nie dali zarósć drożynie, którą Bielowski poszedł, a śmiał twierdzić, że znajdują poezję, której objawienia naród po nich żąda.

Z pomiędzy spółzawodników Bielowskiego zasługuje na szczególniejszą wzmiankę *Lucyan Siemieński*. Przeważnie jego do tej wzmianki leży w pięknym i wiernym przekładzie rymowym „Królodworskiego rękopisu“; o tem,

czego on sam jeszcze nie uznał za godne publicznego sądu, mówić mi nie wolno.

Może się kto zadziwić, że w piśmie, przyznajacem z taką trudnością zasługi oryginalnym pisarzom, znalazły się miejsce i pochwała dla tłumaczy. Taki niech zważy, iż praca tych tłumaczy wiąże się z najżywotniejszym zadaniem naszej poezyi, że płodna w tak ważne skutki, a przytem tak niegłówna, powinna znaleźć nagrodę w słusznem sobie ocenieniu i postawieniu za wzór dla ogółu naszych pisarzy. Zresztą, jak Bielowski, tak i Siemiński, nie w samych tylko tłumaczeniach objawili swój talent, a prace ich oryginalne, ogłoszone dotąd, lubo nieliczne i drobne, dopominają się dla nich miejsca w rządzie poetów narodowych.

Zakończę ten oddział wymienieniem kilku jeszcze młodych poetów, równie mało głośnych a wiele mających za sobą nadziei. Między temi **Domini k Magnuszewski** uderza świetnym, rozległym talentem. Z tego, co ogłosił, jeszcze bardziej z tego, co ogłosić zamysła, śmiemy twierdzić, że będzie wkrótce rozkoszą krytyki, poetą, przez krytykę dotychczasową marzonym. Niepospolitego pisarza zapowiada równie pełen ognia, mocy i prawych dążeń **Ludwik Jabłonowski**. **Aleksander Borkowski** odznaczył się dotąd dobrą chęcią; pozostaje mu otrząsnąć się naprzód z tej rozwlekłej łatwości, potem zbliżyć się więcej do rzeczywistej przyrody opiewanych przedmiotów, nakoniec w tworzeniu mniej mieć przed oczami duszy błyskotki innych pisarzy, zwłaszcza cudzoziemskich.

Na tem kończę oddział, nie utrzymując, że już niema nic do powiedzenia o poezyi narodowej.

V. ANGIELSZCZYZNA I NIEMCZYZNA.

Jak przez poezję polską we właściwem jej pojęciu rozumiem poezję, opartą na duchu staro-słowiańskiej literatury, z odcieniami, odróżniającami lud polski od innych plemion słowiańskich, a wiek obecny od wieków zeszyłych — jak, w mojem przekonaniu, takiej tylko poezyi może służyć miano poezyi narodowej, tak wszelką inną, chociażby

objawioną w wierszach, najczystsza polszczyzną pisanych, chociażby największym talentem jaśniejąca, nie uważam za nic więcej, tylko za wypływ i własność pewnej kasty, jednym słowem, za poezję koteryjną. Tworzy się ona pod wpływem przyczyn, istniejących za obrębem większości narodu. W końcu poprzedzającego oddziału napomknęliśmy o podobnych przyczynach i przestajemy na tem napomknieniu; któż z nas bowiem nie patrzył własnymi oczami na ich robotę kilkunastoletnią? Napomknęliśmy także o pierwiastkach, dzisiejszą poezję składających, czyli widocznych objawieniach się owych przyczyn, jakoto: angielszczyźnie, niemiezczyźnie, francuszczyźnie i orientalizmie. — W tem miejscu pozostaje tylko objawić czytelnikom, że zaczynamy od angielszczyzny i niemiezczyzny. Oddział ten składa się po większej części jeżeli nie z najgłośniejszych, nie z najczynniejszych, to z najdawniejszych w nowej poezyi pisarzy. Imiona, stanowiące szczyt jego, położywszy w literaturze ważne zasługi przez przechylenie polskiej oświaty i opinii na stronę nowych europejskich wyobrażeń, wzbili się do pewnej potęgi, która w innych, niż nasze, czasach mogłaby krytykę w kłopotie postawić. Szczęście, że dążenie ku prawdzie zniszczyło tę obawę.

Pan Munk, księgarz poznański, niepoślednie ma prawo do mojej wdzięczności. Jak żeby przewidział trudne położenie recenzenta, obowiązane go uszykować jako tako mnogi zastęp młodych poetów, ogłosił pisma celniejszych pomiędzy nimi pod tytułem: „Nowy Parnas Polski,“ a ułożywszy je w sześciu warstwach, jakoto: Poezye Adama Mickiewicza, Edwarda Odyńca, Juljana Korską, Aleksandra Chodźki, Antoniego Goreckiego i (Józefa) Massalskiego, usunął mi największą trudność, bo wybór poety, od którego niniejszy oddział mam zacząć.

Zaczynam tedy od Mickiewicza, który, bez żartu mówiąc, jest celnym wyobrazicielem naszej poezyi koterynej. Usuwać tu na bok względy na talent lub popularność. Zdolności wysokie nie unarodowiają pisarza, a imię szeroko rozniesione nie jest przywilejem wobec krytyki. Cieszymy się chwałą, którą nam znakomity mąż zjednywa, używajmy korzyści, które spływają za jego pośrednictwem, ale ostrzegajmy o błędach tem troskli-

wiej, im się te z wyższego rozchodzą stanowiska. Jakkolwiek Mickiewicz przyłożył się niemało do przewagi nad zesłem rymotworstwem, z tem wszystkiem ta zasługa nie odpiera zarzutu, że on także usadowił na miejscu pseudo-klasycyzności pseudo-romantyczność i jest głównym wyobraźcą strony naśladowczej w nowej polskiej poezji. Pierwszy polot Mickiewicza odbywa się pod kierunkiem niemieckiego natchnienia. Sentymentalność, pasterstwo, cikliwe wymuskanie owych okrzyczanych niegdyś ballad i romansów nie zjedną im nigdy miejsca w literaturze ojczywej; przeciwnie, będą razić tem mocniej, im dalej naród postąpi w poznawaniu siebie.

Najsławniejsza z tych ballad, „Świtezianka,“ jest zupełnem naśladowaniem ballady Getego pod tytułem „Rybak,“ dosłownem nawet w jednej wrótce tłumaczeniem. Jeszcze sławniejsze „Dziady“ trącą jeszcze wyraźniej niemyślnością. — Sam poeta nie kryje wpływu, jaki na niego wywierał Szyller i Gete, przenosząc z nich żywem obrazem, uczuciami, a niekiedy całe zwroty. Ktokolwiek czytał Weltera, czyż od razu nie pozna, że Gustaw jest jego marą? Cała zasługa polskiego poety, że charakter stworzony przez Getego i samobójstwem ucięty, umiał wskrzesić i, stosownie do przeszłości przedgrobnej, utrzymać w życiu pogrobowem. Mochnacki, mówiąc o „Wallenrodzie“, z innego stanowiska okazał niestrojność tego poematu w pomysle i sposobie wprowadzania miłostek Wallenrodowych. Ów grzech, sądzony ze stanowiska narodowości, jest jeszcze trudniejszy do usprawiedliwienia: narusza on najistotniejszą zasadę poezji narodowej, barwę wieku, miejsca, osób, jednym słowem, prawdę.

Nie w samej tylko miłosnej części wykroczył Mickiewicz: całe dzieło woła o pomstę na niego. Całe on dzieło powlókł takim pokostem dziewiętnastego wieku, tak starannie osłonił nowoczesnym salonowym strojem każde miejsce, gdziekolwiek przebija się szata krzyżacka, litewska lub pruska, że nawet ówczesne pisarza stosunki nie są w stanie dostatecznie go usprawiedliwić. Krótko mówiąc, błędy „Wallenroda“ są dalszem i obszerniejszem rozwinięciem tych uchybień, które dostrzegliśmy w „Gracyźnie.“

Na zakończenie powiemy, że, jakkolwiek Mickiewicz w tych objawieniach się jest poetą silnego, a często twórczego natchnienia, jakkolwiek przywykliśmy kochać go, wielbić i dawać mu miejsce w najmilszych naszej duszy wspomnieniach, z tem wszystkiem szczerze litujemy się nad młodym pisarzem, któryby w Mickiewiczu „Ballad“, „Sonetów“, „Dziadów“ i „Wallenrodów“ szukał tajemnicy zostania poetą polskim, obrał wzór do ukształcenia swoich zdolności. Tymczasem byli i są tacy. Niektórzy poszli ubitą przez Mickiewicza drogą cudzoziemczyzny, inni wprost przyjęli barwę jego służby. Wyłynęły stąd bez wątpienia wielkie niekorzyści, największe jednak dla samego Mickiewicza. Oni to, chwytając łakomie, naśladując bez braku, przerabiając na swoje kopyto wszystko, co się tylko ze wzorowego poety wzięść dało, odkryli tę słabą stronę, te błędy, które urok wielkiego talentu byłby jeszcze długo przystrajał dla oczu wielkiej części czytelników — okazali je światu, mimo najlepszych dla wzoru swojego chęci, w całej nagości, w jakiej wyszły z rąk przyrody — oni mimowolnie zostali tym niewdzięcznym powojem, który obwija drzewo, buja koszem najżywotniejszych jego soków i niszczy je wkońcu.

Między naśladowcami Mickiewicza najgłówniejszą grają rolę poeci, tak zwani „litewscy“ przez mylne rozumienie, jakoby w ich pismach było w istocie coś litewskonarodowego. Nie trzeba namysłu, któremu z nich mam dać pierwszeństwo. Niezaprzeczone ma do niego prawo Antoni Edward Odyńiec. Oprócz tego, że na nowym Parnasie polskim umieszczono go po prawicy Mickiewicza, skierowaliśmy się w tym względzie własnym jego wyznaniem, które tak naiwnie ogłosił w jednej swojej balladzie, gdzie rusalki, omylone czarnym frakiem Odyńca, wzięły go za samego Adama. W rzeczy samej, z tej jednej ballady możnaby już mieć wyobrażenie o poetyckim zawodzie Odyńca. Żywemi jej słowami możnaby określić w zupełności charakter pism jego, ale, nie śmiejąc lakonizmem ubliżyć pisarzowi trzech tomów poezyi, wydawcy dwóch noworoczników i t. d., pozwolimy sobie do postaciowego napomknienia jego ballady dodać naszych wyraźnych słów kilka.

Nie przesądzać przyszłości, jak innych poetów, o których mówiliśmy lub mówić będziemy, tak równie i Odyńca — roztrząsamy charakter jego poezyi jedynie z prac, wiadomych nam dotąd. Odyniec, podług powyższego namienienia, wydał do dnia dzisiejszego dwa tomy ballad, legend, listów i tym podobnych drobiazgów, wydał dramat „Izorę“, składający tom osobny, wydał nakoniec na dwa lata dwie „Melitele“, gdzie się także kilkanaście jego poezyi znajduje. Oto są rzeczy, z których sądzić go mamy. W zebraniu ich pod jeden ogólny widok pokazuje się, że wielka część składa się z tłumaczeń, a reszta z naśladowań to Anglików, to Niemców, to Mickiewicza. Jedyna pomiędzy jego balladami, ballada narodowa „Wesele“, jest tylko przepolszczeniem ballady Walter-Skotta, równie, jak „Bolesław Śmiały“, nie mający żadnej poetyckiej wartości. Co do objętości, równą owym dwom tomikom ma ważność dramat rycerski „Izora“. Sam napis już go wylączya z rzędu utworów polskich. Śmiemy powiedzieć, że i rycerstwo za swój go nie uzna. Trzeba talentu cierpliwości, żeby coś podobnego napisać, trzeba pobudek przymusu, żeby coś podobnego drugi raz odczytać można — i w tym tylko przypadku „Izora“ jest prawdziwym dla czytelnika dramatem. O reszcie można powiedzieć, że równie, jak poprzedzające, najrzetelniejsze są z troskliwości o zewnętrzną poprawność, o utrzymanie toku wierszów Mickiewicza.

Godne zastanowienia, że tak Odyniec, jak w ogólności wszyscy jego rodzaju pisarze, wydają się najlepiej w początkowych swoich pracach, a nikczemniej stopniami w dalszym zawodzie. U nas da się to po części wytłumaczyć zbiegiem okoliczności. Naród, spragniony nowej literatury, przyjął z oklaskiem pierwsze pojawienie się jej, nie zważając, że ten dar mierność mu przynosiła. Lecz, kiedy po zaspokojeniu pierwszego głodu zaczęliśmy przebierać w moralnem pożywieniu i stosownie do sił rosnących, posilniejszego żądać, a mierność jednym i tem samem wciąż częstowała, wtedy musieliśmy się zniechęcić ku jej datkom, poznaliśmy całą nędzę narzucających się dobroczyńców. Tylko sztukmistrz prawdziwie natchniony posiada tajemnicę ciągłego czarowania.

Podobni są do siebie wszyscy naśladowcy Mickiewicza, ale najpodobniejsi Odyńcic i Korsak. Można by ich niemal uważać na nowym Parnasie za bliźnięta w nowym Apollinie. Te same wzory, ten sam pociąg do listów ry-mowanych, do duserow imiennikowych, to samo tulenie się niewolnicze pod tok poezyi Mickiewicza, nakoniec ta sama słaba wola czy słaba siła zostania pisarzem narodowym. — A że na świecie, podług przysłowia, niema dwóch kropel rosy, do siebie podobnych, więc i Korsak ma właściwą odrębną sobie charakterystykę w pewnej lirycznej odwadze i wzniosłości, których Odyńcic nie objawia w mimowolnem parodyowaniu Byrona — w chwaleb-nem współubieganiu się z przekładaczami Od Horacyuszowskich — zresztą w popędzie dobitnym ku ustro-ji polskich wierszy kwiatami wschodniej poezyi.

Całość, napiętnowana temi pociągami, składa tom dosyć gruby, którego napis: „Poezje Juliana Korsaka.“ Świetenięją tam na czele oryginalne liryki, jak to ze spisu rzeczy widać, a które dla nas są niezem więcej, jak gadaniną bez związku, bez utrzymywania całości. Każda z tych liryk da się porównać do wieńca myśli przez to tylko, że nie ma początku i końca, jak wieniec, że w każdym jej miejscu możesz mieć, skoro zechcesz, co zechcesz — początek lub koniec; przeto nazwałbym je hieroglifami, kryjącemi w sobie zwiniętego węża, godło owej wieczności, która na nie czeka. Kto pilnie zważył i roztrząsał charakterystyczne rysy talentu Korsaka, taki zgodzi się ze mną, że ten pisarz pod jednym jeszcze względem jest ważny. Dwustronna dusza jego poezyi, błyszcząc na zachód lirykami, na wschód Beyramem, dotykając podobieństwa do Odyńcicy strony europejskiej, a duchem oryentalnym wcielając się w Chodźkę, jest przechodniem ogniwem z jednego do drugiego pierwiastku naszej poezyi, z pierwiastku europejskiego do wschodniego — jest z gatunku tych istot, na których w państwie stworzeń spotykają się dwa plemiona zwierząt.

Z tem wszystkiem na Korsaku rozcinam grono nowego Parnasu polskiego, gdyż Chodźko, Gorecki i Massalski mają właściwsze dla siebie, niżli w tym oddziale, miej-

sce; słabnie w nich pierwiastek angielski i niemiecki, o których dużo jeszcze pozostaje mi mówić.

Nie niższy od Korsaka pod względem ducha swoich poezyi, a wyższy mechaniczną stroną talentu jest Witw i c k i S t e f a n. — Pisarz ten, umiarkowany, rozważny z jednej strony, a z drugiej ogarniający dziewiczymi chęćciami całe niebo poezyi i zamożny odpowiednią swojej woli wytrwałością, potrafił zostać romansistą, balladzystą, komikiem, dramatykiem, poetą sielskim, poetą biblijnym, Edmundem, wyznawcą Mickiewicza, odstępcą. Zgola wszystkim, wyjąwszy polskim poetą. Witwicki szamotał się jeszcze z pieluchami poetyckimi, kiedy traf dziwnej w jego życiu sprzeczności okazał naprzód całe wysokie jego powołanie. On, który za gwiazdę przewodniczkę zdał się obrać umiarkowanie, którego temu umiarkowaniu winien szczęśliwy pomysł szaleńca Edmunda — on wybujał, pozwolił się unieść pierwszemu polotowi w sferach poezyi.

Ballady Mickiewicza wydały się jemu rzeczą tak piękną, geniusz jego (Witwickiego) uczuł się tak pewnym swojej drogi, że i on także puścił na świat dwa tomiki ballad i romansów. Z koniecznego następstwa rzeczy wyniknęło, że słabego wzoru słabsze jeszcze naśladowanie musiało być bardzo słabe; jakoż Witwicki upadł. Oznajmiła to jemu recenzya Michała Grabowskiego. Opamiętał się poeta; okazał nawet tyle zdrowego rozsądku, że przyznał krytykowi słuszność; do tego nawet stopnia chciał sprostować uniesienie autorskie, że cofał z handlu księgarskiego swoje ballady i romanse. Błogosławiła mu wtenczas krytyka. Niestety, późniejsze postępowanie rzuca podejrzenie, że to był tylko chwilowy wybieg, gdyż od-tąd, ciągle wykraczając, jak wprzódy, nie raczył już przystrajać wykroczeń swoich podobną skruchą. Dla przekonania się czytajcie poezye sielskie, biblijne, wydane osobno — poezye biblijne i sielskie, umieszczone w „Meliteli“ — nakoniec „Edmunda“, któremu jednego tylko szaleństwa przebaczyć nie można, że się zaraz na pierwszej karcie nie otrul.

Żeby dać dowód naszej bezstronności, przeto, obok oskarżenia wniesionego przeciwko poezyi Witwickiego,

oddamy sprawiedliwość jego zaletom. Pierwsza rzecz, za którą cześć mu składamy, jest język miły, ukształcony, nadto wszystko prawdziwie polski, potem w zewnętrznej budowie rymów gładkość i poprawność, przemawiające wdzięcznie do każdego ucha; czasami z wewnątrz nawet przebijają się dosyć czucia, ożywionego poetyckimi barwami, tylko, że z tego wszystkiego wyziera bardziej głowa literata, jak natchnienie wieszczce. Krótko mówiąc: Witwicki jest dowodem, jak dalece przez usilną pracę można zostać przyjemnie czytany — raz w życiu.

Zdziwiłby się poeta, którego umieścić po Witwickim, gdyby się spostrzegł w szeregu pisarzy, związanych naśladowaniem Mickiewicza. Z tem wszystkim zasłużył na to miejsce, lubo nie mógłby złożyć się wymówką, że jest oryginalny przez tajemnicę naśladowania wszystkich. Mówię tu o Maurycym Gosławskim. Przejrzyjcie tylko jego poemata „Podole“, „Tęsknotę“, ułamek z powieści „Kordesz“, jednym słowem, wszystko, co napisał, a spotkacie we wszystkim to Zaleskiego, to Malczewskiego, to Mickiewicza, to innych polskich i niepolskich poetów.

Gosławski zamierzył sobie opiewać rodzinną ziemię, Podole, zostać poetą narodowym podolskim. To usiłowanie zamieniło się w wielką wadę jego pieśni, zostało słabą jego talentu stroną. Nie mamy nic przeciwko podobnym chęciom; jeżeli poecie wolno obrać za przedmiot swoich natchnień jedną osobę, równie wolno wybrać z całej ziemi jedną okolicę, ale potrzeba zachować najglówniejszy, wyraźnie dziś uznany warunek poezji — prawdę. Gosławski w uniesieniach ku Podolu wpadł na drogę owych francuskich romansistów, idealizujących nad zakres człowieczeństwa swoje bohatory. To spaczenie talentu jest tem wyraźniejsze, że w owych pieszczotach z Podolem nie widać instynktowego zakochania się całą duszą, że w uwielbieniu jego wdzięków nie widać przekonania o ich rzeczywistości. Z podobnem usposobieniem dla swojej ziemi trudno być rodzinnym poetą, można jedynie zostać owym kochankiem, który, z pewnych pobudek chcąc wmówić oczom obcym powaby swojego przedmiotu, zyska nazwanie albo obłudnego, albo śmiesznego. Odcie-

niem tych usiłowań jest także w Gosławskim pewna junakierya, rys, pochwycony z charakteru niby kozaczyzny, a która właściwie podobniejsza jest do udawania podpilej maski.

W ogólności pisma tego poety cechuje wielka burdowata śmiałość i, żeby ogólne dać ich wyobrażenie, łańwość, dowcip, nie zawsze wykwiutny, nie zawsze na swoim miejscu, czułość, jeszcze niewłaściwsza, jeszcze wyraźniej udawana, kokieterya, salonowość, a niekiedy prawdziwe natchnienie. Biorąc go znowu z innej strony, utrzymujemy, że, jeżeli niektóre talenta przyrównać można do silnego potoku, to talent Gosławskiego da się wyobrazić wirem, który wybuchnie, porwie umysł, puści go, opadnie i długo, długo każe czekać na nowy wybuch, często do znudzenia.

O Juliuszu Słowackim wspomnieliśmy pod oddziałem sławiańsko-polskiej poezyi. Spowodowały nas do tego wymienione tamże dwa jego poemata „Żmija“ i „Jan Bielecki“; wszakże razem ostrzeżliśmy, że go nie uważamy za oryginalnego i narodowego pisarza. Na dowód kładziemy 3 tomy jego poezyi, a między temi tragedye „Maryę Stuart“ i „Mendoga“, poemata „Lambro“ i „Hugo von Brache“, że zamilczymy o innych. Tragedye, lepsze od wszystkich, jakie do jego czasów napisali Polacy, są tylko szkolnemi próbkami, kiedy je obejrzymy ze stanowiska dzisiejszych o dramatyce pojęć. Oprócz zupełnego braku barwy miejscowej i współczesnej uderza w nich jeszcze wielki niedostatek życia.

„Hugo von Brache“ jest utwór niezgrabny pod każdym względem. Nad dziełami obcej osnowy, jak „Lambro“, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi. Przymuszeni, dla obszerności naszego przedmiotu i głównego założenia, trzymać się szranek jak najzwęższej treści, kończymy ogólnem o poezjach Słowackiego zdaniem, że objawiają poetę znakomitych nadziei, ale razem, przez błyskotki powierzchniowej fantazyi, są bardziej dla zmysłów, że tak powiem, jak dla duszy, i w pierwszym czytaniu najmocniejsze sprawują wrażenie. Pod względem zaś wnarodowania się w swoje przedmioty zbywa mu często na tym miejscowym rozumie czy pociągu, bez którego zasadzamy

tylko. jak w dziecinnym ogródku, pozrywane tu i ów-
dzie kwiatki chwilowego życia i woni.

Pisarzem, który, chociaż równie krzywą, ale odrębną od wyżej tu wymienionych poszedł drogą, jedynym pomiędzy młodymi poetami pracującym dla dramatyki, jest Józef Korzeniowski. Z ogłoszonych dotąd drukiem znamy „Próby dramatyczne“ w jednym tomie i tragedję „Mnich“; z nieogłoszonych dramata „Miłość i Zemsta“, a po niej „Piękność zgubą“. W tych wszystkich dziełach widać wprawdzie pojęcie dramatyki z nowego stanowiska — a oryginalności, wyobraźni, czucia, prawdy, jednym słowem, dramatycznego talentu, bez porównania więcej, jak we wszystkich tragediach, które nam dotąd za oryginalnie polskie oglądać i czytać kazano. Ale też obok tego sam pisarz przyznać musi, że kroki jego stawiane są wciąż po śladach Szekspira — dlatego zaręczylibyśmy prawie, że ani „Próby“ ani nie próby dramatyczne nie rokują w Korzeniowskim pisarza, który ma stworzyć dramat, naszemu ludowi właściwy. Przy powyższych Korzeniowskiego dziełach „Fragmencie“, właściwie poetyczna kompilacya byrońskich okropności i kilka ulotnych wierszyków, są takim motłochem, że krytyka nie raczy nawet spojrzeć na nie.

Przedmiot dramatyki nasuwa nam tu głośne w literaturze naszej imię *Jana Nepomucena Kamińskiego*, bodajby lepiej, niż dotąd, zasłużone prawdziwie polskiemu teatrowi, gdyż ani Kalderona, ani Szyllera tragedye nie są tym posiłkiem, który się naszemu narodowi w żywotną krew obraca i jędrną czerstwością pokrzepia jego ciało. Nie chcemy przez to ubliżać zasługom pisarza, któremu winni jesteśmy dalszy ciąg „Krakowiaków i Górali“; chcemy tylko wymówić jemu, że tem dziełem przyrzekł nam coś więcej, jak „Twardowskiego“, jak wszystko, co później z pod pióra jego wyszło. Mógł on być nawet samo natchnienie sławnych sonetów zwrócić ku przedmiotom teatralnym, a słońce jego sławy o jeden promyk byłoby nie przygasło, a dusza narodu na jednąby chwilę nie zatęskniła. Jestem tego przekonania, że, gdyby swojej rozprawie o filozoficzności języka polskiego nadał był kształt dramatyczny, a te postacie dziwne, te widzia-

dla rozsypanych po niej głosek ocielił, mówiąc w duchu jego języka, ludzką zewnętrznoscia, stosowną do charakteru i temperamentu każdej głoski, ujrzelibyśmy czarodziejski dramat, o jakim ani się śniło Szekspirowi, nie mający nic podobnego sobie tak w przeszłości, jak w przyszłości. W „Rozmaitościach Lwowskich“ czytaliśmy poema „Lunatyk czyli sześć wieczorów Kasztelana“, plód Kamińskiego. Napisany on właściwym Kamińskiemu tokiem, z właściwym jemu ogniem i mocą — ale nadto wszystko zaleca się kilku trafnymi obrazami ojczystego życia, ojczystych okolic. Kamiński całkiem już należy do szkoły niemieckiej. Lwów był jej stolicą.

Ponieważ mój przedmiot aż tutaj mię zaprowadził, muszę też kilka słów powiedzieć o fizyonomii literacko-poetyckiej tego miasta, zwłaszcza, że mam nadzieję i tą boczną ścieżką przesunąć się do głównego celu mojego pisma.

Potrzeba czytelnikowi wiedzieć, że Lwów pod względem literatury nie jest tak martwy, jak niektórzy sądzą, biorąc miarę z pary jego pism czasowych. Jest tam ruch wielki, ale tego samego rodzaju, co ruch niedzielny w niejednej stolicy. Kto ma sposobność zajrzeć we środek Lwowa, ten się zdziwi nad owym tłumem pisarzy różnej płci, różnego stanu, różnego wieku. Jeszcze przed kilku laty wrzały tam zacięte literackie spory, to o pieśni Tetmajera, to o ballady Paygerta, to o dramata Suchorowskiego; spory te nieraz o mało się nie wylały ze szranów literackich na krwawsze pola. Już to jedno było mi dostatecznym powodem zatrzymać się nad niektórymi pisarzami, co do takich walk byli pobudką, mniej zważając, że komuś ten powód nie będzie dostateczny w piśmie krytycznym.

Przed wszystkim słuszność wymaga po mnie kilka słów o pieśniach lirycznych Józefa Tetmajera. Prawda, że poeta, mniemając czerpać natchnienia w przyrodzie karpackiej, wysysał je z poetów niemieckich — że nie uderza w tych pieśniach oryginalnością, nie porywa potokiem nowych, niewyczerpanych myśli, że je tworzył bardziej pod wpływem filozofującej głowy, jak poetyckiego natchnienia, że w niektórych silił się głębokie

pomysły odziać w szatę zanadto powszednią i tem odzieniem zakrył je dla czytelników, nie lubiących bardzo się zastanawiać — że istotę poezyi zdaje się zakładać albo w tej ciszy getyzmu, która tak obojętnie na otaczającą ją świat spogląda, albo w humorystyce, którą wszystko do gorzkiego uśmiechu lechce — że nawet na zewnętrznym ich stroju nie widzę tych błyskotek, jakie wielu miernych pisarzy wyuczyło się rzucać na jałowy poziom prac swoich — ale też nie można zaprzeczyć pewnej melancholii, pewnej rzewności w czuciu, pewnej świeżości w barwach, co wszystko stanowi wewnętrzną wartość wielkiej części tych piosnek, a melodyi, zewnątrz je powlekającej.

Dlatego nie mogę pojąć dotąd, co mogło być przyczyną, że się pieśni Tetmajera nie podobały tak bardzo, tak powszechnie. Ja przynajmniej winien im jestem jedną chwilę niezwykajnie miłego wzruszenia. Pamiętam, jak dziś, ów czas, kiedym je po pierwszy raz czytał. Odszczerpięstwo w nowej poezyi, któreśmy szkołą litewską zwali, bo wzięło barwę Mickiewicza, a celowało Odyńcem, Korsakiem i tym podobnymi, grasowało, jak zaraza: fanatyczna staranność o zewnętrzne rymowanie, a stąd morduująca jednostajność, przesada w uczuciach czy łagodnych, czy okropnych, wieczne strojenie się klejnotami Byrona, Walter-Skotta i t. d., przy których wyraźniej tylko odbijała się nędza własnych myśli, zamieniły scenę polskiej poezyi w karnawał szalejących żebraków całą siłą pijaństwa, w które ich wprawiło pozwolenie chwilowego użycia pozorów przepychu i szczęścia, a, co jeszcze gorzszego, otwarły piekło nudów. Ze strachem brałem nowe dzieło — każde prawie rzuciałem z rozpaczą, nie doczytawszy się końca. Dusza z uczuciem prawdziwej poezyi, skatowana tyłu ciosami, bez przerwy po sobie idącemi, zwątpiła niemal o chwili wytchnienia, wzywała omdlenia, któreby jej czucie tych tortur odebrało, kiedy niespodziewanie gdzieś tam z za Wisły, od Karpat, z krainy, obcej dotąd poetom polskim, jak gdyby na jej przysionku jaśniał napis Dantowskiego piekła, dały się słyszeć pieśni Tetmajera. „To coś niezłego“ — przemówiono do siebie i odetchniono. Nie, moi panowie, może tu niema nic do-

brego, ale przynajmniej odmienne od wszystkiego, czem nas raczono dotąd.

Tak mówiłem wtedy ze szczerego uczucia prawdziwej ulgi i w tej chwili wyznaję, że może przez to pierwsze wrażenie, trudno mi dziś dostrzedz owe śmiertelne grzechy, za które tak potępiono pieśni Tetmajera. Tem bardziej zaś mam w podejrzeniu krytykujących te poezye, że oni właśnie wystąpili później w obronie ballad Paygerta, w których znowu trudno mi dostrzedz prawa do takiej obrony. Ów Paygert, wysnuwający, równie, jak Tetmajer, z obcego ducha swoje poezye, nie objawiający w nich nic ojczystego oprócz kilku tytułów, ma prawie wszystkie wady Tetmajera, z dodatkiem niższości talentu i niezgrabnego wysłowienia. Czytelnicy przebaczą mi to krótkie porównanie, które w głębi nie ma innego celu, prócz roztrząśnienia dwóch pisarzy trybem odmienniejszym cokolwiek od tego, którego dotąd się trzymałem, czyli wyraźniej, urozmaicenie jednostajności mojego pisma.

Nie mogę lepiej tego oddziału zakończyć, jak pominąć resztę należących tu pisarzy, a których imiona są jedynie dźwiękiem bez żadnego znaczenia i zatrzymać się na chwilę na Stefanie Garczyńskim. Garczyński już nie żyje. Ta uwaga nie jest bez związku z moją rzeczą; jest ona niejako rękojmnią ściślejszej bezstronności krytyka i zasłania go przeciwko zarzutowi, że ostrym sądem chce tłumić podnoszącą się literaturę. Kto umarł, tego już ani nagana ugryść, ani pochwałą ująć nie można.

Miejsce, dane tu Garczyńskiemu, jest jeszcze i z tego względu właściwe, że w nikim bardziej wyraźniej, Mickiewicza wyjąwszy, nie zbiegły się różnorodne naszej poezyi żywioły. Zdolności Garczyńskiego wielkie, ale na ich skierowanie ogromnie wpłynęła obczyzna. Poezye Garczyńskiego, uważane nie ze stanowiska narodowego artystowstwa, mają niepoślednie zalety. Fantazyja, pełna uczucia, wyobrażenia, pełna bogactw ducha, jest ich główną cechą; niemiecki mistycyzm i wszystkie w ogólności rysy zagranicznych literatur — słaba ich strona. Pomimo tych wad, pomimo większych nawet, nie możemy się wstrzymać od szczerego żalu nad jego bardzo zawczesnym skonem pod wszystkimi względami.

VI. FRANCUSZCZYŻNA.

Pomimo niepodobieństwo usprawiedliwienia sentymentalności niemieckiej, mizantropii angielskiej i orientalizmu w poezjach pisarzy polskich, gdyby mi jednak kazano wybrać koniecznie jedno z dwojga złego, przeniosłbym wszystkie powyższych trzech rodzajów niedorzeczności nad powierzchowność, jałowość, bezbarwność płodów, wyłęgłych pod wpływem francuszczyzny.

Myliłby się, ktoby mniemał, że ona zgasała z moralnym skonem wyznawców przeszłego rymotwórstwa. Dziś wprawdzie nie jest to już poetyka Boala, ale tem mniej natchnienie Wiktora Hugo. Jest to rodzaj *justemilieu* literackiego; po części ogon dawnych rymotwórczych nałogów, po części zmodyfikowane małpowanie poetów dzisiejszej Francji. U zapasników, składających ten zastęp, jeżeli który jest komikiem, postrzeżesz głównie na celu pretensję dowcipu i śmieszenia pod formami, życiem z dawnych komedji Moliera wziętemi, nawet używanych przez niego nazwisk nie wyłączając. Jeżeli pieśniarz wesoly, to masz karykaturę Beranżera; jeżeli dumający liryk, to cię opanuje całą ekliwością jednotonnej tęsknoty de la Martina i tak dalej. Wybitniejszym nad inne, charakterystycznym rysem tego rodzaju poezji jest jeden przedmiot, który, według mnie, najwłaściwiej da się nazwać salonowością. Z samego miana łatwo go sobie wyobrazić. Jest to poezya, zmodyfikowana pod wpływem smaku wyższych towarzystw; uchowaj, Boże, scen gwałtownych, wzruszeń wstrząsających, głębokiego uczucia, a nadewszystko śmiałej, nieokrzesanej, chropawej oryginalności — ale zato, na każdy wypadek, do każdego przedmiotu dowcipu, konceptów, komplementów, co Bóg dał.

Salonowość jest najmocniejszym jeszcze węzłem, zbliżającym dzisiejszą naszą poezję do minionego rymotwórstwa. Starzy rymotwórcy mniej więcej wszyscy byli salonowemi. Jeżeli chcemy wyobrażenia salonowości z przykładów, czytajmy „Ziemiaństwo“ Koźmiana, „Rzeki“ Marcinkowskiego, ulotne Kropińskiego wierszyki o Amorku, apostrofy Niemcewicza do rozmaitych pańskich piesków,

Kicińskiego poema „Kobiety“, nakoniec wszystkich prawie pisarzy, składających się na „Wandę“ Dmóchowskiego. Moralna ta zaraza przelała się i na pokolenie młodych poetów, dotknęła najznakomitszych pomiędzy nimi. Salonowym jest Mickiewicz, naprzykład, w niektórych sonetach miłosnych; grzeszą salonowością Odyniec, Korsak, Gosławski, grzeszą z upodobaniem przez rymowane po imionnikach, przez tytułowane do tej lub do owej koncepta; salonowemi są przydługie czasem dumania wielu młodszych pisarzy, oświadczających miłość lub marzących o niej; salonowemi całkiem możnaby nazwać niektóre talenta, jak naprzykład J ó z e f a M a s s a l s k i e g o.

Należy on do składu nowego Parnasu polskiego, a gdybym jednak musiał wymienić dzieło, które jest niczem, bez wahania się wymieniłbym Massalskiego poezye. Piosenki dowcipne, powiastki zabawne, liściki, wierszami szpikowane — oto treść tego, co mi zostało w pamięci po przeczytaniu dwóch jego tomików. Jedna, jedna tylko powiastka pod napisem „Czerwony Obrazek“ przemówiła dość rzewnie do mojego uczucia.

My nie jesteśmy za pewnym krojem, za pewnym charakterem poezyi, pojmujemy nieskończoną jej różnorodność, my nie z posępnej tylko strony znamy przyrodę, i jesteśmy przekonani, że pod najłżejszym kształtem można zamknąć głębokie czucie, objawić wielkie prawdy; szukaliśmy tego w Massalskim i nie znaleźliśmy. Czyż to nasza wina? Nasza, skoro jest winą nie przedstawiać na płaskiej powszedności.

Najbliższy Massalskiego tą stroną poezyi i jeszcze nieznośniejszy, F r a n c i s z e k K o w a l s k i. Najzaletniejszy talentu Kowalskiego przymiot — łatwość i płodność. Mimo całego usiłowania, aby obszerniej o nim pomówić, mimo licznych, ogłaszanych dorywczo jego poezyi, muszę przestać na tyłu wyrazach, ile jest treści w pismach Kowalskiego, przepelnionych dowcipem.

Nie sam tylko Kowalski z poetów polskich należy do rzędu pisarzy, względem których podobna wzmianka jest dostateczną recenzją, ale o reszcie zamilczę, w przekonaniu, że na to zupełną mam wolność.

Nie da się wciągnąć do tego pocztu Antoni Gorecki, i dlatego poświęcę mu kilka uwag. Imię to dawno się już rozlega po Polsce. Miało nawet chwile niepospolitej głośności — i dzisiaj zajaśniałoby obok najświetniejszych, gdybyśmy się kierowali przeszłymi wrażeniami. Ale dzisiaj tak różne od wczoraj! Ów niegdyś poeta, brzmiały po wszystkich swojego czasu pamiętnikach, dziennikach, tygodnikach — na każdej ich karcie albo swawolący bajeczką, albo palący miłosne oświadczenia baletniczkom, śpiewaczkom), wygląda dzisiaj, jak stary grzesznik: narzeka, płacze, modli się, opowiada światu swoje zdrożności, namawia cały świat do skrucy i tem samem nudzi. Nudzi nie tylko tem samem; czasami wraca do dawnych grzechów, chce znowu popustować, poswawolić, bez względu, że to wszystko, jeśli nie w jego, to w naszych oczach straciło cały swój powab, że my bardziej jeszcze, niż on sam, poznaliśmy się na grzechach jego przeszłości. Sumienie jednak nie pozwala odprawić go całkiem bez rozgrzeszenia. Talent Goreckiego miał swoje szczęśliwe chwile; napotykamy w nim tu i ówdzie rzewną prostotę, dźwięki mocnego czucia. Pomijamy dowcip, gdyż przynajmniej taki, jakim się Gorecki wsławił, nie ma w sobie nic poetyckiego.

Kraży także pomiędzy nami jeszcze jedno imię wzięte a niezasłużone — Stanisław Doliwa Starzyński. Zawodem jego jest pieśniarstwo, wzorem Beranżer. Usiłuje on we wszystkim schwycić francuskiego poetę i w niczem nie dochodzi, a najmniej w talencie. Pieśni Starzyńskiego nie wiele mamy; można też powiedzieć, że to jest najlepsza ich strona. Największa zaleta, jakąbyśmy im przyznali, jest ta, że są pisane dla głosów i fortepianów salonowych. Szkoda, że nie wymagamy nawet podobnej zalety w płodach dzisiejszych poetów. Wyjawiamy otwarcie zdanie powyższe o pieśniach Starzyńskiego, chociaż przekonani jesteśmy, że niektóre z nich poblakają się jeszcze jakiś czas po świecie.

Pisarz, którego zostawiłem na zapieczętowanie oddziału francuszczyzny, a o którym zacząć mówić — lubo tu należy ciałem i duszą, z tem wszystkim odróżnia się od reszty zastępu fizyonomią swojego zawodu. Jestto Ale-

ksander hr. Fredro, jedyny, jak utrzymują nasze gazety, komik polski. I w samej rzeczy Aleksander hr. Fredro jest pisarz niepospolity; lat już kilkanaście śmieczy on polską publiczność: napisał wiele pomniejszych wierszyków, nawet utrzymują, za co nie śmiem ręczyć, że ballada w „Meliteli“ jest jego pióra. A gdy waham się, czy tak jest lub nie, mimowolnie przychodzi mi na pamięć, co w pewnym wypadku Kollątaj do hetmana Rzewuskiego napisał. „Gdy biorę pióro w rękę (słowa są Kollątaja), muszę zapomnieć o imieniu, pod którym dzieło to (przeciw któremu Kollątaj pisze) wyszło, a wiedząc, iż ten, co na widok powszechności zdanie swoje wydaje, jest w rzędzie pisarzów, o których każdy podług swego przekonania sądzić ma prawo — pismo JP. Hetmana uważam, jak bezimienne, abym okazał, iż do rzeczy, nie do autora mówić będę.“ I w tejże chwili nie zdało mi się nic właściwszego, jak cały ten peryod zastosować do pisarza, o którym będę mówił, z maleńką wszakże odmianą, na którą i sam Fredro zapewne przystanie, a ta jest, że będę mówił do autora, jak do autora, nie zaś, jak do rzeczy.

Jest ruskie przysłowie, które powiada: „nie ródź się pięknym, ale szczęśliwym“¹⁾ — jakoby chciało powiedzieć, że częstokroć przyczyny powodzenia są niewytłumaczone, że nie chęci czyste, nie zasługa prawdziwa, ale zbieg okoliczności, niezależny od woli ludzkiej, wpływają na pomysłość, na chwałę człowieka. Duchem tego przysłowia najlepiej da się określić zawód Fredry. Niejeden znakomity pisarz mógłby zazdrościć tej wziętości, jaką jednały sobie i w jakiej utrzymują się jeszcze dotąd jego komedye; chociaż, obejrzone na wszystkie strony, nie pokażą do niej żadnego prawa.

„Złośliwe bluźnierstwo! — zawołają wielbiciele; Weź je tylko i czytaj! Jaki wiersz gładki, jaki dowcip! Potrzeba pękać ze śmiechu na każdej karcie!“ Prawda, jest to jedyna zaleta, którą ludzie, sądzący z powierzchowności, bronić mogą komedyi Fredra przeciw dzisiejszej krytyce, ale i ta nawet broń — jakże niedostateczna!

¹⁾ Ne rodysia krasnym, a rodysia szczasnym.

Wiersz gładki w ogólności nie jest najwyższym poezyi warunkiem, a co do Fredra, jego wiersz gładki jest to wymanierowanie języka trybem francuskim, bez oryginalności, bez indywidualnej barwy, bez odcienia charakterów. Płynny, jak woda, ma też smak wody; nie znajdziesz w nim tej jędrności, tej mocy, tego wdzięku, jakie ujmują w znakomitszych naszych pisarzach, prawdziwie po polsku, z prawdziwym talentem piszących. Równie i dowcip nie stanowi komedyi, a tem mniej nie tworzy poety; można słynąć najdowcipniejszym w świecie człowiekiem, a nie być poetą; można być poetą, a nie mieć zgoła dowcipu — gdy tymczasem komedia, według nas, poezją być powinna. Wreszcie stara bajka: że komedia cel swój osiągnęła, skoro rozśmieszyła — zginęła wraz z owym przesądem, że ta tragedia jest doskonała, w której na żadnych ustach uśmiechu nie zobaczysz.

O dowcipie Fredra i to jeszcze powiemy, że wpada w karykaturę. Całe jego komedye karykaturami nazwać by można. Weźmy np. „*Nowego Donkiszota*“. Czemże on jest właściwie? Pomysł niezgrabny, wypadki nienaturalne. Ów Karol, pragnący wrócić dawne rycerskie czasy, jest-że w duchu dzisiejszego wieku? Ma-ż jaką styczność z dzisiejszymi obyczajami? Widny-ż w tem cel jaki? Może mi kto odpowiedzieć, że „*Nowy Donkiszot*“ jest alegoryą, że właśnie wiek dzisiejszy ma na celu, i powtórz mi na dowód owe wiersze:

. trzeba być waryatem,
Aby chcieć świat przerobić, walczyć z całym światem.

Na to umilknę. Ale zapytajmy się głębi serc naszych, co myśleć o poecie, który wojuje podobnemi prawdami; coby się stało ze szlachetnemi uniesieniami, gdyby podobne prawdy kierowały ludźmi? Niemoralność, poziomość uczuć jeszcze trudniej wybaczyć poecie, jak karykutowanie zdarzeń.

Obok tej wady błędną inne, panujące w komediach Fredra, jako to: niedołęzne cieniowanie charakterów, powszednia nienaturalność i deklamacya w rozmowach, naśladownictwo, a niekiedy żywe przyswajanie włoskiego lub francuskiego teatru, wieczne tegoż samego ducha

i kształtu dowcipki bez względu na charakter, na położenie osoby — jednostajność stylu, oklepane miłosne intrygi, jednym słowem, wszystkie niedorzeczności pseudo-klasycznych komedyi.

Nie dotknęliśmy jeszcze narodowości. Że komedye, pisane dla narodu, powinny schwytywać i wydawać treść jego życia z właściwej swemu powołaniu strony, na to się każdy zgodzi, kto przyzna, iż komedya nie jest dziecinnym cackiem, ale jednym z najdzielniejszych środków wychowania i ukształcenia narodu. Że komedye Fredra nie odpowiadają temu celowi, że są nienarodowe, o tem lepiej, niż najdłuższa rozprawa, przekona odczytanie ichże samych. Nazwiska polskie nie są tem samem, co charaktery polskie; kilka osób, kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowej na wiersze czterech tomów; paszтет przysłów, bez związku z charakterami i z całością dzieła, jest tylko słownikiem przysłów; miłosna strona narodu jest to rys jego kosmopolityczny — a to jest właśnie wszystko, co ma stanowić polskość komedyi Fredra. Ale cnoty, wady, śmieszności, charaktery pojedyncze, fizyonomia ogólna, zgola, cokolwiek tworzy pomniki prawdziwie narodowej indywidualności, tego napróżno-byś tam szukał.

Kiedy więc takie zarzuty ciążyą na komedjach Fredra, skąd-że to w nich upodobanie? Wymienimy parę przyczyn główniejszych. Jedna, że talentowi Fredra, jakkolwiek podrzędnemu, potrzeba przyznać dowcip, wesołość, łatwość wierszowania i kilka miejsc, godnych znakomitego pisarza; druga — jest ubóstwo polskiego teatru. Kiedy z jednej strony milczenie talentów, pojmujących swoje powołanie, usprawiedliwione przekonaniem, że dzieło, napisane według ich pojęć, stosownie do dzisiejszych potrzeb, niełatwo-by uzyskało wstęp na scenę, otwiera zaś wód takim, jak Fredro, komikom, z drugiej naród łaknie dramatycznej poezyi, przyjmuje więc jak, zgłodniały nędzarz, cokolwiek rzucą w próżne jego sakwy, bodaj kawał spleśniałego chleba, bez względu, czy ten datek pochodzi z czystej miłości bliźniego, czy z chęci pochłubienia się przed światem, czy towarzyszy jemu troskliwość, ażeby właściwym był pokarmem; przyjmuje wszystko

i, biedny, jeszcze daje oklaski. Trochę czasu, trochę więcej oświaty, a będziemy skąpsi w oklaskach dla komedyi takich, jakimi są Fredrowe.

Aleksander hr. Fredro bywa niekiedy i romantykiem. Pokazał to w swojej powieści „*Kamień nad Liskiem*“. Niektórzy utrzymują, że „*Kamień nad Liskiem*“ jest parodią powieści, osnutych na podaniach gminu. Jeżeli tak jest, to parodia wcale się nie powiodła i jest właściwie parodią chęci parodiyowania; jeżeli tak nie jest, to „*Kamień nad Liskiem*“ nie zasługuje na wzmiankę i miejsce pomiędzy powieściami narodowemi.

Dramatyka jest może najwybitniejszym rysem dzisiejszej literatury. Nowocześni krytycy powszechnie prawie utrzymują, że charakter poezyi naszego wieku jest dramatyczny i stanowi w niej epokę, różną od wszystkich, przez które dotąd przeszła — wcale więc nie wyrzucam sobie przydłuższego zatrzymania się nad pisarzem, wyobrażającym niejako jej stronę komiczną.

VII. ORYENTALIZM.

Zdaje się, że było przeznaczeniem Mickiewicza przedstawić tak dobrą, jak złą stronę rodzącej się naszej poezyi we wszystkich prawie niemal jej odcieniach. Nie idzie za tem twierdzenie, że Mickiewicz był wzorem wszystkich poezyi, które w duchu „*Dziadów*“ wyszły, że jego kreaturami są tacy pisarze sonetów, jak Kamiński, Łapsiński, Kajsiwicz, Garczyński, że za jego przykładem rzucili się do wschodnich poezyi Chodźko, Borkowski, Korsak. Nie — Mickiewicz w tym względzie nie był lepszym od innych; z duszą bardziej, że tak powiem, przedsiębiorczą, z sercem znakomitego poety, rzucał się on tylko śmieiej, niż inni, w ten zamęt niepokodzonych, pasujących się żywiołów; przyjął łatwiej wrażenie jednego z nich i wytknął nową niby drogę pseudo-universalnego geniuszu, a ciżba dalej za nim. Mickiewicz tylko przodkował, zdobył zasobami swoich zdolności poetyckich potwory krzywego dążenia i przez to obłąkiwał innych. Z tego więc względu nie ma większej chwały, jak drudzy; naśladowano go, jako naśladowcę.

Jednakże, gdyby za takie grzechy dawano przebaczenie, Mickiewicz ma do niego prawo przez większe naprzód zdolności, potem, że pierwszy się narażał na przebieżenie dróg nieznanych, nakoniec, że, poznawszy niewłaściwość zawodu, rzucał go i niejako zapominał o nim. Inaczej postępuje orszak Mickiewicza: stroją się oni w porzucony przez niego lachman, jak w świąteczną szatę, i jeszcze nie dają się przekonać, że to tylko lachman.

Między zboczeniami naszej poezyi, między żywiołami, zwiększającymi jej chaos, ważną gra rolę przyswojona poezya wschodnia. Nie zaczepiając starych rymotwórców (między innymi Niemcewicza), których sny o poezyi wschodniej zostały bez żadnego na dzisiejszy czas wpływu, Mickiewiczowi potrzeba przyznać, że on pierwszy zaszczyił orientalizm w naszą literaturę „Krymskimi sonetami“, a na „Farysie“ i przekładach kilku kassyd podniósł go do godności wzoru. Po nim wystąpili Aleksander Chodźko, Julian Korsak, Józef Borkowski, Łapsiński itd.

Aleksander Chodźko przełożył wielką część poezyi nowogreckich według zbioru Fauriela, wyszukał ze wschodnich wykąsków powieść pod napisem „Derar“ we dwóch kassydach, przedstawił po polsku kilkanaście mniejszych poezyi to z perskiego, to z innych wschodnich języków, i został orientalnie-polskim wieszczem. Dopelnieniem tomu jego poezyi są: kilka tłumaczeń z Byrona, kilka tłumaczeń z rozmaitych słowiańskich narzeczy, kilka wierszy orientalnych, między którymi dwa lub trzy narodowe, a jeden, mający prawdziwe zalety jako pieśń ludu, pod napisem „Maliny“.

Z tego widzimy, że Chodźko nie powinien się liczyć do oryginalnych poetów, jedynie jako tłumacz, może on zażąć stanowisko w literaturze polskiej. Co się tyczy zdolności Chodźki, w tem odsyłamy czytelników do jednej improwizacji Mickiewicza, gdzie Adam przepowiada proroczym duchem Olesiowi, że jego drobność kolibryczną weźmie pod swoje orle skrzydło, wyniesie wysoko i tym sposobem uwieczni dla potomności.

Józef Borkowski, jako poeta, mniej ma zasług od Chodźki. Jego dwie czy trzy poezye orientalne, umiesz-

czone w „Ziewonii“, nie dają nam prawa sądzić go obecnie, chyba pod względem dążenia jego Muzy nowogreckiej. I na tem jedynie spoczywa jego prawo do wzmianki w tem miejscu.

Jeszcze mniej waży Julian Korsak. Powieść turecka „*Bejram*“ gorsza jest od innych jego poezyi, gdyż talent Korsaka należy do rzędu tych, które, zamiast wyżej coraz szczeblować, spuszcza się każdym, niby nowym, pomysłem o jeden stopień ku dołowi.

Nie mogę właściwiej dopełnić obrazu skrzepło-orientalnej literatury, jak włączeniem do niej sonetów Łapsińskiego, mało zapewne znanych, a których rozjawić świata nie mam odwagi. Jest to coś naksztalt sonetów krymskich, tylko że ich natchnienie wypływa z trumien królów polskich. Można sobie wyobrazić, jaka harmonia musi panować między uczuciem Polaka z jednej strony, a barwą orientalną z drugiej, jak muszą wyglądać groby krakowskie pod wschodnimi turbanami. Tym pomysłem dowiódł Łapsiński, do jakiego stopnia, kiedy kto zechce, potrafi nad lodami Wisły rozpaścić się tureckim słońcem.

Nie śmiem podsuwać za nieomylny powodów własnego domysłu poetom, puszczającym się drogą cudzoziemską, a w szczególności naszym orientalnym pisarzom; następne jednak nie będą, zdaje mi się, zupełnie chybne.

Przykład cudzoziemców, oziębłość na przedmioty miejscowe, chęć zabłyśnięcia nad innymi, chociażby na stanowisku najniewłaściwszem, niekiedy wyrozumowany zamiar korzystania z owych cieni, w których zakopcony kagańczyk gwiazdą się wydaje — oto, według mnie, treść przyczyn, które część naszych pisarzy rzucają w dalekie od Polski kraje. Naród zazwyczaj zna lepiej siebie, niż inne narody, potrafi zdrowo oceniać prace treści miejscowej. Zaszum-że nad nim orkanem, stwórz mu tajemnicą wschodniej wyobraźni z ziarenka piasku piramidę, podnieś widmo klefta nad biesiadą szakalów, a otworzy oczy i usta, zdumieje się, będzie mniemał widzieć ognisty, oryginalny talent, i niełatwo się znajdzie, jak dzisiaj, jak u nas, ktoby dowiódł, że to słaba tylko kopia, a najczęściej pocziwe przepolszczenie tego, co z mowy wschodniej przefrancuzili de Sacy lub Fauriel.

Niech, co chcą, robią nasi oryentaliści, my, nieświadomi Wschodu, będziemy zawsze mieć w podejrzeniu prawdziwość i oryginalność ich utworów, będziemy zawsze utrzymywać, że mierne, pospolite rośliny na ojczystej niwie pragną się nadstawić sztucznymi listkami kwiatów wschodnich, że, niezdolni uczuć piękności, do których są przywiązani bytu swojego najdroższymi węzłami, chcą nas przekonać zimną kompilacją bezdusznych przesadni albo porównań obcej nam przyrody, jakoby w ich sercach płonąła ku arabskim krainom miłość, zdolna przesiąknąć owych stref poezją. Przed stu laty poezya ta mogłaby jeszcze mieć jakieś usprawiedliwienie w bezpośrednich Polski z Wschodem stosunkach i wynikiem stąd ścieraniu się wyobrażeń, mogłaby mieć nawet żywotny korzeń w głębi ducha narodowego, przyjmującego koniecznie wpływ takich stosunków — ale dzisiaj? Dzisiaj, o ile nie jest historycznie wplątana w osnowę wypadku, wyjętego ze wspólnej przeszłości, o tyle jest czczem bawidełkiem, nie więcej wartującym u nas, jak świętej pamięci francuski klasycyzm — i tyle tylko ma dla nas ceny, ile jest czystonaukowym przedmiotem.

VIII. ZAMKNIĘCIE.

Na tem kruszę pióro! Jakto? Więc już nie mamy poetów, oprócz wymienionych? O, mamy jeszcze, i usłyszelibyście ich nazwiska, gdybyście się zgodzili, abym wszystkich, ale nazwiska tylko, wywoływał, jak z listy apelu, gdyby warunki krytyki pozwoliły na to. Cieszymy się z podobnych przeszkód, zwłaszcza, że oni sami z łatwością przystaną na zastosowanie do nich, jak do umarłych, owej pocziwej maksymy: „aut bene, aut nihil.“

Pozostaje mi teraz zebrać w ogólny widok całe ciało naszych poetów i zmysłowo je przedstawić. Niech tedy czytelnicy wyobrażą sobie, że poezya polska leży przed moją myślą, jak niebotyczna góra. Okolica jej stopy, najniższa jej okolica, nosi na sobie wszystkie piętna indywidualności swojego kraju. Rośliny, drzewa, wody, zwierzęta, jednym słowem, całe podniebie może mglistsze, może drobniejsze, może nie tak piękne, jak gdzieindziej,

ale zrozumiane i rozumiejące, i to jest żywioł, to świat, to plemię poetów sławiańsko-polskich. Wyższą strefę zajmuje poezya naśladownicza. Masz tu pewien zamęt, pewne rozmaitych okolic pomieszanie, plody, wspólne wszystkim niemal krajom, wszystkim góróm tej wysokości. Tu cię zaskoczą mgły, w których na zawsze zgubić się można, tu udręczą ostateczności zimna i ciepła, tu, obok najpiękniejszych polan, przepaście i jałowość, obok najbujniejszych roślin granica, karłami wytknięta jednym słowem, wszystko, co piętnuje w tej wysokości góry całego okręgu ziemskiego. Nad tą strefą przyroda drętwieje: gdzieniegdzie tylko samotny kwiatek; jeżeli drzewo — to poziomy kozodrzew, jeśli murawa — to mech islandzki, bezwonny, bezsokowy; jeżeli woda — to lodem pokryta, albo pełzająca po nagich skałach ślimaczą wilgocią — a im wyżej, tem coraz mniej życia, barwy, wdzięku, dopóki się nie rozleją w zupełną ciszę, nagość i martwość. W tej strefie żyją poeci... Żal mi ich wymienić.

Zbliżając się do końca mojej rozprawy, chcę jeszcze dotknąć najważniejszej rzeczy, która z niej wyniknąć musi: są to zarzuty, jakie ją spotkają niewątpliwie. Nie uprzedzać zarzutów może ten, kto się nie domyśla, ale ktokolwiek spotyka je przeczuciem, taki wczesnem ich podniesieniem i odpowiedzią powinien, o ile może, wyreżyczyć przyganiaczy.

Naprzód tedy niejednen z czytających tę rozprawę (a po większej części będą to ludzie gorliwi o chwałę polskiej poezyi) zawoła z oburzeniem: „Cóż, u dyabła, same nagany! Ten krytyk odsądził naszych pisarzy młodych od czci i wiary; ktoby mu zawierzył, ten-by musiał przyznać, że nie mamy poezyi — musiałby zadać kłamstwo swoim i obcym, którzy dziś właśnie poznali nas z tej strony i wielbią.“ Podobny zarzut nie jest obojętny — i przeto odpowiadam, że nie uznaję naszej poezyi za taką, jaką być powinna, do jakiej widzę leżące już w naszych poetach zarody. Że jej nie uznaję za czystopolską, tego się wcale nie wypieram, ale razem oświadczam, że pomimo skrzywionego na chwilę kierunku, pomimo rażących niedostatków nie mam jej za niższą od poezyi nowocze-

snej innych ludów, Anglię wyjąwszy. Powiem więcej: — poezya polska pod wielu względami ma już stanowczo górę nad obecną francuską i niemiecką. Zaspakaja mię więc to przekonanie, że, jak rozbieżałem poetów polskich bez zamiaru ubliżenia chwale narodowej poezyi, tak też odkrycie ich uchybień nie poniżyło jej w oczach świata.

Błędy, wytknięte pojedynczym talentom, znikną przed wielkością naszej poezyi, w całym jej ogromie obejrzanej. A wytknąć te wady, ostrzedz o nich naród, sądzę być świętym obowiązkiem i dla mnie i dla każdego. Nie mam wcale zarozumiałości uczyć pisarzy, którzy niewątpliwie, bez porównania i więcej mają zdolności i więcej, niż ja, zasług położyli — ale każdemu wolno pójść za rozkazem swojego sumienia, przemówić wobec publiczności, podać najwłaściwsze w swoim przekonaniu środki, a, co ważniejsza, każdemu wolno mieć zdrowsze poezyi pojęcie, jak je ma niejeden poeta. Cokolwiek więc powiedziałem tutaj o naszych pisarzach, powiedziałem z miłości ku nim, powiedziałem z pilnego zastanowienia się nad powołaniem tej sztuki. Wolno zgodzić się na moje zdanie lub je odrzucić, ale potępić niema dostatecznych powodów.

Drugiego zarzutu może być źródłem opaczne rozumienie tych miejsc, gdzie utrzymują, że od naśladowania starych Francuzów zwróciliśmy się ku naśladowaniu *Byrona*, *Goetego* lub tym podobnych. Jedni w dobrej wierze, drudzy wykrętnie mogą mi powiedzieć: „Czyż podobna nie spotkać się w myślach z *Byronem*?“ — Ale ja nie to nazywam naśladownictwem, nie takie naśladownictwo potępiam w naszych pisarzach. Że jedno myśleć można z *Byronem*, że, jako ludzie, jesteśmy wszyscy do siebie podobni, to nie może być przedmiotem najmniejszego sporu; odrzucicie jedynie z pism waszych to, co jest właściwą, główną cechą indywidualności *Byrońskiej*, wypędźcie z nich tego ducha, który wypłynął z jego namiętności, jemu tylko właściwych, z jego życia, z jego stosunków ze światem. Niech *Byron* wpływa na was, jako człowiek, ale nigdy, jako *Byron*, jako *Anglik*, jako osoba. Co się powiedziało o *Byronie*, to zastosujcie i do innych waszych wzorów.

I ci także będą mieli za sobą pozór, którzy mię zgro-

nią, że zamiast roztrząsania krytycznego dawałem raczej wyroki. Tak jest, ten był właśnie mój zamiar. Objawiłem go na pierwszych kartach mojego pisma, wymieniłem stanowisko, z którego zapatruję się na poezję, nakreśliłem warunki poezji narodowej i według tego przedstawiłem czytelnikom naszych poetów. Odbywać operację krytyczną w najdrobniejszych jej szczegółach — tego w podobnym piśmie nie godziło mi się ani obiecywać ani, obiecawszy, dotrzymać. Dla mnie dość było pokazać czytelnikom wynikłości mojej roboty i postawić ich na takiej drodze, aby tę robotę sprawdzić mogli.

Będą nakoniec tacy, którzy się posuną aż do zarzucania moim zdaniom fanatyzmu pod względem poezji polskiej, idealizowania jej mistycznego. Przeciw podobnym klątwom niech mię zasłoni to przekonanie, że, dążąc do celu tak półziemskiego, półniebieskiego, jak jest poezya, nie będzie od rzeczy przypuścić w nim wszystkie możliwe doskonałości i siebie stosownie podnosić, a gdyby się komu zdawało, że można się zgubić w takiej teorii, temu wręcz oświadczam językiem ziemskim, zrozumiałym, iż nic więcej nie wymagam, jedno to tylko, żebyśmy mieli naszych Homerów, Ossyanów, Walter-Skottów nawet, ale n a s z y c h, p o l s k i c h.

Bądź co bądź, czy przewidziałem lub nie wszystkie zarzuty, czy-m dostatecznie lub niedostatecznie odpowiedział na nie, czy dałem do nich powód lub nie dałem, wszystko to jest rzecz podrzędna w tem piśmie; wracam przeto na główną drogę i tak kończę:

Szanowni poeci-naśladowcy! Moźnaby do was zawołać, jak do owego rycerza z la Manki: Poco się rzucać w obce strony? Poco szukać tak daleko pani swoim myślom i błąkać się i trudzić i cierpieć dlatego tylko, żeby wrócić do swojej wioski z bliznami poniewierki, z których żadna nie nosi piętna chwały lub korzyści powszechnej, kiedy tu, pod waszym bokiem, przed waszem sercem, przed waszą duszą i kochanka taka piękna i trud nieprzepracowany i długowieczna chwała prawdziwego szczęścia i życia!

Poeci-rodacy, porzućmy tę drogę, wyklnijmy wszelką obczyznę, odłuczmy z naszej literatury mieszaninę euro-

pejską, pokażmy tę literaturę świata w całym jej blasku rodzimym! Alboż to mało poezji na naszej ziemi, w naszych dziejach, w istocie narodu naszego? Zbliźmy się tylko do niego, zanurzmy się w jego głębie, poznajmy wszystkie tajniki jego wnętrza, a na każdej stopie tej ziemi, w każdym wierszu tych dziejów, pod każdym odzieniem, znajdziemy osnowę najszczytniejszych utworów, przedmioty, godne największych artystów; przez wieki nie zdołamy wyczerpać naszych zasobów. Stworzymy rzeczy większe, głośniejsze wpoprzek świata nad to wszystko, co dziś takim podziwem razi nasze umysły u Anglików, Niemców lub Francuzów. Staniemy na równi, a we właściwym sobie stanowisku z klasycznymi Grekami, będziemy mieć prawdziwą poezję. Jeśli wam polskich rzeczy za mało, to ogarnijcie, wyczerpujcie całą Sławiańszczyznę, Sławiańszczyzny wielkie pola, sławne dzieje, a wtedy rozlewajcie się sobie na świat cały.

Czuję ja zarówno z wami, że barwa dzisiejszej polskiej poezji była niemal koniecznym wypływem przyczyn, na które nie zwracaliśmy uwagi. Ale już minęły czasy doświadczenia — nadchodzi doba korzystania z przeszłości. Wszelkie błędy dotychczasowe w literaturze naszej usiłujmy nagrodzić, obróćmy odtąd całe starania do tego, aby odpokutować grzech długiego lekceważenia.

„TRZY WIESZCZBY“¹

LUCYANA SIEMIĘŃSKIEGO (PARYŻ 1841).

Poema Lucyana Siemięńskiego pod napisem „Trzy Wieszczy,“ wyszła w tych dniach z druku, jest zjawiskiem niepospolitem w piśmiennictwie polskiem. Należy ono do rzędu utworów, których ukazanie się podnosi budowę sztuki o jeden stopień wyżej, z których rozrasta się wiekami, listek po listku, nieśmiertelny wieniec chwały narodowej. Zagaić sąd opinii powszechnej w sprawie podobnego dzieła, ułatwić pierwsze porozumienie się między narodem a jego twórcą, miłym jest obowiązkiem krytyki. Spieszymy go dopełnić ze szczerem zadowoleniem, żeśmy nie wyprzedzeni od nikogo w tej pracy.

Próbą wartości wszelkiego czynu, jakiegokolwiek byłby on porządku, jest konieczność jego w szeregu współczesnych mu zdarzeń. Od prawa tego nie wyłącza się nawet świat sztuki; jak ów świat w ogóle swoim musi przypadać do miary ogółu życia narodowego, tak równie każdy jego szczegół musi zajmować miejsce w odpowiedniej sobie chwili tego życia. Wynalezienie tego miejsca czyli, co jedno jest, pojęcie myśli najwłaściwszej swojemu czasowi jest jednym z najważniejszych zadań poety; zapełnienie chwili danej zasługą, a zapełnienie jej utworem mniej więcej właściwym, daje miarę o mniejszej lub większej potędze talentu twórcy. Moglibyśmy tę myśl obszerniej rozwinąć i poprzeć ją powszechną historią poezyi, ustawiwszy w jednym szeregu największe genjusze, a w drugim najpowszedniejsze rymopisy, jednych i drugich z ich dziełami; ale łatwo widzieć, że ten kierunek za dalekoby nas odprowadził — dlatego pozwolimy sobie przestać na

¹) Artykuł ten ukazał się w czasopiśmie „Demokrata Polski“, Paryż, w zeszytach z 30. września i 18. października 1841 r.

Miesisre!

powyższym ogólniku, w przekonaniu, że wszyscy równo z nami czują konieczność rozumowego powodu przy każdym czynie, a tem samem przy każdym utworze sztuki, i uwagi nasze nad „Trzema Wieszczbami“ zacząć z tego naprzód stanowiska.

W ogólności, każdy naród, jak pojedynczy człowiek, ma swoje sny niepojęte, prorocze, widzenia, przecucia, ma swoją tajemniczą stronę. I może-ż być inaczej? Byt narodu w tej przestrzeni, która jest nieskończonością, w tym czasie, który jest wiecznością, w tej otchłani tajemnic, która go zewsząd ogarnia, jakkolwiek długi i wydatny, czemuż jest z całą swoją rzeczywistością?

Czemże jest to wszystko, co wiemy, obok tego, czego nie wiemy? Niczem prawie. Wyznanie to nie krzywdzi rozumu. Ma on swoje miejsce, którego mu nikt nie odejmie. Rozum jest to człowiek ziemi, człowiek bytu doczesnego pomiędzy kolebką i grobem; rozum są to ziemskie sprawy człowieka, sprawy, kończące się u grobu: tam jego miejsce. Ale i tam jeszcze niech będzie pokorny; cała przepaść, w którą on spojrzeć nawet nie może bez zawrotu głowy, jest dziedziną wiary. Wiara jest jego punktem wyjścia, wiara najwyższym jego szczytem; niech uderzy największą długością swojego promienia w którykolwiek punkt tego obwodu, a wszędzie padnie złamany uczuciem swojej nieudolności. W istocie, tajemnicza strona narodu ze wszystkimi swojemi zjawiskami nie tylko, że jest wrodzoną, ale konieczną. Jeżeli naród szczęśliwy traci niekiedy wiedzę tej tajemniczości, jak człowiek, którego pomyślności i uciechy doczesne zanurzyły całkiem w życiu ziemskim, zmysłowem, to, przeciwnie, naród uciśniony ma jej uczucie tem mocniejsze, im kłęski jego są większe. Zwracając się wyłącznie do Polski, widzimy naprzód, że od wieków jej oblicze, jej stanowisko pośród Europy i jej powołanie było, że tak powiemy, mistyczne. Najprozaiczniejsze kroniki, jak są nasze, po największej części nie potrafiły zatrzeć tego piętna na jej żywocie. Od czasu, jak dwaj goście niebieskiego pochodzenia wprowadzili ją w osobie Piasta na scenę dziejów, od czasu, jak Chrobry przyjął z rąk anioła żelazo walki, szła ona po oddzielnej drodze między ludami, samotna prawie po-

między niemi, przez swoje przymioty, przez swoją myśl społeczeńska — grzeszną, ilekroć w ślady obce wstąpić chciała, a zawsze obojętna na korzyści ziemskie, ujmująca gołębiczą prostotą i dziecięcą dobroduszością, cierpiąca swoim ludem, wzniosła poświęcaniem się dla drugich, mimo to nienawidzona od wszystkiego, co ją otaczało — istnia posłanka jakiejś wyższej woli, wcielenie jakiegoś słowa, w którym złości starego świata śmierć swoją widziały, coś, наконец, przez pół nadziemskiego; cała też jej historia jest takim poematem czynów, na tak wzniosłej myśli osnutym, że podobnego jemu żaden może naród nie przedstawi. Nieszczęścia rozwinęły to usposobienie jeszcze silniej. Kiedy choroba obali ciało, kiedy je cierpienia strawią, kiedy krew wytoczona rozleje po nim spokój omdlenia, dusza wtedy bierze przewagę, buja swobodnie między ziemskim i nieziemskim światem: albo ma widzenia, albo jest na ich drodze. Polska, odępnięta od całej prawie ziemi, opuszczona od reszty, skatowana w całem ciełe, całem ciałem cierpiąca, ucieka duszą przed nadzwyczajnymi klęskami ze zwyczajnego świata; nie znajdując na nim wsparcia, nadziei, pociechy, wzmocnienia swojej wiary, szuka ich w świecie tajemnic; potrzebuje widzeń, objawień, cudów, natchnionych ludzi, prorocत्व — i ma to wszystko, a przynajmniej miała. Ale jeżeli na czem, to na masie ludu widać najdobitniej ten stan duszy narodowej, to dążenie, te potrzeby. W nim czucie góruje zawsze nad rozumem, bierze popęd do nadzwyczajnych czynów od czucia, nie od rozumu, w nadzwyczajnych przeto nieszczęściach przemawiamy raczej do jego wiary, jak do przekonania. Tak się zapatrywał pisarz „Trzech Wieszczb“ na lud polski, na jego potrzeby — w podobnem widzeniu rzeczy wyjął powód do utworzenia swojego poematu — z tego źródła wypłynęło pierwsze jego natchnienie. Jest ono wzniosłe i mądre, bo zamyka w sobie pojęcie czasu, narodu, zrozumienie ludu w jego posłannictwie, miłość ku niemu i wiarę weń. Artysta, który staje odrazu na tem stanowisku, daje już pewną rekojmią wielkości swojego talentu.

Zobaczymy teraz, jak tę myśl rozwinął. Natchnienie jest rzecz ważna, żywotna we wszelkim utworze, ale równie

ważnem jest wykonanie. Można zmarnotrawić najpiękniejsze natchnienie, jak najbujniejszy pierwiastek życia; dopiero użycie natchnienia, wcielenie go w postać widomą dopełnia dzieła, pokazuje nam artystę w jego wartości rzeczywistej.

Nie potrzebujemy ostrzegać czytelników, że Siemieński przez swoje poema nie mierzy w nadzwyczajne powołanie proroka. Siemieński wziął tylko z wiarą ludu historyczny jego materiał, ozłocił go w ogniu własnego natchnienia i ukształtował w utwór poetycki, odpowiedniejszy pojęciu i smakowi narodowemu, jak pierwotworna ich surowość. Materiały poematu Siemieńskiego były to szczegóły oderwane, dotykające pewnych, mniej obszernych epok życia polskiego, błyszczące odłamami myśli polskiej: Siemieński związał je wzajemnie, przeprowadził przez wszystkie jeden główny pomysł i wystawił jedną harmonijną całość. Jego zatem poema w ogólnym swoim widoku wyświeca życie Polski w najważniejszych jej chwilach, od Zygmunta Augusta czasów aż do naszych i poza nasze czasy, a w ostatecznym słowie poematu zamyka się cała Polska, bo nawet rozwiązana zagadka jej przyszłości według wiary ludu, według jego proroków.

Przystąpiwszy do bliższego rozpatrzenia się w poemacie Siemieńskiego, widzimy i tutaj głęboki rozmyśl i bystre oko artysty. W życiu Polski trzy są żywioły, trzy sprężyny jej losów, wydatniejsze przed wszystkimi innymi: władza narodowa, uświetniona pozorami monarchizmu, szlachta, to jest naród polski, w stanie jeszcze, że tak powiemy, poczwarkowatym, na koniec lud polski czyli tenże naród w zupełnem rozwinięciu swojej myśli. Każda też z trzech wieszczb opiera się głównie na jednej z tych trzech myśli: pierwsza prorokuje o królach, aż do ostatniego z nich — druga maluje rozprężenie się i upadek Polski szlacheckiej — trzecia rozpala nad gruzami przeszłości gwiazdę ludu i wyprowadza Polskę, duchem ludu wskrzeszoną; właściwie ostatnia tylko jest prorocstwem, dwie drugie mówią o czynach, dokonanych już dla nas. Mimo to noszą słusznie nazwanie przepowiedni, i nie można im zrobić zarzutu, że są łatwemi prorocstwami przeszłości, bo, jak jedna, tak druga, osnute na zabytkach historycz-

nych, które w swoim czasie były rzeczywistemi prorocत्वami. Jeśli dziś nie mają pod tym względem dawnej ważności, to są konieczne w całości poematu, jako świadectwo ostatniemu prorocत्वu, nie spełnionemu jeszcze. Przez tę przeszłość, postawioną obok przyszłości, objawienie tego, co ma być, wychodzi już z rzędu marzeń, nabiera pewnego prawdopodobieństwa, pewnej uroczystości, ukrzepia wiarę w przyszłość pożądaną.

Dopełnimy tych uwag i jaśniej wykażemy zalety poematu w następnym przeglądzie jego treści.

Poeta otwiera dusze czytelników uroczystym godłem, wziętem z objawienia Świętego Jana: „Nie pieczętuj słów prorocтва ksiąg tych, gdyż czas blisko jest“ — i z poezyi słowiańskiego poety Kollara:

Wszystkich światów kłęski i gorycze
Zagniewane na nas niebo zwali,
Jeśli ludzkość nie postąpi dalej.

Pierwsza wieszczba nosi napis: „Horoskop“; stosuje się ona jedynie, jakeśmy już powiedzieli, do losów Polski, kierowanych władzą królewską.

Poeta, oparty na historycznych słowach Łukasza Górnickiego, kładzie tę wieszczbę pod kształtem powieści w usta jednego ze starych domowników Zygmunta Augusta. Widzimy tu jedną z najpoetyczniejszych postaci między naszymi królami w chwili najpoetyczniejszej, bo w chwili konania, właśnie w stanie duszy najstosowniejszym do przyjmowania objawień przyszłości; błysk ten może być pożądanyszy, uroczystszy, jaśniejszy, jak w ciemnościach, podnoszących się z grobu? Zygmunt August spoczywa na łożu śmiertelnem, wysila się jednak na życie, chce jeszcze raz napatrzeć się rysom najdroższej swojej Basi, czeka dworzanina, który ich wizerunek ma przynieść. Otoż i on przybywa — zostają sami — drogi obraz już jest w ręku króla — na to jedynie, aby skupieniem całej rozkosznej przeszłości rozpalic gorączkę życia do stanu zdrowia, po raz ostatni, i usposobić go do ważniejszej sprawy, do zobaczenia przyszłości państwa. W tejsze skrzyńce, która jest składem pamiątek drogich sercu, zło-

żono także pargaminy wieszczce. Na rozkaz króla wydobył je dworzanie z kryjóWKi, zamalowane dziwnymi znakami i czyta:

Cichy sługa sług Pańskich, opat z Jędrzejowa
Berejus, propheticu spiritu natchniony,
Wiedzion chwałą kościoła i zdrowiem korony,
Takowe vaticinium, z gwiazd i ksiąŻek wiela
Zebrane, ostatniemu z Jagiełłów udziela. —
— Ostatniemu! — król krzyknął — a już lat trzydzieści,
Jako ta przepowiednia w wym skarbcu się mieści.

Prorok więc odgadł bezpotomną śmierć króla na lat trzydzieści naprzód; więc słowa jego nie są to bałamuctwa gwiazdździarzy; z góry dał rękojmię niemyłności swej sztuki; król mu wierzy, jak żeby własnem okiem przyszłość przezierał. Stąd taka w nim bolesć, kiedy proctwo ucięło się na ostatecznem upodleniu ostatniego króla, Stanisława Poniatowskiego:

— Jakże marnie się skończyło! — woła Zygmunt August:

I złożył na krzyż ręce, by modlił, żałował,
Ze bezpotomnie nogą do grobu zstępował,
A może z sokołami przegamracił losy
Korony...

Złamią tę wiarę dopiero słowa, dopisane na boku horoskopu:

Precz na zachodzie gwiazdkę upatrzyłem,
Blask swój od konstelacyi bierze Gedymina,
Do biegu ją popycha satelit drużyna,
Krzycząc: Król nasz! — i, strojąc w brudny szmat
[szkarlatu,
By w mięsupust krakowski, pośmiewisko światu.

Król, uderzony temi słowami w całą duszę, przerywa czytanie, nie chce słuchać dalej, nie może wierzyć w taki upadek narodu. Woła głosem rozpaczy: „Kłamie prorok! Kłamią gwiazdy!“ — i w tem wysileniu kona. Śmierć jego przeszkodziła dowiedzieć się ostatku przepowiedni. Proctwo niezupełne, przyszłe losy Polski w zawieszeniu: myśl monarchizmu oświeca tylko jej upadek.

Druga wieszczba zaczyna się tam, gdzie się pierwsza kończy, w epoce Poniatowskiego, w epoce, tak już napiętnowanej przyszłym upadkiem narodu, że możnaby ją podciągnąć pod chwilę upadku stanowczego.

Moskwa rozrasta się w coraz widoczniejsze kształty olbrzymie, zapuszcza, jak choroba raka, coraz głębiej swoje odrośle w łono Polski; serce narodu czuje bolesne jej dotknięcia z każdej strony, czuje, że mu coraz ciśnień w narodowej piersi, widzi, że strumień krwi pracy bardziej ubywa; wzdryga się boleścią obecną i niepokojem przyszłych nieszczęść. Niezwykłe te poruszenia udzielają się ciału Rzeczypospolitej, gdziekolwiek dochowało się ono jeszcze w starożytnym zdrowiu; przez zamęt bezrządu przeblyskują tu i owdzie zbawienne myśli, sny niespokojne rzucają letargiem gnuśnego odrętwienia — wiara i wolność podają sobie ręce do wspólnej pracy nad zbawieniem Polski i przygotowują w skrytości powstanie konfederacyi barskiej; naraz wszystko to wciela się w jedną osobę księdza Marka, kapłana, żołnierza, proroka wkońcu męczennika. On jeden cały swój czas wyobraża; czuł obecność, jak inni, pracował dla niej, jak inni, ale wyprzedził innych przejrzeniem przyszłości i jej przepowiedzeniem. Któż to był ten ksiądz Marek? Cichy członek zakonu Karmelitów w Berdyczowie, ledwie znany potomności z kilku napomknien ówczesnej historii, niezgodnych z sobą; za to wynagrodzony cześcią świętości, jaką podanie ludu do jego pamięci przywiązało, a nade wszystko prorocstwem o przyszłości Polski, które autor „Trzech Wieszczb“ umieścił dosłownie w przypiskach i na którego myślach głównych osnuł drugą „Wieszczbę.“

Zdarzenie całe ma miejsce w klasztorze berdyczowskim. Wchodzimy do szczupłej celi zakonnika ksiądz Marek, zakłopotany przygotowaniem kazania, z którym powinien wystąpić za godzin kilka. Cała ta scena jest znakomitej piękności; dowodzi w pisarzu silnych, wszechstronnych uczuć, niepospolitego daru przejęcia się swoim przedmiotem, wielkiej znajomości ludzkiego ducha w tajemnych jego robotach, w jego walkach wewnętrznych, i mistrzowskiej obok tego biegłości nadania im formy prostej, wy-

rażnej, szlachetnej. Tej części nie śmiemy malować naszą prozą: odjęlibyśmy jej cały urok — powiemy tylko tyle, ile potrzeba, aby dać wyobrażenie ogólnej treści. Poeta bierze księdza Marka w stanie zwyczajnym, nie jeszcze nie objawia w nim proroka: łamie mu głowę nad kazaniem, bo w Berdyczowie jarmark, zgromadzenie w kościele będzie liczne i świetne, nabożeństwo solenne — trzeba go-dnie kazać. Ale o czemże kazać, czegoby słuchacze nie wie-dzieli? Gdzież ma zasięgnąć w tem rady? Z księgi, z któ-rej zawždy pił moc, jak w źródle: z Ewanielii. Książk Marek przedewszystkiem jest kapłanem Chrystusa. Otwiera więc Ewanielią, a pierwsze jego spojrzenie pada na owe, tak poetyczne, tak wzniosłe, a razem tak okropne słowa Chrystusa, zapowiadające spustoszenie Jerozolimy — i wnet po pierwszych kilku wierszach wytryska w księdzu Marku z myśli religijnych myśl polska — obok kapłana powstaje Polak — Jeruzalem zamienia się w ojczyznę. W rozpędzie tej myśli przebiega poeta wszelkie prywatne i publiczne grzechy narodu, zepsucie, grasujące po wszystkich sta-nach: stawi u kresu, jako skutek ich konieczny, okropną karę, którą lęka się wyraźnie wymienić, oddala od jej widoku duszę skierowaniem jej w sferę niebieską, woła o pomoc niebieską. Skąpany w źródle modlitwy, duch księdza Marka wraca pokrzepiony, z myślami weselszemi, ze środkami naprawienia złego, z marzeniami nawet przy-szłości, jakiej tylko katolik-Polak może zapragnąć.

O śliczne, o śliczne,

Niebo nad naszą Polską wtedy się otworzy,
 Jako druga Chanaan zakwitnie kraj boży.
 Szlachecka złota wolność, by ziarna różańca,
 Skupi się koło tronu swojego wybrańca,
 Z dobytymi w pół kordy, z okiem na granice,
 Czy pohaniec nie wkracza?... z okiem na świątńce,
 Czy znowu kąkol w zbożu nie naszli bluźnierce
 Osmym mieczem boleści przebić Maryi serce?

Marzenia te potrącają proroczą strunę duszy księdza Marka: poeta jednak nie od razu stawia go na szczycie, tylko po szczeblach przeprowadza. Uderzająca jest loiczność tego szczeblowania. Książk Marek wchodzi w siebie, naprzód spotyka w duszy swojej silną wiarę, nie wiem, przez jakie sposoby. Mówi on:

Móglbym nią martwych wskrzeszać, wypędzać choroby,
Z tym oto jednym krzyżem bió Amalecyty.

Z tej pełni wiary wypływa uczucie proroczego powołania. Jest to uczucie jeszcze słabe, widzenie zamglone, a jednak pewne. W sercu ma siedlisko ten duch tajemniczy; przeświadczony jest o nim — z tem wszystkim, sam nie wie, czy to czart, czy Bóg! „Kto wie — rzecze wreszcie po krótkim dumaniu — możem ja i prorok?“ Myśl ta uśmiecha się księdzu, i w tejsze chwili odgania ją, jak myśl pychy, i znowu do niej wraca. Ale dusza nie wzniosła się jeszcze nad sferę ziemską; stąd też marzenia, obudzone dumą proroka, krążą przy ziemskich uciechach, przy ziemskiej sławie, przy ziemskich gościnnościach; ksiądz Marek ma powód wziąć je za pokusę piekielną, sili się oczyścić z nich serce, jakby w przeczuciu, że się niebieski zesłaniec zbliża, napełnia je miłością chrześcijańską, podnosi się niem coraz wyżej, do powołania kaznodziejskiego, do gotowości poświęcenia się za winy Polski, aż spotyka się z duchem proroczym i pada w zachwyceniu przed objawieniem senatorów, porwanych na Sybir. Z tego snu proroczego nie zdoła go wyprowadzić nawet przeor klasztoru, który nadszedł w tej chwili przypomnieć mu kazanie i zbliżającą się jego porę.

Druga część wieszczby przenosi nas do kościoła, w chwili nabożeństwa, między tłumy pobożnych, oczekujących na kazanie. Niepokój proroka wzrasta, dostojne państwo nudzi się i ziewa, — otoż wreszcie i ksiądz Marek, blady, jakby z truny. Poeta nie zmarnotrawił chwili między ukazaniem się a wstąpieniem na kazalnicę: ze wszystkich stron gwar słyszymy głosów niewiernych i pobożnych, przychylnych i niechętnych prorokowi; serce drży mimowolnie oczekiwaniem czegoś niezwyčajnego, głos tłumu nakazuje cichość. „Słuchajcie! słuchajcie!“ — woła prorok i w pierwszych słowach rzuca na słuchaczy piorun przeobrażenia:

Ruina

Wisi nad Polską!!! Miałem objawienie,
Oto biskupów wloką na więzienie!
Starców z senatu, z izby... gwałtem...

I proroczy potok, jak buchnął, tak płynie wojną, mordami,

aż póki nie skończy się w grobie narodu. Jak mary krwawe, przesuwają się po przed duszą: konfederacja Barska, sejm Czteroletni, powstanie Kościuszki, wyprawa Napoleona do Moskwy, rewolucya Listopadowa, nakoniec dzisiejsza emigracya. Proctwo zamyka koniec, równie okropny, jak początek:

Cierpimy, niema rady:

Oto anioł nad Polską zatrąbił trzy biady,

a grzmotowi aniola nieszczęść odpowiada tylko tajemnicza i daleka piosenka pociechy i nadziei, jakby gdzieś z zagrobowych krain: Ozwie się głos, uciecze noc, zjawi się blask, i Bóg się ulituje nad królestwem Maryi, królowej polskiej. Prorok skończył — gwar tłumu się zaczął. Słyszemy płacze, modły, śluby pokuty; lud rozpacza, woła: „Koniec świata“ — między szlachtą znowu przekąsy, oburzenie, groźby na fanatyzm — latają przydomki kuglarza, oszusta — nagle wpada goniec i potwierdza proctwo: przywozi on wiadomość o porwaniu senatorów. Z ostatnim wierszem rozpoczyna się dzieło konfederacyi Barskiej — usiłowanie bezużyteczne. Szlachta upadła, Polska jeszcze nie ocalona.

Dwie poprzedzające wieszczby nie rozwiązały losów narodu, nie zaspokoily wiary jego; pokazały tylko, pierwsza: że utrzymanie narodu w całości i zdrowiu było nad siły monarchizmu, druga: że szlachta w coraz większem psuciu się nie znajdzie już w sobie dosyć mocy zapobiedz złemu, które się z niej poczęło, bo ona sama stanowiła naród. A jednak w duchu Polski leży jakieś przeczucie błogiej przyszłości; potrzeba więc to przeczucie oczyścić ze mgieł niepewności, zamienić w wiarę jasną, spokojną, niezachwianą, wzmocnioną wszystkim, co tylko do wiary wejść może, a czegoby rozum nie odrzucał — opartą, jednym słowem, na niebie i ziemi, na Bogu i człowieku, na nadzwyczajności zwyczajnej. W takim duchu i celu jest wieszczba trzecia. Stanowisko, na którym gore jej duch - ognisko, jest okropne i przez tę samą okropność poetyczne; okropniejsze, poetyczniejsze, niż stanowisko księdza Marka. Co tamten przepowiadał, to się już po części spełniło, a spełniło na większe nieszczęście, na pewniejszy upadek kraju.

Hajdamaczyzna powstała i zginęła, ale na Polsce, prawie konającej, ślady jej przejścia: krew, trupy i gruzy, dokoła widoczne, świeże; nie zgasły jeszcze rozniecone przez nią pożary — rany jej noża zapalają się piekielnym ogniem. Ten głos, co wychodzi z ust Polski, to głos piersi, do dna przebitej, wysilającej się tylko w ryk zemsty; konfederacya Barska, przytłumiona w pierwszym wybuchu, zamieniła się w niedoleżną wojnę domową, zgubną. Właśnie temu zaratować chciano; masa szlachty jest jej przeciwna, lub przestraszona, lub obojętna; wielkie słowa wiary i wolności bez uroku; cała ziemia polska, jak bojowisko, a na niem rozciągnięte ciało ojczyzny, a przed ciałem Moskal z uśmiechem szydersko-tryumfującym, a w duszy narodu żadnej myśli silnej, a na niebie żadnej gwiazdy pocieszającej. Wszelkie środki zbawienia zużyte; samo zwątpienie, rozpacz, przepaść grobu. Aż oto naraz podnosi się gwiazda proroka, przebija strzałą światła ćmę przyszłości, i oświeca oczom Polski znak jej zbawienia, a znak zbawienia, jak powiada poeta, w słowo Lud się wciela. Ufaj, Polsko! Czemu nie podolali ani twoi królowie, ani twoja szlachta, ani twoja głowa, ani twoje ręce, to dopełnisz sama cała, przez twój lud: twoim zbawicielem będzie masa twojego ludu. Takie jest ostateczne słowo trzeciej wieszczby. Ale poeta nie rzuca nam go, jak wyrocznię, w dymie delfickiego trójnoga, w zamęcie, rozerwanych między sobą, myśli. Promień proroczego oka, jak wyszedł, tak utkwił w swoim celu, jasny, prosty, nieprzerwany. Każdy szczegół tego ustępu nosi na sobie cechę głównej myśli, wchodzi harmonijnie do jej całości. Prorok trzeciej wieszczby nie jest to już żaden opat, żaden kapłan, żaden szlachcic, ale chłop prosty; nie jest prawie Polak — przynajmniej w oczach ówczasowej szlachty — on chłop ruski, a jednak kocha Polskę, cierpi dla niej prześladowanie, tuła się, poświęca się dla niej, już więc we własnej osobie wyobraża lud polski najdoskonalej; dodajmy, że przed potęgą jego ducha sam szlachcic zgina kolano. Nie zapominajmy i o tem, że prorok nie jest dowolnym utworem poety, ale osobą historyczną: kilkadziesiąt lat temu cała Ukraina знаła Wernyhorę żyjącego — dzisiaj cała Polska czyta jego proroctwa lub sły-

szy o nich. Przypisy do poematu obszernie to wykładają; my o tyle dotkniemy życia Wernyhory, o ile to będzie potrzebne do dalszego ciągu naszego pisma.

Był on rodem kozak, z Ukrainy zadnieprskiej, zostającej pod panowaniem moskiewskiem, chował jednak szczególniejsze przywiązanie do Polski, może przez świeżą jeszcze pamięć jej stosunków z kozaczyzną, a może i pod bodźcem wyższej myśli, która mu objawiała dalszą cokolwiek przyszłość, a w tej przyszłości z jednej strony okropność jarzma, które Moskwa jego braciom nałożyła, z drugiej zaś świetność Polski i zbratanych z nią narodów, kiedy myśl jej żywotna, wypróbowana nieszczęściami, stanie na swoim południu. Bądź co bądź, to pewna, że Moskwie nie dowierzał, a trzymał stronę Polski. Uczucia te objawił tak silnie, kiedy poczęła się gotować robota rzezi, przez Moskwę podszeptwana, że przywiódł stronników hajdamaczyzny aż do zamiarów, groźących swojemu życiu, i musiał wkońcu ratować się ucieczką na Ukrainę polską. Lecz zmowa hajdamacka, rozszerzająca się, i tu go ścigać poczęła: wtedy to Wernyhora osiadł w Korsuniu, na jednej z wysep Rosi, pod zasłoną zamku korsuńskiego — i opieką jego rządcy, któremu poddyktował swoje proroctwa, tak dzisiaj głośnie. Autor „Trzech Wieszczy“ bierze go właśnie w tej chwili; konieczność swego wyboru tem on usprawiedliwia, że Wernyhora, czując się blizkim śmierci, chciałby raz jeszcze, raz ostatni pomówić ze starostą w sprawie ważnej. Domyślamy się tego z dalszego opowiadania poety, albowiem rzeczywisty początek wieszczby jest tylko przygotowaniem do tej sceny; jest niejako przygrywką do dalszej pieśni, pełnej muzyki wiejskiej, dzikiej, tajemniczej, jak cała osnowa wieszczby, przygrywką, malującą istotę całego dzieła. Jak w pierwszej wieszczbie poeta wprowadził nas do komnaty królewskiej, w drugiej odsłonił nam wnętrze domu religijnego, tak dla tej, trzeciej, obiera miejsce w okolicy wiejskiej, wśród widoków przyrody prostej, zgoła, w sferze ludu. W pierwszym zaraz kroku czujemy powiew jego świata. Obraz, rozpoczynający ten ustęp, maluje nam rzekę Roś, i wyspę na niej ze wszystkimi wdziękami cichego ustronia na ziemi ukraińskiej; chwila

nocna i powieść o młynie spustoszałym, z przywiązaną do niego gminną cudownością, dopełniają obrazu rysami tajemniczości, zwiastującymi coś niezwyčajnego w dalszym jej ciągu, bo:

...zwykle u gminu
Musi się w bajkę oprząść treść każdego czynu,
Jak w jedwab gąsienica — aż z poczwarki wkońcu
Dumką — skazką — wyleci motylek ku słońcu.

Śród takiej tajemniczości słyhać szelest nabrzeżnych żarosi. Coś ciemnego przesuwa się w poprzek Rosi, ślizga się gadziną po sitowiu; staje u brzegu. To łódka, a z łódki wyskakują dwie postacie — znać po stroju, że jeden z nich kozak, a drugi starosta korsuński. Cóż to za spór pomiędzy nimi, zaledwie łódź opuścili? Staroście spieszo do Wernyhory, a kozak lęka się stanąć przed nim. Sumieniem jego szarpią śmiertelne zgryzoty; on, wychowaniec Wernyhory, dał się uwieść przeciwnej mu stronie, wzgardził jego przestrogami, odstąpił go, został hajdamaką; i on także udarł, jak sam powiada, pasu z tego, co Wernyhore było najdroższe — z Polski. Poznał dziś swoją zbrodnię, ale po niewczasie; żałuje, karze się za nią cierpieniami duszy — ale jakimże czołem stanie przed Wernyhora, który mu to wszystko przepowiedział? Tu występuje na scenę polska szlachetność, tak pięknie, tak rzewnie wydana przez poetę, a tak prawdziwa, tak wrodzona charakterowi polskiemu. Starosta nie cieszy się męczarnią kozaka, nie nasycy nią swojej zemsty, przeciwnie, łagodzi ją słowami pociechy. Wszystko jeszcze może się naprawić, woła on, jeszcze się naprawi, musi się naprawić, tylko zabyć, co było, wziąć się razem, pan z chłopem — i obejmuje kozaka serdecznym uściskiem. Ale uroczysta chwila pojednania się nie zstąpiła, nie zstąpiło jeszcze święte słowo, które zniszczy konieczną w chłopach nieufność ku panom; kozaka dziwi tylko ta serdeczność szlacheica:

...Patrzy, nie dowierza —
Nareszcie, kręcąc głową: U was, jak u jeża
Skóra, panowie szlachta. Niech się prostak który
Otrze o nią, dalibóg, własnej zbędzie skóry.
Nie, nie! Chleb chłopskiej pracy, to słodka ponęta!
Panować, to tak dobrze — wy, korolowienta!

powiada słowami Chmielnickiego i nie oddaje uścisku ni ręką, ni słowem, ni okiem. Chwilę milczenia, które zamknęło tę scenę, przerywa dziki chychot w zaroślach, wtórzone hukami sowy i niepojętym turkotem pustego młyna, a po nim głos niewidomy, wzywający podróżnych w głąb ostrowu; głos ten wciela się na końcu w dziwo, pogięte we czworo, ze łbem dużym, jak u konia, które mimo swojej potworności jest jedynym domownikiem, towarzyszem, aniołem-stróżem Wernyhory. Póltajemnicza istota Semka wchodzi do całego obrazu, jako rys konieczny, odpowiada i duchowi ludu ukraińskiego i nieodgadnionemu życiu proroka. Jest to jeszcze jeden szczegół, dowodzący głębokiego rozmysłu artystowskiego w Siemieńskim. Z takim to przewodnikiem dwaj podróżni wchodzi, a raczej spuszcza się w głąb chaty pustej i stają w mieszkaniu Wernyhory, przed nim:

...W ciemnym izby rogu
Z kulbaką nad głowami, na ciemnym barłogu,
Między kudłami burki krymskiej — broda biała
I głowa — siwy sokoł — gościom się kłaniała.
Potem, by niedość jeszcze tego powitania,
Rąk dwoje, pierś zarosła, zwiodły się z posłania
Tak porywco, że obok wiszące nad chorym
Ratyszcze, szabla, kołpak z wierzchem różnowzorym
I janczarka — o mało ze ściany nie spadły.

Taki jest obraz Wernyhory na śmiertelnem łożu.

Dobrze, żeście przybyli, póki dusza w ciele:
Mogę wam coś przekazać... choćby słów niewiele.
A i one są czemsić; — wiercie mi, są słowa
Często ważniejsze czynów, gdy je gmin przechowa
W świętościach wiary...

Odzywa się Wernyhora, zanim wejdzie w opowiadanie swojego życia. Może się ono wydać za długie, ale zważmy, że to mówi starzec, który ma sto lat za pasem, wiele widział, wiele robił, że mówi po raz ostatni, że ma nadto potrzebę wypowiedzieć jeszcze niejedną prawdę:

...Niejedną prawdę, o panowie
Szlachta, piłem ja do was. Nie poszło na zdrowie,
Sami powróz kręcicie. Niby to swobodę
Kochacie, lecz tak właśnie, jako dziewczkę młode,

Upatrzoną na łanie, na siłę wleczoną,
 By swem zdrowiem rozgrzała skrzące pańskie łono,
 Wkońcu psami wyszczuta, gdy jej kwiat opadnie:
 Toż lada jaki przybyysz nad wami zawładnie,
 I nie stanie nikomu wrogom się zasłonić!
 Darmo, jak za pańszczyznę, lud będziecie gonić
 W pola, zbroić kosami: pójdzie, krew przeleje,
 Ale dlatego wianek już zazielenieje...
 Bo swobodę wam kochać dla wszystkich pospołu,
 Bo swobody moc idzie nie z góry, a z dołu,
 Tam siła —

Nie w braku zapewne miejsc podobnych wstrzymamy się od liczniejszych wyjątków i poprzestaniemy na napomknieniach: rozszerzylibyśmy nad zamiar nasze pismo. Idźmy więc dalej. Stopniami, z uczucia do uczucia, podnosi się dusza Wernyhory do stanu proroczego. Na pierwsze jego objawienie się dwaj goście mimowolnie padli na kolana. I jest przed czem. Prorok gada z raję,

kędę się wywodzą
 Rzeczy przyszłe — i ludzie, nim się jeszcze rodzą,
 Odgrywają na próbę to samo, co w czasie,
 Gdy się wciela na ziemi, po drugi raz gra się.

A wstępem widzeniem jest śmierć króla i czyn pierwszego zbratania się ludów. Prorok szuka Polski — i jakże okropne pierwsze jej objawienie się! Oto zbrodnia sejmowa: pierwsze podpisanie rozbioru Polski i pierwszy męczennik Rejtan. Następnie przesuwa się: powstanie Krakowskie, Listopadowe, męczeństwo Konarskiego i tym podobne usiłowania i klęski, a w każdej zmianie myśl szlachecka niedołężna, ciemniejsza, przed myślą ludu coraz wybitniej ustępująca. Naraz Wernyhora każe Semkowi obudzić lirę dźwiękiem rzewnym, długim, w cały świat rozgłosnym: on zrzuca z duszy ciężar nieszczęść, on w potęgę ludu patrzy. Natchnienie wzmagą się, ciało schorzałe rozkwita nowem życiem, nadziemskim, ręce oparły się na głowach Starosty i kozaka — przygarnęły je ku piersiom proroka, bo już jedna pieśń, jedna przyszłość dla szlachezca i chłopca, przyszłość ludu zbawionego; lira zagrała, głos proroka zamienił się w śpiew, i dumka popłynęła ostatnią wojną z Moskalami, ostatnimi tryumfami, ostatecznem zbawieniem całego ludu polskiego.

Odtąd dziwy niebu, ziemi pokażą anieli,
W znak zbawienia — odkupienia słowo LUD się wcieli.
Ziemia niebem — cudy, cudy!
Półbogami staną ludy!

Taka jest ostatnia zwrotka proroczej dumki. Następująca ledwo połowy doszła; duch i głos wieszczca nie podolał natłokowi i wielkości objawień — nad wszystkie podniosło się widzenie Dniepru, zalewającego jego mogiłę; zagasiło wszystkie, a z nimi głos i życie proroka. Ale w tejsze chwili cud uczcił trupa; tym pierwszym cudem jest pojednanie się szlachcica z kozakiem:

...Przy trupie ócz czworo i rąk się spotkało
We wzajemnym uścisku nowego sojuszu.
Łza była na siermiędze, druga na kontuszu,
Równie czysta i święta, jak płacz dwojga dzieci,
Gdy je macierz pogodzi.

Pan nad duszą świeci —
Rzekli razem — on duszą niech świeci nad nami!

O, niech świeci — dodajmy z naszej strony — aby oświecił jak najrychlej w postaci całego narodu, co przy jego ciele było tylko przepowiednią, postacią tajemniczą.

Za chwilę glucho na ostrowie. Nad grobem Wernyhory stoją brzozy, jak płaczki, a pod ścianą pustki; dziwne jego chłopie siedzi z gębą otwartą i źrenicą szklaną nad zepsutą gęślą, niby uosobienie podania o proroku, krążącego dotąd po Ukrainie.

Oto treść trzeciej wieszczby, w której poeta rozwiązał szczęśliwie zagadkę naszego bytu przez słowo lud. Tu jeszcze raz przypominamy, że przepowiednia Wernyhory nie jest wymysłem pisarza, że główna myśl ustępu oparła się na głównej myśli proroctwa historycznego, objawionego przed półwiekiem. Zdarzenia, dotknięte w nich, zaszły wprzód, niżeli jaki poeta zamarzył o nich; nie przygotowywał ich żaden człowiek stanu, ale Opatrzność; mógł je przewidzieć tylko człowiek dalszego widzenia, jak zwyczajni ludzie — wartość więc słów przepowiedni jest prawdziwie prorocza. A zasługa-ż naszego poety? Także wielka. Wynałazł je, umiał ocenić dlatego, że poeta; potrafił schwycić duch proroctwa, rozwinąć go dlatego, że jest krewnym po duchu prorokowi.

Ostatni dźwięk lutni Siemieńskiego, *Epilog do Wieszców*, zamykający poemat, należy do najpiękniejszych części dzieła. Trudno dać o nim wyobrażenie inaczej, jak przez wypisanie całego; tam więc odsyłamy czytelników, zachowując sobie wolność jednego wyjątku na zakończenie naszego pisma.

Przedstawiając osnowę poematu Siemieńskiego, szliśmy za przekonaniem, że tym sposobem najlepiej damy go poznać. Osnowa dzieła jest to istota dzieła; tam najwidoczniejsza myśl główna, twórcza energia talentu — tam zamknięta niezawodna próba jego wartości. Przy miernych zdolnościach można mieć mniej więcej szczęśliwe wybuchy zapału, zwodnicze połyski natchnienia — można się zdobyć na kilka piękności, na oderwane błyskotki i upstrzyć ubóstwo myśli głównej; ale odejmij te nalepione przydatki a znajdziesz pod nimi, zamiast człowieka, woskową osobę, ubraną tylko pozorami życia. Nie tak się rzecz ma z dziełem prawdziwego artysty; obnaż je, jak zechcesz, z ozdób powierzchownych, podrzędnych, zawsze obaczysz duszę, życie, główną myśl, łączącą wszystkie części, ujrzyś ją tem wydatniej, im więcej obnażysz. W rzeczy samej zdawało się nam, że wszelki utwór dopiero wtedy ma pewną wartość, kiedy go całego jedna myśl podobnie ożywia w najmniejszym szczególe, a zaś główna myśl, że dopiero wtedy ma siłę ożywczą i godną wcielenia się, kiedy, obrana ze wszystkich pozorów formy i wyrażona sposobem najprostszym, wytrzyma sąd krytyki. Dlatego to, jeszcze raz powtarzamy, wyłożyliśmy osnowę „Trzech Wieszców.“

Dawszy tym przeglądem treści dostateczne wyobrażenie o duszy poematu na korzyść poety, zwróćmy się teraz ku niektórym jego szczegółom i zobaczymy, w jakim stosunku wartość ich zostaje z wartością ogólną. Zagadnienie to łączy się już z zagadnieniem zewnętrznej formy dzieła. W rozwiązaniu jego ograniczymy się kilku przykładami. Poeta w tej próbie nie zeszedł ze swojego wysokiego stanowiska; odpowiedział wszystkim warunkom, przez główny pomysł położonym, rozwiązał szczęśliwie wszystkie jego zadania. Życie, jedność, natura pomysłu ożywiają, łączą, piętnują każdy szczegół formy. Gdzie-

kolwiek myśl poematu rozpromienia się w narodowość, tajemniczość, pewien czas, pewne miejsce, pewną osobę — forma nagina się do niej, jest narodowa, powleka się tajemniczością, przybiera barwę czasu, oddycha powietrzem miejscowości, występuje w postaciach wydatnych, snycerskich, żyjących. Zygmunowski język słyszymy w pierwszej wieszczbie; w księdzu Marku widzimy razem kapłana, Polaka, człowieka, patryotę bogobojnego, mimo to nie fanatyka, nie odludka, który ze światem nie ma nic wspólnego; przeciwnie, zna jego przyjemności, używa ich nawet, spojony jest z ludźmi wszystkimi ogniwami duszy i ciała. Dlatego tem więcej ich kocha, tem goręcej pragnie ich szczęścia, tem boleśniej czuje grożące im nieszczęścia, tem szczerzej poświęcić się dla nich gotów. Widzimy w nim księdza, jakim go możemy sobie wyobrazić z jego stanowiska w konfederacyi Barskiej, jakim być powinien człowiek, chcący dla ludzi pracować, idący w ślady Boga, który nie z nieba zbawiał rodzaj ludzki, ale zstąpiwszy na ziemię, zostawszy człowiekiem — i w każdym położeniu jest sobą samym: czy w swojej celi, czy na kazalnicy, czy, kiedy walczy z duchem proroczym, czy, kiedy już wylewa go z siebie; głos jego rozszerza się wprawdzie, podnosi się do tonu dawnych proroków na skalę arfy biblijnej, ale mimo to pozostaje ksiądz zwyczajny, znajomy.

Ważniejsze jest powołanie Wernyhory, odmienne; inna też, dziwniejsza jego postać, uroczystsza, przejrzystsza, coś bardziej lirycznego, w rysach jakiś blask przyszłości, jakaś tajemniczość nieskończoności, jakaś melancholia wiary, która przez ciężkie próby przejść jeszcze musi. I nad temi jednak rysami przemaga oblicze Kozaka, człowieka masy: widzisz to w atletycznej, zarosłej jego piersi, do której gości swoich tuli, jak do łona ludu — widzisz to w potężnych jego dłoniach, które z taką pewnością spoczyły błogosławieństwem na głowach, pochylonych przed wagą ich siły, jak żeby wyobrażały potęgę ludu i niewyczerpane źródło jego przebaczeń — słyszysz to w każdym jego słowie, w każdym dźwięku wiersza. Nawet śmierć, nawet grób nie zmieniły tej postaci tajemniczej, zanurzonej większą swoją połową w przeszłości: z za grobu

jeszcze widzimy Wernyhorę w potwornym jego Semku i strzaskanej lirze, niby w odrzuconych powłokach ludu, który się przeobraził. Nie dosyć, że patrzymy na osoby: oddychamy jeszcze ich powietrzem, żyjemy pod ich niebem.

Weźmy za przykład miejsce, do ocenięcia którego możemy być właściwymi sędziami; weźmy początek trzeciej wieszczby, gdzie jest obraz okolicy ukraińskiej. Dwa ramiona rzeki, zielony ostrów, brzeg, zarosły sitowiem, w sitowiu dzikie kaczkę, na zielonym brzegu długoszy bocian w samotnej przechadzce, gęstwa leszczyny, nad gęstwą dęby rzadkie, klony szerokolistne, a nad tem wszystkim nocna ciemność, a dokoła śpiew słowików i gwar wodnego ptactwa; dalej młyn, oniemiały z rozrwaną tamą, komin, sterczący na pustkach chaty, groźny dziwnymi wieściami, oto cały prawie obraz — ale co w tem malowidle życia, wdzięku, świeżości, rozkoszy, tajemniczej zgrozy; ale co tam Ukrainy! Wprawdzie wody, wyspy — drzewa, słowiki, noc — są na całym świecie do siebie podobne — co większa, podobne do siebie nie w jednych wierszach. Ale w obrazie Siemieńskiego są ukraińskie, tworzą wyłączny ukraiński obraz. Jak on to zrobił? — tego nie wiemy; to tylko wiemy, tego tylko jesteśmy pewni, że w tej chwili musiał być duszą na Ukrainie, patrzeć jej okiem u zwierciadła Rosi, słuchać jej uchem słowików; odbił jej zwierciadłem całą okolicę, miał, jednym słowem, widzenie prawdziwego poety.

Cokolwiek powiedzieliśmy dotąd, tyczy się albo wewnętrznej istoty poematu, jego myśli, albo członków oderwanych i jedynie daje wyobrażenie o sile poety, z jaką schwycił swój pomysł, zagłębił się weń, wydobyl z niego, co najdroższe było — przytem o bieguności, z jaką kształtował niektóre części swojego utworu. Ale to nie przedstawia jeszcze całości zupełnej. Wszelkie dzieło poetyckie jest to planeta w słonecznym świetle literatury, osoba duchowa w szeregu stworzeń umysłowych, żyjąca życiem właściwym sobie, wspólnem swojej myśli i formie, jednym i temże samem dla myśli i dla formy, poczynając się z jednego tchnienia, nadto odznaczona takimi cechami, tak sobie tylko właściwymi, że przez nie dopiero

zostaje prawdziwą jednością, różną od innych jedności, zgoła: osobą. Nie dosyć więc dla artysty pochwyć pomysł, rozwinąć go, rozdzielić na części: potrzeba jeszcze wynaleźć odpowiednią mu formę, sprzedaż jego członki, powlec jednością formy jedność myśli, wszystko to naznaczyć cechą wyszczególnienia, jednym słowem, stworzyć to, co w człowieku nazywamy ciałem. Cała ta praca jest tajemnicą sztuki pisania, której twórcza moc zależy także od natchnienia. Pod tym względem „Trzy Wieszczy” przynoszą Siemieńskiemu niepospolitą zaletę. Widać w nim sztukę pisania, posuniętą do rzadkiej doskonałości. Styl porywający swoją płynnością, jasny, że każdą myśl widać pod nim, jak dno strumienia za kryształem wody — a lubo zawsze jeden, jak światło, rozmaity przecież, jak światło, rozbarwione pryzmem, stosownie do przedmiotów, które maluje, do uczuć, któremi dzwoni, do myśli, któremi błyska — zawsze żywo malowniczy, zawsze naturalny, łatwy i nacechowany rzadką poprawnością, nie sztuczną, nie mozolną, ale tą, którąby można nazwać „od niechcenia“.

Te same posiada zalety główny żywioł stylu, język Siemieńskiego: bogaty, giętki, szlachetny, szczęśliwy. Widać, że płynie ze źródła niewyczerpanego, wyższego, z tegoż, co i myśli, z natchnienia, i że jest w ręku mistrza. Trudno w ogólnych wyrazach dać dokładniejsze o tym przedmiocie wyobrażenie; dowody w przytoczeniach byłyby zanadto liczne, są niepodobne; do samego więc dzieła odsyłamy niezaspokojoną ciekawość lub podejrzliwość, a tymczasem śmiało twierdzimy, że równie pod względem formy, jak pod każdym innym, „Trzy Wieszczy” są poematem oryginalnym, dziełem, jedynem w swoim rodzaju, nie mającym nic podobnego sobie w polskim piśmiennictwie i tak wykonanem, że w bardzo dalekiej przyszłości widzimy je na zajętem dzisiaj stanowisku.

Wszystko-ż wypowiedzieliśmy o utworze Siemieńskiego, co wypowiedzieć było potrzeba? Nie. Pozostała nam jeszcze do obejrzenia jedna z jego stron najważniejszych, bo strona samego poety. Stosunek między pisarzem a jego dziełem jest ściślej, aniżeli sądzimy zazwyczaj powierzchownie, kiedy idzie o przedmioty, ciągle nam obecne. Zdaje się, że znajomości dzieła bez znajomości twórcy czegoś nie do-

staje. Stąd ów interes powszechny dla wielkich pisarzy, dla wszystkiego, co ich dotyczy. Nie jest to próżna ciekawość; zjawisko owego interesu jest tak odwieczne, powszechne, stałe, nakoniec tak pół-religijne że nie godzi się kłaść go na równi z chwilowymi zachęciami drobnej ciekawości; przeciwnie, trzeba go śledzić w głębszem źródle istoty ludzkiej. I w rzeczy samej, każdy znakomity pisarz, artysta, poeta, jednym słowem, każdy prawdziwy twórca wlewa w swój plód część swojej duszy, swojego bytu — co większa, bierze jego pierwiastek, nieznany ziemi, ze świata zaziemskiego, objawia ziemi swojem istnieniem, tworzy częścią tej siły, przez którą sam jest, ożywia częścią swojego życia. Wszelki zatem plód sztuki jest częścią artysty, całością niepełną w oderwaniu od całości, co go poczęła; stąd, ażeby jego pojęcie było zupełne, powinno się dopełnić pojęciem samegoż artysty. Poema, o którym mówimy, zasługuje, zdaje się nam, na podobne wszechstronne obejrzenie; oto więc w kilku ogólnych rysach wiadomość, dotycząca jego twórcy.

Lucyan Siemieński urodził się w roku 1809. Miejscem jego urodzenia jest wieś Kamienna Góra w obwodzie Żółkiewskim, w stronie Polski, przez Austryą zagrabionej. Był to czas, było to miejsce pamiętne w naszych dziejach narodowego ruchu; miło nam wierzyć, że Opatrzność, powierzając duszy naszego poety piękne jego posłannictwo, zesłała ją na ziemię z zamiarem, w okolicznościach, które dla dusz zwyczajnych przeszły bez żadnego na nie wpływu. Polska była naówczas w podniesieniu ducha: szlachetnym zapalem gorzało polskie powietrze, burza walki narodowej przebiegała okolice. Takim to powietrzem odetchnął po raz pierwszy Siemieński, taki ruch kołysał kolebkę niemowlęcia-poety — przez podobną chwilę powitania się z Polską powinien był zostać tem, czem jest dzisiaj. Zaopatrzone w początki nauk domowem wychowaniem, posłany był do liceum lubelskiego, gdzie zostawał do zupełnego szkół ukończenia. Tam poczęły się rozwijać i objawiać poetyckie zdolności Siemieńskiego, a początkowe prace jego rozprószone są po ówczesowych dziennikach, mianowicie w „Wandzie,” wydawanej przez

Małecką, w „Tygodniku dla płci pięknej“ i „Rozmaitościach lwowskich“.

Siemieński opuścił Lublin w r. 1827; w roku następnym udał się na Ukrainę, aby towarzyszyć wujowi swojemu, pułkownikowi wojsk rosyjskich, na wyprawę turecką, w tym właśnie czasie przypadłą. Los inaczej zrządził: zatrzymał go w Odessie. Tam, przez stosunki, znajomości, związane z kilku Rosyanami, zbliżył się do źródła literatury staro-słowiańskiej i znalazł w swojej duszy strunę, odpowiedną jej poezyi: przekład „Wyprawy Igora,“ dokonany w tym czasie, ogłoszony był w jednym ustępie przez dziennik lwowski, zwany „Czasopismo biblioteki Ossolińskich.“ Siemieński napawał duszę Ukrainą, którą dzisiaj tak uroczu miał sobie przypomnieć, kiedy hasło 29 Listopada powołało naród do powstania. W styczniu Siemieński był już w Warszawie: lutnia na bok— i oto poeta w mundurze legii litewsko-ruskiej, z karabinem w rękę, przysposabia materiały dla pokolenia przyszłych poetów. Tak przedzwiagał ciężar powinności żołnierskich, trudów wojennych i klęsk ojczystej sprawy, aż do ostatecznej klęski, kiedy Bóg jeszcze raz położył na Polsce krwawą pieczęć upadku, jakby zachowując jej podniesienie godniejszym tego dzieła ręką, a bezsilnych robotników, jednych rozprószył na łaskę obcych, drugim kazał dźwigać znajome kajdany. Między ostatnimi był Siemieński.

W porażce pod Chodźczą dostał się on do niewoli rosyjskiej. Zawleczony do Żytomierza, później do Kijowa przetrwał w tem bolesnem położeniu aż do roku 1832, w którym, za staraniem się swojej rodziny, wzięty pod opiekę cesarza austriackiego, jako *jego poddany*, powrócił do Galicyi. Tu wszedł na nowo w swój zawód, ale z duszą i zdolnościami, rozwiniętymi przez czas i szkołę doświadczenia. W tymże roku przełożył „Rękopis Królowo-dworski“, który w roku 1836 drukiem ogłoszono. Pracę tę osądzili w swoim czasie właściwi sędziowie i przyznali jej wielkie zalety. Po niej następują pomniejsze, mniej więcej z krajowych pism znane. Siemieński odznacza się w nich głównie dwoma zaletami: raz jako pieśniarz ludu, drugi raz jako powieściopisarz; jako jeden i drugi

stoi w pierwszym u nas rzędzie. Ale duszy Siemińskiego spólczującej, czynnej, zawsze zewnątrz całej, bądź w miłości narodu, bądź w uczuciu obecnej niedoli powszechnej, bądź w upragnieniu lepszej przyszłości, nie mogły wystarczyć spokojne pisarskie zatrudnienia. Zajmowały one jedną tylko jej połowę; druga rzuciła się w wulkaniczny war podziemnych prac narodowych. Tam także poezya, wymowniejsza od poezyi wyrazów, bo poezya przykładów, silniejsza, bo gra na niebezpieczeństwach widocznych, wznioślejsza, bo jej wtóruje poświęcenie się niedwuznaczne, godniejsza nakoniec prawdziwego poety, poety ludu, bo każdą myśl miłości ku niemu natychmiast w czyn zamienia. Siemiński i w tej poezyi niepoślednie zajął miejsce, tak wreszcie widoczne, że, zagrożony pewnem więzieniem, zmuszony był opuścić rodzinną ziemię i jest dzisiaj we Francyi.

Opuśczenie narodowej ziemi nie przygasiło narodowej myśli, nie zmieniło kierunku działania. Potrzeba mu było tylko ogniska, któregoby jednorodność pociągnęła jego myśl główną, gdzieby widział najsilniejsze skupienie, najwyraźniejsze wcielenie myśli ludowladnej, gdzieby znalazł, obok organizacyi ogółu, związanej hartownie prawami jedności i porządku, zupełną swobodę rozwijania osobistych przekonań demokratycznych, gdzieby miał nakoniec najpewniejszą rękojmię skuteczności prac swoich i najprostszą drogę do Polski. Znalazł to wszystko w Towarzystwie Demokratycznym Polskiem i został jego współpracownikiem. Z radością powitaliśmy ocalonego na swobodniejszym polu działania. Opatrzność jedno główne wydzieliła mu stanowisko, jedną główną obarczyła go powinnością. Zrobi więcej, niż mu kazano? tem większa jego chwała. Ale przedewszystkiem powinien strzedz swego miejsca, bo tam nikt go nie zastąpi — i niestety! — niewielu ma towarzyszy — a na niem dopełniać swojej powinności, bo tej nikt za niego nie zrobi. Tem stanowiskiem jest poezya ludu, tem powołaniem jest nawracanie umysłu narodowego ku przyszłości Polski ludowej. Tam nasza siła, tam nasze zbawienie.

Narodowe nieszczęścia powinny były, zdaje się, dosta-

tecznie już o tem przekonać; nie przekonały jednak. I cóż podstawiamy na to miejsce? Trochę ciężaru, ujętego z jarzma ludu, a dodanego berłu — trochę mniej wolności dla szlachty, trochę więcej przywilejów dla senatu, prawa boskiego, przewagi księżej i tym podobnych mętów religijnych, ile można, jednym słowem: Polska, jak była, tylko znacznie gorsza. Tymczasem komedia emigracyjna, otwarta przez farsę sejmu, zamknięta liryczną sceną naczelnika de facto, przeplatana melodramatem w nieoznaczonej liczbie aktów, taniec dyplomacyi na linie — oto zbawienie Polski! I wzięliśmy się do dzieła. W czymże jest to działanie? Potworzyliśmy systemata, rozbiliśmy się na koterye, podnosimy na dziennikach, jedni sejmy dla sejmu, drudzy sejmy dla króla, ci naczelnika de facto, tamci monarchię Adama, jeszcze inni znakomite osoby, wielkie zasługi, a wszystko pod hasłem niby przeszłości! Ależ te zasługi, te osoby, te sejmy, te władze, te monarchie, stały już tam, dokąd je znowu dźwigacie, a z upadkiem ostatnim narodu spadły tak ciężko, że skorupy tylko nich pozostały. Popatrzcie tylko bez uprzedzenia. Ale wy to wiecie, wy nie widzicie w nich samych pewnego zbawienia; chcecie ich podstawić tylko za narzędzia pomocnicze jakiejś siły poza Polską: może stosunki polityczne Europy, może miłosierdzie boskie — a wtedy i oni się przydadzą...

Jest-że to wiara polska, wiara, pewna, jak w Boga, zbawienia siebie przez siebie? Możecież wy mieć nadzieję, że sprowadzicie kiedykolwiek naród na tę drogę? Wszak to widoczne zwątpienie: zníženie się religii polskiej od twórcy

¹⁾ Wyrzutu naszego nie zastosuje do siebie ta część narodu, która sercem ludu umiała odgadnąć przeszłość Polski, wzniosła się przez miłość wyższą nad stanowisko narodowe, widzi przyszłość ojczyzny w urzeczywistnieniu tej miłości, w oparciu na niej społeczeństwa polskiego, w rozszerzaniu zasad braterstwa, wolności, równości do wszystkich jego członków zarówno, wierzy w nią całą duszą, ciąży ku niej wszystkimi siłami; ale do tych jedynie, co kierowani mylnem widzeniem, lub sercem nieczystem, przedłużają męczeńską pielgrzymkę narodu wykrętami polityki bez szlachetności, bez podstawy w ogólnym duchu, bez ognia wiary; oddalają odrodzenie się Polski, usuwając konieczny jego warunek, bezpośrednią przyszłość ludową.

narodu do dzieł jego, od całości do części — istne bałwochwalstwo. Stąd próżnia w dźwięku waszych kazań, mglistość waszych nauk, niewłaściwość, nedorzecznosc przedstawianych sposobów, we wszystkim pozory, nigdzie istoty ożywiającej, żadnego współczucia między wami a narodem, żadnej spójni z twórczą potęgą jego ducha; stąd obojętność na wasze prace, wstręt ku wam narodowej masy. Bładzicie równie, jeżeli kładziecie w nich wiarę zupełną. Składacie zbawienie Polski w tem, co ją zgnubiło, mogąc zbawić, co już raz nie chciało, czy nie umiało dopełnić zbawczego powołania — i spadło z jego wysokości. Czy myślicie, że przyszłe będzie niższe, łatwiejsze — że wybrańcy wasi zdołają mu lepiej odpowiedzieć, jak poprzedzającemu? Jeżeli wy temu wierzycie, to zapewne nie Polska. Ona ma pojęcie zdrowe, bo jest źródłem wszystkich rozumów pojedynczych, a zdrowe pojęcie nie widzi potęgi w niedoleżności.¹

Sprawa nasza święta; niepokalanym być musi zbawiciel. Nie powinno być na nim żadnej plamy krwi bratniej, żadnej lzy skarżącej, żadnego wyrzutu, żadnego grzechu z przeszłości; dlatego Polska widzi swoje zbawienie w duchu całego ludu, w jego objawieniu się zupełnem. Tam chrzest, obmywający z dawnych przewinień, błogosławieństwo nowych zapaśników — tam miłość, braterstwo, wspólne dobro, połączona wola, najwyższa potęga, bo jeden cel, wznioślejszy, jaśniejszy, jak dotychczasowy — tam sejm, władze, ludzie, godni miejsc swoich, bo cały naród odżyły — tam Polska. Nie wierzycie, nie słyszycie jej głosu? A ona jednak wyraźnie przemawia; tak wyraźnie, że już Moskale i Niemcy usłyszeli ją i pojęli. Przed kimże to ich zbiry są w tym ruchu ustawicznym? Kto zakłóca raz po raz królewskie ich myśli, trzyma w ostatecznem naprężeniu królewskie cugle? Kim się zaludniają ich więzienia, stroją szubienice? Czyja krew coraz bardziej cięży na wadze ich zbrodni? Oto apostołów ludu, ludzi przyszłości. Szaleńców! — Może być — ale jakich szaleńców?

¹) Ona także buduje na przeszłości, szuka w niej podstawy i rękojmi dla przyszłości, i nie znajduje ani jednej, ani drugiej w tej jaką jej podsuwacie: wasza podstawa runęła już raz pod nią. Niedostateczna także rękojmia, z jaką stajecie do władzy.

O, niech cały naród zostanie takim szaleńcem, pójdzie na śmierć z taką gotowością, z taką odwagą, a będzie zbawiony. Może nim zostać i zostanie.

Wam, poeci, przodkować w tem dziele. Zostawcie zimnemu rozumowi dziennikarzy, publicystów, dyplomatów, ich królów, ich sejmy, ich względy na gabinety, na stosunki polityczne, na przewagi materyalne nieprzyjaciół; niech sobie kleją z tych kombinacyj swoje budowy. Ich to rzecz, rzecz to rachuby brać gotowe materyały, urządzić je i popsuć wkońcu; ale naprawiać, wynajdywać, tworzyć — to wam zostawione. Błąd i nicosię leżą u kresu wszelkiej zimnej rachuby; natchnienie tylko jest nieomyłne i twórcze. Jego powinność: oświecać i prowadzić rozum; idźcie-ż mu w pomoc. Od wieków mieliście dar wyśpiwania, czego uszy nie słyszały, objawienia, czego oczy nie widziały — od wieków byliście prorokami, cudotwórcami: wznieścież się do prawdziwej waszej wysokości, bądźcie, czem powinniście. Oto naród do zbawienia swojego potrzebuje cudu, któryby zapalił wszystkie serca jednym, wyższem uczuciem, rozjaśnił wszystkie umysły jednym, narodowem pojęciem, związał jedną wolą wszystkie chęci i pchnął wszystkie ku jednemu celowi. Zróbcie mu ten cud, wytknijcie ten cel, pokażcie mu przyszłą Polskę, Polskę ludową w całym blasku, ogromie, uroku — a miłość ku niej z niej samej wypłynie, a jej ożycie będzie sprawą jednego tchnienia narodowego.

O, tylko śmiało! Nie na gorzkie płacze,
Nie na kancony w puściźnie wam dali
Gęś przedbojańską owi trzej oracze,
Co pieśni mieli, a nie mieli stali.
Na ziemi Lecha stal rodzi się z pieśni:
„Bogarodzica“ Polska nam stanęła,
Mazurkiem: „Jeszcze Polska nie zginęła“ —
Hymnem Marsylskim któż nie śni?

PAMIĄTKI JPANA SEWERYNA SOPLICY CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO. ¹

I.

Kiedy umysł narodu zaczyna rozwijać się w dojrzałość, naówczas można twierdzić ze wszelkiem prawdopodobieństwem, że życie tego narodu ma już zapewnioną sobie przyszłość, jakiegokolwiek byłoby jego materialne położenie. Umysł narodu rozwija się w dojrzałość, kiedy tak wyraźnie przegląda swoją przeszłość, z jakim zapalem i wiarą rzuca się w przyszłość; niezawodnym tętmem owego stanu jest literatura narodowa. Literatura w owej epoce jest żywiołem, pociechą, najdroższym skarbem dla swego społeczeństwa. Z chlubnym zadowoleniem możemy powiedzieć, że literatura polska stoi już dzisiaj na tym stopniu. Jeżeli nie doścignęła jeszcze zupełnej doskonałości, jeżeli nie ułożyła się jeszcze do harmonii owego wszechstronnego rozwijania się, jeżeli w pojedynczych zjawiskach może podpadać zarzutom surowej narodowej krytyki — to ogół tych zjawisk daje niezaprzeczone świadectwo o wielkiej sile żywotnej umysłu polskiego, z którejkolwiek strony w oblicze mu zajrzemy. Jest to już drzewo, zasadzone przez Opatrzność na wiekach dla wieków; widomie, pod okiem naszym, korzenie jego zapuszczają się coraz głębiej w lata ubiegłe, utrwalają podstawę jego, żywotnymi sokami staroświeczechy zapewniają mu wzrost bujny, zdrowie trwałe i czerstwe, kiedy z drugiej strony część jego nadziemską, wieniec liści, zagęszcza się coraz bardziej młodemi altoroślami, rozkłada

¹) Dzieło Henryka hr. Rzewuskiego. Krytykę Goszczyńskiego drukował „Demokrata polski“ w czerwcu i lipcu 1841 (tom IV.)

się coraz obszerniej, buja coraz wyżej w przestworach przyszłości.

Owe nasze doktryny religijne, teorie socyalne, systema polityczne, byłyby niczem więcej, tylko marzeniem próżniaczem, paroksyzmem epidemii humanitarnych? Byłyby niemi bez jednej myśli głównej: bez myśli polskiej — nie są jednak z tej przyczyny, że wszystkie zahaczają się o najważniejsze dziś dla nas zagadnienie, o myśl bytu Polski. Wszystkie przechodzą przez miarę tej skali, wszystkie tak są nastrojone do grobowego jej tonu, że powinny zabrzmieć naprzód wojenną pieśnią powstania, potem uroczystym tryumfalnym hymnem odrodzenia się, a wkońcu grać poematem życia, długiego, jak życie ludzkości. Jeżeli zaś w całym ich tłumie jednej tylko wybranej myśli zachowane to wysokie przeznaczenie, to i tak nie godzi się wskazywać odsuniętej reszty na wieczne potępienie; w każdym razie ogół ich dowodzi czynności, pełności umysłu polskiego, piastuje w łonie swoim Polskę. Jest to nasza polityka, nasza religia narodowa, jest to narodowa literatura naszej przyszłości, albo, mówiąc inaczej, jest to strona przyszłości w naszej literaturze.

Rozleglejszem jeszcze i wyraźniejszym licem błyszczy w niej przeszłość. Tak chce przyrodzony porządek rzeczy, tego potrzebuje późniejsze życie narodu — a najznakomitsze nasze talenta zrozumiały ten rozkaz Opatrzności i poszły za nim. Do rzędu ich liczymy pisarza „Pamiętek J.P. Seweryna Soplicy.“ Nad jego więc dziełem pozwolimy sobie kilka uwag w duchu przekonań, powyżej wyłożonych.

Wszechstronne obejrzenie „Pamiętek pana Soplicy,“ wysnuć na jaw całej zawartej w nich nauki, odsłonić chociażby tylko piękności, rozsypanych po tem dziele, dostarczyłoby wątku na niejedną rozprawę; zostawując tak miłą, korzystną i konieczną pracę właściwszym piśmom i sędziom, przestaniemy jedynie na kilku rysach ogólniejszych, przypadających do miary niniejszego dziennika, w taki jednak sposób, ażebyśmy dali jak najprawdziwsze o nich wyobrażenie.

Dzieło to jest prostym zbiorem opowiadań, bez koniecznego, logicznego między sobą związku. Scena ogarnia

całą Polskę, a występuje na nią szlachta polska, szlachta wieku zesłłego w całej swojej masie, począwszy od demagoga szlacheckiego aż do nadwornego kozaka. Główną osobą, osobą, wiążącą owe opowiadania w całość dzieła, jest sam opowiadający, Seweryn Soplica, cześniak parnawski. Stary to, ośmdziesiątletni Polak, szlachcic, katolik, konfederat Barski, człowiek, rozumny rozumem, nabytym nie tyle w szkołach, ile przez doświadczenie życia czynnego publicznego, to wśród obozów konfederackich, to na pokojach wiejskich dworów, to przed kratkami trybunałów; pokorny przed Bogiem, obyczajów surowych, języka szczerego, prostego serca, prawości w całym życiu nieskazitelnej, nieograniczonego przywiązania do kraju, obok tego wielbiciel dawnych panów, niektórych domownik, innych przyjaciół — zakochany w swoich czasach, widzący w nich przedewszystkiem piękną ich stronę, rozdany na młode pokolenie, przyganiający jemu, nieprzyjaciół nowych wyobrażeń i tak dalej. Charakter nowy, piękny, osoba rzeczywista, niepospolita; wszystko to, razem może dostarczyć osnowy do wielkiego i zajmującego dzieła — i dostarczyło. Około p. Soplicy, jak około osi, obraca się wiek Stanisława Augusta; na pomysł p. Soplicy, jak na tle obrazu, ustawione, co tylko najwydatniejszego z czynów i osób w owym czasie. I jest na co popatrzeć. Polska w pierwszej połowie panowania Poniatowskiego, w chwili przechylenia się ku niesłychanym klęskom; naród szlachecki nad zachodem swojej potęgi, błyszczący ostatnimi promieniami dawnej wielkości — walka jego z wewnętrznem psuciem się i przemocą zewnętrzną, walka o berło milionów i wieków — wystawa magnatów, przywodzących krocim szlachty, gdzie najlichszy miał prawo królowania — majestat i życie trybunałów, obozowe sceny konfederacji barskiej i nieświeskiej, banda albańczyków, złożona z czoła litewskiej młodzieży, przebiegająca wzdłuż i poprzek Litwę, polując, pijąc i rąbiąc się w pałasze; sicz zaporoska, rozbójnicze nawet pieczary — oto są grupy, oto ruch tego obrazu. W harmonii z temi grupami są pojedyncze figury. Dostyć wymienić z nich niektóre, jak np.: Radziwiłł, Sawa, ksiądz Marek, Rejtan i tym podobni; jedni znani nam z podań, inni

tak wystawieni, jak żebyśmy przypominali sobie zapomniane podania. A cała ta obrazowa strona opromieniona światłem szlachejnych przekonań. Religia, obyczaje dobre, miłość ojczyzny, poświęcenie dla niej, uszanowanie praw, zgoda, czego tylko potrzebuje nasz czas, nasza dzisiejsza Polska, przypomniane jest umysłowi polskiemu, ożywione czynem lub osobą w opowiadaniu lub rozumowaniu, prostem, mocnym, naturalnym, dalekiem równie od pretensyi kaznodziejskich, jak od oschłości strofującego pedantyzmu. Pod tym względem każda niemal powieść ma właściwą sobie wartość. Nie możemy przenieść na siebie, ażebyśmy nie wymienili niektórych przynajmniej: Sawa, kazanie konfederackie, pan Leszczyz, Tadeusz Rejtan — powinny być nie przez jednego i nie raz odczytywane.

Taki jest najogólniejszy widok dzieła, będącego w mo-
wie. Rozjaśnimy go i rozprzestrzenimy cokolwiek kilka-
słowa mi o talencie i sposobie, z jakim je pisarz wykonał.

Pierwsze, główne prawo pisarza do chwały leży w głównej osobie jego dzieła, w osobie Soplicy. Charakter nie tylko piękny, ale prawdziwy. Podobny charakter może objawić się jedynie prawdziwemu, wyższemu natchnieniu; a kto tak pojęty potrafi przeprowadzić przez całe dzieło, nie usterknać w odcieniowaniach jego, ledwo dojrzanych, osnuć na nim harmonijną całość najróżnorodniejszych szczegółów, czynów, zdań, osób — ten dowodzi, że natchnienie jego nie jest chwilowe, że ma w swojej duszy coś, co rozkazuje samemu-ż natchnieniu, trzyma je na wędzidle, kieruje niem, jak chce, i tak długo, dopóki nie wysnuje z niego całej przędzy, potrzebnej do ogółu dzieła. Podobne wyznaczenie musimy zrobić, pojrzawszy na inne postacie jego utworu. Wiele z nich widzieliśmy już mniej więcej w podaniach; podaniom przyświadczać żyjący jeszcze, współcześni bohaterom Soplicy. Jeszcześmy się nie oddalili tak bardzo od ich czasu; jeszcze dmucha na nas powiew, który idzie od ulatującego wstecz ich wieku — jeszcze owe dzieje związane są z naszymi arterya, pełną krwi ciepłej, żywej, krążącej — jeszcze widzimy to pokolenie, lubo w przymgleniu, lubo w pół-uduchowieniu; możemy więc porównać z nimi ich obrazy. Dla artysty ciężka próba. Położył jej pisarz So-

plicy; ujął on ten czas, te dzieje, te postacie w ich polocie ku wieczności umarłej i ukształcił w pomnik dla wieczności żyjącej. Możemy dziś być spokojniejsi o los podań ustnych.

Jak w całym dziele „Pamiętek Soplicy“ niema koniecznego związku pomiędzy szczególnymi jego częściami a całością, tak i w pojedynczych powieściach nie dostrzeżesz owej sztuki, owego najczęściej kuglarstwa nowoczesnych, a zwłaszcza francuskich powieści. Pisarz nie wywija się przed tobą, jak skoczek na linie, nie rzuca ci w oczy blaskiem niezwykłych myśli i wyrażań, pozornem złotem upstrzonych, nie wodzi cię po labiryncie intrygi, nie wstrząsa twoich nerwów teatralnym gromem: cały urok jego powieści w prostocie — interes w głębi przedmiotu, a sztuka w czarodziejskiej sile wskrzeszania przeszłości.

Do zupełnej doskonałości tego dzieła brakuje tylko, ażeby ułożone było według pewnego systematu, rozwijało się w duchu pewnej głównej myśli, logicznego następstwa powieści. Ten jeden warunek, zachowany, postawiłby „Pamiętki Soplicy“ w rzędzie najdoskonalszych narodowych europejskich romansów; wszakże i z tą niby wadą i w tej formie, jaką dziś mają, górują one o wiele nad tłumem powieści, romansów, poematów nawet, tak naszych, jak obcych, przez prawdę malowidła, wybór osób, niewyczerpaną różnaitość charakterów i zdarzeń, grę wszystkich stron poczciwego polskiego serca, wreszcie przez opowiadanie, pełne interesu, uroku klasycznego spokoju i tej wzniosłej prostoty, mogącej się tylko uosobić w dawnym szlachcicu, który przy całym swoim ubóstwie czuł, że rozkazuje tak królom, jak chłopom.

Pod tymi wszystkimi względami oddajemy szanownemu pisarzowi zupełną sprawiedliwość i przedstawiamy go najoryginalniejszym młodym artystom, jako wzór, godny wyuczenia się i naśladowania.

W drugim artykule obejrzymy „Pamiętki Soplicy“ z innego stanowiska.

II.

Gdziekolwiek jest życie narodu niepozorne, nie skupione wyłącznie we władzach lub pewnej części ludności.

ale robiące we wszystkich umysłach, grające wszystkimi sercami jej ogółu; gdzie przeto jest życie, co się zowie publiczne — tam literatura, aby odpowiadała potrzebom narodu, rozwijała wszechstronnie jego władze, odbijała go wiernie swoim zwierciadłem, stała na wysokości jego umysłu, aby, jednym słowem, dopełniała sumiennie swojego powołania i dostąpiła zaszczytu narodowej literatury — musi żyć w sferze publicznej, czyli, mówiąc zrozumialszym dziś dla nas językiem, musi być w najważniejszej swojej części polityczną.

Ta cecha publiczności, ten polityczny kierunek, objawiają się już bardzo wyraźnie we współczesnej polskiej literaturze. Dzisiejszym, jak pisarzom, tak czytelnikom, chodzą już nie o samą tylko sztukę, nie o świat, oderwany od ziemskiego, nie o rozrywki czysto umysłowe — ale o życie rzeczywiste, o zasadę bytu narodowego. Tak artyści, jak czytelnicy, są dziś przedewszystkiem Polakami, a więc ludźmi politycznymi. Ten stan literatury wytyka drogę polskiej krytyce i wywołuje zarazem konieczność jej kapłaństwa.

Bo czyż sposób, ażeby tak masa czytających, jak pojedynczy pisarze, jakkolwiek zaprzątłeni jedną spólną myślą, nie wybiegli czasem, bądź jedni, bądź drudzy, z kolei narodowej, szli zawsze obok siebie w zupełnym rozumieniu się, w jednakowym widzeniu ogólnego celu, a niekiedy z równie czystymi dla ogółu chęciami, ze wszelkimi wyrzeczeniem się osobistych swoich korzyści, wyłącznych uprzedzeń, indywidualnych nałogów? Niekiedy masa może być za niesforna, a pisarz za dumny — inną razą, popchnięta za mocno zapalem ku nowości, posunie się dalej, niżby należało, tak, jak pisarz, rozmiłowany w starych cackach więcej, niż one warte, zechciałby dla nich cały ogół z drogi zawrócić — czasem znowu wyprzedzi zuchwale swój naród, gdy ten, przeciwnie, w płonnym przewidzeniu jakiejś zawady stanie w miejscu i ruszyć nie chce; może nawet wystąpić pojedynczy umysł z krótkiem co do ogólnego celu widzeniem, ale z dostatecznym zapasem zdolności, aby pochwycić masę w chwili jej rozrągnięcia i z bitej drogi sprowadzić ją na swoją ścieżkę. Wszystko to może być w życiu narodów, może się także

przytrafić i w naszym obecnym położeniu, a następnie mącić pojęcia, niweczyć usiłowania, przedłużać bolesne przesilenia narodowego stanu — potrzeba więc siły pośredniej między pisarzami i czytelnikami, któraby zarażać niedogodnościami, jakie z ich nieporozumień wynikać mogą. Za taką siłę uważamy krytykę.

Krytyka nie jest wyłącznie ani wyrazem ogółu czytających, ani stronnikiem pisarzy. Jej stanowisko całkiem bezstronne, niepodległe, wyższe niejako; tem stanowiskiem jest duchowy pierwiastek narodu, główny pomysł, rozwijający jego życie stosownie do rozmaitych położzeń w czasie i pośrodku okoliczności. Z tego stanowiska duch krytyki powinien obejmować całą drogę narodu od jej poczęcia się w przeszłości aż do ostatnich przyszłości kończyn; jej oko powinno się rozpatrywać we wszystkich szczegółach spólczesnego wieku i okoliczności, działających na naród — jej głos nakoniec powinien prostować pojęcia tak czytelników, jak pisarzy: czytelnikom odkrywać istotę pisarza, jego widoki i dążenia — pisarzom przedstawiać potrzeby narodu — utrzymywać obie strony we wzajemnej sobie znajomości, zbliżać ku sobie, kojarzyć głównym narodowym interesem, wskazywać najwłaściwszą drogę do spólnego celu tak jednym, jak drugim, krótko mówiąc, powinien być tem dla literatury, czem jest sumienie dla człowieka. Tak w ogólności pojmujemy krytykę narodową; w tym duchu będziemy usiłowali sprawować jej urząd, ilekroć powołani do niego zostaniemy względem na korzyść publiczną i pocujemy się w sile dostatecznie mu odpowiedzieć — w tym też duchu zastanowimy się nad „Pamiętkami P. Soplicy.“ Należą one do dzieł, o których napomknęliśmy wyżej, że są najważniejsze przez swoją stronę polityczną. Dawszy w poprzedzającym artykule ogólne o nich wyobrażenie pod względem sztuki, w niniejszym zajmiemy się jedynie politycznym ich obliczem.

Osobę Soplicy odznaczają szczególnie dwa główne rysy: jest tam Soplica, człowiek Polski całkiem jeszcze szlacheckiej — i Soplica, sędzia Polski dzisiejszej. Pod temi dwoma postaciami zamknięte jest wszystko, cokolwiek nas w „Pamiętkach Soplicy,“ jako Polaków, obchodzić

może. Oceniając więc główną osobę dzieła, wykażemy dostatecznie duch cały jego, zdamy czytelnikom sprawę z najważniejszej jego strony.

A naprzód co do Soplicy, jako utworu historycznego i człowieka przeszłości.

Stary czas ma zawsze pewny urok już przez to samo, że należy do życia narodowego, że przeminął i nie wróci więcej. Jakikolwiek byłby, jest on zawsze dla narodu tem samem, co dla człowieka młodość, niepowrotnie ubiegła, choćby nawet niebardzo szczęśliwa. Cóż dopiero, gdy marzymy o tej młodości na widoku rodzicielskich grobów, w pustkach ojczystej zagrody, pod burzą obecną, pod wątpliwą pogodą, a o przeszłości narodu na jego gruzach i mogiłach? Łatwo wtedy zapominamy o kolcach rozkaszanej drogi, o chmurach, co zasępiały niebo, o boleściach, co zatrzymały uciechy życia, a w ludzącem oddaleniu czujemy tylko woń różaną, patrzymy na niebo, obrzucone obłokami, jak na malowidło, wygrzebujemy w duszy same zabytki rozkosznych upożeń i nieraz gotowi jesteśmy za jedną chwilę przeszłości oddać wszystko, co jest i co być może. Niemala to zapewne rozkosz, stan podobny. Ale jak ten, co ją wzbudza, tak ten, co jej używa, powinni się trzymać pewnych granic. Niepożyteczna w kółku indywidualnem, może być ona bardzo szkodliwą w sferze narodowej, kiedy grobową ponętą odciąga od życia obecnego, poświęca rzeczywistość marzeniom, podnosi na lonie narodu bezpłodną a jednak morderującą walkę tego, co być musi, z tem, co wrócić żadną miarą nie może.

Ta była pierwsza myśl, którą w nas obudziło czytanie „P. Soplicy.“

Pod niewinnym pozorem historycznego malowidła tyle tam światła rzucono na przeszłość i w taki sposób, że epoka nasza dosyć się nędznie przy niej wydaje. Jest to wprawdzie złudzenie, niebezpieczne tylko dla oczu, niewtajemniczonych w czarodziejstwo sztuki, ale mimo to mogące mieć wpływ szkodliwy na niektóre umysły, mniej zdolne do zastanowienia się, mniej obeznane z rzeczywistością przeszłego wieku, pomijające dla świetnej całości takie szczegóły, które stanowią prawdę obrazu, a za-

tem bardzo łatwe do uwiedzenia. Zgadza się, że p. Soplica nie miał zamiarów tak podstępnych, nieprzychylnych naszym czasom — ale wiemy z drugiej strony, że ta nieprzychylność, ta przewrotność jest pomiędzy nami; w rękach więc takich p. Soplica może mimowolnie zostać narzędziem złego.

Z tego powodu uważaliśmy za powinność rozebrać go cokolwiek z ozdób artystycznych i przedstawić w świetle rzeczywistości. Nie nasza wina, jeżeli nie zawsze wydamy się jego wielbicielami. Nie uwłacza to bynajmniej ani pobożności, ani cnotom, ani patriotyzmowi p. Soplidy. W przekonaniu naszym usprawiedliwiamy go czasem, w którym żył, wyobrażeniami, w których się wychował, niemocą wieku fizyczną i jej następstwem, niemocą umysłową, nieszczęściami publicznymi, na które patrzył, a które jeszcze patrzy — wkońcu miłością, bardzo naturalną, po części nawet chwalebnią, dla swoich czasów, dla swoich ludzi, których oglądał okiem pełnym czerstwości, a którym podobnych dzisiaj znaleźć nie może, czy to, że słabiej widzi, niż dawniej, czy, że tam ich szuka, gdzie dawniej znajdował. Usprawiedliwiamy go tem wszystkimi, czem można usprawiedliwić człowieka innego czasu, innego stanu rzeczy, niż nasze, dzisiejsze; jesteśmy w tem wyrozumiali, o ile można; mimo to jednak nie pozbawiamy się prawa osądzenia go ze stanowiska naszego czasu, dzisiejszego stanu rzeczy, wyrzeczenia, co on widzi inaczej, jak my widzimy, jak widzieć powinniśmy, zwłaszcza, gdy mamy powody tak ważne, jak te, któreśmy wyżej wymienili.

P. Soplica przede wszystkim jest człowiek pobożny. Tak znamy całą wartość religii dla społeczeństwa, tak chętnie przyznajemy duchowi religijnemu, że był głównym piętnem minionych naszych dziejów, a co ważniejsza, przyłożył się niemało do rozwinięcia pocziwych sławiańskich usposobień w charakter, pełen poświęcenia, który wyniósł Polskę pod tym względem nad inne narody, tak czujemy jego potrzebę w dzisiejszych trudnych okolicznościach narodu — że z całej duszy łączymy głos nasz z jego głosem, ile razy uwielbia religijność przodków i każe ją naśladować.

Ale pan Soplica nie oddziela religijności od katolicyzmu. Dla niego jest to bardzo naturalne; nie tak naturalne dla nas. Czy to katolicka strona oka naszego tak osłabia, że go w całym ogromie obejrzeć nie możemy, czy oko samo tak się rozszerzyło i rozjaśniło, że przeszło za granice katolicyzmu w głąb i w zwyz — o to mniejsza. Dosyć, że katolicyzm podług nas jest w sferze religijnej taką cząstką, jak inne religie; ma obok strony jasnej stronę ciemną, obok zasług, wykroczenia; krótko mówiąc, wartość tak względną, jak wszystko, co raz zeszło do lichej dziedziny człowieka. Jest on zapewne lepszy w niektórych częściach od innych religii, zato w niektórych gorszy, a widocznie ulega, jak wszystko, podwójnemu prawu: zużywania się przez życie i przeobrażania się w coś doskonalszego. Dłuższy spór o tem zostawiamy do lepszych czasów Polski; dotknęliśmy te rzeczy dlatego szczególnie, że chcieliśmy i w p. Soplicy widzieć więcej pobłażania dla innych religii, a mniej uprzedzenia za katolicyzmem, przynajmniej do tej chwili, w której katolicyzm panów i szlachtę zniży do chłopów, a chłopów podniesie do szlachty i panów, rozszerzy wszystkie serca miłością wszystkich, zamieni cały naród w jedną rodzinę, obdzieli zarówno wszystkich jej członków korzyściami stanu społeczeńskiego, urządzi ją na myśli braterstwa, w całym znaczeniu tego słowa, a myśl jakiegokolwiek panowania, czyjejkolwiek przewagi wypędzi z niej na zawsze. O, wtedy my sami z rozkoszą przyjmujemy ostatnie jego namaszczenie. Dzisiaj niech przestanie na prawie do pobłażania, jakie się należy wszelkim religiom. Ale Jezuitom i tego prawa przyznać nie możemy, jakkolwiek szanujemy pana Soplicę i jego słabość dla nich; bo rzeczywiście jest to słabość, taka np. jak w pewnych stronach Polski, miłość żon do mężów za to tylko, że je biją. Jak dalece szczęśliwy, kogo tym sposobem rozkochać można, tego nie wiemy. Co do nas, my wolimy dzisiejsze szkoły ze wszystkimi ich wadami, a powody zdają się nam ważne. Między innymi, jesteśmy prawie pewni, że duch karności jezuickiej zaprawił niemało polskie szyje do jarzma zewnętrznego, w które popadli, i że jezuickie chłosty odrętwiły ich ciało i umysł na razy

i obelgi, przez wrogów zadawane. Mniej bici w szkołach, nie byłiby może pobici od Moskalów i Niemców.

Jest to zarzut wprawdzie ważny, ale pojedynczy, i mniejby znaczył, gdyby nie był jednym z tysiąca. Mamyż wszystkie wyliczać? Czyż nie dosyć rozwinąć dzieje przeszłego wieku a na czasy dzisiejsze popatrzeć, jako na ich skutek? Czyż nie dosyć rozważyć pilniej samego p. Soplicę? Widzimy w nim taki zasób wrodzonej poczciwości, rozsądku i innych dobrych przymiotów, że niezawodnie byłby nie powiedział wielu rzeczy niepotrzebnych, a które powiada dlatego tylko, że był w szkołach jezuitkich. Ale mniejsza o Jezuitów; jest to dziś ogień tak z daleka dopiekający, że émom tylko może być niebezpieczny; uwaga nasza zwraca się ku pobożniejszej stronie religijności. Może przesadzamy wskutek nieufności ku staroświeckim wyobrażeniom, których nieprzychylność dla siebie jasno widzimy, ale zdaje się nam, że pan Soplica w czynnościach tego świata, i to w takich na przykład, jak jest walka śmiertelna narodu z narodem, daje rolę zbyt ważną, modlitwom.

Nie mamy nic przeciw pobożności, pod jakąkolwiek jest ona postacią, ale z drugiej strony mamy przekonanie, że, jak wszystko ma swoje granice, tak równie i modlitwa. Powiemy więcej, że nie rozpaczalibyśmy o powołaniu sprawy polskiej, choćbyśmy widzieli mniej modlących się, niż ich dzisiaj widzimy. Dopelnienie swoich powinności czyli pobożność w czynie, potrafi, naszym zdaniem, dostatecznie zastąpić modlitwę w słowach: nadto ma ona tę korzyść, że zaspokaja razem i Boga i ludzi, a nie może być oszustwem, jakim jest często modlitwa słowna, kiedy się podsuwa na miejsce czynu. Gdyby tu było pole do obszernych rozpraw, dowiedlibyśmy jasno, że są przypadki, gdzie nikt nie zastąpi materialnej siły, że katolicyzm nawet urósł nie na samym tylko kwasie modlitw, że wreszcie sam pan Soplica więcej bił się, jak modlił, jak to widać z jego opowiadań — ale, skrępowani granicami ulotnego pisma, musimy przestać na ostrzeżeniu czytelników, żeby w tem zdaniu nie widzieli nic więcej, tylko słabość ducha, niezdolnego już wskutek wieku

do czynów, i naśladowali p. Soplicę nie z tego, co mówi, jako prawowierny katolik, ale co robił, jako dobry Polak.

Ilećkoć p. Soplica usunie z duszy i postawy pokorę religijną, a niekiedy jezuicką, tylećkoć jego oblicze, jego duch, jego cała istota przybierają fizyonomią szlachcica — i trzeba przyznać, że mu z tem pięknie, bardzo pięknie. Wie on o tem, nie przestaje więc na przystrojeniu siebie, ale wyprowadza całą masę szlachecką, cały ów świat cały ów czas szlachecki, i wszystko powleka takim urokiem cnót prywatnych i publicznych, takim blaskiem wielkości wewnętrznej i zewnętrznej okazałości, a zawsze na tak wielką skalę, że w pierwszej chwili czujemy się być mimowolnie upokorzonymi. Wszakże nie powinno nas to ani gniewać, ani upokarzać bardzo, ani ludzi.

Przystąpmy tylko bliżej i rozpatrzmy się. Powiedzieliśmy już wyżej, że pan Soplica jest to stary szlachcic; może-ż on inaczej występować i mówić, jak mówi i występuje? Odjąwszy mu nawet uprzedzenia szlacheckie, pozostaje starcem, jak każdy starzec. Chwali swoje czasy, bo swoje — swoich, bo swoich. Wszystko dobre u niego, co stare, dlatego tylko, że stare; baczni na to, nie gorszmy się jego mową, nie wstydzmy się jego świata, nie mrużmy oczu przed tym blaskiem: pierwszy to tylko wybuch tak nas razi; wpatrzmy się lepiej, a i tam plamek dostrzeżemy. Pan Soplica, jako stary Polak, ma także zaletę szczerego języka: słuchajmy go tylko cierpliwie, a jak się rozgada, wygada się z niejedną rzeczą, która bardzo zmienia ogólny pozór obrazu. Na próbę weźmy którekolwiek z przedmiotów jego uwielbienia, przejdźmy z nimi wszystkie jego powieści, postawmy obok siebie, cokolwiek o nich wypowiedział, porównajmy, a przekonamy się, że i wtedy było, jak dzisiaj, złe obok dobrego, a często złe górowało. Jeżeli w niektórych miejscach stawia wzór naszym czasom sprawiedliwość trybunałów, poszanowanie praw, patriotyizm szlachty, poświęcenia się możliwych — to w innych znowu znajdziemy wypadek, przez który Chrystus ukrzyżowany aż twarz odwrócił od sędziów trybunalskich, usłyszymy kazanie księdza Marka, zobaczymy upadające konfederacje. A oważ przeszlachetna szlachta, co dla pomszczenia swojego mecenasa

wyrywa sobie czupryny pod bokiem najwyższego sądu, batoży równych sobie braci — ów nawet sam wielki Radziwiłł, co też on nie wyrabia? Nie wszystko więc tam tak wielkie, tak piękne, tak godne naśladowania, nawet w opowiadaniu pana Soplicy.

Niech go nie martwi nasza uwaga. Zmyślałby, gdyby ten czas, tych ludzi chciał był przedstawić bez żadnej zmyzy; nasze dzisiejsze położenie zadaloby mu fałsz nieodpartym sposobem. Żeby ta szlachta była tak dzielna, tak pocziwa — żeby ci panowie byli tak godni ogromnych środków, którymi rozporządzać mogli na korzyść pospolitą — żeby takie dla praw było uszanowanie — żeby te czasy były tak dobre, czyż Polska byłaby upadła, bylibyśmy przyszli do tego stanu, w jakim dziś jesteśmy? Myślmy, że nie — i największą część winy zwalamy na ówczesną szlachtę.

Tu zdaje się nam stosowne miejsce powiedzieć, że nie jesteśmy wyznawcami tej szkoły, która naucza, że wszystko, co było, było dobre, dlatego, że było — ale, przeciwnie, mamy za wielką prawdę to правило, które o przyczynach każe sądzić z ich skutków. Według tego pravidła z dobra urodzi się tylko dobro tak, jak ze zła zło, nigdy dobro ze zła, lub zło z dobra. Zastosowując te zasady do ostatnich nieszczęść Polski, wyprowadzamy wniosek, że wiek ostatni musiał być zły, kiedy porodził nasze lata tak ciężkie, a że szlachta ten wiek wyłącznie wyobraża, szlachta więc przyszłego wieku nie musiała być taką, jaką ją Pamiętki P. Soplicy wystawiają, a dzieło jego uważać potrzeba za mozajkę, złożoną z kamyków mierzalnie pozbieranych. Ma ona niezaprzeczenie swoją wartość, jak ma każde dzieło, które przedstawia ludziom stronę jedynie piękną jakiegoś przedmiotu — ale wartości historycznej mieć nie może, nie może być nigdy uważane za wierny obraz szlachty w przeszłym wieku. Srodze więc omyliłby się p. Soplica, gdyby myślał, że je tak przyjmujemy; nierównie srodzej, gdyby się spodziewał, że swojemi powieściami przerobi dzisiejsze pokolenie na szlachtę, czyli zrestauruje szlachtę dawniejszą, przywróci ją do dawnego wpływu, znaczenia, panowania. Nie, takiej nieodzorności nie śmiemy podsuwać człowiekowi tak roz-

sądnemu, jak pan Soplica, a tem mniej bezimiennemu wydawcy jego pamiątek, który wie zapewne o tem, czego staroświecki Soplica może i nie wiedział, że nic nie jest bardziej szlachtą z potęgi, cnót a nawet rodu, jak lud cały. W ochocie też do szabli i szklanki nie ustąpi on żadnej na świecie szlachcie. Pomóżmy mu tylko zdobyć się na wolność chodzenia z karabelą i możność noszenia jakich takich kontuszów, a na miejscu miliona szlachty będziemy jej mieli dwadzieścia milionów, straszniejszej wrogom zewnętrznym, rządniejszej wewnątrz, a nadto bardziej polskiej, jak przeszła i terazniejsza.

Nie podobna wymagać po szlachcicu, ażeby się nie przywiązywał do panów, nie miał ku nim szczególniejszej przychylności, nie poświęcał się dla nich więcej czasem, jak dla narodu, nie troszczył się o nich więcej, jak o losy kraju, nie widział w nich uosobienia pomyślności, szczęścia, wielkości, chwały, bytu nawet swojej ojczyzny. Zdaje się, że pod tym względem Pan Bóg inaczej tworzy szlachtę, jak resztę ludzi; zdaje się, że albo im ujmuje jakąś część głowy, albo dodaje do zwyczajnej liczby zmysłów coś nakształt instynktów, właściwych zwierzętom, a rozmaitych, według rozmaitego ich rodzaju. Ten instynkt widzimy jeszcze w młodej, społecznej nam szlachcie; cóż więc dziwnego, że w starym p. Soplicy tak wyraźnie przebija się jego uszanowanie, jego miłość dla Panów. Pojmujemy to łatwiej, gdy weźmiemy na uwagę, ile to dobrego p. Soplica od panów doświadczył: a wdzięczność, to tak szlachetne i miłe uczucie, psu nawet nieobce; brzydkoby też było ażeby pies zawstydził w czemkolwiek szlachcica polskiego. Dlatego też p. Soplica szczerze kocha panów i wszystkimi głosami pod niebo ich wynosi. Ale czy w tych pochwałach ma jakie widoki polityczne? Czy chciałby w pełnem uczuciu swojej wdzięczności widzieć ich dzisiaj, czem byli dawniej, w ówczesowej świetności, przepychu, zbytkach, przewadze nad resztą narodu, a resztę narodu szlachetną i nieszlachetną w służalstwie? Nam się zdaje, że nie.

Chwali on panów swojego tylko czasu i wszędzie prawie powiada, dlaczego chwali: ten go wychował, ten obdarzył majątkiem, tamten dobrze pił, ów posłuszny był Jezuitom,

inny znów narażał się w przygodach kraju, i tym podobnie. Ma więc rozumne powody do chwaleń. Ale obok tego widzi różnicę między dawnymi a teraźniejszymi panami, i to różnicę bardzo niekorzystną dla potomków: co większa, zdaje się, że postrzega różnicę między dawniejszym a teraźniejszym gminem narodowym. Wątpimy więc, ażeby przy swoim zdrowym rozsądku mógł marzyć o przywróceniu dawnego wpływu panów na Polskę, jak wątpiliśmy względem szlachty. A gdyby i marzył, byłby do usprawiedliwienia wielu osobistemi względami i w naszym rozumieniu uchodziłby zawsze za mędrszego, jak ten, ktoby słowa jego brał za nauki ewangeliczne, słabości znękaney duszy za przymioty, godne przeszczepienia i wstępowania w ślady, które już połową wieku zrosły i zaległy gruzami tylu pałaców.

Kiedyż bo to tak piękny ów widok dawnych polskich panów! Prawda, że piękny, prześliczny; my sami lubimy przyglądać się jemu: ale czyż wszystko, co piękne, ma być zaraz i dobre? Szatan ma być także piękny. Czciemy przeszłość, dziwny się dawnym panom, takim zwłaszcza, jakich nam Soplica na wzór wystawia, naśladowujemy dobrą ich stronę, módlmy się do nich, ażeby w swoich następców natchnęli czystsze, silniejszego ducha narodowości, ale wkońcu pozdrówmy ich ukłonem pożegnania raz na zawsze i zejdzmy między nie-panów. Tam tylko będziemy, czem być powinniśmy, zrobimy, cośmy zrobić powinni; z czasem doczekamy się, że majestat panów sam do nas zstąpi i będzie służył narodowi, jak niegdyś naród jemu służył, odjąwszy ucisk i upodlenie.

Oto są najcelniejsze rysy p. Soplicy, jako postaci historycznej; resztę na później odkładamy.

III.

Z człowiekiem, jak pan Soplica, miło pogadać. Lubo nie we wszystkim zgadza się z nami i nie zawsze ma słuszność, wszakże same jego przywidzenia i mylne mniemania są już z tego względu użyteczne, że otwierają szranki sporu o najważniejszych dziś dla nas zagadnieniach. Czytelnicy więc zechcą nam przebaczyć rozwle-

klóść, za zbytnią może, naszych uwag poprzednich i następnych.

Po tem, cośmy już powiedzieli, pozostaje nam jeszcze poznać p. Soplicę, jako sędziego Polski dzisiejszej. Konieczne to do zupełnej z nim znajomości.

Dwa są stanowiska sądu w rzeczach narodowych; stanowisko przeszłości i stanowisko przyszłości. Pierwsze właściwe jest starcom, którzy, swój czas przeżywszy, stoją wśród pokolenia i wieku nowego, a dla nich niejako przyszłego, jedynie w roli widzów, i porównują takowe z czasem i pokoleniem swoim; naówczas przeszłość daje sąd swój o przyszłości. Naród zajmuje drugie stanowisko, kiedy czynne jego pokolenie roztrząsa dzieje minione, a wówczas można powiedzieć, że przyszłość daje swój sąd o przeszłości. Oba stanowiska są w koniecznym porządku spraw narodowych, oba mają za sobą równą prawość, równą powagę, właściwe sobie korzyści, i są konieczne do roztropnego prowadzenia pospolitej rzeczy, a wielce użyteczne, jeżeli pokolenie gasnące daje czynnemu nauki swego doświadczenia z bezstronnością, z miłością większą ku żywym, jak ku umarłym — następcy zaś zabierają się do ocenienia swoich przodków z sumiennem postanowieniem przyznać im wszystko dobre, jakie u nich było rzeczywiście, i korzystać z niego, jak z drogiej spuścizny. Tym sposobem naród idzie w kolei niezaprzeczonego prawa, że obecność żyje zarówno przeszłością, jak przyszłością i idzie dobrze. Każdy zatem ma nie tylko prawo, ale powinność sędzić o sprawach przeszłych i przyszłych narodu. P. Soplica korzysta z tego prawa i wywiązuje się z tej powinności, sędzi nas. Nie możemy jednak powiedzieć, że sąd jego jest zupełnie bezstronny. W wielu miejscach trąci za mocno alwarem, szlachcicem, człowiekiem ośmnastego wieku, a co najprzykrzejsza, widoczne w nim niepojmowanie naszego czasu i pewna ku niemu niechęć, nie zawsze usprawiedliwiona. W tem miejscu najważniejsze są grzechy p. Soplicy.

Kiedy starzec chwali nam ogólnie swoje czasy, swoje pokolenie, w głębi tych pochwał widzimy miłość, i przez wzgląd na serce przebaczamy głowie; ale kiedy ten starzec podnosi przeszłość kosztem obecności, zostawia całą

miłość dla umarłych, a żyjących raczy tylko przekasami niechęci, naówczas powinniśmy wyjść z milczenia pobłażających słuchaczy i zawołać do niego: Stój, staruszk! Milczeliśmy, dopóki grzeszyłeś szlachetną słabością serca — musimy ci przerwać, skoro zaczynasz błędzić tak sercem, jak rozsądkiem. Podnosząc głos starca, głos nauczyciela wobec całego narodu, ocenileś zapewne całą jego ważność; naprzód więc powinieneś być ogarnąć równą miłością ojców i synów, potem być przekonany, że znasz doskonale obie epoki, nakoniec oddać sprawiedliwość dobrej i złej stronie, jednym i drugim — a głównie powinieneś być przejąć się tą prawdą, że naród nie jest do jakas zakamieniałość, ale istota żyjąca, rozwijająca się nieskończenie, że nie może być tem samym po stu latach, jakim był przed tą epoką, że spoczynek lub cofanie się — to jego śmierć. A ty wykroczyłeś przeciwko tym wszystkim warunkom. Chwalisz tylko swoich rówieśników, ich tylko ukochałeś, co nasze, to ganisz, chciałbyś dzisiejszy naród widzieć takim, jakim był za dni twoich młodych — chciałbyś go cofnąć.

Nie jesteście tak zarozumiali, żebyśmy się mieli za skończenie doskonałych. Wiemy nawet, że mamy wiele złego, które dawniej było mniejsze, albo wcale nieznanne, ale obok tego czujemy, że często jesteśmy równi naszym przodkom, niekiedy wyżsi od nich, a co najpewniejsza, że, ze złej nawet strony, jesteśmy godnymi ich następcami. Ostygliśmy w katolicyźmie — zato coraz lepiej pojmujemy i wypełniamy przepisy religii, którą na ten raz nazwiemy religią narodową; jesteśmy gorszą szlachtą — zato więcej kochamy chłopów; nie szanujemy praw, bo jakież to są prawa, które szanować mamy? Wszystkie niemal narzucone, albo od zewnętrznej przemocy, albo od przemożnej części narodu, idziemy jednak chętnie na śmierć za te, które płyną z ducha ogółu narodowego i dążą ku jego dobru. Jest między nami duch niekarność — ale któż głównie temu winien, jeżeli nie dotychczasowe władze, które prowadziły naród nie tam, gdzie on iść pragnął i iść był powinien, i dlatego zaprowadziły go nad przepaść zguby; są klótnie zażarte — bo występują na jaw zamiary, przeciwne duchowi i zbawieniu narodowemu; jest

nienawiść — bo są ludzie i bandy całe, poświęcające wyłącznym swoim korzyściom sprawę ojczyzny, a takich trudno kochać; są dumni, podnoszący się nad cały naród — są niedołęzni, bez wiary w świętość i potęgę polskiej sprawy; są nikczemni służalce obcych rządów; ale ci wszyscy nie są — żę jedynie plodem zepsucia klasy możnowładnej z przeszłego, z twojego wieku? Są nawet zdrajcy, ale to dzieci sejmu grodzieńskiego. Zato znowu jest ciągle, silniejszy coraz ruch życia narodowego — są rewolucye, emigracye, ustawne spiski, wyprawy, męczeństwa, poświęcenia, miłość ludu, zrozumienie swego narodu i czasu, życie moralne w przyszłości równe, a może i większe, jak u naszych przodków — nakoniec jest ufność w skuteczność narodowych usiłowań, lubo ze słabszymi, niż były dawniej, środkami, a przeto wiara silniejsza, niż dawniej była, a wiara czynna, kiedy ofiarami swojemi, zakrwawia całą Polskę, męczennikami zaludnia wszystkie katownie wrogów, grobami wyznawców zasiewa wszystkie kraje, a wielkością ducha polskiego zapelnia świat cały.

Tacy następcy nie są tak bardzo niegodni swoich przodków; takiego pokolenia nie można kłaść pod nogi przeszłemu, a przynajmniej, ktokolwiek zamierza latać nasz wiek ubiegłym wiekiem, powinien wprzódki dobrze się zastanowić, ażeby to, co miało zdobić, nie pokazało się w przyłataniu zużytym łachmanem i nie wystrychnęło narodu wobec innych ludów, jeżeli nie na coś gorszego, to przynajmniej na arlekina. W sądach twoich, szanowny Sopllico, pominąłeś te względy, nie patrzałeś na obie strony i okiem takim, jakim według nas patrzeć było potrzeba: dlatego tak żarliwie przeciwko nim protestujemy i obwiniamy ciebie, że stroną krytyczną twojej osoby nadużyłeś strony historycznej.

Iskończylibyśmy na tem w przekonaniu, żeśmy wszystko wypowiedzieli o najważniejszej stronie pamiątek pana Soplicy, gdybyśmy nie przewidywali, że niejedyn, źle nas pojawiający, czy to mimowolnie, czy z umysłu, będzie miał wolę zapytać, dlaczegośmy się tak uwzięli na p. Sopllicę. Czyż nie wolno pisarzowi wybrać epokę dziejów, jaka mu się spodoba, odmalować ją ze strony, z jakiej zechce, złej lub dobrej? Co naszemu wiekowi może szko-

dzie wystawienie zeszłego ze strony pięknej? Co pomoże rozczarowanie go z przeszłości? Obok pytań mogą być zarzuty, podejrzenia o niepatryotyzm, o przesiąknięcie wyobrażeniami francuskimi, a nawet o rozmyślną chęć szkodenia sprawie narodowej. W tym wieku podejrzeń, wśród kochanych naszych braci, rozdrażnionych bólem klęsk publicznych, nie znających miary w pochwałach i naganach, nie troszczących się o właściwe nazwanie rzeczy, o sąd rozważny, trzeba być na wszystko przygotowanym, przypuszczać zarzuty i zapobiegać im przez wytłumaczenie się jak najjaśniejsze — dlatego przeciągniemy jeszcze nasz artykuł o kilka myśli i odpowiadamy.

Nie — my nie uwzięli się na pana Sopicę. Nie kole nas w oczy piękna strona przodków, nie zaprzeczamy pisarzowi wolności malowania narodu ze strony, jaka mu się podoba, nie mamy nienawiści do przodków, nie chcemy odstręczyć od nich naszego pokolenia, ale uważamy pana Sopicę za utwór historyczny, za wszechstronny obraz przeszłego wieku — chcemy więc w nim prawdy historycznej, a chcemy jej w religijnem przekonaniu, że prawda tylko jest nauczająca, płodna w dobre skutki, pożyteczna narodowi. Cóż on na tem zyska, że go przyprowadzimy do wdychania za wiekiem upodlenia, do podziwiania głównych sprawców jego zguby? A otrzymamy ten skutek, jeżeli na miejscu prawdy historycznej, wszechstronnej, podsunie jedną tylko jej stronę, podniesioną do piękności artystowskiej, czyli ideał.

Nie niszczy my więc odrazu Sopicę naszymi uwagami, ale łagodzimy jego wrażenie; piękny ideał pisarza dopełniamy rzeczywistością, nie bardzo może piękną, ale ściśle historyczną. Możemy nawet powiedzieć, że nie tyle jej dopełniamy, ile rozwijamy ze szczegółów, w samem-że dziele znajdujących się. Jest ona tam niezaprzeczenie, a maluje się we wszystkich barwach: od jasności anielskiej poświęcenia się dla kraju aż do jaskrawej czerwoności opilca — a gra całą skalą muzyki: od uroczystego śpiewu religijnego aż do sejmikowego gwaru szlacheckiej hałastry. Nie zaślepiajmy się tylko rażącym blaskiem całości, oswójmy z nim oczy, wpatrzmy się cokolwiek dłużej i głębiej, a znajdziemy ją. Mimo całej zręczności

i usilności autora, aby ją przyćmić ozdobami artystowskimi, nieraz ona wystercza z pod nich w rozlicznej postaci i daje o sobie świadectwo. Jedną z pomiędzy nich musimy wymienić: w braku właściwego miana nazwiemy ją komicznością. Objawia się ona tak powszechnie na podobnych utworach, tak mocno uderza duszę, że zastanowimy się cokolwiek nad nią.

Żaden prawie pisarz nie mógł jej uniknąć, jak tylko dotknął przedmiotu z życia szlachty, a mianowicie szlachty przeszłego wieku. A przecież wiek sam w sobie nie był tak wesoly ani przodkowie nasi tak szczęśliwi, a my tem mniej, ażebyśmy ich samym śmiechem witali. Trudno też obwiniać pisarzy o rozmysłne ubliżanie szanownej ich pamięci, jacyby oni nie byli. Gdzież więc źródło owej komiczności: czy w przedmiocie, czy w naszym usposobieniu? Wartoby rozwiązać to zagadnienie, ciekawe i ważne nie dla samej tylko literatury. Co do nas, widzimy w tem zjawisku okropne objawienie się sprawiedliwości Boskiej, straszliwą naukę wszystkim, którzyby dziś jeszcze w duchu przeszłej szlachty niewolniczo żyć chcieli i przez część religijną nie śmieli odstąpić od jej nawet grzechów przeciw ludowi. Sądzymy więc, że owa komiczna strona, przylegająca do postaci dawnego szlachcica, wynika, po części, z jego istoty, a staje się wyraźniejszą przez pewną, instynktową zemstę ducha narodowego za cierpienia, które ze źródła szlachty na lud splywały, za poniżenie, w którym dzisiaj przez jej pychę zostajemy. Kiedy dla dobitniejszego wytłumaczenia się szukamy porównania, mimowolnie nasuwa się na myśl dyabeł. On także dał się ludowi we znaki i straszny jest dla niego, a stąd został w jego powieściach najśmieszniejszą, najbiedniejszą figurą: lud mści się, jak może. Komiczność przeto szlachty ma, według nas, swoje źródło w najwyższej sprawiedliwości. Jest ona pokutą za jej grzechy, czyśćcem, że tak powiemy, naigrawania się, który nie skończy się wprzód, aż znikną smutne tych grzechów następstwa. Bodajby się skończył jak najprędzej, choćby w chwili, kiedy to piszemy!

Zbierając w treść całą rzecz naszą, powiemy na zakończenie, że Pamiątki P. Soplicy, o ile są z jednej strony

utworem niepospolitego artysty, płodem rzadkiej znajomości dawnych czasów, nieocenionym dla nas już nawet ich pomnikiem i wymowną zachętą polskich pisarzy, aby rozprzestrzerali narodową literaturę w kierunku przeszłości, o tyle skądinąd zdradzają dążenia, odporne cokolwiek dzisiejszemu kierunkowi umysłu narodowego. Pamiętki Soplicy są jednym z pojawów tej szkoły czy partii, którą nie same tylko względy artystowskie przywiązują do przeszłości; nowy to szermierz w walce narodowej przyszłości z przeszłością. Czy podobna, ażeby taki talent mógł być na drodze tak mylnej? Ważne to zjawisko w naszym czasie, w naszych okolicznościach. Nie możemy więc przestać na krótkim napomknieniu.

Nie podpada wątpliwości, że społeczność polska jest dzisiaj w stanie przeobrażenia się, to jest, zmierza do stanu innego, jak był przed laty kilkudziesiąt, kilkanaście, a może innego, jak obecny. Społeczności przeobrażającej się nie trzeba sobie wystawiać, jak człowieka, który może się przebrać, kiedy zechce; zrzuci tylko jedną odzież, a weźmie drugą. Przeobrażenie społeczności polega całkiem na przeobrażeniu moralnem, umysłowem, wewnętrznem. Idzie w niem o zmianę zwyczajów, nawyków, nałogów, wyobrażeń, obyczajów, charakteru, całego sposobu życia narodowego. Co dawniejsze, musi ustąpić nowemu; ustąpienie to nie może się odbyć bez dolegliwych, boleśnych dla przeszłości uczuć. Stąd jej opór, stąd walka moralna w łonie narodu, między dwiema chwilami czasu. Zwykle gmin ją rozpoczyna: raz dlatego, że niedogodności trwającego stanu jemu najwięcej dają się uczuć, powtóre, że gmin, będąc podstawą narodu pod każdym względem, w nim także wszelka wzniosła myśl przyszłości przechowuje się od wieków; wyrabia się, oczekuje cierpliwie chwili dojrzewania; w jego też kornej postaci naprzd się ona przedstawia, ile razy rozpoczyna wyprawę na podbicie świata. Na ten raz dosyć nam na świadectwie dziejów nauki Chrystusowej. Walka owa w początkach swoich zawsze jest ciężka, niepewna i często niekorzystna dla gminu, bo przeciwną stronę składają zazwyczaj ludzie, zajmujący wyższe stanowiska, czy to pod względem materialnym, czy przez umysłową ich wyższość.

Wytłumaczyć to łatwo. Pierwsza przyczyna ważna, choć nikczemna, że podobnym ludziom dobrze jest ze stanem obecnym i wyłącznie ciągną z niego korzyści, a przemiana znosi te korzyści lub je zmniejsza; z tej strony najdrażliwsi są ludzie, użytkujący z narodu materialnie. Drugi zastęp broni głównie stanowiska duchowego, i składa się z ludzi ukształconych, utalentowanych, takich np., jak są pisarze. Prowadzi ich do tego nie sam tylko bezzasadny upór: ukształciły ich, podniosły do potęgi, stworzyły niejako, wyobrażenia, których bytowi nowość zagraża. Wyobrażenia te stały się potrzebą ich życia, jedynym właściwym pokarmem ich duszy, jedyną strefą, w której życie ich rozwijać się może; przynajmniej wyobrażają sobie, że inny porządek rzeczy musi im śmierć przynieść. Do tych względów osobistych dodajmy wyższe, szlachetniejsze, jako to: obawę o byt narodu, o jego zdrowie, że tak powiemy, a nawet życie — które nie mogą być bez niebezpieczeństwa w podobnych przemianach; nie pominiemy i tego, że przyszłość grzeszy często wybuchami zapału, chociaż gwałtownego, nierozważnego. Przeszłość wtedy, chociażby na prawie doświadczenia, uważając się za przyrodzoną strażnicę życia i szczęścia narodowego, osłabia ten zapęd wstecznym kierunkiem — opór ten wzmaga się w miarę, im gwałtowniej przyszłość ją targa, aż do chwili, dopóki nie upadnie w zupełnym omdleniu.

Cośmy powiedzieli w ogólności, to wszystko można zastosować do widocznego oporu przeobrażeniu się narodowemu niektórych pisarzy, zajmujących skądinąd świetne w umysłowej polskiej sferze stanowisko. Myliliby się jednak, ktoby temu postępowaniu podsuwał za główne powody poziome widoki, ktoby je tłumaczył czem innym, jak troskliwością o byt narodowy, zamienioną wkońcu przez zbytnią lekliwość w prosty, zwierzęcy instynkt konserwacyi. Chęci ich są niezawodnie w swojej zasadzie poczciwe, ale kryją w sobie niemałe grzechy. Po pierwsze, ci ludzie mają więcej miłości, że tak powiemy, familijnej, to jest tego kółka, z którym spojeni są przez wszystkie stosunki życia swojego, aniżeli ogółu narodowego — powtóre, wierzą więcej w jego potęgę, aniżeli

w potęgę ogólnego ducha — po trzecie, chcieliby przyszłość tak jasno widzieć, jak przeszłość, a sam Bóg nam przyświadczy, że to być nie może. Według ścisłej wynikłości zasady, do której stosują swoje postępowanie, nie może być lepszego nad to, co jest, powinno więc być nadal, jak było dotąd. Dla nich przeszłość jedynie daje świadectwo mądrości Boskiej; nie dowierzają opatrności, skoro idzie o przyszłość; stąd, mimo całej religijności, jaką im przyznajemy, ludzie przyszłości są religijniejsi i dlatego zwyciężą.

POEZYE BOHDANA ZALESKIEGO

(Z POWODU WYDANIA PARYSKIEGO Z R. 1840.)¹⁾

I. MYŚLI OGÓLNE.

Mamy tu mówić o jednym z najcelniejszych pojavów naszej poezyi. Przedmiot jest ważny. Chcielibyśmy, o ile można, zbliżyć się do jego wysokości — dlatego musimy zacząć od kilku myśli, przedstawiających dzisiejszą poezję polską w ogólniejszym cokolwiek widoku, w głębszem jej ujęciu.

Od czasu, jak krwawa ręka nieszczęścia naznaczyła swoim piętmem czoło Polski, wszystko sprzyściło się lub przyzwala na jej zgubę, wszystko pracuje nad pogorszeniem jej stanu albo ją zdradza. Najprzychylniejsi niegdyś, w bok odskakują, jakby się bali zarazić się trądem jej niedoli. Królowie straszą się jej widmem wzajemnie, jak trupem wywleczonym z grobu; ich przychylność, sympatya ludów objawia się albo, jak owa woń trzeźwiąca, która tylko oddala chwilę nieuchronnego skonu, albo, jak modlitwa nad konającym o szczęście wieczne, w nagrodę cierpień doczesnych. Religia nawet, przynajmniej widoma jej głowa, pośpiesza pieczętować swoją kłatwą trumnę niespokojnego upioru. Co gorsza, wewnątrz niej samej przygasły płomień miłości braterskiej, pękający łańcuch zgody, stygnąca żądza ładu, rozstrzelona jedność myśli społecznej, zawichrzenie ogólnego rozumu, zdają się być rozwiązaniem jej sił żywotnych i zamionami niechybnej śmierci.

Wszakże pozostała jej duszy jedna władza niezachwiana,

¹⁾ Rzecz drukowana w „Demokracji Polskiej“ Paryż tom IV (1842) w zeszytach z marca i kwietnia.

nienulekła, niestlumiona, owszem, coraz mocniejsza, przywiązańsza, troskliwsza, która ustawicznym objawianiem życia zadaje fałsz pogrzebowym pieśniom, rozbudza, wydobywa i wiąże inne siły żywotne, krew z przeszłości serca przelewa w obecność, każe miłość, braterstwo, poświęcenie, zapał, wiarę — jednym słowem, zapewnia przyszłość. Tą władzą jest poezya. W rzeczy samej, od epoki proroków żydowskich nie objawiła się ona we wznioślejszem i świętszem powołaniu, jak objawia się dzisiaj w Polsce. Mówimy tu z głęboką rozważą: wskazaliśmy, chociaż zbyt ogólnie, na czem opieramy nasze twierdzenie. Na poparcie jego mamy czyny widoczne, dotykalne, każdemu wiadome, przystępne sprawdzeniu w każdej chwili — dlatego przestaniemy na odesłaniu do nich. One to każą nam widzieć w dzisiejszej poezyi tajemniczy kwiat zmartwychwstania na grobie, a nad otchłanią krwawego potopu tęczę wiary, zaręczającą błogi jego koniec.

Jest-że to mistyczny jaki pierwiastek, owa jej siła żywotna? Bynajmniej. Jest to prawda, wzniosła, jak prawda religijna, ale widoczna każdemu, jak najprostsza rachuba. Poezya dzisiejsza dlatego spełnia tak ważne powołanie, dlatego widzimy w niej tyle nadziemskiej mocy i tyle sobie wróżymy po jej przyszłości, że wyszła z ludu brzmi religijnymi ku niemu uczuciami, wiąże cały ogrom narodu łańcuchem serc braterskich, wsacza w krew jego żywioł niesterany, młodzieńczy, potężny, rodzinny — żywioł ludu.

Jest jeszcze druga strona tej myśli, potwierdzająca jeszcze silniej naszą wiarę w dzisiejszą poezję, może więcej tajemnicza, ale, jako wypadek, najrzeczywistsza, a którą z tej przyczyny musimy przytoczyć: jest to sposób, w jakim się objawiła u nas. I tu znowu dla większej widoczności ujmiemy ją ze strony materyjalnej, za jeden z jej czynów dotykalnych, to jest, weźmiemy pod przegład życie samego poety, o którym mówić mamy.

Ale wprzód musimy nieco obejrzeć się po świecie, który otaczał naszego poetę, w pierwszych kilkunastu latach jego życia. Przypadają one właśnie na sam początek bieżącego stulecia. Polska, naciśniona potrójnym cię-

żarem jarzma zewnętrznego, wyrojona w żywotniejszej swojej części w legiony, rozbrzmiewa tylko kiedy niekiedy ich chwałą, jak pustka; życie polityczne, sprowadzone do krzątania się podziemnego, porusza tylko wyższe warstwy narodu: głębia nieporuszona. Napoleońska nawet burza przesliznęła się po powierzchni. Występuje królestwo kongresowe. Część narodu szlachecka, przywykająca powoli przestawać na widziadle ojczyzny, coraz powietrzniejszym, uwinęta w pieluchy polityki petersburskiej, kołysze się w bezpłodnych marzeniach, żyje cała pod wpływem wrażeń zewnętrznych, a w objawieniach swojego życia polskiego nie przekracza nigdy za własną sferę, odrębną od ogólnej narodowej. Ten stan polityczny odbija się wiernie w poezyi.

Literatura starożytna, ograniczona szkolnem szerepaniem w kilku poetach, a mianowicie, łacińskich, poezya francuska dwóch wieków ostatnich, tłumaczona lub naśladowana bez żadnego oglądania się na przystosowanie jej ducha do potrzeb narodowych, kilka wreszcie hymnów, kilka ód, natchnionych najemną chwałą narodu, a zapełnionych głównie imieniem W. Napoleona, na strój wysoko francuski, oto jedyna poezya, która się wplata w owoczesny ruch umysłowy. Zdaje się ona być raczej igraszka, jak potrzeba: rodzi się i umiera w sferze salonów. Masa narodu lub jej nie zna, lub ją przyjmuje, jak uwiedle zamorskie kwiaty, których piękność odgadujemy tylko w niewyraźnych śladach, a z których ani użytku ani przyjemności nie możemy mieć takiej, jaką nam rodzinne kwiaty nastreczają. Jeżeli niekiedy w tem rozstrojeniu polskiej geśli odezwie się dźwięk pokrewniejszy, głębszy, jest on tak rzadki, tak osobny, tak zagłuszony cudzoziemskim chórem, a nadewszystko tak daleki od tonu serca polskiego, że albo rozwiewa się bez śladu nad światem ludu, albo upada w głąb jego, jak nanośne ziarno późniejszego daleko jeszcze żniwa. Nic rodzimego, ludowego, samoistnego, nic podobnego do dzisiejszej poezyi. Nie tam też począć się ona miała. Śledźmy ją głębiej.

¶ [Podczas, gdy się to dzieje w sferze szlacheckiej, jedno dziecko, osierocone z matki wnet po wyjściu na świat, wzięte niemocami wieku, rzucone przez opatrzną mądrość

pod strzechę wieśniaczą, pod opiekę wiejskiej lekarki, w głębi Ukrainy, na łono ludu, ssie swoje życie wprost z balsamicznych jego piersi, jego powietrzem wzmacnia zdrowie swego ciała, jego sercem zapładnia swoje uczucia, w jego pieszczotach zaczyna kochać, przy jego pieśniach zaczyna marzyć, pod jego oddechem zaczyna żyć ciałem i duszą, zdala od zwyczajnego świata, jakby za światem zwyczajnym. I cóż mu po tym świecie? On się urodził dla innego, już go ma w sobie, w jednej tylko iskierce. Przez nią jest dzieckiem Polski innej, przyszłej, doskonalszej, dzieckiem wybranem, poświęconem, ale w podziemiach tylko narodu może się przygotować do swojego kapłaństwa; to podziemie wystarczy jemu. Wiara ludu, serce ludu, pieśń ludu, step bezbrzeżny z niewyczerpaną muzyką swoich wiatrów, z tęskną tajemniczością swoich wrażeń, mogiła samotna z rycerską marą przeszłości — otóż i wszystkie ziemskie zapasy na drogę życia; resztę ma z nieba. Może dalej się puszczać. Odtąd w jakichkolwiek znajdzie się kolejach, jakiegokolwiek następczą się z zewnątrz wpływy i skutki tych wpływów, będą to tylko chwilowe przeszkody albo podrzędne pomoce; promień życia, zaczepiony o lata dzieciinne, będzie wciąż błyszczał jedną główną myślą, jednym natchnieniem, wypiastowaniem w objęciu Ukrainy, a dziecię to zostanie już na zawsze narodowym poetą, Bohdanem.

Tymczasem duchowe oblicze Polski zaczyna mienić się w tej właśnie porze, kiedy widzimy Zaleskiego już w latach młodzieńczych, w latach szkolnej nauki. Literatura francuska zamierzczać poczyna przed świtem nowej. Sztuczne to po większej części światło, zapalone promieniem niemieckiego ogniska, wszakże Brodziński miga, jak jutrzienka ludowa w promieniach Sławiańszczyzny. Bez wątpienia poezya Brodzińskiego nie przebrzmiała bez od-dźwięku, tembardziej sercu Zaleskiego nie mogła być obo-jętna, jednakże stosunek jej z poezyą Zaleskiego był tylko taki, jak stosunek orła z orłem, kiedy starszy przodkuje młodszemu w drodze do słońca. Ośmieliła ją, rozgrzała do lotu zuchwałego, ale nie natchnęła siłą pędu. Duch orli, co dzisiaj Zaleskiego wznosi, leżał samorodny w pierwszej iskrze jego życia. On go też po pierwszych nieśmia-

łych próbkach uniósł innemi zupełnie szlakami i wyżej, a objawił się w pierwszych zaraz próbach.

Z licznych tego dowodów, które zapewne po największej części na zawsze zaginęły, możemy wymienić jedynie „Dumę o Wacławie“, ogłoszoną około roku 1820 w Dzienniku Wileńskim. Główna myśl zdradza jej pokrewieństwo z „Oldyną“ Brodzińskiego; zresztą wszystko w niej jest niezaprzeczoną własnością samorodnego natchnienia.

W tej samej epoce opatrność wprowadza poetę w inną kolej życia. Wyrwa go z nadbrzeży Dnieprowych i przetrzuca nad Wisłę, między innych ludzi, w inne życie, w świat całkiem inny, stumilową przestrzenią oddziela go od całej jego przeszłości, na rodzinne strony pozwala patrzeć przez lżawą tylko zasłonę wspomnień. Chciała ona zapewne przez to postawić swojego posłannika w stanie próby, z którejby wyszedł wyższym o pokonane przeciwności, świetniejszym przez tryumf nad niemi, godniejszym swojego powołania, z prawem zasługi moralnej do zasługi poetyckiej, twórcą samego siebie, a obok tego chciała i tu jeszcze okazać potęgę tej myśli, od której przyszłe losy Polski zależą.

Próba nie była lekka ani na zwyczajne siły. Niejeden szturm przypuszczały do duszy poety wszystkie nędze, wszystkie boleści życia, wszystkie potęgi złego. Próba nie była krótka: trwała ona lat kilka i to jeszcze w wieku samowładztwa, namiętności burzliwych, niestałych, przewrotnych, przy stanie duszy, zranionej świeżem i bolesnem przeszczepieniem w świat, tak różny od świata macierzystego. Zbiła-ż go ona z toru? Odpowiedź na to najlepsza w pieśniach, któremi właśnie w tym czasie otworzył swoją duszę. Czytajmy Dumkę o Kosińskim, o Mazepie, Rapsod Rycerski, na koniec Fantazję Rusalki. Czytajmy i sądzmy. Nie tylko nic nie uronił z niebieskiego swojego dziedzictwa, ale tak je przyswoił sobie, że odtąd jego natchnienie i jego dusza to jedno; tak je rozmnożył, że cały dziś naród może niem obdzielić, tak upiękniał, że naród przyjął je do ozdób swojego wieńca i naród tylko godzien zostać jego dziedzicem. Cała też Polska już wówczas poklasnęła mu, jako równemu najpierwszym jej wieszczom, a jedynemu w swoim rodzaju.

A ta siła poety, a ten jego tryumf, czemże były w istocie? Oto dowodami, świadczącymi o potęgę, wcielonej w niego nowej myśli narodowej, ducha ludu.

Wszakże zakończona walka nie była ostatnia i najcięższa w porównaniu z przyszłą; będzie ona tem, czem jest pojedynczy człowiek w porównaniu z narodem. Każdy łatwo zgodnie, że przychodzimy teraz do tej klęski, która całą Polskę dotknęła, a część jej wyrwała z rodzinnej posady i rzuciła na fale tulactwa, na wszystkie jego nędze. Ta burza obwionęła i naszego poetę i dotknęła go tem boleśniej, że dzisiaj musi cierpieć za siebie i za drugich, że jeszcze zupełnie, niż wprzód, stargała wszystkie związki jego serca, nie zostawiła bez rany choćby jednego uczucia — że wszystkie źródła pokrzepienia się napęliła krew najdroższa, a gdzie zażadasz pociechy, tam ci ją odpowie. I w takim stanie dziesięć lat przechodzi bez żadnej ulgi, i po takich dziesięciu latach słyszymy śpiew Zaleskiego.

Jakkolwiek nowy oklask powszechny wiele już powiada na korzyść jego i za potęgą moralnych pierwiastków jego siły, nie przeszkadza on jednak przypatrzeć się z bliska temu nowemu objawieniu się poezji Zaleskiego, choćby dla zobaczenia, o ile wyżej wzniosł się nad siebie i jaką postawę przybrał dzisiaj główny pierwiastek jego natchnienia. Otóż to jest właśnie, co zamierzamy rozjaśnić w niniejszej rozprawie.

Poezja Zaleskiego, nad którą zastanowić się mamy, mówiąc poetycznym jego językiem, a nawet własnymi jego słowy, brzmi pięciu strunami: Bóg, Ludzkość, Słowiańszczyzna, Polska i nakoniec Ukraina, są główną jej osnową. My będziemy się trzymać ogólniejszego podziału na dwie części, to jest: na poezję religijną i na poezję ukraińską. Lubo Zaleski jest równie religijny, równie polski, równie miłujący ludzkość, równie pojmujący ważność słowiańskiej myśli, jak zakochany w Ukrainie, lubo Ukraina jest mu droga dlatego tylko, że w niej Polskę widzi, lubo ogół jego utworu jest ciąglem, wzajemnem splataniem się wymienionych myśli żywotnych, najchętniej jednak opiera się na miłości Boga i rodzinnej miłości

ku Ukrainie. Stąd te dwa uczucia są dwoma najwydawniejszymi obliczami jego poezyi. Zaczniemy od poezyi religijnej.

II. POEZJA RELIGIJNA.

W poprzedzającym artykule przyrzekliśmy zastanowić się nasamprzód nad religijnym pierwiastkiem poezyi Zaleskiego; wymieniliśmy powód: wszakże nie jest on jedyny lub najważniejszy, dlatego przedłużymy ową myśl jeszcze o słów kilka.

Pierwiastek religijny leży w istocie wyższego natchnienia, jest koniecznym jego przymiotem. Poeta wielki, prawdziwy, wydobywający pieśń swoją z ostatnich głębin duszy, szukający swojemu natchnieniu w nadziemskich wyżynach kresu, godnego siebie, musi i tu i tam spotkać się z bóstwem. To zetknięcie się kładnie wnet swoje piętno na cały ogół utworów poety i wszystkie już odąd są tylko podrzędnymi myślami jednej myśli najgłębszej i najwyższej w świecie człowieka, jej rozwinięciem, ale, co najważniejsza, dają świadectwo dotykalne, jak dalece owo widzenie było boskie, prawdziwe, jednym słowem, malują pojęcie Boga w duchu poety, a tem samem jego stanowisko mniej lub więcej wzniosłe wobec ludzkości. Dlatego to w ocenieniu poezyi Zaleskiego przywiązujemy taką wagę do jego wyobrażeń religijnych.

Przystępując nakoniec do rzeczy, musimy jeszcze uprzedzić, że nie jest naszym zamiarem zdawać sprawę z każdej bezwzględnie poezyi, zbiór ten składającej: byłaby to praca przydługa i niepotrzebna. W zbiorze poezyi Bohdana, jak w każdym jemu podobnym, są pewne utwory, gdzie duch poety odbija się wyraźniej, zupełnie, gdzie można go widzieć w jego chwilach najważniejszych, we wcieleniu się najdoskonalszem, w rozwinięciu całkowitem. Takich utworów kilka dadzą nam wszechstronne wyobrażenie ogółu; tych więc jedynie szukać będziemy i przy nich głównie się zatrzymamy.

Zaczniemy od poematu, mającego napis: „Duch od Stepu“. Sam jego twórca nazwał go „Przygawką do nowej poezyi, czyli Wstępem.“ Niezaprzeczenie z wielu

względów należy mu to pierwszeństwo, a szczególnie ze względu uczuć religijnych. Zresztą następny rozbiór jaśniej to okaże.

„Duch od Stepu“, najogólniej uważany, jest wielkim hymnem religijnym, wyłaniem się przy nogach bóstwa całego życia poety, całej duszy, we wszystkim, co jej ziemskość ma najrzewniejszego i najwznioślejszego. Muzyczna jego skala ogarnia całą skalę poezji, od nadziejskiego proroczego tonu do milej prostoty piosenki. Przesuwają się po nim wszystkie uczucia serca, począwszy od płaczu pokuty aż do chłuszczącego uśmiechu szyderstwa. Występują na scenę: życie poety całe, bo nawet przedziemskie, w rajskim swoim zawiązku, cała przeszłość rzymskiego katolicyzmu, życie nakoniec Polski w chwilach najboleśniejszych, bo obecnych, i najpromienistszych, bo w przyszłym jej odrodzeniu. Jak w ognisku, skupiły się tu wszystkie promienie ducha poety, skąd, jak promienie ze słońca, można wysnuć wszystkie inne poezye Zaleskiego.

Tu także leżą najbliżej siebie w najwyraźniejszych odcieniach doskonałość i olumność poety i najwydatniejsza jest siła, która to wszystko płodzi, wiąże i w ruch wprawia, siła myśli religijnej. Wstęp godny całego dzieła, pomysł szczęśliwy i mądry! W oceniu tego jednego dzieła możnaby już wykazać całą wszechstronną wartość twórcy; my weźmiemy w nim tylko to, o co nam głównie chodzi, to jest myśl religijną. Dla dokonania tego oprzemy nasz przegład na przejrzeniu całej osnowy; schwycenie zaś pasma żywotnej myśli w iskrach najwydatniejszych, najwłaściwiej przedstawiających jej istotę tła, będzie głównem dla nas zadaniem. Ten tylko jeden wzgląd może nas przyprowadzić do grzechu przeciwko zwiezłości w wykładzie, o którą zresztą jak najmocniej starać się będziemy.

Ogólny widok budowy poematu przedstawia trzy główne części. W pierwszej oglądamy życie samego poety, a bardziej życie jego duszy — druga rozwija myśl rzymskokatolicką w jej celniejszych dziejowych kolejach, a razem maluje ludzkość w stosunku do owej myśli — trzecia nakoniec ma wyłącznie Polskę na celu, śpiewa zaś obecne

jej nieszczęścia i przyszłe zmartwychwstanie. Spójnią tych części moralną jest myśl katolicyzmu; do niej nastrojona jest całość poematu.

Poeta, oparty na religijnem podaniu o bycie przedziemskim, szczęśliwym, rajskim, gdzie każdy człowiek przed narodzeniem się, jak Adam w raju przed upadkiem, obcuje po widomu z aniołami, widzi bóstwo twarzą w twarz, bierze swoje życie w samym jego zawiązku. Tym światem pół anielskim świecą początkowe zwrotki poematu. Dziecię-poeta, dziecko, nie urodzone jeszcze dla ziemi, przechodzi z łona matki Ukrainy, w pieśń upowite, pod opiekę piastunki Rusalki.

Piastuj dziecko me, Rusalko! —

woła Ukraina rozczulona, świadoma przyszłości, czekającej pokolenie, spótczesne jej dziecku.

Mlekiem dum i mleczem kwiecia
Pój do lotu mdłe to ciało!
Pięknej sławy mej stulecia
Podaj do snu na obrazki!
Barwą złotą i błękitną,
Tęczą w okrag niech rozkwitną
Wszystkie ludu mego kazki!

W tych kilku wierszach jest cały przyszły zawód dziecięcia. Trudno schwycić trafniej poetycką przyrodę Bohdana, trudno ją odmalować zwięźlej i piękniej. Jest to niby źródłowa kropelka, w której leży całe morze jego poezyi.

Tymczasem zjawia się gwiazda, która ma przewodniczyć ziemskiemu losom Poety: matka Ukraina zmuszona wypuścić swoje pisklę z gniazda, żegna je tajemniczym śpiewem, gdzie niewyraźnie smutna i piękna jego przyszłość przegląda. Chwila łaski, Pańskie stań się! wznosi duszę Poety w niebo. Tam, pośród anielskich śpiewów, błogosławiących na ziemską wędrówkę przy stopach krzyża, wobec bóstwa odbywa się obrzęd jej zaślubin z Aniołem-Stróżem; poczem złani w jedno, opuszczają niebo; a kiedy Anioł zawołał: „Syn ty ziemi! ziemia! ziemia! Snij na falach tam żywota!“ — dusza Poety wchodzi w powłokę cielesną, zaczyna żyć bytem doczesnym, albo, mówiąc językiem pieśni, snić na falach ziemskiego żywota.

Nasze założenie trzymania się jedynie wątku żywotnej myśli, pozwala nam zaledwie dotknąć innych stron życia poety. Pominiemy więc sieroctwo jego jeszcze w kolebce, lata dziecinne, pierwsze wtajemniczanie się w rzewną poezję i bolesne życie, lata młodzieńcze pierwszymi żądzami kochającego serca, a rozpoczniemy znowu od chwili, kiedy okrzyk rówieśników wyrwał go ze stron rodzinnych i rzucił we szranki życia czynnego, roboty narodowej.

Wielka to praca! ale zaczęta bez Boga, na swój rozum. Młodzian, upojony ogólnym szaleń, idzie za innymi, szamoce się, mąci duszę do dna — wszystko napróżno. Zmarniały wysilenia niepobożne — Polska upadła. I oto młodzian dzieli tułactwo współbraci i dalsze grzechy niedowiarstwa. Wyrzucone z domu śmiecie wdziewa na głowę rogi pychy; pod jej bodźcem łaknie burzy, krwi, swawoli, za nic nie ma ducha i serce, marnuje lata i myśli na jawlowe zamachy, rozbrałał się nawet z pieśnią. Dawno już anioł-stróż, bolejący upadkiem powierzonej sobie duszy, płacze nad nią i czeka na kolanach chwili upamiętania się. Naraz młodzieniec śni jakoś milej, zatłuje go jakby wieść o niebie, patrzy za siebie bystrzej.

Rozwiewają się tumany...
Z pod omamień grubych płótna
Widzi świat swój — świat kochany —
Jak grób pusty, pobielany.
Mądrość wieku bałamutna
Syczy w pleśniach, jak gadzina...

Młodzian upamiętał się, uderza czołem w ziemię, łączy lzy skruchy ze łzami swojego anioła, ślubuje nie zagniewać więcej Boga, powraca do wiary rzymsko-katolickiej. Ona też, rodzona matka, tuli go z miłością matki, a dla zupełnego uleczenia duszy zsyła mu dwie czarodziejki, dwie siostry: Pieśń i Czystość. Pod ich opieką otwiera się nowe życie poecie: samotne, pobożne, duchowe, rajskie. Głuche tętno serca zwiastuje mu nowego gościa: to trzecia czarodziejka — miłość. Mimo to wszystko fale życia mgłą się coraz straszniej. Noc prawdziwa. Zewsząd smutki, żale. Przyjaciele bluźnią cnocie pobożnych; ukochani — wrogami nawróconego poety, rozminęli się z nim na wieki, ale nie w jego sercu. On modli się za nimi — on

Odtąd świata już nie wini.
Rozmłówał się w pustyni,
Utkwił w ziemię kiej pielgrzymi,
Aż rozkwitnie Pańskim cudem.

I trąca w lutnię za ludem, jak prorok, i służy ludowi,
nie troszcząc się o płacę: dość mu na błogosławieństwie
anioła. Lecz, robotnik zadumany, podsłuchuje przyszłość,
ma wieszczce ostrzeżenia, dzwoni głośniej w lutnię, chwali
Pana nową, pieśnią, pada krzyżem i słyszy w nagłym
grzmocie głos anioła:

Wróć, wygnańcze, do ojczyzny!
Policzone ży do łezki.

Ocucony tym głosem, woła: Do której, do ziemskiej czy
do niebieskiej? Anioł znika bez odpowiedzi a w teje
chwili wiatr stepowy, wiekuiste tchnienie boże, obwiewa
ducha poety, podnosi go w świat nowych widzeń i uka-
zuje starosławiańskiego gęślarza, Bojana.

W tem miejscu pozwalamy sobie widzieć kres pierwszej
części poematu. W rzeczy samej różni się ona tem od
reszty ogółu, że główny promień obrazu pada tu na osobę
samego poety.

Zjawienie się Bojana, zaccucie jego pieśni, otwarły
niejako nowy świat proroczy. Odtąd, w widziadłach snu
wieszczego, przesuwa się cała ludzkość kolejami myśli
religijnej, myśli katolickiej. Życie jej otwiera się poran-
kiem rajskim. Pierwsi ludzie żyją, jak anieli z aniołami
po widomu: tylko im kochać, nucić, śnić; tylko płakać czy-
stemi łzami i wołać każdym tchnieniem: Chwała Panu! —
Gdzie tam — oni zapragnęli Wiedzy złego i dobrego, sku-
sili jej i oto, arcy-mądrzy, cierpią już pokutę swojego
grzechu, w przeznaczeniu zlania własnych cierpień na
całe człowieczeństwo. Grzech pierworodny spada na ludz-
kość. Może późniejsze plemię ukorzy się? O nie. Wiek po
wieku gorzej.

Brat zabija brata w złości.
Są już biedni, są bogaci;
Ów chleb chowa, ów zazdrości —
Hurmem bracia nuż na braci!
Owoż owoc wiadomości!

Potop przerzyna pasmo tych zbrodni. Tęcza przymierza zdaje się zapowiadać lepszą przyszłość. Ludzkość żyje jakiś czas złotym wiekiem patryarchalnym, ale wkrótce powraca do dawnej złości, do nieładu. — Nowe kary z nieba; złość na nowo starta. Młoda ludzkość wykwita z pnia dawnej. Może będzie lepsza? Gdzie tam — i ona ssie swój rajski owoc — wolę. A więc coraz gorzej. Nawet lud żydowski, lud wybrany, łamie zakon objawiony. Groźba boża wisi nad światem w widoku rzymskiej wilczycy — świat jednak pogarsza się. Noc straszna — a wśród nocy

Dzwonią tęskną pieśń prorocy.

Aż oto weszła nowa epoka dla ducha ludzkości. Chrystus przychodzi i umiera, jako nieprawość starego świata. Śmierć jego zrywa sojusz Boga z ludem, wybranym dotąd, i przenosi arkę wiary gdzie indziej — do Rzymu. W słowach Pawła, wołającego pod swoim krzyżem: Pietrze! Roma — nasza Roma! — widzicie całą przyszłość chrześcijaństwa, mającego świat podbić duchowej swojej władzy. Z tem wszystkiemu Rzym pogański jeszcze włada i rozpastuje, a chrześcijanie żyją tylko w podziemiach lub giną, jak męczennicy.

Naraz od stron Kaukazu słychać głuchy okrzyk: Roma! — coraz bliższy i groźniejszy. To wieczna śmierć dawnego Rzymu w osobie Al-hun-ryka, wodza barbarzyńców. Chwila — a po Rzymie ani śladu. Widzimy go w innej całkiem postaci, cały świat inny. W Rzymie, nad światem zasiada papież, mocarz nad mocarze; ma z nieba moc i władzę: krzyżem wynosi i poniża — w jego sknieniu śmierć lub żywot. Apostołowie, męczennicy, mnichy zapelniają ziemię. Nadchodzą wieki rycerskie. Świat w religijnym zapale śni i tworzy dziwy — wiara panuje.

Nagle widzenie zmienia się. Świat zaczyna łysieć, jak epoka. Bujny zasiew wiary marnie w nic idzie; leje się jeszcze dla niej krew pod Kossowem i Warną, ale, powiada poeta:

Ludzkość milczy z daleka;
Już się czemuś lepszą mieni.
Rozum — rozum swój wyzwala —
Miecz — precz — ręce na kieszeni..

A szamocze się — wykrzyka:
„Proch! — i drut i Ameryka!

Cielesność na miejscu duchowości; mnichy się żenią. Nigdzie Boga: ni w sercach ni w pieśniach. Człowiek stygnie, jak kruszec; bije się o sklepy. Krew pod Wiedniem wylana chyba dla przyszłości. Albowiem

Rozum się wyzwala. I następnie:

fala pluska z góry.

Królowie, — — kręcą bicz z wiary wolnych. W Imię Boże rozbijają ludy. I niema na nich rady, bo rozum wyzwolony nie ma dość siły do oporu.

Z dołu znowu pluska fala —
O, niewiasta się wyzwala.
Puste słowa: Dom — Rodzina —
Nuda, Niesmak — jak przed wieki
Rozum pewnie znajdzie leki?
Ruszał, uczniu, do Seneki.
Świtać — świtać — och, zaczyna! —
Może jutrznia?... Gilotyna!...

Na tem kończy się część poematu, obejmująca widok ludzkości, w duchu wyobrażeń rzymsko-katolickich. Poeta, zamknąwszy ostatnie bolesne widzenie, smutnem zapytaniem: Kiedyż Pan ów świat użyźni — odbiera, jakby w odpowiedzi, wezwanie swojego anioła: Czas wypełnia się twej próby! Oto ziemia — twoja ziemia! — poczem zwraca niecielesne oko na Polskę. To widzenie ojczyście stanowi trzecią część poematu.

Widzenie pierwsze ogromne i krwawo bolesne. Przed okiem wieszczą leży cała przestrzeń Polski, całe jej nieszczęście; wielka matka narodu, pani tylu krajów, nie ma ani kęska ziemi wolnej, choćby na grób dla proroka. Zewsząd rozjęk! Cały lud staje na męki i śmiało świadczy prawdzie z nieba. Złość nieprzyjaciół wyczerpuje do dna źródło katuszy. Wtórzy im jedynie pieśń religijnej skargi. Ale w Tatrach, wśród skał i lodów Łomnicy, tam, jak w pokutnej ustroni, widzimy grzeszną, cierpiącą Polskę. Klęczy na popiele z włosami żalobnie rozpuszczonymi. Litwa, družka, tuli się do jej łona — Ukraina, wcielona pieśń, szlocha na głos; z otchłani przeszłości

wyzierają w groźnych, a sępnych widmach Bolesławy, hetmani stu walk zwycięskich, starszyzna Witoldowa, cała wreszcie wolna kozaczyzna, i szemrzą: Co się to stało z czystą krwią i czystą chwałą?

O, wielkie winy Polski! — Kochała, swawoliła, grzeszyła ciałem, cierpi więc w ciele. Wielkie winy, ale większe miłosierdzie boskie! Oto niebo umiła się, zniża, rozpromienia, i coraz głośniejszy słychać śpiew aniołów i śpiew apostołów sławiańskich. Ten śpiew przynosi Magdalenie-Polsce słowa pociechy i całkowitego rozgrzeszenia:

Grzech wiekowy — jak w płomieniu —
Zgore w ludu uciśnieniu...
Cześć i pokłon Magdalenie,
W Imię Ojca rozgrzeszenie —

odzywa się on w końcu i kona w „Hozanna!“ — coraz wyższem, jak w echu. Odmłodzona Polska podnosi czoło promienne, okazałe. Lica jej siostr wyjaśniają się, otacza je luna cudów; słychać słowa zmartwychwstania; występuje król pieśni — Bojan — i na kolanach przed Polską, z gęśli, co zabrzmia na wszystkie sławiańskie kraje, puszcza ku przyszłości długie, wieszczce słowo: Pieśń — Nadzieja. Widzenie jeszcze się raz mieni. W oku wieszczka ściemnia się — około uszu zamieć głosów; przelatują pogwizdy coraz smutniejsze — słychać pianie trzeciego kura, a wokrag, niby żywy wieniec, kwilą głosy dzieci bez chrztu błakających się, wołają o chrzest, aby mogły do nieba ulecieć.

Ostatnie słowo poety: zbawienie Polski w powrocie do wiary katolickiej.

Kilka zwrotek następnych, zamykających poemata, są czysto liryczne i mniejszej wagi dla treści, jakąśmy sobie zamierzeli; pomijamy je przeto w milczeniu i na tem kończymy przegląd myśli religijnej Ducha od Stepu, zostawując na później dopełnienie jego naszymi uwagami.

Jako wstęp konieczny do zapowiedzianych uwag, wyłożymy tu w kilku słowach jedno z najogólniejszych, jedno z zasadniczych naszych pojęć religijnych.

Wszelką religię uważamy za rozwijanie się ludzkości

z Boga ku Bogu: Bóg w niej początkiem i końcem, a sferą ziemskiego działania duch ludzkości, określony warunkami człowieczeństwa. W każdej zatem religii widzimy dwie strony: niebieską i ziemską. Głównem zadaniem obu przedstawiać pojęcie Boga, jako wzór dla ludzkości.

Na pierwszej stronie są prawdy, złożone w duszy pierwszego człowieka przez objawienie, równoczesne urodzeniu się jego: prawdy wieczne, jak sam Bóg, nieodmienne, niewzruszone, przeznaczone świecić ziemi, dopóki nie opuści jej ostatni człowiek. Są to prawdy, którym nikt zaprzeczyć nie może bez zaparcia się samego siebie, bez najwyższej głupoty, lub najszańszej złości. Żaden rozum nie zdoła ich ostatecznie obejrzeć, zgłębić ani dosięgnąć dla ich boskiej wzniosłości, świetności, głębokości. Możemy je pojąć silnem jedynie wierzeniem. W nich to spoczęła i leży wiara powszechna, niezmienna, nieomylna, spólna dla całej ludzkości, ta sama na całe jej życie, łącząca między sobą wszystkie religie w ich niebieskiej podstawie jednym, pod pewnemi względami, pojęciem bóstwa — krótko mówiąc, jedyna wiara prawdziwa.

Druga strona jest zmienna, chwilowa — mniejsza o to, czy ta chwila ogarnia wieki, dziesiątki, krocie, tysięcy wieków; jest ona dziełem umysłu samej-że ludzkości, czy to całej, czy pewnych jej części — dziełem mniej więcej doskonałem, stosownie do usposobienia duchowego danych epok. Jest to niejako ciało ducha wiary prawdziwej, które go robi dotykalmym dla wszystkich stopni rozumu ludzkiego, rozosobnia w religie cząstkowe, odpowiedne różnym epokom, różnym odłamom ludzkości, samo zaś, jak forma każda, podlega kolejom zużycia się i wejścia z czasem do składu formy doskonalszej.

Nie możemy tego jaśniej i godniej wyobrazić, jak przez porównanie z ciałem Chrystusa, które było koniecznym warunkiem jego posłannictwa boskiego między ludźmi, zużyło się w cierpieniach ziemskich, zmarło na krzyżu, a w przemianie zmartwychwstania zajaśniało świętym blaskiem. W rzeczy samej, taka jest kolej każdej religii ze strony ziemskiego jej pierwiastku. Stąd wynika wreszcie, że przychodzi dla niej chwila, gdzie może ona, zaczem śmierć rozwiąże ją ostatecznie, pozostać daleko za

ludzkością, podnoszącą się w coraz wyższą sferę wiary, za jej potrzebami coraz wznioślejszemi, że może w swoim przedstawieniu bóstwa niżej stać od bóstwa, przez ludzkość pojmanego.

Obie te strony widzimy w każdej religii, widzimy je w dzisiejszej religii katolickiej, widzimy je w poezjach Zaleskiego, pisanych pod wpływem wyobrażeń wyłącznie religijnych. To nam tłumaczy, dlaczego w śpiewie jego spotykamy dwa tony tak sobie przeciwne, odbrzmiewające w duszach czytelników tak niezgodnymi uczuciami, dlaczego, obok szczerego uwielbienia i miłości dla utworów Zaleskiego, czujemy w nich coś, z czem się żadną miarą pogodzić nie możemy, co nie przystaje ani do przekonań, ani do uczuć naszych. Odtąd nie obwiniamy siebie o bezbożność, ale poetę o pobożność, mylnie skierowaną.

Kiedy patrzy w Boga, który jest wiecznie jednokowym ojcem ludzkości, tak przed objawieniem się katolicyzmu, jak po objawieniu, a człowieka tak przed ochrzczeniem jego, jak po ochrzczeniu — w Boga wszystkich ludzi i wszystkich wieków, przez którego duch dzisiejszych pokoleń poczyna żyć doskonalej, unosić się wyżej, jak dotąd — w poezjach jego wieje pewien powiew nieskończoności, słowo jego ożywia, podnosi znękanie do wysokości wiary czynnej, wre przyszłości życiem. Pod jego dźwiękami uczucia zbolale krzepią się, mężnieją, w samych łzach przegląda niebieskie światło pociechy, wszystkie serca jemu wtórują, wszystkie za nim idą. Ale jak tylko wciśnie swoje natchnienie w ulomne, zużyte formy rzymskiego katolicyzmu, cały widok duszy zmienia się, posępnieje, maleje; z życia ludzkości wytyka tylko zła strona; rozum i wolność są tylko narzędziami grzechu, mara bezbożności jest wszędzie i zawsze, zła ma wieczność, jak Bóg, i Jego potęgę, w pojęciu Boga odbija się mocarz ziemski, z wiary wygląda tylko bierna jej strona, strona modłów, zwątpienia w ludzkich środkach, zdania się całkowitego na łaskę Opatrzności — myśl polska rozbija się w ascetyczne dumania, a naród traci swego poetę i znajduje tylko poetę-zakonnika.

Żebyśmy nie byli posądzeni o chęć osłaniania brzmiaćcami ogólnikami jakichś uprzedzeń bezzasadnych, a może

nawet o nierozumienie samych siebie w zarzutach, bez wątpienia drażliwych, widzimy się zmuszeni dotknąć, choć po krótcie, chociaż kilku z owych myśli, gdzie, według nas, poeta jest niżej siebie. Winniśmy to jemu, sobie i czytelnikom, a nadewszystko ważności przedmiotu. Sądzimy, że najlepiej tego dokonamy, kiedy rzucimy więcej cokolwiek światła na główne ich źródło.

Dwie wielkie myśli walczą dzisiaj z sobą w duchowej sferze ludzkości o religijną przewagę nad nią. Dla wyraźniejszego ich odrysowania położymy je obok siebie w najogólniejszem ujęciu. Pierwsza przynosi światu, tak zwane dotąd, prawo postępu czyli doskonalenia się aż do kresu, jaki stworzeniu, określonemu w swoim zawodzie pewnymi warunkami, osiągnąć wolno. Bierze ona człowieczeństwo w stanie większej może niewinności, jak jest dzisiejsza ludzkość, ale mniejszej doskonałości, bo w tym stanie niemowlęctwa, kiedy, równie, jak człowiek, nie mając jeszcze rozwiniętej wiedzy złego i dobrego, nie może się nazwać ani złem ani dobrem — bierze je z całym zarodem władz i zdolności, mogących mu wystarczyć w najwyższem jego rozwinięciu się, czyli udoskonaleniu, z ogólnym, niewyraźnym, ale prawdziwem pojęciem Boga, a zatem od samego początku pod opieką prawdziwej wiary. Zapomocą tych zasobów, jak zapomocą narzędzi rozwija je, doskonalili, czy to przez zbiorową pracę pokoleń całych, czy przez wyższe natchnienia pojedynczych, podobnie do wzoru, świecącego jej z bóstwa tem jaśniej, im wiedza ludzkości jest głębsza; podnosi je w duchu coraz wyżej, po stopniach religii coraz doskonalszych, aż póki nie zleje duszy jego w jedno z położonym przedwiecznie wzorem, a który zakryty dzisiaj tajemniczą zasłoną wiary, odgadywanym nawet być nie może przez myśl, choćby najśmielszą.

Według ducha tej myśli znajomość i miłość Boga są przewodnikami, bodźcem ludzkości w jej zawodzie — wiedza i wola głównymi jej czynnikami. W wiedzy sprzęga się wiara i rozum: wiara jest punktem oparcia dla rozumu, rozum pomocnikiem jej ziemskim; oboje doskonalą się kolejno, wspierają się wzajemnie i spólnie podnoszą wiedzę ludzką ku wyżynom wiedzy boskiej. Działalność

woli ludzkiej ogranicza się powołaniem człowieka, to jest, ogólnym celem wszystkich i drogą, wiodącą do tego celu. Materyalne roboty ludzkości idą w harmonii z duchowymi, przeplatają się z sobą dla wzajemnego spomagania siebie. Złe jest pojedyncze, chwilowe; rządzone przez jednego człowieka, przez jedno pokolenie, może być zniszczone tak dobrze natychmiast przez swoich sprawców, jak przez drugiego człowieka, przez drugie pokolenie. Stąd i kary są doczesne tak w tem, jak przysłem życiu. Każdy tutaj ma wszystko co potrzeba, aby sam mógł zbawić siebie. Bóg przytomny jest robocie każdego człowieka przez odwieczne swoje prawa; traci jego pomoc, kto tych praw odstępuje; kto się ich trzyma, ten ma wsparcie Boga nieprzerwane.

W tej nauce jest Bóg, jakiego dziś pojmujemy. Nie ubliża ona w niczem zasadom, których dotknęliśmy, mówiąc o niebieskiej stronie religii. Jaśniejszy jej obraz nie w tem miejscu dać możemy: rzucamy go nawiasowo.

Myśl druga, przeciwniczka powyższej, znana jest pod nazwaniem: nauki o upadku człowieka. Poczęła się ona w jednym z poddań, krążących na Wschodzie. Chrześcijaństwo wziął ją od żydów, dopełnił, rozwinął i oparł na niej cały systemat stosunków człowieka z bóstwem, a przez to samo wyobrażenie bóstwa w niemalej części podług niej urobił.

Ogólny wykład tej nauki może być następujący.

Człowiek początkowo mieszkał w raju, żył, jako jeden z aniołów, używał wszelkich rozkoszy bytu, nie znał żadnych jego dolegliwości, co większa — to życie miało być wieczne. Wykroczył przeciw jednemu warunkowi swojego bytu, użył danej mu od Boga wolności do rozszerzenia swej wiedzy — za to nie tylko został sam wyany z raju i skazany na bolesną walkę z całym życiem, a wkońcu na śmierć, ale nadto grzech jego przechodzi w spadku, jako grzech pierworodny, na całe jego plemię, na całą ludzkość; robi się całą ludzkość uczestnikiem wiecznej nędzy za życia, wiecznego potępienia po śmierci, bo obraza bóstwa jest wieczną, jak bóstwo. Nie może też zmasać jej zasługą własnej pokuty — bo czemuż jest cała wielkość jego pokuty przy wielkości grzechu? Oto, czem

człowiek przy Bogu, chwilka przy wieczności. Zaslugi człowieka, pokuta, są rzeczą podrzędną, są niczem bez ulitowania się, bez łaski Boga, która znowu może spadać nie na cierpiących najbardziej, ale na wybranych, na upodobanych Bogu przed wieki; nigdy na wszystkich ludzi, bo wówczas zbawienie przestałoby być łaską boską.

I tej nauki daliśmy ogólne tylko wyobrażenie, równie, jak pierwszej, tak jednak, według możliwości naszej, dokładne, ażeby obie porównane z sobą być mogły, co zostawując czytelnikom, przechodzimy do wyciągnięcia z niej koniecznych jej wynikłości; a ponieważ przystępujemy do tej czynności z powodu poety narodowego, przeto w całym jej ciągu kierować się będziemy samym względem na Polskę i zamkniemy ją zetknięciem z obecnym naszym położeniem.

Owoż, według nauki upadku człowieka, ziemia jest więzieniem kary, człowiek cierpiącym zbrodniarzem, cały byt jego pokutą. Gdybyż jeszcze za tą pokutą szło konieczne zbawienie! Ale nie: wola człowieka i tutaj jest niczem. Sam Bóg ostatecznie rozstrzyga, bez względu na zasługi cierpiącego, bo jego wyroki są przedwieczne. Znaki zbawienia i potępienia rozdane są przed narodzeniem się wybranych i odrzuconych. I w rzeczy samej, jakąż może być zasługa w cierpieniu mimowolnem? Cierpimy, bo nie możemy nie cierpieć. Smutna nauka! Nie dziw, że w końcu wyda wielu wezwanych a mało wybranych. Jest ona równie smutna ze strony, która bliżej dotyka naszej ziemskości.

Nauka ta, potępiając wolę i rozum, jako pierwsze sprawie grzechu, które jednak, według wyobrażeń ludzkiej sprawiedliwości, są najważniejszymi względami w ocenianiu czynów ludzkich — karząc chwilowe, co większa, cudze przewinienia wieczną męką, kiedy przez odmówienie człowiekowi używania rozumu i woli zdejmuje z niego odpowiedzialność za jego nawet własne, zachwiewa wszelką moralność, bo w samej podstawie, to jest, w pojęciu Boga, którego robi tak niesprawiedliwym, okrutnym, jak tylko wyobrazić sobie można. Cóż wtedy pozostaje człowiekowi szczerzej wiary? Ślepe posłuszeństwo, bierna rezygnacja, oderwanie się od ziemi, zaniechanie wszystkich

spraw ziemskich, lekceważenie wszystkich obowiązków społecznych, ponury pietyzm, przesadzony spirytualizm. Co pozostaje narodowi uciśnionemu, jak polski? Cierpieć i starać się cierpieć coraz więcej, bo zasługa przed Bogiem tem większa, im cierpienie jest większe. Jest to pokuta za grzech, którego nigdy dosyć odpokutować nie można. Wolno modlić się, niekiedy zapytać, czy daleki jeszcze koniec kary? Ale wylać się z pod niej własną wolą, własnym rozumem? Tego nie wolno, bo jest zasłużona. Wylać się to, jest buntem. I kara i narzędzia kary są z wyroku boskiego; trzeba w nich szanować wolę Boga. Mikołaj spełnia względem Polski wyższe posłannictwo, wykonywa czyn pobożny, ułatwia Polakom drogę zbawienia. Zdaje się, że na tem przestać możemy.

Poeta Bohdan, jako prawowierny syn kościoła rzymskiego, z tego dogmatu wychodzi w swojej poezji religijnej. Poema zapewne nie jest rozprawą teologiczną, ale poezya jest objawieniem prawdy przez piękność: w głębi jej powinna być prawda — inaczej, zaprowadzi na bezdroża złego. Pewna i to, że myśl jego poszła wkońcu gdzieindziej, spoczęła ostatecznie na obrazach, pocieszających duszę narodową — ale my tego zboczenia nie możemy przypisać logicznym następstwom przytaczanego dogmatu. My widzimy w tem jedynie miłość narodu, prawdziwe pojęcie bóstwa, natchnienie prawdziwie niebieskie, mocniejsze od więzów panującej myśli. Nie wszędzie jednak zdołał ją przemódz.

Stąd w jego przeglądzie ludzkości tak wydatna jest zła, coraz gorsza strona, a mogąca się jednak usprawiedliwić, gdyby tak było w rzeczy samej, nieznośnymi warunkami bytu — stąd zarzuty bezbożności najświętszym usiłowaniom narodowym około wolności, jak żeby owe czyny nie były już same w sobie najwyższą pobożnością — stąd powstawanie na wiedzę, na wolę, jak żeby wiedza i wola nie były przymiotami samego bóstwa, a będąc w bóstwie dobrem, mogły być złem w człowieku, jak żeby bezrządna swawola i szalony nierozum jedno z niemi znaczyły — stąd pogarda dla wiekowych prac i nabytków umysłu ludzkiego, dla udoskonaleń fizycznych, które wszakże są robotą ducha, a przez wzmocnienie,

uszlachetnienie materyjalnej, ziemskiej strony człowieka dążą jedynie do opatrzenia duszy w narzędzia, odpowiednie ważniejszym jej robotom w przyszłości — stąd w pieśniach jego pełno skargi, narzekania i płaczu, które prędzej rzucają do duszy zwątpienie, jak pociechę, prędzej zamkną ją w nieczynnem rozmyślaniu, jak pobudzą do działania, są słabością w człowieku powszednim, mogą ująć samotnikowi, wspierającemu ludzkość pobożnem tylko rozmyślaniem i ofiarą wewnętrznych boleści, ale powinny być wstrzymane, o ile można, w śpiewach poety, przeznaczonemu powoływać naród do życia społecznego, do walki męskiej — stąd nakoniec pojęcie bóstwa, nie przystające całym obrazem do obrazu, leżącego w duszy dzisiejszych pokoleń.

Świadczy o tym treścią „Ducha od Stepu“, przytoczoną powyżej — a jeżeli tego niedość, całkowitym jego tekstem, zresztą wszystkimi poezjami religijnymi.

Nikt zapewne, możemy to śmiało powiedzieć, nie widzi jaśniej od nas potrzeby religii w każdym czasie, dla wszystkich, a tem bardziej w obecnym, dla Polaków — nikt mocniej nie jest przekonany, że konieczna jest myśl, która by położyła koniec moralnemu nieładowi Polski, zniszczyła trawiącym ogniem wszelkie obce jej pierwiastki, narodowe zaś podniosła w potęgę nadziemską, przywróciła pierwotne ich powinowactwo i nakoniec skupiła w jedność polskiego ducha — że tą myślą może być tylko myśl religijna, że jej podstawą i szczytem jest Bóg, że zatem w miłości i pojęciu Boga leży ostatecznie nasze narodowe zbawienie, narodowa przyszłość. Ale i o tem także jesteśmy przekonani, że wiara powinna rozjaśnić umysł człowieka, nie ściemniać — pokrzepiać, nie rzucać zwątpienie — podnosić zaufanie we własnych siłach, a nie naigrawać się jemu — a nadewszystko objawiać Boga, któryby skupiał w najwyższem podniesieniu szlachetne, wzniosłe instynkta, władze i dążenia ludzkości, któryby nareszcie, że się zwrócimy do tego, co nas tu wyłącznie zajmuje, świadczył naszej Polsce boskim swoim słowem, że mimo jej ułomności nie zasłużyła na los, jaki dzisiaj znosi, że mimo jej przewinień sprawcy jej są zbrodniarzami godnymi kary, że powstać przeciw nim, zniszczyć ich, bę-

dzie najlepszą pokutą za grzechy przeszłości, najwyższą zasługą przed Bogiem i prawem do przyszłego zbawienia.

Takiego Boga pragniemy widzieć w dzisiejszej poezji, takiego widzimy w poezji Bohdana, ile razy, jakżeśmy to już namienili, idąc za natchnieniem samorodnem, zostawia na boku surowe nauki mnichostwa rzymskiego, ile razy maluje nam Boga Opatrzności, dobroci, przebaczenia.

Otóż jest wszystko, co ciążyło naszemu sercu w tej całej czynności; przyznajemy się do tego szczerze. Kończymy ją z prawdziwym zadowoleniem. Wszakże musieliśmy do niej raz przystąpić: nie dla rozpoczęcia sporu teologicznego, nie dla zachwiania poety w tem, co mu najdroższe. Nie. Prawdziwe powody są nie na jednym miejscu naszego pisma; łatwo je wykryć. Tu jeszcze jeden dodamy.

Jesteśmy widzami usiłowań, dążących do bezwzględnej restauracji przeszłości na korzyść pewnych wyobrażeń, w interesie pewnych odłamów społeczeństwa, które nie mogą się pogodzić ze szczęściem wszystkich. Duszą tej roboty musi być z porządku rzeczy restauracja papieskiego katolicyzmu. Ta restauracja zaczyna objawiać się i poczyna bredzić, jak bredzić musi restauracja każdej gasnącej myśli, z prostej przyczyny, że opiera się na jej żywotnych pierwiastkach tam właśnie, gdzie się naprzód zagnieżdża zaród zepsucia myśli, skąd się jej zepsucie poczyna. Stąd to dzisiejsi, tak zwani, katolicy w oddziaływaniu przeciwko wolności, oświacie, postępowi rodu ludzkiego, przychodzą do uświęcenia ciemnoty, niewoli, do wykrzywiania pojęć o bóstwie. Według nas jest to bezbożność.

W poezjach religijnych Bohdana są rzeczy, które zdają się łączyć go z nimi. Nie omieszkają oni zastawiać się poetą, jako potężnym szermierzem swojej sprawy. My więc, poświęceni prawdzie, wyższej w naszym przekonaniu od niektórych prawd kościoła rzymskiego, musieliśmy je wytknąć, jako ubliżające bóstwu i szkodliwe ludziom. Są-li dla poety nasze uwagi podejrzane, zarzuty niesłuszne, zdania przesadzone? Chce-li znaleźć gdzieindziej usprawiedliwienie ich i poparcie? Niech tylko rzuci wokolo

siebie okiem bezstronnej rozważki i rozpatrzy się. Kto przyjął z największym zapalem jego poezye religijne, kto im udziela najtroskliwszej opieki, pieści się niemi najczulej? Zapewne nie strona ludu, nie przyjaciele jego, nie poświęceni jemu. Wielbiciele tacy są tem podejrzani, że potrafiliby dostrzedz pod całym urokiem poezyi i patryotyizmu, co jest w niej przeciwne i grożące ich interesowi. I na nich więc jeszcze zlewamy z całą ufnością obowiązek świadczenia prawdzie słów naszych.

Pozostaje nam jeszcze obejrzeć ją, jako utwór poety-sztukmistrza.

Cokolwiek powiedzieliśmy w sposobie ostrego sądu o poezyach Zaleskiego, wymierzone było jedynie przeciw pewnym wyobrażeniom, które przy całej ich powadze religijnej nie zdają się nam być bezpiecznymi kierownikami czynnego życia narodu, w obecnym zwłaszcza jego położeniu, jak to w całym ciągu naszego pisma jasno widzieć można; lecz nie miało zamiaru i niemoże bynajmniej ubliżyć ani wierze poety, ani jego duszy, gorejącej taką miłością, ani jego wieszczemu geniuszowi, ani wartości jego utworów pod względem natchnienia i wykonania. Ta strona pozostaje jeszcze do obejrzenia, i do tego przystępujemy z równą, jak dotąd, sumiennością, a z większą rozkoszą; ubolewamy tylko, że musimy być zwężlejszemi, niżbyśmy chcieli.

Wyjdziemy znowu z „Ducha od Stepu“. Daliśmy już w kilku głównych rysach wyobrażenie tego poematu — dopełnimy je kilku nowemi. Przedewszystkiem uderza nas w niej wielka siła poetycka. Zdaje się, że to nawet, co w niej rozum razi, uderza w duszę tem przenikliwiej tłem swojej okropności. Ale jest to tylko cień, rzucony na obraz, który nie gasi blasku i życia jego całości, nie zaciera harmonii między częściami — owa siła promieni z pod niego we wszystkich kierunkach. Poświęcenie na przykład poety na ziemską wędrówkę ma w swoim duchu i formie coś tak niecielesnego, ulotnego, rajskiego, że natchnienie podobne Zaleski tylko mieć może. Albo ta bolesna pieśń jego ziemskiej niedoli, albo jeszcze boleśniejsza, najboleśniejsza, niby zasłyszany płacz proroczy nad Jeruzolimą, płacz poety nad Polską — albo ten śpiew

aniołów, między ziemskimi jękami, niosący rozgrzeszenie Polsce — albo ten obraz Rzymu, konającego powolnem samobójstwem wszelkiego zepsucia, narysowany tak głębokimi a rzucanymi, jak od niechcenia, pociągami — albo to groźne, półfantastyczne widzenie barbarzyńskiego zalewu, odśpiewane, jak echem dalekich ziem i czasów, i tuż obok niego świat Sławian, taki pogodny w swoim szczęściu, taki miły w swojej prostocie, taki poczciwy na błędnej drodze swojej wiary; nareszcie to polyskanie widma Bojanowego! Tyle różnistości w tak niezwykajnych pomysłach!

Prawda, że poeta miał otworem dla siebie i niebo i ziemię, i przyszłość i przeszłość — ale w takiej przestrzeni można się zgubić, można nie znaleźć, czego szukamy, można wiele znaleźć a nie móżdż lub nie umieć utworzyć z tego jedności. Żeby tego dokazać, trzeba być poetą prawdziwym, przez duszę i umysł. Bohdan dokazał tego. „Duch od Stepu“ ma bez wątpienia cechę całego bogactwa jego talentu: wydatniejsza tu, jak gdziekolwiek, owa czarodziejska giętkość jego języka, nieprześcigniona żywość fantazyi, niewyczerpana barwność, wielka sztuka nagięcia formy do każdej cząstki ducha utworu i, większa od tamtej, sztuka zatarcia wszelkich śladów sztuki.

Mniejszego rozmiaru są inne pieśni religijne, w tych dwóch tomach wyłącznie zawarte. Są między niemi poświęcone jedynie wylaniu się duszy przed bóstwem, jak te na przykład, które są objęte napisem: „Modlitwy i Hymny.“ Są — znowu marzenia, rozmyślenia, w duchu wiary, z których jedne mają za cel poparcie lub rozjaśnienie jakiej prawdy religijnej, inne są znowu prostem wyśpiewaniem się serca, skolatanego już to bytem ziemskim w ogólności, już to życiem, którego ciężar tułaczę tylko, pozbawieni ojczyzny, czuć i ocenić mogą. Między temi ostatnimi najwięcej cenimy: „Sam z pieśnią“, „Przechadzkę poza Rzymem“, „Mdlą ciszę“, a najwięcej rozrzewniamy się: „Naszem Endoume“. Między modlitwami, jakkolwiek każda z nich ma właściwą sobie myśl piękną i wzniosłą, my jednak najchętniej przylegamy sercem do modlitwy na dzień gromniczny, a razem na

dzień urodzenia poety, gdzie rozmowa jego ze zmarłą matką porusza wnętrzości każdego, ktokolwiek jest synem — i do drugiej, pod napisem „Smutki“. Świat duszy ciemny tutaj, przeraźliwy, jak sam poeta mówi; jest w nim pewna uroczystość rozpacz, śmierci, ale piękności poetyckie wciąż po nim przelatują, jak błyskawice. Zresztą, któż z nas nie wita, jak dawnych znajomych, cokolwiek tu poeta wypowiedział? Stąd-to zapewne przenosimy tę modlitwę nad inne.

Zostawiliśmy na zakończenie najpiękniejszy może w tym zbiorze utwór, a przynajmniej różny od reszty. Mówimy o poemacie, któremu autor dał imię: „Święta Rodzina“. Osnowa jego bardzo prosta, oparta na wiadomem w chrześcijaństwie zdarzeniu z życia Chrystusa, to jest, na zgubieniu go przez Maryę i znalezieniu w kościele jerozolimskim wśród rozprawy z uczonymi. Rozwinięcie tego wypadku jest najwięcej prostoty; jest to spokojne opowiadanie w szczegółach tak, zdaje się, powszednich, że zmyślenie ich poeta mógłby uważać za trud bezpłodny. I w rzeczy samej, jakie one są? Oto tłum ludu na drogach, powracający ze święta Przaśników, obchodzonego w Jeruzalem — nocny jego spoczynek pod gołym niebem — Marya, stroskana zgubą syna — Józef, który ją pociesza — sen, który każe wracać do Jeruzalem, znalezienie Jezusa w kościele, uczta u Elżbiety, powtórne wyjście z miasta świętej rodziny, krótki spoczynek nad Cedronem i nakoniec nocleg w lasku oliwnym przy brzegu strumienia. Poema jednak, nie tylko, że nie traci na tem, ale zyskuje.

Główną osobą jego Chrystus, źródło — ewangelia. Powinno mieć przeto prostotę ewangelii a za całą ozdobę urok miłości — i ma to wszystko. Nadto jeszcze jest w niem głębokość uczucia i myśli, głębokość, wiarą tylko zmierzona. Ta matka, rozplywająca się szczęściem z takiego dziecka, a jednak bolejąca przecuciem najsroźszych cierpień, to pachole, igrające nad Cedronem, w obliczu Golgoty, albo goniące już wzrokiem najczystszej miłości za wyklętą Samarytanką, albo dające dziecinne pocałowanie małemu Stefanowi, pierwszemu w przyszłości męczennikowi dla siebie, ten śliczny panicz, Łazarz, który

ubogie, nieznanne dziecię w milczeniu pomija, i wiele tym podobnych, są to wszystko dowody, jakie głębie przedmiotu odkryła poecię szczerza jego wiara.

Wątpimy, aby którakolwiek literatura miała coś lepszego w podobnym rodzaju. My między poezjami Zaleskiego uważamy „Świątą Rodzinę“, jako najpiękniejszą jego modlitwę.

Chcielibyśmy dłużej cokolwiek zatrzymać się nad nią, ale oddawna już inny nas przedmiot czeka: poezya ukraińska Zaleskiego.

III. POEZJA UKRAIŃSKA.

Ukraina była kolebką i piastunką Zaleskiego. Z ducha Ukrainy wpłynął w niego duch wieszczcy, miłość Ukrainy natchnęła mu pierwsze pienia, ziemia i dzieje ukraińskie dostarczyły mu pierwszych żywiołów do formy poetyckiej. W tej też myśli największa jego potęga: tam on jest samorodny, nowy, znakomity między polskimi poetami, jedyny, nieporównany w swoim rodzaju. Wszakże jego siła, zasługa, chwała nie stąd płyną, że pierwszy umiał skorzystać z poetyckich skarbów tej ziemi, że umiał z nich skorzystać tak, jak nikt przed nim, a może i po nim. Nie — byłoby to brać rzeczy powierzchownie i kłaść wątłą podstawę wartości Zaleskiego. Leży ona w czem innym, z nikiem niepodzielona, równie wielka w najdalszej przyszłości, jak dzisiaj. Powiadamy to śmiało i zaraz tego dowiedzimy.

Część Polski, zwana Ukrainą, odbyła powołanie w ogólnem powołaniu narodowem niejasno dotąd pojęte i wyłożone; ma ona właściwe sobie, swoim dziejom, duchowe piętna, które ją bardzo wyszczególniają między innymi częściami i stawiają wyżej nad inne; krótko mówiąc, tam spoczął najwidoczniej duch wolności ludu polskiego, objawił się najenergiczniej w swojej walce z uciskiem i najkrwawszymi rysami uwiecznił tak swoje krzywdy, jak protestacją przeciw nim. Przebiegnijmy całe życie ludu polskiego, a nigdzie nie znajdziemy owego zjawiska, przynajmniej w takiej sile, z taką długą ustawicznością

trwającego, nakoniec płodnego w takie stanowcze skutki, na nieszczęście, okropne, dla ojczyzny, jak dotąd.

Jakiegokolwiek są tego przyczyny, o to mniejsza w tem miejscu. Mniejsza i o to, że owo uczucie wolności w ludzie ukraińskim objawiało się w postawie za dzikiej może dla dzisiejszych czasów, że wkońcu przyprowadziło go do zbrodni przeciwkojczystrych, lubo część ich spada na złość jego braci; nie usprawiedliwiamy złego, bierzemy tylko myśl ogólnie. Wszakże, mimo wszelkich zarzutów, jakie Polska Ukrainie zrobić może, pewna jest, że jej życie kozackie dostarczyło prześlicznych czynów chwale ojczystej, najpiękniejszych kart ojczystym dziejom — a w swoich nawet okropnościach było historycznem, dotykalnem ostrzeganiem narodu o źródłach jego zguby, jak znowu polskiem, świetnem obliczem dziejów zapowiadało tę przyszłość, która rozwinie przerodzenie nasze, a do której wchodzimy już duchem. Stąd to taka poezya na dziejach i ziemi ukraińskiej, stąd takie jej rozbrzmienie w sercu narodowem, taka miłość, taki podziw uwielbienia dla niej. Tak jest, duch ludu polskiego uczuł prawdę w myśli Ukrainy; w jej cierpieniach ujrzał apoteozę swego męczeństwa, a w marze jej przeszłości swojego zapaśnika i wnet złożył jej cześć miłości. W tej czci połączył się lud i nie lud. Mimowolne to zapewne, bezwiedne świadectwo prawdzie, dlatego też tem ważniejsze. Jest ono dziś tak powszechne, że niema już w niem nawet nadzwyczajnej zasługi. Ale kto pierwszy pojął tę myśl natchnieniem tylko, przyłgnął sercem i duszą do tego ludu, uznał za pożyteczne ojczyźnie rozkochać ją swoją miłością, oświecić ją swoją myślą, i dopełnił tego — w tym mieszka geniusz, ten stworzył dzieło, które tyśiące jeszcze robotników zatrudnić może, ale ich mistrzem on tylko pozostanie. Taka jest istota ukraińskiej myśli, a w poezyach Zaleskiego najżywotniejszego pierwiastku. Przezeń to trzyma on to wysokie miejsce między polskimi poetami w całej literaturze narodowej. Najważniejsze byłoby trafne jego ocenienie z tego stanowiska. Głęboka, filozoficzna krytyka miałaby tu wiele do powiedzenia. My nie mamy do podobnej pracy ani siły ani czasu; musimy ograniczyć się ogólnym bardziej widokiem.

Poezya, pisana wyłącznie pod natchnieniem rodzimo-ukraińskim, zajmuje tom trzeci całego zbioru. Podzielona jest przez poetę na Dumy a Dumki, i na Wiośnianki i Szumki. W pierwszych widzimy śpiewaka uczuć tęsknych, smutnych, często bolesnych przeszłości świetnej, obecnej niedoli — w drugich promieni się myśl pogodniejsza, niby słowo pociechy wśród narzekań. Dumy, wiośnianki, szumki są to wszystko rodzaje poezyi miejscowej; poeta właściwie wprowadza ich nazwy i przyswaja poezyi polskiej. Obok tego podziału jest tu jeszcze część historyczna, i ta nas przedewszystkiem zajmie, raz, że ta część objawia poetę w zupełności prawie jego ducha ukraińskiego — potem, że mając za tło rzeczywistość historyczną, jest dla nas większej wagi, niż jakiekolwiek pieśni, zamknięte sferą osoby pojedynczej lub uczucia domowego. Nadto jeszcze znajdujemy między niemi pewien związek, pewien szyk nawet, według jednej myśli, tak, że z małemi zmianami możnaby je złożyć w jedną całość. Każda дума jest tutaj niby zwrotką, a wszystkie razem stanowią piękne liryczne poema. Dlatego z zalem nie widzimy tutaj ani rypodu rycerskiego, ani Dumy o Mazepie, ani im podobnych, dawniej napisanych. Sąsiedztwo ich wcale nie ubliżyłoby dumom. Jest w nich pewna poranna świeżość natchnienia, pewien urok wschodzącego słońca, które nigdy zachwycać nie przestaną. Dla treści zaś, byłyby one bardzo na swoim miejscu wśród historycznych śpiewów i dopełniłyby całości. Ale wróćmy do rzeczy.

Zbiór dum otwiera się pieśnią o drzewie poezyi, nazwanem Sen-Drzewo Wieszcze przez poetę, opartego na miejscowych podaniach o roślinie Sen. Piękne upostacowanie poezyi. Drzewo to, wszczepione na czary mnogich stuleci z bożej rozsady, pachnie, jak młodość, kwieci się, jak miłość, gada wonią i szumem, strzeże mogił, podaje słowiańskim plemionom wieść z nieba; zaklął je wieszczu Bojan.

Kto po tem drzewie puści w górę ducha,
 Utraci pamięć żywota, zwiatrzeje;
 Kto woń zaczuje, albo w szum się wsłucha,
 Wyśni sam w sobie stu pokoleń dzieje.

Kto pierwszy różdżkę Snu-Drzewa dostanie
 I sercem boże cuda w niej zrozumie,
 Po królu pieśni, po wieszczym Bojanie,
 Między Słowiany zawieskuje w dumie.

Po tym wierszu, pełnym głębokiego pojęcia rodzimej poezji, następuje дума do gęśli — modlitwa do gęśli, aby mu rozbrzmiała na wiatry powszednie jego smutki. Głównym jej tonem, rzewna skarga i tęsknota do ziemi ojczystej. Podzwonne ku ojcom. Pieśń uroczysta w cześć przodków: gęslarz rej prowadzi, do chóru cały lud wchodzi. Od pobożnego uniesienia się ku zmarłym ojcom, schodzi nakoniec poeta na ziemię ukraińską do dziejów ukraińskich. Z Mogiły Sawor słyszemy głos Zaporozców. Śpiewa on wielkość stepu, piękność Ukrainy, jej pustki w przeszłości, początek Zaporozża, i pierwszego Zaporozców hetmana, Ostafiego Daszkiewicza. W dumie „Step“ odsłania jeszcze wyraźniej tajemniczy pozór pól ukraińskich. Gęśl poety innym brzmi dźwiękiem w „Lachu serdecznym na marach“. Przeclaw Lanckoroński, hetman kozacki, umiera; ciało jego ma spocząć w Lanckoronie — kozactwo przeprowadza go pieśnią pogrzebową. Pieśń prosta, uroczysta, a spokojna i głęboka, w swojej wielkiej boleści, jednym słowem, taka, jaka musiała być pieśń tych dziwnych ludzi, pół-dzikich przez życie i obyczaje, ciągnących za pogrzebnym korowodem atamana, którego Lachem serdecznym przewali. Któż ich nie pozna w tej na przykład zwrotce:

Cześć na dobie — chwała tobie — chwała, póki nas!
 Hej, serdeczny! Pokój wieczny w nieprzeżyty czas!
 Póki świata, słońca, żal nasz, żal nieukojonny
 W pieśń niech wieje od Kudaku aż do Lanckoronny!

Trzeba tu zauważyć, że dzieje kozaczyzny najsławniejsze zaczynają się pod przewodnictwem Polaków, przez potęgę myśli polskiej. Świadczy o tem historia, ale wdzięczność poecie, który to przypomina i zapisuje, jak prawdę.

Twardość tej pieśni cieniuje się boleścią łagodniejszą następną. „Smutna Krakowianka“ jest to powieść o córce Bohdanka (Różyńskiego), takż dowódcy kozaków, która, wzięta do Krakowa na dwór królewski, umiera tam z tę-

sknoty za Ukrainą. Powieść włożona jest w usta kozaka, ma też barwę kozacką — i mimo rubasznosci języka, wi-
dać w oczach opowiadacza lży myśli głęboko-smutnej,
którą zamyka dosłowna nauka:

Nasz nie nawyknie do cudzego chleba:
Żyć i umierać u nas mu potrzeba;
I oto Pan Bóg zapowiada w cudzie,
Że Ukrainiec nie na Ukrainie
I wiek przepłacze swój i marnie zginie.

Innego rodzaju rzewność odzywa się w dumie, mają-
cej napis: Luli Niemowlęciu Iwoni. I zapewne rzewny
to widok, owi Zaporozce wasacze, zamienieni w pia-
stunki, śpiewający do snu sierocie po miłym woje-
wodzie; do tej myśli nastrojony ton całej dumy. Jest to
jedna z najpiękniejszych dum, prawdą uczuć i kolorytu,
zachowaną w równym stopniu przez cały jej ciąg. „Po-
chód“ chwytą z domowego życia kozaka chwilę jego od-
jazdu na wyprawę. Jest to pożegnanie matki z synem,
całe w duchu pieśni gminnych. „Wyprawa Chocimska“
i „Czajki“, poświęcone są pamiętce sławnego Konaszewi-
cza. Pierwsza śpiewa jego chwałę na lądzie, druga daje
nam obraz jego morskiej przejażdżki; pierwsza jest w tonie
powieści, druga ma wzniosłą liryczność wojennego hy-
mnu. Któż z nas nie zna dumy o hetmanie Kesińskim,
która zamyka ten szereg imion i wypadków historycz-
nych? Dalej myśl poety, jak żeby zmierzyła cały zawód
publiczny, wojowniczy kozaków, zwraca się do uczuć
spokojniejszych, poczyna głównie śpiewać tęsknoty ro-
dzinne. W tym duchu są zamknięte: „Zozulicz“, „Downa-
rowski na Jasyrze“, „Co mi po tem!“ „U nas inaczej“,
i tym podobne. Położenie za krajem, tęsknota do niego,
są w ogólności najplodniejszym tekstem śpiewów naszego
poety: przedstawia on je w krocich postaci, a zawsze
różnych, zawsze zajmujących, i tak prawdziwych, że je
mimowolnie sobie przyswajamy. Jest to niby pieśnioksiąg
emigrancki.

Tę cechę ma szczególniejszą księga wtóra Dum i Dumek.
Nie widzimy już tutaj żadnej pieśni historycznej, lecz
albo ściągające się jedynie do samego poety, albo prze-
kłady, a raczej naśladowania dumek gminnych, których

osnową dzieje domowego i serdecznego życia. Wszakże we wszystkich brzmi struna ukraińska, widać barwę ukraińską. Między temi godne są szczególniejszej wzmianki: „Tędy leciał ptaszek“. „W spółce ze słowikiem“, gdzie poeta dosyć szczęśliwie schwytuje rytm słowiczego śpiewu. „Nie ma, czego trzeba“; „Stepowa mogiła“, „Ktoś czy Ktosia“; „Rozczarowanie“; „Okolica alpejska“; „Synowski żal do Ukrainy“: Dumania, skargi, żądania mniej więcej głębokie w uczuciach, mniej więcej proste lub wzniosłe, niekiedy umilone tęsknym uśmiechem, a który czasem szczerze lży wyciska, niżeli lża sama. Zamyka to wszystko, „Kalinowy most“, należący do najpiękniejszych poezyj Bohdana. Jest tam pomysł nowy, obszerny, myśl, co tak bystro zapuszcza się w przyszłość, jak w przeszłość, cała prostota wiary gminnej przy natchnieniu wielkiego poety, uczucie, jedno z najposępniejszych, a pokryte jednak wesołością tego rodzaju, że możnaby je wziąć za ów śmiech serdeczny, który zdradza najwyższe bole serca. Osnowa tej ślicznej dumy następująca: Poeta u zwierciadła dostrzega między swojemi włosami jeden siwy. Siwy włos, to owoc życia, to życie, przekwitłe we wszystkim, co ma najmilszego. Jakie źródło smutku! Ale cóż tu smutek pomoże? A więc przynajmniej raz jeszcze porzucić ku młodzieży kłopak z głowy po kozacku, na ostatnie: bądź zdrow! I oto poeta na Kalinowym moście, po którym, według podania gminnego, uciekają od nas młode lata — tam poeta i swoje żegna. A tym czasem przesuwa się przed nim przyszłość, jakaby mieć można, jakiejby pragnął dla swojego szczęścia, i przyszłość, jak marzenie, i przeszłość go opuszcza. Spotyka Rusałkę, swoją družkę, tak niegdyś wierną. Rusałka zagwizdała szyderczo po paluszkach i znikła; unosi się myślą w życie domowe, pieści się dzieckiem i żoną — i to marzenie! Podobnie opuszcza go i Pieśń i Miłość. Wtedy duch poety zapuszcza się w głębie przyszłości trzeciego aż gdzieś pokolenia; staje na Ukrainie, jako dziad-piewca. Wszystko tam się zmieniło. Nowi ludzie, nowa prawie ziemia. Wiejska młodzież igra w tańcach i pieśniach. Dziewczęta upraszają starca o nową wiosniankę. Tu zaczyna się spór poety z wesołą gromadką, o którym żadna treść wyobra-

żenia dać nie może; kończy go pojednanie, ale kiedy poeta chce zaśpiewać, smutna rzeczywistość płoszy na nowo marzenie.

Bądźcie zdrowi, goście mili!

woła poeta na zakończenie do swoich lat młodych, a do Ukrainy:

Matko, syn powraca miły!
 Pokolenie Piewców młode
 Odprowadza — do mogiły!
 Matko, niosą żywe słowa:
 Wyjdź, niebogo, z miłą rzeszą!
 Gdzież gospoda Bojanowa?
 Gęśl przy gęśli niech zawieszą!

Na końcu tomu umieszczone są „Wiośniarki i Szumki“, czyli poezye weselszej treści. Między temi „Śmierć w obławie“ i „Bojanicz“ są głębszego znaczenia, i z tego powodu zwracamy na nie uwagę czytelników.

Oto są postacie, pod którymi objawił się dotąd ukraiński pierwiastek poezyi Bogdana. Uważamy go, jako brylant, którego każde liczko błyska właściwem sobie światłem: dlatego dotknęliśmy za długo może pojedynczych poezyj. W istocie każda z nich stanowi lice głównego pierwiastku, odmienne od innych. Pierwszeństwo należy niezaprzeczenie historycznej części — lubo i to trzeba przyznać, że talent poety wszędzie, z małymi wyjątkami, utrzymuje się na równej wysokości. Wszędzie natchnienie swobodne, świetne, dusza promienna duszą ojczyzną, dźwięki do serca, jasne widzenie przedmiotu, rzadka moc władania językiem, rzadszy jeszcze smak w jego poprawności, niekiedy do wykwintności posunięty, i wzorowa harmonia formy artystowskiej z natchnieniem, a w wielkiej części prostota śpiewu ludowego i uczucia, z serdecznego źródła ludu wzięte. Nie mogą one wprowadzić zaspokoić wyobrażenia, jakie o poezyi gminnej mamy — ale z tego usprawiedliwiamy poetę; jesteśmy przekonani, że dzisiaj zadośćuczynienie wszelkim jej warunkom przechodziłoby prawie siły każdego, dla mnóstwa niezłamanych przeszkód. Wielka już jest zasługa w samym pod-

niesieniu myśli ludu, w wyrobieniu jej prawa obywatelstwa do poezji ukształconej, w oswojaniu z nią naszych pańskich wyobrażeń: przestańmy temczasem na niej, jak na stopniu do dalszych postępów. Zdajmy resztę na czas w przekonaniu, że poezye Zaleskiego nie zamrą w księgach, jak hieroglify, ale przejdą w usta i serca narodu, a tam rozrodzą się w plemie bliżej — czysto-ludowe. Między innemi mamy wielką tego rękojmię w śpiewności tych poezyi. Wszyscy to uczeni i wszyscy mu przyznali wyższość pod tym względem nad całą rodziną wieszczów polskich dawniejszych i nowszych. I tak jest w rzeczy samej. Wydobył on z polskiego języka melodyjność, nieznaną prawie dotąd. W wielkiej części sama natura jego talentu dokonała tej pracy, ale i własnych usiłowań włożył niemało. Zbadanie poezyi Bohdana z tej strony może być przedmiotem bardzo ważnym i korzystnym dla pracujących nad nagięciem polskiego języka do muzyczności, a co byłoby nieoszacowanym nabytkiem dla poezyi polskiej; poeci tymczasem powinni go naśladować w tem usiłowaniu, ci zwłaszcza, którzy dla ludu chcą pisać; tam muzyka nie druk uwiecznia myśli.

Za niemałą także zaletę poczytujemy Dumom i Dumkom, że są dla wszystkich bardziej, niż poezya religijna. Niema tu prawie uczucia, myśli, któreby się nie przyjęły we wszystkich sercach, nie przylgnęły do każdego umysłu. Znać, że płyną z natchnienia pierwotnego, młodzieńczego, z powszechnego źródła; czuć w nich strunę, którą najpierwej nawiązała na serce poety matka Ukraina. Jest-że ta poezya mniej religijna od pierwszej? Przeciwnie, jest ona wysoko religijną, bo pełna szlachetnych dążeń, głębokiej miłości, otwartego na wszystkie strony uczucia; ma wszystkie przymioty prawdziwości, choć rzadko udaje się do urzędowego słownika religii. Dokaże tego, jak Bohdan, każdy poeta. Niech tylko kocha ludzi i swój lud, a Bóg przyjmie tę miłość za ofiarę miłości ku sobie, a anioł jego natchnienia będzie z poetą nieodstępnie.

Nie możemy pominąć sławiańskiego pierwiastku w poezjach Bohdana. Poczciwy purytanizm katolicki, mimo uwielbienia dla swojego poety, tak jednakże został uderzony tem niepojętem dla niego serdecznem uniesieniem

się do przedchrześcijańskich sławiaństwa czasów, tem wywołaniem Bojana, którego chrztu żadna metryka nie poświadcza, że ledwo nie posądził Zaleskiego o herezję — i to, jak mniemamy, przez uszanowanie tylko dla jego talentu, mogącego się jeszcze mu przydać; wszakże wspomniony pierwiastek wchodzi do poezyi Zaleskiego konieczniej, niżby się komu zdawało. Jeżeli narody plemienia sławiańskiego uważać będziemy nie w samych tylko klasach ukształconych, ale w tej masie, którą przywykliśmy nazywać ludem, w masie, niedostępnej wpływom cudzoziemskim, a przez to rozwijającej się logicznie z zarodu swojego życia, dostrzeżemy wszędzie spólnego sławiańskiego pierwiastku: dostrzeżemy go równie w ich poezyi, kiedy wyobrażeniu poezyi narodowej pozwolimy zstąpić do pieśni ludu. Nie mamy potrzeby zapuszczać się w dowodzenia; poparcie ich świadectwami dotykalnemi jest nazbyt łatwe. Przekonani jesteśmy, że wszyscy to wiedzą, co my wiemy. Poeta zatem polski, stający na drodze poety ludowego, nie podjąłby swojego powołania, rozmiąłby się z niem, gdyby odrzucił pierwiastek sławiański. Odsuwamy na bok mus chwilowo polityczny, ale widzimy mus historyczny. Ludowa polska poezya nie będzie zupełna bez tego pierwiastku. Natchnienie wyższej mądrości kierowało Bohdanem, kiedy grał myślą sławiańską; wyższej mądrości, kiedy Bojana wskrzesił. W postaci Bojana ukazał nam ideał wieszca polskiego ludu, i to ludu, który duchem swoim ogarnie całą Sławiańszczyznę. Myśl ta nie wszędzie zapewne pomieścić się może, ale godna jest duszy Bohdana i opromienia blaskiem niepoślednim jego poezye — blaskiem takim, że poetycka jego zorza rozlewa światło Polski po za jej granicami; zbiega się z każdym płomykiem sławiańskiego ogniska, gdziekolwiek ten błąka się jeszcze. Postać Bojana mglista, niewyraźna! Nic w tem dziwnego. Jest ona jak każda prawda, którą czas dopiero wyjaśnia i robi coraz dotykalszą. Dla nas, Bojan Zaleskiego jest najpoetyczniejszym, jak dotąd, uosobieniem myśli sławiańskiej, a raczej myśli polskiej, ogarniającej sławiańską rodzinę. Oby miał tylko godnych siebie współpracowników!

Oto jest wszystko najważniejsze, cośmy wedle sił na-

szych o poezjach Bohdana, powiedzieć mogli. Wiele zapewne uszło naszej uwagi mimowiedzy — wiele musieliśmy pominąć, ograniczeni samą naturą tego pisma — wiele także opuściliśmy z umysłu, jako przysły zapas, kiedy jeszcze mówić o tym wypadnie, i to nieraz, zapewne. Tego się spodziewamy, tego jesteśmy prawie pewni.

Sprowadziliśmy teraz całą rozprawę naszą do wyrażenia najdobitniejszego. Powiedzieliśmy z początku, że Zaleski powstał, jako poeta, z natchnienia ludu, że w tej myśli leży tajemnica jego świetnego zawodu; następnie zamierzaliśmy roztrząsać, jak dalece utrzymał się na tem stanowisku w utworach, które obecnie mamy przed oczami. Do tego celu skierowaliśmy całą rozprawę naszą i mniemamy, żeśmy go dopięli — ale nie każdy potrafi schwycić ostatnie słowo, rozprószone po różnych myślach: tu więc wypada nam krótko i ostatecznie odpowiedzieć na pytanie: Jest-li Bohdan Zaleski poetą ludu, lub nie? Odpowiadamy. Jest nim w poezjach Ukraińskich przez podniesienie tej chwili i tej części Polski, gdzie potęga jej ludu wysła na jaśnia; przez miłość ku podobnym dziejom, ku podobnym ludziom — jest nim niezupełnie przez niektóre wyobrażenia poezyi religijnej. A przecież wiara poety jest wiarą ludu! Nic pewniejszego; nie przeszkadza to jednak kochać lud rozumnie i służyć rozumnie jego dobru. Dalecy od wytaczania procesu przeciw jakiegokolwiek religii, szanując sumiennie każdą, zachowamy się podobnie i względem rzymsko-katolickiej; dlatego wolimy w tem miejscu wytłumaczyć się przez podobieństwo. Lud ma mnóstwo złych nałogów, błędnych przesądów, zgubnych słabości, które czas uświęcił, które wrosły w jego istotę, które szanuje, kocha, a przez które jednak niszczeje i zginąć może. Czy poeta powinien uwielbiać, szanować tę słabą stronę ludu dlatego, że na niej leży urok przeszłości, że jej strzeże przychyłość ludowa? Powiedzmy, że nie. Takie spółbłędzenie z ludem jedynie przez miłość i cześć ku niemu jest występną słabością w każdym, a trudniejszą do przebaczenia ludziom wyższego pojęcia, do których liczymy wielkich poetów. Według tego nie ten jest u nas wieszczem ludu, który go utwierdza w jego błędach — ale ten, który, wznosząc się nad nie, usiłuje

z nich i lud wyprowadzić. Z tą bezwzględną uległością ogółowi, może wprawdzie być jego ulubieńcem, ale będzie mu szkodliwym — może zostać poetą jego przeszłości, ale nie przyszłości, a na dzisiaj przyszłości potrzeba. Żeby ją mieć, wszystko, co się okaże szkodliwym, trzeba odrzucić, choćby nawet religijną pieczęcią opatrzone. Komuż bardziej podobne dzieło przynależy i przystoi, jeżeli nie człowiekowi natchnienia, który z powołania swojego powinien widzieć zle i dobre ziemskie z wyższego stanowiska, bo jest w bliższych, niż ktokolwiek, stosunkach z bóstwem i może je widzieć jaśniej, niż mu czasem religia jego pokazuje, a w czem powołać się łatwo na świadectwo niejednego starożytnego poety, lub filozofa z widzeniami poetyckimi. O! nie wymagamy tego zapewne po tych, w których poezyi to tylko może jest najpoetyczniejsze co z brewiarza wzięli, ale taki, jak Zaleski, powinien pytać o wszystko samego Boga, a dla sprawy ludu oprzeć się nawet ludowi — a wtedy zostanie jeszcze zupełniejszym jego wieszczem i będzie tak do naśladowania w poezjach religijnych, jak jest w ukraińskich.

O POTRZEBIE NARODOWEGO POLSKIEGO MALARSTWA.¹

Rzecz o malarstwie polskiem dla pisarza, któryby ją chciał w zupełności zgłębić i wyczerpać, byłby przedmiot ogromny, nastęrczyliby wiele pięknego i pożytecznego do powiedzenia. Gdybyśmy nawet czuli się na siłach odpowiednich tej, można powiedzieć, olbrzymiej pracy, to w samem naszym położeniu politycznem napotkalibyśmy tyle przeszkód materyalnych, że upadlibyśmy niezawodnie pod jej ciężarem. Zostawując przeto zdolniejszym i szczęśliwszym od nas myśl o dziejach malarstwa polskiego, ograniczymy się zamiarem skromniejszym: weźmiemy tylko jedną chwilę życia malarskiej sztuki w Polsce, rozjaśniając ją kilku jedynie ogólnemi myślami — rzucimy spojrzenie nasze bardziej na jej przyszłość, jak przeszłość. Żeby zaś od pierwszego słowa stać się jasnymi dla pojęcia naszych czytelników, oświadczamy, że celem naszym jest rozwinąć tę myśl, jako malarstwo narodowe polskie, to jest, właściwe samej Polsce, jest możliwe, a malarstwo polskie, w duchu ściśle ludowym, może się wiele przyczynić do wzrostu jej życia.

W rodzinie sztuk pięknych niema żadnej może, wyjąwszy muzykę, taniec, któraby mogła stać się tak łatwo ludową, jak sztuka malarska. Budownictwo, snycerstwo, poezya, wymagają pewnego usposobienia wrodzonego w duszy, pewnego ukształcenia zmysłów i sądu nabytego, na które działają, aby sprawiły wrażenie, w jakie artysta godził, aby osiągnęły zamierzony przez niego skutek: malarstwo jedynie jest najmniej wymagające,

¹) Artykuł ogłoszony w „Demokracji Polskiej“ (Paryż 1842. t. IV) w zeszytcie wrześniowym z r. 1841.

najłatwiej daje się zrozumieć tłumowi, najrzęczniejszym utrafi w jego upodobania, najmniejszym kosztem zaspokoi potrzeby jego smaku. W rzeczy samej, kto tylko ma oczy, kto zdolny odróżnić barwę od barwy, kogo bawi gra kolorów, taki jest już w stanie jeżeli nie ocenić wartość utworu malarskiego, to przynajmniej polubić go, a dla tłumy więcej nie potrzeba. Niema też sztuki, któraby mogła tak wszystko obrócić na swój użytek i każde przetworzenie objawić światu w sposobie, równie zmysłowym i powabnym. Począwszy od paupra wiejskiego, który mści się na swoim bakalarzu karykaturą jego nakreśloną węglem na szkolnej ścianie, aż do Sądu ostatecznego Michała Anioła — od niezgrabnego kwiatka na jajku wielkanocnym do krajobrazów Szwajcaryi lub Ameryki — od familijnych bohomasów starego szlachcica do Madonny Rafaela, wszystko jest w dziedzinie malarstwa: niema przedmiotu, któryby nie był jemu dostępny, niema myśli, dla której nie znalazłoby formy widomej, dotykanej, niema oka, do którego form swoich zastosować by nie mogło.

Skądże to rozpostarcie się malarstwa tak ogromne? skąd w niem taka siła przenikania, wszędzie, zaczepianie się o wszystko, schwytywanie wszystkiego? Skąd nakoniec ten urok jego utworów i ten ku nim pociąg?

My widzimy trzy główne źródła. Jedno jest w głębi istoty ludzkiej. Każdy człowiek, mający jakąkolwiek wyobraźnię czyli zdolność tworzenia wewnątrz siebie obrazów, jest już malarzem. Przez to ma on pociąg, niejako pokrewieństwo ku malarstwu, i coś nakształt ojcowskiej życzliwości dla jego utworów. Drugie źródło jest w posłannictwie samegoż malarstwa: przeznaczenie jego bowiem odsłaniać ludzkości Boga w pięknej stronie stworzenia, jak duchowej, tak materyalnej. Trzecie nakoniec jest w tem, że tłumaczy się, że przemawia do ludzi językiem najpowszechniejszym, najdzielniejszym, najmiłszym i najzrozumialszym, to jest, do oczu, i językiem kolorów — czyli światła.

Malarstwo, ubezpieczone tak potężnymi warunkami, stoi pod względem apostołskiego swojego stanowiska z jednemi sztukami na równi, a od inych wyżej. Może i powinno być w stosunku do całej ludzkości jednym

z głównych narzędzi doskonalenia jej, to jest, ulepszenia człowieka według ideału bóstwa: w stosunku zaś do Polski może i powinno być jednym z głównych narzędzi wyswobodzenia jej ducha z więzów materyalnych i moralnych, wewnętrznych i zewnętrznych, przyspieszenia chwili samostannego jej działania, jednym słowem, wywalczenie miejsca, jakie się jej w rodzinie ludzkości należy. Te obywatelskie malarstwa powinności ku Polsce są niezaprzeczane, skoro się zgodzimy na jego powołanie w ludzkości; wypływają one koniecznym porządkiem rzeczy z tego źródła; naród bowiem tak pracuje dla ludzkości przez siebie, jak człowiek pracuje przez siebie dla narodu. Ale, żeby malarstwo mogło wywiązywać się z tych powinności względem Polski, musi w nią wnarodowić się, musi stanąć wobec niej i działać w jej łonie, jak żywiół rodzimy, jednym słowem, musi przybrać formę szkoły polskiej. Tu się nasuwa zapytanie ważne, czy utworzenie podobnej szkoły jest możliwe? Doraźna odpowiedź nie trudna: jeżeli mogą być szkoły, włoska, flamandzka, hiszpańska i tyle innych, dlaczegożby nie mogła być polska? Wszakże ta odpowiedź nie jest dostateczna, zwłaszcza dla nas samych.

Wyobrażenie szkoły, przywiązane do szkół spomnianych, nie zaspakaja całkiem naszych żądań: my po szkole wymagamy coś wznioślejszego, coś bezpośredniej pożyteczniejszego narodowi. W miejscu zasady: sztuka dla sztuki, chcielibyśmy widzieć zasadę: sztuka dla ludzi. Warunki, podane przez nas, mogą się wydać albo zbyt uciążliwe, albo wcale nie do wypełnienia — otóż powody, do których powinniśmy obszerniej wytłumaczyć się z naszej myśli, zwłaszcza, że nam chodzi nie o samo wykazanie możliwości malarstwa polskiego, ale o dowiedzenie zarazem jego konieczności.

Zglębiając istotę sztuk pięknych, ogółem wziętych, widzimy, po pierwsze, że każda z nich powołana jest objawić piękność najwyższą w ideale ogólnym, to jest, w ideale, któryby uznała cała ludzkość, jednym słowem, w bóstwie — 2-ie, że objawienie się tego ideału, będącego nieskończonością, może zstępować między ludzi jedynie w ideałach cząstkowych, ograniczonych, jak są ograni-

czone pojęcia ludzkie i wszelkie formy ziemskie, czyli, co jest jedno, z piętnami pewnego czasu, pewnego miejsca, pewnego społeczeństwa, pewnej osoby i tym podobnymi — 3-cie że każda ma stronę duchową, to jest, pojęcie ideału, natchnienie, i stronę materyjalną, to jest, formę widomą, w którą sztukmistrz natchnienie swoje obleka — 4-te, że jedne z nich działają wprost na czucie, jak poezya, inne znów przez zmysły, jak np. muzyka przez słuch, snycerstwo i malarstwo przez oczy — nakoniec, że stosowne do tych rozmaitych przeznaczeń dano działacze: poezyi potęgę słowa, muzyce dźwięk, malarstwu barwy czyli światło — i wyciągając znowu z prawd powyższych, w jedną ogólną treść zmieszanych, odpowiednie założeniu naszemu wnioski, przychodzimy do międzydrugiego ich szeregu, równie, jak pierwsze, oczywistych, że każda sztuka jest na korzyść duchową całej ludzkości i każdego w szczególności jej członka, że niema człowieka, byle obdarzonego czuciem i zmysłami, któryby nie był w stanie i prawie z niej użytkować, jeżeli sztuka rozwija się w duchu swojego przeznaczenia, i że pojedynczy utwór sztuki, poczynając się z natchnienia wyższego, jest pod kierunkiem mądrości wyższej, jest zjawiskiem, mającem pewne posłannictwo, konieczne, logiczne, w szeregu innych posłannictw, i że, objawiając się cząstkowo, ograniczenie, pod warunkiem przyjęcia formy, na jaką czas, miejsce i tym podobne okoliczności, towarzyszące temu objawieniu się, zdobyć się mogą, okazuje tem samem wolę Opatrzności, aby działał na korzyść pewnej chwili w życiu ludzkości, pewnej części w jej masie, w pewnym określonym celu — że nakoniec pewna ilość takich pojedynczych utworów przez blizkorodność swojego ducha, przez podobieństwo formy, przez jedność celu, przez potęgę głównej wspólnej myśli, sama z siebie, układa się w pewną całość, w pewien ogół, który nazwano szkołą.

Możność przeto tworzenia szkół w sztukach pięknych da się wywieść z samej ich istoty. Komu nie wystarczy oderwane rozumowanie, ten niech je porówna z dziejami sztuk pięknych. Zaprawdę, żadna tam nie ma piętna bezwarunkowej powierzchowności, ani ogarnia całego ludzkości życia w jego przeszłość i przyszłość; każda nace-

chowana jest pewną myślą określonej potęgi, pewnym czasem, miejscem, a często pewną indywidualnością — każda przepływa przez zmiany. Pilnując się wyłącznie malarstwa, patrzmy tylko, ile to sfer podrzędnych, rozlicznie większych i mniejszych, zamyka w sobie sfera jego ogólna: znajdziemy tam szkoły, znamionami czasu napiętnowane, znajdziemy szkoły religijne, narodowe, należące do pewnej okolicy, do jednej nawet osoby przywiązane. Jest to woda, oblewająca okrąg ziemski, która, nie zmieniając swojej istoty, tu jest oceanem, tam drobnem źródelkiem, tu rzeką, tam ledwie dojrzanym ponikiem,¹ tu smakiem słonym odraża, tam pokrzepia właściwą sobie słodyczą, tu przybiera barwę mętną, tam błyszczy, jak zwierciadło nieba, tu leci pędem niewstrzymanym, tam stoi, jako szkło, nieruchoma, tu grzmi, tam szepce, tam znowu bez żadnego jest głosu, jakby go nigdy nie miała.

Tyle o możliwości szkoły malarstwa polskiego — teraz o jej konieczności, zwracając tylko uwagę czytelników na związek w tym razie tak ścisły pomiędzy możliwością i koniecznością, że dowody, przytoczone za pierwszą, dadzą się użyć na korzyść drugiej i nawzajem. Owa tedy konieczność leży jużto w narodzie, jużto w istocie samegoż malarstwa. W jakimkolwiek położeniu jest naród, ma on prawo użytkować ze wszystkiego wewnątrz siebie, co może przydać siły tak jego duchowi, jak ciału. Artysta przeto, będąc członkiem narodu, powinien być przede wszystkim obywatelem swojego kraju przez wszystkie władze swojej duszy i ciała. Stosując ten ogólny wywód konieczności, w narodzie leżącej, do Polski, odkrywamy prawo jej do wszystkiego, co się wśród niej poczyna, co jej życiem żyje — prawo tem świętsze, im byt jej mocniej jest zagrożony, a następnie, że wielki artysta-Polak powinien dziś bardziej, niż kiedykolwiek, być artystą-obywatelem.

Konieczność znowu, spoczywająca w malarstwie, a którą, podzielimy na społeczeńską i artystyczną, wypływa w pierwszej swojej części z narodowych praw do niego, jako do żywiołu, do płodu swojskiego — w części zaś

¹) Ponik = źródółko. Wyrażenie ludowe z okolic Krakowa.

drugiej z tychże samych stosunków między sztuką a narodem, nadto z innych jeszcze przyczyn, mających już bliższą styczność z samą sztuką, jak z interesami społeczeństwa, a które wymagają dłuższego nad sobą zastanowienia się. Aby porządnie odbyć tę czynność, musimy trzymać się głównego rozdziału sztuki malarskiej na dwie strony, to jest duchową i materyalną.

Weźmy naprzód stronę duchową. Tu oprzemy się głównie na tem, cośmy już napomknęli, mówiąc o objawieniach ideału nieskończonego w ideałach cząstkowych, odpowiadających potrzebie pewnej epoki, pewnej cząstki rodzaju ludzkiego. W samej rzeczy, im głębiej w tę myśl wnikamy z wiarą w mądrość najwyższą, opiekującą się wszystkimi sprawami swojego stworzenia, tem jaśniej widzimy jej prawdziwość. Taka jest troskliwość Opatrzności o nas, taka logiczność następstwa w szeregu zjawisk, jakiegokolwiek są one rodzaju, że gdybyśmy zawsze byli w stanie przyjąć natchnienie w całej jego czystości niebieskiej, i zawsze mieli dobrą wolę pójść za jego popędem, nigdybyśmy nie zбочyli z drogi, wiodącej ku ostatniemu celowi przeznaczenia ludzkiego: zbliżalibyśmy się ku doskonałości po coraz lepszem, a zawsze dobrem, jak po szczelbach. Ale dzieło boskie nie stoi na fatalizmie. Człowiek używa swojej wolności w najbliższych nawet z Bogiem stosunkach, od jego rozsądku całkiem zależy wybór i użycie darów boskich, rozsądek tymczasem może być nieraz przyćmiony ziemskim zepsuciem, a natchnienie przez formę sfalszowane. Cóż więc artysta powinien robić, aby się ustrzegł tego grzechu? Czem powinien oczyścić pierś swoją, aby godnie mógł przyjąć zesłańca niebieskiego? Oto myślą poświęcenia się dobru narodowemu. W czem powinien szukać przewodnika przeciw obłędowi swojego zawodu? W sumieniu społeczeńskim. Cóż dzisiaj mówi sumienie społeczne Polakowi malarzowi? Przedewszystkiem „Bądź Polakiem“. Niech natchnienia twoje mają za cel dobro Polski, bo Polska jest pod opieką Opatrzności, a doświadcza ucisku; staraj się pojąć je i rozwinąć w całej ich czystości pierworodnej; niech wypłyną z twojej duszy polskimi, jak do niej wypłynęły; tym tylko sposobem dopełnisz twojego po-

slannictwa artystowskiego w duchowej sferze polskiej narodowości; ten kierunek wytyka ci duchowa konieczność twojej sztuki.

Pozostaje nam teraz dowieść tej konieczności malarstwa polskiego, stroną jego materyalną.

Przez materyalną stronę malarstwa rozumiemy formę widomą, w jakiej nam malarz swoje natchnienie przedstawia — w szczególności zaś wszystko, co wchodzi do składu owej formy. Pod tym względem podział malarstwa na szkoły jest równie w przyrodzonym porządku rzeczy, jak pod względem poprzedzającym; jest nawet loiczną wynikłością tego, cośmy powiedzieli o narodowości pomysłów; myśl bowiem polska musi koniecznie wymagać dla siebie formy polskiej. Już ta jedna uwaga mogłaby stanąć¹ za dowodzenie — ale, że nam idzie nie tyle o zwiezłość, co o jasność w rzeczy, dosyć obcej dla wielu czytelników, przeto pozwolimy sobie zatrzymać ich uwagę nad tym przedmiotem cokolwiek dłużej.

Ideał malarza, zstępując między ludzi po formę doczesną, musi, stosownie do istoty swojej, mieć ją złożoną albo z przyrody martwej, albo z żyjącej w ogólności, a w szczególności z ludzi — albo też z martwej i żyjącej, razem połączonych — nadto musi ją mieć rozjaśnioną odpowiedniem światłem. Oto są główne warunki każdej formy malarskiego pomysłu, czyli każdego malowidła. Zastosowane do myśli polskiej, wszystkie powinny być w ścisłej z nią harmonii, czyli polskie. Nad dwoma pierwszymi warunkami nie będziemy się rozwodzili. Potrzeba-ż kogo przekonywać, że powierzchnia ziemi polskiej ma cechy właściwe sobie, które ją wyszczególniają wśród innych okolic — że takowa różnica jest w drzewach, kwiatach, wodach, kształcie ich łożysk, w budowie gór, w mieszaninie wyżyn i dolin, w barwie lasów, stroju łąk, obliczu ról uprawnych, w próżni stepów nieobejranych — że ani piaski afrykańskie, ani puszcze Ameryki, ani lody Sybiru, ani góry Szwajcarskie nie złożą obrazu okolicy polskiej? Równie bez celu byłyby dowodzenia, że podobne cechy miejscowe ma po wielkiej części przyroda polska żyjąca,

[¹] Starczyń.

a najwybitniejszy człowiek, Polak, a szczególnie Polak ludu w rysach oblicza, w składzie ciała, w jego ruchach, w swoim ubiorze, w całej postawie takim jest Polakiem, że dla oka, cokolwiek wprawno, nie zastąpi go w obrazie polskim żaden inny krajowiec. Przystąpimy więc do trzeciego warunku, który jest niezbędnym dla sztuki malarzkiej, głównym wszelkiego jej utworu materiałem, jak na przykład dźwięk w utworach muzycznych, jego niemal życiem, a który także może i powinien być narodowym. Jest nim koloryt czyli światło. Wprawdzie podział światła nie da się ściśle zastosować do narodowości, na powierzchni ziemi będących. Na to się zgadzamy. Jednak z drugiej strony nic pewniejszego, że światło nie jest w stopniu równej mocy dla całej ziemi; podlega ono rozmaitym zmianom, stosownie do położenia rozmaitych stref ziemi, a nawet mniejszych jej okolic, względem słońca, stosownie do różnorodnych nieobliczonych przyczyn, leżących już to w powierzchni ziemskiej, już to w składzie atmosfery. Światło pod równikiem jest zapewne inne, jak w krajach podbiegunowych; niebo Anglii nie wygląda, jak niebo włoskie.

Kiedy znowu zastanowimy się, że takie światło, padając z nieba na odpowiednią sobie powierzchnię ziemi, powleka ją stosownym odbłaskiem, że ten jeszcze odbłask zmienia się według rozmaitych ziemskich przypadłości i w tych zmianach nadaje szczególny pozór przedmiotom, polewa barwy pokostem, który, będąc jednej mocy ze światłem, tworzy w nich przez to niezliczoną liczbę odcieni — przyznamy, że światło ziemskie jest nieskończenie rozmaite i nieskończenie jest rozmaity odbłask jego czyli koloryt ziemi. W tem jest źródło różnego kolorytu, odznaczającego różne szkoły. Ciężko zgrzeszyłby malarz przeciw prawdzie sztuki, któryby ten warunek lekceważył — a malarz polski powinien przedewszystkiem przyjąć zasadę, że taki, właściwy sobie koloryt ma ziemia polska, że zatem schwycić go i przenieść na swój utwór musi, jeżeli pragnie utworzyć dzieło narodowe. Prawidło, służące pojedynczemu utworowi, służy również całej szkole. Dla lepszego wyjaśnienia rzeczy o narodowości kolorytu zakończymy krótkim porównaniem malarstwa do mu-

zyki, światła do dźwięku. Dźwięk dla sztuki muzycznej jest warunkiem tak głównym, jak światło dla malarzkiej; dźwięk, ogólnie wzięty jest jeden tylko, ten sam w całej przyrodzie, mimo to objawia się w nieskończoności tonów najodmienniejszych i tworzy niezliczone szkoły muzyczne. Jeżeli nie przytaczamy przykładów, nikt nas zapewne nie posądzi o trudność ich wynalezienia.

Narodowość zatem może odznaczać utwory malarskie — i odznaczać je powinna w ich przedmiotach, w krajobrazach, w osobach, w tem nawet, co jest prawie nie ujęte, w świetle — ale, jak uchybienie któremukolwiek z warunków, powyżej roztrząśnionych, nie może być poczytane za grzech niedopuszczalny przeciw malarstwu narodowemu, tak dopełnienie, choćby wszystkich i najściślej, nie utworzy jeszcze szkoły, jakiej dziś Polska potrzebuje, gdyż wszystkie prawie stanowią dopiero mechaniczną stronę sztuki, wątpliwe ciało utworu. Czegóż potrzeba, ażeby utwór ożywić, aby sztuce nadać konieczność jej bytu, aby malarz wywiązał się ze świętego posłannictwa dla dobra ludu i pozyskał jego miłość? Oto potrzeba myśli i uczucia, które stanowią duszę wszelkiej sztuki narodowej, dopełniającej ściśle swojego przeznaczenia, myśli i uczucia swojego narodu i czasu. Dzisiaj taką myślą jest podniesienie ludu, takim uczuciem jest miłość ku niemu. Spraw Boże, aby młodzi nasi malarze uczeni nakoniec tę potrzebę, aby z tego źródła zaczęli przedewszystkiem czerpać swoje natchnienia, ku temu przedewszystkiem zwracać je celowi i naprawili swoją gorliwością zбочenie poprzedników. Dawno już prześcignęli ich poeci i muzycy, jakkolwiek nieznanymi nazwiskami. Ale mniejsza o rozgłos imienia, skoro osiągnęli coś ważniejszego od chwały, skoro ich pieśni i melodye w lud się wcieliły, skoro lud pokrzepia się niemi w ucisku, podsyca ogień polskich uczuć, żywi ducha rodzimego i kołysze swoją przyszołość. Malarze polscy, a przedewszystkiem wy. malarze młodzi, posłuchajcie jeno tych śpiewów, jak one każdym wyrazem, każdym dźwiękiem błogosławią swoich twórców, jak wołają na was: A więc to nam nie pomożecie? Czyż Bóg dlatego natchnął was ognistym uczuciem piękności, abyście je marnotrawili w ślepem naśladownictwie wzorów cudzoziem-

skich, lub, co gorsza, zamieniali w narzędzie rzemieślnicze? Czyż wy nie część ludu polskiego? Czyście nic od niego nie wzięli i nic mu nie winni? Nie widzicie-ż jego niedoli? Nie czujecież potrzeby, ażeby żył, a żył szczęśliwym i wielkim? Do nas, bracia po natchnieniu i ojczyźnie! Wasza droga jeszcze pusta, wasze dzieło jeszcze nietknięte; czas je zacząć i iść razem z nami. A lud cały wtóruje temu wołaniu: Na was teraz kolej, malarze rodacy! — woła on. Przedstawcie oczom naszym Polskę ludową, jak ją sercem już czujemy i myślą widzimy; niech okiem jeszcze dotknijemy, cośmy już sercem ukochali. Wskrzęście nam całe życie ojczyzny, ożywcie każdą jej chwilę, ustrójcie każdą w urok tego światła, którego szafunek z nieba wam dany, odziejcie je w postacię, widome najtępszemu wzrokowi, bratnie najlichszemu z nas. Znajdziemy miejsce dla waszych tworów w najuboższej chatce, pomiędzy obrazami świętych; będą one dla starców ożywionymi wspomnieniami przeszłości — młodzież będzie na nie spoglądać, jak na niemyłne proroctwa przyszłego, odrodzenia się w dawnym bycie narodowym — dzieciom za cacka będziem je dawać i powtarzać: to my, lud polski. Takimi byliśmy, takimi wy być powinniście dla szczęścia i chwały ojczyzny! Zostaną one aniołami stróżami naszych rodzin, naszych zagród, tylko wejździe pomiędzy nas duchem i czuciem, tylko połączmy się bratnią myślą i miłością. Malarze, rola przed wami dziewicza, zdrój natchnień niewyczerpany, powołanie święte, jak religia, a nagroda nad wszelkie nagrody, bo wdzięczność i zbawienie ludu!

Taki głos wydobywa się z głębi Polski, taki my słyszemy, taki posłyszeli niektórzy z naszych malarzy. Są już widoczne tego dowody, nieliczne wprawdzie, ale dostateczne, aby pocieszyć naród tą myślą, że nie wszyscy widzą w sztuce proste jedynie rzemiosło opatrywania zwierzęcych potrzeb — dostateczne, abyśmy wierzyli, że się już zawiązała bujna przyszłość malarstwa polskiego, że wkrótce będziemy w potrzebie ogłaszać ludowi zasługi nowych nazwisk z uwielbieniem wdzięczności, w imieniu całego narodu. Gotując się do tak milego obowiązku w przyszłości, nie możemy przenieść na sobie, abyśmy

nie złożyli holdu winnego przeszłości w osobie naszego Stachowicza. Nie znamy wprawdzie nic więcej, jak jego roboty w pałacu biskupów krakowskich — ale, któżkolwiek je widział, zgodzi się z nami, że mu sprawiedliwie przyznajemy jedno z najzaszczytniejszych miejsc pomiędzy polskimi malarzami. Zarzuty, jakieby można zrobić Stachowiczowi, jako artyście, osłabną znacznie, kiedy zważymy, że żył w czasach bardzo niewdzięcznych dla sztuki polskiej, że rozwinął swój talent bez żadnej zagranicznej nauki, przy znajomości bardzo szczupłej cudzoziemskich arcydzieł, siłą własnego ducha, na własnej ziemi, pod bodźcem rodzinnych natchnień. Jakiegokolwiek ma wady pod względem wykonania, przebaczymy je dla tej myśli polskiej, patryotycznej, która stała się kierowała skromnym jego pędzlem. Przyszły historyk malarstwa polskiego wywiąże się z długu narodowego, wyświecając cały zawód Stachowicza, a młodzi artyści mogą uważać go za jednego z przewodników, jak tylko zechcą być narodowymi. Do pośmiertnej czci mają prawo nie tylko ci, którym niebo dozwoliło dopełnić swoich zamiarów: godnymi są jej niekiedy zapaśnicy mniej szczęśliwi, złamani od przeciwnych losów, ludzie usiłowań bezskutecznych, talenta, zgasłe wprzód, nim zdołały dosięść swojego zenitu. Jednym z tych ludzi był Sosnowski. Dwa lata temu, jak ubolewaliśmy nad jego w środku nas zgonem — a ubolewaliśmy dlatego najwięcej, żeśmy w nim widzieli niepospolite narodowe natchnienie, że natchnienie to w ciężkiej walce z przeciwnościami przeszło bez korzyści dla narodu, zostawując po sobie tylko ślady najpiękniejszych nadziei. Patrząc dzisiaj na improwizacje Sosnowskiego, zdaje się nam, że dostrzegamy samych zjawisk, szukających tylko szczęśliwej ręki, aby wyszły z pod niej w rzeczywistej postaci najpiękniejszych, najnarodowszych pomników. I znajdują — wierzymy temu więcej, niż przeczuciom, widzimy więcej niż przeczuciem, powstające już tu i owdzie zapowiedzi nowej narodowej chluby: na ten raz pozwolimy sobie wymienić Romana Postempskiego. Skromna jego dusza niech nam nie bierze za złe kroku, mogącego się wydać z pewnych względów za śmiały. Niech tak mu przebaczy, jak przy-

szłość go usprawiedliwi, o czem bynajmniej nie wątpimy. Nadewszystko niechaj tych kilka słów przychylnych sobie nie kładzie na karb jedynie bliższych z nim stosunków i na stronność przyjaźni, jaką mamy dla niego i wobec wszystkich wyznajemy: korzyść jak z jednych, tak z drugiej zostaje dotąd całkiem na naszej stronie. One dały nam sposobność poznać w młodym ziomku artystę pełnego nadziei, pojmującego prawdziwe swoje powołanie, a w odpowiednich zdolnościach i przymiotach, jak umysłu, tak serca — dającego rękojmię, że spełni, co przyrzeka. Obecne położenie polityczne, które nam wszystkim cięży i stoi wpoprzek wszelkiemu szlachetnemu usiłowaniu, nie dozwoliło dotąd Postempskiemu objawić swojego natchnienia, jak tylko w pracach drobniejszych, interesu mniej powszechnego, nie odpowiadających potrzebie jego własnej duszy, nie dających dostatecznego wyobrażenia o istocie jego talentu. Wszakże energia artysty zaczyna przełamywać same okoliczności: Postempski zaczyna utwierdzać się na drodze, którą mu duch narodowy wytknęł. Szeroko już dał się poznać Polsce: jego „Głowacki na czatach“ pelen różnostronnych zalet. Niebawnie ujrzemy Konarskiego w tej chwili, kiedy go wyprowadzają z więzienia na plac śmierci. Dzisiaj tyle tylko wolno nam powiedzieć o tej pracy; czekajmy z obszerniejszym sądem, aż przejdzie na własność pospolitą. Tymczasem dziękujemy przyjacielowi i artyście, że wzmianka o nim dała nam sposobność tak godnie zamknąć rzecz naszą o malarstwie polskim.

STANOWISKO POETÓW W SPOŁECZNOŚCI.¹

Zagadka poezji ważniejsza jest dla społeczności, niżby się komu zdawało; tymczasem nieprzyjęcie jej jest prawie powszechne, przez tych nawet, którzy występują, jako szlachetni jej obrońcy. Jakkolwiek niejeden z nich oznacza jej wysokie stanowisko — mało kto odgaduje właściwe. Cóż dopiero powiedzieć o tych, którzy ją uważają za nic więcej, jak tylko za prostą rozrywkę, ze strony poetów, za przyjemność urojoną, za przysmak, rzucony w war publiczności dla osłodzenia goryczy powszechnego życia, za bawidelko dla roztargnienia w zatrudnieniach poważnych, rodzaj wetów przy obfitej uczcie, rodzaj oduru na bezsennem łożu. Ale dla niektórych poezya nie ma i tej nawet wartości. Tacy zaprzeczają jej jakiegokolwiek użytku; napomykają o niej, jak o fraszce, nie godnej nawet uprzejmego spojrzenia, jak o dziecinśtwie, ubliżającym dojrzałemu w rozumie mężowi. Inni nakoniec bez ogródki ją potępiają nie już jako nieużyteczną, ale wprost szkodliwą, i najsumiennie wyrokuja na jej wyklęcie z łona zdrowej społeczności. Niema żadnego między temi zdaniem, któregooby nie podzielali niekiedy wyżsi z innych względów mężowie, któregooby nie objawiali, chociaż pośrednio, całe narody.

Nic łatwiejszego, jak znaleźć w pewnych narodach pewne epoki zupełnego upadku poezji, aż do jej umilknięcia grobowego, aż do wygaśnięcia ostatniej iskry poetycznej. Na sędziach że cała wina? Nie — wielka jej część leży na samych-że poetach. W niepojęciu przez nich poezji leży główne źródło powszechnego jej niepojęcia, a stąd wszystkich mylnych zdań o niej. Sami to poeci są w znacznej

¹) Rzecz tę wydrukował „Rok 1848” (Poznań), tom I, str. 95.

części sprawcami swojego poniżenia albo i nicości, kiedy podsuwają pod barwę poezji, co nią żadnym sposobem być nie może, kiedy niegodnym użytkiem kalają świętość jej istoty a przez to krzywią ją w jej powołaniu, podają w lekceważenie i pogardę, a niekiedy całkiem wygaszają. Wszakże z drugiej strony widzimy, że poeta mimo to wszystko wciąż odradza się, wznaga się, staje w całym blasku, robi swoje cuda i ciągnie dalej przez życie ludzkości swój łańcuch, pozornie tylko przerywany; świadczy sama o sobie, o swoim bycie, z zupełną niezależnością od opinii pewnych ludzi, pewnych czasów, jako twór niezemskiego początku, rosnący i trwający niezemską potęgą.

Co dotąd powiedziałem, dostatecznie mię usprawiedliwia z zamiaru zwrócenia większej, niż dotąd dawano, bacności na stanowisko, jakie poeta powinna zajmować w moralnem życiu społeczeństwa. Od poetów głównie chciałbym zostać wysłuchanym i pojętym: co jest poza nimi, podrzędną w tej sprawie, bierną niby gra rolę. Niech tylko poeci będą takimi, jak być powinni; nie do nich należy troskać się, czy znajdzie się, lub się nie znajdzie ktoś, coby ich ocenił i skorzystał: nie oni będą odpowiadać za swoje niepowodzenie.

Zagadnienie, leżące przede mną, jest ważne, zaczepione o mnóstwo innych zagadnień. Rozwiązanie jego obszerne, dostateczne pod każdym względem, pociągnęłoby może za sobą roztrząśnienie całego systemu moralnego społeczności: tego nie przedsięwzięję, na to się nie odważam. Nie chcę ja tworzyć wykończonego dzieła o poezji, nie porywam się na systematyczny kodeks dla poetów; podobnej pracy niktby nie dokonał, a ja jeszcze mniej, jak ktokolwiek. Dla mnie dosyć będzie zapisać tu kilka myśli ważniejszych i prawdziwych mojem zdaniem — przyjsz poetom w pomoc kilka radami szczeremi. Wszakże, i tak ograniczony, nie mógłbym przedstawić mojego przedmiotu z pewną gruntownością i jasnością, z pewnym porządkiem, gdybym nie zapuścił chociaż ogólnego spojrzenia w samą głębią istoty wszelkiego społeczeństwa, gdybym nie objął chociaż ogólnem spojrzeniem jego całości, i to jedynie ze stanowiska, jakie mi naznacza cel

mojej pracy. Z tego powodu poświęcimy nasamprzód słów kilka wyobrażeniu społeczności w kilku jej głównych kolejach.

Spoleczność czyli naród jest to moralna jedność, osobna, wykończona, zupełna, jako indywiduum, a mówiąc przez podobieństwo, jest to machina żyjąca, złożona z ludzi i ze stworzenia, które ich otacza, które jest z nimi w stosunku, biorąc je z całym życiem, które się w niem zamyka. Nadto jest to machina, puszczona do wykonywania pewnej sprawy, a zatem po pewnej drodze, do pewnego celu i dlatego obdarzona wszystkimi przymiotami i władzami życia indywidualnego, zupełnego, niepodległego. Wszystko tam ma swoje przeznaczenie, swoje właściwe miejsce, swój stosunek do całości określony, stały, równie, jak we wszelkiej doskonałej maszynie każde kółko, każda sprężynka, każda śrubka, każdy ząbek koła, albo jeszcze lepiej, jak w ludzkim ciele każdy mięsień, nerw, żyła, członek i cokolwiek wchodzi do składu ciała.

Machina, ciało i naród są o tyle zdrowsze, silniejsze, i odpowiadają lepiej swojemu przeznaczeniu, o ile każda z ich części jest na właściwym sobie miejscu, odbywa naznaczoną sobie czynność, zgodnie z ogółem działania.

Machina psuje się i staje, ciało boleje, a nawet umiera, naród chromieje, a nawet rozwiązuje się, jak tylko jedna sprężyna działania, jedna władza życia wyjdzie z karbu swojego i, zostawiona bez naprawy, doprowadzi do pewnego kresu nieład w całości. Zepsucie maszyny, śmierć ciała, upadek narodu, są tem prędsze, tem trudniejsze do odwrócenia, im część zepsuta grała ważniejszą rolę w systemie działania.

Najdoskonalszą maszyną jest społeczność, skoro jest społecznością w całym znaczeniu tego słowa, to jest, ciałem, żyjącem przez właściwe sobie i udzielne życie; stąd też częściowe uszkodzenia grożą jej większem niebezpieczeństwem, staranniej powinny być odwracane i naprawiane — stąd następnie konieczna jest dokładna znajomość jego części i ich służby.

Czy poezya wchodzi koniecznie do składu maszyny narodowej — czy gra w niej tak ważną rolę, że jej zбочenie może narazić społeczność na wielkie niebezpieczeń-

stwa — jakie jest prawdziwe jej przeznaczenie w ruchu społeczności — oto są te pytania i podobne im, które z kolei rozwiązać wypada i które rozwiążemy wprost lub ubocznie, odpowiadając na jedno pytanie. Co jest poezya?

Zaczem przystąpimy do tego, musimy zboczyć na chwilę i porozumieć się naprzód względem różnicy między formą a istotą poezyi. Dla niektórych nie będzie rzeczą zbytęzną dowiedzieć się, że zewnętrzna forma poezyi, jako to: miarowość, śpiewność, rymy i tak dalej, o ile z jednej strony jest jej warunkiem, o tyle z drugiej zajmuje miejsce bardzo podrzędne. Jest z nią, jak z wyobrażeniem ludzkiej postaci: ażeby człowiek był widomym na ziemi, musi mieć koniecznie ciało; człowiecze ciało jest więc koniecznym warunkiem jego ziemskiego życia; tymczasem może być ciało bez życia, jak widzimy na trupie, który jest tylko przypomnieniem, śladem człowieka. To samo z zewnętrzną powłoką poezyi. Gdyby nie było tej powłoki, nie poznałbyś poezyi, nie żyłaby ona dla ciebie, ale znowu możesz widzieć nic więcej, tylko jej powłokę bez życia, tylko jej trupa.

Koniecznym warunkiem wszelkiego życia jest jego duch. Duch jest istotą wszystkiego; gdzie jego niema, tam może zostać ślad po nim, ale nie będzie istoty. Mówiąc w dalszym ciągu o poezyi, będę miał zawsze prawdę przed oczyma, nie wezmę nigdy za jedno jej formy z jej duchem. Uważałem to także za konieczne powiedzieć moim czytelnikom, a teraz wracam do pytania — co jest poezya?

Z tego, cośmy dopiero powiedzieli, pokazuje się, że nie znajomość formy może nas doprowadzić do poznania istoty poezyi. Trzeba jej szukać w istocie, w źródle życia społeczności, to jest w duchu społeczności, a co wiemy, posłuży nam tylko za skazówkę do znalezienia tego, co nie wszystkim oczom równie się jasno przedstawia. Wróćmy więc jeszcze do ogólnego wejrzenia na społeczność, jako zbiorowego człowieka, i zacznijmy od jej pierwiastku, to jest, od człowieka pojedynczego.

Między władzami, któremi obdarzono człowieka, jedne są przeznaczone usługiwać mu wyłącznie w chwilowej

kolei jego bytu, to jest, w bycie tylko ziemskim. Władze tego rodzaju przywiązane są bezpośrednio do ciała, działają tylko dopóty, dopóki człowiek żyje — ciałem ustają razem z życiem ciała — spoczywają zaś w organach materialnych. Takimi władzami są: rozum, wyobraźnia, zmysły, itp. Drugi rodzaj władz nie ogranicza się życiem ziemskim, ale towarzyszy całemu bytowi człowieka, począwszy od jego wyjścia z rąk Stwórcy, aż do chwili połączenia się z nim przez różne koleje, jakie w tym czasie przechodzić może — towarzyszy więc duchowi ludzkiemu, do niego jest przywiązany, działa zarówno na ducha, jak na ciało, i stanowi oddziały władz duchowych. Główną między takimi władzami jest czucie duchowe. Przez tę władzę człowiek żyje w świecie duchowym, styka się z jednej strony bezpośrednio z duchem Boga, z drugiej z podobnymi sobie duchami — przez tę wiedzę ma władzę całego swojego bytu, może ze stanowiska jego całości patrzeć na każdą chwilę swojego życia, każdą chwilę godzić z całym życiem, w każdej chwili kierować się do całego życia, jednym słowem, ta władza jest pierwszą sprężyną w maszynie człowieka, poruszającą wszelkie inne.

Władzom materialnym odpowiada to wszystko, co jest ich dziełem, a razem nie trwa, jak tylko przez chwilę życia ziemskiego (jak oto wszystkie nauki, umiejętności, nabyte za pośrednictwem organów materialnych) i z tego względu stoją w szeregu podrzędnym, wzięte same w sobie. Przez organ zaś czucia duchowego objawia się z człowieka i wchodzi wń to, co bezpośrednio, wypływa z ducha i do ducha wnika, co ma powołanie kierować bytem ducha ludzkiego w jego całkowitym zawołaniu, to jest, równie w kolejach zaziemskich, jak w kolei ziemskiej, niezależnie od władz materialnych, od człowieka cielesnego. Tu zstępuje duch boży, tu padają natchnienia wielkich uczuć, wielkich myśli, wielkich prawd, wielkich czynów — tu się poczynają wielcy mężowie z natchnienia, mędracy, wojownicy, święci, jednym słowem, to jest, odnosząc się tylko do ziemi, ziemskie źródło najwyższej niebieskiej prawdy, to jest, idei religijnej. Ale idea religijna nie jest prawdą zimną, suchą, jak prawdy rozumowe, jest

ona nie tylko mądrością, ale i miłością razem, jest nie tylko jasnością, ale i pięknnością. Ale idea religijna potrzebuje objawiać się, a objawiać się stosownie do swojej istoty, nie łamiąc ludzkiej woli samem przekonaniem, ale ją pociągając ku sobie swoim urokiem — wchodzi przeto w człowieka tą samą drogą, którą z nieba zstąpiła, to jest, przez czucie — ale, nakoniec świeci ona nie w samej tylko obecności: największy znak jej potęgi nadziemskiej, że opromienia cały czas, zarówno przeszłość, jak obecność, że przeszłość świadectwo jej daje. Połączenie tych wszystkich warunków w objawieniu się prawdy religijnej jest poezją.

Teraz możemy zejść ze stanowiska człowieka pojedynczego, który jest pierwiastkiem społeczności, a wstąpić na stanowisko społeczności, które jest zbiorem tych pierwiastków.

Zaczem pójdziemy dalej, powinniśmy tu zapisać następujące prawdy, wynikłe z powyższego: że społeczność, jako zbiór pierwiastków, mających dwie strony, duchową i materyalną, ma równie te dwie strony — że w społeczności, jak w człowieku, strona duchowa jest wyższa od materyalnej, a raczej jest wszystkim, że, jak nauki odpowiadają władzom rozumu, władzom materyalnym, tak poezja odpowiada władzy czucia, władzy duchowej, że nakoniec poezja jest jednym z najglówniejszych narzędzi dla idei religijnej. Ta ostatnia myśl będzie nam służyć wątek dalszej pracy.

Ponieważ poezja przez swój początek jest pierwszym dzieckiem, pierwszym głosem religii, o tyle więc jest poezją, o ile zasila się w swoim źródle, żyje prawdami i pięknosciami religijnymi, jednym słowem, uważa religijność za żywotny swój warunek. Religijność tylko podnosi ją do prawdziwości, wkłada niejako na nią poświęcenie kapłaństwa i robi ją tem w ludzkości, czem być powinna, czem bywała, kiedy przewaga świata materyalnego nie ścierała z niej pierwotnego znamienia i nie zniżała ją do narzędzi, nie mających nic wspólnego z duchem prawdy. Ta religijność ma-ż to być pobożność, brana w pospolitem dzisiejszem znaczeniu? Bynajmniej. Ażeby jej pojęcie było właściwe, musi być głębsze, musi wy-

chodzić poza formę, na której wszystko się dziś oparło i zatrzymało. Religijność jest to życie w świecie duchowym, oświeconym przez prawdziwego Boga, życie, ma się rozumieć, według niezłomnych praw człowieczeństwa — wszakże mimo te prawa podnoszenie ciągle do wiedzy i wolności duchowej tak samego siebie, jak reszty stworzenia, których ostatecznym rozwinięciem i kresem jest wypłynienie całego stworzenia w łono bóstwa.

W tem określeniu religijności zamyka się poniekąd określenie poezyi. Według niego poezya jest podnoszenie ducha stworzenia do wysokości ducha bożego. Określenie to jednak jest za ogólne; zastosowane ściśle do poezyi mogłoby zatrzeć różnicę, jaka jest między religią i poezyą. Tymczasem poezya jest tylko częścią, jest narzędziem religii i nie może działać, chociaż w jej sferze, tylko, jako część, jako jedno z narzędzi.

Mówiliśmy już o tem wyżej; tutaj musimy powtórzyć się w części, ażeby przez to wyraźniej i wszechstronniej odrysował się nasz przedmiot. Poezya, jako działacz w sferze religii, w sferze prawdy, ma właściwą sobie jedną stronę, przez którą spełniać swoją czynność powinna: tą stroną jest jeden z przymiotów bóstwa, odbitych na stworzeniu: przymiot piękności. Określając poezyę z tego stanowiska, jest ona najwyższą prawdą w najpiękniejszych formach, jakich tylko świat, bądź materyalny, bądź moralny, dostarczyć może.

Połączenie prawdy i piękności w jednym utworze jest cechą i warunkiem poezyi. Piękność poetyczna bez prawdy jest urojeniem, prawda bez poezyi zmienia poezyę w matematykę, w rozprawę mniej więcej suchą. Połączenie poetyczne prawdy i piękności tworzy ideał.

Najstarszytniejsi mieli pojęcie ideału i znali cześć dla niego. Ale mylili się, ktoby ich wyobrażenia o tem przynosił żywcem w czas dzisiejszy. Pod wpływem prawdziwej religii zostawiliśmy ich daleko za sobą. Mylili się równie, ktoby ideał stawiał na równi z marzeniem, z utopią. Ideał nasz jest to prawda świata duchowego, podobna i konieczna do urzeczywistnienia w świecie zewnętrznym, schwycona potęgą ducha i postawiona światu, jako wzór do naśladowania, jako cel do dopięcia. Całe

życie ludzkości idzie i podnosi się coraz wyżej po łańcuchu ideałów, aż do najwyższego, do ostatecznego, który skupia w sobie wszystkie, a którym jest Bóg. Ideał nie tylko w świecie materialnym wybiera swoje przedmioty: świat moralny także do niego należy, nie ogranicza się osobą, szczególnie stworzenia, ale może przedstawiać całą naukę, religię, cały stan ludzkości — a zawsze jest to coś lepsze, piękniejsze, doskonalsze od tego, co istnieje.

Z tego względu ideał jest to cel piękny, wielki, a razem prawdziwy i religijny, położony ludzkości w oddaleniu przyszłych czasów, dla jej pokrzepiania, nawracania na dobrą drogę i prowadzenia po niej. Powołaniem poezyi objawiać go widomie, a zatem widzieć naprzód własnym okiem.

Powołanie to przyznane jej było od początku czasów. Ktokolwiek zna dzieje poezyi, ten łatwo pojmie, że o dowody łatwo z życia ludzkości, najbardziej nawet pogańskiej. Nie zatrzymując się więc na faktach historycznych, wesprzemy się tylko jej namianowaniem u Greków, bo ono rzuca wielkie światło na prawdziwe pojęcie poezyi.

Mało komu nie jest wiadomo, że grecki wyraz „poezya“ odpowiada naszemu wyrazowi „twórczość“. Na czemże polega ta twórczość? Nie na tem zapewne, że poeta stworzył wierszyk albo poemat, ale że ten wiersz, ten poemat powinny ze swojej strony wydać to, czem poeta był natchniony, kiedy je tworzył. Owoż wszelki utwór poety, mający być prawdziwą poezją, powinien się urodzić z obcowania duchowego z jakimś pomysłem, koniecznym do urzeczywistnienia; powinien być, że tak powiem, ziarnkiem tego pomysłu, któreby, rzucone na świat zewnętrzny, rozwinęło się w czyn, to jest, w formę żywą, a właściwą myśl, którą poeta dzieło swoje zapłodnił. Nie stosy więc rymów i poematów składają skarbiec poezyi, ale duch, który żyje, działa, tworzy.

Dosyć zdaje mi się tego, co powiedziałem o poezyi, aby widzieć, chociaż ogólnie, jej istotę, jej potrzebę w świecie moralnym, jej działanie w ruchu ludzkości; pozostaje teraz przejść do poetów w szczególności. Jest to zawsze jedno zagadnienie, ale wzięte kolejno ze stron, których dotąd trudno mi było dotknąć, ze stron dotyczących

bardziej działania poetów. Jest to niejako zastosowanie praktyczne ogólniejszych pomysłów.

Z tego, com powiedział o poezji, wynika, że poeta jest to człowiek, zostający w stosunkach ze światem duchowym. Tymczasem każdy człowiek może się podnieść do stanu obcowania z tym światem, bo łączy się z nim niezaprzeczenie istotą swoją, to jest, duchem. Czyż dlatego każdy człowiek może być poetą? Nie może, jak poezya a religia nie są tem samym, jakem to wyżej pokazał, a co lepiej chcę rozjaśnić z innego punktu.

Rozliczne dary rozdano ludziom, stosownie do rozmaitych potrzeb społeczności; jednym z tych darów jest dar poezji, będący udziałem pewnej tylko liczby, i to liczby małej. Na czemże ten dar zależy? Najprostsza odpowiedź sama się nasuwa z pojęcia poezji; wszakże będę może zrozumiałszym, kiedy odpowiem, że dar poezji zależy na zdolności przenoszenia prawdy, odzianej pięknoscą, ze świata duchowego w świat zewnętrzny, widomy, zwany rzeczywistym, na zdolności niejako zapładniania go światem duchowym. Czemże jest w istocie swojej owo zapładnianie, owo przetwarzanie świata rzeczywistego na wzór świata duchowego? Jest to wyrwanie go z więzów ziemskości, zmysłowości, organizmu materialnego, wyswabadzanie jego ducha — rozwijanie jego siły i świętości, a tem samym ulepszanie go, ukształcanie według ideału, w bóstwie leżącego, czy zbliżanie do bóstwa.

Z warunków, potrzebnych do spełnienia tej czynności, konieczne jest naprzód: mieć równe prawo obywatelstwa w dwóch światach, to jest, duchowym czyli wewnętrznym i zmysłowym czyli zewnętrznym, równą moc w obydwóch — powtóre: działać narzędziem, do obu zastosowaniem. Narzędziem tem nie może być rozum, powtarzamy. Jakkolwiek rozum jest władzą ducha, jest jednak władzą ściśle określoną organami cielesnymi, poddaną całkiem ich warunkom, zastosowaną ściśle do chwili ziemskiego bytu i z tych przyczyn bezsilną w sferze duchowej, nieskończenie rozleglejszej w przestrzeni i czasie, jak byt ziemski, kiedy poezya wybiega poza granice tego bytu na wszystkie strony. Nadto rozum działać może tylko na

rozum, a rozum nie wszystkich jest udziałem, kiedy poezya, rozszerzając sprawę prawdy, która jest sprawą wszystkich, działać musi na wszystkich. Narzędziem przeto poezyi jest władza duchowa, trwała, jak duch, zdolna działać zarówno na ducha, jak na jego organizm zewnętrzny, i spólna wszystkim ludziom, możemy nawet powiedzieć, całemu stworzeniu, jednym słowem: czucie duchowe.

Biorąc teraz tak opatrzzonego poetę w stosunku do społeczności, widzimy, że to on właśnie powinien być najdobitniejszym wyrazem ruchu, postępu, doskonalenia się. Istota społeczności schodzi się tutaj z istotą poety. Wszelka społeczność z przyrody swojej, z przyczyny, że żyje, jest wечно ruchawą; musi koniecznie rozwijać się we wszystkich kierunkach. Skrępuj ją, a wyrodzi się w potwór, stan jej zamieni się w anarchią, w stan choroby, która prędzej czy później śmierć sprowadzi. Musi ona koniecznie iść. Wolna — będzie postępowała naprzód; zatrzymana — będzie się cofać, niknąć. Można-ż odmówić narodowi tej własności, którą ma każde stworzenie żyjące, którą tak wyraźnie widzimy w sferze fizycznej człowieka? Wyobraźmy sobie, że potrzeba postępu jest dla społeczności to samo, co potrzeba rośnienia dla człowieka; chciej-że zatamować rośnienie człowieka, a zobaczysz, co z niego zrobisz? Jakkolwiek to porównanie do pewnego tylko kresu można doprowadzić, zwłaszcza, że, mówiąc o życiu i postępie społeczności, widzimy je tylko w duchu, w idei, która ożywia społeczność — wszakże ta różnica i inne nie osłabiają bynajmniej trafności porównania, a mówią tem silniej za postępem.

Człowiek ziemski zamknięty jest w bycie swoim ciasnemi granicami; kilkadziesiąt lat, oto jego życie, a jeszcze i to życie podzielone jest na dwie połowy: jedną wzrostu, drugą upadku. Naród, przeciwnie, jest niejako nieśmiertelny: żyje on nie pojedynczymi ludźmi, ale całemi pokoleniami, a następstwo pokoleń jest tak z sobą splecione, schodzące tak się pokrzepia następem, że w narodzie nie tylko nie znać zgrzybiałości, ale, przeciwnie, może się objawiać coraz większa siła w miarę tego, jak pokolenia dojrzałe nie pochłaniają w sobie pokoleń młodszych, ale je wznawiają siłami moralnemi.

Pojęcie takiego postępu, wiara w jego prawo jest dla poety jednym z koniecznych artykułów jego wiary spó-lczeńskiej: inaczej nie pojmie i nie dopełni swojego po-wołania. Wyrwać społeczność z ciasnego okręgu obecnej chwili, obecnych drobnych interesów, podsuwać jej waż-niejsze, wznioślejsze, stawiać ją na drodze pracowania dla przyszłości, pokazywać jej tę przyszłość uroczo, jak mile marzenie, a dotykalnie, jak rzeczywistość, i w tej drodze świecić jej, niby gwiazda, zawsze na przodzie — oto jest, czemu poeta swój dar wyższy, swoje życie po-święcić powinien. Wtedy on jest niejako w społeczeń-stwie organem przyszłości; odegrywa w niem rolę podobną do tej, jaką w człowieku odegrywa tajemnicza nam dotąd jego strona, przeczucie, przewidywanie.

Z tego nie wynika, że poeta musi występować ko-niecznie jako prorok, jako człowiek, przepowiadający przyszłość, jako odsłaniający wszelkie jej tajemnice. Na-samprzód nie potrzeba spuszczać z uwagi, że, mówiąc o przyszłości, mamy na widoku więcej stronę jej mora-lną, jej ducha, jak stronę fizyczną, pod którą podcią-gamy czyny, wypadki historyczne, określone rzeczywisto-ścią. Następnie, lubo widzenie mniej więcej jasnej przyszłości, tak pojmowanej zdaje mi się nie być niepo-dobne, a nawet konieczne poecie, który nim jest według powyższych określeń poezyi — wszakże w żadnym razie pole jego czynności nie ogranicza się samemi tylko tajem-niczymi czasami i sprawami. Przyszłość będzie jedynym jego celem jako ideał, ale nie jedynym skarbcem mate-ryałów jego tworzenia. Niechaj wciąż ku niej dąży, ale dążyć może różnemi drogami. W różnych kierunkach wolno mu iść do swojego celu, różnemi sposoby wolno swojej sprawie służyć.

Sfera poety nie ogranicza się czasem: jego dziedziną jest równie przeszłość, jak przyszłość. Tyłu wielkich po-etów pracowało na polu przeszłości; czyż przez to zasługa ich mniejsza? Czyż owocem ich pracy nie było nic wię-cej, tylko nabalsamowanie trupa jakiegoś czasu? Czyż przez to dla przeszłości pracowali? Przeciwnie: zawsze dla przyszłości. Każdy z nich miał na widoku swój ideał, a więc przyszłość. Jeżeli cofał się w świat ubiegły, to

tylko dla zbierania po nim iskier piękności, ziarenek prawdy, płodnych czasem następnym, albo na świadectwo swojemu idealowi, albo dla przedstawienia go w wyraźniejszej postaci. Jakakolwiek dawał formę swojemu natchnieniu, zawsze okazywał w niej pewną stronę swojego ideału. Tam nawet, gdzie chwycił złą stronę człowieczeństwa, i tam jeszcze pracował dla pięknej przyszłości. Gdyż obnażyć szkaradę złego do tego stopnia, aby obudzić wstręt ku niemu, jest to nawracać na dobre, jest to szpetnością tego, co było, wyrażać mocniej piękność tego, co być powinno. Kto tak pracuje, chociażby na polu przeszłości, ten buduje przyszłość, nieprzestaje być prawdziwym wieszczem, prawdziwym twórcą.

Wszakże i w tym zawodzie, jak w każdym, podobnie jemu ważnym, są liczne drożyny, które z prawdziwej drogi sprowadzić mogą. Niejeden fałsz wciska się pod maskę poezji; niejeden pozór przywłaszcza sobie prawo do niej. Są muzycy języka, są malarze języka, ale to nie są poeci. Powstają sztukmistrze dla sztuki, ale to poeci najjałwsi; występują poeci zmysłów, namiętności cielesnych, ale ich natchnieniami są natchnieniami zwierzęcymi, ze krwi. Znajdują się inne jeszcze podobne rodzaje, mniej więcej płaskie, bezpłodne, szkodliwe — ale ci wszyscy są poeci fałszywi. Jedni tylko są prawdziwi, to jest, poeci ducha, poeci, poświęceni natchnieniami świata duchowego i służący tylko sprawie najwyższej prawdy i piękności.

Jakże uniknąć obłądzenia? Po jakichże znakach wyraźnych ma poeta znaleźć tę drogę, na którejby uczynił zadość swojemu wielkiemu i trudnemu przeznaczeniu, a potem być pewnym, że nie schodzi z niej? Sądzę, że wszystkie dadzą się sprowadzić do następujących warunków:

Poeta powinien być człowiekiem duchowym, to jest szczerze, głęboko i wysoko religijnym, w duchu religii objawionej, poza którą niema ani prawdy ani prawdziwej piękności.

Powinien być człowiekiem przyszłości, to jest, widzieć ideał przyszłości, wskazanej przez ducha religii i objawiać go we wszystkich utworach.

Powinien być człowiekiem całej społeczności, a nie pewnej tylko jej części. Jak pomysły jego powinny być

natchnione przez miłość równą ku wszystkim i mieć na celu szczęście wszystkich, tak też wszystkim zarówno powinny być pojętne w ich formie czyli w objawieniu się. Niech zawsze pomni, że w tym jedynie celu dano mu za narzędzie nie to, co się z trudem nabywa, co służy do chwilowego i cząstkowego użytku, to jest, rozum, ale właśnie to, co wszyscy mają, a przynajmniej przy dobrej woli i prawem sumienia mieć mogą, co jest nie oddzielną własnością wszelkiego ducha, to jest czucie. Świętokradztwo popelnia, kto zapomina o tem i dar swój puszcza w najem — za jaką zapłatę, mniejsza o to — dla wyłącznej korzyści niektórych ze szkodą ogółu.

Nakoniec powinien być człowiekiem czynu. Poeta rodzi się nie dla pisania pięknych wierszy, ale, żeby za ich pośrednictwem natchnienia swoje zamienił w czyny, to jest, popychał ku nim społeczność i sam szedł w pierwszym szeregu, a czyn jest to samo, co poświęcenie się. Poeta niemający tego przekonania, jest obłudnik, nie godzien łaski natchnień.

Mam-że jeszcze coś więcej nadto powiedzieć? Bez wątpienia. Przedmiot mój niewyczerpany. Myśl moja gubi się w nim, tracę jej wątek, a jednak tyle jest do powiedzenia, i czuję, że nie zdołam wszystkiego schwycić i wyśłowić. Mimo to nie mogę przestać. Kilka słów, które jeszcze rzucę — może i te kilka słów przydadzą się komu.

Były czasy, kiedy mniemano, że nie może być nic lepszego nad to, co jest. Wiedziano niekiedy, wierzone, że przeszłość była gorsza od obecności, a nie chciano wnosić, że przyszłość może być od niej lepsza. Inni utrzymywali, że przeszłość była lepsza, że obecność jest gorsza, przyznawali zatem pewien ruch w sprawach świata. Niektórzy mędrcy doskonaleniu się pojedynczych ludzi nie kładli granic przed grobem, a nie wpadali na myśl, że ludzkość może używać tych przynajmniej praw, co pojedynczy człowiek. Taką nieraz grzeszono nielogicznością.

Wszakże i w tych nawet czasach znaleździemy dowody za sobą. Najważniejszego dostarczy nam Platon. Wiadomo, że on wymarzył ideał społeczności i wyгнаł z niej poetów. Jakikolwiek miał do tego pobudki, jakkolwiek nie wiedział może jasno, dlaczego to zrobił, Platon jednak

nie może być świadectwem przeciw poezji, jak ją pojmujemy. Przypuściwszy raz, że co zrobił, było skończoną doskonałością, nie widząc poza swoim ideałem nic doskonalszego, nie wierząc, ażeby mądrość późniejszej ludzkości mogła się na coś doskonalszego zdobyć, bardzo słusznie nie czuł potrzeby poetów i dla tego skazał ich na wygnanie. Ale widzenie dzisiejszej ludzkości dalej trochę sięga, jak oko Platona: dzisiejsza ludzkość nie potępi, jak on, poetów; przeciwnie, będzie im przyznawać stanowisko o tyle wyższe, o ile mniej będzie się przekonywał o prawie postępu, o ile głębiej czuć będzie potrzebę pracowania na przyszłość, a nadewszystko, o ile sami poeci potrafia się na niem utrzymać.

Ale jest-że poezją odgrzebywać stare bajki, stroić je urokiem nowych rymów, mieć idylle, narzekać miłośnie, kopiować umarłą przeszłość, odbijać martwą powłokę przyrody, i tak dalej? Wątpię. Wtenczas możnaby śmiało powiedzieć, że poezya już się wyczerpała, że wszelkie natchnienie jest niepotrzebne.

Tylu już śpiewało miłość i tak cudne, tak przedziwne mamy opisy miejsc, zdarzeń, obrazy przyrody, że ludzkość mogłaby już przestać na tem, co posiada, i nie zgrzeszyłaby wcale, oświadczywszy to poetom. Ale wy, poeci dzisiejsi, wy nie to macie do roboty i możecie być spokojni, widząc, że nikt was nie zastąpi, żeście konieczni, żeście drodzy pojmującym siebie społeczeństwom, bo wasze — powołanie przyświecać im w drodze do przyszłości. Pozostaje tylko wam samym wejść na nią. Wasz duch własny niech wam przewodniczy. Podnieście go tylko nad ziemię i ziemskie życie.

Pole wasze bogate, jak stworzenie, niewyczerpane, jak czas, niezmierzone, jak przestrzeń, swobodne, otwarte, jak duch dla ducha.

Wszystko jest w waszej dziedzinie : chcecie tylko wejść w stosunek z duchem wszystkiego, a możecie, bo macie w sobie to, co się z samym Bogiem styka.

Niema dla was nic niedostępnego, skoro możecie się do Boga podnieść! Nie będzie nic zakrytego, byleście odgrzebali z ciemności zmysłowych wewnętrzne wasze widzenie.

Stanowisko wasze jest wielkie, olbrzymie, święte. Zażłujcie tylko na nie: zechciejcie tylko, a siły przyjdą.

Oto przed wami przykłady tyłu wielkich poetów. Przed wszystkim utkwijcie oczy na poetach izraelskich, zwanych prorokami. To byli poeci swojej społeczności! Ich przedewszystkiem naśladowajcie; nie słowami, ale czynem. Żyjcie, jak oni, przejmijcie się taką miłością Boga i ludu, jak oni byli przejęci — poświęćcie się tak sprawie Boga i ludu, jak oni się poświęcali; zróbcie taki rozbrat z nieprawościami, z marnościami poziomych, osobistych uciech, interesów, z krzywymi żądzami, jak oni robili, a będziecie mieli to natchnienie, co oni, a pieśni wasze będą tem dla waszych braci, czem są dla Żydów pieśni ich proroków i wejdą w dziedzictwo całej ludności, jak weszły proroctwa poetów żydowskich.

Tak, bracie poeto; nie w salonach zepsutych bogaczy, nie w tłumie rozpustników bez serc i bez myśli, nie w hałasie bezładnego życia, nie wśród zbytków jadła i napoju, nie w troskach krzątania się około spraw prywatnych, nie pod jarzmem zmysłów i namiętności, nie w zamęcie uczuć sprzecznych, nienawistnych, przechodzących bez śladu albo napełniających serce osadem kału, znajdziesz prawdziwe natchnienie, ale z duchem podniesionym przez pokorę aż do bóstwa zejdziesz w głąb społeczeństwa, do źródła jego życia, gdzie najdotkliwsze nędze, gdzie najskrytsze światu cierpienia, gdzie lzy najrzowniejsze, gdzie świat najniewdzięczniejszy, gdzie przemoc najsilniejsza, gdzie człowiek najsłabszy najwięcej na świat narzeka, najszczerzej tęskni za przyszłym życiem, najmocniej w nie wierzy, gdzie dlatego Bóg najbliższy. Tam się spuść, rzuć, jak w bezdeń morza, w ten ogrom swój żywot cały, zlej swoją duszę z jego duszą, przytul swoje serce do jego serca olbrzymiego, a znajdziesz tam dźwięk wieczny, nieprzerwany, który obudzi muzykę twojego ducha. Znajdziesz tam płomień wieczny, od którego zapali się serce twoje są tam skrzydła dla twojej wyobraźni — tam jest natchnienie prawdziwe.

Spocznij w ubogiej stajence, nie zrażaj się sąsiedztwem bydła, pastuszkom objaw naprzód skarby swojej miłości, swoje poświęcenie się dla wszystkich ludzi, a Bóg zapali

na całe stworzenie gwiazdę twoją; mocarze świata będą cię szukać z pokłonami, niebo i ziemia przemienie, a twoje pieśni nie przemną; natchnienie Boże będzie z tobą.

Inaczej na nic się nie przydasz. Możesz grać słowami, jak muzyk strunami, malować niemi, jak malarz, możesz być dowcipnym, jak trefniś najdowcipniejszy, możesz kąsać, jak gad najjadowitszy, możesz budzić pychę, żądzę marnej sławy, nienawiść, wszystkie chuci, wszystkie namiętności cielesne, możesz lechtać zmysły lubieżnością wszelkiego rodzaju, zapalać krew i w lód ją zamieniać według upodobania, możesz, jak zaraza, roznosić spustoszenie dobrego, możesz być szatanem, ale nie prawdziwym poetą, nie będziesz miał potęgi ducha Bożego, tego ducha, co sam tylko tworzy, ożywia i podnosi do coraz wyższego życia pojedynczych ludzi i narody całe.

1848.

Z DZIENNIKA ARTYSTY.

Porównanie świata wewnętrznego człowieka ze światem
zewnętrznym.

Świat duchowy czyli wewnętrzny człowieka da się odmalować pod niejednym względem zjawiskami świata zewnętrznego czyli słonecznego. W jednym i drugim wszelkie ich zjawiska odnoszą się do tegoż samego Ja, to jest do ducha i ciała razem wziętych. Ja człowiecze w świecie wewnętrznym jest to samo, co w zewnętrznym, tylko obrócone, że tak powiem, stroną wewnętrzną tak ciała, jak ducha ku ognisku świata duchowego. Widnokretem tego świata jest wiedza duchowa, słońcem idea religijna, księżycem serce, gwiazdami myśli. Odcienia uczuć, począwszy od największej szczęśliwości, którą rozlewa spokojne sumienie, niby pogodę świata fizycznego, aż do szaleństwa stanu rozpaczny lub zbrodni, są odcieniami, przez które cisza jasnego dnia przechodzi w burzę najgwałtowniejszą; oto chętką podnosi się, jak łagodny wietrzyk, przegania marzeniami, jak obłokami, z których w morzu jasności tworzą się najrozmaitsze widziadła; chętką wzmacnia się stopniami, rośnie w żądzę, niby w wiatr coraz silniejszy, gromadzi marzenia, zbija je w chmurę jednego, stałego postanowienia — stąd wzrasta w potęgę namiętności, przyciąga do siebie wszystko słabsze, przerabia je na narzędzia burzącej swojej siły, aż w końcu dojrzewa i wybucha w błyskawicach spojrzeń, w grzmocie słów, w ulewie łez albo w piorunach czynu. Czucie duchowe odpowiada zmysłowi dotknięcia, które wreszcie innych zmysłów jest tylko zastosowaniem do sił fizycznej natury, działających na zewnętrzną człowieka. Z czucia

¹⁾ Artykuł ogłoszony w czasopiśmie „Rok 1843” (Poznań), t. VI. str. 117—125.

idzie przecucie albo niepewna wiadomość rzeczy, dotykających wewnętrznego Ja, jak bywa niepewne otarcie się o nasze ciało innego ciała za pośrednictwem wewnętrznego powietrza, albo dla oka daleki przedmiot w przy-mroczonym blasku, albo dla ucha niewyraźny gwar skłóconych licznych dźwięków. Nic bardziej nie odpowiada księżycowi, jak serce. Serce nie świeci samo z siebie, jak duch, rozpalony ideą religijną: odbija tylko ten blask, jak księżyc odbija blask słońca. Doba też jego panowania ma wszystkie przymioty dobre i złe doby nocnej, czasem bardzo pięknej, bardzo milej, ale głównie jednak posępnej, ciemnej, pełnej złudzeń, obłądów i niebezpieczeństw: serce podnosi się wtedy, kiedy słońce idei zachodzi lub zgaśnie. Serce, jak księżyc, jest gwiazdą ciemnej strony człowieka a często bywa przyczyną zaćmienia słońca — idei. Księżyc, planeta podrzędny, sługa słońca, sługa ziemi, jej pocieszyciel w nieobecności dziennego światła, podnosi swoim wpływem ogromy morskie, miesza porządek wody i ziemi; serce, tak bezsilne obok panowania idei, w jej nieobecności porusza ogrom ludzkiego życia i wielu spustoszeń może stać się przyczyną. W słońcu i księżycu są ciemne plamy, jakby w węzłach, łączących ciemność i światło, jakby piętno Twórcy, świadczące, że na tej ziemi szczyt światła jest szczytem mroku, że w oświecie to i noc sprawić może. Podobne plamy mają serce i duch — i podobne skutki sprowadzić mogą. — Błogie te dni, w których słońce z księżycem tak się podzielią, że dzień i noc mają swoje światło: harmonia ich jest jasną ciszą. Błogo człowiekowi, w którym panuje zgoda serca i ducha: harmonia ich jest spokój sumienia.

Sumienie. — Sumienie, ta władza ducha ludzkiego, tak cicha, tajemnicza, nieschwycona, a jednak tak wyraźna, potężna i nieustająca, dla każdego, kto swoje wnętrzości czuć może, dałoby się może wyprowadzić z wyrazu szumienia wewnątrz nas, gry jakiejś wewnątrz nas. W istocie, przenikając to, co nazywamy sumieniem, bardzo łatwo uwierzyć, że jest to harmonia najczystsza, najświętsza, którą sam Bóg wlał w duszę ludzką; jest to rodzaj anioła stróża, przebywającego w duchu pod postacią duchowej muzyki, aby w zamęcie ziem-

skich interesów ostrzegał go o złem i dobrem, aby wśród tysiąca dróg ziemskich prowadził go jedną drogą niebieską. Sumienie trzyma ustawicznie ducha ludzkiego na granicy życia ziemskiego, w obliczu świata wiecznego. Przy każdym czynie, przy każdej myśli człowieka uchyla mu zasłonę religii i pokazuje Boga — Sędziego, który gotów jest co chwila pociągnąć do odpowiedzialności za ten czyn, za tę myśl. Żeby to zmysłowiej pojąć, wyobraźmy sobie, że w duszy ludzkiej znajduje się narzędzie o dwóch strunach: pierwsza struna jest odwieczna, jak duch ludzki, czysto-niebieska, grająca wiecznie, bez przerwy, pieśnią życia głównego, niezemskiego, wiecznego, jednym słowem duchowego — druga zaś jest doczesna, gra na niej życie chwilowe, ziemskie. Pieśni obu tych strun powinny być w jak największej z sobą muzycznej zgodności, a mówiąc właściwiej, pieśń ziemska powinna być najdoskonalszym wtórem pieśni duchowej: jest ona tym wtórem, dopóki życie ziemskie nie schodzi z drogi wytkniętego sobie przez Twórcę powołania. Najmniejszy rozdźwięk fałszywy, to jest: najmniejsza niezgodność pieśni podrzędnej z pieśnią główną, ostrzega człowieka, że zбочzył. Tem narzędziem muzycznym, tym kamertonem życia ludzkiego jest sumienie. Pogoda sumienia, wewnętrzne zdolności człowieka, jest zgodność dwóch strun, dwóch pieśni jego ducha. Przeciwnie, ich niezgodność objawia się w niepokoju sumienia. Biada temu, kto tak popsuł swoje naczynie, że już mu grać przestało, albo swój słuch wewnętrzny, że już nie słyszy jego dźwięku. Niech się stara co rychlej rozbudzić swoją muzykę i czucie dla niej westchnieniami skruchy i boleścią pokuty.

Kapłaństwo Prawdy. — O, jak ciężkie jest Kapłaństwo Prawdy! Jej droga przez ten świat — droga krzyżowa. Skoro ci raz rozpalono w duchu myśl piękną, świętą, ogromną, obejmującą swój czas i naród; skoro ci raz powiedziano: Pilnuj tego świętego ognia, podsycaj go sobą samym, abys go przeniósł przez świat i rozżarzony oddał straży następnego pokolenia; skoro raz uchyliłeś głowę na znak poddania się temu rozkazowi, pożegnaj się z pokojem i szczęściem ziemskim. Świat otoczy się,

jak cierniowy wieniec; najeży się ze wszystkich stron kolcami ku tobie. A ty, uosobienie twej myśli, musisz przejść z nią przez świat, rozpostrzeć ją po świecie. Tymczasem, w którąkolwiek stronę zwrócisz się, spotka cię grot boleści. Wszystko powstanie przeciw tobie, albo cię odstąpi. Nie spodziewaj się przebaczenia, pobażania! Wszystko jest przeszłością, ty jeden z przyszłością przychodzisz — a wojna przeszłości z przyszłością jest zawsze na śmierć. Cóż wtedy masz począć? Idź naprzód, choćby sam! Twoje życie nie jest już twojem życiem. Przestałeś być sobą; jesteś tylko powierzonym ci ogniem. Twoja zasługa, twoje szczęście, twoje zbawienie, twoje życie w nim. Cały twój byt ma być jedynie żywołem, a niczem innym. Kiedy cię całego strawił na ziemi, wtedy dopełniłeś twojego powołania. Idź sam — z oczami w niebo, a co depcesz, nie uważaj na to!

Niebo ducha. — Jest niebo drugie, różne od tego, które widzimy oczami ciała. Widzimy je oczami ducha; jest to niebo ducha. Zdarza mi się nieraz, a zapewne każdemu (byle tylko dawał baczenie na wewnętrzne zjawiska), otóż zdarza mi się nieraz chwila dziwnego uspokojenia, zadowolenia, swobody w piersiach, jasności w myślach, rzeźwości we wszystkich władzach. Wtedy świat zmysłowy nie robi na mnie najmniejszego wrażenia; troski powszednie uciekają, nie wiedzieć, gdzie i od czego, a podnoszą się myśli czyste, pogodne, spokojne. Słyszę wyraźnie wewnątrz siebie wiejący wietrzyk ochłody; każde widzenie przybiera urok jakiegoś barw nieznanych oku. Jestem duszą w innym świecie, pod innym niebem. Na całe wtedy życie poglądam pod blaskiem owych tajemniczych niebios. Nigdy wyraźnie nie widzę swojej przeszłości; żyję nią po raz drugi, każdą jej chwilą; tak jestem jej pełny, tak nią szczęśliwy, tak się rozlewam po niej, nigdy nie widzę jej wdzięcznej. Wówczas pada na nią promień mojego nieba duchowego. Niekiedy znowu podnoszą się nadzieje, równie wdzięczne, jak spokojne; a nie są to już nadzieje, ale wiara jasna, niezachwiana, jak żeby od urodzenia w sercu ją nosił. Cóż to jest? Oto promień duchowego nieba spoczął na mojej przyszłości. Smutków, owych

smutków tajemniczych, niepojętych, nie śmiem odnosić do tego stanu. Niebo duchowe nie ma chmur posepnych, tam jasność i pogoda nieprzerwane; lekkie jego obłoki są przejrzyste, przelotne i mile; jego obłoki są duchy czyste, są anieli. Smutek jest dzieckiem ciała, jak ciemna chmura jest dzieckiem ziemi. Chwile podobnego stanu są to chwile widzenia wyższego, duchowego. Dlaczegoż nie każdy je miewa, a przynajmniej ucuwa? Dlaczegoż i ten, kto je zna, nie zawsze się cieszy niemi? Wszakże niebo ducha jest zawsze, jak sam duch, i zawsze przed jego oczami, równie, jak niebo widome przed oczami ciała. Zapewne, że wina w nas samych. Kiedy słońce śród dnia zajdzie za chmury, czyż wina słońca, że ziemia go nie widzi? Nie, słońce zawsze jasne, ale winna ziemia, z której się chmury rodzą. Czujmy naszego ducha w każdej chwili, jak czujemy ciało, przywróćmy jemu całą jego potęgę, właściwą duchowi, dajmy przewagę jego władzom nad wpływem władz cielesnych, wywalczmy ich niezależność od formy ziemskiej czyli wolność, przyprowadźmy ducha do hartu większego, jak ma ciało, a przyprowadzimy go do stanu działania tak widocznego, jak widoczne jest dziś dla nas działanie ciała: będziemy tak wyraźnie żyli duchem, jak żyjemy dziś ciałem, będziemy tak jasno, tak zawsze widzieli niebo duchowe ze wszystkimi jego zjawiskami, jak dzisiaj widzimy otaczający nas świat materialny. Ale to wszystko dać może tylko związek z prawdziwym Bogiem, przez przyjęcie Słowa Jego Prawdy.

Życie ludzkie jest to pole ustawicznej walki między ziemi nałogami ciała, ciężącego wiecznie ku ziemi, a wyższem dążeniem boskiego pierwiastku człowieka, zmierzającego wciąż ku niebu, to jest ducha ludzkiego; jest to więc pole walki między Złem a Dobrem o panowanie nad człowiekiem. Nie chcesz być pokonanym od Złego? Miej-że się na baczności; zaniedbasz się na chwilę — nieprzyjaciel ma górę, dostałeś jednego pana więcej — wojna staje się cięższa, tem, co dobrego wyparł z siebie, w czem osłabił dobrą twoją stronę. Każdy zły nałóg osłabia ducha, jak choroba ducha. Pozbawiając się złego nałogu, uwalniasz duszę od jednej choroby, a tym sposobem

przywracasz jej cząstkę siły przyrodzonej. Dlatego to staraj się, abys każdy dzień twojego życia odznaczył nowym zwycięstwem nad jakim złym nałogiem: wkrótce spostrzeżesz z radością, że nie masz żadnego. Co ważniejsza, że tym sposobem nie tylko pozbędziesz się wad starych, ale zabezpieczysz się przeciw nowym. Walka przeciw złym skłonnościom, matka sumienia, szczerza, uparta, dziwnie rozwija siły ducha: każdy tryumf podnosi go o jeden stopień wyżej nad ułomność materyjalnej strony — każde uleczenie się jest zarazem życiem pierwszej dozy lekarstwa, niszczącego zarody chorób pozostałych. Leczenie się jednak niełatwe, walka ciężka; nadewszystko pierwsze zwycięstwo kosztuje. Ale to pierwsze zwycięstwo stawia cię już na drodze do tryumfu zupełnego: dosyć zakosztować rozkoszy pierwszego zwyciężenia się. Jest ona tak pełna siły pokrzepiającej, porywa cię do zmierzania się z drugim nieprzyjazytnym zastępem. Jesteś mocniejszy, szczęśliwszy, dumniejszy po drugim zwycięstwie — jeszcze mocniejszy po trzecim, a wkońcu walka twoja nie kosztuje cię żadnego wysilenia; przeciwnicy twoi są wobec ciebie bez żadnej siły, jak upadły na duchu nieprzyjaciel; dosyć dla twej woli pokazać się, dosyć groźnego z twej strony ruchu, aby złożył oręż i zostawił cię panem bojowego pola. Nie wynika stąd, abys pokonał wszystko raz na zawsze i w zwyciężkiem upojeniu usnął na pobojowisku; niema dla ciebie pokoju, dopóki ciało nosisz: jest to kraj nieprzyjacielski, pełny kryjówek takich, że nieprzyjaciel potrafi w nim się zachować od ostatecznej zagłady, i czeka tylko sposobnej pory, aby cię podchwycił, ale w tym razie będą to tylko lekkie podjazdy pod dobrze obwarowaną i czujną twierdzę, kiedy przez pokój ze zlemi nałogami przyjmujesz do twojej twierdzy załogę nieprzyjacielską i musisz być jej posłuszny.

Namiętność. — Jak wszelka cnota wypływa z zapomnienia siebie dla drugich, tak wszelka namiętność jest uczucie ziemskie, osobiste, podniesione do najwyższej potęgi, do poświęcenia swoich własnych nawet interesów ogólnych, swojego własnego życia, dla interesu chwiloowego; jak cnota zmierza do podniesienia człowieka nad

sferę ludzką, tak namiętność spycha go w sferę najniższą, w sferę graniczącą ze zwierzęcą. Wiele jest namiętności, ale kierunek wszystkich jest jeden — poniżenie człowieka, jak jedno ich źródło — widok osobisty. Niema namiętności szlachetnych: niema, któreby dobrze służyły celowi szlachetnemu; zdradzą go prędzej czy później. Wszelka namiętność jest to niejako żołądek w moralnej stronie człowieka, żołądek żarłoka, który opanował całe ciało; tak namiętność obraca na swoją pastwę całą moralność człowieka i obraca póty, póki jej całkiem nie zamkniesz, to jest póki jej nie zniszczysz. Pożera ona najzdrowsze, najpiękniejsze plody z niwy ludzkiego życia, aby je przemieść — w obrzydliwość. Otwórz raz szranki np. nienawiści, a już jej nie nasycisz tą lub ową ofiarą. Musisz bezprzestannie nowych jej dostarczać; wóczas niema innego przeciw niej sposobu, tylko ją zamorzyć zupełnym głodem, to jest: miłością wszystkich ludzi. Tak i z innymi namiętnościami. Można by także porównać namiętność do narośli jadowitej, która się żywi najzdrowszą krwią człowieka i w jad ją obraca, a której nie zaradzisz inaczej, tylko zupełnem jej zniszczeniem.

Strumień wyschły zostawia po sobie swoje koryto, drzewo umarłe zostawia po sobie próchno, najmniejszy pyłek nie niknie tak, aby się w nic obrócił, a duch ludzki, on, który stanowi człowieka, on, szlachetniejszy, niż to wszystko, miałaby przepaść bez śladu, bez żadnego wpływu na potomny skład społeczeństwa i całego stworzenia? Nie! Jeżeli forma życia nie ginie, to nie może zginąć i samo życie, z tą tylko różnicą, że byt materji jest w sferze materji, a ducha w świecie duchowym, i kiedy tamtę zmysłami dotykamy, ducha duchem tylko możemy pojąć. Nie każdy wprawdzie zdolny do tego, ale byli ludzie i będą, przed których wzrokiem wewnętrznym położy się cała przyszłość duchowa rodu ludzkiego, jak przed zwyczajnem okiem leży zwyczajny horyzont.

Skąd najpewniej poznać historję ludzkości od jej stworzenia aż do dzisiejszych czasów? Z obecnego stanu narodów. Nic nad to pewniejszego: w każdej obecności jest cała przeszłość. Ludzkość jest to jedyna księga, w której zamyka się cała umiejętność ludzkości. Narody są myślami

pojedynczemi. Umiej odczytać każdy naród w stanie, w jakim się obecnie znajduje, a będziesz miał historję całej ludzkości, pojmiesz jej istotę w czasie przeszłym i obecnym, nawet jej przyszłość potrafisz mniej więcej odgadnąć.

Poema — rzecz licha w porównaniu z narodem, nieprawdaż? Łatwiej napisać poemata, jak urządzić naród, wszak i na to zgoda? Otóż, nie napiszesz poematu bez natchnienia, choćbyś miał największy rozum, a chcesz urządzić naród samym tylko rozumem bez natchnienia wyższego?

Człowiek, stosownie do celu moralnego, jaki Bóg jego życiu wytyka przy poczęciu się jego, odbiera to życie, tak moralne, jak fizyczne, pod miarą i wagą, że tak powiem. Nadto nie może on żyć ani dłużej, ani krócej, jeżeli żyje według właściwego sobie prawa. Ale w podwójnem kierunku życia może prowadzić jedno życie z uszczerbkiem drugiego, np. fizyczne z uszczerbkiem moralnego. Wtedy zbliży się do zwierzęcia. Nie pójdzie tą drogą człowiek, czujący nieśmiertelność i pragnący jej. Prawidłem jego będzie: o ile mniej żyć będziesz fizycznie, o tyle wzmocnisz twoje życie moralne czyli życie, nie kończące się z ciałem.

Cokolwiek zaczynasz, staraj się jak najprędzej skończyć. Tym tylko sposobem zrobisz wiele i wszystko w porę. Potrzeba czasu jest zazwyczaj natchnieniem każdego dzieła. Dzieło, zawieszone w wykonaniu lub przeciągane przez lenistwo, albo się nigdy nie skończy, albo czas jego użyteczności przeminie, a wtedy dokończenie jego na nic się nie przyda. Nadto w tem życiu praca tłoczy się na pracę, jak chwila na chwilę, bo życie jest ruchem postępowym. Za godzinę przychodzi druga czynność, za dwie trzecia i tak dalej — a każda ma swój czas najwłaściwszy; zechciej kończyć zaczęta w innej godzinie, a ukradniesz godzinę pilniejszej i ważniejszej pracy i oto jesteś przeładowany, wikłasz się i wkońcu upadasz pod ciężarem nagromadzonych czynności. Stąd znużenie, które czasami odbiera ci całą siłę. Nie doznasz go, robiąc wszystko w porę. Bóg jest wyrozumiały: nie wkłada na człowieka ciężaru życia nad jego siły; czuje nawet potrzebę spoczynku i opatrzył go w chwili spoczynku. Ale kto chce więcej spoczywać, jak robić, ten z własnej winy poczuje kiedyś ciężar do niezniesienia, bo, co naznaczone, musi się zrobić.

Nie przyzwyczajaj się do próżniaczego marzenia. Jest to nalóg równie szkodliwy, jak inne nalogi, zwyczajnemu stanowi duszy. Jest to pasożytna roślina myśli: wyniszcza ją, a w innem nie wynagradza jej korzyści. Marzenia upowszechniały się dziś bardziej, niżby się zdawało. Marzeniem jest każda myśl, w której niema zarodu życia, siły do działania. Stąd tyle systematów, dzisiaj pisanych, nie są niczem innem, tylko marzeniami dumnych próżniaków. Jedyny sposób zabezpieczenia się przeciwko nim jest mieć w swoich piersiach ogień świętej prawdy, a marzenia, bądź obce, bądź twoje własne, będą ginęły w nim, jak ćmy, zaledwie się zbliżą.

Pozbywaj się jak najrychlej wszystkiego, bez czego obejść się możesz. Twoje życie jest podróż: rób-że, jak roztropny podróżny, miej tylko to przy sobie, co ci może ułatwić podróż, a nie utrudzić.

1843.

DROBNE SPRAWOZDANIA I PRZEDMOWY.

„WYPRAWA IGORA NA POŁOWCÓW“. Poemat słowiański, wydany przez *Augusta Bielowskiego*. Lwów. Nakładem Franciszka Pillera, 1833 r.¹

Dzielko całe jest przepolszczeniem staroruskiego poematu, którego tytuł w oryginale: *Słowo o plku Iгореwie* — składa się zaś z dwóch tłumaczeń, jednego wierszem, a drugiego ściśle dosłownego prozą — nadto z przemowy na początku i objaśnień przy tłumaczeniu rymowem.

Wprawdzie wyszło to dziełko z druku, jak wyżej widzimy, przed dwoma już laty, ale mała liczba odbitych a jeszcze mniejsza upowszechnionych egzemplarzy, tytuł, nie zalecający się osobliwszym wdziękiem przed publicznością, którą znarowia ustawny napływ nowoczesnych, coraz nowocześniejszych utworów — usługa dzienników, opieszala w dokładnem zaznajamianiu czytającego świata z utworami takimi, jakim jest „*Wyprawa Igora*“, zarzuty, poczynione już tłumaczowi — a co ważniejsza, wartość tak oryginału, jak tłumaczenia, i przekonanie, że należy się im wyższe w naszej literaturze stanowisko, niż to, które dotąd zajmują — spowodowały nas i ośmieliły przywołać na nowo przekład Bielowskiego przed oblicze krytyki, przedstawić go jeszcze raz uwadze polskiej publiczności.

Sama istota poematu wskazuje nam obowiązek nakreślić przedewszystkiem jego dzieje; zaczynamy więc od takich wyjątków z przemowy tłumacza, które nam mogą dać nie-

¹) Trzy sprawozdania poniższe o książkach Bielowskiego, Mickiewicza i Odyńca ogłosił „Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności“ Kraków, 1835, w tomie I.

jakie wyobrażenie o części zewnątrzno-historycznej oryginału.

„W r. 1795 (powiada tłumacz) zakupił Aleksy hrabia Mussin Puszkina po archimandrycie kijowskim znaczny zbiór rękopisów, między którymi znalazł się jeden z napisem: „Słowo o plku Igorewie“. Była to pieśń bohaterska, w języku staroruskim, opiewająca wyprawę Igora na Połowców, zaszła w r. 1185, wkrótce po tejże wyprawie, to jest w wieku dwunastym jeszcze napisana, jak się o tem z samego tekstu łatwo przekonać można. Po ocenieniu jej wartości ogłosił ją tenże Mussin Puszkina po raz pierwszy drukiem w Moskwie 1800 roku, wraz z przekładem rosyjskim“. Otóż jest pierwsze pojawienie się w dzisiejszej uczonej Europie jednego z najdawniejszych poematów sławiańskich. Treść jego następująca: Igor Swiatosławicz, książę siewiero-nowogrodzki, postanowił w r. 1185, wraz z trzema krewnymi książętami, zrobić wyprawę na głównych podówczas wrogów Rusi, Połowców, bez wiedzy i pomocy starszych i potężniejszych książąt ruskich. Umówione książęta łączą swoje siły i wyruszają. Pojawiają się im różne złowieszcze znamiona; bez względu na nie uderzają na Połowców i rozpraszają ich. Zbierają się powtórnie Połowcy w wielkich masach i otaczają Igora; trwa bitwa półtrzecia dnia i kończy się zupełną klęską Rusi. Igor dostaje się w niewolę, z której ratuje się ucieczką. Radość Rusi z powrotu Igora. Otóż jest szkielec poematu — lecz jeżeli w jego widoku obejmujemy główną całość działania, z nakreślonych jednak rysów, malujących tylko prostotę układu i naturę przedmiotu, nie mamy jeszcze wyobrażenia o wewnętrznej wartości, o duszy dzieła, o co właśnie najwięcej nam chodzi. Już to więc w nadziei, że prawdziwą sprawimy czytelnikom przkosz, już z innych koniecznych pobudek przedłożymy przed oczy ich całość w tych wyjątkach, które nam się wydawały wybitniejsze mieć piętno talentu poety, i żywiej malować tak duch swojego czasu, jakoteż jaśniejsze chwile opiewanego zdarzenia.

Śpiewak Igora otwiera lot swój natchniony temi słowy:

Bracia! Nie pięknie-z piąć staremi słowy
Trudne o pułku Igora powieści?

A więc pocznijmy pieśń wedle osnowy
 Zdarzeń, nie zmyśleń bojańskiemu tory;
 Bo wie-zczy Bojan, jeśli k'czyjej cześci
 Pieśń tworzył, myślą uganiał przez bory,
 Wilk ziemią, w wiatrach orzeł chyzopióry;
 Jeśli bój spomniał, w lot dziesięć sokołów
 Puszczal na stado łabędzi — a wtedy
 Poczesną pieśnią pierwszy zabrzmiał połów;
 Wówczas Jarosław stary, Mścisław chrobry,
 Co pośród pułków kasogskich, Rededi
 Dzirył twardemi wskroś przepędził ziobery,
 I krasny Roman, w pierwszych brzmiełi rzędzie.
 Lecz nie sokołów na stada łabędzie
 Bojan, o bracia, wypuszczał ku walce,
 Jeno na strony kładł swe wieszce palce,
 A sławą książąt żywe brzmiały strony.

Ów Bojan jest w całym poemacie jedną z promieni-
 stszych myśli śpiewaka; kilka on razy odzywa się do
 niego podobnie. Był to bezwątpienia znakomity staroży-
 tnej Rusi poeta; tekst obecnej pieśni napomyka o jego
 poematach, których przedmiotami miały być: Jarosław
 Stary, Mścisław Chrobry, Roman Piękny, Trojan, pochód
 Swiatosława i t. d. W jednym miejscu śpiewak Igora zo-
 wie się potomkiem Welesa, czyli Wołosa, który u Sławian
 był bogiem pasterzy; pokazuje się stąd wielka cześć mię-
 dzy ludem dla Bojana i wysokie dla niego uwielbienie,
 zapewne zasłużone, śpiewaka. Zachodzi pytanie: Czy *Bo-
 jan* było właściwe nazwisko jednej osoby? Tłumacz traf-
 nie domyśla się, że bojanami nazywano w tamtych wie-
 kach ogólnie śpiewaków, opiewających wojenne wyprawy
 książąt i znakomite czyny bohaterów. Nie zbywało na-
 wet (mówi on dalej) na dowodach w tejże samej pieśni.
 I znowu dalej twierdzi, że ci bojanie byli razem i wo-
 jownikami, jakto już same ich nazwisko oznacza. Dla-
 tego nasz piewca, ilekroć spomni Bojana, dodaje zawsze:
wieszczy lub *piestworca* (pieśniotworca), jakby chciał
 przez to wyrazić, że nie wszyscy bojanie (wojownicy) są
 wieszczami. Na stronie 34, wychwalając rącość i boha-
 tyrskie czyny Wsesława, księcia smoleńskiego, powiada,
 że „wieszczą dusza mieszkała w jego ciele“. Bądź co bądź,
 jest to przedmiot, który głębokie tylko i moralne badania
 rozjaśnić mogą, przeto wracamy do tekstu pieśni. Na-
 stępne wiersze obejmują pomysł Igora wojowania z Po-

lowcami, porozumienie się jego w tym celu z innymi książętami, pochód wojsk połączonych i znamiona, wrójące zły koniec tej wyprawie.

Całą w tym opisie liryczność toku, całą jasność obrazów, to siłne natchnienie, to wystawienie jędrne a pełne prawdy, któremi przepelnione są wszystkie obrazy, uczuje każdy, obdarzony jakimkolwiek pojęciem poezyi. Pochwały nasze uważalibyśmy w tem miejscu za deklamacyę — idziemy więc dalej. Rusini z Polowcami schodzą się w pobliżu Donu nad rzeką Kajalą. Polowcom dowodzą Gzak i Kończak. Zaczyna się bitwa w dzień piątkowy. Rusini przemagają, pierzchają Polowcy.

Tutaj rozwija się dziwnie malarski i wzniosły obraz zgromadzenia Polowców w większej sile, otoczenia wojsk ruskich i nowego boju.

Drugi dzień rano zorze krwawym wschodem
 Świt wiodą, tucza, w mury się piątrząca,
 Ciągnie od morza zaćmić cztery słońca¹.
 Drżą sine błyski, piorun po piorunie
 Bije i z Donu strzałami deszcz lunie.
 Tu trzeszczą kopie, tu ostrzem strzaskanem
 O hełm Polowców szable gwizd wydały
 Nad wielkim Donem u rzeki Kajalę.
 O ruska ziemię, tyś nie Szelomianem!²
 Stryboga³, wnuki wiatry, się zerwały
 I na Ruś chrobrą z morza miecą strzały,
 I tętni ziemia, mętne cieką rzeki,
 Step ómią tumany, sztandary bełkocą;
 Od Donu, morza, czarną ciągną nocą
 Wrogi, i ruskie obstepują szyki.
 Biesowych⁴ dzieci wrzask pod niebo wzbity,
 Ruś czerwonomi przegradza się szczyty.
 Ty, Wsewołodzie, turze rozbujały,
 Stałaś wrogom murem, pryskasz strzały,
 O hełmy mieczem grzmisz gęstemi grzmoty.
 Gdzie tur poskoczy, gdzie hełm błysnie złoty,
 Leżą szeroko ustane po ziemi
 Pocięte głowy z hełmy Owarskimi,

1) Cztery słońca, czterech wodzów ruskich.

2) Szelomian, góra; — „tyś nie Szelomianem“, znaczy: ty już nie górujesz nad innemi.

3) Strybóg, bóg wiatrów u Słowian.

4) Bus miał być sławny książę połowiecki, pod którym kraj ten przyszedł do najwyższego stopnia sławy. Pieśń niniejsza wspomina raz Biesa, drugi raz Busa, co według wszelkiego podobieństwa, jedną osobę oznacza.

Od ciebie, jary turze Wsewołodzie!
 Jak drogie rany, bracia! W tej przygodzie
 Rzucił tron złoty, Czernihów warowny,
 Zrzekł się czci, życia i krasnej Glebówny...¹

Śpiewak oddycha, cofa się w przeszłość, wspomina wyprawy Olga i obrazem ich podnosi obraz obecnej bitwy.

Rusini na głowę pobici — Igor dostaje się w niewolę. — Z tych wierszy wypływa wielkie historyczno-poetyckie malowidło wszelkich klęsk, jakie poszły za przegraną bitwą: osłabienie Rusi, domowe niezgody między jej książętami i grasowanie Połowców pod wodzami Żłā i Karnā.

Skończyło ucztę chrobre ruskie plemię.
 Pocziwszy wrogi, padło za swā ziemię!...
 Żałosna trawa ziemiā liś rozściela,
 I drzewo tęskne przekłania konary,
 Bo wstały czasy, nie czasy wesela:
 Pustynia całe zaległa obszary —
 W dziedzinie wnuków Dadźboga nieznana
 Wszeszła dziewica na ziemię Trojana,
 Nie d o l a; w skrzydła piasnęła łabędzie,
 A po kraj morza i u Donu rzeki
 Ze snu mordercze zbudziły się wieki...
 Ustał bój z wrogiem, a bratbratu w zrzędzie
 Rzekł: i to moje, i to moje będzie —
 I wszczęto wielką waśń dla rzeczy małej;
 Swoi na swoich nieszczęścia kowady.
 A tu poganin otwartemi drogi
 Szedł w ruską ziemię siać mord i pożogi.
 Rój ptaków sokół popędził na morze,
 Lecz pułku twego nie wskrzesi, Igorze!
 Za nim już w Rusi Żłā i Karna biegā
 I trzęsā żary z rogu płomiennego.
 A ruskie żony płaczą: „W myśli tłumie
 „Ani was zmyślić, ani zdumać w dumie,
 „Ani żywemi oglādać oczyma:
 „Niema was, męże! Srebra, złota niema!
 Zastękał Kijew, w murach Czernihowa
 Wrā zwady, smutek cały kraj powleka,
 Sam środek Rusi krwawa mordów rzeka
 Zalała, klęski brat na brata kowa —
 A wróg w granice wchodzi bez oporu
 I dań wybiera: wywiorkę² od dworu.
 Boć wojną chrobrych Światosławców obu
 Wstały bezprawia, wtrącone do grobu
 Groźnego niegdy Światosława dziełmi.

¹) Glebówna, córka Gleba Jurewicza, księcia perejaślawnego, małżonka Wsewołoda Światosławicza.

²) Wiekosza albo wiewiórka, gatunek monety skórzanej, obacz Rakow: T. I. str. 166.

Odtąd rozwija się w zupełności nowa, melancholijna strona talentu poety. Odtąd tłem poematu niedola ruskiej ziemi. Śpiewak czarodziejskim sposobem przesuwają po nim oderwane obrazy, a które przecież wiąże jedna główna myśl: Igor w niewoli. Takim pierwszym obrazem jest Światosław, ojciec Igora, opowiadający swój stan smutny Bojarom.

Bojarów odpowiedź nie pociesza starca; wonczas on, „złotem słowem, zmieszaniem ze łzami“, robi wyrzuty, pełne rzewności i prostoty, młodym książętom, że się tak lekkomyślnie w bój wdali. Wreszcie powstaje na duchu, chce odmłodnieć i pomścić Igora. Piękny to obraz liryczny, kiedy Światosław przemawia uczuciami swojemi do innych książąt ruskich; ma nadto za sobą ważność historycznej wiadomości o potędze ówczesnej niektórych książąt ruskich.

Musimy wszakże ograniczyć się na wyjątkach i często bez przyczyny, gdyż w całym poemacie ciąg jedności i piękność tak jest utrzymana, że wszystkie wypisaćby przystało — ale i w najściślejszym ograniczeniu się nie moglibyśmy pominąć ustępu, zamykającego szereg wyżej wspomnianych obrazów. Jest to jedyne w tym poemacie pojawienie się kobiety. Jest to pieśń Jarosławy, żony Igora, córki Jarosława Włodimirowicza, księcia halickiego, a ciekawa z tego nawet względu, jak się też podobny przedmiot objawił natchnieniu staroruskiego śpiewaka.

Głos Jarosławny słyhać (rankiem w maju
Kukułka takim kukaniem się zali):
Polecę (mówi) kukułką k' Dunaju,
Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
Otrę krew księciu i rany niedawne
Na skrzepłem ciele.

Słyhać Jarosławnę...

Z wiezyc Putywła tak płacze zaraniem:
O wietrze, wietrze! Czemu silnem wianiem
Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
Czem' miotasz strzały na łube mi woje?
Mało-ż ci jeszcze po gór bujać szczytynie
I chwiać korable po morza błękitnie?
Czemuż wesele rozwiiałeś mi dawne?

Z wiezyc Putywła słyhać Jarosławnę:

O Dnieprze, sławą ciekący po ziemi!
Skały's Połowców przedarł prądy twemi,

Tyś Światosława korablów gromadę
 Niósł na Kobiaka. Wróc mi mego ładę¹⁾,
 Niech iza ku morzu nie płynie ustawna!
 Z Putywiła wiezyc płacze Jarosławna:
 O słońce, trzykroć promienne i ciepłe!
 Ożywiasz żywe, budzisz twory skrzeple —
 Zacóż z twych szlaków po podniebnym sklepie
 Na lube woje ciskasz żar nieczuły?
 Łuki w bezwodnym spaczyły im stepie
 Żary, tęsknota zadławiła tuły...

Na tej pieśni, zachwycającej dziewczycą prostotą, naiwnością i prawdą, a przytem tak barwnie poetyczną — jak talent śpiewaka zdaje się dosięgać szczytu rzewnych uczuć, jak smutne jego struny zdają się zrywać, tak równie przesila się los Igora. Igor z pomocą Owlura ucieka z niewoli. Opisem tej ucieczki, obrazem radości, jaką panuje na Rusi, kiedy Igor przybywa, zamyka się poema; na nich i my kończymy nasze wyjątki.

Prysnęło morze w północ, ciągną zmory
 We mgłach; książęciu bój wskazuje tory
 Z kraju Połowców do twego, Igorze,
 Szczerozłotego stolca. Zgasły zorze —
 Igor spi. Igor budzi się — myśl wrząca
 Przebiega przestwór od Donu do Dońca.
 Koń o północy — i Owlur za rzeką
 Świsnął: Owlura świst Igor rozumie.
 Niema Igora — tylko gdzieś daleko
 Głucho klekocze ziemia, trawa szumi,
 I wież Połowców czernią się wyżyny.
 A Igor skacze gronostajem w trzciny,
 To biała kaczka falami potrąca,
 To na koń skoczy, to z konia zeskooczy,
 I bosym wilkiem bieży k'łęgom Dońca.
 To znowu sokół chmurą się obłoczy.
 Gęsi, łabędzie bije dla posiłku
 Rankiem, południem i o słońca schyłku.
 Gdy Igor leci sokolemi loty,
 Wlur, zimne rosy trzęsąc, wilkiem ciecze,
 Padł mu koń rączy. Doniec księciu rzece:
 Sława ci, książę, wrogowi zgryzoty,
 Wesele Rusi. — I tyś sławy pełny —
 Rzekł Igor — księcia wziąłeś na twe wełny,
 Srebrny brzeg szatą ścielesz mu zieloną,
 W cieniu drzew ciepłą kryjesz mgły osłoną,
 Kaczką na wodzie, czajkami na strudze,

¹⁾ Łado, sławiańskie bóstwo miłości, harmonii i porządku, spominane i dziś w pieśniach ludu.

Cyranką w wiatrach trzymasz go w swej pieczy,
Nie tak, jak Stugna, co w mdłej pełźnie cieczy,
A skoro prądy pochłonęła cudze,
O pień podwodny roztrzaskuje statki.

Sądźmy, że tak prostym przeglądem poematu o Igorze lepiej go wyobraziliśmy czytelnikom, jak żebyśmy tę przestrzeń własnymi zdaniem zapelnili. W wyjątkach trzymaliśmy się głównej myśli, którą jest Igor, dlatego nie zrobiliśmy nawet wzmianki o miejscach ustępowych, lubo wszelkimi zaletami poezyi godnych swojej całości. Dla zupełnego obeznania czytelników z oryginałem kilka jeszcze uwag tłumacza pozostaje nam przywieść — a napród co do języka tej pieśni. Jest on odmienny nieco od tego, jaki w zabytkach piśmiennych rusko-słowiańskich z X., XI. i XII wieku, a mianowicie w traktatach księżęcia Olga i Igora z cesarzami greckimi, w Prawdzie Ruskiej, w traktacie Mściława, księcia smoleńskiego, wreszcie w kronikach owego wieku napotykamy. Okoliczność ta zwróciła w samymże początku uwagę badaczy starożytności sławiańskich. Uczony Szlecer wahał się długo uznać autentyczność tej pieśni. Uznał ją narreszcie — dziś o tej autentyczności nikt nie wątpi. Główna przyczyna różnicy języka tej pieśni z innymi zabytkami z tamtych czasów jest w samymże przedmiocie: nie mamy żadnych zabytków poetyckich z owych czasów, z któremi-byśmy pieśń tę porównać mogli. Śpiewak ludu, a takimi byli podówczas wszyscy śpiewacy, złączony ściśle ze wszystkiem, cokolwiek składało jego narodowość, z wyobrażeniami i przesadami ludu, jak w malowidłach i twierdzeniach swoich różnił się od chrześcijańskiego prawodawcy i klasztornego mnicha, tak też i pod względem języka obszerniejsze miał pole wyjawić nieznanne zwroty, a razem jedność i dosadność jego w całej świetności. Pieśń o wyprawie Igora, w dwunastym wieku napisana, jest prawie całkiem pogańska, jakkolwiek Ruś, za Włodzimierza Wielkiego ochrzczona, blisko od półtrzecia wieku zostawała już w chrześcijaństwie. Przydać należy i to, że Ruś ówczesna, składająca się po większej części z różnych sławiańskich ludów, musiała mieć już podówczas w języku swoim rozmaite narzeczka. Dlatego to nie-

którzy tłumacze posądzają twórcę tej pieśni o spolszczenie wielu wyrazów a Jakób Pożarski, tłumacz jej na język rosyjski, trafnie uważa, że klucza do zrozumienia tej pieśni szukać potrzeba w dawnej Polsce, w narzeczu gminnem około Kijowa, w którym to miejscu, według wszelkiego podobieństwa, pieśń niniejsza tworzona była.

Co do zagadnienia, czy pieśń ta pierwotnie mową wiązaną czy niewiązaną spisana była — zachodzi jeszcze niejaka wątpliwość, zwłaszcza, że jedyny jej rękopis, który rzecz tę niemało mógł wyjaśnić, złożony w bibliotece moskiewskiej, podczas pożaru Moskwy w roku 1812 zaginął. Wszelako, biorąc pieśń tę w tym kształcie, w jakim do nas doszła pod rozwagę, wnieść można z niej jaką pewnością z poprzecianych okresów i z rozkładu myśli, że była napisaną mową wiązaną, rytmem, właściwym wiekowi, podobnie, jak pieśni rękopisu krółodworskiego, z któremi, tak pod względem ducha, jakoteż i języka, wiele ma wspólnego.

Nakoniec co do jej przekładów na różne języki: jest to niejako miara wartości dzieła, podobna więc wiadomość nie może być zbyteczna, choćbyśmy nawet odrzucili powód oglądania się na stronę krytyki historycznej.

Po wspomnianem wyżej tłumaczeniu Mussin Puszkina wyszły jeszcze w języku rosyjskim następne: Iwana Sibirjakowa w Petersburgu r. 1803, admirała Szyszkowa z tekstem i objaśnieniami w r. 1805, Iwana Lewickiego miarami staro-ruskiemi w r. 1813, i ostatnie w r. 1819 Jakóba Pożarskiego, z objaśnieniami i dołączeniem przekładu Mussin-Puszkina a objaśnień Szyszkowa — wszystkie wydane w Petersburgu. August Kotzebue pierwszy dał o niej wyobrażenie Niemcom w piśmie czasowem: *Der Freymüthige* — Józef Miller, Sederholm, Swoboda i inni ogłosili całkowite niemieckie jej przekłady. Na język czeski przełożył ją w r. 1807 prozą J. Jungmann, a później wierszem Rożnaj. Nakoniec Wacław Hanka wydał w r. 1821 tekst jej pierwotny łacińskiemi głoskami, umieściwszy obok dosłowny przekład czeski i niemiecki, tudzież objaśnienia.

Polacy zasłyszeli o „Wyprawie Igora“ po raz pierwszy z wyjątków przekładu Cypryana Godebskiego; ale, że były widocznem tłumaczeniem tłumaczenia francuskiego i wyszły z ręki pisarza, który całego poematu starożyt-

ność za wymysł Puszkina uważał, są więc bez żadnej dla nas wartości. Rakowiecki w „Prawdzie Ruskiej“, Linde w historii literatury rosyjskiej, również wyjątki tylko poznać dali; dopiero trud Bielowskiego zbożacil, we właściwym znaczeniu tegoż słowa, polską literaturę tłumaczeniem, które na równi ze znakomitemi, oryginalnymi dziełami położyć śmiemy, choćby przez ten wzgląd jedyny, ale dostateczny, że jest przelaniem w ducha polskiej oświaty natchnienia czysto sławiańskiego.

Jakkolwiek „Wyprawa Igora“ przepolszczona znajduje się od lat dwóch pod sądem publiczności, i powyżej zrobione wyjątki są próbami, z których każdy o wartości tłumaczenia dostatecznie zawyrokować może, wszelako nie ogolamy się z prawa, pozwalającego recenzentom w każdym wypadku własne otworzyć zdanie.

Powiemy więc na pochwałę Bielowskiego, że jako tłumacz dopełnił wszystkich swojego powołania warunków. Trzeba mieć przed oczyma tekst oryginału, jak my go mamy — trzeba się w ten tekst wczytać, przejąć się jego duchem, aby ocenić, jakich sił wymaga przestrojenie go w dzisiejszą naszą mowę, aby uczuć całą trudność głównego warunku tłumacza: wierności — zmierzyć całą zasługę uczynienia mu zadość i poznać, jak go szczęśliwie Bielowski dopełnił. W ocenianiu nawet przekładów dzieł nowoczesnych, tak dostępnych naszemu pojęciu, nie podobna być właściwym sędzią, nie mając pod ręką oryginału, nie oddychając natchnieniem pierwotwórcy, nie mogąc postawić go obok tłumacza a dopieroż w sprawie dzieła, przegrodzonego od nas sześciu wiekami. Nie wzięli tego na uwagę ci, którzy zarzucają Bielowskiego tłumaczeniu psucie mowy polskiej, użycie dziwacznych wyrazów i zwrotów. Właśnie ten język, stworzony przez Bielowskiego, stworzony umyślnie, właściwie, z głębokiego poetyckiego przejęcia się staroruskiem natchnieniem i wytrawnego zastanowienia się tłumacza, jako uczonego, jest znakomitą jego zaletą, i razem nauką dla wszystkich puszczających się w ten zawód. Bielowski w swojej „Wyprawie Igora“ dowiódł, jak pojął tę prawdę, że przekład, ażeby zajął w literaturze godne siebie miejsce, powinien być podniesiony do wartości oryginału, co większa, do-

wiódł, że można to skutecznie. Przekład rzeczony jest takim z bogaceniem polskiego języka, już to przez przy-swojenie niektórych wyrazów sławiańskich, już to przez wydobywanie polskich, zaległych w głębi staroświecczyzny, iż mu w tym względzie, wielka liczba dzieł oryginalnych musi ustąpić pierwszeństwa. Nasze twierdzenia, przeczuwamy to dobrze, pomimo widocznej swojej podstawy, będą się zdawały niektórym, jeżeli nie dziwne, to przynajmniej za śmiałe; zarzucą nam niektórzy przywiązanie zbyt wielkiej wagi do jednej małej książeczki, i to jeszcze nie oryginalnej: takim wyznajemy, że nie czując w sobie dość siły do ich przekonania, będziemy czekać, aż nas usprawiedliwią skutki i sąd przyszłości.

Obok wyświeconych zalet wytkniemy też tłumaczowi jedno ważne uchybienie. „Wyprawę Igora“ nie każdy od razu pojmie. Nie można tego zastosować do całości, jedynie w powiązaniu szczegółów jest pewne zagmatwanie, pewne zatarcie odgraniczających je linii, tak, że nawet z uwagą czytający i wtajemniczony w podobne rzeczy musi się mocno zastanowić, nim sobie powie: wszystko zrozumiałem. Widzimy wprawdzie, iż źródło tej wady jest w samym pierwowzorze i w sumiennej wierności tłumacza; wprawdzie przekonani jesteśmy, że musiał zrozumieć ten oryginał, kto go tak pięknie oddał, że, zadowolony się we wzór, można zapomnieć o nierównym usposobieniu tych, którzy przekład mają czytać — jednakże mimo to wszystko musimy powiedzieć, że tłumacz mógł i powinien był wyraźniej odcieniować szczegóły poematu, przestronniejsze dać im przedziały, pozwolić sobie pewnej w tym względzie niewierności, byle tylko zostać dla ogółu przystępniejszym. Przez wytknięte uchybienie większa część naszej publiczności posiada mniej jednym piękne dzieło, mniej o jedną rozkosz umysłową, a „Wyprawa Igora“ ograniczy wpływ swój sferą poświęconych literatów. Szkoda, pragniemy z serca, ażeby czas późniejszy zatarał tę wadę, co nie jest niepodobne. Na tem kończymy; jeżeliśmy się zaś za obszernie rozpisali, przebaczą nam czytelnicy przez wzgląd, że w dniach naszych, że w obecnej naszej literaturze nielatwo o przedmioty, w którychby krytyka widziała takie zjednoczenie pięknego i dobrego,

jakie zawiera rozebrany przez nas poemat. Zresztą pamiętajmy, że „Wyprawa Igora“ jest jedną z podstaw literatury stu milionów, literatury sławiańskiej. — niepoślednie to prawo do względów krytyki! — i sądzimy, żeśmy się nie pomylili, przyznając jej to prawo.

„GIAUR“. Ułamki powieści tureckiej z Lorda Byrona, tłumaczył *Adam Mickiewicz*. Wrocław. 1835.

Tłumaczenie takiego poety, jak Byron, przez poetę, jak Mickiewicz, jest pojawieniem w literaturze niezwykłym; dlatego spodziewamy się przebaczenia za przydłuższe nieco zastanowienie się nad tym przedmiotem.

Byron, najpotężniejszy naszych czasów poetyckich geniusz, którego odgłos powszechny nazwał „Napoleonem poetów“, a o którym tłumacz słusznie mógł powiedzieć, że wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, zdolna podźwignąć jego berło — napelniał już przed laty kilkunastu tryumfami swojemi i polskie literackie szranki, był długo jedynym hasłem w naszych zapasach romantyczności z klasycznością — nawet dziś jeszcze wpływem swoim przyczynia się do niemałych w nowej poezji zbroczeń, a z tem wszystkim nie był nigdy i nie jest dobrze znany ogółowi polskich czytelników.

Nie wnosmy jednak stąd, żebyśmy nie mieli laskawych pisarzy, którzyby swoim pośrednictwem ułatwiali to zaznajomienie — i owszem, nie zbywało nam na tłumaczach Byrona; ale jakie były te tłumaczenia, dosyć przejrzeć ich listę.

„Obleżenie Koryntu“ i „Korsarz“ przez Kicińskiego w „Bibliotece powieści i romansów“, wydawanej przez Wandę Malecką, gdzie także przyczepiono ułamek „Korsarza“, przełożony wierszem przez Lisieckiego Dominika, „Dziewica z Abydos“ i „Giaur“ przez Władysława Ostrowskiego, „Oskar z Alwy“ i „Więzień Czyllonu“ przez Juliana Korsaka, różne pomniejsze ułamki, rozrzucone po pismach to Mickiewicza, to Korsaka, to Odyńca, to Chodźki, to innych — i na tem koniec. Z tego widzimy, jak skąpo, jak niewłaściwą drogą sprowadzono nam promienie owej europejskiej gwiazdy; gdyż, wyjąwszy Mickiewicza, jednym tłumaczom można zarzucić nietrafny wybór przedmiotów, drugim, jak n. p. Ostrowskiemu, nieobrachowanie się z siłami, trzecim na-

koniec, jak np. Kicińskiemu, tłumaczenie z francuskiego — szkaradny występki! Ostatnie dopiero lata zdają się przyrzekać wynadgodzenie przeszłości. Nie znamy dotąd przekładu „Paryzyny“, tudzież „Kalmara i Orli“ przez Szydłowskiego, ani „Manfreda“, który świeżo wydał Bojanowski; zostawiając więc na później wiadomość o nich, tutaj przebiegniemy jedynie tłumaczenie Mickiewicza. A naprzód kilka słów o pierwtworze.

„Giaur“ uznany jest powszechnie za jeden z celniejszych utworów Byrona, mimo to, że jest razem jeden z najnieporządniejszych co się tyczy zewnętrznej jego postaci: dramatyka, liryczność, opowiadanie, wszystko tam połączone, wszystko się mięsza, krzyżuje, wzajemnie rozcina, zbiega, a z tem wszystkim tworzy czarującą całość. Wypadek branki muzułmańskiej, którą jej pan, Basza, za postronne miłości utopić kazał, a której skonu przez zabicie owego baszy pomścił się jej kochanek, Wenecyanin, jest treścią poematu; osnowa jego zamyka to wszystko, nadto spowiedź Wenecyanina (Giaura) przed mnichem S. Bazylego, w którego klasztorze zamieszkał po utracie kochanki i zamordowaniu baszy. Spowiedź ta jest właściwie sama jedna poematem, a przynajmniej najglówniejszą jego częścią. Ile tylko jest szaleństwa we wschodniej namiętności, ile uniesienia, do jakiego zdolna pierwsza i ostatnia w życiu miłość, ile boleści po utracie jedynej kochanki, rozpaczy z mimowolnego przyłożenia się do jej skonu, udręczeń zbrodni żalowanej i usprawiedliwionej wściekłością zemsty, zwątpienie o niewinnieniu się przed sądem Boga — ile mąk ma przeszłość, napiętnowana zbrodnią, obecność bezduszna, przyszłość potępiona, to wszystko skupia się w owej Giaura spowiedzi. O Giaurze możnaby powiedzieć, że się spowiada za wszystkich bohaterów Byrona.

Taki jest rys ogólny poematu, objawionego nam w polskim przez Mickiewicza przekładzie. Samo imię tłumacza, zdaje się, powinno być rękojmią dobroci dzieła i oszczędzić krytyce trudne roztrząsania. Jeżeli z drugiej strony zgadzamy się na to, jeżeli szczerze przyznajemy, żeśmy dotąd nie mieli lepszego tłumaczenia poezji Byrona — z drugiej twierdzimy z całą bezstronnością, że Mickiewi-

czowi w ogólności zbywa na usposobieniu tłumacza w najrozleglejszym pojęciu, jakie do tego powołania przywiązujemy; łatwiej mu być naśladowcą. Jak w duchu, tak w stylu jego jest indywidualność tak silna, że zaciera charakterystyczne rysy tłumaczonych przez niego poetów — najróżnorodniejsze względem siebie dzieła powleka jedną barwą, barwą Mickiewicza. — Wiersze „Giaura“ są wprawdzie co do zewnętrzności tak wykończone, tak uroczenie harmonijne, jak tylko wiersze Mickiewicza być mogą — ale nie są wierszami Byrona. Można niemal powiedzieć, że w nich omdlał ów buchający ogień, zlagodniały nieugłaskane namiętności, opadło natchnienie, przybladło życie angielskiego poety. A gdyby nas kto spytał, gdzie też, według naszego zdania, źródło tej wady — odpowiedzieliśmy, że w sile geniuszu, który Mickiewiczowi nie pozwala być czem innym, jak Mickiewiczem.

Przedstawiamy czytelnikom mały wyjątek z tego tłumaczenia. Jest to ustęp o samotności, po którym następuje owa scena, jedyna w swoim rodzaju — spowiedź Giaura.

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;
Pusta pierś, czując otechłanie do koła,
Chce je zaludnić i o boleś woła;
Bo, nie dzielone — każde czucie nudne,
I szczęście samo do zniesienia trudne!
Serce, w cierpieniach, gdy samotność widzi,
Chcąc mieć pociechę, wszystkich znieawidzi.
I jest to serce, jak człowiek w mogile,
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę
I czuł z wzdrgnięciem, że robactwo toczy
Odżyłe jego oblicze i oczy,
I nie miał siły bronić swych wnętrzności
Od tych szkaradnych, niespodzianych gości:
To serce jest, jak pelikan, gdy leci
Przez obszar pustyń do gniazda, do dzieci,
Krew swą gotowy na żywność im przelać,
Życie z głodnymi nie skąpy podzielać:
Już dziobem piersi rozranił szlachetne
I widzi tylko swe gniazdo — bezdzietne.
Najdroższe męki, które nędzni znoszą,
Samotnej duszy zdają się rozkoszą,
Sierocę, stępem otoczonej dzikim,
Trawiącej uczucia, nie dzielone z nikim.
Któżby był niebios ciekawy widoku
Bez słońca i bez żadnego obłoku?

Lepiej jest płynąć, choć się niebo chmurzy,
 Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy
 I, gdy żywioły zakończyły wojnę,
 Być wyrzuconym na brzegi spokojne
 W pustą zatokę i bez towarzyszy,
 Próżnego zgonu czekać w wiecznej ciszy;
 Lepiej raz przepaść w zaburzone fale
 Niżli żyć, gnijąc potrochu na skale.

Pomimo chęci naszej urywamy i tak zadługi na to miejsce wyjątek; może on wszakże dać dostateczne wyobrażenie, jak Mickiewicz tłumaczeniu nadał tok całkiem sobie właściwy. — Mimo wszelkie zarzuty, tłumaczenie „Giaura“ jest pracą niepośledniej wartości, znakomitem zbogaceniem polskiej literatury, i domaga się szczerzej wdzięczności; jest razem dla naszych tłumaczeń skazówką, jakiego rodzaju dziełami możemy otworzyć sobie stosunki z literaturą europejską.

„KORSARZ“. Powieść Lorda Byrona, przekład z angielskiego *Edwarda Odyńca*. Wrocław. 1835.

„Korsarz“, jako utwór Byrona, ma w niektórych względach wyższość nad „Giaurem“; zdaniem p. Stael, zasługującym na poważanie, należał on do liczby dzieł, których czytanie przedłużyło o lat kilka jej życie. Pomysł i wykonanie „Korsarza“ ma rozleglejszy wymiar, niż inne Byrona powieści; wszystkie pozory są za tem mniemaniem, że „Lara“ jest jej dopełnieniem. Oto jest kilka słów o treści Korsarza: Konrad, zbójca morski, osoba bez początku, że tak powiem, i końca, odbiera uwiadomienie przez swojego szpiega, że basza Seid gotuje wyprawę dla zniszczenia jego bandy; uprzedza baszę, pali mu flotę i zamek, ale, pokonany od większej liczby, dostaje się w niewolę, z której go wydobywa Gulnara, jedna z niewolnic baszy, wyniesiona własnymi rękami Konrada z palącego się pałacu. Odtąd wdzięczność i miłość przywiązują Gulnarę na zawsze do Konrada. Basza ginie z ręki Gulnary — Konrad wraca z nią do wyspy zbójców i zastaje na katafalku swoją kochankę Medorę, zabita przez wieść o porażce i mniemanym skonie Konrada. Ten wypadek jest powodem, że Konrad znika z Gulnarą z pośrodku swoich towarzyszy na zawsze. Gdzie i jak? — nie wiadomo. Korsarz jest je-

den z charakterów najszcześliwiej przez Byrona skreślonych — Medora jedna z najmilszych jego kobiet; jak w życiu Konrada, tak w powieści o nim najważniejszą rolę gra miłość; widzimy ją tutaj w całym uroku, w całej potędze. Jeżeli o rycerzach Byrona można powiedzieć, że mają sumienie, to Konrada sumieniem jest miłość dla Medory.

Taka jest powieść, którą dał poznać Polakom w ich języku Odyniec, znany z niejednej w tym rodzaju pracy i właściwie w tym tylko rodzaju pracy najzasłużeńszy polskiej literaturze. Oddając sprawiedliwość dobrym chęciom tłumacza, uznając gwałtowną potrzebę posiadania w języku naszym takich pomników poezyi, jakimi są dzieła Byrona, czując prawdziwą wdzięczność dla talentów, poświęcających się temu trudnemu zawodowi, nie znamy się do obowiązku bezwarunkowego chwaleńia wszelkich na tej drodze usiłowań, nie widzimy w niczem musu powiedzieć, że wszystko, co się stało, stało się dobrze. Możemy to zastosować do niniejszego także tłumaczenia. Odyniec nie zaspakaja znających Byrona, chociażby z niektórych tłumaczeń na inne języki. Ta zwykła wodnistość stylu Odynca, zresztą dosyć wytoczonego, nie rażąc zbyt w oryginalnych jego poezjach lub tłumaczeniach niemieckich ballad, uderza w niniejszej pracy o tyle, o ile poezye Byrona wyższe są nad to wszystko, co tłumacz dotąd napisał. Inne, mniejsze uchybienia chętnie pomijamy i przyznajemy pracy Odynca miejsce pierwszeństwa, tak przez wybór przedmiotu, jakoteż przez wywiązanie się z przedsięwzięcia, nad ogromem owych przekładów bezcelnych, bezbarwnych, któremi spekulanci po największej części zarzucają nas dzisiaj i głuszą podnoszące się zasiewy narodowej niwy.

Udzielamy czytelnikom mały wyjątek z „Korsarza“, w którym skreślony jest charakter Konrada:

Konrad nie w sobie niema nad człowieka.
 Blask czarnych oczu ćimi smutna powieka,
 Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi
 Ani się wzrostem wyniósł nad innymi,
 We wszystkim jednak biegły wzrok badacza
 Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.
 Patrząc nań, wszyscy dziwią się i śledzą;
 Jakim jest, czują, lecz, kim jest, nie wiedzą.

Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada,
 Włos kruczy bujno pierścieniami spada;
 Nieraz z brwi groźnych, z drzenia ust lub z czoła
 Znać dumę, której poskromić nie zdoła.
 Głos jego wdzięczny, serce jednak ziębi;
 Więcej, niż mówi, znać, że tai w głębi.
 Szybka gra rysów, nagle się mieniających,
 Wabi ciekawość, lecz mięsza patrzących,
 Jakby w tym duszy posepnym pomroku
 Kryły się czucia, zbyt straszne dla wzroku.
 Tak o nim sądzą — prawdy nieświadomi;
 Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,
 A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
 Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma?
 Wie on, jak trzeba — gdy ciekawość skryta
 Mniema, że z twarzy głąb' serca wyczyta —
 Odeprzeć bacność natrętną i snadnie
 W ciekawca duszy wzajem brodzić na dnie,
 Aż uczuć musi, że wprzód wzrok Konrada
 Przejrzy go na wskrós, niż on w nim co zbada.
 Śmiech jego głośny, lecz jest coś w tym śmiechu,
 Jakby sam szatan śmiał się w jego echu;
 Jest coś, co w sercu słyszających go ludzi
 I gniew, i trwogę, i nienawiść budzi.
 Wzrok jego gniewny zabija Nadzieję,
 Przed groźbą jego Przebaczenie mdleje.

1835.

„DE LA POLOGNE SUR LES BORDS DE LA VISTULE
 ET DANS L'EMIGRATION“, par. F. V. Raspail. Pa-
 ris 1839 — z dewizą: Assis sur les bords du fleuve
 de Babylone, pauvres exilés, nous avons versé des
 pleurs, au souvenir de la patrie. ¹

Przedmiotem dzieła — sprawa Polski, autorem — cudzo-
 ziemiec, Francuz. Wszakże ani pisarz, ani dzieło nie na-
 leżą do tłumu. Raspail jest jednym z niepospolitych ta-
 lentów dzisiejszej Francyi, jednym z najcelniejszych
 politycznych jej pisarzy; nadto podnosi się nad nich
 swoją wiarą w odradzającą się ludzkość, jest demokratą,
 a może i czemś więcej jeszcze, jak sam o sobie w je-
 dnym miejscu powiada; następnie być musi i jest rzeczy-
 wiście przyjacielem, kochankiem polskiego ludu.

¹) Sprawozdanie to ogłosił „Pszonka“, Strasburg 1839, t. I, str. 48.
 — Dzieło Raspaila wyszło potem w przekładzie polskim: „Polska
 nad brzegami Wisły i w Emigracji.“ Poitiers, 1840.

Tego więc rodzaju przyjaciel nie może należeć do liczby owych dobroduszných, którzy mniemają wyświadczać największą przysługę polskiej sprawie, kiedy w niej dobrą jedynie stronę widzą; lecząc Polskę, boją się ran jej dotknąć, odjąć zepsute członki: głaszczą, ośmielają, gdzie potrzeba skarcić, ludzą siebie i drugich, więcej szkodzą, jak pomagają, zasługują ledwie na pół wdzięczności. Raspail kocha Polskę niemniej, jak pierwsi, a służy jej skuteczniej, bo bezstronnie wchodzi w jej przeszłość, jaśniej widzi przyszłość, surowiej ocenia obecność; stara się znać jej sprawę, jak Polak. A co najważniejsza, Raspail patrzy na Polskę, jak człowiek ludu, jak na Polskę ludową. Dla tych to powodów przywiązujemy nie małą wagę do jego dzieła i nie możemy poprzestać na ogólnem przemówieniu za niem.

Przeźren, ograniczona Dźwiną, Dnieprem, morzem Czarnem, Karpatami, Odrą i morzem Bałtykiem — oto posada Polski, wyznaczona jej ręką natury, punkt oparcia materyalny, do którego przywiązane jest całkowite rozwinięcie się narodowego jej życia. Ludowładztwo jest znowu podstawą społeczeńskiego urzędzenia Polski. W tej myśli poczęła się ona, w tej myśli, rozszerzonej do całej masy polskiego ludu, spoczywa zagadka jej przyszłości. Do zwichnienia tej myśli korzenno-rodzinnej, żywotno-narodowej, przyczynił się głównie katolicyzm. Oparłszy on interes rozszerzania się swojego na możniejszych członkach narodu, zaszczerpił w Polskę feudalizm zachodni, ile takowy mógł się pogodzić z jej naturą, ustąpił praw ludu na korzyść pewnej części, uświęcił niedolę większości, stworzył wszechwładną kastę — szlachtę. Królewskość nie ma korzenia w gruncie Polski, nie jest rośliną samorodną jej strefy, nie mogła nigdy rozwinąć się w jej życiu. Szlachta nie przestała nigdy być względem siebie republikańską; czciła w swoim kole zasadę wszechwładztwa, była, jak ją nazywa Raspail, monopolistką równości — nigdy poddanką jednej rodziny, dynastji.

Źródło upadku Polski widzi Raspail w szlachcie. Wyłączeniem się z masy narodowej rozerwała narodową jedność — zamknięciem się w samej sobie położyła zapórę wszelkiemu postępowi, nieograniczonemu rozwijaniu się

ducha narodowego — dążeniem do najwyższej przewagi, niehamowanym przez żadne wędzidło, wydała śród samej siebie bezzład — tyranją na zewnątrz ohydziła się w oczach reszty ludu, odrętwiała masę nieszlachecką, znikczemniła ją, zobojętniła dla sprawy ogólnej. Tymczasem, w miarę tego, jak owe żywioły niemocy narodowej wzmagaly się i dojrzewały, nieprzyjazne zewnętrzne siły wzrastały równie przez jedność kierunku, przez doskonalenie się postępowe w administracji i strategii. Przyszło do walki; szlachcie zdało się, że nieprzyjacieli słaby, jak dawniej, a ona, jak dawniej, mocna; wystąpiła sama i upadła. Powtórzyła te wysilenia raz drugi i trzeci, i wysilenia jej za każdą razą spełzły na niczem. Kościuszko miał natchnienie ducha ludowego, powołał lud; szlachta przeczuła ideę demokratyczną i poświęciła swojemu interesowi interes ojczyzny. Przez długie lata obnosimy po Europie trupa Polski; widok jego budzi oburzenie przeciw mordercom, ale to oburzenie nie jest ową pełną sympatyją, owym popędem poświęcenia, który prowadzi sprawiedliwych w obronie sprawiedliwości. Wciąż jakaś obojętność, same półkroki ze strony najszczerzych przyjaciół, bo każdemu zawołaniu o pomstę zdaje się wtórzyć głos Boga: „To tylko trup Polski szlacheckiej! Patrzcie, na jego czole płama krwi bratniej, piętno Kainowe“ — bo wciąż zdaje się grzmieć nad naszymi głowami wyrok przedwieczny: „Polska ludowa lub żadna!“ I w końcu zmuszeni jesteśmy złożyć naszego trupa przed nogi cara.

Jakie upokorzenie! Jaki szatański upór przy złem! Nauka nie skończona. 29 listopada objawia się duch całej Polski, lud rozpoczyna walkę, ale w tejże chwili zlatują się ze czterech końców kraju magnaci w charakterze zbawców ojczyzny, jak się wyraża Raspail, biorą na siebie znowu cały ciężar wskrzeszenia ojczyzny w zamiarze dalszego panowania, sadzają na jej piersiach zmorę dyplomacyi i upadają pod własnem niedołęstwem i zdradami gabinetów, razem ze sprawą. Raspail przytacza w tem miejscu słowa Czartoryskiego do Lafayetta, które nazywa nagrobkiem Polski przez jednego z jej lekarzy; my je uważamy za spowiedź politycznego zbrodniarza, my jesteśmy pewni, że z tego aktu powoła kiedyś Bóg-sędzia

naszych dyplomatów do zdania liczby ze krwi polskiej, która tak marnie w ostatnich czasach popłynęła. Następnie przegład dziejów emigracyjnych. Odkrywa się walka, nieznana dotąd Polsce. Emigracja rozłamuje się na dwa główne oddziały: jeden chce Polski przez szlachtę dla szlachty, drugi chce Polski przez lud dla ludu. W pierwszym widzie rej dyplomacya, drugą ideę wyobraża Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Opowiedzenie kilku czynów arystokracji, przytoczenie kilku aktów pisemnych Towarzystwa dają dokładne wyobrażenie o jednym i drugim, wykazują całą nikczemność pierwszych, oddają sprawiedliwość zdrowemu widzeniu rzeczy i szlachetnym dążeniom demokratów.

Najwymowniejszą częścią dzieła jest ostatni jego paragraf, pod napisem: „Przyszłość Polski.“ W nim to rozwija Raspail cały swój talent, całą siłę uczucia, całą wymowę rozumowania, nakłaniając szlachtę do zespolenia się z resztą ludu, nawracając ją na prawdziwie polską wiarę.

„Wszystko — powiada — możecie dzisiaj z siebie zrobić, bo oto jesteście niczem. Nadajcie chłopom własność. Do monopolu własności nie macie żadnego prawa. Jedynym właścicielem ziemi jest stan; jedynym, prawnym jej posiadaczem jest praca. Tak są dziś urządzone wszystkie narody demokratyczne i konstytucyjne, i jest-że im źle z podobnem urządzeniem? Zresztą, dzisiejsze wasze prawa własności są chimera i rzeczywistym jej panem jest Mikołaj. Rzeknie: „Stań się!“ — a za chwilę nic nie macie. Poświęćcie częśćkę, aby wszystkiego nie stracić“.

„Znieście niewolę chłopów! Dopóki rościcie sobie prawo do panowania nad podobnemi wam ludźmi, dopóty usprawiedliwiacie panowanie cara nad sobą. Zrównajcie się z chłopami, z ludem! Tak zrobiła Francya i nie narzeka dziś na to.“

„Zrzeccie się tytułów dziedzicznych! Tytuły nie były nigdy u was rzeczą narodową, były raczej rodzajem zakąły w obliczu szlachty“.

„Nie zaszczepiajcie królewskości! Królewskość na waszej ziemi republikańskiej musi wydać owoce zgubne“.

„Ogłoście wolność wyznań! Nawracajcie przekonywa-

niem, ale nie przemocą! Tolerancja jest religiją przyszłych wieków“.

„Rozciągnijcie zasadę braterstwa dla wszystkich Polaków! To tylko zwiąże wasz naród w nierozdzielną jedność, przez to tylko naród cały powstanie, jak jeden człowiek. Wywieście odtąd za chorągiew waszą ten napis: Wolność całego ludu, niepodległość całego narodu... Oto jest znak, w którym zwyciężycie i zostanieie narodem“.

Przedstawiliśmy tylko szkielec dzieła. W podobnem przedstawieniu musi całkiem zniknąć ten urok, ta pełność myśli, ten powab wysłowienia, ta barwa czucia, któremi drga, któremi promieni każdy wyraz. Trudno jest podobny przedmiot pojąć i wydać z taką poezją, z takim interesem, jak go pojął i wydał Raspail; trudno mieć ich wyobrażenie, nie czytając samego dzieła; zdaje się, że słuchamy hymnu na cześć Polski. Wątpimy, aby był Polak, któryby po przeczytaniu Raspaila nie podniósł się czuciem i duchem. Wszakże obok tej barwy poetycznej, w rozumowaniach ścisła logika, w opowiadaniu prostota, w malowaniu prawda, nigdzie przesady, deklamacyi, zbroceń wyobraźni.

Raspail nie odkrył nam prawd nieznanych, prawd, którebyśmy po raz pierwszy usłyszeli. Ostatnie klęski rozjaśniły nasz zdrowy rozsądek, spory emigracyjne dotknęły wszystkiego niemal, co się stało przyczyną naszych nieszczęść, w czem spoczywa szczęśliwa przyszłość Polski; jużeśmy to sami przez siebie odkryli. Niemniej przeto zasługa Raspaila jest wielką; rozjaśnił on niepospolicie nasze spory, słowom ziomków dał świadectwo bezstronnego cudzoziemca, położył na nich pieczęć znakomitego talentu. Wdzięczność tobie, szlachetny pisarzu! A lepiej nie możemy ci jej wydać, jak wynurzeniem pragnienia, ażeby dzieło twoje było jak najrychlej w rękę każdego Polaka.

KILKA SŁÓW O UKRAINIE I RZEZI HUMAŃSKIEJ.

PRZEDMOWA DO „ZAMKU KANIEWSKIEGO”.¹

Jeden z celniejszych naszych poetów miał wyrzec o „Zamku Kaniowskim“, że jest pełen kozackiej haraburdy, i tem go potępił. Nie dziwię się jego zdaniu, wiedząc, że nie zna Ukrainy — ale dziwię się, patrząc na jego własne godło: „Kto chce zrozumieć poetę, powinien kraj jego poznać.“ Powyższy zarzut i tym podobne spowodowały mię obeznać cokolwiek publiczność z ludem, który dostarczył bohaterów mojej powieści, tudzież z wypadkami, których ona jest ustępem, a przeto zostać zrozumialszym.

Jak charakter człowieka poznajemy z jego czynów, tak charakter narodu maluje się w jego dziejach. Przebiegnę więc w krótkości wiadome życie kozackiego ludu, a rys ziemi, na której mieszka, będzie tłem obrazu.

Zajmę się głównie tak zwaną polską Ukrainą, tą częścią ziemi, którą od wschodu Dniepr oblewa, Boh od zachodu, od północy Wołyń, a od południa chersońskie stepy otaczają.

Powierzchnia kilkudziesięciu mil Ukrainy mieści w sobie najmiłą różnorodność. Lasy i jary płaszczyn, składających większą część tej prowincyi od strony Bohu — skały nadbrzeżne z granitów, jak okolica Humania, Bohusławia i Korsunia — sosnowe bory, lesiste wzgórza, całe rzeki w bagnach, jak między Mosznami i Smilą — okazałe gromady wód Bohu, Dniepru, licznych stawów i kilku jezior — zaczynające się morze stepów — jednym słowem, piaski i najżyźniejsze w świecie łąny, najprzejrzystsze wody i bagna niedostępne, wesole laski i odwieczne puszcze, ciche doliny i olbrzymie wzgórza, bory nieschodzone i stepy nieprzejrzone zgromadziły się tu, jakoby na pojednawczą przyrody ucztę. Nie dziw, że taką krainę uważam za najpiękniejszą może w dawnej Polsce;

¹) Przedmowę tę poeta napisał za pobytu w Galicyi i dołączył ją do poematu w wydaniu zbiorowem „Pism“, Lwów 1838 u Pillera i sp., t. I.

nie dziw, że taka ziemia wpłynęła na swoich mieszkańców i wypiastowała naród, mogący stanąć między najdzielniejszymi. Dosyć słyszeć jego podania, jego dumy historyczne, dosyć obejrzeć pola, najeżone mogiłami, aby przystać na moje zdanie.

Za Stefana Batorego postrzegamy pierwszy ślad kozaków. Ognisko ich było przy dniewprowych porohach, mieszkanie na obronnych wyspach. Zwali się Zaporozcami, a to miejsce Siczą. Wchodzili do ich składu ludzie rozmaitego plemienia, a żyli dziwnym obyczajem. Nie cierpieli u siebie kobiet; polowanie, rybołówstwo, napady wodą i lądem na pobliskie okolice — były ich zabawą i sposobem życia. Przechylny król polski wezwał tych ludzi do swojej służby, zawarował przywileje i nadał kilka miejsc warownych nad Dnieprem, ażeby zasłaniali granice Polski przeciw Moskalom i Tatarom. Za Zygmunta Trzeciego słyną po całej Europie już to pod atamanem Konaszewiczem, już jako Lisowczycy, walczący w Moskwie, a za sprawę rzymskiego cesarza w Niemczech. Za tego też króla nietolerancya księży katolickich i nieludzkość panów dają im po raz pierwszy broń w rękę przeciw Polakom. Za Władysława Czwartego wystąpił Chmielnicki, który pod Janem Kazmierzem zatrząsł potęgą Polski. Kozackie państwo składało się wówczas z dzisiejszych gubernii: czernichowskiej, połtawskiej i charkowskiej za Dnieprem, na tej stronie Dniepru posiadało terazniejszą gubernię kijowską i część przyległą podolskiej. Hetman Chmielnicki poznał, co z tym ludem zrobić można, i, łącząc dumne własne zamiary z jego niepodległością, rozpoczął śmiertelną walkę z Polakami. Pokonało go męstwo naszych ojców, ale nie umieli korzystać ze zwycięstwa. Kozacy rozdzielili się na dwoje. Większa część przyjęła opiekę Moskwy, druga, przeddnieprzańska, została niby przy Polsce. Jeżeli Polacy stracili na tem rozdwojeniu, to prawdziwie kozacy tylko cierpieli. Opieka Moskwy groziła im co chwila zupełną zagładą. Częste było chwianie się ich hetmanów między Polską a Moskwą, lecz nigdzie dobra nie znaleźli. Nareszcie zjawił się Mazepa. Nadzwyczajny ten człowiek zdolny był utworzyć naród potężny, gdyby kto losy mógł zwalczyć. Uzyw-

szy we szwedzkiej wojnie przeciw Piotrowi Pierwszemu jawnie i skrycie wszystkiego, co tylko podstępny i waleczność podał, uległ z Karolem Dwunastym szczęściu Cara. Z nim zginęła samoistność kozackiego ludu i wszelkie jego nadzieje. Niektórzy z następców Mazepy widzieli jeszcze zbawienie w Polsce i kusili się ocalić kozaków odstąpieniem od Moskwy, ale, jako zdrajcy, pochwytani zostali i potraceni. Powoli godność hetmana została czczym tytułem; mniemanemu hetmanowi kazano mieszkać w Petersburgu — nakoniec państwo kozackie podzielone na gubernje, a Siczowych, czyli Zaporozców, zapędzono w liczbie kilkudziesięciu tysięcy nad brzegi Czarnego morza, gdzie dotąd stanowią obronną linię przeciw Czerkiesom. Zdaje się, że bunt polskich Ukraińców w roku 1768 był ostatnią konwulsją konającego ciała kozaków. Dzieje tego zdarzenia, jako podstawy mojej powieści, są właściwie głównym przedmiotem niniejszej przemowy.

Było to w początkach panowania Stanisława Augusta. Polskę szarpał nierząd możnej szlachty, intrzygi Czartryjskich i zewnętrznych dworów wpływy. Garstka prawych obywateli, czujących niedołężność króla i pewną pod nim zgubę kraju, utworzyła w zbawiennych zamiarach Barską konfederacyę. Ocknienie się Polaków zatrwożyło nieprzyjazną im politykę; przedsięwzięto więc wszelkie środki do stłumienia konfederacyi. Nienawiść ruskiego pospólstwa ku gnębiącemu go panom i spólność wiary z pograniczną Moskwą, dzielnie posłużyły do zamiaru przerażenia, a może i wytępienia polskiej szlachty, przynajmniej w ruskich prowincjach, gdzie była największa konfederatów potęga.

W połowie roku 1768 przebył Dniepr w okolicy Czehryna z kilkunastu towarzyszami nieznany nikomu zaporoski kozak, nazwiskiem Żeleźniak, i zaraz, w skutku porozumień się z popami ruskimi i pospólstwem, odbyło się poświęcenie nożów przy nocnym obrzędzie w monasterze św. Motry, położonym samotnie wśród gór i lasów nad Taśminą, w powiecie czehryńskim, o mil dwie od miasteczka Aleksandrówki, idąc na północ¹. Niedaleko

¹) Zdaje się, iż nie w jednym miejscu noże poświęcano. Widziałem starą drewnianą kapliczkę, należącą do jednego monasteru

wspomnianego klasztoru leży wieś Medwedówka, gdzie jarmark następował. Było to w święto Makkaweja (Machabeusza). Tłum na taki dzień zebranego pospólstwa sprzyjał zamiarowi rozpoczęcia buntu. Z wozu tedy, śród rynku, pop ruski przeczytał zmyślony, jak mówią, ukaz imperatorowej Katarzyny, który, obiecując wiele dobrodziejstw ukraińskim chłopom, nakazywał im wyczyszczenie pszenicy z kąkolu, to jest wytępienie szlachty, księży i Żydów; przedstawił następnie tenże pop Żeleźniaka, jako mianowanego przez imperatorową księcia Smilańskiego, i pobłogosławił rozpoczęciu rzezi.

W mgnieniu oka wszystko rzuciło się do spis i nożów, a wkrótce cała Ukraina, jakby czekała tylko hasła, zmieniła się w teatr niesłychanych mordów. Ówczesny stan i położenie wojska polskiego nie mogły przeszkodzić tak nagłemu szerzeniu się buntu; zjawienie się kilku wysłańców Żeleźniaka w najodleglejszych miejscach Ukrainy rozniecało pożar dokoła; całe wsie szły na ich wezwanie. Polscy dziedzice nie byli także zdolni oprzeć się pojedynczym usiłowaniam; wszystko chroniło się lub za granicę Ukrainy lub do Humania, a Żeleźniak, z okrzykiem: „o tak, Lasze, po Słucz nasze!“¹ — swobodnie posuwał się ku zachodowi i bez przeszkody pod Humaniem stanął.

Humani, dzisiejsze powiatowe miasto w gubernii kijowskiej, było w owym czasie przeciw nieświadzonemu wojsku miejscem dosyć warownem. Siła jego składała się z niewielu żołnierzy polskich, kilkudziesięciu pruskich, którzy tam za kupnem koni przybyli, i kilkuset nadwornych kozaków Potockiego pod atamanem Gontą; można tu dodać liczne szkoły ks. Bazylianów i mnóstwo okolicznej szlachty, zbiegłej do obronnego miasta. Ani wątpić, że z tą siłą zbrojną i swoją ludnością byłby się Humani obronił, gdyby nie następna okoliczność. Szczęsny Potocki, dziedzic Humania, napisał do Gonty, że mu dwie wsie daruje, jeżeli utrzyma jego kozaków w posłuszeń-

w puszczy Łebedyńskiej, niedaleko miasta Szpoły, gdzie podobną uroczystość odbyto.

¹) „O! tak Lachu (Polaku), nasze panowanie po Słucz.“ Słucz, rzeka na Wołyniu, która podług Rusinów ma stanowić na wschodzie granicę udzielnego ruskiego państwa.

stwie i Human obroni. Ten list szedł przez ręce pewnego Mładanowicza, zawiadującego dobrami Potockich, który go otworzył, przeczytał, a skuszony sposobnością zyskania dwóch wiosek, zataił obietnicę pana przed Gontą i na siebie wziął całą obronę. Tymczasem Żeleźniak się zbliżał. Przeżalenie powszechne, podsycane ciągłemi wieściami najwymyślniejszych okrucieństw, dręczyło zamkniętych w samym warownym Humanu. Gonta podejmuje się traktowania z Żeleźniakiem i wyjeżdża naprzeciw niego o trzy mile, do miasteczka Sokółówki; kozacy nadworni postawieni w polu dla zasłony miasta. Niedługo trwała niepewność zamkniętych w Humanu. Kozacy Żeleźniaka, albo, jak ich zowią, hajdamacy, pokazują się od lasku, zwanego Greków, i stają obozem. Gonta z nimi, a wnet i jego cały oddział przechodzi na stronę hajdamaków. Wtedy dopiero poznał Mładanowicz całą nierozmyślność swego postępków i trudność obrony; ujmuje Gontę obietnicami Potockiego. „Już za późno!“ — Gonta odpowiedział. Obsadzono jednak okopy, zwrócono działa nabite ku nieprzyjacielowi — wszyscy z rozpaczy chcą się do ostatniego bronić. Dwa dni przechodzą na nieśmiałych harcach ze strony hajdamaków; gotowe działa trzymają ich w oddaleniu — udają się więc do wybiegu. Gonta posyła do Mładanowicza, aby mu pozwolono wjechać do miasta dla rozmówienia się; pomimo oporu innych, Mładanowicz zezwala. Gonta przybywa pod bramę, ale w liczniejszym orszaku, niż była wymowa; puszkarcz chciał dać ognia — Mładanowicz połą od sukni nakrył zapał działa. Gonta wjeżdża, a jego towarzysze opanowują natychmiast bramę i pobliskie działa, i ułatwiają szturm do miasta całemu korpusowi Żeleźniaka.

Pierwszy Mładanowicz padł ofiarą niedoleźnego swego głupstwa z rąk Gonty, który, jak sam wtedy powiedział, robi mu tę przysługę dlatego, że był chrzestnym ojcem jego dzieci.¹ Śmierć Mładanowicza była hasłem

¹) Znałem jeszcze w roku 1830 jedno z tych dzieci chrzestnych Gonty, córkę Mładanowicza. Jej tylko brwi czarne uratowały ją od śmierci, która wtedy całą prawie jej rodzinę zniszczyła. Gonta wziął ją pod swoją opiekę i na trupach rodziców oddał ją za żonę jednemu z kozaków. Wkrótce małżonka powieszono, a jego następcą

rzezi. Niespodziewany ten napad rzucił taki popłoch, że wszystko prawie o ucieczce tylko myślało. Szczerpła liczba broniących się nie zdołała uniknąć smutnej śmierci. Broniono się jednak. Znaczna część schroniła się do kościoła Bazyljanów. Dobyli go wkrótce kozacy. Rektor klasztoru, ksiądz Kostecki, miał mszę właśnie i lud wtedy błogosławił; strzał rusznicy z chóru obalił go u ołtarza. Nie było względu na świętość miejsca; nikogo nie oszczędzono. Wkrótce scena mordu ogarnęła całe miasto. Trzy dni rzeź trwała: szesnaście tysięcy osób miało życie utracić rozmaitymi rodzajami śmierci; dziś jeszcze pokazują pod klasztorem Bazyljanów miejsce ze studni, gdzie do tysiąca uczniów żywcem wrzucono i zaduszono kamieniami. Po trzech dniach przestrzeń miasta napelniona była we dnie snującymi się jeszcze za rabunkiem mordercami, a w nocy rozlegała się wyciem psów i wilków¹. Obóz kozaków ciągle był za miastem, gdzie już Gonta dowodził, księciem humańskim obwołany, Żeleźniak zaś z częścią korpusu poszedł dalej i przez Boh się przeprawił.

Tymczasem wojewoda Stempkowski, mianowany regimentarzem z nieokreśloną władzą użycia wszelkich środków, aby stłumić szerzące się niebezpieczeństwo, nadciągał w te strony. Z polskiem wojskiem porozumieli się teraz i Moskale na zgubę hajdamaków. Nędzny koniec ich zawodu. Pułkownik moskiewski szedł oddzielnie; udając, że im sprzyja, stanął tuż przy nich obozem i posłał Goncie, niby na znak dobrej przyjaźni, złoty łańcuch, który miał znaczyć zgotowane mu kajdany, przyczem na wieczernę go zaprosił. Nie zapomniano i o podwładnych.

został pułkownik polski Krebs, po którym wdową ją poznałem. Kochana ta od wszystkich kobieta dla przyjemności charakteru, choć w takim wieku, napisała pamiętniki swojego życia; żałować by trzeba, gdyby zagięły. Są w nich ciekawe szczegóły, dotyczące się nie tylko rzezi humańskiej, ale wielu pierwszych domów polskich, między które los ją rzucał.

¹ Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: „Rzeź Humańska”. Napisał go niejaki Darowski, który był wówczas uczniem i całą rzeź przesiedział w kopule farnego kościoła. Szanowny ten dla swojej autentyczności zabytek w rządkich bardzo rękopisach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nie umiałem.

Wieczera długa, napoju do woli; nazajutrz ujrzeni się hajdamacy okutymi w kajdany wśród Polaków i Moskali. Wkrótce nastąpiło wymierzenie kary. Była ona dopełnieniem okrucieństw, jakie hajdamacy nad Polakami wywierali. Rozwożono tych nieszczęśliwych w różne miejsca i rozmaicie wymyślanymi sposobami mordowano. Gontę stracono w Humaniu. Podanie twierdzi, że z nadzwyczajną stałością przeniósł wszystkie męczarnie. Darto z niego pasy, ćwiertowano żywcem, zdjęto skórę z głowy, a on cały czas fajkę palił i książkę czytał, póki mu głowy nie ścięto. Żeleźniak umęczony na Pobereżu we wsi Serbach za Tulczynem.

Tak się zakończyło to pamiętne powstanie, hajdamaczyzną i kolejowszczyzną między ludem ukraińskim zwane. Z takich to czasów, z takich to ludzi osnułem „Kaniowski Zamek“. Teraz pytam, jaki jego duch być powinien?

Popelnialiśmy nieraz i dotąd jeszcze popelniamy liczne błędy stąd tylko, że nie znamy swojego kraju. Nie w samej literaturze czuć się to daje.

Zanadto może rozwlokłem przemowę, ale nigdy w chęci bronienia siebie. Zważałem tu głównie na wygodę czytających. Zresztą wiem dobrze, że przemowa i przepisy nie naprawią ladażakiego tekstu. Każdy za siebie.

1832.

PRZEDMOWA

DO „POWSZECHNEGO PAMIĘTNIKA NAUK I UMIEJĘTNOŚCI“
(Kraków, 1835, tom I.)

Jeżeli przedmowy dzieł, zamykających w sobie wszystkie cele, widoki i chęci piszącego, wszystkie strony przedmiotu, nie zawsze swoim duchem dadzą się usprawiedliwić, to, przeciwnie, na czele rozpoczynających się pism czasowych mogą być uważanemi za właściwe, konieczne. Konieczność ta powstaje naprzód z różnoczłonkowej, niepełnej istoty czasowego pisma — powtóre, z jego stosunków z czytającą publicznością, które się zwykle otwierają przez jakąś obawę przyszłości — albo, mówiąc wyraźniej, przez potrzebę moralnej rękojmi ze strony wydawców. Przedmowa tedy powinna być niejako wyznaniem wiary

wydawców. Główna treść tego wyznania zależy na wyjaśnieniu, jak wydawcy zapatrują się na rodzaj swej pracy, jak dalece czują ważność swojego powołania, i jakich środków mają zasób, aby mu godnie odpowiedzieć mogli. Otóż przyczyna, dla której kilka te słów piszemy.

Zaprowadzenie dziennikarstwa można uważać za jedną z najgłówniejszych korzyści druku. Ujrzelśmy je u nas w pierwszej połowie zeszłego wieku, nie o wiele w tem wyprzedzeni od innych narodów. Prowadzone według niedokładnych pojęć dziennikarstwo polskie, długo nie odpowiadało swojemu przeznaczeniu. Przywykli wyglądać wszystkiego od cudzoziemców, nie przeniknieni tą jasną a prostą prawdą, że ci, których naśladowaliśmy, nie mieli, bo mieć nie mogli, żadnego przed sobą wzoru, poruszaliśmy długo dziennikarstwo sprężyną naśladowstwa. Dojrzenie wyobrażeń, objawione najwybitniej na przerodzeniu się poezyi, można uważać za erę wyjaśnionych pojęć narodu o ważności i potrzebie pism czasowych; a jednak już od lat kilku nie mamy wcale czasowego pisma, któreby ułatwiało wzajemne udzielanie się powszechności. Zjawiające się tu i ówdzie pod rozmaitemi nazwami zbioru encyklopedyczne, pfennigi, magazyny, nie zastępują braku tego — tem zaś bardziej czasopisma, z zagranic sprowadzane; bo, jak pierwsze, w zarysach tylko, ogółowo rzecz przedstawiając, nie idą w pomoc samodzielnie myślącej powszechności — tak drugie tę niekorzyść mają, że nie od wszystkich zrozumiane być mogą, że nie są obrazem pojęć i myśli naszych, że, jako obce, muszą mieć mnóstwo przedmiotów i rozpraw albo mało nas zajmujących, albo nam zupełnie nieprzydatnych — że nakoniec, zwłaszcza niektóre, zbyt drogo są opłacane. Nam potrzeba pisma, któreby wyłącznie korzyści naszej przeznaczone było, pisma, w polskiej wydawanego mowie; tam powszechność znalazłaby sposobność zdania i pojęcia swoje rozwijać, porównywać, oceniać — umysły zaś celujące, innym swoich wiadomości udzielać. Otóż, oparci na takim rozumieniu dziennikarstwa, następne pismu naszemu zakładamy cele, następnymi określamy je warunkami.

Naprzód: piszemy dla Polaków — ogłaszać więc, co

się wywinie z głębi polskiego umysłu, będzie pierwszym tego pisma usiłowaniem.

Powtóre — jesteście Słowianami: korzystać z prac i badań reszty pobratymczych plemion przez wzajemne poznanie i zamianę moralnych plodów — to drugie staranie.

Po trzecie. Żyjemy w wieku powszechnego zamilowania oświaty; przemysł i sztuka olbrzymim krokiem postępują naprzód — mnożą się korzystne odkrycia i wynalazki. Zaniedbać skarby tego czasu, nie przyswoić, co się przyswoić daje, poczytalibyśmy sobie za grzech ciężki, za błąd śmieszniejszy, zgubniejszy, niż same naśladowstwo, za głupstwo obłąkanego narodowego fanatyzmu; uważamy więc za konieczne korzystać z powszechnego sztuk i nauk postępu.

Cokolwiek do tych trzech celów, mających być głównymi cechami naszego pamiętnika, moglibyśmy przydać, to się w rozpoczęciu pracy samo z siebie wywinie. Resztę więc zdajemy na przyszłość.

DO CZYTELNIKA.

PRZEDMOWA DO „TRZECH STRUN“¹.

Uprzejmy mój czytelniku!

Masz tu przed sobą poezję, mało albo wcale dotąd nieznaną, równie, jak ich twórca. Ośmielam się jednak nieść jej tobie; co większa, ośmielam się mieć nadzieję, że ich nie przeniesiesz okiem zimnej obojętności, tem trudniej, im jesteś lepszym Polakiem i poczciwszym człowiekiem — bo wszystkie wypłynęły z duszy, która umiłowała nad wszelkie światła ponęty Polskę i Wolność. To przekonanie pobudziło mię i ośmieliło mię najwięcej do ogłoszenia niniejszego zbioru.

Przed wszystkim wpadnie ci w oczy naczelny napis: *Trzy Struny*; nie od rzeczy będzie wytłumaczyć się z tego. Wiersze niniejszego zbioru pisane są wszystkie między latami 1824 i 1839. Moja dusza, jako cząstka na-

¹) „Trzy struny“ (oddział I i II.) wyszły w Strasburgu 1839—40. Wydanie części III. nie doszło do skutku.

rodowej polskiej duszy, przeżyła w tym przeciągu czasu trzy okresy, trzy wielkie chwile, z których każda przeszła przez widownię dziejów pod znacznie różnem obliczem. W pierwszym okresie, który się kończy wieczorem 29 listopada 1830 roku, widzisz tak zwaną Polskę kongresową — drugi okres obejmuje czas ostatniej naszej wojny z Moskalami — trzeci, poczęty w upadku jawnego powstania i — niestety — dotąd jeszcze trwający, tworzy epokę Polski tułającej się, męczeńskiej. Pierwszy jest chwila cierpienia i nadziei, silniejszych nad to cierpienie — w drugim okrzyk powstania, wojenna wrzawa zagłuszają wszystkie inne — w trzeciej zaś chwili cierpienia i bolesci narodowe wzniosły się nad wszelkie uczucia, postawiły naród na tym szczeblu, że lepsza przyszłość objawia się bardziej w blasku wiary, niż w wypadku rachuby, że przechylenie się szali naszych losów na tę lub ową stronę musi być na całą przyszłość Polski stanowcze.

Takie są trzy historyczne oblicza, które naród polski po kolei za mojej pamięci przybierał; takie jest potrójne oblicze, mniej więcej wydatne, ogółu niniejszych poezyi. Dlatego nazwałem go Trzy Struny i uszykowałem we trzy oddziały.

Pierwszy odnosi się do epoki przedrewolucyjnej, drugi do czasu ostatniej naszej wojny, trzeci obejmuje wiersze, pisane przez cały ciąg tułaczki mojej po rodzinnej ziemi, aż do opuszczenia jej w roku 1838.

Z tem wszystkiem uprzedzam, że, jak z jednej strony doznałby ten zawodu, ktoby się brał do czytania tego zbioru z ufnością, że znajdzie w nim wykończone, wierne odbicie owych trzech chwil narodowych, bo w pisaniu pojedynczych poezyi nie myślałem o podobnym systemacie — tak z drugiej nie trzymałem się niewolniczo wyłożonego powyżej podziału. Co miało mniej wybitny swojej chwili charakter, to kładłem dowolnie w którymkolwiek oddziale; sam to postrzeżesz. Nie dałem sobie podobnej wolności względem tych poezyi, którą czas właściwy wyraźniej napiętnował.

Nie czytaj też tych poezyi z usposobieniem artysty. Nie dla artystów one. Pisane po największej części pod bodźcem chwilowych wypadków, pod wpływem zewnętrz-

nnych okoliczności, w natchnieniach, jak wichur burzliwych, ulatujących, jak meteor, nie są, nie mogły być utworami, rozważnie obmyślanemi, swobodnie wylewanemi, obrabianemi starannie.

Ich świat nie jest owym światem, który spokojne rozmyślanie otwiera poecie, gdzie mu wolno przechadzać się, rozpatrywać się, zatrzymywać się z całym lubem artystowskim *farniente* — który dowolnie urządza, upiększa, objawia albo zamyka i porzuca. Nie taki świat niniejszych poezyi, nie takie było położenie ich twórcy. Dwadzieścia lat przygód, niebezpieczeństw, trwóg, nadziei, szalonych przedsięwzięć, licznych rozczarowań, niespokojnej tułaczki, często ostatniej nędzy, czasem szczęścia — dwadzieścia lat burz moralnych i fizycznych nie dozwalały jemu obeznać się z jego światem po artystowsku. Był on dla niego obwarowany wszystkimi zawadami życia; u jego wejścia stała, jak u rajskiej furty Cherubin, dziwna dola poety i wciąż go odganiała na świat rzeczywistości. Ukradkiem niemal wchodziłem do mego świata, uchodziłem przed gwałtem; porwałem, co mogłem, objawilem światu zewnętrznemu, jak mogłem, nie, jak chciałem; bo objawienie, czując się za granicami swojej sfery, wydierało się myślom i słowom, ulatywało wichrem wprzód, nim je dokładnie zdołałem obejrzeć. To tylko było mojem, co w jego przelocie mogłem ująć — zaledwie szczątek całej myśli. — Musiał zatem na formie utworu wycisnąć się duch jego — i te poezye są to właściwie improwizacye z całą niepoprawnością improwizacyi, z wielkimi ułomnościami, wadami tak formy, jak istoty.

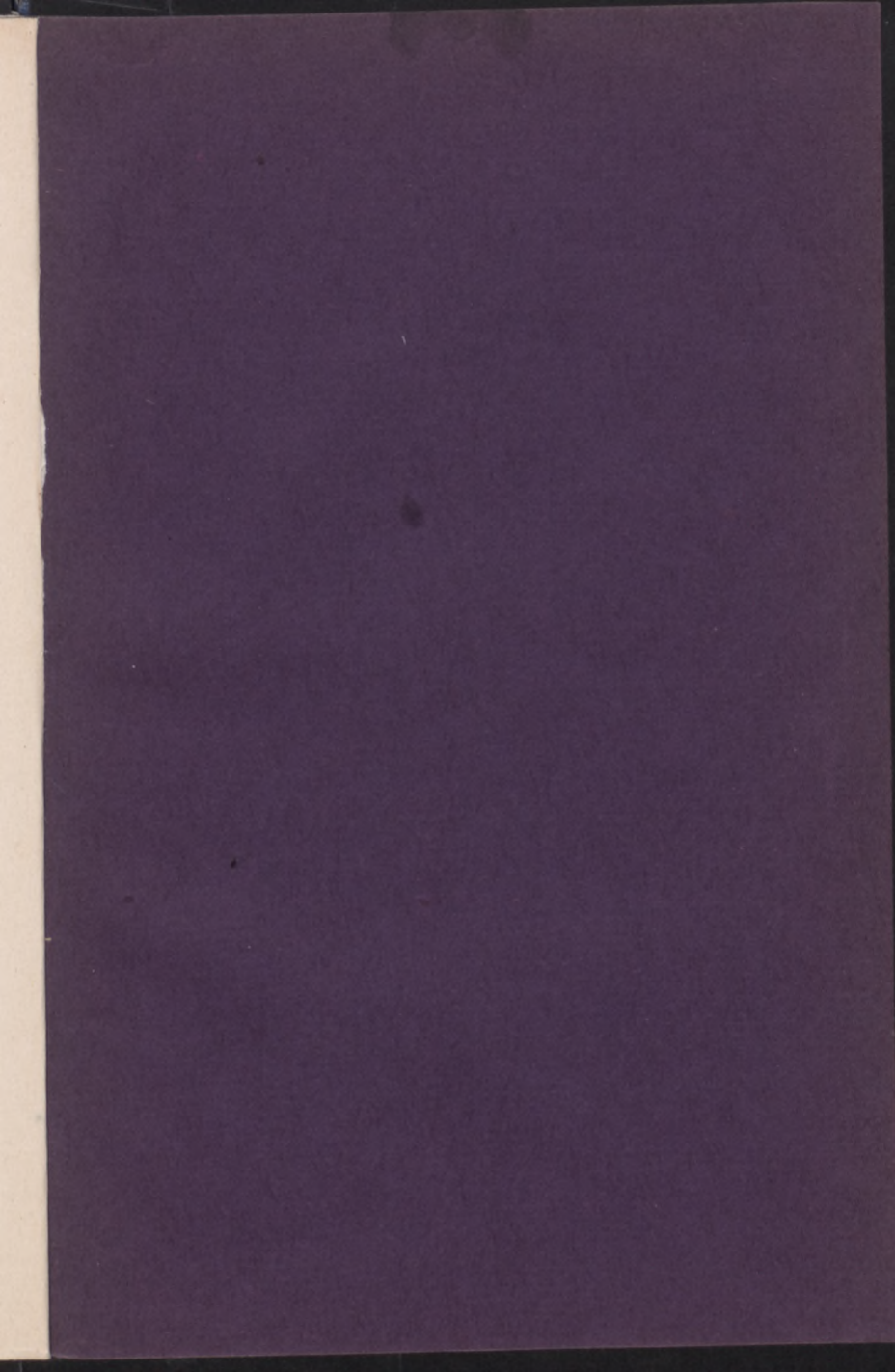
Spokojniejszy dzisiaj, przynajmniej materyalnie, a obok tego zważając, że dotychczasowa moja tylko duszy własność ma się zamienić na własność publiczną, chciałem ją zrobić, o ile można, godną swego przeznaczenia, z niektórych rzeczy oczyścić, niektórymi upiększyć; stąd, mój czytelniku, znajdziesz pewne zmiany w znajomych już tobie wierszach. Nie wiem, jak dalece zyskały one na tem, gdyż krępowałem się względem, aby nie zacierać barwy pierwotnego natchnienia, i tam się tylko rozgrzeszałem, gdzie widziałem konieczność większej mocy lub

jasności wysłowienia, płynniejszego toku, logiczniejszego związku myśli, i t. p.

Zresztą, jakimikolwiek znajdziesz te moje poezye, to wiem przynajmniej, że w nich przechowałem niektóre z najmilszych, z najpełniejszych chwil mojego życia, że one są drogami mojej duszy dziećmi, a składam je przed tobą w najczystszych zamiarach, najżyczliwszem sercem, i przy tej ofierze jedno mam pragnienie, jedną odmawiam modlitwę: bodaj się obróciła w korzyść mej ojczyźnie, bodaj była na ołtarzu naszego męczeństwa ostatnią ofiarą ze słów i zgasła jak najprędzej przed ofiarą czynów!

Kończę przesłaniem ci, mój czytelniku, braterskiego, szczeropolskiego pozdrowienia.

Pisałem 8 lipca 1839 r.
w Neuilly nad Marną.



Biblioteka Główna UMK



300020715556

